

KAROLINA FEDYK

SKRYTYCZNY WYDZIAŁ

The title 'SKRYTYCZNY WYDZIAŁ' is rendered in a highly stylized, gothic font. The letters are primarily black with a white outline. The word 'SKRYTYCZNY' is stacked above 'WYDZIAŁ'. The letters are partially filled with a vibrant red color, which is splattered and smeared across the white background, creating a sense of movement and intensity. Two large, black, feathered wings extend from behind the text, one on each side, as if the title itself is a creature or a messenger. The background is a light, textured grey with dark, ink-like splatters and smudges, particularly around the wings and the bottom of the text.

WIELOWĄTKOWA HISTORIA O PRZETRWAНИU,
PAMIĘCI I WYBACZENIU

SON
imaginatio

SKRZYDŁA

Skrzydła to powieść-zagadka: gęsta, pełna koronkowych detali i przeznaczona do uważnego rozplątywania. Są w niej wyraźne powiązania z konwencją „postapo fantasy”. Widziałbym ten świat gdzieś na przecięciu linii łączących Mad Maxa z kolejną rozbuchaną magicznie kreacją Brandona Sandersona.

MICHAŁ CETNAROWSKI

*W odniesieniu do pisarstwa Karoliny Fedyk nie waham się użyć niemodnego dziś słowa „talent”. Delikatność, a jednocześnie wiarygodność jej wizji znacznie wykracza poza zwykłe literackie rzemiosło. **Skrzydła** to powieść przepiękna, magiczna, nastrojowa, napisana z rozmachem i wyobraźnią godną prawdziwego mistrza pióra.*

Urzekła mnie. Was też powinna.

MARTA KŁADŹ-KOCOT

literaturoznawczyni, autorka powieści *Noc kota, dzień sowy*

***Skrzydła** wciągają niespostrzeżenie. Tu nie ma wybrańców ani dojrzewających protagonistek. Najpierw zauważamy oryginalne światotworzenie, a później powoli i konsekwentnie przechodzimy do eposu o zemście, zdradzie i potędze krwi, opowieści starej jak ludzkość.*

ALEKSANDRA JANUSZ

autorka powieści *Dom wschodzącego słońca*

KAROLINA FEDYK

**SK
RZ
YDŁ
A**

KRAKÓW 2019



KAROLINA FEDYK

Pisze opowiadania fantastyczne i wiersze o terraformacji planet. Publicystka i aktywna uczestniczka imprez fantastycznych. Głęboko wierzy w to, że wyobrażone światy mogą nauczyć nas czegoś nowego o naszym własnym. W wolnym czasie współtworzy portal Lewa ręka fantastyki, gra w larpach lub szuka towarzystwa sów i pustulek. Jest doktorantką na wydziale psychologii w Åbo Akademi w Turku, w Finlandii. W 2017 roku jej wiersz *What Wants Us* nominowano do Nagrody Rhyslinga.

Dla mojego źródła

MICHAŁ CETNAROWSKI PREZENTUJE: FANTASTYCZNIE NIEOBLICZALNI

W drodze wciąż mijali ślady podbitej Rasenny. Wynaturzone drzewa o liściach w niemożliwych kolorach, uginające się pod ciężarem owoców, z których wydostawały się żywe zwierzęta; ruiny domów, wczepione korzeniami w ziemię i kryształowe igły, jakby ktoś nakazał skale rosnąć, po czym stracił siłę lub zainteresowanie; czasem – zatopione w drewnie czy kamieniu sylwetki ludzi. Twarze, które zdawały się nieruchome, ale gdy spojrzeć na nie kątem oka, opuszczone powieki drgały. Prawdziwie groźne były jednak jałowe pola, miejsca śmierci magów.

Uciekły bogi w krainy fantasy. Skryły się w gościnnym cieniu fikcji, znalazły nowy dom na wyspach wyobraźni. Po zwycięskiej epoce oświecenia, w której rozgorzał zimny płomień Rozumu, ziemscy bogowie chyba nigdy nie byli tak blisko ludzi jak właśnie tu: w literackich neverlandach spod znaku magii i miecza, w krainach na rubieżach wyobraźni. Każda szanująca się kreacja fantasy ma wszak swój panteon, mitologię i bóstwa, czasem wzorowane na religiach ziemskich, czasem dużo bardziej egzotyczne, wywiedzione z magicznych założeń napędzających maszynę danego świata.

W high fantasy bogowie to najczęściej superbohaterowie w typie bogów z greckiego Olimpu, z ich schyłkowego okresu, kiedy nawet Hellenowie podawali w wątpliwość ich nazbyt ludzkie kształty i zachowania. Ale przecież literatura fantasy zna i inne mitologie, dużo subtelniejsze i bardziej wieloznaczne. Wydaje się, że właśnie dołączyła do nich kolejna – ta, którą na kartach swojej debiutanckiej powieści powołuje do istnienia Karolina Fedyk.

To teza głoszona nie od dziś, że właśnie fantastyka – bękart literatury wysokiej i jarmarcznej sztuczki – jest obecnie miejscem, gdzie najchętniej kryje się metafizyka. Najbardziej znaną beletrystyczną ilustracją podobnej tezy są *Amerykańscy bogowie* Neila Gaimana, w których znani z historii bogowie, wypierani przez nowych idoli Technologii i Kapitalizmu, muszą raz jeszcze stanąć do walki o należne im miejsce w rzeczywistości, rząd dusz coraz mniej

licznych wyznawców. Dyskursywnie z kolei rzecz wyłożyła na przykład Victoria Nelson, która w *Sekretnym życiu lalek* pisze otwarcie o XX-wiecznej fantastyce jako o tym zakątku kultury, w którym wciąż na poważnie – to znaczy bez poczucia obciachu – można było zastanawiać się nad pierwiastkiem Nadnaturalnym, wypartym prawie zupełnie z głównego obiegu kulturalnego, opanowanego przez protestancką nieufność względem wszystkiego, co cudowne i irracjonalne. Choć i jej teza nie jest nowa – podobny proces, tylko w przełożeniu na poezję XVIII i XIX stulecia, opisywał już kongenialny Roberto Calasso w erudycyjnym zbiorze *Literatura i bogowie*. Nie trzeba jednak znać tych prac, żeby mieć pewność, że bogami fantasy stoi.

Pytaniem pozostaje, jacy to bogowie, co symbolizują i jakie lustro podsuwają epokom, w których zostali opisani. Nieprzypadkowo na frontonie świątyni Apollona w Delfach, kwaterze głównej najsłynniejszej antycznej Wyroczni, widniał napis: „Poznaj samego siebie”. Co próbują nam powiedzieć bogowie współczesnego fantasy?

Wbrew temu, co może się wydawać na podstawie tego, co powiedziane powyżej, *Skrzydła* nie są twórczością *stricte* „metafizyczną” – tak jak można za taką uważać *Władcę pierścieni* J.R.R. Tolkiena, *Opowieści z Narnii* C.S. Lewisa czy *Gar’Ingawi*, *Wyspę Szczęśliwą* Anny Borkowskiej. Stworzyciele – bóstwa opiekuńcze miast, które chronią je przed rozciągającą się poza ich murami entropią – mają w debiucie Fedyk bardzo materialną reprezentację; są to siły przynależne do świata przedstawionego, a nie wykraczające poza jego ontologię, istoty, z którymi można się wadzić, którym można służyć, które można zabić. Być może z jednym wyjątkiem. Oto jedna z legend o pochodzeniu magii opowiada o ludziach, którzy zdobyli swoje moce, uczując na truchle boga. Jeśli to on był tym „Jedynym”, prawdziwym Bogiem tego świata – to wszystko, co wydarzyło się później, jest już rozciągniętym w czasie Ragnarokiem, historią po końcu historii, kiedy to, co metafizyczne, już się dokonało. W tym świetle dużo wyraźniejsze stają się powiązania *Skrzydeł* z konwencją postapo i tym jej niezbyt wyeksploatowanym podgatunkiem, który można nazwać „postapokalipsą fantasy”. Sam widziałbym ten świat gdzieś na przecięciu linii łączących *Mad Maxa* z kolejną rozbuchaną magicznie kreacją Brandona Sandersona – i religioznawczymi pracami Mircea Eliade.

Jeszcze przed polem czuć było ten dziwny chłód zastalego powietrza: jakby od lat nie przemknął tędy najmniejszy podmuch wiatru. Zimno wnikało w kości, a każdy oddech smakował popiołem. Konie zaczynały parskać i zarzucać łbami,

próbując zmusić jeźdźców do zmiany kierunku. Wystarczyło przycupnąć na krawędzi jałowego pola, by zapaść w lepki sen i nigdy się nie obudzić.

Szukając analogii do naszego świata, na myśl nasuwa się ponowoczesność, która też została wyrwana z korzeniami ze swojej „religijnej” przeszłości i zaszczepiona na stosunkowo nowym, laickim gruncie. Nowym, bowiem wszystko wskazuje na to, że co najmniej w ciągu ostatnich 50 tysięcy lat swojej historii (mierząc mniej więcej od czasów pojawienia się języka) ludzkość pozostawała „zwierzęciem religijnym” i dopiero ostatnich 200–300 lat po rewolucji przemysłowej spowodowało nowe rozdanie cywilizacyjnych kart. Bez dużego uproszczenia można powiedzieć, że XX wiek stał na pięciu głównych filarach – pracach Nietzschego, Darwina, Marksa, Freuda i Einsteina, które określiły kształt współczesności. Ale nie znaczy to, że przemiana dokonała się bez bólu i bez komplikacji. Proces wykluwania się przyszłości trwa zresztą nadal i trudno przewidzieć, jakie będą jego ostateczne skutki. Może oprócz tego, że bogowie, jak można było podejrzewać, nie poddadzą się łatwo i coraz częściej wracają do mainstreamu w zaskakujących obszarach. Renesans wszelakich fundamentalizmów to tutaj tylko jeden z przykładów.

Białe ściany domów zdobiła też kaligrafia. Litery przeplatały się z motywami roślinnymi: kwiatami o płatkach jak klejnoty, pnączami wijącymi się według zasad geometrii... Nie było w tym rozbuchanej dzikości zdobień Rasenów, ktoś jednak zniszczył to dzieło, ciskając w ścianę kubłem farby. Z zacieków wyłaniał się pośpiesznie namalowany napis. „Wszyscy nas zostawiliście”.

Główna oś fabularna *Skrzydeł* opowiada o Zaihab, nastoletniej pieśniarce, która wskutek splotu niekorzystnych okoliczności zostaje przymuszona, by stać się hierodulą Vesui, ptasiego bóstwa miasta Sahit. W ziemskiej starożytności hierodulowie to byli „niewolnicy bogów”, osoby ofiarowane bóstwom na własność; nie inaczej jest w *Skrzydłach*. By ratować rodziców, Zaihab przyjmuje na siebie rolę, o którą nie prosiła i której nie zamierza wypełniać. Zaczyna się walka o emancypację, wolność do decydowania o własnym losie, przynajmniej w tym zakresie, w którym każdy z ludzi ma na niego wpływ – tylko jak zerwać okowy wykute przez magię?

To zresztą tylko jeden z wątków tej misternej, bogatej kreacji. W debiutanckiej powieści Fedyk roi się od bohaterów pierwszo- i drugoplanowych, a każdy z nich ma swoje motywacje, historie i cele, o które warto walczyć. Rzadko zdarza się – a już zwłaszcza w debiutach – żeby każdy z literackich statystów okazywał się postacią z krwi i kości, która wymyka się łatwym stereotypom

i psychologicznym uproszczeniom. Do tego dochodzą różne plany czasowe, dawna wojna z Rasenami, w czasie której prawie zniknęła magia, ziemie jałowe – pozbawione życia miejsca, gdzie umierali magowie – bogowie-stworzyciele patrolujący wybranym miastom, czy nimrodowie – magowie wyspecjalizowani w likwidowaniu magii... Już po tym blitzkriegu przez główne motywy widać, że *Skrzydła* to powieść-zagadka: gęsta, pełna koronkowych detali i przeznaczona do uważnego rozplątywania.

– *Och, proszę – przerwał jej. – Najpierw niszczyście wszystko, co znaleźliśmy, a potem opowiadacie sobie mity o bezlitosnych bóstwach. Jedyne, co wam dobrze wychodzi, to bezczeszczenie naszej pamięci i odmawianie nam prawa do... Puste nieba, do wszystkiego.*

Czy to nie znamienne, że powieściowe pola jałowe – owe chłodne pustynie, z których wyciekło życie – to miejsca śmierci magów: miejsca, gdzie umierała magia? Owszem, bogowie z powieści Fedyk to może przebiegłe skurczybyki, i może od początku wydaje się, że magia niesie więcej niebezpieczeństw niż błogosławieństw. Jednocześnie trudno nie odnieść wrażenia, że świat pozbawiony magii też nie przypomina arkadii. Gdzie zatem leży klucz do samostanowienia człowieka? W nauce? W świecie *Skrzydeł* da się odnaleźć załączki nieudanej rewolucji naukowej, więc wydaje się, że to nie jest odpowiedź, której poszukiwaliby bohaterowie; na pewno nie jedyna. Więc gdzie? *Skrzydła* zdają się wskazywać, że pierwsze kroki na drodze do wolności wiodą przez uczciwość rozumu, determinację ducha i otwartość serca. Istnieją tęsknoty, których nawet najskuteczniejsi nimrodowie nie są w stanie zabić.

Nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad tym, przed czym przestrzegali ją rodzice: poza upiornym chłodem pól jałowych i zwodniczymi kołysankami magicznych istot stworzyciele – bóstwa dawnej Rasenny – wydawali się odlegli, może nie niegroźni, ale przecież dający się obłaskawić. Lub oszukać. Bała się ich, ale tak, jak bała się obcych ludzi: dało się z nimi rozmawiać, mogła ich przekonać lub ignorować.

Aż do dziś.

Michał Cetnarowski



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Miesiąc sierpów,
pierwsza pentada, dzień trzeci

Skalne iglice jaśniały w promieniach słońca, wskazując drogę do miasta. Troje podróżnych – starszy mężczyzna, kobieta o ogorzałej twarzy i dziewczyna, która mogła być ich córką – kierowali się właśnie tam.

W białych iglicach Sahit znać było rękę kogoś, kto nie musiał się przejmować surowcem ani siłą roboczą. Regularny układ dzielnic pozwalał sądzić, że budowniczowie nie obawiali się morza, a linię wybrzeża ukształtowali zgodnie ze swoim wyobrażeniem. Gdzie indziej wściekle przyplęwy kruszyły klif, Sahit było zaś bezpieczne. Wymyślną konstrukcję miasta wzniesiono w niezwykle sposób: po prostu życząc sobie, by zaistniała, na przekór siłom przyrody. Domy otaczały skalną iglicę sowiego bóstwa. Mury miasta wyznaczały granicę życzenia.

Sahit zostało powołane do istnienia tylko czyjąś myślą.

W drodze wciąż mijali ślady podbitej Rasenny. Wynaturzone drzewa o liściach w niemożliwych kolorach, uginające się pod ciężarem owoców, z których wydostawały się żywe zwierzęta; ruiny domów, wczepione korzeniami w ziemię i kryształowe igły, jakby ktoś nakazał skale rosnać, po czym stracił siłę lub zainteresowanie; czasem – zatopione w drewnie czy kamieniu sylwetki ludzi. Twarze, które zdawały się nieruchome, ale gdy spojrzeć na nie kątem oka, opuszczone powieki drgały. Prawdziwie groźne były jednak jałowe pola, miejsca śmierci magów.

Jeszcze przed polem czuć było ten dziwny chłód zastalego powietrza: jakby od lat nie przemknął tędy najmniejszy podmuch wiatru. Zimno wnikało w kości, a każdy oddech smakował popiołem. Konie zaczynały parskać i zarzucać łbami, próbując zmusić jeźdźców do zmiany kierunku. Wystarczyło przycupnąć na krawędzi jałowego pola, by zapaść w lepki sen i nigdy się nie obudzić.

Można było nazwać te ziemie Nową Saadą, przepisać nazwy miast zgodnie z nowym dekretem i rozbić kapliczki starych bóstw, ale koszmar, jakim była

Rasenna, nigdy się nie skończył. Duchy podbitych magów wciąż się broniły, głodne i wściekłe.

W porównaniu z osadami i polami Sahit oferowało obietnicę bezpieczeństwa. Tak łatwo było zapomnieć, że jego białe mury również wzniesli magowie.

Patrzę na was, gdy rozbijacie obóz na podgrodziu. I później, gdy przekraczacie bramę miasta. Najpierw twoja matka. W jej ślad ty, jak jej młodsza wersja. Ledwo za nią nadążając, wchodzisz na obcy ci teren. Potem będziesz się zastanawiać: czy to się zaczęło właśnie wtedy? Co wprawiliście w ruch? Co można było zrobić inaczej?

Teraz wydaje ci się, że tak łatwo można było to przewidzieć. Miałaś w rękach wszystkie odpowiedzi – nie potrafiłaś tylko złożyć ich w całość.

Wciąż nie potrafisz. Zastanawiasz się, kiedy popełniliście błąd.

Ach, ale to optymistyczne założenie, że istniał jeden moment, który zmieniłby obrót spraw. Wydarzenie, które mogłabyś kontrolować. Może gdybyś była mną...

Ale nie jesteś. I wciąż się łudzisz, że znajdziesz swoją odpowiedź. Czy powinniście byli ominąć Sahit? Czy udałoby się wam ukryć w tłumie podróżnych? A może błąd popełniliście później – gdy któreś z was potknęło się na własnych słowach, ktoś z sąsiadów zauważył, że się... różnicie? Podejrzenia przychodzą same. Szczególnie tutaj, szczególnie teraz.

A gdybym ci powiedział, że to twoja wina?

Czy musiałaś wtedy dołączać do ogniska? Mówisz sobie, że nie chciałaś zrobić nic złego. Pragnęłaś jedynie wyjść do ludzi, cieszyć się ich towarzystwem. Nie myślałaś, że zwrócisz na siebie uwagę.

Nie kłam. Wiedziałaś, że tak się stanie.

Miałaś jeszcze szansę na ucieczkę, gdy odciągali twojego ojca. Mogłyście, ty i matka, zostać na podgrodziu. Zdążyłybyście uciec.

Co? Tak się nie robi?

Czy jeszcze chwilę temu nie zarzekałaś się, że chcesz się uwolnić? Hmm, cóż. Nikt nie mówił, że cena przetrwania będzie niska.

Choć Sahit było zwartą, zamkniętą konstrukcją, jego mury oblepiała masa kramów, chat i namiotów tworzących drugie miasto, nieposłuszne prawom anaktorionu. Dobudowywane po podboju dzielnice już dawno wymknęły się pierwotnym planom architektów i feerią barw unaocznily niewygodną prawdę: niewielu mogło mieszkać za białymi murami, zaś planowe rozbudowanie miasta

zwyczajnie już nie wchodziło w rachubę. Wreszcie pogodzone się z nową naturą nieskazitelnego niegdyś portu – i z brakiem kontroli nad tym, kto się zatrzymuje w jego okolicy.

Białe Sahit żyło w kruchej zgodzie ze swoim młodszym, barwnym rodzeństwem. Oba miasta spotykały się tylko przy brzegu: tam, gdzie przy pomostach kołysały się łodzie i żaglówki. Na wąskiej piaszczystej plaży bawiły się dzieci. Ponad hukiem fal niósł się gwar rozmów. Wokół głównej drogi wytyczono dodatkowe ścieżki, układając w mokrej ziemi belki drewna. Targ nigdy nie zamierał zupełnie – nawet teraz, gdy relacje między miastami były napięte bardziej niż kiedykolwiek, a mieszkańcy Sahit rzadko wychodzili do obcych.

Kiedy zaś wychodzili, spotykali się z podejrzeniem. Szczególnie jeśli nosili insygnia anaktorionu.

Dwójka urzędników przechadzała się wzdłuż kramów i obozowisk, nie dbając o pozory przypadkowej wizyty. Pierwszy szedł wysoki mężczyzna w prostej tunice i luźnych spodniach przewiązanych szerokim pasem, przy którym wisiał pęk znaczników. Za nim podążała młoda kobieta w bogato haftowanej sukni, której rąbek trzymała w ręce, by nie ubłocić materiału. Taksowała namioty i targ.

Jeden z rybaków dotknął dłonią czoła na powitanie.

– W czym pomóc? – zapytał, zarzucając naprawianie sieci. Uśmiechnął się do Saadyjczyków, ale jego spojrzenie pozostało uważne, kalkulujące.

– Szukamy kogoś. – Mężczyzna odkaslnął. – Dziewczyny. Młodej, prawdopodobnie Saadyjki. Niskiej. Miała długie kręcone włosy, być może zaplecione. Raczej nie podróżowała sama. Poruszała się o lasce...

Na tę ostatnią wzmiankę twarz rybaka stężała.

Towarzyszka urzędnika wychyliła się ku niemu.

– Czy była tutaj? – zapytała.

– Opisałiście połowę Saadyjek w tym mieście. – Rybak wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od splatanych lin. Zza jego pleców wychynęła dwójka dzieci, które szybko odpędził.

– Poruszała się z pomocą laski – warknął mężczyzna. – Tego nie powiesz o połowie Saadyjek.

Przepytywany podniósł głowę, spojrzał oficjelowi w oczy.

– Możecie sprawdzić nasze namioty, jeśli mi nie wierzycie.

Kobieta westchnęła z irytacją. Urzędnik uśmiechnął się tylko.

– Czy mógłbym zobaczyć wasze pozwolenie na handel w Sahit?

Zapadła cisza. Wreszcie nomada wskazał dłonią sąsiednie obozowisko.

– Ja bym na waszym miejscu rozmawiał z nimi. Ktoś pytał Saima, kiedy ten będzie wypływać. Może temu komuś towarzyszyła dziewczyna poruszająca się

o lasce.

– Kiedy to było? – zapytała kobieta.

Wzruszył ramionami.

– Parę godzin temu. Może jeszcze ją znajdziecie.

– Dziękuję – mruknęła.

Rybak odprowadził ich wzrokiem. Kiedy indziej być może zmyśliłby odpowiedź lub udawał, że nigdy nie spotkał tej dziewczyny, ale nie teraz, gdy oskarżenia rzucano tak lekko. Nie, gdy każdy obcy stawał się podejrzanym.

Arit rozglądała się, wypatrując znajomej twarzy. Zaciśnęła dłonie w bezsilnej złości. W tłumie, który ściągnął do miasta, widziała rodowitych Saadyjczyków, nomadów, handlarzy z wysp i zza cieśniny. Ludzie wciąż odjeżdżali i przybywali. Równie dobrze mogłaby szukać igły w stogu siana.

Mężczyzna wrócił do naprawiania sieci. Jeśli saadyjscy urzędnicy o kogoś pytali, najlepsze, co można było zrobić, to nie dać powiązać siebie z tą osobą. Dziewczynę pamiętał z wieczorów przy ognisku, gdy dosiadała się, by śpiewać razem z wyspiarzami. Po jakimś czasie zniknęła, w tym jednak nie było nic dziwnego; przez nowe Sahit przepływała istna rzeka ludzi. Ale dziewczyna zadbała, by ją zapamiętano.

Historii Nowej Saady nie pisano w jedwabnych księgach. Wyprawiane skóry były zbyt ciężkie, by wozic je ze sobą; kościane żetony nadawały się co najwyżej do prostych rachunków. Historia Nowej Saady zamykała się więc w melodiach, w wierszach wyśpiewywanych przez ogniska. Oto, kim jesteśmy. Posłuchaj, skąd przyszliśmy.

Zaihab siedziała w kręgu ludzi i śpiewała razem z nimi. Ich głosy wznosiły się ponad dźwięk bębnów i zawodzenie piszczałek. Śpiewali wszystko, od baśni ze starego kraju po nowe historie o życiu w białych miastach. Te pieśni pozwalały im rozpoznawać siebie nawzajem – nic tak nie łączyło, jak wspólna melodia – i przekazywać wiadomości o niedawnych wydarzeniach. Wersy każdej społeczności były niepowtarzalne jak odcisk palca. Zaihab szybko podłapywała nowe pieśni. Jej głos był czysty, zaskakująco mocny jak na kogoś jej postury, przyjemny dla ucha.

Wyobraziła sobie, że tak może wyglądać reszta jej życia: podróż od miasta do miasta, zapamiętywanie historii, przekazywanie ich dalej. Przychodziła codziennie wieczorem, głodna opowieści – i doskonale świadoma, że nigdy nie dołączy do wędrownych pieśniarzy.

Nie czuła się niechciana – raczej obojętna. Była nikim, nie należała do żadnego ogniska; to ostatnie mogło wzbudzić co najwyżej litość. Przychodziła po kolacji, znikwała wcześniej, nigdy nie zaśpiewała solowej pieśni. Mogła tylko przysłuchiwać się innym. I zazdrościć życia, które wydawało się nieosiągalne. Każdy wieczór spędzony wśród pieśniarzy budził w niej żal, ale i tak nie znalazłaby się bliżej spełnienia swoich marzeń. „Ciesz się tym, co masz” – mówiła sobie, siadała przy ogniu i śpiewała refreny razem ze wszystkimi, nerwowo oczekując dnia, kiedy ona i rodzice zostawią Sahit za sobą.

Przynajmniej w marzeniach nigdy nie opuszczała Sahit z rodzicami, tylko dołączała do pieśniarzy. Mogłaby tak żyć. Śpiewać tak, jakby miało nie być jutra. Pieśni płonęły w jej płucach żywym ogniem; kiedyś ośmieliłaby się je zaśpiewać. Gdyby tylko miała więcej czasu.

Ale nie wiedziała, kiedy znów wyruszą. Z każdym dniem jej niepokój narastał. Nie chciała być tylko widownią. Chciała choć przez chwilę należeć do tej grupy, razem z nią stanowić pamięć Nowej Saady.

Kiedy więc najstarszy pieśniarz w obozowisku rzucił, że nikt z tu obecnych nie nauczy go niczego nowego, Zaihab wstała. Zakręciło jej się w głowie.

– Doprawdy? – zapytała, mając nadzieję, że nikt nie słyszy drżenia w jej głosie.

Wiedziała już, co zaśpiewa: pieśń, która smakowała nadzieją i spokojem. Ale to były stare słowa, pełne magii dawnej Rasenny, ukradzione słowa, których nie powinna była znać. Magia zwodziła pięknymi obietnicami, lecz ostatecznie tylko siała spustoszenie. Ponadto Zaihab zdawała sobie sprawę, co spotyka tych, w których odzywa się krew raseńskich magów.

Nie w niej. Dla niej słowa były tylko słowami. Nie miała w sobie osławionego źródła, które tchnęłoby w melodię siłę. Nie mogła nic zrobić.

Jednak nie powinna była ściągać na siebie podejrzeń. A słowa, mimo to, rwały się na wolność. Nie mogły zresztą być aż tak groźne – stanowiły zaledwie echo kraju, który przestał istnieć.

Tylko to.

Nie powinna dawać pretekstu, by ktoś zainteresował się ich pochodzeniem.

Ale ile szkody można wyrządzić jedną melodią?

Już podjęła decyzję. Stała w kręgu, czując na sobie wyczekujące spojrzenia muzyków. Przycisnęła dłoń do mostka. Pozwoliła melodii płynąć, za akompaniament mając tylko dźwięk bębnow.

Nie uciekną nigdzie dalej,
stojąc na świata krawędzi.

Nawet mając na uwięzi rzeki
i mórz wściekłe fale.

Bębnienie nie ustawało. Zaihab kołysała się w rytm muzyki. Jej policzki były gorące od ognia.

Nawet rozkazując ptakom,
kiedy krzyk się szeptem staje.

W ognisku trzaskało suche drewno, wyciągnięte z plaży konary gładkie jak kości olbrzymów.

Wszyscy ucichną jednak
i zostanie echo pieśni.
A ty nie mów ani słowa,
aż umilknie echo pieśni.

Zaczęła klaskać do rytmu razem z pozostałymi. Sahit mogło w tej chwili przestać istnieć, a świat – zamknąć się w kręgu tego ogniska. Ona sama było tylko naczyniem na melodię.

Aż zobaczysz puste nieba,
gdy umilknie echo pieśni.

Wybrzmiały ostatnie nuty. Zaihab zabrakło tchu. Przesunęła palcami po wysuszonych wargach. Minęła nieznośnie długa chwila, nim ciszę przerwał śmiech starego pieśniarza. Zaihab odetchnęła z ulgą. Ogień w jej płucach zelżał. Przyjęła podany jej kubek z wodą i opróżniła go jednym haustem.

– Brawo, młoda damo. Zaskoczyłaś mnie. – Zaihab mogła sobie tylko wyobrazić, jak pieśniarz skłania głowę. Przeszedł wokół ogniska i usiadł obok niej, klaszcząc w ręce. – No dalej! Dziewczyna wystrychnęła mnie na dudka – zagrzał pozostałych do oklasków.

Nad obozowisko podniósł się łomot bębnów jak improwizowana fanfara. W ręce Zaihab trafił następny kubek, tym razem z winem. Powiedziała sobie, że

nie powinna pić; że zbyt wiele czasu spędziła w tym towarzystwie, wkrótce zaczną jej szukać. I bez wina czuła się pijana triumfem. Przytknęła wargi do brzegu naczynia.

– Jak masz na imię? Skąd jesteś? – spytał pieśniarz. – Kto cię uczył?

– Zaihab. – Przełknęła wino. – Z Alawi – skłamała. – Ale tę pieśń usłyszałam... gdzieś indziej.

Nie wiedziała nawet, kto jej słuchał. Walczyła z dławiącym strachem. To były tylko słowa, powtarzała sobie.

Powinna była siedzieć cicho. Ale nie. Ta jedna pieśń, nigdy wcześniej przez nią nie śpiewana, tkwiła w jej gardle i czekała na odpowiedni moment, by wyrwać się na zewnątrz. Zaihab skarciła się w myślach. Głupia. Było już za późno.

– Gdzieś indziej – powtórzył za nią mężczyzna. – Pilnujesz swoich tajemnic, młoda pieśniarko.

Zaihab poczuła, jak płoną jej policzki. Aojda bez pytania złapał jej dłoń i położył na niej coś chłodnego i ciężkiego. Zamknął jej palce wokół przedmiotu. Opuszki Zaihab obrysowały symboliczne słońce z ostrymi, wijącymi się promieniami.

– Czy to wystarczy, żeby kupić od ciebie tę pieśń?

– Nie mogę. – Spróbowała oddać wisiołek, ale mężczyzna znów zamknął jej dłoń.

– Zastanów się.

Głupia. Zaihab gorączkowo myślała nad wymówką.

– Może jutro – powiedziała szybko.

– Jutro wyruszamy. Nie dołączyłabyś do nas?

Miała wrażenie, że ziemia się pod nią zapada. Tak! W ten wieczór, kiedy wszystko wydawało się możliwe, prawie wierzyła, że jej marzenie mogłoby się spełnić.

Otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Zaihab?!

Ponad gwarem usłyszała znajomy głos. Zamarła, nasłuchując. Nie pomyliła się. Usłyszała swoje imię.

– Przepraszam – mruknęła. Niezgrabnie wstała, szukając wokół laski.

– Już nas zostawiasz? – ktoś zawołał.

– Muszę iść – wymamrotała, odsuwając się od ogniska. Bezradnie przesuwając laską po skraju nieznanej drogi.

Tak łatwo było zapomnieć o istnieniu miejsca, do którego musi wrócić. Zaihab-pieśniarka sama decydowała o swoich krokach. I, pomyślała z goryczą

dziewczyna, pewnie nie pożyłaby długo, bo ktoś rozpoznałaby w jej repertuarze zakazane melodie. Głupia.

Ale tamta Zaihab przynajmniej decydowała o sobie sama.

– Zaihab!

– Tu jestem! – odkrzyknęła.

Ojciec znalazł się przy niej w ułamku chwili. Chwycił wolną rękę dziewczyny.

– Chodź ze mną – rzucił. I gdy tylko oddalili się od obozowiska muzyków, zapytał: – Co to miało być?

Zaihab uwolniła rękę z jego uścisku.

– Nic, z czego muszę ci się tłumaczyć.

Nic poza śpiewaniem pieśni z dawnej Rasenny. Objęła się ramionami, jakby chciała utrzymać w uścisku szaleńczo bijące serce.

– Wszyscy szukają szpiegów, połowie przyjezdnych odebrano prawo pobytu, a ty nagle znikasz!

– Wiedziałaś przecież, gdzie jestem – broniła się.

– Myśleliśmy, że siedzisz z Milą i jej dziećmiakami!

– Mila też była przy ognisku...

– A jej dzieci już dawno spały.

Zaihab stłumiła jęk zawodu.

– Jak widać, nic złego mi się nie przytrafiło.

– Ale mogło. – Ojciec znów złapał ją za rękę i pociągnął do namiotu. – Znalazłem ją – oznajmił przy wejściu.

Matka milczała, co było gorsze niż czynienie wyrzutów.

Zaihab przycupnęła na swoim posłaniu.

– Nic się przecież nie stało – powtórzyła, tym razem bez przekonania.

Znów przycisnęła ręce do boków. Nic nie powiedziała. Ale mogło ją zdradzić to, co śpiewała. To, co mówiła, później. Jeszcze chwilę temu wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek z wyspiarzy mógł jej zaszkodzić – była jedną z nich, bawiła się wspólnie z nimi. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie zna nawet imion większości z tych ludzi, nie wiedziała – nie miała jak się dowiedzieć – kto jej słuchał.

Rodzice milczeli. Zaihab bez słowa ułożyła się na posłaniu i odwróciła twarzą do ściany namiotu. Potrafiła sobie wytłumaczyć, skąd ta złość i niepokój, równocześnie szept w jej głowie pytał: czy tak ma wyglądać reszta mojego życia? Bycie zdaną na pomoc innych i troska krępująca ruchy? Spróbowała przywołać wspomnienie ogniska, które wydawało się tak odległe, jakby przydarzyło się komuś innemu.

...aż umilknie echo pieśni.

Wiedziała, skąd ta ostrożność i które słowa są groźne. Ale chciała mieć coś, co byłoby tylko jej, jakkolwiek niebezpieczne. Słowa miały moc, lecz nad słowami mogła zapanować.

Pograżona we własnych myślach nie chciała się kłócić. Kiedy indziej nie omieszkałyby wytknąć rodzicom, że największe ryzyko ściągali na siebie oni sami. Zapytałyby, nie przebierając w słowach, co przygnało ich do Sahit właśnie teraz, gdy cała Nowa Saada obracała się przeciwko Taarut.

Taarut. Upadające miasto przejęte przez maga. Jedno z największych na tym terytorium, łamiące prawa Saady, i te spisane, i te nigdy niewyrażone, lecz dyktujące zasady życia na ziemiach dawnej Rasenny. Zaihab nie znała Taarut, jej rodzice opuścili je, gdy była dzieckiem. Nie czuła żadnej więzi z gnijącym miastem. Ale nie mogła przestać się zastanawiać, co tam się stało. Co doprowadziło do buntu. Czy to samo groziło innym białym miastom.

Naciągnęła koc niemal na głowę i zamknęła oczy. Stara pieśń była już tylko żarzącym się okruczem w jej piersi.

Poranek. Budzi cię dymny zapach herbaty. Powietrze wciąż jest chłodne, choć zapowiada się kolejny ciepły dzień. Siadasz przy ognisku obok matki. Nie rozmawiacie o tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Matka milczy po części ze względu na otaczających was obcych, po części, by cię ukarać. Żadna z was nie jest jeszcze skora wybaczyć wczorajszą kłótnię. Nie pytasz, gdzie poszedł ojciec. Trzymając w dłoniach czarkę z herbatą, na nowo przeżywasz w myślach wydarzenia sprzed kilku godzin.

Nie przyznasz tego przed sobą, ale ja wiem: delektujesz się brzmieniem obcej pieśni.

Ale – mówiliśmy o twoim ojcu. Ta scena rozgrywa się w innej części nowego miasta, nie miałybyś na nią wpływu, choćbyś chciała, więc ci to opiszę. Ktoś skojarzył Nuę z twoją pieśnią; teraz stoi bezbronny, otoczony kręgiem ludzi. Tuli tubę na mapy, którą próbują mu wyrwać. W końcu oplatający ją pasek pęka, a przybory wysypują się na ziemię. Stalówki i nasadki pędzli połyskują w trawie.

Nuha opuszcza bezradnie ręce. Dociera do niego, że ma przeciwko sobie cały tłum, że z tłumem nie da się negocjować. Musi zresztą sam przed sobą przyznać, że jego wygląd nie budzi zaufania. Ani wysuwający się spod chustki siwiejący warkocz, którego koniec zabezpieczono surową włóczką. Ani nierówny zarost na ogorzałej twarzy. Nuha przypomina raczej posuniętego w latach wagabundę niż wędrownego skrybę, za którego się podaje. Jeśli ktoś dobierze się do zawartości jego torby, nie będzie odwrotu.

– Jestem uczonym! – Odwraca dłonie wnętrzem do góry, odsłaniając atramentowe plamy wżarte głęboko w skórę. – Nie szukam zwady!

Ale lata spędzone z dala od ludzi robią swoje. Nuha nie wie, ile jego cech zdradza cudzoziemca. Nie słyszy obcego akcentu w swoim głosie. Nie wie, że nie przekona otaczających go Sahitczyków.

– Uczonym – powtarza wysoki chłopak, tak młody, że mógłby być jego synem. – Uczonym – mówi raz jeszcze, kopniakiem otwierając leżącą na ziemi tubę. Ze środka wysuwają się rulony jedwabiu i kościane znaczniki.

Chłopak podnosi jeden rulon i nim potrząsa. Jedwab rozwija się i wydyma na wietrze: tkanina jest niefarbowana, niemal przezroczysta, pokryta pajęczą siatką malowanych linii. Nuha może tylko bezradnie patrzeć, jak oczom zebranych ukazuje się niedokończona jeszcze mapa terenów na północ od wsi Alawi. Miał dość rozsądku, by nie nanosić na nią żadnych tras, ale spod równych atramentowych linii tu i ówdzie wyziera błękitnawy ślad rysika, drobne pismo Nuhy zapowiadające, co wypełni białe dotąd obszary.

Ale Nuha mimo wszystko łudzi się, że znajdzie wyjście z tej sytuacji. Jego twarz nieruchomieje, choć mięśnie żuchwy napinają się w tajonej złości.

– Jeśli dopuszczono by mnie do anaktorionu – mówi powoli – bym mógł przedstawić kontrakt, który wykonuję... – Opiera rękę na biodrze, tam, gdzie w torbie przy pasie nosi dokumenty.

Jest coś rozczulającego w tej jego niewzruszonej wierze, że spokojem może tu cokolwiek zyskać. Wiedza, szczególnie ta wyniesiona z akademii w Taarut, przestała być gwarantem bezpieczeństwa.

Och, Zaihab. To nic osobistego. Ludzie się boją, dali temu strachowi twarz twojego ojca, bo akurat się tu znalazł.

Chłopak, który zaczepił Nułę, pochyła się i nie spuszczać z niego wzroku, podnosi tubę z mapami.

– Konfiskuję to – mówi. Jego oczy są czarne, lśnią nienawiścią.

Dłonie Nuhy nie układają się już dłużej w gest pokory.

– Nie masz prawa! – Kartograf wrywa się do przodu, ale chłopak zarzuca sobie tubę na ramię i odpycha Nułę. Twój ojciec traci równowagę i upada na klepisko.

Upadek odzywa się bólem w dole jego pleców, ale Nuha gramoli się z powrotem, nieporadnie zbierając swoje narzędzia. Eleganckie rysiki, których wykonanie zlecił najlepszym rzemieślnikom, oblepiło błoto.

– Szpieg! – krzyczy ktoś z tłumu. Nuha widzi tylko uniesioną pięść. Wie już, że nie może liczyć na anaktorion.

Dusi w gardle przekleństwo, podnosząc się na nogi. Jego plecy znów eksplodują bólem.

– Szpieg! – Teraz i ty podnosisz głowę, zaniepokojona okrzykiem. Zaciskasz dłoń na ozdobie, którą dostałaś od pieśniarza.

– Co się dzieje? – dopytujesz.

Mila wzdycha ciężko.

– Znaleźli sobie nową ofiarę. – Ale jej głos jest ostrożny, nie za głośny, nie za cichy; ni to pytanie, ni to twierdzenie. Mila wie, że ci sami ludzie mogą obrócić się przeciwko niej.

Ona też się boi tych z Taarut, choć nie widziała ich nigdy na oczy. W końcu co dobrego mogło wyjść ze zgniłego miasta? To nie jej rzecz, ale przecież też nie chciałaby siedzieć z Taarutańczykami przy wspólnym stole.

Nie martw się. Wystarczy, że będziesz się zachowywać spokojnie i grzecznie, a nikt nie pomyśli pytać cię o pochodzenie. Twoje serce zamiera dopiero później, gdy wracają bliźniaki Mili z plotką, że zatrzymano jakiegoś kartografa z Taarut.

Twoja matka zrywa się z miejsca. Chwieje się i przez chwilę może wydawać się, że ta wiadomość to zbyt dużo, ale Adira zaraz się opanowuje. Odgarnia z twarzy kosmyk włosów.

– Idziemy – oświadcza głosem, w którym nic nie zdradza niepokoju.

– I uznaliście, że dobrym pomysłem jest zatrzymać się tu właśnie teraz? – Avile sur Irsa, isbet, lewa dłoń anaksa Sahit, zerknął na twarz dawnego przyjaciela i powstrzymał westchnienie irytacji. Nuha skrzyżował ramiona, patrząc na niego wyzywająco.

Avile nie był szczególnie zaskoczony. Jeśli ktoś miał się wykazać takim uporem, to właśnie Nuha.

Czas nie obszedł się z kartografem łaskawie. Swoje dołożyli mieszkańcy miasta – i podróżni, którym nie trzeba było wskazywać, po czyjej stronie należy się opowiedzieć. Siwe włosy Nuhy wyplątywały się z warkocza, kilka pasm przykleiło się do podrapanego policzka. Pod spuchniętym nosem widniały ślady zakrzepłej krwi.

– Jestem tu, bo dostałem zlecenie – Nuha raz jeszcze powiedział to, co powtarzał przyjacielowi, odkąd Avile udało się wyciągnąć go z celi.

Jakby po latach nagle zaczął się przejmować etosem swego zawodu. Jakby nigdy wcześniej nie zdarzało mu się odrzucić zleceń pod wpływem kaprysu – lub nigdy niewyrażonych publicznie przekonań. Avile bardzo chciał mu ufać. Ale miał już dość tej powtarzanej jak refren historii o zleceniu.

– Widziałem je – rzucił. – I widnieje na nim pieczęć jednego z wydziałów uniwersytetu w Taarut. Co ponownie skłania mnie do pytania, dlaczego

pomyślałeś, że to dobry pomysł.

– Nie robię przecież nic złego.

Może to była naiwność? Avile policzył w myślach do dziesięciu, sięgnął po herbatę. Nuha zignorował przygotowaną dla niego szklankę.

– Nie robisz – podjął po chwili isbet. – I to, rzecz jasna, ustali nasze śledztwo. Zmarnujesz swój i nasz czas, urząd udzieli ci reprimendy, a tymczasem ludzie już wydali na ciebie wyrok. Dlaczego nie mogłeś odmówić zleceniodawcy? Albo chociaż, puste nieba, poczekać?

– Muszę z czegoś żyć – odparował Nuha. – W przeciwieństwie do ciebie nam się aż tak nie poszczęściło.

Wymownie powiódł wzrokiem po gabinecie. Białe ściany ozdobiono kilimami, ogromne okna, w których framugi wprawiono barwną ceramikę, wychodziły na wewnętrzny ogród mniejszego pałacu; zieleń niknęła w obfitości kwiatów. Kartograf zatrzymał spojrzenie na przyjacielu. Co prawda zmarszczki w kącikach ust i oczu sygnalizowały wiek Avile, ale w porównaniu z nim Nuha wydawał się... zgaszony. Zniszczony.

Isbet splótł przed sobą dłonie, ukrywając srebrne pierścienie.

– Tak wybraliście – powiedział, ważąc słowa.

Nuha się zachnął.

– Sumienie nie pozwoliło nam wybrać zerowania na słabości umierającego anaksa.

– Nie próbuj mnie rozwścieczyć. Jestem tu po to, by ci pomóc. – Głos Avile był spokojny. Isbet napełnił szklankę Nuhy i przesunął ją po tacy w jego stronę. – Ja też dużo ryzykuję – dodał, uśmiechając się, gdy dawny przyjaciel upił łyk. – Sam fakt, że przyszedłem na twoją prośbę... – przełknął słowo „wezwanie” – ... wiąże mnie z tobą i może rzucić podejrzenia również na mnie.

Nuha parsknął.

– Cokolwiek o tym sądzisz – Avile nie dał się zbić z tropu – potrzebuje zaufania tych ludzi. Ja też jestem tu obcy, pamiętaj.

Wytrzymał niedowierzające spojrzenie Nuhy. Był jedyną osobą w pałacu, której anaksa nie przyjął do swojego ogniska. Nie miał złudzeń – zbyt wyraźnie odezwała się w nim raseńska krew. Mógł sprawować swój szczególny urząd, byleby nie przebywał zbyt blisko rodziny anaksa. Znosił to upokorzenie w zamian za wolność, jaką dawała mu rola lewej dłoni: tej, która może wybierać zło w imię większego dobra. Isbetowie nie musieli się tłumaczyć ze swoich działań. Znaleźli się niejako ponad prawem – przynajmniej tak długo, jak długo ich działania przynosiły widoczne rezultaty.

– Co zamierzacie robić dalej? – zapytał Avile.

Kartograf drżącą dłonią odłożył szklankę na tacę.

– Liczyliśmy na to, że będziemy mogli zostać na podgrodziu jeszcze parę dni.

– To nie będzie możliwe. – Avile pogratulował sobie, widząc zdziwienie na twarzy przyjaciela. – Zrozum – powiedział z naciskiem. – Nie mogę nic zrobić, nie mogę za was poręczyć, dopóki nie będę wiedział, że będziecie bezpieczni. To znaczy też, że nie będziecie robić nic, co znów zwróci na was uwagę strażników. Odwołaj kontrakt, jeśli to będzie konieczne.

Nuha się skrzywił.

– Bo kontrakt jest legalny i wiążący, prawda?

– Podejrzewasz mnie o fałszowanie uniwersyteckich dokumentów?

Przemilczenie pytania samo w sobie stanowiło odpowiedź.

– Czy masz przy sobie coś, co może zostać użyte przeciwko tobie?

Nuha westchnął teatralnie.

– Ostatnia szansa. Pomyśl o Zaihab.

– Nie mieszaj w to mojej córki!

– Nie. – Głos isbeta stał się lodowaty. – To ty ją w to wmieszałeś. Ciągnięcie jej po drogach dawnej Rasenny nie pomogło. Ja próbuję jej pomóc. Bo chciałbym, żeby miała ojca. – Widząc, że Nuha otwiera znów usta, dodał szybko: – Adira nie jest już najmłodsza. Nie zostawiaj jej samej z córką.

– Grozisz mi, Avile?

– Nie. Odwołuję się do twojego rozsądku.

Nuha z ociąganiem wyjął z kieszeni kościany żeton. W przeciwieństwie od większości używanych w Saadzie znaczników wrytego w nim symbolu nie wytrawiono atramentem. Nuha przesunął kciukiem po nierówności żetonu i odłożył pieczęć na stół.

Omiótł spojrzeniem twarz Avile: równo przycięte rdzawe włosy, w których coraz mocniej zaznaczała się siwizna, policzki, których nigdy nie pokrył zarost.

Avile się wzdrygnął. Zmusił się, by sięgnąć po żeton, i schował go do puzderka.

– Czy to wszystko? – zapytał z naciskiem.

– Na litość, Avile, nie mam dziesięciu lat.

Isbet potarł kąciki oczu dłonią. Nie, przyjacielu. Ale wydaje ci się, że nieodmiennie masz rację.

– Przedstawię twoje dokumenty w straży – powiedział. – Poręczone za ciebie. Potrzebowaliście się zatrzymać ze względu na wasze zdrowie. – Machnął ręką, widząc, że Nuha podnosi się z fotela, by zaprotestować. – Nie obchodzi mnie, że byłeś skłonny dać się poobijać za kilka rysików. Wasz postój był przykrą i nieplanowaną koniecznością. Następnie, razem z konwojem pocztowym, zostaniecie odeskortowani do Kammaret. Z zakazem przekraczania granic Sahit.

Nuha zaparł się dłońmi o podłokietniki, ale opadł z powrotem na fotel.

Avile uśmiechnął się łagodnie.

– Robię to tylko przez wzgląd na dawną znajomość – powiedział.

Twarz Nuhy była twarzą kogoś, kto dopiero teraz zdał sobie sprawę ze zmian zachodzących w Nowej Saadzie. Nigdy nie zostawał w jednym miejscu dość długo, by dostrzec te subtelne przesunięcia – aż do teraz, gdy odczuł ich skutki na sobie. Dzikie, niczyje ziemie stawały się państwami. Konkurowały ze sobą. A on, przekraczając granice, stał się podejrzanym.

Avile próbował mu już sygnalizować te zmiany. Wiedział o nich dużo wcześniej. Pomagał je kreować. Ale Nuha zawsze cechował się zdolnością ignorowania informacji, których nie chciał słyszeć.

– Ta sytuacja z Taarut – zaczął. – Avile, czy naprawdę straciliśmy to miasto? Czy wyrwało się spod kontroli? Czy to możliwe, że magia... – Nie dokończył, ale jego mina dobitnie zdradzała, co miał na myśli.

Avile się nie zawahał. Nuha zasługiwał na szczerą, lecz ostatnie, czego isbet sobie teraz życzył, to by przyjaciel gnał do Taarut, by ratować miasto, które już upadło.

– Nie – powiedział.

– Musimy wejść do miasta. – Głos matki dźwięczał jak stal.

Zaihab przytaknęła. Znała ten ton. Obie mogły rozpamiętywać wczorajszą kłótnię, ale teraz należało przede wszystkim stawić czoła zagrożeniu.

– Masz tam przyjaciół? – zapytała.

– Kilkoro. – Adira parsknęła. Ona i Nuha znali wiele osób, które nazywali przyjaciółmi. Ale przyjaźń tych ludzi miała swoją cenę, podawaną w najbardziej kapryśnej walucie świata: przysługach. – Będziemy miały gdzie się zatrzymać, ale na więcej nie ma co liczyć.

Zaihab zadrżała. Młodsze miasto było dalece bezpieczniejsze, mogły się w nim zgubić. Wejście w obręb białych murów budziło w niej niepokój: dużo trudniej było się stamtąd wydostać. Czekala, aż matka przywiąże jej do paska odpowiedni znacznik.

Raczej nie był podrabiany, choć dziewczyna nie mogła mieć pewności.

Miasto przytłoczyło Zaihab swoim gwarem. Dźwięki, odbijając się od wysokich budynków, ulegały zniekształceniu; Zaihab wydało się, że idą przez gigantyczną muszlę. Adira parła przed siebie napędzana wściekłością i lękiem o Nuhe. Zaprowadziła córkę do jednej z herbaciarni i niemal siłą posadziła przy stoliku. Dziewczyna zapadła się w poduszki i przycisnęła plecak do piersi.

– Zawołajcie moją kuzynkę – poleciła tymczasem Adira, stając przy kontuarze.

Parawany przegradzające herbaciarnię tłumili jej głos, ale Zaihab usłyszała głuchy dźwięk kościanego znacznika odbijającego się od lady.

– A poza tym dzbanek naparu z mięty – dodała kobieta, wysupłując z kieszeni kilka monet.

Wróciła do stolika. Nie udało jej się powstrzymać przed bębnieniem palcami o bok wiklinowego fotela.

– Będę musiała cię zostawić, gdy pójdę do anaktorionu – oznajmiła córce, ściskając jej rękę.

Zaihab pokiwała głową. W milczeniu wypity herbatę. Chwilę później z kuchni wyszła domniemana kuzynka i Adira znikła, by z nią porozmawiać.

– Poczekasz tu? – upewniła się na odchodnym.

– Poczekam – odparła Zaihab z ledwo słyszalną nutą irytacji.

Zacisnęła dłonie wokół laski. Spróbowała o niej nie myśleć, skupić się na wisiorku od pieśniarzy. Odlano go z taniego stopu; był jednym z wielu amuletów mających zapewnić ochronę Niegasnącego. W sercu słońca z wieloma promieniami zatopiono kroplę szkła lub półszlachetny kamień. Teraz jednak, uwięziona w środku gwarne miasta, Zaihab wątpiła, czy Niegasnące otoczy ją opieką.

Tylko chmary skrzydlatych duchów stwórcy przyglądały się Arit Kaab sur Alawi, gdy ta badała w lusterku ślad na swoim policzku. Widniejąca tam pręga pulsowała czerwienią niewiele bledszą od sztandaru Sahit. Wspomnienie uderzenia wciąż piekło, ale i tak nie mogło być gorsze od towarzyszącego mu wstydu. Arit zatrzasnęła lusterko i wrzuciła je do torby. Ptasie duchy przekrzywiły głowy, nie spuszczając z niej paciorkowatych oczu.

Podtrzymywanie tej świątyni było farsą, pielgrzymowanie do gniazda widmowych kruków i sów było farsą, ale największą farsą było udawanie, że Arit jest anaktorionowi potrzebna. Machnęła ręką w stronę skrzydlatych. Siedzące najbliżej ptaszysko zerwało się z pełnym oburzenia krzykiem.

Arit obrzuciła dziedziniec niechętnym spojrzeniem. Wciąż się dziwiła, że kapryśne bóstwo pozwoliło jej tu wejść. Szczyt skały był płaski, otoczony wyrastającą z kamienia kolumnadą. Z jednej strony znajdowała się wiodąca na zewnątrz brama, z drugiej – budynek świątyni przypominający zwyczajny, niski dom na planie półokręgu. Przed nim mieściło się palenisko, w którym ogień nigdy nie gasł. Od zagłębienia, w którym płonął, rozchodziły się wyrzeźbione w skale figury: spirale i linie przeplatające się z postaciami ludzi i zwierząt.

Poza Arit nie było tu nikogo żywego, ale mimo to nie czuła się sama. Znajdowała się w samym jądrze cudu.

Starła się nie patrzeć zbyt długo na płaskorzeźby w murach i podłodze, nie spoglądać w wykute twarze. Jedna z nich musiała należeć do samego Vesui. Arit mimowolnie obejrzała się przez ramię. Sowi stwórcy widział jej upokorzenie. Cóż, przynajmniej dostarczyła mu rozrywki.

Formalnie Arit pracowała dla anaktorionu. W praktyce – doradcy anaksa uczynili ją dziewczynką na posyłki. Dobrze wiedziała, że powinna być wdzięczna rodzicom – to dzięki ich koneksjom po odbyciu szkolenia wojskowego trafiła nie do armii, tylko właśnie do anaktorionu. Skończyła szesnaście lat, przestała należeć do domowego ogniska. Teraz musiało ją przyjąć inne, im ważniejsze, tym lepiej. Skoro już tu ugrzęzła, powinna była budować swoją pozycję. Na razie głównie patrzyła, jak jej rówieśnicy robią to, co sama też powinna robić: przygotowują się do wojny.

Przez minione pentady zaprezentowano jej wszelkie możliwe wymówki: miganie się od podatków, widmowe wyprowadzki, fałszywe dokumenty od lekarzy. Mój syn jest jeszcze za młody, mówili rodzice, podczas gdy zza ich ramienia wyglądali chłopcy na pewno nie młodszy od Arit. Moja córka słabuje na zdrowiu, upierali się, nawet gdy rzeczony córki właśnie wносиły do domu ciężkie wiadra z owocami. Najwyraźniej Arit zapamiętała chłopaka ze strzaskanym kolanem. Jego ojciec, opowiadając jej o strasznym wypadku chłopca, ani razu nie spojrzął jej w oczy. Opowiedział jej drżącym głosem historię całkowicie fałszywą, a Arit udawała, że mu wierzy.

Były też donosy. Miasto zaroilo się od taarutańskich szpiegów – i ludzi skłonnych tropić zdradę, jeśli tylko pozwoliliby im to uniknąć poboru lub konieczności płacenia podatków.

Co bogatszym mieszczanom wydawało się, że ich przepisy nie dotyczą. Za pośrednictwem dziewczyny isbet przypominał im, że wręcz przeciwnie – anaktorion oczekuje od nich wzorcowej postawy. I odwagi, by przeciwstawić się Taarut nie tylko słowami, jak do tej pory ognisko Hireta.

Arit znała tych ludzi. Miała nawet niejasne wspomnienie dziecięcych zabaw z Hiretem – jego i jej rodzice obracali się w tych samych kręgach. I nawet jeśli powierzone jej zadanie napawało ją pewnym wstydem, to zamierzała wykonać je dobrze. Szła do ich domu w swojej najlepszej sukni, przepasana czerwoną szarfą i z żarliwością w sercu.

Wojna spadła na nich nagle; nic nie zapowiadało tego, że Taarut złamie protokół dyplomatyczny i wystąpi przeciwko kruchej równowadze dawnej Rasenny. Ale – skoro już się to wydarzyło – Sahit nie mogło zostać obojętne. Było najsilniejszym z miast Nowej Saady i nieformalną stolicą. Arit powtarzała

to sobie, idąc do domu Hireta. Mieszkanie w Sahit słusznie uważano za przywilej – ale było też obowiązkiem. To Sahitczycy mieli pilnować spokoju na tych ziemiach. O tym, że obowiązek ten był niekiedy okupiony krwią, przypominał im ich sztandar. Arit układała w myślach przemowę, płomienną i przekonującą.

Matka Hireta nie dała Arit dokończyć, nie wpuściła jej nawet do domu. Stała w progu, zagradzając przejście.

– Nie będę tego słuchać – powiedziała, przygotowując się do zamknięcia drzwi. – Wracaj, skąd przyszedłeś, dziecko.

Arit pośpiesznie postawiła stopę za progiem.

– Nie przychodzę tutaj jako Arit – powiedziała z mocą. Protekcyjny zwrot nie zmącił jej nastroju. – Mnie jako Arit możecie obrażać czy ignorować, ale nie możecie wystąpić przeciwko anaktorionowi Sahit.

Przez krótką, euforyczną chwilę czuła się tak wspaniale nieważna: ona jako osoba przestawała istnieć, jej głos stawał się głosem miasta. Ona, Arit, była potrzebna, by jego wewnętrzny mechanizm działał sprawnie. Mogła spełnić swój obowiązek.

Kobieta skrzywiła się z pogardą.

– Nie możecie... – zaczęła znów Arit, ale tamta jej przerwała.

– Jeszcze masz czelność dyktować mi, co powinnam robić? – Wzięła głęboki, świszczący oddech. – Dziecko, które ledwo dorosło, a z podupadającego ogniska przeniesiono je do mniejszego pałacu? Anaktorion i isbet mają w tobie pomocną szczekaczkę, w to nie wątpię. – Zmrużyła oczy. – Nie masz teraz rodziny. Myślałam jednak, że zachowałeś swój rozum.

Arit poczuła gorąco oblewające jej policzki.

– Przynajmniej moje własne cele nie przyćmiewają mi obowiązków wobec miasta.

Zobaczyła w powietrzu błysk pierścionków na ręce matrony – i jej policzek eksplodował bólem. Odruchowo sięgnęła doń dłonią. Zachwiała się, ale nie ustąpiła z progu.

Kobieta wychyliła się, by ją odepchnąć.

– Nie będziesz mówić mi o obowiązku. Nie ty, która nawet nie zobaczy wojny, bo rodzice załatwili jej ciepłą posadkę. – Arit z zaskoczeniem dostrzegła łzy na rzesach arystokratki. – Nie masz pojęcia o lęku, bólu ani stracie. I nie, nie przekonasz mnie, że mój syn będzie bezpieczny i z dala od linii frontu. Nie będzie, jeśli pozwolę mu opuścić to miasto. Ale nie dam wam go odurzyć pięknymi słowami o obowiązku i dumie. Nie przychodź tu więcej, jeśli masz choć trochę wstydu, i każ swoim przełożonym zostawić nas w spokoju. W razie potrzeby przypomnij im, z czyich żyją podatków.

Wypchnęła oszołomioną Arit za próg i zatrzasnęła drzwi. Wiszące nad nimi dzwonki zabrzęczały.

Arit wciąż trzymała dłoń przy gorącym policzku. Chciała powiedzieć kobiecie, jak bardzo się myli; chciała powiedzieć jej o ciszy miejsca, z którego ostatni hierodul odszedł przed dekadą. O niekończącej się pracy anaktorionu. O tym, że sama byłaby skłonna iść z armią, że nie chce spędzić wojny w bezpiecznych murach miasta...

Ale była w bezpiecznych murach miasta. Nic jej nie groziło.

Zagarnęła włosy, tak by choć trochę zasłoniły policzek, i zbiegła po schodach. Pochylała głowę, gdy służący otwierał jej bramę.

W pierwszym odruchu chciała zawrócić i wymusić posłuszeństwo arystokratki, choćby siłą. Kobieta ją zaatakowała i Arit mogła wyciągnąć konsekwencje – prawo zawsze byłoby po jej stronie. Ale w głębi serca wiedziała, że już przegrała: była nie dość dobra, nie dość przekonująca. Nie dość twarda, by wygrać z tak wielkim lękiem. To ona zawiodła.

Oddalała się od willi i zanurzała coraz głębiej w stare miasto. Tu większość budowli pochodziła jeszcze z czasów świetności Rasenny: biały kamień zdawał się odporny na upływ czasu. Ale piękne struktury obrosły nowszymi budynkami, często stawianymi byle jak, drewnianymi konstrukcjami doklejonymi do nieskazitelnych ścian. Wsparte na arkadach długie balkony niemal zupełnie blokowały dopływ światła. Arit schowała się w ich cieniu, z pochyloną głową lawirując między ulicznymi sprzedawcami.

Obiecała sobie, że przyprowadzi Hireta do armii. Nie wiedziała jeszcze jak, ale to zrobi. Nie zdając sobie z tego sprawy, zaciskała pięści, wściekła gniewem, który należał nie tylko do niej – który był zgrzytem wielkiego, niesłuchanie precyzyjnego mechanizmu. Miasto domagało się uczciwości i bezwzględного posłuszeństwa. Od Arit również. Nie powinna była ulegać wobec złości.

Z zamyślenia wytrącił ją głośny trzask. Gdy podniosła wzrok, oślepił ją kurz sypiący się z pękniętej belki. Dobudowana do ściany konstrukcja chwiała się. Arit doskoczyła do ściany przeciwległego domu.

– Uciekajcie! – wrzasnęła. Nie ona jedna krzyczała. Obejrzała się dookoła: wylot uliczki był już zapchany ludźmi próbującymi się wydostać. Deski tworzące podłogę balkonu zaskrzypiały i wygięły się, po czym zaczęły pękać.

Ulica była już niemal pusta – jeśli nie liczyć jednej dziewczyny, ubranej w długą, wytartą tunikę zachodzącą na luźne spodnie wpuszczone w cholewy butów. Sunęła za pozostałymi, sprawdzając drogę laską. Uciekający zepchnęli ją pod arkady. Nie miała szans wydostać się w porę.

Arit bez namysłu rzuciła się ku nieznamomej, chwilę przed tym jak balkon runął.

Z impetem wpadły na ścianę. Arit skuliła ramiona w oczekiwaniu na uderzenie, osłaniając nieznajomą swoim ciałem. Ulica utonęła w huku walącego się drewna i brzęku tłuczonej ceramiki.

Czas mijał, a Arit nie czuła bólu. Żadna belka nie wydusiła oddechu z jej płuc. Nic nie przecięło jej skóry.

Mrużąc oczy przed deszczem drzazg, spojrzała w górę. Odłamki drewna i odpryski gliny wisiły w powietrzu.

Nieznajoma wyciągnęła rękę przed siebie, jakby próbowała się osłonić przed sypiącym się budynkiem. Zaciskała dłoń wokół jakiegoś metalowego przedmiotu; między knykциями błyszczała miedź. Miała oczy jak wypolerowane płytki dymnego kwarcu. Na jej twarzy perlił się pot.

Strach ścisnął Arit w dołku. Jeśli miała przed sobą stworzenie zrodzone z raseńskiej magii, musiała uważać, by jej nie zaatakowało – o ile już nie zdążyło wyczuć jej instynktownego obrzydzenia. Odetchnęła powoli, starając się poruszać jak najmniej, jakby była w pobliżu dzikiego zwierzęcia.

– Chodźmy – szepnęła, biorąc nieznajomą za rękę. Zaczęła prześlizgiwać się pod ostrymi odłamkami, szukać drogi przez gruzy.

Obca dziewczyna dała się prowadzić, wlokąc za sobą po ziemi laskę. „Kto wpuścił maginię do miasta?” – pomyślała Arit. Potrzaskane drewno wciąż wisiało w powietrzu, jakby czas zamarzło. To musiała być magia. Dziewczyna ścisnęła w ręce malastrę, przeklęte narzędzie służące do pozabawiania bóstwa sił.

Arit wiedziała, co musi zrobić. Gdy wydostały się z gruzów, przycisnęła maginię do ściany i siłą otworzyła jej dłoń.

Zamiast malastry, wypełnionej srebrnym blaskiem boskiej krwi z ręki dziewczyny wypadł tani amulet w kształcie Niegasnącego. Słoneczny dysk z cienkiej blachy ozdobiony kroplą bursztynowego szkła.

Nieznajoma pisnęła cicho, szukając po omacku wisiorka.

Miała ciemnozłotą karnację, ale jej policzki usiane były drobnymi bliznami i przebarwieniami. Spod chustki ozdobionej kilkoma blaszanymi monetkami wysuwały się ciemne, ciasno kręcone włosy, które kilka pentad temu być może były zaplecione w równe warkoczyki, ale od tego czasu wyrwały się spod kontroli. Szerokie nozdrza i pełne wargi dziewczyny zdradzały saadyjską krew.

Oszołomiona Arit odsunęła się.

Jeśli nie magia, to cud. Błogosławieństwo stwórcy, który nie pozwolił dziewczynie zginąć. Nic takiego nie zdarzyło się w Sahit od czasu znalezienia poprzedniego hierodula, lata temu. Jakby bóstwo zapomniało o swoim mieście. Aż do dziś.

– Już dobrze. Już nic ci... – spróbowała znów Arit.

Nie dokończyła. Nieruchome do tej pory belki runęły na ziemię. Arit skuliła się, osłaniając głowę. Gdy opadł kurz, dziewczyny nigdzie nie było widać.

Arit odetchnęła głęboko. Przypomniała sobie hierodula, który pewnego dnia po prostu zniknął. Od tamtego czasu nie było nikogo, kogo Vesui by wybrał. Nawet teraz, w tych niespokojnych czasach, gdy ludzie próbowali przekupywać swoje bóstwo w coraz bardziej wyszukany sposób, godząc się na coraz większe straty, nie pojawił się nikt, kto byłby pośrednikiem stworzyciela. Aż do dziś. Vesui wybrał sobie tę obcą dziewczynę z pustymi oczami, chudymi ramionami i burzą włosów. Wskazał ją Arit. Ona zaś wiedziała, co robić.

Wspięła się na iglicę. Stała nad wgłębieniem, w którym płonął ogień. Tuż przed sobą miała figurę bez twarzy, wyciągającą ku niej dłonie w geście... czego? Błogosławieństwa? Zawłaszczenia? Arit wzruszyła ramionami.

– Wiem, kogo znalazłeś – oznajmiła bóstwu, unosząc podbródek, zbyt zmęczona, by przejmować się etykietą. – Przyrowadzę ci ją.

Musiała jeszcze przekonać do tego lewą dłoń. Min Avile zrobi resztę. Być może trzeba będzie zamknąć bramy miasta i chronić dziewczynę. Arit musiała się pośpieszyć – obca była wybranką bóstwa, ale to nie czyniło jej jeszcze bezpieczną. W głowie Arit zaczął kiełkować plan. Mechanizm miasta wracał na znane, bezpieczne, sprawdzone tory. Skrzydlate przyglądały się uśmiechowi arystokratki. Ich oczy jak obsydianowe paciorki pozostawały niezmiennie obojętne.

Udaje ci się wrócić do herbaciarni. Wycofujesz się za parawany, na zaplecze, niemal wywracając się o obcy próg i objając kostki o nieznane kształty. Laska jest zdradliwa, uderza o przedmioty z głuchym stukiem. Zdejmujesz plecak i otwierasz go, szukając tej jednej rzeczy, która, jak wierzysz, pozwoli ci zmyć z siebie obce. Wciąż pamiętasz gorąco powietrza wokół twoich dłoni, dziwny, odległy łomot, głos w czaszce nakazujący zatrzymać się odłamkom. To tego echa próbujesz się pozbyć. Tej obecności.

Bo obecność, w odróżnieniu od wszystkiego innego, nie minęła.

Taka jest materia cudów. Ze swojej natury bywają okrutne. Z konieczności są intruzyjne. Cuda nie znają łagodności.

Wygrzebujesz z bagażu woreczek z resztką ziemi jałowej, wiedząc, że wciąż na ciebie patrzę. Pakunek jest niemal pozbawiony wagi, pod lnianym płótnem czujesz tylko małą lodowatą kulkę. Znajdujesz nożyk i drżącą ręką przecierasz jego ostrze alkoholem. Jesteś uważna nawet teraz, ciało pamięta te sekwencje

ruchów. Nie widzisz mnie, ale wiesz, że na ciebie patrzę, gdy przyciskasz ostrze do zagięcia łokcia. Gdy wpychasz w ranę grudki ziemi.

Jest zimno. Przeszywa cię chłód: najpierw tylko lewą rękę, potem, z każdym uderzeniem serca, zimno rozlewa się po twoim ciele. Kulisz się i czekasz, aż minie. Stosowanie ziemi z jałowych pól przypomina leczenie choroby trucizną – wypłukiwanie obcej siły zakazaną magią – wiesz, że tak trzeba, ale wciąż boli, ciało się buntuje. Szczękasz zębami i podnosisz twarz, a mnie przez chwilę wydaje się, że doskonale wiesz, gdzie jestem – ale chwila mija, zimno nas rozdziela. Dopóki twój organizm nie zwalczy tej trucizny, równie dobrze możesz dla mnie nie istnieć.

Lecz mnie nie zmylisz. Już wiem, że tu jesteś.

Wyobrażam sobie, jak ocierasz pot z czoła, pakujesz z powrotem swoje narzędzia i zaczynasz planować ucieczkę.

Osun, prawa dłoń zarządcy Sahit, oparł podbródek na dłoniach.

– Rozumiem – powiedział krótko.

Arit spodziewała się, że kasser ją wyśmiejie i każe wyjść lub że uzna obcą za maginię i podejmie natychmiastowe działanie. Rzeczowość i obojętność były czymś zupełnie innym. A może znaczyło to, że powinna sama wyjść, by się dalej nie ośmieszać? Z uporem trwała w bezruchu.

Gabinet kassera był zupełnie pusty, jeśli nie liczyć stołu, ławy dla gości i dywanu przykrywającego większość podłogi. Na ławie siedział Avile: skrzyżował ramiona i co chwila potakiwał, chcąc okazać, że słucha, ale jego wzrok był szklisty, nieobecny.

– I? – zapytała. Zanurzyła czubki butów w gęsto tkanym dywanie, niechętnie oswajając się z myślą o wycofaniu się.

– Avile, może ty się wypowiesz? – zagadnął Osun lewą dłoń.

Isbet ocknął się z zamyślenia.

– Nie ja podejmę tę decyzję – powiedział tylko.

– Wiem, co widziałam – wtrąciła Arit, patrząc poprzez pokój wprost na isbeta.

Przez chwilę widziała nie urzędnika w jego surowym biurze, ale zupełnie inną scenę: siebie samą, która w przededniu konfliktu przynosi Sahit nową nadzieję. Wysłanniczkę anaktorionu, która znalazła hierodulę, prowadzącą obcą dziewczynę ku świątyni. Czerwone sztandary powiewające nad ich głowami.

– Pamiętasz, co się stało, gdy ostatnio ktoś twierdził, że jest wybrańcem Vesui? – Głos Osuna, o ton ostrzejszy, wytrącił ją z zamyślenia.

Arit mimowolnie się wzdrygnęła. Pamiętała.

– Nie możemy sobie teraz pozwolić na coś takiego – dodał kasser.

– Czy możemy sobie pozwolić na rozwścieczenie stwórcy? Albo na obecność maga w mieście?

Urzednicy popatrzyli po sobie. Arit nie spodziewała się, że mówią jej o wszystkim; ale w tej chwili powietrze stało się gęste od niewypowiedzianych słów, od wiedzy, do której nie miała dostępu.

– Przyjmijmy, że będziemy jej szukać. – Osun ściągnął brwi. Arit wydało się, że wreszcie na nią patrzy i naprawdę jej słucha. – Jak wyglądała?

– Niska, ciemnoskóra, choć raczej Saadyjka niż wyspiarka. Nie wyróżniała się za bardzo – dodała, natychmiast przeklinając siebie w myślach. Niezadowolona mina Osuna nie pozostawiała wątpliwości. – Miała łaskę.

Avile sur Irsa przyglądał się jej uważnie, choć nie odezwał się ani słowem.

Chciał, by dziewczyna się myliła. By to wszystko okazało się próbą zdobycia poklasku, którą on i Osun szybko ukróca. Podany przez Arit opis tak bardzo pasował do Zaihab. Z drugiej strony w całym Sahit na pewno znalazłaby się inna osoba pasująca do tego opisu. Avile bardzo chciał wierzyć, że to tylko przypadek. Chichot stwórcy.

Osun zastukał dłonią w krawędź stołu. Pierścienie na jego palcach uderzyły o drewno.

– Dziękuję – powiedział. – Przemyślę to. A teraz wybac. – Wskazał Arit kotarę w drzwiach.

Dziewczyna skłoniła głowę i zaciskając zęby, wyszła z gabinetu.

– I co sądzisz? – zapytał Osun, gdy dziewczyna odeszła.

Avile wzruszył ramionami.

– Nie pierwsza i nie ostatnia taka sensacja, jak się spodziewam.

Kasser uśmiechnął się z przekąsem.

– Nie dalej jak wczoraj przyszło pismo stanowiące rzekomo dowód na to, że naszej kondotierce pomagają siły nadprzyrodzone. Ale jeśli faktycznie wpuściliśmy do miasta maginię...?

– Czy to ci brzmiało jak opis magii? – zapytał Avile. – Bez malastry?

– Nie musiało brzmieć jak opis magii, by ludzie doszli do wniosku, że nie dopełniliśmy obowiązku ochrony bóstwa.

Spojrzenie Osuna powędrowało ku oknu i widocznej za nim białej skalnej iglicy, na której rezydował patron miasta. Chimeryczny stwórca; czy też cień bóstwa, jedyne, co przetrwało raseńskich bogobójców. Wciąż jednak znajdowali się tacy, którzy wykorzystywali swoją zdolność do sięgania ku boskiej krwi.

Avile prychnął.

– Nic się nie stanie. Dziewczyna najadła się strachu i wydawało jej się, że coś widzi. To wszystko.

– Czy jesteś pewien, że miastu nic nie grozi?

Dbanie o bóstwo stanowiło nie tylko honorowanie tradycji. Stworzyciel był jedynym, co chroniło Sahit przed morzem wdzierającym się w głąb lądu. To on powstrzymywał przyływy podążające za dwoma księżycami. Gdyby Vesui odwrócił się od miasta, Sahit mogłoby nie przetrwać najbliższej dwójni.

– Czy możesz za to poręczyć? – Spojrzenie Osuna było nieruchome.

– Sprawdzę to.

– Będę wdzięczny. – Kasser wyrównał brzegi poskładanego jedwabnego listu. – To ostatnie, czego potrzebujemy. I bez magii mamy dość problemów z kondotierką.

Avile uśmiechanie się przychodziło z coraz większym trudem. Wkroczyli na grząski grunt: z jednej strony, domniemane błogosławieństwo, z drugiej – kondotierka, której współpraca z władzami miasta została przyjęta bez nadmiernego entuzjazmu.

– I ze szpiegami – dorzucił Osun niby od niechcenia, ale Avile był świadom uważnego spojrzenia skierowanego w jego stronę. – Postanowiłem uwolnić kartografa – dodał.

Avile odetchnął z ulgą.

Światło lampy obrysowywało kontur twarzy kassera na złoto, uwydatniając delikatną asymetrię nosa i warg.

– Nie na długo – kontynuował, zwracając się ni to do siebie, ni to do Avile. – Potrzebowałem go uwolnić, by nikt nie mógł zarzucić nam braku dobrej woli. Ale śledztwo wciąż trwa, a straż miejska wkrótce znajdzie dowody...

– Przecież nie ma żadnych dowodów.

– Będą – odparł obojętnym tonem Osun.

Avile miał wrażenie, że oto mozaikowe posadzki dolnego pałacu zaczęły się pod nim zapadać.

– Zrozum, nasze działanie przeciwko Taarut nie podoba się mieszkańcom miasta. – W głosie prawej dłoni pojawiła się nuta przygany. – Potrzebujemy czegoś, co uczyni zagrożenie realnym.

– Jak szpieg z Taarut – wycedził Avile.

– Otóż to. Jak szpieg z Taarut.

Nim Avile zdążył mu odpowiedzieć, kasser rozłożył ręce.

– Bardzo mi przykro, ale nie mogę postąpić inaczej.

– Czy anaks...

Osun posłał mu rozbawione spojrzenie, jakby chciał zapytać: „Czy na pewno chcesz mieszać do tego anaksa?”. Avile zmełł w ustach przekleństwo.

– A jeśli znajdę ci kogoś innego? – spróbował.

Kasser powoli pokręcił głową.

– Nie przebijesz dramatyzmu tej sytuacji: oto nasi dzielni chłopcy pojмали szpiega na podgrodziu. Ta historia to prezent od losu. Nie mogę jej nie wykorzystać.

Krew tętniła w uszach Avile. Musiał działać szybko; niestety Osun nie pomylił się w ocenie sytuacji. Nuha osobiście pograżył się w oczach mieszkańców, swoim oślim uporem skutecznie zaprzepaszczając każdą szansę na ich wstawiennictwo. Nie przyszło mu przez myśl, że za sobą pociągnie Adirę i Zaihab. I prawdopodobnie także i jego, Avile z Irsy, skoro ów tak ochoczo wstawił się za dawnym przyjacielem...

– Nie martw się – mruknął kasser, odgadując jego myśli. – Tobie nic nie grozi. To było bardzo uprzejme i wielkoduszne z twojej strony, że zechciałeś poręczyć za znajomego badacza. Oszukał nawet ciebie, wiernego przyjaciela. – Ton Osuna był monotony, co czyniło te słowa bardziej obraźliwymi niż jawna kpina. – Nie masz się czym przejmować, każdemu zdarzają się pomyłki. Choć dobrze, że ta przydarzyła się akurat tobie.

Jedynej osobie w pałacu, której anaks nie przyjął do swojego ogniska. Rozsądek podpowiadał Avile, by przytaknąć i grać w tym spektaklu tak, jak od niego oczekiwano. Powoli narastała w nim świadomość, że Nuhy i tak nie uratuje. I wściekłość – że znów postąpi tak, jak oczekiwał od niego Osun, że znów będzie musiał odłożyć osobiste przekonania.

Zmarszczka pomiędzy brwiami Osuna zdradzała, że i kasser nie jest obojętny wobec własnej decyzji. Zawahał się, po czym wyjął z szafki dwie małe czarki i napełnił je płynem z karafki. Jedną przesunął w stronę Avile, nie patrząc na niego.

– Nie sądzisz chyba, że cieszy mnie to, co zamierzam zrobić? – zapytał.

Avile podniósł naczynie, ale nie spróbował płynu. Z czarki biła gęsta, korzenna woń.

Nie mogli być bardziej różni: prawa dłoń i lewa, on sam wysoki i o łagodnych rysach, kasser niski, ale mocno zbudowany, z włosami przyciętymi krótko, tuż przy kształtnej czaszce.

– Nie zamierzasz mi odpowiadać? – dorzucił Osun.

Przez krótką chwilę mieli szansę na szczerłość. Mogli zdjąć maski, porozmawiać poza konwenansem. Niezadane pytania wybrzmiały w myślach Avile. Moment minął.

– Nie mam nic do dodania.

Kasser jednym haustem opróżnił czarę.

– Cieszę się, że się rozumiemy – powiedział.

Avile zacisnął zęby.

– To wszystko?

Osun zawahał się, przecesał krótkie, siwiejące włosy.

– Naprawdę jest mi przykro.

– Mnie też – powiedział głucho Avile. Było mu żal Nuhy i jego rodziny. I ich obu, wmieszanych w sprawę, która ich przerosła, nim zdążyła się na dobre rozpocząć.

– Nie zaprzataj tym swojego sumienia – dodał kasser na odchodnym.

Avile nie zaszczycił go odpowiedzią. Nim odepchnął kotarę w wejściu, zaczął planować, co może zrobić, by uratować Nuę. W myślach poprosił przyjaciela o wybaczenie.

Gdy służący opuścił komnatę, Avile wyjął spod kaftana małe brązowe lustro. Na odwrocie malastry widniały dwie uzupełniające się spirale. Wewnątrz każdej z nich biegł rząd znaków, imion odpowiadających na pytanie: „Skąd twoje źródło?”. Źródło Avile nie było jednak kompletne, zapis urywał się kilka pokoleń wstecz, na styku spiral wryto imiona należące do dawno zmarłych przodków. Nie znalazł się nikt, kto mógłby zrobić malastwę dla niego.

Isbet przywołał w myślach imiona przeszłych. Wklęsła powierzchnia lustra zamieniła się w żywe srebro.

– Gdybyście tylko wiedzieli, ile dla was robię – mruknął. W odbiciu zafalowały cienie.

„Daj im to, czego chcą” – pomyślał. Nie miał szans wygrać ani z cieniami przeszłych, ani z Saadyjczykami.

Żarliwość Arit nie zostawiała miejsca na namysł, czy obrany kierunek jest słuszny. Sahit mogło być dumne. Wszak chciało ludzi takich jak ona. Ale w tym wypadku mogła się mylić, jeśli po prostu zobaczyła to, co bardzo chciała zobaczyć.

Zawahał się, z na wpół uformowanym w ustach życzeniem. W opisie strażniczki rozpoznał przecież Zaihab. Przypomniawszy sobie ten moment lodowatej pewności w gabinecie kassera. Zaihab była jednak z Taarut, oddano ją innemu bóstwu – lecz dlaczego temu stworzycielowi miało to przeszkadzać? Avile otarł pot perlący się na górnej wardze. Jeśli to istotnie była Zaihab... mógł ostrzec jej rodzinę. Mógł też nie robić nic.

Daj im to, czego chcą.

Poruszył wargami, nie chcąc wypowiadać życzenia na głos. Jego oddech zmarszczył powierzchnię srebra. Avile zakręciło się w głowie. Od głodnych cieni dzieliło go jedno źle wypowiedziane słowo, jedno zbyt silne żądanie.

Zobaczył scenę opisaną mu przez strażniczkę. Dziewczynę z laską, z chustą, spod której wysuwały się pukle włosów. Obróciła się w stronę Arit – w jego stronę. Nawet po latach rozłąki z rodzicami dziewczyny nie miał wątpliwości, że widzi Zaihab.

Córka Nuhy uniosła dłonie. Avile zamrugał. Wydawało mu się, że to cienie z malastry zażądały więcej; ale nie, to ciało dziewczyny wypełniło się czernią, rozedrganymi sylwetkami ptaków. Skrzydlate rzuciły jej się na pomoc. Wciąż znajdowały się po tej samej stronie dnia, co jego cienie – ale towarzyszyły jej, uratowały ją.

– Już dobrze – mówiła Arit. – Już nic ci...

Na twarzy Zaihab malowało się przerażenie, które nie miało nic wspólnego z tym, co właśnie przeżyła. Avile znał ten rodzaj strachu: obezwładniającą świadomość, że oto znalazło się w zasięgu wzroku czegoś dużo silniejszego.

Malastra wypięła krople. Avile przykrył jej pustą powierzchnię dłonią i odetchnął głęboko. A więc Arit się nie myliła, twierdząc, że widziała cud.

Lecz przecież od początku wiedział, że się nie myliła.

Musiał podjąć decyzję.

Czy nie podjął jej w momencie, gdy wyjmował malastrę?

Osun też nie potraktował strażniczki poważnie. Avile nie musiał nic robić. Mógł uznać, że jednak zaszła pomyłka, pozwolić Zaihab uciec.

Lecz gdyby stwórcy okazał swoją złość, to on poniósłby konsekwencje.

Co więcej, Avile nie miał wątpliwości, że Osun zauważył to drgnięcie jego twarzy, ten moment, gdy nie udało mu się ukryć zaskoczenia. Wiedział też, że kasser się sam do niego zwróci. Ich kompetencje już dawno przestały być jasno rozgraniczone, ale zarządcy to nie przeszkadzało.

Wszak nic nie było już takie, jak dawniej – dlaczego ich funkcje miały pozostać bez zmian?

Avile odetchnął głęboko. Chodziło o córkę Nuhy i Adiry. Nie mógł im tego zrobić.

„Więc teraz oferujesz siebie w zamian? – zapytał siebie. – Skąd ta skłonność do poświęceń?”

Niepewność zaciskała wokół niego silne, zachłanne dłonie, pozbawiając go tchu.

Ale nikt przecież nie oczekiwał od niego poświęcenia.

To była najlepsza decyzja, jaką mógł podjąć.

W gabinecie Osuna wciąż jeszcze paliła się lampa. Na dźwięk kroków kasser podniósł głowę. Pod oczami miał głębokie cienie, a stojący na stole garnuszek, w którym zalegała resztką kawowej zawiesiny, mówił sam za siebie – mimo to Osun przywitał Avile znaczącym uśmiechem, jakby się go tu spodziewał. Isbet nie odwzajemnił uśmiechu.

– Wiem, jak możesz poprawić sytuację w mieście.

Dłoń Osuna zawisała dramatycznie nad zapisanym arkuszem jedwabiu.

– Nie mogę się doczekać twojej rady.

– Ale w zamian wypuścisz tego człowieka, który dziś został zatrzymany pod zarzutem szpiegostwa. Nie będzie żadnej pokazowej egzekucji. Po prostu puścisz go wolno.

Kasser parsknął, wskazując gestem, by Avile zamknął za sobą drzwi.

– Ani on, ani jego żona nie są szpiegami – ciągnął isbet. – To niewinni ludzie. Wiesz o tym.

– Wiem. – Czarne oczy Osuna lśniły jak pancerze żuków. – Obaj to wiemy. Ale potrzebuję czegoś, co zespoli miasto na nowo.

– A ja ci to dam. – Kącik warg Avile drgał. – Tylko najpierw musisz uwolnić tego człowieka. – Osun nie odpowiedział, więc kontynuował: – Opuści miasto potajemnie, z najbliższym konwojem pocztowym, i będzie miał zakaz zbliżania się do Sahit pod groźbą kary śmierci. – To mogło nie wystarczyć, ale musiał mieć nadzieję. – Oficjalnie zostanie stracony w lochach.

Uśmiezek na twarzy Osuna poszerzył się, rzeźbiąc dwie głębokie zmarszczki.

– To ryzykowne. Prosisz o bardzo dużo.

– I tak więcej na tym zyskasz.

– Bo...?

– Pamiętasz tę strażniczkę ze świątyni?

Osun bezwiednie pochylił się, teraz naprawdę zainteresowany. Na jego obliczu zaniepokojenie mieszało się z zadowoleniem. On też nie chciał mieć nic wspólnego z bóstwami i ich cudami, ze wszystkim, co kryło się w tej ziemi.

– Miała rację? – zapytał powoli.

Teraz przyszła kolej Avile, by się uśmiechnąć.

Osun spowaźniał.

– Nie, bez przesady. Nie możesz tego zataić.

– Ale mogę się pomylić. – Oddech Avile stał się ciężki, jakby jego ciało przypomniawszy sobie na nowo, jaki jest koszt parania się zakazaną magią. Przed oczami zamajaczyły mu znajome czarne plamki. – Mogę się też upewnić, że nie będzie szans na pomyłkę.

– Igrasz z ogniem, Avile.

– Odważne słowa jak na kogoś, kto rozpętuje wojnę.

Przez chwilę mogli być szczerzy: i tak balansowali już na granicy złości, każdemu z nich niewiele brakowało, by wybuchnąć. Dla Avile skutki byłyby dużo gorsze. Osun należał do ogniska anaksa. Wystarczyło jedno jego słowo. A jednak się wycofywał.

– Daję ci ostrzeżenie – Avile ponowił atak. – Na pewno będzie próbowała się schować lub uciec. Dzięki mnie będziesz miał przewagę. I coś lepszego niż wymyślonych szpiegów.

„Daj im to, czego chcą” – powtórzył w myślach.

Wiedział, że Nuha i Adira nie zgodziliby się z jego decyzją. Ale nie miał czasu spytać ich o zdanie. Nuha nie wiedział nawet, jak blisko śmierci się znalazł. Avile musiał podjąć tę decyzję sam – i podjął ją niemal bez wahania, nie myśląc o iglicach górującej nad miastem skały.

„Daj im to, czego chcą, i ocal tyle, ile zdołasz”.

Osun, nagle milczący i poważny, rozwinął czysty arkusz jedwabiu.

– Jak chcesz sformułować ten akt ułaskawienia? – zapytał.

Podczas gdy ty i Adira kończycie pośpieszne pakowanie, miasto zaczyna was szukać. Każdy strażnik dostaje twój rysopis. Avile, który ostatecznie przyjął czarkę od kassera, siedzi skulony nad stołem i próbuje przewidzieć, którądy spróbujecie uciec. Przeklina po cichu Nułę za jego ośli upór.

Nuha zaś jest gotów spalić to miasto, byleby cię stąd wydostać. Gdyby tylko wiedział, jaki układ zaproponował Avile... ale jedyne, co wie, to że jego córce grozi stworzyciel, bo Nuha nie spodziewa się ze strony stworzycieli niczego dobrego. Przemierza pokój dużymi krokami, zbiera rzeczy, co chwilę na ciebie patrzy. Siwy warkocz obja się o jego plecy. Większość dobytku Nuha zostawił za sobą; wziął tylko narzędzia, te najcenniejsze, które wykonano dla niego na zamówienie. Jest wściekły. Jest przerażony. A ty?

Jeszcze cię nie widzę.

Opuścili pokoje nad herbaciarnią, zostawiwszy właścicielom garść srebra. Choć było już po zmroku Zaihab narzuciła na głowę kaptur. Po całym dniu ukrywania się i nasłuchiwania, czy nikt nie zechce przeszukać zajętego przez nich kąta, bolesne napięcie odzywało się w jej mięśniach z każdym krokiem.

Adira i Nuha znaleźli przemytników, którzy planowali wypłynąć z portu pod osłoną nocy. Wykupienie na łodzi miejsca dla trójki pasażerów było niemałym

wyczynem, ale Taarutańcy znaleźli coś, co przekonało żeglarzy. Zaihab nie wiedziała co – i nie była pewna, czy chce wiedzieć.

Dotknęła dłonią zamknięcia. Nad miejscem, w które wtarła jałową ziemię, wyrósł twardy strup przypominający strukturą raczej kryształ niż zakrzepłą krew. Wciąż emanował chłodem, zdążył jednak skurczyć się w ciągu ostatnich godzin. Zaihab nie wiedziała, na jak długo wystarczy. Wciąż bała się, że może być już za późno.

Wyszli na ulice dalekie jeszcze od snu; port z daleka rozbrzmiewał gwarem rozmów. Trzeszczały liny, na których wwożono towar, ludzie rozmawiali, kłócili się, targowali. Zaihab odruchowo przyłgnęła do Adiry. Ta trzymała nadgarstek córki w mocnym uścisku, niemal ciągnąc ją w stronę portu. Dziewczyna gubiła kroki, ale starała się nadążyć.

Nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad tym, przed czym przestrzegali ją rodzice: poza upiornym chłodem pól jałowych i zwodniczymi kołysankami magicznych istot stworzyciele – bóstwa dawnej Rasenny – wydawali się odlegli, może nie niegroźni, ale przecież dający się obłaskawić. Lub oszukać. Bała się ich, ale tak, jak bała się obcych ludzi: dało się z nimi rozmawiać, mogła ich przekonać lub ignorować.

Aż do dziś. Nie dało się zignorować tej obecności we własnej głowie.

Intruz wdarł się w jej myśli bez trudu. Zaihab nie mogła zareagować – jej próby obrony odbijały się od tej nieznanej, potężnej obecności. Nawet zamknięcie było nie obroną, tylko chwilową ucieczką. Stworzyciel otworzył sobie jej umysł. Nie miała z nim żadnych szans.

W gwarze rozmów co rusz pojawiały się te same wątki: jak echo powtarzano imię Tisar, robiąc z nieznanej kobiety to cudotwórczynię, to zbrodniarkę. Obelgi pod adresem Taarut stawały się coraz bardziej wyszukane i kwieciste. Zaihab usłyszała też parę razy własną historię, powtarzaną z ust do ust i zniekształconą. Mocniej nasunęła kaptur na twarz.

Pod materiałem płaszcza czuła wisiołek od pieśniarzy. Zastanawiała się, czy ci ludzie powiedzą o niej urzędnikom. I co powiedzą.

Gładka droga ustąpiła miejsca kocim łbom, te zaś – rozmokłej ziemi i szlamowi nabrzeża. Słodkawy, zatęchły zapach gnijących resztek mieszał się z morską solą. Morze uderzało o brzeg z łagodnym chlupotem. Liny trzeszczały.

Uścisk Adiry na nadgarstku Zaihab wreszcie się rozluźnił.

– Poczekaj tu – szepnęła kobieta i odchrząknęła.

– Kto tam? – Usłyszała z najbliższej łodzi.

– Przyjaciele Saima – odpowiedziała bez wahania. – Kazał przekazać pozdrowienia. I pakunek.

Gardłowy rechot.

– Pakunek?

Zaihab usłyszała brzęk monet w drewnianej skrzynce.

– Ciężki pakunek – dodała Adira.

– Nie na tyle, by ta łupina go nie udźwignęła. – Mężczyzna mówił z lekkim wyspiarskim akcentem. – No, nie ma na co czekać. Nie chcemy przecież rozwścieczyć Saima, prawda?

Nuha oparł rękę na ramieniu córki i popchnął ją lekko ku pomostowi. Deski zatrzęszczały i ugięły się pod nimi.

Zaihab przełknęła ślinę. Na samą myśl o znalezieniu się na wodzie robiło jej się słabo. Zakręty i zaułki czyniły ulice wyzwaniem, ale bruk dawał oparcie stopom. Morze, z jego nieustającym kołysaniem i zwodniczym wiatrem, było jej całkowicie nieznanne. Ale co mogła zrobić?

Raz jeszcze dotknęła zamknięcia. Kryształ był ledwo wyczuwalny. Roztopiał się. Z przerażeniem cofnęła rękę.

– Zaihab – powiedział do niej Nuha. – Chodź, pomogę ci.

Z wdzięcznością wyciągnęła ręce i pozwoliła posadzić się w łodzi. Gdy wracała myślami do wieczorów spędzonych z wyspiarzami, nie mogła uwierzyć własnej naiwności. Ona? Samodzielna?

Skuliła się w rozkołysanej łodzi i oparła się plecami o maszt.

Adira zajęła miejsce przy burcie, a przyjaciel Saima zrzucił cumę i odepchnął łódź od brzegu. Zachybotła się na falach. Zaihab przycisnęła pięść do żołądka, ale żaglówka, poruszana tylko wiosłami, pomknęła cicho po wodzie z taką łatwością, jakby ślizgała się po jej powierzchni.

Nikt się nie odzywał. Kołysanie ustało. Milkły odgłosy miasta. Węzeł strachu w żołądku Zaihab zaczął się rozluźniać. Każda chwila oddalała dziewczynę od Sahit. Uciekali.

Niezauważeni przepłynęli przez łagodne wody zatoki. Poza jej granicą fale morskie nasilały się.

– No, spokojnie – rzucił żeglarz, ale Zaihab wcale to nie uspokoiło.

Wiedziała, że płyną po ciemku, by żaden blask światła nie zdradził żaglówki; Adira powiedziała, że noc jest pochmurna, Drugi jeszcze nie wszedł, szczęście im sprzyjało. Najwięcej patroli kręciło się w okolicach portu, ale i jego okolice znajdowały się pod nadzorem miasta. Zaihab próbowała ocenić, jakie są szanse, że zostaną zauważeni.

Jej rozmyślenia przerwało gwałtowne kołysanie. Fala rzuciła łodzią w bok. Coś trzasnęło. Łódź zatrzęsła się i zatrzymała gwałtownie. Zaihab upadła, zdzierając skórę dłoni na przesyconym solą drewnie. Jej ubranie zaczęło nasiąkać wodą.

Przyjaciel Saima zaklął, nic sobie nie robiąc z ciszy.

– Zaihab?! – Ręce ojca zacisnęły się wokół jej ramion, pomogły jej się podnieść.

– Co się stało? – zapytała.

Czujesz kształt podwodnych skał. Znasz ich detale z dokładnością, której pozazdrościłby ci twój ojciec kartograf. I dobrze wiesz, co się stało, kto was tu ściągnął. Nie będę się wypierać. Pilnuję miasta przed przyptywami; ale dziś pozwolę wodzie wdrzeć się do portu.

Wiesz też, co możesz zrobić.

Wiesz to w chwili, w której upewniasz się, czy zamknięcie wciąż działa, a twoje palce natrafiają na gładką, zabliźnioną skórę. Echo samo przychodzi ci na myśl. Powtarzasz w głowie rozkaz. Zaciskasz dłonie, a drewno się zrasta. Czujesz krążące w twoim ciele ciepło. Może nawet zepchniesz łódź na spokojne wody?

Żeglarz klnie.

– Zaihab! – Adira odpycha cię od dziury w dnie, ale jest za późno.

– Kogo ściągnęliście na mój pokład?!

Już te krzyki wystarczyłyby, by zwrócić uwagę strażników – ostatecznie nie jesteście tak daleko od portu – ale mężczyzna odpala flarę, mimo błagań Adiry, by tego nie robił.

– Nie ma takiej ceny, którą moglibyście mi zapłacić za siedzenie cicho!

Jego krzyk świdruje ci w uszach, gdy przykłękasz nad dziurą i wkładasz dłonie do wody, której cały czas przybywa. Sól piecze w zadrapaniach. No dalej, powtarzasz w myślach. Rośnij. Zamknij się.

A drewno słucha. Udaje ci się naprawić całą szkodę, nim rodzice cię odciągną.

– Co to jest?! – krzyczy mężczyzna. Mówi „to”, ale ma na myśli ciebie. Kulisz się przed jego krzykiem.

– Nie mów tak o mojej córce!

– To chcieliście wywieźć z miasta?! Na mojej łodzi?!

Robi krok w twoją stronę, ale Adira staje mu na drodze.

– Ani mi się waż – mówi, unosząc swoje chude, słabe dłonie.

Mężczyzna śmieje się niewesoło.

– Zaraz ci to zabiorą.

Wiesz, z tą samą niewzruszoną pewnością, że łodzie patrolowe już ku wam płyną: wiesz, że ich pochodnie i lampy rzucają na wodę długie, oleiste refleksy. Nuha i Adira muszą to widzieć.

– Wysłuchaj mnie chociaż – prosi Adira, ale mężczyzna tylko odpala drugą flarę i krzyczy:

– Tutaj!

Mogłabyś skierować łódź na skały, tym razem nie próbując nikogo uratować. Daję ci tę możliwość. A ty ją rozważasz, skupiasz się na ciepłe w twojej dłoni, zastanawiasz się, gdzie popchnąć siłę twojej-cudzej woli; ale nie, nie masz w sobie dość wściekłości, by skrzywdzić tego mężczyznę. O twoich rodzicach nie mówiąc.

Nawet jeśli ciebie zabiorą, a ich powieszą?

„Nawet”, odpowiadasz mi, ale łódź znosi coraz bliżej skał. Wiesz, że tam są. Możesz rzucić drewnianą łupinę na ich ostre krawędzie. Już wyobrażasz sobie wściekłe, gwałtowne kołysanie, słyszysz w uszach trzask pękającego drewna. Czy to będzie boleć? Ach, pewnie będzie, lecz nie ciebie.

Szlachetność to piękna rzecz, ale i kosztowna. Ciebie na nią nie stać. Nie teraz. Wahasz się, a równocześnie zbierasz w sobie moją siłę, na wszelki wypadek...

Zanim jednak zdołasz cokolwiek zrobić, Adira złapie cię za ramiona i wypchnie z łodzi. Zdażysz krzyknąć, a gdy wpadniesz do wody, gorzka, zimna ciecz wleje się do twoich ust i zamknie nad tobą i, nie wiedząc nawet, gdzie jest powierzchnia, bezskutecznie młóćąc rękami w lodowatej toni, nie będziesz potrafiła tego matce wybaczyć.

Nahir

Z początkiem jesieni rój meteorytów zaczął dogasać. Nahir wycelował teleskop w ciemne niebo, na którym rysowały się oczy Niegasnącego. Spojrzenie tych oczu, półprzymkniętych u progu podwójnego nowiu, było przenikliwe i zimne. Nahir skupił soczewkę na bledszym księżycu.

Wieczór przyniósł ze sobą dźwięk, którego Nahir nie mógł zignorować: brzmienie jego źródła. Ktoś zmierzał tą okolicą i niósł ów odgłos ze sobą. Nuty stopniowo rozrastały się w coraz silniejszą pieśń, a Nahirowi nie pozostało nic innego, jak się do niej dostroić. Z każdym uderzeniem jego serce wygładzało dysonanse, dopasowywało rytm, a gdy usłyszał pukanie do drzwi – śpiewało już razem z nieznanym.

Nie słyszał swojego rodzinnego źródła od lat. Dokładnie od momentu, w którym zdecydowano, że będzie bezpieczniejszy poza Novissą, z dala od Lefarie, i oddano go pod opiekę Aule.

– Kto idzie? – rozległ się głos bibliotekarza. Mężczyzna stał przy bramie, z jedną dłonią opartą na żelaznej zasuwie. Jego pytanie wybrzmiało, odbite od muru.

Nahir odsunął teleskop na bok i wychylił się przez okno. Ze swojego pokoju widział łysinę bibliotekarza, połyskującą w świetle trzymanej przezeń latarni:

najzwyklejszego nasączonego olejem gałgana. Światło zdecydowanie nie było wystarczające – ale nie chcieli wzbudzać niczyich podejrzeń, zasygnalizować, że dysponują czymś więcej niż tylko pracą własnych rąk.

Zza drzwi – nazywanie ich bramą byłoby mocno na wyrost – rozległo się zdradzające zaskoczenie ciche prychnięcie.

– Chciałabym zobaczyć Nahira. – Na te słowa chłopak cofnął się od okna. – Mam dla niego wiadomości z Novissy.

Nahir nie słuchał dalej. Ruszył do wyjścia.

– Teraz sobie o nim przypomniałicie? – Dosłyszał jeszcze.

Gdy zbiegał po schodach, dostrzegł światło w pokoju Luana i błysk rudych włosów chłopaka na tle okna. Luan nawet nie udawał, że nie podsłuchuje.

Nahir wypadł na dziedziniec. Policzki mu płonęły. Osoba stojąca po drugiej stronie bramy wciąż coś tłumaczyła. Bibliotekarz odwrócił się do chłopaka.

– Nahir? Czy to prawda? Czy to twoja krewna?

Nahir się zawahał. Jeszcze mógł się wyprzeć.

Osoba czekająca za bramą musiała przeczuwać jego wątpliwości, bo westchnęła głęboko, z rozbawieniem.

Nie wpuszczali obcych do domu wiedzy. Stało to w jaskrawej sprzeczności z duchem i filozofią tego miejsca, ale wszyscy mieszkańcy – cała czwórka opiekunów porzuconej biblioteki – byli świadomi, co działo się poza jej murami. Wyczerpanie źródła obudziło w mieszkańcach Rasenny desperację. Stare prawa przestały się liczyć. W odróżnieniu od Wędrowca ludziom można było zrobić krzywdę.

Źródło słabło. Gwiazdy gasły. Mieli całe wieki, by przygotować się na koniec, mimo to wciąż nie byli gotowi.

Czy dało się na to przygotować?

– Nahir – ponaglił go Aule.

– Słyszę w niej swoje źródło – przyznał, pochylając głowę.

Zdążył kątem oka złapać pełne niedowierzania spojrzenie opiekuna, mówiące: „I nie powiedziałaś mi wcześniej?”. Kobieta westchnęła.

Bibliotekarz przesunął sztabę gestem – jakby chciał strącić z siebie niechcianą odpowiedzialność. Nahir zasłonił dłonią płonący policzek.

Postać wkroczyła na teren domu wiedzy, przyglądając się improwizowanym fortyfikacjom i naprędce wynaturzonej skale wspierającej palisadę. Źródło zaśpiewało głośniejsz, z radością; rozpoznawało pokrewieństwo. Kobieta ostentacyjnie oparła dłoń na rękojeści ostrza i popatrzyła na Nahira.

Jeszcze chwilę łudził się, że rozpozna w niej Lefarie. I choć to zdecydowanie nie była ona, nie spodziewał się, mimo narastania pieśni, zobaczyć kogoś tak podobnego do siebie.

Saina – jak przedstawiła się mieszkańcom domu wiedzy wysłanniczka – była odległą kuzynką matki Nahira i jednocześnie jej przybraną siostrą. Oświetlenie pokoi uwydatniło siatkę zmarszczek pokrywającą jej twarz. Misterny tatuaż zdradzał lata pracy i budowania statusu – jego centralna część, biegnąca od dolnej wargi do podbródka, zbladła do delikatnego błękitu. Po bokach wiły się świeższe, intensywnie granatowe wzory.

Saina potrafiła prowadzić urzekającą rozmowę, ale niepokój Nahira nie słabł – kobieta wpatrywała się w niego przenikliwie i uśmiechała z taką pewnością siebie, jakby to miejsce należało do niej. Przy kolacji posadzili go naprzeciwko niej. Bez słowa rwał chleb na kawałki, maczał go w zupie i unikał jej wzroku. Starał się nie patrzeć również na siedzących obok Luana i Susari. Luan zerkał na Nahira, jakby próbował odgadnąć, ile najmłodszy opiekun biblioteki przed nimi zataił.

Mówił głównie Aule. Saina pozwalała mu się przepytywać, ani na chwilę nie tracąc błysku w oku. Nahir z trudem mógł usiedzieć spokojnie. Starsi rozmawiali ponad jego głową – lecz o nim.

– I Novissa ma być bezpieczniejsza? – Aule gestem wysłał Luana po wino.

Saina odpowiedziała mu promiennym uśmiechem, który jednak szybko znikł.

– Nie powiedziałabym. Jest większa. Ale jest nas tam więcej. Coraz więcej – dodała z naciskiem. – Naszą ambicją jest zgromadzić całe źródło w jednym miejscu.

Nahir spróbował odczytać emocje w twarzy Aule. Bezskutecznie.

– Dlaczego? – zapytał bibliotekarz.

Saina odchyliła się od stołu, markując zaskoczenie.

– Dlaczego? Czy to nie oczywiste? Będziemy mogli pilnować siebie nawzajem. Będziemy bezpieczniejsi.

– Silniejsi – odparł cicho Aule – nie zawsze znaczy bezpieczniejsi.

Odrzuciła za ramię kosmyk sztywnych, prostych włosów, przypominających Nahirowi nitki wynaturzonej stali. Chłopak przymknął oczy. Już teraz, gdy była tu tylko ich dwójka – on i Saina – źródło śpiewało głośno, z upajającą mocą. Jeszcze nie wygasło całkowicie.

Ale nie chciał wracać do Novissy.

Saina przyglądała się podanemu jej pucharkowi, wpatrując się w zacieki wina na ściankach szkła wytopionego w jakimś warsztacie. Szkło było nierówne, pełne uwieczonych weń baniek powietrza, z przebarwieniami zdradzającymi zanieczyszczenia. Niepodobne do gładkiej, idealnie przezroczystej powierzchni, którą ktoś przekształcał własną wolą. Oczywiście, że to zauważyła.

Nahir splótł dłonie. Jeżeli przypomnieli sobie o nim akurat teraz, pomyślał, to nie z troski o jego bezpieczeństwo.

– A jeśli z tobą pójdę – zaczął, podnosząc wzrok na Sainę – to co będę robił w Novissie?

– Pracował, cóż innego? – odbiła pytanie. – Nie jesteśmy dworem. Jesteśmy domem. Każdy jego dorosły mieszkaniec współuczestniczy w tworzeniu go tak, jak potrafi. Z twoją znajomością języków na pewno nie będzie brakowało ci zajęć.

Kątem oka dostrzegł, że Aule pochyla się ku niej, jakby oczekiwał ataku. Saina miała rację. W Novissie mógł zrobić wiele. Dalece więcej niż tutaj, gdzie walczyli z czasem, wypłukując do reszty swoje źródła, by zachować książki i wygładzać porysowane soczewki teleskopów; gdzie z każdym dniem stosowali więcej narzędzi, nieudolnie zastępujących elegancję i precyzję woli. Książki były kruche. Słowa zapisane na pasach jedwabiu, misternie poskładanych, z czasem blakły; podtrzymywanie ich wymagało siły, której nie mieli, a stawianie oporu rozpadowi wydawało się bezcelowe.

– Dom już mam – mruknął.

Aule odetchnął cicho. Saina tylko promiennie się uśmiechała.

Nahir nie mógł zasnąć. Siedział na posłaniu, nie zmieniawszy nawet ubrań. Utkwił wzrok w kwadracie nieba widocznym za oknem, obrysowanym srebrną kreską przez blask dwóch księżyców. Nie zauważył, gdy drzwi do jego pokoju skrzypnęły cicho.

– Twoja radość przyćmiewa nawet oczy Niegasnącego – powiedział Luan.

Nahir uśmiechnął się cierpko.

– I co o tym sądzisz? – ciągnął rudy. Zamknął za sobą drzwi. Ponad pieśnią źródła Nahira i Sainy wybrzmiała łagodniejsza nuta. Teraz mogli rozmawiać bez obaw.

– Nie ufam jej – przyznał Nahir. – Czegoś ode mnie chce. I nie mówi mi wszystkiego.

Luan uniósł brwi.

– Zaskocz mnie czymś.

Nahir bezradnie rozłożył ręce.

– Musisz mieć chociaż jakieś podejrzenie – naciskał Luan.

– Nie mam – odparł Nahir po długim milczeniu.

– Wspaniale – stwierdził kwaśno rudy. – Co więc zamierzasz zrobić?

Znów odpowiedziała mu cisza.

Luan westchnął. Odgarnął z twarzy warkocze i zaczął bawić się rysikami Nahira. Kiedy stało się oczywiste, że nie padnie żadna odpowiedź, westchnął znowu.

– Co ci grozi, jeśli tu zostaniesz? – Nahir już miał wzruszyć ramionami, ale starszy chłopak to przewidział. – Nie. Użyj mózgu. Pomyśl przez chwilę.

– Nic? – odparł po chwili Nahir. Luan wydał z siebie przeciągły jęk. – Naprawdę. Nie mogą mnie zmusić, nie mogą mi nic zabrać...

– Nic? – powtórzył za nim Luan. – A to miejsce? Nie jesteśmy tak samowystarczalni, jak byśmy chcieli być – dodał ciszej.

Nahir skrzywił się i odwrócił wzrok.

Kiedy oddawano go pod opiekę Aule, traktował to najpierw jako nową przygodę, która miała potrwać kilka dni. Im dłużej jednak nikt po niego nie wracał, tym bardziej ekscytacja ustępowała miejsca strachowi. Słyszał w mieście plotki o ludziach, których zmuszano, by wydawali swoje źródło. Nie raniono ofiar – zakaz przelewania krwi wciąż był wiążący – ale istniały inne sposoby wymuszania posłuszeństwa. Co prawda Nahir nie potrafił wyobrazić sobie łagodnego Aule robiącego takie rzeczy, ale nie mógł wymyślić innego powodu, dla którego rodzina go tu zostawiła.

Dni mijały, a po niego nikt nie przychodził. Oczekiwanie zamieniło się w zniecierpliwienie, w smutek, wreszcie w tępy ból urazy. Wspomnienie Novissy i jej wewnętrznej polifonii słabło. Nahir przywykł do melodii domu wiedzy: jednego, cichego, uporczywego głosu.

W tej niemal kompletnej ciszy mieszkało czworo ludzi: starszy bibliotekarz i trójka dzieci.

Dziewczynka, Susari, była jego córką; to jej pieśń Nahir słyszał jako tło silniejszego źródła. Susari nie mogła być od niego dużo starsza. Przywitała się i zaoferowała, że oprowadzi Nahira po pokojach, ale grzecznie odmówił. Chciał sam obejść dom wiedzy, nie będąc kontrolowany przez nikogo. Trzeci lokator na szczęście nie zaoferował nic podobnego. Rzucił swoje imię – Luan – i zniknął w korytarzach. Z czasem Nahir poznał zarówno Aule i jego córkę, jak i zakamarki domu wiedzy oraz pomieszczenia gospodarcze znajdujące się wewnątrz murów. Jego eskapady zawiodły go we wszystkie miejsca, do których wstępu mu broniono; i w kilka takich, które, co wiedział z perspektywy czasu, mógł sobie bez wyrzutów sumienia darować. Luan za to unikał Nahira.

Nahir obserwował przez uchylone drzwi biblioteki, jak nastolatek rozkłada na jednym ze stołów starą książkę. Jedwab pod jego palcami był kruchy i zmięty, o wystrzępionych brzegach. Luan w zamyśleniu przesunął opuszką po wyblakłym piśmie. Ściągnął brwi. Jego źródło zabrzmiało pewną, czystą nutą. Pajęczne nitki jedwabiu zaczęły na nowo się spletać. Z każdym kolejnym

dźwiękiem atrament odzyskiwał głęboką czerń. Chłopak w skupieniu naprawiał manuskrypt, aż nagle podniósł głowę i spojrzał wprost na Nahira.

– Strasznie hałasujesz – powiedział.

Nahir podskoczył, ale nie wyszedł z za drzwi. Był pewien, że żadnym dźwiękiem nie zdradził swojej obecności.

– Tutaj – wyjaśnił Luan, kładąc dłoń na sercu. – Twoje źródło. Rozpraszasz mnie. – Uśmiechnął się kpiąco.

– Jeśli nie wzmocnisz czymś brzegów, to twoja praca i tak będzie na nic – odciął się Nahir. Policzki mu płonęły. Nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś go zbeształ w ten sposób. Nie czekając na reakcję Luana, wyobraził sobie metaliczną nić przeplatana wzduż krawędzi jedwabiu. Jego źródło przytłumiło cichą pieśń Luana. Nahirowi na chwilę pociemniało w oczach, ale nie przestał, dopóki każdy brzeg nie został wzmocniony.

Luan tylko parsknął śmiechem.

– Nikt cię nie zapraszał na występy.

– Sam byś tego nie zrobił. – Słowa wybrzmiały szybciej, niż Nahir mógł się nad nimi zastanowić.

Luan przyglądał mu się z ledwo tajoną urazą.

– Być może nie – powiedział powoli – ale przynajmniej nie zamierzam wykończyć się przy pierwszej lepszej książce.

Policzki Nahira na powrót przybrały kolor maków rosnących za grządkami Aule.

– Jak przyjdiesz jutro, pokażę ci, jak się przed tym bronić – dodał Luan. – I jak pilnować własnego źródła, żebyś nie oznajmiał każdej swojej tajemnej wyprawy fanfarą.

Po czym roześmiał się głośno na widok miny chłopca.

Minęły lata, a w Nahirze i Luanie wciąż został cień dawnych zaszłości – ostrożność, która nigdy nie wygasła do końca, podejrzenie kpiny, pilnowanie każdego słowa i gestu. Mimo to Nahir polegał na Luanie, a z czasem i rudy chłopak zaczął dzielić się z nim swoimi wątpliwościami. Czy im się to podobało, czy nie, nie mieli wyjścia. W domu wiedzy nie zamieszkał nikt nowy. Była też Susari, ale jej Nahir obawiał się w zupełnie inny sposób. Siłą rzeczy to Luanowi zwierzał się ze swych wątpliwości.

Lub częściej, jak teraz, Luan musiał je wyciągać z Nahira niemal siłą.

– Bezpieczniej byłoby, gdybyś stąd wyjechał – powiedział wreszcie.

– Nie chcę.

Luan przyjął tę niespodziewaną szczerść z ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy.

– Sądzisz, że ja tego chcę?

Nahir poderwał się na nogi.

– Tu jest mój dom. Może i brzmię jak ona, ale...

– Tu jest twój dom – powtórzył za nim Luan, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Ale jeśli będą chcieli cię stąd zabrać, znajdą inny sposób. Taki, który będzie bardziej bolesny dla nas wszystkich. Dla ciebie najbardziej.

Obaj umilkli.

– Przez lata płacili za twoje utrzymanie – kontynuował Luan. Nahir się wzdrygnął. – Aule się na to zgodził, bo co miał zrobić? Ale nigdy nie zapomniał, że mają nad nami ogromną przewagę. A ja nie chcę, by cię skrzywdzili.

– A ja nie chcę wracać do Novissy!

Luan uśmiechnął się smutno.

– Znajdziesz sposób, żeby do nas wrócić.

Dwa dni później żaden meteoryt nie rozjaśniał już nieba. Nahir zadarł głowę, przyglądając się półprzymkniętym oczom Niegasnącego.

– W Novissie zobaczysz więcej – zapewniła go Saina lekkim tonem, wyprowadzając ze stajni dwa konie. Podała Nahirowi lejce. Nie zdziwiło go nawet, że przygotowała dlań wierzchowca.

– Wszystko w Novissie jest lepsze, co? – rzucił. – Księżycy lepiej widoczne, źródło nie słabnie...

– Nie – odparła. – Może poza źródłem.

Choć była uzbrojona, uniosła wolną dłoń, wplatając w powietrze wokół nich życzenie. „Niech nikt nas nie dostrzeże”. Wspięła się na siodło.

– Przecież zawsze możesz tutaj wrócić – dodała, oglądając się przez ramię.

Nahir nie odpowiedział. Aule dał mu do zrozumienia, że dla niego drzwi domu wiedzy zawsze będą otwarte. Sam Nahir nie mógł tylko pozbyć się lęku, że nie będzie miał do czego wracać.

Trójka. Została ich trójka. Żadne z nich nie posiadało szczególnie silnego źródła. Ale jeśli ktoś spojrzy w niebo, zobaczy gasnące gwiazdy i zechce poszukać winnych, podupadły dom wiedzy będzie łatwym celem. Aule to wiedział. Dlatego nie próbował zatrzymać Nahira, gdy ten przyszedł do niego i wyłamując palce, wbijając wzrok w podłogę, oświadczył, że pojedzie z krewną. Saina nie musiała nic robić.

– Czekam! – zawołała, wychylając się w siodle.

Popędził za nią, nie oglądając się za siebie. Jej źródło śpiewało z radością, której nie potrafił współodczuwać.

Nahir zacisnął zęby na drewnianym kołku i mrużąc oczy, skupił wzrok na igle zbliżającej się do jego twarzy. Drewno miało gorzkawy posmak żywicy. Wgryzł się w nie z całej siły, byle tylko powstrzymać drżenie podbródka. Próbował odsunąć się przed igłą, ale zatrzymała go pewna dłoń kuzyna.

Kolejne nakłucie. Każda kropla atramentu coraz silniej wiązała go z rodziną. Stawał się jej pełnoprawnym członkiem – współodpowiedzialnym za jej losy.

Powtórzył w duchu słowa modlitwy: „Pamiętaj, skąd bije twoje źródło”.

Niemal się uśmiechnął. Jego źródło zapomniało o nim na wiele lat. Ale wystarczyła obietnica czegoś lepszego, będąca w istocie zawołaną groźbą: pamiętaj, co może cię spotkać, jeśli do nas nie dołączysz. Nahir zostawił dom wiedzy za sobą.

Choć jaki miał wybór?

To była wygodna wymówka. Złożyć odpowiedzialność w cudze dłonie, zasłonić się tym, że nie zostawiono mu wyjścia. Saina w roli wysłanniczki podjęła tę grę, choć oboje wiedzieli, że decyzja zapadła już dawno temu. Luan też miał w tym swój udział. Dla niego również było jasne, że Nahir jest dla swojego źródła cenniejszy, niż dała mu to odczuć sardoniczna krewna; mieszaniec czy nie, był jedynym synem Lefarie, nawet jeśli w połowie był Saadyjczykiem.

Podróżowali całą noc. O świcie dotarli do miasta. Novissa okazała się dużo większa niż w pamięci Nahira. Górski teren wymusił stawianie dodatkowych piętér tam, gdzie mieszkańcy dolin zdecydowaliby się raczej na rozległe boczne skrzydła i system wewnętrznych ogródków. Strome dachy i wąskie okna powstały w odpowiedzi na śnieżne zimy. Teraz jednak zima była odległą perspektywą, a parapety i tarasy niknęły w feerii zieleni i złota. Nahir obserwował senne życie miasta; początkowo brał je za oznakę spokoju. Dopiero później przyszła refleksja, że przecież koniec świata musiał sięgnąć i tutaj. Że senność nie ma wiele wspólnego z dostatkiem i lenistwem. Ale dolina rozbrzmiewała, serce Nahira odpowiadało. Novissa jeszcze się nie poddała.

Kolejne ukłucie.

„Pamiętaj, skąd czerpiesz” – mówiła modlitwa.

Dawno temu na brzeg kontynentu dotarła gromada uciekinierów. Wycieńczeni głodem i wędrówką zostawili za sobą szlak stosów pogrzebowych. Nie opłakiwali już swoich bliskich, bo wiedzieli, że wkrótce do nich dołączą. Nie łudzili się już, że uciekną; rozciągał się przed nimi bezkres wściekłego morza, którego nie mieli jak przekroczyć. Czekali na swój koniec, prosząc Niegasnące, by nadszedł szybko.

Wtedy znaleźli serce bóstwa. Serce świata.

Zamiast prosić o ratunek woleli bóstwo zabić. Wypić ożywczą krew, słodsza niż woda z potoków. Postanowili uratować się sami. Łaska boskich istot nie na wiele im się do tej pory zdała.

A może to była wyrachowana zemsta, nie desperacja?

Ostatecznie liczyło się tylko to, że przetrwali. Nawet gdy niebo zapłonęło od łez boskiego rodzeństwa, gdy Niegasnące w żalu zamknęło oczy. Pod płonącym firmamentem stworzyli miejsce, które było dla nich bezpieczne.

Znał tę historię. Znało ją każde dziecko w Rasennie – mit o wędrownym ludzie, który znalazł bóstwo, zabił je i przejął jego moc. Źródło, które w nich tętniło, należało do bóstwa. Początkowo zdawało się niewyczerpane. Ale bogowie nie zapominają, a ci, którzy cieszyli się skradzionym źródłem, dowiedzieli się, że ich dni są policzone: Wędrowiec, brat bóstwa, szedł im na spotkanie, przecinając nieba swoim lodowatym ogniem.

Ale nim to się stanie...

„Pamiętaj, kto idzie za tobą”.

W pokoju nie było nikogo poza Nahirem i kuzynem, jeśli liczyć żywych. Za sobą mieli wnękę ołtarza. Cienie zaczęły recytować litanie imion. Nahir. Lefarie. Na tym imieniu zająknęły się, zdawały się dławić. Lefarie nie było ani wśród nich, ani wśród żywych. Po jej imieniu powinno paść imię ojca. Nie padło. Zjawy z westchnieniem podjęły recytację; sięgały coraz głębiej w przeszłość, do korzeni tego domu.

Nahir powtarzał w myślach za nimi. Znał te imiona na pamięć. Wieczorem tego samego dnia miały zostać wyrzeźbione na jego malastrze.

Przyjmowanie do rodziny odbywało się w kontemplacyjnej ciszy. Z każdym ukłuciem towarzyszącym pokrywaniu podbródka wzorami. Nahir dobitniej sobie uświadamiał, że teraz nie będzie miał wyjścia. Czym innym było fantazjowanie o nigdy niewidzianych krewnych – któremu już pięć lat temu gorąco by zaprzeczył, przeganiając tak niedojrzałe myśli ku dalekim zakamarkom umysłu – czym innym zaś wiązanie z nimi swojego losu.

Powinien się wzruszyć. Ale nieustannie zadawał sobie pytania: dlaczego? Do czego jesteś im potrzebny? Dlaczego teraz?

To nie tu był jego dom.

Poprzez cienie, w tej jednej chwili prawie materialne, patrzące mu w twarz, dostrzegł kilkoro żywych. Starszego, żyłastego mężczyznę, ojca Lefarie – „dziadka”, poprawił się w myślach, choć nie potrafił się przekonać do tego określenia. Za nim stała Saina, którą Nahir zaczął darzyć jeśli nie sympatią, to przynajmniej przywiązaniem. Nie lubił jej, ale to ona po niego przyjechała. Teraz przyglądała mu się, marszcząc brwi, jakby spodziewała się, że wykona jakiś nieprzewidywalny ruch. Powiedziała coś do jego dziadka, a ten pokiwał głową.

W porównaniu z żywymi martwi zdali się Nahirowi dużo bardziej życzliwi. Któreś pogładziło jego włosy, mruczając coś o ich teksturze, jedna prababka widmową dłonią otarła mu pot z czoła, cicho chwalać jego odziedziczone po ojcu rysy. A potem ceremonia dobiegła końca i zmarli wycofali się z powrotem w cień.

Nahira, wciąż oszołomionego bólem i siłą źródła – jak miał wierzyć, że może się ono kiedykolwiek wyczerpać, skoro chwilę temu otoczyli go przeszli? – wyprowadzono z pokoju do głównej jadalnej sali. Ogromne okna przyozdobiono girlandami kwiatów i lampionami imitującymi Wędrowca i towarzyszące mu Łzy. Długi stół zajmujący większą część sali niemal zniknął pod półmiskami i koszami jedzenia. Źródło uderzyło w Nahira z nową mocą, gdy pomieszczenie zaczęło wypełniać się ludźmi. To, co do tej pory miał za pieśń jednej osoby, tylko swoją własną, stało się ogłuszającym wielogłosem. Kobiety i mężczyźni o wytatuowanych podbródkach i szaroniebieskich oczach uśmiechali się do niego. Nie mógł nie odnotować, jak bardzo odróżnia się od nich kolorem skóry, lecz oni nie zwracali na to uwagi. Mimo kłującego bólu Nahirowi udzielił się świąteczny nastrój. Coś jednak nie zgadzało się w radosnym obrazie – choć Nahir nie potrafił tego nazwać.

Saina uśmiechała się do niego przez cały posiłek. Uśmiech nie schodził z jej twarzy, gdy dziadek wręczył Nahirowi malastrę. Lusterko było ciepłe w dotyku. Na odwrocie tafli widniała spirala wypełniona imionami cieni. Poprzez malastrę Nahir mógł zawsze się z nimi komunikować. Nosił w sobie echa swoich przeszłych; lusterko jedynie je wywoływało.

Nahir obejrzał się w malastrze, starając się oswoić z widokiem wzoru na podbródku. Cienie znów go otoczyły. Przypiął lusterko do pasa. Gdy rodzina wróciła do stołu, on wymknął się na balkon.

Światło zachodzącego słońca obwodziło jeszcze tylko krawędzie gór. Sierp większego księżyca wisiał nad szczytami. Wydawał się bliższy.

– Mówiłam ci. – Nahir usłyszał za sobą głos Sainy. Odwrócił się. Kobieta promieniała. – Dziękuję, że mi zaufałeś.

Nim zdążył odpowiedzieć, znikła z powrotem we wnętrzu domu. Światło lampionów igrało w jej siwych włosach.

Nahir pokręcił głową i zapatrzył się w osadę. Okna domów rozjarzyły się światłem lamp i świec, ich blask odbijał się w jeziorze wypełniającym kocioł w sercu miasta. Ponad wodą rozpinano się ogromne, rozjarzone gwiazdami niebo.

Po jakimś czasie chłopak wrócił do środka i w jednej chwili odkrył źródło wcześniejszego niepokoju.

Zgromadzeni tutaj ludzie byli, bez wyjątku, starsi od niego. Przy stole nie siedziało żadne dziecko, nie było tu nikogo, kto mógłby się okazać choćby jego

rówieśnikiem.

Tak przynajmniej myślał, póki nie dostrzegł, że do Sainy dosiadła się nieznajoma dziewczyna – mimo młodego wieku obwieszona bogatą biżuterią. Rozmawiały przez chwilę, siedząc blisko, jak przyjaciółki. Potem, jakby czując na sobie spojrzenie Nahira, dziewczyna zwróciła ku niemu oczy i uniosła kielich w niemym pozdrowieniu. Ten gest byłby niczym więcej, jak uprzejmymi gratulacjami – lecz wzrok dziewczyny sprawił, że Nahirowi zrobiło się zimno. To nie było pozdrowienie – lecz subtelna groźba.



ROZDZIAŁ DRUGI

Miesiąc sierpów, druga pentada

Dolny pałac, przeznaczony dla dalszej rodziny anaksa i dla urzędników, zbudowano na zboczu pagórka; wzniesieniu daleko było do skalnej iglicy, którą zamieszkiwał Vesui, lecz i ta wysokość wystarczała, by objąć wzrokiem całe stare Sahit, rzędy białych domów, koncentryczne ulice, mury prowadzące aż do poznaczonego wyspami morza.

Avile nie spał tej nocy. O świcie patrzył na miasto zmęczonymi oczami, trąc co chwila zapuchnięte powieki. Bezskutecznie próbował wygładzić wymięty kaftan. Przed nim, na parapecie, stał zapomniany dzbanuszek kawy.

Osun podszedł do niego. On również nie zaznał snu. Jego policzki pokrywał cień zarostu. Avile w milczeniu skinął mu głową na powitanie.

Nie tak pomyślano ten urząd. Prawa i lewa dłoń miały być dla siebie przeciwwagą, choćby oznaczało to otwarty konflikt. Nawet wrogość byłaby lepsza od tej wzajemnej zależności, która łączyła Avile i Osuna: współpracy – nie zaufania przecież – opartej na znajomości sekretów tego drugiego. Pętania siebie wzajemnie. I łamania praw coraz bardziej, coraz śmielej. Avile mógł prześledzić, jak to się rozwijało, ale zrozumienie nie sprawiało, że przestał brzydzić się Osunem. I sobą.

– Podjąłeś słuszną decyzję – powiedział Osun, opierając się o ramę okna. Jego oddech zostawił na szkle ślad pary.

– Chciałbym mieć twoją pewność – odparł Avile.

Kasser uśmiechnął się krzywo.

– Wcale nie mam pewności. Ale próbowałem cię pocieszyć. Otucha ci się przyda, bo dziewczyna na pewno będzie chciała z tobą porozmawiać.

Avile zacisnął wargi.

– I co jej powiesz? – nalegał Osun.

– Powiem jej, jaka była alternatywa. Co to zmieni? – Dorzucił, gdy zobaczył wyraz twarzy Osuna: – I tak nie opuści już iglicy.

Zaskoczenie na twarzy kassera ustąpiło cierpkemu uśmiechowi.

– Zawsze myślałem, że to tacy jak ty wymyślili tę tradycję, by obłaskawić i wasze bóstwa, i Saadyjczyków. Dzięki temu nie musielibyście się o siebie obawiać, gdy ci z was... umiłowani przez bóstwa... znikają.

Avile pobladł ze złości.

– Ale wcale nie musimy jej przypisywać wam – kontynuował niezrażony kasser. – Kto wie, może wykiełkowała w dniu takim jak ten, gdy któryś z anaksów próbował kupić bezpieczeństwo miasta? W sytuacji tak drastycznej, że życie jednej osoby nie wydawało się wygórowaną ceną?

Nie tylko życie, chciał wtrącić Avile, ale nim zdążył to powiedzieć, w korytarzu pojawił się asystent Osuna. Kasser skinął chłopakowi głową i zniknął w labiryncie korytarzy. Wnioskując z treści podsłuchanego raportu asystenta, Avile musiał szybko wymyślić, co powie Zaihab.

Arit siedziała, podpierając brodę na dłoniach zaciśniętych w pięści, i patrzyła na śpiącą hierodulę. Tuż po ocuceniu dziewczyna zapadła w głęboki sen, który wygładził rysy jej twarzy. Gdyby nie ledwo dostrzegalne unoszenie się i opadanie koca, Arit przysięgłaby, że przyszła hierodula nie żyje.

Wydawało się, że pokój zastygł w bezczasie. Arit patrzyła i czekała, nie wiedząc właściwie na co. Nie była dziewczynie potrzebna. Mimo to czuła, że czuwanie jest jej obowiązkiem. To ona znalazła hierodulę.

Komnata, w której się znajdowały, była nieznośnie nagrzana, w kominku wciąż płonął ogień. Jedyne okno zamknięto, a okiennice zaryglowano od zewnątrz. Porozstawiane po kątach lampy rzucały ciepłe, złotawe światło, które sączyło się jak miód na gruby dywan, porozrzucone na nim poduszki, niskie meble.

Strażnicy przy drzwiach zmieniali się, lekarze w towarzystwie kassera przychodzili i odchodzili, a Arit wciąż czekała. I gdy już wydawało jej się, że nic nie nastąpi, hierodula rozkaszała się przez sen, przewróciła się na bok i usiadła gwałtownie, zapierając się dłońmi o posłanie.

Lodowate zimno i ogień w płucach. I nagła, instynktowna myśl, że jeśli to ma być twój ratunek, to wcale go nie chcesz. Woda, choć pochłonęła cię tak łapczywie, przepływa między twoimi palcami.

Pamiętasz to wszystko. Wciąż tu jesteś. Spokojnie. Bądź dzielna, wytrzymaj jeszcze chwilę.

Pierwszy głęboki oddech był równie bolesny, co wspomnienie gorzkiej wody zalewającej usta. Powietrze parzyło spierzchnięte wargi i podrażnione gardło. Zaihab zanosła się kaszlem. Obróciła się na bok i próbowała wstać, zapierając się dłońmi o miękki materac, ale ramiona ugięły się pod nią. Opadła na poduszki.

Kręciło jej się w głowie. Przynajmniej znów była na powierzchni. Choć jej ciało pamiętało jeszcze zimną, zachłanną wodę, to utonięcie już jej nie groziło.

W pokoju, w którym się znajdowała, trzaskał ogień. Czowała zapach cedrowego olejku. Zimno morza osiadło jednak głęboko w jej kościach i Zaihab zdawało się, że nigdy już jej nie opuści. Wiedziała, że w pokoju jest gorąco i niemożliwie wręcz duszno, ale mimo to dygotała. Skuliła się, szczelniej otulając kocami. Były miękkie, świeże, zapraszająco ciepłe. Ktoś przebrał ją w tunikę i luźne spodnie z miękkiej wełny. Zaihab o niczym nie marzyła tak jak o tym, by znów zasnąć. Nie miała sił. Chciała tylko, by to ciepło zgromadziło się w niej.

Osunęła się w pozbawiony marzeń, czarny, lepki sen.

Obudziła się po paru godzinach, z takim samym zaskoczeniem, łapiąc powietrze chciwym haustem. Miała sucho w ustach, nagrzane koce przygważdżały ją do materaca. Spróbowała je z siebie strząsnąć.

– Spokojnie – usłyszała. – Nic ci nie grozi.

Głos był niski i w innych okolicznościach Zaihab uznałaby go za całkiem przyjemny dla ucha.

Mgła, która wcześniej oblepiała jej myśli, nieznacznie się rozproszyła: to nie był jej pokój. Nie знаła tej osoby. Nie udało jej się uciec. Nie była bezpieczna.

Zaihab usiadła gwałtownie, zaciskając dłonie na kocu. Przeszywały ją dreszcze.

– Nazywam się Avile sur Irsa – powiedział głos. – Jestem lewą dłonią anaksa. Oraz, osobliwym trafem... przyjacielem twoich rodziców. Chciałem się upewnić, że jesteś cała i zdrowa.

Otworzyła usta, by mu odpowiedzieć, ale wydobył się z nich tylko jęk.

– Tutaj. – Urękawiczone dłonie isbeta ujęły jej zmarznięte ręce i powoli zagięły jej palce wokół kubka. W nozdrza Zaihab uderzył słodkawy, lekko kwiatowy aromat. – To napar z bzu z miodem.

Opróżniła kubek jednym haustem. Znów poruszyła wargami.

– Co powiedziałaś? – Mężczyzna pochylił się w jej stronę.

– Poproszę więcej. – Oddała mu naczynie.

Isbet wydał polecenie komuś stojącemu przy drzwiach. Zaihab tymczasem narzuciła sobie koc na ramiona, próbując zmusić się do myślenia. Jej powieki opadały. Myśl, nakazała sobie. Nie możesz teraz pozwolić sobie na odpoczynek.

Ten człowiek – Avile – ojciec wspomniał kiedyś jego imię. Czy jesteś bezpieczna?

Musisz uciekać.

Wśród swoich myśli, ciężkich i niezgrabnych, z trudem formujących się w słowa, tylko ta jedna była jasna: uciekaj. Zaihab dotknęła zagięcia łokcia w miejscu, gdzie dzień wcześniej zrobiła zamknięcie. Skóra była gładka, bez śladu skaleczenia.

Uciekaj. I nie ufaj stwórcy. Nieważne, co będzie ci obiecywać. Uciekaj.

– Proszę. – Isbet znów podał jej kubek.

Teraz piła wolniej. Słodkie ciepło rozlewało się w jej żołądku. trochę się buntował, ale przełknęła napój podchodzący do gardła.

– Dziękuję. – Otarła wargi wierzchem dłoni.

– Nie ma za co. Czy wciąż jest ci zimno?

– Mhm. – Przycisnęła koc do klatki piersiowej.

– To minie.

Avile czekał na odpowiedź, ale ta nie nadeszła.

Zaihab skuliła się pod kocem. Wiedziała tyle, że jej zdrowie stało się dla isbeta najwyższym priorytetem. Anaktorion jej nie skrzywdzi. Miasto potrzebuje jej żywej – i zdrowej. Ale nie o to się obawiała.

– Zapewne masz dużo pytań – podjął łagodnie isbet.

Zacisnęła pięści.

Nie chciała rozmawiać z tym człowiekiem. Nie wierzyła jego zapewnieniom: on też ją tu uwięził.

Serce łomotało jej ze strachu. O siebie, o rodziców. Musiała być ostrożna. Isbet i inni chcieli jej współpracy, co dawało jej przewagę, ale tylko w teorii; nic nie stało na przeszkodzie, by ją okłamał. Musiała zadawać pytania w taki sposób, by uzyskać potrzebne informacje.

Ona przeciwko isbetowi Sahit. Nie miała szans.

– Z chęcią na nie odpowiem – zapewnił ją. – Jeśli tylko czujesz się na siłach, by teraz rozmawiać.

Nie miała wyjścia. Zważyła w myślach kilka różnych wersji jednego pytania.

– Moi rodzice – wychrypiała wreszcie.

Isbet nie zwlekał z odpowiedzią.

– Bezpieczni.

– Bezpiecznie martwi? – rzuciła wściekle.

– Nie. Pojutrze opuszczą miasto, z zakazem przekraczania granic Sahit.

Zaihab przycisnęła dłonie do mostka, jakby to mogło złagodzić ból.

– Dlaczego? – zapytała słabym głosem.

Avile westchnął.

– Czy mi pomożesz? – zadała kolejne pytanie, gdy poprzednie nie doczekało się odpowiedzi.

Przez chwilę łudziła się, że isbet pomoże jej opuścić Sahit. Miał wolne ręce, by zatrzymać ją w mieście, mógł zatem i zaaranżować jej ucieczkę; lewej dłoni wolno było niemal wszystko. Nie musiał grać uczciwie.

A mimo to chciała usłyszeć od niego wyjaśnienie.

– Dlaczego?

– Zaihab, miałem związane ręce. Mogę cię tylko prosić, byś nie działała pochopnie. Nie chcę, by rozdziobały cię skrzydlate. I zakładam, że ty też tego nie chcesz.

Wzdrygnęła się.

– Tak myślałam.

– A... jeśli zostanę... – pytanie uwięzło Zaihab w gardle. Odkaszlnęła. – Co stanie się ze mną?

Zabrzmiało to słabo, płaczkliwie. Przygryzła wargę. Nie. Nie będzie płakać. Znajdzie wyjście.

Isbet milczał długą chwilę.

– Zamieszkaż w gnieździe. Będiesz towarzyszką i głosem Vesui...

– Nie wiecie, prawda? – Otarła łzy z oczu, nie przejmując się tym, co Avile sobie pomyśli. – Nie macie bladego pojęcia, co się stanie tam, w gnieździe. Ale to nie będzie się już dla was liczyć. Będziecie mnie tam więzić i, i...

– Zaihab – powiedział ostrzejszym, ostrzegawczym tonem.

– Nie mów tak do mnie!

– Proszę, posłuchaj mnie – westchnął. – Gniazdo to nie więzienie. Będiesz miała tam wszystko, czego sobie zażyczysz. Będiesz żyć wygodniej niż kiedykolwiek do tej pory.

Przełknęła ślinę.

– Co się stało z poprzednimi hierodulami?

Szelest materiału, jakby mężczyzna bawił się jakąś tkaniną.

– Nie wiecie – odpowiedziała sobie sama.

– Niektórzy żyli bardzo długo – odparł po chwili.

– Nigdy nie opuszczając świątyni.

– Dokładnie tak.

Znów otarła oczy.

– Zaihab, nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że to najlepszy los, jaki mógł cię spotkać. Alternatywą byłaby kara śmierci. Za zdradę, magię, szpiegostwo... Próbuję cię ochronić.

Wytarła nos w krawędź koca. Chciała powiedzieć, że wolałaby zginąć – ale nie miała odwagi. Wiedziała też, że to byłyby puste słowa. Z trudem zmuszała się do

zamknięcia, które powodowało tymczasowy dyskomfort. Na samą myśl o zrobieniu sobie krzywdy przeszył ją dreszcz.

Póki żyła, mogła uciekać.

– Zostaw mnie samą – powiedziała do isbeta.

Avile odsunął krzesło i wstał.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedział. – Dlaczego tu przybyliście? Ty i twoi rodzice?

W jego głosie zabrzmiał smutek, w który Zaihab niemal uwierzyła: rezygnacja właściwa dla kogoś, kogo okoliczności zmusiły do podjęcia potwornej decyzji. Jakby to jej rodzina była winna temu, co zrobił.

– Nie wiem – odburknęła.

Dał jej chwilę, jakby chciała zmienić zdanie.

– Nieważne już – mruknął, gdy nie padła żadna inna odpowiedź. – Odpoczywaj.

Ostatnie słowo zabrzmiało jak obelga. Zaihab skuliła się, otulona kocami. Liczyła na to, że się rozpłacze; niechby nawet na oczach strażników. To, być może, przyniosłoby jej ulgę. Tymczasem nie czuła nawet smutku, tylko paralizujący, lodowaty strach. Została sama. Nie tak, jak sobie wyobrażała. Nie potrafiła nawet pojąć, że już nigdy nie usłyszy głosu rodziców. Że ich ostatnia rozmowa była kłótnią – i że jeszcze nie tak dawno fantazjowała o zupełnie innej ucieczce.

Potem przypomniała sobie dłoń matki wpychającą ją pod wodę.

Przykryła głowę ramionami, próbując odpędzić wspomnienie przejmującego zimna. Ale nie mogła się ukryć przed stworzycielem. Cały czas czuła na sobie jego nieruchomy wzrok, jakby Vesui przenikał spojrzeniem jej skórę i leniwie przyglądał się jej emocjom.

Zaihab nie miała z nim szans. Mogła tylko bezsilnie pozwalać, by otepiający strach uderzał w nią nowymi falami, aż znów zapadła w sen.

W swojej karierze Avile dopuścił się wielu rzeczy, o których starał się nie myśleć. To, co zrobił Zaihab, było tylko kolejną z nich. Ale nie mógł zapomnieć wyrazu jej twarzy, gdy zdała sobie sprawę, że nie przyszedł do niej, by jej pomóc.

Jeśli Zaihab kiedykolwiek dowie się, co zrobił naprawdę, znienawidzi go na zawsze. Ta myśl mu ciążyła, lecz jednocześnie wściekłość dziewczyny zamkniętej w skalnej wieży wydawała się rozsądną ceną za uratowanie Nuhy i Adiry.

Avile nie wiedział tylko, czy jego przyjaciele to rozumieją.

Przyjaciele. Jedno słowo, w którym próbował zamknąć całą ich skomplikowaną relację, dwadzieścia lat splatania i rozplatania wspólnych ścieżek. On, ambitny student, w którym krew Rasenów odezwała się na tyle wyraźnie, by uczynić go celem pośmiewiska i ataków. I dwójka badaczy, którzy kiedyś uratowali mu życie; którzy zdawali się kochać dawną Rasennę na swój pokrętny sposób. Ostatnio coś musiało się zmienić, skoro szukali kontaktu z nimrodem, od którego pochodził kościany znacznik Nuhy; ale i Avile nigdy nie był wobec nich w pełni uczciwy. Mimo kłamstw i nieudomówień między nimi, nie miał jednak nikogo bliższego. I nie chciał nawet wyobrazić sobie świata, w którym pozwolił skazać ich na śmierć.

Wiedział, że już ich nigdy nie zobaczy. Jeśli nawet ich ścieżki znów by się przecięły, to przyjaciele nie będą chcieli go widzieć.

Za to przeżyją.

Zatrzymał się na progu więzienia. Dolny pałac mieścił tylko kilka cel, schowanych w najgłębszej części – z myślą o tych, których obecność nie powinna być odnotowana w miejskim systemie sprawiedliwości. Był to pomysł poprzedniego isbeta. Teraz Avile podziękował mu w duchu. Wyjął pęk kluczy.

Wiedział, że za tymi drzwiami coś się skończy. Mimo to musiał przestąpić próg. Musiał opowiedzieć swoją wersję wydarzeń. Jego przyjaciele zasługiwali na prawdę, choćby mieli go za nią znienawidzić.

Drzwi ustąpiły bez najcichszego jęku.

– To ja. – Avile przycisnął policzek do zakratowanego okna. Wydało mu się, że w ciemności celi dostrzegł ruch.

Isbet przełknął ślinę.

– Zaihab jest bezpieczna. – Oczywiście z ich punktu widzenia nie była. Oddał ją stworzycielowi. – Jest zdrowa. Rozmawiałem z nią dzisiaj.

Odpowiedziało mu ciche łkanie. Gdy jego oczy przywykły do półmroku, zdołał wyróżnić dwa skulone na pryczy kształty; Adira z odsłoniętą głową opierała się o ramię męża. Nieruchome oczy Nuhy lśniły.

– Jutro z miasta wyruszy konwój, który zabierze was do centralnej Saady. Tam będziecie wolni. Kapitan wie, gdzie ma was zaprowadzić. Jeśli będziecie potrzebować dokumentów... Tak, najlepiej, jeśli zaczniecie od nowa. – Obliznął wyschnięte wargi. – Nikt nie będzie was niepokoił. Tylko błagam, nie wracajcie do Sahit.

Zamilkł w oczekiwaniu na odpowiedź. Cienie wewnątrz celi ani drgnęły.

– Wygnanie było najłaskawszym, co mogłem dla was osiągnąć – dodał słabym głosem. – Według naszych dokumentów nigdy nie przekroczycie bram miasta.

Cisza.

– Gdybym nic nie zrobił, zabiliby was! – syknął, przyciskając twarz do okienka. – Musiałem coś zrobić!

Przez chwilę znów był studentem, przypominał sobie wszystkie dni spędzone w towarzystwie Nuhy i Adiry, ich przyjaźń mimo różnic, które według wszystkich prawideł powinny były ich podzielić, mimo lat rozłąki. Nie wiedział, jak może im wytłumaczyć, że nie potrafiłby beczynnienie przyglądać się ich śmierci. Marzył, by go zrozumieli.

Nuha popatrzył na niego poprzez kraty. Jesteśmy sobie całkowicie obcy, mówiło to spojrzenie. Avile cofnął się o krok. Płomień w oczach Nuhy przygasł, na powrót ustąpił miejsca rezygnacji.

– Zostaw nas. I nie przychodź tu więcej.

Zanim Tisar dotarła do Sahit, Avile liczył, że jeśli zobaczy ją w mieście, to w kajdanach – gdy ktoś wreszcie ukróci działania samozwańczej kondotierki. Tymczasem jej banda rosła w siłę, legenda Tisar wyprzedzała kobietę, a Avile i Osun odkryli, że potrzebują buntowniczkę.

– Oszalałeś – powiedział Osun, gdy po raz pierwszy usłyszał jej imię z ust isbeta.

Avile tylko czekał, aż kasser pogodzi się z tą myślą.

Osun w zamyśleniu przygryzł wargę, wreszcie uderzył dłonią w stół.

– Więc teraz dogadujemy się z pospolitymi rozbójnikami?

– Z kimś, z kim i tak musimy się liczyć w ten czy inny sposób.

– Oszalałeś – powtórzył Osun.

Avile wyłamał palce.

– Nie mamy armii.

Żadne z miast Nowej Saady nie utrzymywało wojsk. Postanowienie Żrenicy nie pozostawiało wątpliwości: miasta miały się zjednoczyć. Nie powinny dysponować środkami wystarczającymi, by przypuścić atak. Potencjalne zagrożenie pochodziło z zewnątrz; by bronić miast, powołano straż, lecz nie była ona tożsama z armią. W tym jednym Osun i Avile byli zgodni: żaden nie chciał odrzec Sahit z ochrony. Musieli znaleźć lukę w prawie.

– I chcesz polegać na jej bandzie? – Głos Osuna ociekał jadem. – Na nomadach i zabijakach uzbrojonych w kije? Kompania Buław przeciwko Taarut?

– Będziesz musiał jakoś przełknąć to, że twoja generał wywodzi się z ludu – rzucił chłodno Avile.

Choć legenda Tisar obrosła w najbardziej wymyślne historie i detale, jedno było pewne: rozbójniczka i samozwańcza kondotierka zyskała sławę po tym, jak

za pomocą pasterskiego kija uśmierciła atakującego ją szlachcica. Ognisko zabitego domagało się zemsty; elity Sahit zawrzały z oburzenia, że chłopka, której nie wolno było nosić przy sobie broni, nie ukorzyła się przed kimś znaczniejszym. Tisar natomiast uczyniła z prowizorycznej broni swój symbol.

– Nie przeszkadza mi jej pochodzenie. Przeszkadza mi, że to zwykła rzeźniczka – warknął Osun.

– Która jest w stanie pociągnąć za sobą tłumy – podkreślił isbet. – I która ma bardzo dużo do stracenia.

– I co, ułaskawisz ją?

– Na dobry początek. Pozostanie pod naszą kontrolą. Zresztą nie sądzę, by odnalazła się w strukturach władzy.

Osun pokręcił głową.

– Będziesz tego żałować, Avile.

– Jeśli masz lepszy pomysł, chętnie go wysłucham.

W milczeniu kassera zawarła się cała jego wściekłość.

– Na twoją odpowiedzialność – powiedział wreszcie, choć obaj wiedzieli, że jeśli jeden z nich straci urząd, pogrąży też drugiego.

Parę pentad później Tisar pojawiła się w Sahit.

– Odłóż broń.

Tisar odpięła od paska pałkę obitą cyną i uśmiechając się krzywo, podała ją strażnikowi. Chciała, by wiedział, że nie potrzeba jej żadnej broni.

By nie pomyślał, że się boi.

Za nią stało dwóch jej najwierniejszych ludzi: Smuga, za którego dałaby sobie odrąbać obie dłonie, i Adhan, z tego samego ogniska; z ładniejszą buźką, której jeszcze nie zniekształciły blizny, ale bez niesamowitego intelektu malującego się na obliczu Smugi.

Uniosła rękę na pożegnanie.

– Poradzę sobie dalej sama.

Ale nie miała co do tego pewności. Pałac przytłaczał ją ogromem. We wsi, z której pochodziła, nie było budynków postawionych w czasach Rasenny. Widok białych budowli budził w niej nieufność, ale i niemal nabożny lęk. Tisar na powrót stała się małą dziewczynką, zachwycona elegancją nieprawdopodobnej architektury. Musiała się powstrzymać, by nie zadzierać głowy i nie okazywać, jakie wrażenie robi na niej to miejsce. A był to, przypomniała sobie, zaledwie dolny pałac.

– Tędy – pokierował ją strażnik.

Minęła wysokie łukowate drzwi, pokryte złotym wzorem i saadyjską kaligrafią przeplataną motywami roślinnymi. Powstrzymała odruch obejrzenia się za siebie.

W komnacie siedziało dwóch mężczyzn. Pierwszy, krótko ostrzyżony, o posępnej twarzy, ledwo skinął jej głową. Drugi, jasnooki, wstał na powitanie. Na jego szyi zauważyła ten sam symbol, który wyryto na kościanym znaczniku przytwierdzonym do wiadomości. Nosila teraz ten znacznik przy sobie, jako symbol tymczasowej amnestii. Sygnaturę Avile sur Irsa.

– Witaj – powiedział, uśmiechając się lekko.

Tisar skinęła głową.

Ton mężczyzny był zapraszający, ale po raz pierwszy Tisar pomyślała, że może nie wyjść z pałacu żywa. Mimowolnie potarła odsłonięte przedramię, na którym wykwitła gęsia skórka. Wolała, by gospodarze tego nie dostrzegli.

– Chcieliście porozmawiać. – Niemal przestraszyła się własnego zwielokrotnionego głosu.

– Tak. To zajmie chwilę. – Avile wskazał jej poduszkę między nim a mężczyzną, który musiał być drugą dłonią zarządcy. Tisar usiadła, próbując zgadnąć, który z nich jest isbetem.

Avile ostrożnie dobierał słowa. Przez cały czas nie spuszczał oczu z twarzy kobiety. Palce lewej dłoni rozpostarł na dokumencie obciążonym garścią kościanych znaczników. Kluczył. Pozwalał na dygresje tak odległe od tematu, jakby chciał zgubić jej uwagę. Tisar wyłowiła jednak najistotniejszą wiadomość.

– Chcecie, żebym poprowadziła jebaną armię?

Starszy skrzywił się ledwo dostrzegalnie. Avile znów się uśmiechnęła.

– Można tak to nazwać.

Tisar zabębniła palcami o krawędź stołu.

– Co będę z tego mieć?

Kościany znacznik nagle stał się bardzo lekki. Tisar skłęła się w myślach. Weszła w pułapkę, nawet jej nie zauważając. Zawierzyła gwarantowi bezpieczeństwa, choć ten można było jej łatwo odebrać. Miała tylko słowo Smugi i Adhana. Na których, podobnie jak i na nią, wydano wyrok śmierci.

Zaufała Avile, gdy odpowiedziała na jego pismo, teraz nie miała wyjścia – musiała ufać mu dalej.

Odpowiedział jej drugi mężczyzna:

– Ułaskawimy cię.

Parsknęła z niedowierzaniem.

– Dostaniesz tytuł szlachecki – dodał z tą samą, niechętną miną.

– Nie żartujemy, Tisar – poparł go Avile.

Potrzebowała tylko chwili na podjęcie decyzji.

– Ułaskawicie mnie i moich ludzi – powiedziała, patrząc w oczy obcemu urzędnikowi. – Wszystkich. Bez nich nigdzie nie pójdę.

Czekała w napięciu na odpowiedź. Starszy wywrócił oczami. Avile rozmasował skronie.

– Chcę ich w mojej armii – dodała. Serce tłukło się w jej piersi.

Ale już to powiedziała. Nie cofnie tego. Albo ułaskawią całą bandę, albo nikogo.

Starszy mężczyzna już otwierał usta, by coś powiedzieć, ale Avile go ubiegł.

– Całą Kompanię Buław. Obiecuję.

Drugi uniósł tylko dłonie w geście symbolizującym zrzeczenie się odpowiedzialności. Avile przymknął oczy, bawiąc się sznurkami od znaczników. Tisar za to nie mogła powstrzymać zwycięskiego uśmiechu.

– Wchodzę w to.

Ledwo zabrano sprzed Avile resztki śniadania, do apartamentu wszedł Sirin, niedysyjszy ambasador Sahit w Taarut. Mężczyzna bez pytania usiadł na dywanie naprzeciwko isbeta. Avile zmarszczył brwi, lecz nie skomentował uchybienia etykiety.

– Twoi ludzie nie uprzedzili mnie – zaczął dyplomata. – Zaskoczyłeś nas wszystkich, wywożąc mnie jak pakunek w środku nocy. – Poczzerwieniał lekko. – Cała moja praca włożona w załagodzenie konfliktu poszła na marne. Gratuluję.

Avile słuchał, unikając patrzenia na ambasadora.

– Jeszcze masz szansę. Taarutańcykom grunt pali się pod nogami. Będą skłonni ci wybaczyć nawet zerwanie stosunków dyplomatycznych.

– Oczywiście – mruknął Avile.

– Jeśli tylko szybko wyślesz posłańca.

Isbet milczał przez długą chwilę. Wreszcie dawny ambasador nie wytrzymał.

– Możesz być z siebie dumny. – Wstał. – Udało ci się zniszczyć pokój miast. Zapomniałeś chyba, że mamy być przedmurzem Saady i gwarantem jej bezpieczeństwa. Ale możesz teraz wypowiedzieć Taarut wojnę, opierając się na bajaniach o magach. Przyjmij wyrazy uznania. – Z ironicznym uśmiechem dotknął pięścią czoła.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Ambasador zacisnął zęby. Avile nie skulił się pod jego gniewnym wzrokiem. Nie podjął wyzwania, nie zaoferował zadośćuczynienia.

– Po co ci to było? – Mięśnie zuchwy dyplomaty pracowały intensywnie, jakby musiały zemleć wszystkie niewypowiedziane gniewne słowa. – Ty mnie przecież

tam wysłałeś. Przez pięć lat działałem wbrew tobie, wbrew Sahit. Po co?

Avile, wciąż siedzący nad notatkami, ani drgnął.

– Dziękuję, min Sirin – powiedział łagodnie, ale stanowczo.

Mężczyzna zawahał się, jednak odszedł bez słowa.

Avile ścisnął nasadę nosa między palcami. Ledwo jednak opuścił dłoń, a kilim wiszący w drzwiach poruszył się ponownie. Stała w nich Tisar, krzyżując ramiona. Zdawała się zastawiać sobą całą ich szerokość. Bładoniebieskie linie tatuażu oplatały jej żylaste ramiona, poprzecinane tu i ówdzie białymi kreskami blizn. Avile mógł zawołać służących – byłiby tu w kilku susach – lecz Tisar, gdyby chciała, potrzebowałyby mniej czasu, by skręcić mu kark.

Bał się jej. Ona bała się jego. Na razie impas był mu na rękę.

– Sam polecieś uprowadzić swojego ambasadora w Taarut – wycedziła. – Ciekawe.

– Dzień dobry, Tisar – westchnął Avile. – W czym mogę ci pomóc?

Nie zdziwiło go nawet, że podsłuchiwała. Na jej miejscu też chwyciłaby się wszystkich dostępnych środków w tej nieuczciwej grze. Jeśli coś zobaczyła, działało to tylko na jego korzyść. Odnotował w myślach, by postawić strażę w korytarzu przed gabinetem.

– Możesz mi wyjaśnić pewną rzecz. – Kondotierka oparła but na rzeźbionej krawędzi ławy. – Co próbujesz osiągnąć? O co ci chodzi?

Udało mu się nie skrzywić.

– Obawiam się, że nie rozumiem, co masz na myśli.

Tisar kopnęła w ławę.

– Zatrudniasz mnie, a potem ustawiasz przedstawienie. Obchodzisz się z Taarut jak z jajkiem. Jak to mam rozumieć? – Zacisnęła wargi. – Na czym polega twoja nowa gra?

Avile splótł dłonie na kolanach.

– Chciałabym ci przypomnieć – ciągnęła kobieta – że moja banda stacjonuje pod murami twojego miasta. Do Sahit mamy bliżej niż do Taarut.

Reakcja na groźbę byłaby poniżej jego godności.

– Nie mam zamiaru zrywać kontraktu z tobą, Tisar. Warunki naszej umowy pozostają bez zmian.

– Czy na pewno? – Zamrugła niespokojnie.

– Czy chcesz, bym dostarczył ci potwierdzenie na piśmie? – Avile westchnął ze zrezygnowaniem. Zmęczenie czyniło go lekkomyślnym, dźwięki i obrazy docierały jak przez mgłę. Powinien był postawić strażę przed drzwiami. Nie wpuszczać tu Tisar. Oszczędzić sobie jej widoku i głosu.

Śniada, spalona słońcem twarz kondotierki skrzywiła się w kpiącym uśmiechu.

– Już mam jedno pismo od ciebie i przyniosło mi ono tyle dobroci, że nie posiadam się ze szczęścia. Chcę tylko wiedzieć, dlaczego nie odwołałeś swojego ambasadora. Po co musiałeś go porywać?

„Po co musiałaś się tego dowiadywać?” – pomyślał z irytacją, rozważając nową strategię.

– A jak sądzisz? – odbił pytanie, zachowując maskę łagodnego spokoju.

– To miało być proste i jednoznaczne, min Avile. – Zaczęła krążyć po pokoju, deptając wzorzysty dywan. – Miałam zaatakować miasto, które nie chciało się podporządkować. Jasna sprawa, tylko skala trochę większa niż moje zwykłe przedsięwzięcia. Ale po co to przedstawienie? Jeśli chciałeś dać ludziom potwierdzenie plotki...

Urwała, raptownie przystając. Wściekłym gestem odrzuciła warkocz na plecy.

– Zaraza – szepnęła. – To nie jest plotka?

Avile pozwolił sobie na powolny, ostrożny uśmiech.

– To nie jest plotka – powtórzyła. – Wysyłasz mnie na miasto oblezione magami. – Roześmiała się gorzko. – Już wiem, czemu na czele armii masz ludzi bez ognisk i bez garści ziemi, nawet tutaj. Żadna z waszych szacownych miejskich rodzin nie chce skazywać swoich dzieci na wynaturzenie.

Wytrzymał jej wzrok. Rozmowy z Tisar przypominały mu stąpanie po ruchomych piaskach. Podsycał jej wściekłość; potrzebował tego. Musiał tylko pilnować, by gniew kondotierki nie zwrócił się przeciwko niemu.

Tisar zmrużyła oczy.

– Kto na to pozwolił? Kto nie obronił Taarut, gdy... gdy jeszcze było można?

– Pełnię funkcję isbeta w tylko jednym mieście.

Znów wybuchnęła śmiechem. Nie miała wielu złudzeń na temat tego, jak działa Nowa Saada; jeszcze zanim Tisar została bandytką, była nikim, pozbawioną praw chłopką z pośledniego ogniska. Ale wierzyła w to, że system miast wciąż działa, że ich zarządcy pilnują, by zaraza bogobójców nie rozpleniła się na nowo.

– Oczywiście – powiedziała. – Łatwiej poczekać, aż miasto osłabnie, i rozpętać wojnę. Kogo obchodzą jego mieszkańcy?

Pod jej wściekłym spojrzeniem Avile opuścił oczy.

– Choć próbowałeś zachować się honorowo, min Avile – zakpiła. – Uratowałeś jedyne go człowieka, który się dla ciebie liczył. Min Sirina.

– Tak – powtórzył głucho. – Uratowałem go.

Klasnęła w dłonie.

– Czy anaks wie, jak świetnie się spisałeś? Czy ktoś przekazał mu już dobre wieści? Czy Nowa Saada go w ogóle obchodzi?

Avile poderwał się na równe nogi.

– Nie obrażaj anaksa, Tisar.

Kondotierka nie cofnęła się.

– To musi być wygodne – powiedziała. – Mieć schorowanego anaksa jako kukielkę, która przypieczętuje każdą twoją decyzję...

– Przestań! – krzyknął. Udało jej się, wyprowadziła go z równowagi. – Nie waż się tak mówić o anaksie.

Patrzyli na siebie. Zielone oczy Tisar, obwiedzione kohlem, lśniły złowrogo.

– Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia? – zapytał isbet.

– Nie. – Zmusiła się do uśmiechu. – Dobrego dnia, min Avile.

Kondotierka odeszła. Avile policzył do pięciu, oparł czoło o chłodną ścianę i zasłonił głowę rękoma. Nie był dumny z tego, co właśnie zrobił. Jeśli dopadłyby go teraz echa wściekłych przeszłych, nie mógłby odmówić im słuszności. Ale nie widział innej drogi, niż trzymać się uparcie swoich kłamstw.

Dolny pałac wypełnił się hałasem przygotowań do powitania hieroduli. Arit przeciskała się między służbą i rzemieślnikami, po raz pierwszy w życiu czując się przytłoczona skalą wydarzenia. Przez chwilę zerkała ukradkiem na strażników przed pokojem Zaihab. W końcu zdobyła się na odwagę i poprosiła o pozwolenie na ponowne wejście. Musiała porozmawiać z Zaihab.

Zastała przyszlą hierodulę w trakcie przymiarek sukni. Włosy dziewczyny spleciono w ciasne warkocze biegnące tuż przy głowie. Znosiła zabiegi, którym ją poddawano, z obojętnym wyrazem twarzy, choć po jej drżących wargach było widać, ile ją ta obojętność kosztuje. Trzy służące krzątały się wokół niej, upinając na jej ramionach delikatną tkaninę. Udrapowany materiał odsłaniał bliznę na mostku, przypominającą ślad po oparzeniu. Zaihab zacisnęła dłonie na kolanach. Jej bierność nie ułatwiała kobietom pracy – choć nie było w tym złośliwości.

Gdy Arit wślizgnęła się do pokoju, Zaihab obróciła się ku niej, otwierając czerwone, zapuchnięte oczy. Jedna ze służących syknęła, pochylając się, by zebrać rozsypane szpilki.

Zaihab zaciskała dłonie. Nie chciała nikomu mówić, że jest z Taarut. Że oddano ją innemu bóstwu; nie Vesui, ale Opiekunce.

Ten sam rytuał praktykowano we wszystkich miastach Nowej Saady: pod opiekę w zamian za opiekę. W podzięce za łaskawość stworzycielki z Taarut Zaihab miała być gotowa bronić miasta przed magami. Przywilej mieszkania w lśniących miastach wymagał poświęcenia.

To nie były puste słowa. Zaihab mogła znajdować się daleko od Taarut, ale nie mogła zerwać łączącej ją z nim więzi. Chyba że uczyniłby to sowi stwórciel. Chyba że Taarut by upadło, a jego Opiekunka straciła moc.

Z zamyślenia wyträcił ją kwiatowy zapach perfum.

– Kto to? – zapytała niespokojnie. Ledwo przywykła do obecności służących. Gdy słyszała obcy głos, jej serce natychmiast przyśpieszało ze strachu. Każda nowa osoba była nowym zagrożeniem: jakby ci wszyscy ludzie budowali wokół niej żywy mur uniemożliwiający jej ucieczkę.

– Ja... chciałam ci się przedstawić.

Głos, należący do młodej kobiety, brzmiał znajomo. Czy ta osoba była już wcześniej w jej komnacie?

– Czy cię znam? – zapytała.

Była pewna, że już ją kiedyś słyszała, nie umiała tylko określić kiedy.

– Nie... nie, nie sądzę. – Obca odkaslnęła. – To znaczy byłam tu wcześniej, ale nie wiem, czy mnie zapamiętałaś. – Zacerpnęła tchu i znów zaczęła mówić. – Nazywam się Arit Kaab sur Alawi. Jestem... pracuję w anaktoronie, ale jestem też opiekunką gniazda. To znaczy... jestem tu po to, by niczego ci nie brakło.

Na te słowa kącik ust Zaihab uniósł się w tajonym gorzkim uśmiechu.

– Miło mi cię poznać – powiedziała, zmuszając się do przyjęcia tonu, który nie byłby otwarciem wrogi. – Jestem Zaihab.

– Zaihab? – powtórzyła Arit. – Z ogniska...?

– Po prostu Zaihab – rzuciła hierodula, krzyżując ramiona.

– Nie masz ogniska? – Dziewczynie niemal udało się ukryć nutę litości. – A... skąd pochodzisz?

Zaihab milczała z uporem.

– Skoro tak. – Arit sur Alawi westchnęła z rezygnacją. – Mam nadzieję, że nasza współpraca... ułoży się pomyślnie.

– Na pewno – odparła Zaihab ze złością.

Chwilę później pożałowała swego tonu. Arit nie była wszak niczemu winna. Ale w tym momencie symbolizowała dla Zaihab cały system, który uwięził ją w dolnym pałacu. Anaktorion. Dłonie anaksa. Całe to przeklęte, obce miasto. Żal nie był na tyle głęboki, by Zaihab zdobyła się na przeprosiny.

Sirin z trudem zachował maskę spokoju na myśl o zmarnowanych latach pracy. Musiał pogodzić się z decyzją isbeta – i anaksa, ostatecznie dłonie tylko przedstawiały decyzje, za które anaks odpowiadał przed Saadą i przed bóstwem.

Lecz znajomość hierarchii nie czyniła straty mniejszą, a wstydu – łatwiejszym do przełknięcia.

Nie zdążył nawet wyjść z dolnego pałacu. Ledwo minął wewnętrzny ogród, który chwilę temu oglądał z okien gabinetu isbeta, grupa strażników zagroziła mu drogę.

– Przepuście mnie – warknął, wciąż rozpamiętując rozmowę z Avile.

Strażnicy ani drgnęli.

– Rozkazy z pałacu – powiedział jeden z nich, wysuwając się przed grupę. Miał pociągłą twarz i wąskie czarne oczy.

– Musicie mnie przepuścić. Mam immunitet. – Ambasador odpiął od pasa pieczęć i podał ją mężczyźnie.

Strażnik przez chwilę przyglądał się pieczęci. Wytrawiono ją w kawałku kości wypolerowanym tak dokładnie, że prześwitywało przezeń światło; na to tło rzucono głębokie indygo geometrycznych glifów. Nie mogło być wątpliwości co do autentyczności tego małego dzieła sztuki. Strażnik ujął je w dwa palce, pozwalając, by rzucało miękki cień na jego dłoń.

– Już nie – powiedział cicho, rzucając pieczęć na podłogę i miażdżąc ją obcasem.

Sirin cofnął się o krok. Wiedział już, dokąd to zmierza – i przeklął w myślach obie dłonie Sahit, ludzi, którzy to zaaranżowali, bez wątplenia bez wiedzy anaksa. Wciąż mógł się stąd wydostać. Rozpoznał ostrożny ton strażnika, sposób, w jaki ten unikał jego spojrzenia. Nawet pozbawiwszy go insygniów, tamci wciąż się go bali. Nie wiedział dlaczego – ale nie musiał, by to wykorzystać.

– Musiało zajść jakieś nieporozumienie, o którym będę skłonny zapomnieć, jeśli zostanie szybko wyjaśnione – powiedział chłodno, podchodząc do strażnika. Teraz to czarnooki się cofnął.

– Rozkazy były jasne – powiedział.

– Czyli jakie? – Ta sytuacja była tak absurdalna, tak niemożliwa. Tylko Osun mógł to wymyślić.

– Aresztować.

– Pod zarzutem? – Ambasador uniósł brew.

– Zdrady – odpowiedział strażnik, zaciskając szczęki.

W jego zachowaniu kryła się uległość wobec kogoś o wyższej pozycji. „Dobrze – pomyślał ambasador. – Niech pochodzenie działa na jego korzyść”. Ale było w tym coś innego, czego jeszcze nie rozumiał.

– Nie zostawiasz mi wyjścia – powiedział strażnik.

Ambasador szybko rozważył swoją sytuację. Wyciągnął ręce przed siebie, wnętrza dłoni kierując do góry.

– Przekażcie Osunowi, że myli swój urząd z grą.

Wtedy zauważył detal, który powinien zaalarmować go od razu: wszyscy otaczający go strażnicy nosili rękawiczki bez palców, jak dawni nimrodowie. Staroświecki zwyczaj, mający chronić przed magią.

– Nic nie widziałem.

Powtórzył to zdanie po raz kolejny, powtarzał je raz po raz, aż straciło znaczenie. Siedząca naprzeciwko dwójka ludzi wymieniła zirytowane spojrzenia. Oni też nosili rękawiczki. Gdy dawny ambasador zobaczył tę dwójkę po raz pierwszy, zaczął się śmiać – ale im wcale nie było do śmiechu, traktowali skażenie zepsutego miasta z absolutną powagą.

I ze strachem. Tak, nagle stał się kimś, kogo inni się obawiali.

Pod ich wpływem on też zaczął się bać – siebie samego.

– Nic nie widziałem.

Kobieta tylko skinęła głową. Mężczyzna westchnął ciężko i usiadł na podłodze przed ambasadorem.

– Zrozum. Nie oczekujemy, że powiesz nam o tym, co widziałeś... że cokolwiek widziałeś. Nie tak działa to przeklęte miejsce. Gdyby jego magia była tak oczywista, jak ci się wydaje, rozpoznalibyśmy ją natychmiast. Ty, spędziwszy tam lata, byłeś z naszej winy wystawiony na to...

Dawny ambasador przestał go słuchać, nagle skupiony na ciepłe rozlewającym się w jego piersi. Przycisnął dłonie do mostka. Jakby słowa oprawcy – bo tak o nim myślał, choć przecież ani mężczyzna, ani kobieta nie używali przemocy – obudziły coś, co mieszkało w jego ciele od dawna, co zagnieździło się tam, wykorzystując jego nieuwagę. Gorący, lepki okruch tuż obok jego własnego łomoczącego serca.

Okruch gorąca zaczął pochłaniać wszystko inne: imiona, historię, pamięć. Wzerał się we wspomnienia jak gangrena, przetwarzając je i budując na nowo. Niewidzialne ręce dawnych raseńskich magów kształtowały go z taką łatwością, z jaką rzeźbiły w skale, ale nie dbając o precyzję szczegółów – czyniły go grubo ciosanym, niezgrabnym, zapatrzonym w swoje zainteresowania i własne skromne ambicje.

Puste nieba, zawiść wobec Osuna, którą karmił się od początku swojego więzienia, wydawała się teraz tak trywialna.

Strażnik znów pokiwał głową, a jego towarzyszka szerzej otworzyła oczy.

– To Taarut? – zapytał słabym głosem mężczyzna, który kiedyś mieszkał w pałacach zgniłego miasta.

– Taarut – powtórzył jego oprawca, jego opiekun. – Miasto zamieszkane przez cienie.

Iluzje osób. Dawny ambasador się wzdrygnął. Przeszywały go dreszcze, choć lekko gorąco w jego piersi nie słabło. Zaczął się bać, że to on opadnie z sił pierwszy.

– Co masz na myśli? – zapytał, zmuszając się do skupienia całej swojej uwagi na przesłuchującej go parze.

– W tym mieście nie ma już ludzi. Nie w naszym rozumieniu tego słowa, choć owszem, mają ciała. Ale... ich płomień przygasł, coś go zastąpiło. Taarut stało się swoim własnym odbiciem. Wiernym, lecz martwym – odpowiedział strażnik.

– Dlaczego? – Zerwał się z ławy, zapomniawszy o łańcuchach wokół kostek. W tym momencie był wdzięczny, że jest trzymany na wodzy: razem z nim spętano ten okrucuch w jego sercu.

Kobieta oparła podbródek na pięści.

– Nie wiemy – odrzekła. Ani na chwilę nie odwróciła czujnego spojrzenia od twarzy dawnego ambasadora. Nie kryła swojego strachu ani tego, że ta sytuacja ją przerosła. – To nie byłby pierwszy taki przypadek...

– Kościane miasta – powiedział cicho.

Potwierdziła ledwo dostrzegalnym ruchem głowy.

– Być może Taarut będzie następne. Być może... po nim upadną inne miasta. Nie wiemy.

– Moglibyśmy się tego dowiedzieć – powiedział z wyrzutem jej towarzysz. – Gdyby...

Kobieta położyła palec na ustach, ale więzień pamiętał jeszcze, na czym polegała jego praca: na wsłuchiwanie się w okrucuchy szczerości, czytaniu z twarzy tego, co jego rozmówcy chcieli ukryć. Pamiętał też o nimrodach, o tym, jak celebrowano ich pracę, nim skazano ich jako zbrodniarzy wojennych. Nieszawni rzeźnicy Rasenny, którzy chcieli zrozumieć jej magów, znaleźć lekarstwo na ich przekłętą pieśń – i uciszyć je, raz na zawsze.

Popatrzył w oczy strażniczki.

– A co będzie ze mną?

Kobieta się skrzywiła. Odpowiedział jej towarzysz.

– Tego też nie wiemy. Chcemy, żebyś był... bezpieczny. Byś wyzdrowiał.

– Wyzdrowiał – powtórzył za nią.

– Nie możemy ci niczego obiecać. – W głosie mężczyzny dało się słyszeć irytację.

– Nie możemy cię też wypuścić – powiedziała, jak echo, kobieta.

Dawny ambasador – wciąż trzymający się tej ostatniej tożsamości, z którą zdążył się zżyć i oswoić – zapomniał na chwilę o gorącej czerni w jego piersi.

Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to jego kolekcja tkanin, która została w Taarut. Zbiory należące do kogoś, kto celebrował życie i podziwiał jego przejawy. Własność sprawnego mówcy, któremu znajomości pieśni pozazdrościłby niejeden aojda. Mężczyzna popatrzył na swoje dłonie – wciąż lśniły na nich pierścienie, których mu nie zdjęto, ale za paznokciami zebrały się obwódki brudu, a skóra na knykciach była sucha i spękana.

Ile dni?

Pentad?

Pytań, na które nie umiał odpowiedzieć inaczej, niż: „Nic nie widziałem”? To była najdokładniejsza miara czasu, jaką dysponował, najlepiej oddająca jego stan. A i tak nie dawała mu dobrego pojęcia, od jak dawna przebywał w uwięzieniu.

Osunowi na nim nie zależało – on, więzień, gdyby tylko chciał, mógłby zrobić sobie krzywdę. Miał jedynie siedzieć w zamknięciu.

Osun się go bał. Chciał go oddzielić od innych.

Więzień też bał się siebie. Ale bardziej bał się Taarut.

Nie zorientował się nawet, kiedy zaczął płakać. Skulił się, a jego oprawcy przypadli do niego i objęli urękawiczonymi dłońmi. Prawie uwierzył, że będą w stanie upilnować jego czerni.

Na ławie między Arsadem a bratem Lairy leżała odcięta dłoń.

Chemikalia, w których Arsad ją zakonserwował, zmieniły głęboki, ciepły brąz skóry w chorobliwą szarość. Brakowało kciuka – to po starej bliźnie Arsad poznał, że ręka należała do Lairy. Na pozostałych palcach wciąż widniały proste miedziane obrączki mające przynosić szczęście i złoty pierścionek z okruczem korundu gwarantujący pewność ruchów. Dłoń kończyła się poniżej nadgarstka ziejącą raną.

Tyle zostało z jego przyjaciółki. Tyle był winien jej rodzinie. Ale nawet teraz czuł się intruzem w jej domu. I wciąż nie wiedział, czy nie sprawi tym kłopotów jej ognisku.

Jeśli opierać się na saadyjskich dokumentach, nimrodowie nie istnieli – byli co najwyżej legendą z czasów podboju, grupami łowców, którzy ruszyli w pościg za magami. Z czasem okazało się, że nie docenili swoich przeciwników. Saada ogłosiła zwycięstwo, ale ziemie dawnej Rasenny wciąż rozbrzmiewały tą przeklętą pieśnią; z pokolenia na pokolenie przekazywano sobie historie o ludziach, w których odżywała magia, brzydsza, zwodnicza siostra cudu. Rasenna jeszcze się nie poddała.

Oficjalnie jednak jej język był zakazany, a wiedza o dawnych zwyczajach budziła podejrzliwość. Między szukaniem magów a staniem się jednym z nich biegła bardzo wąska granica.

Brat Lairy wyjął z kieszeni sakiewkę z wysuszonymi liśćmi, nabił nimi fajkę, zapalił.

– Czy Taarut jej to zrobiło? – zapytał, wypuszczając w wieczorne powietrze kłęby dymu.

Arsad powiódł wzrokiem ku Taarut. Między domem Lairy a murami białego miasta zaczynały jarzyć się ogniska. Było ich wyraźnie mniej niż kiedyś.

– Nie wiem.

– Mówią, że w Taarut zalegli się magowie – nie ustępował tamten. – Że taarutańska stworzycielka oszalała.

– Nie wiem – powtórzył Arsad. – Nie potrafię przewidzieć, co zrobią stworzyciele. Po tym, co spotkało ich z rąk Rasenów, powinniśmy się cieszyć, że nie oszaleli wszyscy.

Umilkł, wpatrzony w ogniki.

– Wkrótce gdzieś się wyniesiemy – brat Lairy przerwał ciszę. – Nic tu po nas. Nie ma dnia, żeby z Taarut i okolicznych wsi ktoś nie uciekł. Jest nas zbyt niewiele, żeby się obronić.

– Gdzie indziej będziecie jak trędowaci. Gorzej.

– Może nie? – Uśmiechnął się blado. – To i tak lepsze niż bycie stratowanymi przez wojska Sahit.

Arsad wzruszył ramionami.

Mężczyzna wypalił fajkę, wysypał popiół w trawę i roztarł go butem.

– Chodźmy – rzucił.

Arsad życzył krewnym Lairy dobrej nocy i rozłożył posłanie w przeznaczonym mu pokoju. Wygładził ręką wilgotne koce. Zza ściany wciąż słyszał przyciszone rozmowy o Taarut.

„Wszyscy się boimy – pomyślał Arsad. – Historia zatoczy koło. Nie spisaliśmy się tak dobrze, jak uważaliśmy”.

Laira czegoś się bała. Dlatego próbowała się z nim skontaktować. Dlatego Arsad, choćby chciał, odrzucił najprostsze wyjaśnienia: że ściągnęła na siebie watahę zdziczałych, przetworzonych psów, jakich wiele błąkało się po Nowej Saadzie. Że krzywo spojrzęła na jakiegoś samozwańczego księcia bandytów, zwabionego w tę okolicę plotkami o upadku Taarut. Było bardziej prawdopodobne, że coś odkryła – i z sobie tylko znanego powodu wróciła w te okolice.

Przeklinając sen, który nie chciał nadejść, Arsad próbował odtworzyć ostatnie kroki Lairy. Co zrobiła? Czego się bała? Czy prosiła rodzinę o pomoc?

Taarut. Potarł powieki wierzchem dłoni. Wszystko wracało do Taarut. Laira czegoś tam szukała. Nawet Nuha i Adira przełknęli dumę i zwrócili się do niego o wiadomości ze zgniłego miasta. A jeśli stworzycielka z Taarut naprawdę oszalała...

Arsad zauważył, że jego ręce drżą.

Postanowił, że musi wrócić do Taarut. Był pewien, że podjął niewiele równie złych decyzji, ale był to winien Lairze. Przymknął oczy i czekał na świt – ze zniecierpliwieniem i z niepokojem.

Procesja pięła się ku siedzibie stworzyciela. Kształt skały sugerował, że ścieżkę dodano na samym końcu, bez refleksji nad wygodą podróżnych. Przesmyk zwięźlał się i zakręcał pod górę. Idąca na czele pochodu Arit trzymała przed sobą latarnię. Zakazała sobie patrzeć na migoczące w dole światła miasta.

Za nią, między strażami i młodszymi służącymi, szła Zaihab. Podpierała się laską, a w wolnej dłoni podtrzymywała skraj długiej wełnianej sukni. Na twarzy miała złoconą maskę uformowaną na podobieństwo sowiej głowy, z dziobem zasłaniającym nos i piórami okalającymi szpary na oczy. Zza maski nie było widać poszarzałej skóry dziewczyny ani jej ściągniętych brwi. Ale Arit nie potrafiła wyrzucić z pamięci tego obrazu.

Ale przecież – zrobiła tylko to, co należało zrobić. Ta dziewczyna, Zaihab, hierodula, też to zrozumie.

A jednak w pochodzie było coś smutnego, ostatecznego, przywodzącego na myśl pożegnanie, może i egzekucję. Część ludzi na pewno spodziewała się, że obca dziewczyna podzieli los poprzedniego samozwańczego hierodula. Sama Zaihab też musiała bać się wściekłości stworzyciela.

Weszli na szczyt: tu stworzyciel przekształcił skałę w zwieńczoną łukami kolumnadę i kilka pokoi mieszkalnych wyrzeźbionych w kamieniu. W środku gniazda widniała pusta przestrzeń z wgłębieniem, w którym palono ogień. W posadzce wyryto fantastyczne postaci i rośliny. Miejsce w niczym nie przypominało świątyni Niegasnącego; Arit nasuwało raczej skojarzenia z pośpiesznie rozbitym obozem, pełnym szeptów i cieni skrzydlatych duchów.

Zaihab stanęła pośrodku pomieszczenia, nasłuchując. Wiatr rozwiewał jej włosy. Płomień lampy odbijał się w złoconej masce. Arit pomyślała przelotnie, że może ta dziewczyna faktycznie będzie w stanie okiełznać gniazdo. Obłaskawić Vesui. Niech tylko zrozumie, dlaczego jest Sahit tak potrzebna.

Zaihab pokonała drogę do gniazda w otępieniu. Ledwo pamiętała muzykę towarzyszącą procesji i obce pieśni. Nie wiedziała nawet, kiedy strażnicy od niej odstąpili. Wszystkie dźwięki ucichły – z wyjątkiem czyichś niepewnych, nerwowych kroków.

– Teraz zostawię cię samą – powiedziała Arit, podnosząc głos, jakby zadawała Zaihab pytanie. Po dumnej szlachciance nie został ślad; teraz Arit była już tylko przestraszoną dziewczyną, którą przerosło powierzone jej zadanie. – Czy... czy czegoś potrzebujesz?

Zaihab ciaśniej owinęła się płaszczem.

– Może trochę wody? – poprosiła. Choć częstowano ją owocami i słodkimi bułkami, nie zjadła nic. I wciąż nie była głodna, lecz wargi spierzchły jej z pragnienia. Oblizwała je, walcząc z wrażeniem, że smakuje na nich morską sól. – I jakiś koc.

Arit bez słowa spełniła prośby. Niezdarnie narzuciła koc na ramiona Zaihab. Utkano go z miękkiej wełny, pachniał czymś miłym, obietnicą spokojnego snu, ale pod warstwami tkanin dziewczyna wciąż drżała.

– Czy mogę już iść? – szepnęła Arit, zabierając od Zaihab pusty kubek.

– Idź. Proszę.

– Wrócę o poranku – dodała z wahaniem.

Nie zdołała zamaskować pobrzmiwających w jej głosie emocji. Zaihab chciała ją poprosić, by obie stąd znikły, zostawiły tę przeklętą świątynię i jej chimerycznego boga, by przestały udawać, że ta przygniatająca odpowiedzialność to powód do dumy.

– Nie bój się – poprosiła na odchodnym Arit. Zaszurała pantoflami o posadzkę. – Jest... osobliwy, ale myślę, że dobroduszny.

Zaihab przygryzła wargę. Arit szybko odwróciła wzrok. Patrząc na cudzą rozpacz, czuła się jak intruz. Wolałaby nie dostrzec łez lśniących tam, gdzie twarzy Zaihab nie zasłaniała maska.

– Zostaw mnie już, proszę.

Zaszeleściły szaty Arit i arystokratka rozplynęła się w ciszy wieczoru.

Zaihab odczekała długą chwilę, obejmując się ramionami. Próbowała śpiewać – najpierw pieśni pożegnalne, potem, gdy wydawało jej się, że serce zaraz jej pęknie, kołysanki. Ale znajome słowa i melodie przestały jej pomagać. Wcześniej znajdowała oparcie w historii Nowej Saady – lecz dwieście lat pieśni nie wystarczyło wobec bliskości bóstwa.

Kulenie się nic jej nie dawało. Co najwyżej stanowiło rozrywkę dla Vesui. Musiała działać.

Ale żeby działać, musiała zamarznąć. Choć na moment skupić się na czymś innym niż strach. Działać mimo upiornego towarzystwa stwórcy. Wydawało

jej się, że to potrafi. Musiała chociaż spróbować.

Zostawiła złocone ozdoby, wzięła porzuconą laskę i skierowała się ku środkowi gniazda. Uklękła, opierając dłonie na krawędzi kamiennego paleniska. Pod sadzą wyczuła wyryty wzór, taki jak w potrzaskanych kapliczkach, które czasem mijała podczas podróży z rodzicami: ludzką postać z wyciągniętymi na boki kończynami, otoczoną węzowym labiryntem. Stworzenie zlewało się w jedno z zamykającym je światem.

„Taka jest materia cudów. Ze swojej natury bywają okrutne. Z konieczności są intruzyjne”.

Przesunęła palcem po miejscu, w którym powinna być twarz stwórcy. Znalazła nierówne zagłębienie – ktoś, być może sam Vesui, zniszczył ten fragment płyty.

Wysoko ponad jej głową, gniazdo otwierało się ku nocnemu niebu. Wiatr gwizdał w załamaniach kolumnady. Zaihab wydawało się, że siedzi na dnie studni. Dźwięki docierały do niej zwielokrotnione, nabrzmiałe echem; nie potrafiła ustalić, skąd dobiegają. Skrzyżowała ramiona, zbyt onieśmielona, by wykonać jakikolwiek większy ruch. Czekala.

Ponad wizgiem wiatru usłyszała inny odgłos: szelest piór, drapanie szponów o kamień, pojedynczy ptasi krzyk. Skrzydlate zaczęły kołować nad świątynią. Do pierwszego ducha dołączyły kolejne, nawołując głośno: sowy, jastrzębie, sępy. Zaihab czuła chłód ich wielkich skrzydeł, na skórze mrowiły ją spojrzenia wszystkich oczu Vesui.

Wiedziała już, że śledziły jej próby chowania się, że – choć ścigały ją poprzedniego wieczoru – zdążyła stać się ich siostrą. Bała się tego bardziej niż wrogości ze strony duchów. „Zostawcie mnie – chciała im powiedzieć. – Nie jestem i nie będę jedną z was. Oddano mnie pod opiekę innemu bóstwu. Nie powinno mnie tu być, nie zawłaszczycie mnie...” Przycisnęła ręce do boków, podczas gdy skrzydlate zacieśniały krąg.

Nie miała już dokąd uciekać. Obróciła w dłoni wisiołek pieśniarza, jedyną rzecz, którą ukryła przed służącymi w pałacu. Drobiazg należał do innej Zaihab. Przypominał, że poza skałą stwórcy jest cały wielki świat, do którego hierodula chciała wrócić.

Ale służący Vesui nie wracali. Tyle wiedziała – chimeryczne bóstwo wybierało sobie towarzyszy i nie wypuszczało ich do końca życia. Zaihab musiała się uwolnić. Nie wiedziała tylko jak.

Wiatr hulał wśród skalnych załomów. Skrzydlate duchy zlatywały się coraz liczniej, przysiadły na podłodze, wydziobywały resztki owoców z mis i roztrącały kwiaty.

– I nie podnoś swojej głowy, aż umilknie echo pieśni – dobiegło ją nagle. – Ono kiedyś też ucichnie. Cisza wolność twą obwieści.

Głos Vesui wznosił się i opadał.

– Będziesz żywić się tym kłamstwem do ostatniego oddechu – dokończył pieśń wersami, których Zaihab nigdy wcześniej nie słyszała. – Niechaj cisza cię nie zwiedzie. Nigdy nie dowierzaj echu.

Zachichotał i przykucnął naprzeciwko Zaihab, tak blisko, że czuła na skórze jego ciepły oddech.

– No i? – zapytał wreszcie.

– I? – powtórzyła za nim.

– To już koniec twojego repertuaru?

Zaihab w niedowierzaniu potrząsnęła głową.

– Mam ci śpiewać?

Vesui przez chwilę rozważał to pytanie, strosząc pióra.

– Czemu nie?

– Ściągnąłeś mnie tutaj, żebym ci śpiewała?

Zachichotał znów.

– Może.

Czuła na sobie jego uwagę. Wyobrażała sobie, jak bóstwo przekrzywia głowę i się jej przygląda.

– A właściwie – podjął z żywym zainteresowaniem – skąd znasz tę pieśń?

– Dostałam ją.

Vesui zagwizdał cicho.

– Cenny prezent. Albo kłopotliwy. I tak się składa, że niezupełnie ci wierzę, ale nie martw się, dojdziemy prawdy. Mamy czas.

– Dostałam ją – powtórzyła przez zaciśnięte zęby.

– Niech ci będzie – parsknął.

Mięśnie Zaihab pulsowały tęnym bólem, ale dziewczyna nie zmieniła pozycji. Siedziała na klęczkach, z pięściami opartymi o kolana. Nie wierzyła bóstwu – a im swobodniej zachowywał się Vesui, tym bardziej narastał jej niepokój. To musiała być pułapka.

– Nie wierzysz mi – powiedział, przeciągając słowa. – Spodziewasz się, że coś ci zrobię...

Coś zimnego przesunęło się po odsłoniętym karku Zaihab. Dziewczyna pisnęła i rzuciła się w bok, wtulając głowę między ramiona, co wywołało u bóstwa wybuch śmiechu.

– Spokojnie! – śmiał się Vesui swoim dziwnym głosem, który nie należał ani do dziecka, ani do dorosłego.

Zaihab wyprostowała się i otarła łzy wierzchem dłoni. Zimno, z którym walczyła w pałacowych komnatach, zdawało się wracać.

– Przecież to był tylko żart! – bronił się Vesui.

Skrzyżowała ramiona.

– Czy ty tu jesteś? – zapytała. Niejasno zdawała sobie sprawę, że ptasi stwórczytel znów zaczął krążyć wokół niej. Z szelestu na wietrze wyławiała ruchy jego skrzydeł. Jednocześnie słyszała szmer kroków i zgrzytanie szponów o kamień.

– Tak. – Głos stwórczytela rozbrzmiał blisko niej. – I nie.

– Gdzie jesteś?

– We śnie. Można powiedzieć, że śnimy razem.

– Ale wcześniej czułam twoją obecność. Na jawie. – Wzdrygnęła się na samo wspomnienie. – W mieście. I... na łodzi. Dlaczego?

– Miałem pozwolić ci głupio zginąć? – prychnął z niesmakiem.

Wciąż trudno było jej uwierzyć, że bóstwo mogło chcieć czegoś innego niż jej śmierci. Chyba że chciało zadać ją Zaihab osobiście. Instykt wciąż kazał jej uciekać. Ale...

– Nie – mruknęła. – Może w istocie nie.

– No widzisz. – Stwórczytel wykonał kolejny piruet i przycupnął przed dziewczyną. – Choć było to bardzo trudne. I męczące. A potem jeszcze nie mogłem cię znaleźć...

Sama się przed nim schowała. Przemilczała to, nie chcąc rozwścieczyć bóstwa.

Vesui natomiast milczeć nie zamierzał. Gadał bez przerwy.

– W każdym razie zazwyczaj jestem tutaj. Uznałem, że to coś, co chciałabyś wiedzieć, skoro takie sny będą się powtarzały, a myśl o mnie, co chcesz, ale nie lubię wchodzić w cudze marzenia nieproszony. Byłoby mi dużo łatwiej, gdybyś się tak nie opierała. I tak bardzo mi trudno się do ciebie dostroić.

Aż ją zatkało. Uszczypnęła się w ramię.

– A więc to nie jest prawdziwe? To tylko sen?

Vesui złapał ją wpół, okręcił się i popłynął w tanecznym ruchu ku krawędzi gniazda. Zaihab straciła oparcie pod stopami. Krzyknęła.

– Jak widzisz – powiedział, tłumiąc śmiech – to jest bardzo prawdziwe. Umysły ludzi są trochę bardziej przezroczyście podczas snu, ale przestrzeń w mieście jest... zawsze tak samo łatwa.

Postawił ją z powrotem na ziemi. Zaihab skuliła się i odsunęła ku środkowi gniazda. Zrozumiała, że nie powinna bagatelizować możliwości stwórczytela.

Zrozumiała też, że – jakkolwiek nieprawdopodobne jej się to wydało – bóstwo wcale nie zamierza jej zabić dla kaprysu.

– Ale to wszystko musi czemuś służyć. Po coś jestem ci potrzebna. Powiedz mi. – Ryzykowała. Z drugiej strony, czy mogło ją spotkać coś gorszego niż los, na który się przygotowywała?

Stworzyciel ziewnął przeciągle.

– Och, wiesz. Wy, ludzie, nie czujecie się dobrze, mówiąc do pustego gniazda. Potrzebny jest ktoś, kto będzie robił za przekaźnik. Za symbol. Stąd całe to złoto, którym cię tak hojnie obwiesili.

Zaihab mimowolnie pogładziła bogato haftowany płaszcz.

– I tylko tyle? – zapytała.

Całe jej życie – tylko za to, by mieszkańcy Sahit czuli się trochę lepiej, patrząc na fale przyływu uderzające w zatokę, pewni, że stworzyciel ich ochroni przed morzem?

– Tylko tyle oraz to, że czasem mi się nudzi i potrzebuję towarzystwa.

Zaihab przez chwilę była skłonna mu uwierzyć. Tędy wiodła najkrótsza droga, by dać się zwieść.

Nawet jeśli Vesui nie kłamał, to na pewno nie mówił całej prawdy. Mimo to Zaihab postanowiła spróbować grać tak, jakby mu uwierzyła. Podparła podbródek na dłoniach.

– Więc chciałeś towarzystwa. I padło na mnie, chociaż pochodzę z obcego miasta i byłam tu tylko przez chwilę. Co z dziećmi, które urodziły się dla ciebie? Mogłeś wybrać sobie kogokolwiek.

– No więc zdecydowałem, że to właśnie ty tu na trochę zostaniesz. Nie gościłem jeszcze nikogo z Taarut.

Na to nie miała żadnej odpowiedzi.

– A to mi się może przydać, skoro Taarut będzie moim miastem, prawda? Moje oczy tam nie sięgają, ale z twoją pomocą, kto wie? – Przysiadł bliżej, składając skrzydła z najcichszym szelestem.

Zaihab spróbowała się odsunąć. Nie podobała jej się ani ta sugestia, ani ton stworzyciela.

Do tej pory uważała – jak wszyscy – że stworzyciele są przykuci do swoich miast. Że Vesui nie może przekroczyć murów Sahit ani tym bardziej wejść do Taarut. Chyba że Opiekunka naprawdę opadała z sił.

– Nie byłam w Taarut od piętnastu lat. Nic nie wiem o tym mieście.

Zachichotał cicho, dotykając blizny na mostku Zaihab.

– Och, ale stworzycielka z Taarut wie coś o tobie. Ależ musi być teraz wściekła!

A więc o to chodziło. Nie o samopoczucie mieszkańców miasta. O więzieniu Zaihab zdecydowało tylko miejsce, w którym się urodziła – stworzycielka, której ją oddano. Stała się zabawką dwojga bóstw.

Zaihab czekała. Nie spodziewała się, że stworzyciel rozwinie tę myśl, ale nie chciała okazać po sobie zainteresowania. Ani strachu. Zaciskała dłoń na wisiorcu, powtarzając jak mantrę: „Zamarznij”. Nie mogła teraz myśleć o strachu. Czekala tak bez ruchu, nie wiedząc, ile minęło czasu.

Vesui wreszcie odskoczył od niej, rozganiając skrzydlate na boki.

– Wykaże trochę entuzjazmu! Złości! Czegokolwiek! – Dobiegł ją przykry zgrzyt, jak drapanie pazurami o kolumnę.

A więc jednak go rozwścieczyła. Panika uderzyła w nią nową falą. Zaihab przełknęła ślinę. Znow zaschło jej w gardle, dymny posmak zalepił usta.

– Czegoś ode mnie chcesz – powtórzyła.

– Tak. – Stworzyciel zaszeleścił skrzydłami. – O tym już mówiliśmy. Teraz na przykład chcę, żebyś przestała tkwić jak kołek na tym głupim placu.

Zawahala się. Wiedziała, czego ma nie robić. Przed czym ją przestrzegano. Co jest niebezpiecznie bliskie magii.

Czy miała jakiegokolwiek inne wyjście?

Nabrała tchu. Zdawała sobie sprawę, że po tym, co powie, nie będzie odwrotu.

– Nie o tym mówię. Wybrałaś mnie ze względu na Taarut i Opiekunkę, tak? I cokolwiek sobie wymyśliłeś, nie możesz tego zdobyć sam. – Vesui ucichł. Teraz naprawdę go zainteresowała. – Mogłabym ci pomóc, tak sądzę.

Już. Stało się. Przyjęła tę świadomość niemal z ulgą. Zdecydowała. Mogła wybrać rozsądne – honorowe – wyjście; wystarczyło podejść do krawędzi gniazda i rzucić się w dół, to byłoby tak proste. Z bóstwami się nie paktowało. Można było im uciec tylko w jeden – i tak niepewny – sposób. Ale wystarczyło wspomnienie gorzkiej, zimnej wody, by Zaihab wiedziała, że choć boi się Vesui, to śmierci boi się jeszcze bardziej.

Z gardła stworzyciela wyrwał się suchy klekot. Dopiero po chwili Zaihab zdała sobie sprawę, że słyszy jego śmiech. Zamarła, podobnie jak skrzydlate; ale Vesui opadł na posadzkę i nie mógł się uspokoić.

– To może być ciekawe – powiedział, gdy zdołał się uspokoić. Przysunął się bliżej Zaihab. Poczula znajomy zapach jego oddechu. Słodki. Niespodziewanie miły. – Naprawdę mi pomożesz?

Zaihab zamknęła oczy. Nie miała pojęcia, na czym jej pomoc miałyby polegać. Ale jak długo stworzyciel jej wierzył – jeśli jej wierzył – mogła działać. Starala się nie myśleć o niczym. Nie śnić o ucieczce. Musiała uspić jego czujność.

– Ha! – Nieludzka, krucha dłoń stworzyciela ujęła jej podbródek. – Strasznie dużo chcesz. – Zaihab otrząsnęła się, odtrącając go. – Ale to może być bardzo ciekawe... tylko musisz pamiętać o jednym: nie uwolnisz się ani ode mnie, ani od stworzycielki z Taarut.

– Czekaj. Co masz na myśli? – zapytała, ale Vesui zaklaskał w dłonie, a jego skrzydlate poderwały się do lotu.

Nahir

Choć święto zakończyło się, gdy księżycy chyliły się już ku zachodowi, Nahir mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Bezwiednie wodził palcem po świeżym strupie na podbródku. Tam, gdzie wkłuto atrament, pojawiła się gorąca opuchlizna. Dotykanie jej tylko wzmagало ból, ale Nahir nie mógł się powstrzymać.

Pamiętaj, skąd twoje źródło. Nie tylko jego rodzina go przyjęła – także on zgodził się, by stać się jednym z nich. Była to decyzja nieodwracalna.

Przyjęli go, gdyż był jedynym synem Lefarie. Ktoś musiał reprezentować ten wypływający ze źródła strumień – nawet jeśli miało to być dziecko buntowniczk i Saadyjczyka.

Nie znał swojego ojca. Jeśli wierzyć rodzinnej legendzie, Lefarie po prostu pewnego dnia pojawiła się z Nahirem w ramionach, oświadczając, że nie przyłoży ręki do wzmacniania swojego źródła. Nawet po latach ta historia bolała, przypominając o brakującym imieniu w malastrze i o tym, co Nahir kiedyś usłyszał na swój temat: niechciane dziecko. Saadyjczycy nie mieli źródła; pozostawali głusi na jego puls, bezradni wobec świata zakrzepłego w jednej formie. Byli, być może, zdaniem Lefarie wolni od obsesji końca epoki. Nahir mógł tylko zgadywać, co kierowało jego matką, gdy przebywała w Saadzie. I czy miała jakikolwiek cel poza sprzeciwieniem się swoim rodzicom. I czy zastanawiała się, jak jej działania wpłyną na niego, wyrzutka w oczach Rasenów.

Nie czuł tego w domu wiedzy; tam patrzono na niego i widziano osobę. Tu miał być częścią źródła, ale był niepełny, nieudany. Czuł, że nie pasuje, nawet jeśli przeszli go przyjęli.

Przypomniał sobie promienny uśmiech Sainy, gdy mu dziękowała za zaufanie. Zaś chwilę później – wrogie spojrzenie obcej dziewczyny. Zaklął w myślach. Ani przez chwilę nie sądził, że rodzina wyciągnęła ku niemu rękę motywowana tęsknotą – ale nie zdawał sobie sprawy, że znalazł się w środku czegoś bardziej złożonego niż chęć zgromadzenia całego źródła.

– To miała być moja ceremonia.

Nieznajoma wybrała moment, w którym Nahir był sam. Wpadła do jadalni z warkoczami w nieładzie i przekrzywioną chustą na ramionach, lecz chłopakowi

nie umknął fakt, że jej wejście miało w sobie coś ze starannie zaplanowanego spektaklu.

Nie oznaczało to, że wrażenie, które zrobiła, osłabło. Była wysoka, a noszona przez nią biżuteria, od ciężkich kolczyków po pasek ze srebrnych ogniw, bardziej odpowiadały przywódczyni rodziny niż młodej dziewczynie. Oczywiście nieznajomej, szare, podkreślone muśnięciem srebra na powiekach, zdawały się przyszpilać go do krzesła. Dziewczyna usiadła naprzeciwko, opierając podbródek na pięści we władczym geście.

Podbródek, na którym nie widniał żaden ślad atramentu.

– To ja miałam tam być – powiedziała, a jej głos niemal nie zadrżał. Niemal. – Wczoraj. Więc dlaczego?!

Nahir opuścił wzrok. Wiedział, że był potrzebny tutaj, w swoim źródle – ale nie miał pojęcia, dlaczego wybrali go zamiast wychowanej wśród nich dziewczyny. Do wczoraj nie wiedział o jej istnieniu. Był pewien, że poza nim po prostu nie ma nikogo innego.

Uderzyła pięściami w stół.

– Zadałam ci pytanie!

Uspokoił oddech. Nie zamierzał dać się zastraszyć nastolatce.

– A ja nie mam pojęcia, co odpowiedzieć.

Wciągnęła głośno powietrze. Mógł zrozumieć jej niechęć. On pogodził się z rolą niechcianego dziecka – i miał towarzystwo Luana, który wprawdzie został przygarnięty przez Aule, ale zawsze był trochę obcy. Tymczasem ta dziewczyna przygotowywała się na swoją ceremonię. Wręczono jej już ostrze – tradycyjny prezent dla dojrzewających dziewcząt. Jeśli Nahira wcześniej zdziwiło, dlaczego święto zaaranżowano tak szybko, choć jego zgoda nie była wcale pewna – oto miał odpowiedź.

– Przykro mi – powiedział szczerze.

Dziewczyna odsunęła sobie krzesło i opadła na nie. Usiadła profilem do Nahira, dyskretnie ocierając oko.

– Mam na imię Ragani – burknęła. – Ragani Saina.

– Nahir – odparł odruchowo.

– I nie rozumiem, czemu zabrali mi ten dzień. I dali go tobie. – Wciąż siedziała do niego bokiem, próbując ukryć pośpieszne mrugnięcia. – Nic z tego nie rozumiem.

– Ja też nie – przyznał.

Obróciła się ku niemu. Sądząc po wyrazie jej twarzy, nie uwierzyła.

– Nikt mi nie chciał powiedzieć. Ani mama, ani kuzyni... – Zaciśnęła zęby. – Ty musisz mi powiedzieć. Nikt inny tego nie robi.

– Kiedy nie mam pojęcia. – Zaczął oglądać swoje dłonie. – Po prostu mnie tu... ściągnęli.

– Skąd? – zapytała, wychylając się w jego stronę.

Wciąż była wściekła i niewiele trzymało ten gniew na wodzy; wystarczyła chwila, by Ragani wybuchła i wyładowała swoją złość na obcym chłopaku, który odebrał jej święto. Jej źródło wrzało. Ale w oczach zalśniło coś dobrze Nahirowi znanego: ciekawość.

– Z biblioteki. Tam mieszkałem wcześniej. Myślałem, że mnie po prostu nie chcieli. – Te słowa kiedyś by go zabolaly, przyznanie się do nich otworzyłoby dawną ranę, ale ta zdążyła się już dawno zabiżnić.

– Przykro mi – powiedziała.

Nahir spojrzal w jej oczy, teraz duzo łagodniejsze niż poprzedniego wieczoru. Ragani nie udawała smutku. Nahir nabierał silnego przekonania, że nie potrafi udawać – że, podobnie jak on, bezwiednie pozwala, by uczucia malowały się na jej twarzy.

– Strasznie nas potraktowali – mówiła dalej, cicho, do siebie w takim samym stopniu, jak do Nahira. – Nas oboje. niesprawiedliwie.

Jej ramiona zatrząsły się od powstrzymywanego płaczu.

– Dlaczego nie jestem dla nich dość dobra? – Osłoniła twarz rękawem.

Nahir siedział jak wryty, nie wiedząc, jak zareagować. Przymknął oczy. Otworzył je znów. Cały czas siedział naprzeciwko Ragani. Melodia jej źródła zagłuszyła jego własne. Zaczynał mu się udzielać jej gniew.

Skierował ten gniew przeciwko Sainie, przeciwko wszystkim mieszkańcom tego domu, którzy kiedyś go zostawili; gniew kłębił się w nim jak gorący prąd w źródle, gdyby Nahir chciał, mógłby nadać mu kształt. Czuł, jak formuje się w jego dłoniach.

– Może to nie tak – mruknał.

– Co?

– Może ich nie rozumiesz. Może... jesteś dla nich zbyt cenna. Tak cenna, że teraz chcieli znaleźć kogoś innego. – Kogoś, kogo nie będzie żal. Kogo można spisać na straty. Kogoś bez więzi z ludźmi w domu. Dziecko Lefarie. – O czym Nahir nie potrafił zapomnieć.

Zamarła. Jej wargi wciąż drżały, ale Nahir zdobył jej uwagę.

– Dlaczego mieliby tak zrobić?

– Nie wiem. To ty ich znasz. Ty tutaj mieszkasz.

Zastanowiła się, znów opierając podbródek na pięści.

– To nie znaczy, że ich znam. Vigne, znaczy twój dziadek, jest... trudny. Nie przekonasz go, że świat jeszcze nie zamierza runąć. Vigne zamierza zrobić z Novissy twierdzę. – Wzdrygnęła się. – Wierzę, że chce dla nas dobrze, ale to

nie znaczy, że zawsze wiem, w jaki sposób to się ma stać. Co to w ogóle znaczy: dobrze?

Tym razem nie spodziewała się odpowiedzi, Nahir nie wiedział zaś, jakiej mógłby udzielić. Oboje wpatrywali się w ściany pustego pokoju, po jakimś czasie chłopak zerknął na Ragani kątem oka. Na jej powiekach zostały tylko drobiny srebra, odcinające się od zapuchniętej, czerwonej skóry. Jej źródło wróciło do swojego zwyczajnego, spokojnego rytmu, który kojarzył się Nahirowi z łagodnym uderzaniem fal o brzeg.

– Naprawdę mi przykro, że tak się to wszystko potoczyło – powiedziała cicho. – Że wróciłeś tutaj w takich... okolicznościach. Chciałabym, byśmy przyjęli cię tak, jak na to zasługujesz. Wiem, co o mnie teraz myślisz – mruknęła. – Ale jesteś stąd. Należysz tutaj. Powinniśmy byli ci to okazać i cieszyć się twoją obecnością.

Wyciągnęła rękę przez stół. Było w tym geście coś rozczulająco bezbronnego. Miała ciepłe, miękkie palce, obciążone pierścieniami.

– Cieszę się, że tu jesteś.

Żołądek Nahira wykonał woltę. Chłopak przełknął ślinę.

– Jeśli tylko się czegoś dowiem, podzielę się tym z tobą. Żadnych tajemnic. Nie jesteśmy marionetkami na sznurkach.

– Żadnych tajemnic. – Rozpromieniła się.

Jej uśmiech przypomniawszy mu minę Sainy poprzedniego wieczoru. „Cieszę się, że mi zaufałeś”. To był błąd. Ale Nahir wolał zaufać dziewczynie niż wysłanniczce rodziny. W szczerść Ragani przynajmniej mógł uwierzyć.

Przez następne dni Nahir zastanawiał się nad słowami Ragani. Przemierzył całą Novissę, aż nauczył się na pamięć układu jej ulic. Senne, ciche miasto w niczym nie przypominało mu twierdzy. Novissa nie miała nawet murów.

Obawiał się, że ktoś ukróci jego eskapady, ale większość rodziny wróciła do swoich obowiązków, jakby zapomniała o nowym członku źródła. Spotykali się przeważnie podczas posiłków, choć Nahir nieustannie czuł ich obecność. Pieśń nie cichła. Po pierwszym szoku zaczęła rozplatać się na pojedyncze, choć bardzo do siebie podobne melodie. Szedł za nimi, ucząc się ludzi, którzy go nie chcieli.

Jedna melodia ciągnęła się aż poza granice miasta. Wybiegała na drogę prowadzącą do Novissy i odbijała w stronę skarpy. Nahir zerknął przez ramię na miasto. Było ciche, przykryte poranną mgłą. Zaczął się wspinać, chwytając się skał i wbijając czubki butów w nierówny grunt.

Novissa leżała dość wysoko, choć poniżej granicy między Saadą a Rasenną. Powietrze było rześkie. Nahirowi zakręciło się w głowie, kilka kamieni osunęło mu się spod stóp. Upadł, ześlizgując się po krawędzi zbocza, i zaraz wpił się palcami w wystające kawałki skały. Syknął, gdy kamień przeciął skórę na dłoniach. Wtedy zorientował się, że pieśń ucichła, że słyszy tylko własne źródło.

Ale to nie było możliwe.

Zaciskając zęby, wygramolił się na górę: tu pieśń rozległa się znów. Nie był aż tak daleko od Novissy; dźwięki źródła powinny rozchodzić się jak kręgi na wodzie, coraz cichsze, ale wciąż słyszalne. Tymczasem tutaj ktoś postawił wyraźną granicę. Nahir przesunął się, szukając punktu, w którym źródło znów milkło.

Odepchnął na bok kilka głazów. Gdy tuman kurzu opadł, przed chłopakiem rozpostarła się biegnąca w ziemi srebrzysta linia, jak żyła metalu w skale. To z niej pobrzmiwało źródło. Nahir przesunął zakrwawioną ręką po srebrze. Zostawił nań czerwone smugi, ale te szybko znikły. Wpatrywał się w blednącą krew z mieszaniną obrzydzenia i fascynacji. Żyła śpiewała znajomą, uspokajającą pieśń. Nahir przykrył ją garściami żwiru i ruszył dalej. Grań zataczała łuk, prowadząc go z powrotem nad jezioro.

Wreszcie, z odległości, zobaczył twierdzę Vigne.

Jej mury wyrastały z ziemi, pnąc się powoli ku niebu. Vigne miał czas. Mógł sobie pozwolić na wynaturzanie skały. Nahir zadrzał na ten widok. Skalna formacja wtapiała się w otoczenie, jej wzrost musiał być na tyle powolny, że nie zwrócił niczyjej uwagi. Ktokolwiek wynaturzał skałę, by zbudować mury, musiał mieć potężne źródło. Vigne? Nahir potrząsnął głową. Kto inny? Nikt w Novissie nie rozbrzmiewał dostateczną siłą. To musieli stworzyć jeszcze poprzednicy Vigne. Przeszli Nahira.

Ludzie, których twarze widział nie tak dawno, gdy przyjmowano go do źródła. Wpatrywał się w nie ze wzruszeniem – tak jak oni w jego twarz, traktując go jak jednego ze swoich, bez względu na to, skąd pochodził jego ojciec. Ich widmowe ręce tuliły go z czułością. Nie myślał nigdy, jacy to byli ludzie, jego rodzina, po prostu cieszył się, że nagle pojawili się w jego życiu. Chciał, by go docenili. Teraz nie był pewien, czy wciąż tego chce.

Na miękkich nogach zszedł nad wodę, mrużąc oczy przed refleksami światła rzucanego przez jesienne słońce. Jezioro było tak czyste, że widział jego dno – aż do miejsca, gdzie światło przestawało docierać, a zielonkawa barwa wody ustępowała atramentowej głębi. Było w tym widoku coś hipnotyzującego, coś, co nie pozwalało mu oderwać wzroku mimo ssania w żołądku, instynktownego lęku. Jakby martwe głębie skrywały jeszcze jakieś tajemnice. Wydawało mu się, że widzi w czerni złotawy błysk. Że coś się tam porusza.

Pochylił się, by opłukać dłonie i twarz. Gdy się podnosił, poczuł silne szarpnięcie za pasek. Złapał równowagę i odsunął się od krawędzi skały. Po jego ubraniu spływała woda; cokolwiek czaiło się pod wodą, próbowało porwać jego malastrę. Chłopak stłumił okrzyk zaskoczenia, gdy stworzenie ponownie przebiło taflę. Jego otyłe ciało pokrywały złotawe łuski, ale ponad wodą Nahir wyraźnie widział miękkie ramiona i dłonie o palcach zrosniętych błoną, masywną szyję i łysą głowę porośniętą pąklami. Stworzenie patrzyło na niego wielkimi, bezdennie czarnymi oczami. Wystawiło ponad powierzchnię wody rybi ogon i uderzyło płetwą o jezioro. Na Nahira spadł deszcz lodowatych kropel. Stworzenie rozdziawiło pozbawione warg usta, pokazując szereg drobnych, ostrych zębów i wydało z siebie wyjątkowo skrzekliwy śmiech.

– Bardzo zabawne – burknął Nahir, otrząsając się z wody.

Stworzenie zanurzyło się i wypłynęło znów, w pewnej odległości. Nie spuszczało z chłopaka swojego nieprzeniknionego spojrzenia.

Nahir chciał kontynuować samotną wędrówkę brzegiem jeziora, ale istota płynęła tuż obok, skrzecząc głośno. Co chwila zanurzała się w wodzie i z niej wyskakiwała.

– Czego chcesz? – rzucił, na co syrena tylko zasyczała.

Ochlapała go jeszcze kilka razy, wyraźnie próbując skłonić do zmiany kierunku. Nahir uparcie szedł przez siebie, za melodią pieśni. Aż stanął przed skalną ścianą.

Syrena zasyczała i znikła pod wodą.

Za sobą Nahir miał Novissę. Przed sobą – mury twierdzy. Tyle że w skale wiodła szczelina, rozszerzająca się ku górze.

Gdyby udało mu się dostać wyżej, mógłby precyzyjnie się przez szczelinę. Zaparł się obolałymi dłońmi o kamień i podjął wspinaczkę. Z łatwością znalazł oparcie dla stóp. Gdy podciągnął się na ramionach, mógł usiąść w poprzek szczeliny. W padającym przezeń świetle zobaczył mokre, lśniące ściany jaskini, wielkiej jak wystawna sala w domu dziadka.

Zamarł na chwilę, nasłuchując. Słyszał łagodny plusk fal omywających kamień; kapanie wody rzeźbiącej jaskinię; syk syreny; pieśń. I czyjś nierówny, szybki oddech.

– I co sądzisz? – Odezwał się z wnętrza jaskini znajomy głos.

Ragani weszła w plamę światła, przypatrując mu się z dołu. Piasek przykleił się do jej spódnicy, słońce obrysowywało jej sylwetkę na złoto. Jej warkocze były w nieładzie, na policzki wypłynęły czerwone plamy. Ragani musiała tu biec; którą? Na jej twarzy pełgał triumfalny uśmiech.

– Jak to: co sądzę? – Zeskoczył na podłoże. – Co sądzę o... och. – Popatrzył na dziewczynę uważnie. – Ty to zrobiłaś.

W odpowiedzi uśmiechnęła się szerzej.

Podczas gdy Vigne budował swoją twierdzę, Ragani zmieniała jej mury, by dało się przez nie uciec – lub wejść do miasta. Musiała wykorzystywać tę samą żyłę przecinającą góry, którą znalazł Nahir. Chłopak zdał sobie sprawę, że patrzy na Ragani inaczej, z szacunkiem. Że podziwia jej odwagę, by przeciwstawić się Vigne.

– A... te stworzenia? – Wskazał ruchem głowy syrenę, którą obecność Ragani wyraźnie uspokajała.

– Chciałam, żeby tu były, to wszystko.

Na myśl o tak potężnym czerpaniu ze źródła Nahira przeszedł dreszcz. Panowanie nad zbyt wyrazistymi pragnieniami było pierwszą rzeczą, której uczyli się mali Rasenowie; bardzo rzadko dotykali źródła bez takiej intencji, ale jeśli Ragani myślała o syrenach z taką mocą, to życzenie mogło ją zabić.

A jednak siedziała tutaj, cała i zdrowa, machając w wodzie stopami ku uciechu wodnego stworzenia.

– Jest ich więcej – Nahir raczej potwierdził to, czego się spodziewał.

– Tak. Może mieszkały tu zawsze, a ja je tylko wywabiłam? Dzięki temu mam towarzystwo.

Chłopak chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język.

– Pewnie zauważyłeś, że nie ma tu zbyt wielu osób w naszym wieku – dorzuciła.

– To dość zaskakujące. – Za późno zauważył jej kwaśną minę. – Jak myślisz, dlaczego tak jest? – zapytał szybko, próbując zmienić temat.

– Dobrze pytanie. – Ragani zmarszczyła brwi. – Wiesz, to miasto podobno było kiedyś dużo większe. Chyba jesteśmy zbyt blisko Saady. Ci, którzy mogli, już dawno się stąd wynieśli. Zostali głównie zbyt słabi, zbyt starzy i zbyt biedni.

– I nasze źródło – zauważył Nahir.

– Które też się wyczerpuje – odparowała z ledwo tajoną złością.

– Tak czy owak, Novissa jest dość spora. – Była większa niż wszystkie osady wokół domu wiedzy, ale to przemilczał.

Na wargi Ragani wypłynął gorzki uśmiech.

– Wciąż nie rozumiesz, prawda?

– Nie rozumiem czego? – zachnął się.

– Jestem zbyt cenna, bym mogła spędzać czas w towarzystwie górskich mieszkańców.

– Zbyt cenna... – powtórzył z niezrozumieniem, po czym dotarło do niego, o czym Ragani mówi. Mimowolnie popatrzył na nóż przy jej pasku. Taką broń dostawały dziewczęta, które zaczynały krwawić. „Tylko ci, którzy tracą źródło,

mogą odbierać źródło”, brzmiała zasada. – Och. – Poczuł, jak na jego twarz wpływa zdradziecki rumieniec.

Ragani uprzejmie udawała, że nie zauważa. Zdjęła bransoletkę i rzuciła ją w wodę. Syrena zniknęła z cichym pluskiem, a chwilę później wynurzyła się na powierzchnię, trzymając w wyciągniętej ręce srebrne kółko. Zaklekotała triumfalnie. Ragani otworzyła usta i odpowiedziała jej podobnym gardłowym klekotem.

– Rozmawiasz z nimi? – Nahir gapił się na nią z niedowierzaniem.

Ragani uśmiechnęła się lekko.

– Co prawda nie są zbyt rozmowne...

Odwróciła się ku syrenie, unikając wzroku Nahira. Nagle nieśmiała, jakby ujawniła mu zbyt wiele. Ale ta Ragani, która rozmawiała z syrenami, była nie mniej prawdziwa niż dziewczyna, którą poznał, gdy przyjęto go do rodziny. Potrafiła odnaleźć się w meandrach polityki źródła. Robiła to tak dobrze, że mogła wymykać się z domu i robić, co chciała. Oszukała Vigne.

Ragani ruszyła przodem, gestem nakazując Nahirowi, by podążał za nią. Szła po nabrzeżnych kamieniach z taką pewnością, jakby miała przed sobą wyraźną ścieżkę. Nahir dotrzymywał jej kroku. Ta wyprawa coraz bardziej przypominała mu pierwsze dni w domu wiedzy i poznawanie sekretów biblioteki – ale wtedy kierowała nim beztraska ciekawość. Teraz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że on i Ragani są równie wściekli na swoją bezsilność. Że oboje próbują coś zrobić. Że dziewczyna właśnie wtajemnicza go w coś, o czym nikt inny w ich źródle nie ma pojęcia. Tutaj Nahir słyszał tylko własne serce i nieposłuszną melodię swej towarzyszki.

– Potrzebujesz tego miejsca – powiedział, wiedząc, że Ragani może znów się wycofać lub znów zaatakować. – Miejsca, gdzie możesz uciec.

Nie zaprzeczyła.

– Czy naprawdę myślisz o opuszczeniu Novissy?

– Chcę mieć taką możliwość. Jeśli wyjdiesz tamtędy... – wskazała drugą szczelinę w skale – znajdziesz się blisko drogi na Vann. Chcę, żebyś wiedział, że zawsze masz drogę ucieczki – dodała z naciskiem.

Opuściła rękę, a Nahir zwalczył odruch, by sięgnąć po nią i zamknąć jej smukłe palce w swoich dłoniach.

– Bardzo dużo mi dajesz – powiedział wreszcie.

Prychnęła cicho.

– Niezupełnie bezinteresownie. Potrzebuję sojuszników... – Zawiesiła głos nieprzekonana własnymi słowami. – Ale przede wszystkim... jesteśmy do siebie tak podobni. Dla nich wszystkich jesteśmy ważni, ale nie mamy nic do

powiedzenia, powinniśmy tylko odegrać powierzone nam role. Nie zgadzasz się na to, prawda?

– Nie zgadzam się – przyznał.

Nie po raz pierwszy zastanowił się nad tym, dlaczego wezwano go do domu po tak długim czasie i po zniknięciu jego matki. Możliwych odpowiedzi było wiele, lecz ta najbardziej prawdopodobna sugerowała, że rodzinie na rękę było nagłe pojawienie się wykształconego chłopaka z silnym źródłem, jednak całkowicie zdanego na łaskę krewnych. Od momentu pojawienia się Sainy w domu wiedzy Nahir był tylko popychany z miejsca na miejsce przez innych, przez ludzi, którzy lepiej od niego rozumieli, co się dzieje. Nie przeszkadzało mu dryfowanie poprzez dni i lata w towarzystwie Aule, Luana i Susari – lecz tutaj czuł się bezwolny.

Syrenia towarzyszka Ragani wynurzyła głowę z wody i zaskrzeczała. Dziewczyna zmarszczyła czoło.

– Musimy wracać.

Nahir poczuł ukłucie żalu. Nie chciał jeszcze rozstawać się z tym miejscem, z towarzystwem Ragani, z łagodną melodią źródła. Tutaj panował spokój, jakiego dawno nie zaznał – spokój i pewność, że jeszcze można coś zmienić, że świat się jeszcze nie kończy, że nie są całkowicie bezsilni.

– Chodźmy. – Ragani wyciągnęła do niego rękę. Tym razem Nahir schwycił jej dłoń bez wahania.

Saina musiała zauważyć, że coś się zmieniło. Nahir unikał jej przez kolejne dni, chował się w zakamarkach domu lub wychodził na samotne eskapady, choć starał się nie zbliżać do rosnących murów. Przy posiłkach udawał, że nie widzi rzuconych mu pytających spojrzeń. Nie potrafił kłamać; wiedział, że nie zmyli krewniej. To, co zobaczył, nie dawało mu spokoju i nie umiał tego ukryć.

– Co się stało? – zagadnęła go po kolacji, gdy zostali sami w pokoju.

Nahir rozejrzał się dookoła. Nie miał jak uciec. Postanowił więc przedstawić Sainie półprawdę, mając nadzieję, że to wystarczy.

– Widziałem mury twierdzy.

Saina powoli odłożyła szklankę herbaty.

– Rozumiem. – Zacisnęła wargi. – W takim razie powinnam ci coś pokazać.

Doskonale panowała nad twarzą i głosem. Nahir zacisnął dłonie w pięści, patrząc, jak krewna powoli dopija herbatę. Gdyby nie jej źródło, do którego zaczął się dostrajać, nie odczytałby jej napięcia i niepokoju. Zrobił coś wbrew

opiekunom, podobnie jak i Ragani, ale teraz zdenerwowanie Sainy skupiło się na nim. Pozwolił sobie liczyć na to, że wzięła, przynajmniej na chwilę, jego stronę.

Saina w spokoju dokończyła herbatę i podniosła się z miejsca.

– Idziemy? – zapytała.

Na piętrze znajdował się pokój, który we wcześniejszej, żywej Rasennie przygotowano dla gości. Freski na ścianach, namalowane czyjaś myślą, blakły powoli, ale wyróżniały się tam, gdzie kiedyś stały meble. Te stopniowo wynoszono, aż została niska, odrapana ława i niepasująca nigdzie szafka.

Saina wyjęła z szafki pudełko i położyła je na ławie. W pokrywę z czerwonego drewna wprawiono finezyjny mechanizm. Nahir przyjrzał się uważnie: system haczyków i kół był połączony śrubkami, co niewątpliwie wymagało ogromnej precyzji twórcy, ale brakowało temu organicznej elegancji dzieł Rasenów.

– Z Saady – zdziwił się.

Saina kiwnęła głową. Przesunęła kilka elementów mechanizmu, otwierając zamek.

W pudełku leżało kilka metalowych elementów przywodzących na myśl mechanizm zamka, choć te nie były niczym połączone. Zachęcony gestem Sainy Nahir podniósł jedną z części. Wykonano ją według niesłychanie dokładnego wzoru, wymagającego znajomości geometrii. Po namyśle chłopak przyłożył drugi element. Gdy przytknął do siebie gładkie krawędzie, te pasowały, jak ulał.

Dopiero po chwili to poczuł. Dalekie wspomnienie czyjegoś życzenia, słabnące z każdym dniem: zastygnij w tym kształcie. Żadne narzędzia nie potrafiłyby tak obrobić metalu. A jednocześnie... nie przypominało to żadnego z przedmiotów wyrabianych w Rasennie.

– Wykonujecie saadyjskie mechanizmy?

Saina uśmiechnęła się krzywo.

– Nie sądzisz chyba, że powierzyliby nam swoje wzory?

– Nie wiem.

Zabębniła palcami w pokrywę pudełka.

– Owszem, współpracujemy z nimi, ale dostajemy od nich tylko informacje dotyczące elementów, które to mamy zrobić. Sądzę, że część elementów budują sami, na wypadek gdybyśmy próbowali posłużyć się ich notatkami. Choć przecież – zmarszczyła nos – nikt spośród nas nie ma odpowiedniego wykształcenia.

„Nieprawda!” – chciał zaprotestować Nahir, przypomniawszy sobie swego opiekuna w domu wiedzy. W ostatniej chwili ugryzł się w język. Nie chciał zwracać uwagi rodziny na Aule.

Saina odczekała chwilę, jakby liczyła, że czegoś się jednak od niego dowie. Nahir milczał z uporem.

– Nie bylibyśmy pierwsi ani jedyni – podjęła. – Vann utrzymywało regularne kontakty handlowe z Saadą. I zapewne nie tylko ono.

– Póki mogło sobie pozwolić na takie szastanie źródłem.

– Tak.

– A wy?

– A my nie mamy wyjścia. – Oczy Sainy były nieruchome. – Takie są warunki układu. My potrzebujemy ich pomocy, oni potrzebują naszych umiejętności. Żadna ze stron nie poradziłaby sobie bez tej drugiej. Ale, jak możesz się domyślić, to nie my mieliśmy komfort dyktowania warunków.

– Saada wam grozi?

Wyciągnęła rękę po metalowe elementy.

– Nie musi. Saadyjczycy wiedzą, że wystarczy poczekać, aż źródło się wyczerpie. Są cierpliwi. Ale wciąż się nas boją. Dlatego to my się z nimi skontaktowaliśmy.

Przekrzywił głowę, kładąc części mechanizmu w złożonych w miseczkę dłoniach Sainy.

– Potrzebowaliśmy zegara – wyjaśniła mu – który odmierzałby nasz czas. Chcemy wiedzieć, kiedy Wędrowiec uderzy w ziemię.

Nahir wymownie popatrzył za okno, na błękit rozciągający się nad górskimi szczytami.

– Wiem. Ale nasza astronomia jest mało precyzyjna, nie mówiąc o tym, że brak w niej jakiegokolwiek systematyczności... – Skrzywiła się. – Próbowaliśmy się kierować gęstością meteorytów. Całe lata obserwacji, z których nie wynikało nic. Nic. Nie było żadnego wzoru, żadnej regularności. Zdarzały się dni, kiedy nie udało się zanotować ani jednej Łzy, i takie, gdy baliśmy się, że ich deszcz wypali ziemię. A Wędrowiec się nie pojawiał. Choć zapewne przywitalibyśmy tę katastrofę z ulgą, że nie musimy już na nią więcej czekać. – Zatrzasnęła pudełko. – Oczywiście mogliśmy czynić obserwacje tylko w nocy, przy bezchmurnym niebie, gdy księżyc nie świecił zbyt jasno. – Wykonała szeroki gest ręką. – Nie dało się zbudować zasady w oparciu o szereg wyjątków. A źródło nie wystarczało. Nie sięga w przyszłość. Jest instynktem. My potrzebowaliśmy nauki.

Przytaknął w milczeniu.

– A Saada? Ich naukowców też ogranicza to, co właśnie wymieniałaś.

– Ich naukowcy mają zupełnie inne podejście. Kierowali się nie Łzami ani nie samym Wędrowcem, ale trajektoriami pozostałych gwiazd.

Nahir wstrzymał oddech.

– Będziemy mogli wyliczyć, kiedy Wędrowiec pojawi się na niebie. – Tym razem nawet Saina nie potrafiła ukryć satysfakcji w głosie. – Nasi współpracownicy szacują, że nastąpi to nie prędzej niż za sto, dwieście lat. Ale twój dziadek nie myśli tylko o sobie i sobie współczesnych.

– Nieprawdopodobne – wyrwało się Nahirowi.

Saina spiorunowała go spojrzeniem.

– To wciąż pośrednia miara – kontynuowała. – Zanikanie źródła wyznaczamy my, Wędrowiec reaguje na nas.

– Czy teolodzy i astronomowie z Saady zgodziliby się z twoją interpretacją?

Posłała mu pełen wyższości uśmiezek.

– Nie muszą. To mnie nie interesuje. Będę się tym martwić, kiedy wprawimy zegar w ruch.

– Cóż, im też to jest na rękę, skoro będą dokładnie wiedzieli, kiedy się zbroić... – rzucił kąśliwie.

– Zapewniam cię – powiedziała, podnosząc nieznacznie głos – że nie przedstawiś mi takiej wątpliwości, która już nie pojawiła się w naszych rozmowach.

– Oczywiście. – Ugryzł się w język. Rozgoryczenie znów brało górę nad rozsądkiem. To, co Saina mu pokazała, było tak piękne, tak eleganckie: najlepsze z możliwych rozwiązań. Perfekcyjnie zgrany mechanizm złożony z ludzi odgrywających swoje role. Teraz zaczynał rozumieć, jaką przydzielono Lefarie... i jemu samemu. Nahir talent do astronomii odziedziczył wszak po matce.

Tęsknota za Lefarie odżywała znowu: przychodziła łagodną, niespodziewaną falą, narastającą przez godziny. Wspomnienia mogły blaknąć do pojedynczych obrazów, wyabstrahowanych scen, w których rzeczywistość mieszała się z życzeniami, ale Nahir pamiętał samą obecność matki.

Lefarie nie była najserdeczniejszą matką. Jej emocjonalność stanowiła ten element wspomnień, w który, jak podejrzewał, wplatał najwięcej ze swoich oczekiwań, dodając Lefarie ciepła. Ale na pewno nie wymyślił sobie miłości ani zachwyty, gdy wskazywała mu gwiazdozbiory i objaśniała ruchy gwiazd.

Nie wyobraził sobie tego. Nie wątpił w miłość astronomki o poważnych oczach, która chciała uratować swoje dziecko przed źródłem.

Która – teraz to dostrzegł – nie odesłała go na prowincję, by mógł cokolwiek „przeczekać”. Nie, zbroiła go w najlepszy oręż, jaki знаła. Źródło mogło słabnąć. Wiedzy nikt mu nie odbierze.

Powstrzymał uśmiech. Dziadek i Saina wierzyli, że wychowują w Ragani posłuszną następczynię, choć nie mogli mylić się bardziej. Lefarie miała swoje wyobrażenie o tym, kto ma ochronić źródło – i w jaki sposób powinien to robić.

Zerknął na Sainę. Czy wiedzieli? Czy się domyślili? Czy dlatego odesłali go z Novissy? Kobieta wciąż czekała na jego komentarz. Odzyskała kamienny spokój. Nahir podniósł głowę.

– Czy Ragani o tym wie?

– Być może mogła się dowiedzieć – odparła Saina wymijająco.

Fakty związane z pośpiesznie zmienioną ceremonią układały się w mozaikę. Rodzina w Novissie potrzebowała kogoś zaufanego, komu będzie mogła powierzyć projekt kalendarza. Ragani wydawała się oczywistą kandydatką; miała silne źródło, była już dorosła, posiadała wiele cech przywódczyni. Z tych samych względów ktoś się przestraszył, że może stracić tak cenną krewną. Ktoś inny przypomniał sobie, że jest jeszcze Nahir. Że być może uda się oszczędzić Ragani. Czy tym kimś była Saina, próbująca uratować córkę?

– Dziadek wie, że tu jesteśmy?

Uśmiechnęła się gorzko, jakby chciała mu wytknąć, że zadał to pytanie tylko po to, żeby ją pogiębić.

– Jeszcze nie.

Nahir milczał.

– Myślę, że o reszcie dowiesz się od niego – dorzuciła i wskazała gestem drzwi.

Poszedł za nią.

„Dziękuję, że mi zaufałeś”. Słabe echo głosu Sainy rozbrzmiało w jego myślach. Miała wszystko, czego mogła chcieć: wpływy i bezpieczeństwo zapewnione przez jego dziadka. Bunt jej się nie opłacał. Z porywami serca nie było jej do twarzy. Ale najwyraźniej bała się o Ragani i chciała ją chronić, nawet wbrew rodzinie. Nie doceniała córki.

Ani Nahira.

Zeszli na parter, do jadalni. U szczytu stołu, opierając sękaty dłoń na blacie, stał jego dziadek. Saina wystąpiła naprzód, zasłaniając sobą Nahira. Choć użycie przemocy było nie do pomyślenia, to chłopak nie mógł przecenić symbolicznego znaczenia tego gestu. Ciszę, która zapadła po ich wejściu, można było kroić nożem. Nahir czekał, wsłuchując się w drgania źródła.

– Nie będziemy rozmawiać tutaj – powiedział mężczyzna, patrząc na wnuka ponad ramieniem Sainy.

Służąca postawiła tacę na stole, rozlała gorzką saadyjską herbatę do czarek i zniknęła za drzwiami. Nahir nieufnie podniósł naczynie. Dziadek obserwował go. Kącik jego ust drgał w próbach zatajenia uśmiechu.

– Tego nauczyli cię w domu wiedzy?

Chłopak zacisnął dłoń na kubku.

– Nie. Uznałem, że tutaj to może być dobry zwyczaj.

Tej obrazie daleko było do subtelności, ale Saina zachowała niewzruszony wyraz twarzy, starszy mężczyzna natomiast przestał powstrzymywać śmiech. Nahirowi wydawało się, że kubek w jego rękach zaraz pęknie.

– A więc wiesz o wszystkim – powiedział Vigne.

Nahir ze świstem wciągnął powietrze.

– O tym, że marnujecie źródło na układy handlowe z Saadą. Tak. Wiem.

Teraz nawet Sainie drgnęła powieka. Kobieta nie wstała, ale pochyliła się do przodu. Przypominała Nahirowi czającego się kota.

– Nie użyłbym tego określenia – powiedział dziadek, tonem, który nie zostawiał pola na jakikolwiek sprzeciw. – Układy handlowe? – rzucił Sainie pytające spojrzenie. Ta ledwo dostrzegalnie wzruszyła ramionami. Przeniósł wzrok na Nahira.

Chłopak oparł się plecami o ścianę, jakby chciał weń wniknąć.

– Myślałem, że wyniosłeś więcej z tej pośpiesznej prezentacji. – W głosie dziadka zabrzmiała dezaprobata.

– Kalendarz astronomiczny. Rozumiem teorię, na podstawie której został zbudowany, oraz zasady waszej współpracy z Saadą. – Nahir przełknął ślinę. – Tyle że...

– Tyle że? To zbyt odległe w czasie? Mrzonka, której realizacji nie dożyję?

– Tak. Coś takiego.

Dziadek się zaśmiał. Sainie najwyraźniej nie było do śmiechu.

– To samo powiedziałem Lefarie, kiedy przedstawiła mi ten jej pomysł.

Nahir zacisnął wargi. Nie chciał słuchać o tym, co zrobiła lub czego nie zrobiła jego matka.

– Ale teraz możemy ukończyć budowę tego mechanizmu. I wiedzieć. Przygotować się. Choć samo zaspokojenie ciekawości to dostatecznie silny argument, prawda?

Tak. Gdyby Nahir się odezwał, musiałby przytaknąć – on sam włączyłby się w projekt tylko dla zaspokojenia ciekawości. Wobec tego milczał.

– Potrzebujemy kogoś, kto pomoże nam koordynować pracę. Kto zrozumie naukowe zaplecze tego projektu – ciągnął dziadek. – Kogoś, kto ostatecznie wprawi zegar w ruch.

Nahir parsknął. Owszem, Aule zapoznał go z astronomią, ale daleko mu było do saadyjskich uczonych.

– Kogoś, kto zna język Saady – kontynuował dziadek, patrząc na chłopaka szarymi oczami otoczonymi siecią zmarszczek. – I kto należy do naszego źródła.

– Dużo wymagań. – Nahir upił łyk herbaty, wykorzystując fakt, że jego twarz przez chwilę będzie schowana za kubkiem. Już nie musiał o nic prosić; to oni potrzebowali jego wsparcia. – Ile osób je spełnia?

Wiedział, kto chciałby je spełnić. Ragani. Ragani, która rzuciłaby się ku każdej szansie uwolnienia się, która była głodna świata. Wiedział też, jak Ragani odczyta jego udział w tym planie, jeśli tylko się o nim dowie. Zareagowałby tak samo.

Ale... jeśliby odmówił, straciłby szansę na to, by cokolwiek znaczyć w rodzinie. By jego głos się liczył.

„Żadnych tajemnic” – powiedzieli sobie, miało to jednak dotyczyć czegoś innego. Bardzo chciał w to wierzyć.

– Ile osób? – zapytał ponownie Nahir.

Saina zamrugła gwałtownie. Milczała, wyczekując ciągu dalszego.

Albo... dawała mu znaki. Nahir poczuł się pewnie, zyskał grunt pod nogami, lecz ów grunt mógł się rychło okazać ruchomymi piaskami Saady. Chłopak skarcił się w myślach za własną pochopność.

Z pomarszczonej twarzy dziadka nie znikał dobrotliwy, trochę ostrożny uśmiech.

– Tylko ty.

– Tak myślałem. – Jeszcze chwila; jeszcze moment, nie musi już długo odraczać triumfu. – Nie rozumiem tylko jednego... Wyjaśnisz mi, dlaczego mam wam pomóc? Co na tym zyskam, pomijając zaspokojenie ciekawości?

Po minie Sainy poznał, że zrobił błąd. Duży. Powiedział dokładnie to, przed czym próbowała go ostrzec. Ale już wszedł na piaski, słów nie dało się cofnąć. Dziadek tylko na to czekał. Cios był precyzyjny i tak oczywisty, że Nahir miał jeszcze długo się zastanawiać, jakim cudem go nie przewidział.

– Pomyślałem, że chciałbyś poznać swojego ojca.

Odczekał, aż dziadek wyjdzie z pokoju, a służąca posprzątała po nich ledwo tknięte kubki. Wtedy zerwał się z miejsca.

– Nie powiedziałaś mi!

Saina splotła i rozplotła palce, aż trzasnęły stawy.

– Byłam pewna, że zaczniesz rozmowę o Saadzie od twojego pochodzenia. Wydało mi się oczywiste, gdzie uderzy.

Nahir odetchnął kilkakrotnie, po czym na powrót opadł na krzesło.

– Od początku to planowaliście? Wysłać tam właśnie mnie, bo nie dość, że przypilnuję waszych interesów, to jeszcze będę wam wdzięczny?

Opuściła głowę.

– Tak – odpowiedział sam sobie.

– Nie tylko. Nie myślałeś, że może... chcemy dać ci tę szansę? – Odetchnęła. – Zabrał ci Lefarie. Próbuje cię przeprosić.

Nahir się zaśmiała.

– Wiem – rzuciła ostro. – Nie będę mówić, że masz te przeprosiny przyjąć i mu wybaczyć. Ale oczekuję, że kiedyś go zrozumiesz.

Pewnego dnia musiał powiedzieć Ragani, że wyjeżdża.

Że zrobi wszystko, o czym Ragani śniła, podczas gdy ona zostanie w Novissie.

Wiedział, że nie ma powodów, by czuć się winny. Mimo wszystko nie mógł pozbyć się wrażenia, że zdradził dziewczynę. Oboje czuli ten sam gniew, ale to Ragani przekuwała go na działanie, niepomna podejmowanego ryzyka. Nahir tymczasem oportunistycznie przyjął daną mu szansę, by wypełniać plan dziadka. Spodziewał się, że ona odbierze to tak samo – i przestanie mieć znaczenie, jak bardzo będzie za nią tęsknił. Bo poczucie winy nie było najgorsze – bladło wobec świadomości, że przestanie widywać Ragani, zapomni melodię jej źródła. Ragani miała w sercu płomień, dobrze skrywany, lecz w każdej chwili gotów rozbłysnąć pożarem, który pochłonie Novissę. Pielęgnowała swoją wściekłość, dbała o nią jak najgorliwszy ogrodnik, czekając cierpliwie na swój dzień. Być może Nahir potrzebował zobaczyć ten płomień w kimś, by rozpoznać go też w sobie: tłące się przez lata rozgoryczenie, które mogło stać się jego bronią. Wiedział, ile zyska dzięki podróży do Saady, ale wiedział też, jaki cios zada tym Ragani.

Mimo to nie odmówił. Nie zaproponował nawet, że Ragani mogłaby pojechać tam z nim – lub zamiast niego. Ostatecznie wybrał siebie. Chciał zobaczyć swojego ojca; mógł powtarzać sobie, że tym argumentem dziadek i Saina go przekonali. Nie zmieniało to faktu, że przedłożył własne pragnienie ponad marzenia dziewczyny.

Czas mijał, a Nahir wciąż nie zdobył się na odwagę, by powiedzieć Ragani o podjętej decyzji.

Zastał ją pewnego dnia na skałach przy jeziorze, gdy syreny wylawiały dla niej perły. Ragani śmiała się razem z nimi, naśladując ich skrzeczenie. Odpięła od

paska rytualny nóż i używała ostrza, by wydłubywać perły z miękkiej tkanki małży. Syreny wyjadały zawartość muszli pojedynczymi ruchami szybkich, bladych języków.

Obok Ragani stał koszyk wypełniony dużymi, nieregularnymi perłami. Nahir zapatrzył się w nie.

– Usiądź. – Dziewczyna poklepała płaską skałę. – Chcesz kilka?

– Nie będę ci ich zabierać. – Niemal się przestraszył. Nie chciał, by Ragani czymkolwiek go obdarowywała, nie teraz, gdy przyszedł zerwać przyjaźń.

– Jak widzisz, nie cierpię na ich brak. – Nachyliła się, by oddać syrenie małża. Stworzenie wyjadło zawartość i cisnęło muszlą w Nahira.

– Nie lubią mnie – poskarżył się.

– Zauważyłam – powiedziała takim tonem, jakby nie przyszło jej przez myśl, że mógł się tym poczuć dotknięty. – Może po prostu jesteś tu zbyt krótko?

„A może widzą, jak na ciebie patrzę – pomyślał. – Albo wyczuwają, jak bardzo czuję się winny”.

„Zbyt krótko”. Czy sugerowała, by został dłużej?

Syrena syknęła na niego i znów znikła w głębi jeziora.

– Ragani, muszę ci o czymś powiedzieć – wyrzucił z siebie Nahir.

Dziewczyna odwróciła się ku niemu, zaskoczona, ale w kąciku jej ust rysował się nieśmiały uśmiech. Przez krótką chwilę Nahir łudził się, że Ragani myśli o nim w taki sam sposób, w jaki on myśli o niej – z podobnym drżeniem w sercu.

Nawet jeśli, to zaraz miał to skończyć.

– Wkrótce wyjadę z Novissy.

Obserwował emocje malujące się na jej twarzy: niedowierzanie, smutek, wreszcie złość.

– Gdzie? – zapytała, panując nad głosem, tak podobna w tym do Sainy.

Zamknął oczy.

– Do Żrenicy. Do Saady.

Zaśmiała się nerwowo.

– Żartujesz, prawda?

– Nie. – Zmusił się, by znów na nią popatrzeć. – Taka była decyzja rodziny. Jadę tam jako przedstawiciel źródła. I choć tak bardzo bym chciał, nie mogę powiedzieć ci nic więcej. Przepraszam, Ragani.

Zamrugła, by powstrzymać łzy.

– Dlaczego wysyłają ciebie?! – zażądała odpowiedzi. – Dlaczego nie mnie?

Oboje wiedzieli, że Ragani nadaje się lepiej nawet niż Nahir. Płynnie mówiła po saadyjsku. Była dużo silniejsza od niego.

– Bo w moim przypadku mają gwarancję lojalności – powiedział uczciwie Nahir, patrząc jej w oczy. – Jadę kontynuować interesy, które źródło prowadzi

z moim ojcem.

Ragani zacisnęła wargi, ale na jej twarzy odmalował się wyrzut: Nahir wybrał nigdy niewidzianego, obcego mu mężczyznę bez źródła ponad nią.

– Oznajmili ci to – podjęła drżącym głosem – a ty odpowiedziałeś, że...?

– Że tak zrobię.

– Zrobiłeś to, czego od ciebie oczekiwali od samego początku.

Zbyt późno zrozumiał, że w oczach Ragani zrobił coś gorszego niż tylko zdradzenie jej samej – zawiódł nadzieje, jakie w nim pokładała.

– Czy na moim miejscu zrobiłabyś inaczej? – zapytał.

– Oczywiście...! – wybuchnęła. – Nie wiem – dodała po chwili. Jej wargi wygięły się, podbródek zaczął drżeć. – Jak ja cię teraz nienawidzę. – Zarzuciła Nahirowi ręce na szyję, nie powstrzymując dłużej płaczu. – Jak ja cię teraz nienawidzę – powtórzyła, a jej ramiona trzęsły się od szlochu. – I nienawidzę tego, że zrobiłabym na twoim miejscu to samo, i jeszcze byłabym dumna, że mogę przysłużyć się źródłu...

Nahir ostrożnie odwzajemnił uścisk, gładząc plecy dziewczyny. Nie tak to sobie wyobrażał – w tych chwilach, kiedy śmiał sobie wyobrazać, że usłyszy kiedyś jej źródło tuż przy swoim. Nie mieli oboje płakać, przygotowując się do rychłego rozstania.

– Dlaczego ty, a nie ja? – zaszlochała Ragani, po czym wyprostowała się i otarła twarz rękawem. – Dlaczego nie mogli wysłać mnie z tobą?

– Nie wiem. – Nahir uciekł wzrokiem. Rozsypane wokół nich perły lśniły miękkim, oleistym blaskiem.

– Kiedy jedziesz? – zapytała jeszcze.

– Za kilka pentad.

– Dobrze. – Splotła dłonie. – Zostaw mnie więc.

Nahir popatrzył na nią bez zrozumienia.

– Zostaw mnie – powtórzyła z cierpliwością podszytą zirytowaniem. – Nie szukaj mojego towarzystwa. Nie rozmawiaj ze mną. Nie kłuj mnie w oczy swoimi planami. Po prostu zostaw mnie w spokoju, dobrze?

Nie zadawała mu pytania. To był rozkaz – który Nahir miał obowiązek uszanować.

– Kiedy? – zapytał tylko.

– Teraz – odpowiedziała z brutalną prostotą. Jej oczy, choć zaczerwienione, były harde jak górski krzemień.

Nahir nie miał wyjścia, jak tylko spełnić jej polecenie – choć z każdym dniem jej nieobecność była coraz bardziej dotkliwa. Chyba wolałby, gdyby mógł przynajmniej wiedzieć, co Ragani robi, o czym myśli; ale nie tylko zakazała mu się zbliżać – sama także go unikała. Jakby przestała istnieć. Wobec tego Nahir

pozwalał sobie na coraz dalsze wycieczki poza Novissę. Oddalał się, by się uspokoić. By jedynym słyszalnym źródłem było jego własne.

Czasem się zastanawiał, co by się stało, gdyby po prostu ciągle szedł przed siebie, aż do Vann. Albo jeszcze dalej. Ostatecznie jednak zawsze wracał do Novissy otoczonej rosnącymi murami. Do szkiców mechanizmu i saadyjskich ksiązek. Do pieśni źródła, która wygłaszała jego własną. Do obietnicy czegoś nowego.

– Jeszcze jedno pytanie. Nie, dwa.

Siedzieli na balkonie domu w ostatni wieczór przed wyjazdem Nahira. Stąd każde z nich mogło objąć całe jezioro wzrokiem: woda odbijała zachodzące słońce, pierwsze gwiazdy i dogasający ślad Łez. Saina podała mu kubek z winem. Przyłożył chłodne naczynie do podbródka, który wciąż pulsował bólem. Przed kilkoma dniami awansowano go pośpiesznie, rozbudowując tatuaż – bez wątpienia po to, by zrobić odpowiednie wrażenie na Saadyjczykach.

Odkąd Nahir po raz pierwszy stał w tym miejscu, minęły długie pentady. Teraz patrzył na niebo inaczej, mając w pamięci plan zegara. Zaczął go rozpracowywać na własną rękę. Nie był saadyjskim astronomem, ale nie zamierzał ślepo wypełniać poleceń.

Saina parsknęła śmiechem.

– Tylko dwa?

– Na początek. Kto robi te części?

Ściągnęła brwi.

– W większości? Nasza rodzina. To nie jest aż tak kosztowne, jeśli podzielić pracę, a wielu z nas chce się przysłużyć.

– Ty też? Zrobiłaś którąś część?

– To jest twoje drugie pytanie?

– Nie.

– Czyli wszystko w porządku. – Wciąż była między nimi bariera: wieku czy pozycji, tego Nahir nie potrafił określić. Nie mógł po prostu pozbyć się wrażenia, że ich życzliwe wymiany zdań są przede wszystkim kurtuazją, za którą nie stoi rzeczywista sympatia ani nawet zrozumienie. Teraz też; Saina zaśmiała się, ale jej oczy pozostały chłodne, skupione. – Zrobiłam kilka – podjęła. – Większość z nich jest już w Saadzie. Ponadto... czasem przyjmujemy pomoc jako formę zapłaty.

Znów ta mina, zdradzająca, że Saina czegoś nie pochwała – ale że godzi się na to, na kolejny okruch niechęci do samej siebie, jeszcze jedną rzecz, która może

i nie jest nieodzowna, ale Sainie szkoda sił, by się buntować..

– Poznasz parę takich osób – dorzuciła.

– I pewnie mam mieć na nie oko.

Jej uśmiech, nagle tak samo dumny, jak i złośliwy, powiedział mu, że trafił w sedno.

– Potraktuj to jako ostrzeżenie, nie polecenie.

– Na razie splotacie jedno z drugim tak, że nie mam wyjścia, jak tylko działać zgodnie z waszym zamierzeniem.

Cofnęła się, jakby podniósł na nią rękę.

– I z tym wiąże się moje drugie pytanie – powiedział cicho, nie spuszczać z niej wzroku. – Dlaczego mi pomagasz? Byłoby łatwiej, gdybym dał się prowadzić jak na sznurku.

Przez długą chwilę ważyła słowa.

– Po pierwsze, nie dałbyś się. – Zmusiła się do uśmiechu, tego samego co wcześniej, uśmiechu, który nie wróżył spokoju. – A po drugie, chcę być uczciwa.

Zamrugął bez zrozumienia.

– Niektórym wydaje się, że mogą cię urabiać, jak im się tylko spodoba. A to... to pozbawia cię czegoś więcej niż tylko pełnego oglądu sprawy. Odbiera ci wolny wybór, bo jak masz działać, wiedząc jedynie to, co chcą ci przekazać? Sam dobrze wiesz, gdy coś przed tobą ukrywają. Chcę, żebyś mógł podejmować decyzje świadomie. Na podstawie kompletnych informacji – wyjaśniła.

– Nawet jeśli to będą decyzje, z którymi się nie zgadzasz?

– Mam trochę zaufania do twojego intelektu.

Nie wiedział, czy był to komplement, czy ostrzeżenie.

Wieczorem zebrał wszystkie swoje rzeczy do płóciennego plecaka. Nie było ich wiele: kilka sztuk ubrań, parę książek – za którymi, miał nadzieję, Aule nie tęsknił – oraz słaby składany teleskop i zapasowe soczewki. Pakowanie przyszło mu lekko. Nie czuł żalu, że wyjeżdża. Novissa była piękna, ale Nahir nie potrafił chodzić po niej, nie czując zastępowego smutku. To tutaj poznał swoich przeszłych. Tu żyła Ragani, która zaprzyjaźniła się z nim z przerażającą łatwością – i równie łatwo obróciła to uczucie w gniew, gdy Nahir ją zdradził. Równie mocno bolało go, że pokazano mu dom i źródło tylko po to, by zdobyć jego zaufanie, po czym wskazano mu zupełnie inne miejsce. Karawanie miała oczywiście towarzyszyć grupa zbrojnych, a od niego samego oczekiwano, że gdy nie pozostanie mu nic innego, sięgnie do źródła. Miał bronić rodziny. W tym momencie jej interesy oznaczały opiekę nad pudełkiem. Które leżało na stole w jego pokoju, wciąż niezapakowane. Na myśl o źródle i czasie poświęconym zawartości pudełka poczuł się potwornie zmęczony, jakby wysiłek włożony w jej stworzenie to jego kosztował kilka lat życia.

Zgodnie z życzeniem Ragani nie szukał jej. Ale dziewczyna nie zabroniła mu przychodzić do jej jaskini. Nahir był pewien, że syreny informowały ją o jego wizytach – niemal za każdym razem witał go ich nieprzyjazny syk, po czym złote łuski znikwały pod powierzchnią wody.

Wracanie do jaskini przypominało drażnienie bolącego zęba. Nie przynosiło ulgi, wręcz przeciwnie, lecz Nahir nie mógł się przed tym powstrzymać.

Musiał tu przyjść jeszcze raz, nim opuści Novissę. Choćby pożegnanie miało się odbyć tylko w jego myślach, potrzebował tego domknięcia. Wymknął się z domu, zostawiając za sobą rozświetlone miasto, girlandy kwiatów i upojną mieszanek zapachów. Pochodnia, którą niósł, rzucała blask na wodę, ale się tym nie przejmował. Szedł dobrze znaną sobie ścieżką.

– Zaczekaj – dobiegło go nagle.

Nahir obrócił się, uniósł pochodnię, ale nikogo nie dostrzegł na skałach.

– Tutaj. – Poza cichym, stłumionym głosem Ragani usłyszał także plusk wody.

Dziewczyna podpływała do skały, a wokół, jak orszak, sunęły syreny. W porównaniu z nimi Ragani była dużo szczuplejsza i nawet jeśli dzięki źródłu nie odczuwała zimna, chłód musiał przenikać ją do kości.

– Pomóż mi. – Wczepiła się jedną dłonią w krawędź kamienia, drugą podając Nahirowi. Chłopak pomógł jej wspiąć się na skałę.

Nim zdążył zareagować, Ragani przyłgnęła do niego i przycisnęła zimne, mokre wargi do jego ust. Dreszcz, który go przeszedł, nie miał wiele wspólnego z chłodem. Nahir oparł wolną dłoń na jej plecach, niepomny wody przesiąkającej jego ubrania.

– Wciąż cię nienawidzę – poinformowała go między pocałunkami cichym, łamiącym się głosem. – Chodźmy stąd.

Wskazała ruchem głowy jej dom na brzegu, ciemne, puste okna. Następnie wyjęła pochodnię z dłoni Nahira i wrzuciła ją do wody.



ROZDZIAŁ TRZECI

Miesiąc sierpów, trzecia pentada,
dzień pierwszy

Dzień po tym, gdy do gniazda zaprowadzono samozwańczego hierodula, Arit wspinała się po ścieżce w niemożliwej, świdrującej uszy ciszy. Powietrze miało metaliczny posmak, było naelektryzowane jak przed burzą. A potem znaleźli ciało chłopaka, czy też to, co z niego zostało. Pył, cień, szarawe odbicie sylwetki z wyciągniętymi rękami. Poza tym nic, ani odłamek kości czy skrawka tkaniny.

Dziś Arit spodziewała się tego samego. Dla niemile widzianych w gnieździe Vesui nie miał litości. Tym razem jednak lęk podszyty był poczuciem winy – to ona odnalazła Zaihab, to ona uparcie twierdziła, że dziewczyna ma zostać hierodulą. Zaihab od początku nie chciała tego. Prawdopodobnie nie była nawet z Sahit ani jego okolic; spłoszyła się, zapytana o pochodzenie. W Arit narastało dręczące poczucie, że popełniła błąd, który kosztował obcą dziewczynę życie. I za co – za status Arit w pałacu?

Poranne słońce ozłacało ścieżkę i grzało w plecy. Niebo nad Sahit było bezchmurne i jasne; na północy zdawało się zlewać z gładkim morzem. Arit przystanąła, mrużąc oczy. Tam, gdzie stała, panowała niemal absolutna cisza. Rozkrzyczane mewy nie zbliżały się do gniazda.

Pokonała ostatni odcinek drogi z sercem w gardle. Rozpostarło się przed nią przestronne wnętrze. Zaihab nigdzie nie było. W palenisku leżały rozżarzone węgle. Arit wstrzymała oddech.

W pokojach, w głębi gniazda, ktoś śpiewał.

Głos był cichy, lekko ochrypły, lecz silny. Nie pasował do Zaihab, którą Arit zapamiętała. Choć przecież nie mógł należeć do kogokolwiek innego.

Głos wyśpiewywał historię świata, od jego początków po dzień, gdy Rasenom udało się zabić bóstwo. Arit znała tę melodię – dziewczyna słyszała ją co roku, podczas obchodów rocznicy podbicia Rasenny, lecz wtedy żałoba szybko ustępowała triumfalnym akordom. Tymczasem Zaihab śpiewała dalej, o tym, co się stało po największej zbrodni: o echach bóstwa, które dały początek miastom. O nimrodach, którzy sięgnęli po malastry i zaczęli splatać własne zaklęcia. Jej

pieśń była melodią zwycięstwa, ale i skargą mieszkańców Nowej Saady, skazanych na życie wśród dawnych potworności, by te nie wdarły się do starego kraju. Arit przygryzła wargę. Była pewna, że nie powinna tego słuchać; hierodula zaś nie powinna tych słów znać.

Zaihab siedziała na złożonym posłaniu, wybijając rytm na misce odwróconej do góry dnem. Arit schowała się za kolumną. Szybko skarciła się w myślach – przecież dziewczyna była niewidząca, chowanie się nie robiło więc różnicy. Zaraz później Arit przemknęło przez myśl, że jeśli hierodula ma choć trochę dobry słuch, to z pewnością zdaje sobie sprawę z jej obecności.

Jak na zawołanie, Zaihab obróciła się ku niej.

Miała na sobie tę samą suknię, w której przyprowadzono ją do gniazda, wymiętą i zabrudzoną popiołem. Pod jej oczami widniały głębokie cienie. Ale Vesui jej nie skrzywdził. Wyglądała tylko na niesłuchanie zmęczoną.

– Arit?

W tej przelotnej chwili między usłyszeniem śpiewu Zaihab a jej pytaniem Arit wyobraziła sobie, że hierodula ją polubi. Że będą mogły rozmawiać w dzień, dzieląc ciszę w gnieździe i towarzystwo dziwnego bóstwa. Że kiedy nierozpoczęta jeszcze wojna dobiegnie końca, Arit zostawi gniazdo za sobą i wróci do pałacu, niosąc w sobie wspomnienie niezwyklej przyjaźni i łączących je tajemnic.

– To ja.

Zaihab mruknęła coś niezrozumiałego.

– Nie chciałam ci przeszkodzić – bąknęła Arit.

Hierodula bez słowa wyminęła ją i ruszyła ku krawędzi gniazda, pomagając sobie laską. Przez większość czasu spacerowała po wewnętrznym dziedzińcu, przemierzając go powolnym, ostrożnym krokiem. Badała stopami posadzkę. Kulila ramiona, jakby chciała się osłonić przed atakiem.

Arit ruszyła za hierodulą. Pytania kłębiły się w jej głowie. Wreszcie, splatając nerwowo dłonie, zadała pierwsze, które wydawało się sensowne:

– Jak się czujesz?

Zaihab obróciła się ku niej. Jej wargi lekko drżały.

– Jak widzisz, żyję – odezwała się po chwili.

– Tak. Ale... – Arit urwała, przypomniawszy sobie, że nie musi tłumaczyć się przed hierodulą.

– Nic mi nie jest – powiedziała z naciskiem Zaihab, choć przez chwilę wydawało się, że jej maska obojętności pęknie.

Arit postanowiła dążyć.

– Co się stało?

Strach o hierodulę przeważał nad ciekawością. Nie, nie o hierodulę – o Zaihab. Dziewczyna miała imię. Miała swoją historię, swoje wielkie przeznaczenie splecione z opiekunem miasta, który z jednakową łatwością karał i nagradzał. Miała twarz, której wyrazu w momencie obudzenia Arit nie potrafiła zapomnieć.

– Co ci zrobił? – zapytała cicho, gdy stało się jasne, że Zaihab nie ma zamiaru odpowiadać na poprzednie pytanie.

Hierodula parsknęła histerycznym śmiechem.

– Nic. Co miał mi zrobić?

Arit poczuła, że płoną jej policzki.

– Nie mam pojęcia. Nie wiem, jak wygląda, czy...

– Na to też ci nie odpowiem – mruknęła Zaihab z kwaśnym uśmiechem. – Ale rozmawiałam z nim.

Arit zaparło dech. Owszem, przywykła do szeptów w świątyni – dziś trochę słabszych, jakby karmiły się samą obecnością Zaihab – ale Vesui w równym stopniu się bała, co darzyła podziwem.

– Nie wiem, czy on w ogóle ma twarz – dorzuciła hierodula w zamyśleniu. – Jest... zmianą.

Zmarszczyła brwi. Arit milczała, nie chcąc jej przerywać.

– Nie umiem go określić inaczej. Zmienia postać, nastrój, głos... – Zaihab wzdrygnęła się na to wspomnienie. – Nigdy nie wiesz, czego sobie zażyczy. Co go rozśmieszy. Mam poczucie, że się nami bawi – dodała z goryczą.

Dawniej ludzie byli gotowi ginąć, żeby tylko zająć miejsce, które obecnie zajmowała Zaihab. Ale Zaihab tego nie rozumiała. Arit towarzyszyło nieodparte wrażenie, że ma przed sobą nie dziewczynę, ale ptaka zamkniętego w klatce. Tak samo nie mogła otrząsnąć się z przekonania, że coś się wydarzyło w gnieździe, coś, co zmieniło Zaihab w sposób, którego pewnie ona sama nie potrafi jeszcze nazwać.

Wiatr szarpał rękawami sukni hieroduli.

– Chodź – poprosiła Arit, mrużąc oczy wobec jaśniejącego błękitu nieba. – Chodź tutaj.

Niby nic nie powinno im tu grozić. Mimo to wciąż czuła, że coś umyka jej uwadze. Gdyby tylko skupiła się na dłużej, dostrzegłaby to.

Zaihab z ociąganiem odsunęła się od urwiska. Wyciągnęła przed siebie rękę. Dała się poprowadzić z powrotem ku sercu gniazda.

Wiatr na plecach Zaihab słabł, gdy ona i arystokratka oddalały się od urwiska. Dopiero teraz serce Zaihab przyśpieszyło, gdy pomyślała o przepaści, na skraju

której stała. Ale dziewczyna nie czuła strachu – najstraszniejsze już się wydarzyło. Stworzyciel wkroczył w jej sny. Zrobił to dla zabawy, by rozwścieczyć Opiekunkę Taarut.

Taarut. Zaihab się zatrzymała. Dlaczego wcześniej nie skojarzyła faktów? Oczywiście, słyszała doniesienia z pustoszejącego miasta, historie o rebeliantach i uciekinierach. Wiedziała o przygotowaniach do wojny; Sahit miało opanować zbuntowane miasto i przywrócić pokój w Nowej Saadzie. Polityka była przyziemna, ludzka. Nie angażowała bóstw – dlaczego miałyby? Bóstwom było obojętne, kto zapewnia im bezpieczeństwo, tak długo, jak długo w miastach panował spokój.

Ale jeśli nie? Jeśli Vesui zależało na tej wojnie?

Stworzyciele nie byli osobami, nie w taki sposób jak ludzie – na zawsze uwięzieni we wspomnieniu śmierci ziemi, swojej śmierci, jakkolwiek paradoksalnie to brzmiało. Ale Vesui miał pragnienia, życzenia. Okropne poczucie humoru. Mieszanie się w ludzkie sprawy wcale nie wydawało się poniżej jego poziomu.

Czy mógłby rozpętać wojnę?

„To niemożliwe” – pomyślała natychmiast. W Taarut byli magowie, który zabijali miasto, pozbawiali Opiekunkę sił. To stanowiło powód wojny.

To było na rękę Vesui.

I znów jej myśli krążyły wokół Opiekunki, której nie znała ani nie mogła pamiętać. Czasem wracało do niej ciepło jej ognia, choć równie dobrze mogła sobie to wmawiać; nie pamiętała nic z ceremonii, gdy oddawano ją pod opiekę. Była zbyt mała.

A teraz znalazła się między dwoma bóstwami, zabawka w ich rękach. Obiecała sobie, że nie będzie tylko zabawką. Dowie się, do czego zmierza Vesui. Ucieknie.

– Zaihab? – Usłyszała ostrożne pytanie Arit.

Miała wrażenie, że budzi się powoli, dopiero teraz. Pod dotykiem dłoni Arit zaciśniętej na jej nadgarstku, przy dźwięku jej słów. Arystokratka była może narzędziem anaksa Sahit – bardzo dumnym z powierzonej funkcji – ale przyszła tu przejęta losem Zaihab. Hierodula nie umiała powstrzymać wdzięczności.

– Usiądź tutaj. – Arit niemal siłą posadziła ją na poduszkach. – Zrobić ci herbaty? – Nie czekając na odpowiedź, zaczęła krzątać się po pokoju.

Zaihab postanowiła nie utrudniać jej zadania. Podkuliła stopy pod siebie i czekała.

Puste nieba, dobrze było słyszeć odgłosy obecności innej osoby. Nawet jeśli tą osobą była wysłanniczka isbeta. Ale przynajmniej przestała traktować Zaihab jak drogocenny obiekt. Hierodula musiała przyznać, że nie chce, by Arit sobie poszła.

– Proszę. – Owionął ją mocny zapach herbaty. – Uważaj, gorące.

– Dziękuję.

Arystokratka usiadła naprzeciwko niej.

– Słyszałam cię, jak śpiewałaś – powiedziała.

– Mhm. – Zaihab owinęła dłoń chustą i ostrożnie podniosła szklankę do ust.

– To nie była ta pieśń, którą zwykle się wykonuje.

Uśmiechnęła się cierpko.

– Nie, nie była.

Miała nikomu nie mówić, skąd zna takie pieśni. Przywykła do zachowywania tajemnic. Choć... przed kim miałyby za to odpowiadać? Nie było już nikogo, komu Zaihab mogłaby zaszkodzić. Ani nikogo, poza Arit, kto mógłby jej wysłuchać.

Chciała zostać pieśniarką, czyż nie? Nie była wiele warta, dławiąc historie w sobie.

– Tak brzmiała jej pełna wersja – powiedziała. – Ułożona przez nimrodów. Miała przypominać o tym, że mogliśmy się pozbyć raseńskich magów, ale temu miejscu wciąż daleko do... uzdrowienia. Zrobiliśmy wszystko, co potrafiliśmy, jednak to zbyt mało. Nasi stwórcy są cieniami okaleczonego bóstwa i musimy o tym pamiętać, bo w jakiś sposób... zależą od nas.

– Anaks na pewno o tym pamięta – bąknęła Arit. – Teraz, gdy o tym myślę, wasze role są bardzo podobne.

– Żadne z nas nie ma wiele do powiedzenia. Jeśli o to ci chodziło, to mogę się zgodzić. – Zaihab uśmiechnęła się do niej, choć bez radości.

– Jest może wiekowy i zmęczony, ale nie jest marionetką swoich urzędników! Chciałam jedynie podkreślić, że odpowiadacie tylko przed stwórcą – wytknęła jej urażona Arit. – Że, choć jesteście ludźmi, rozmawiacie z bóstwami. Jesteście naszymi łącznikami z opiekunami miast.

Zaihab powoli dopiła herbatę, próbując ukryć zmieszanie. Wiedziała, że słowa Arit były zamierzone jako komplement – zapewne największy, jaki Zaihab mogła od niej usłyszeć. Ale bolały i tak. Przypominały o przerażeniu poprzedniego wieczoru i o tym, że ten dzień – i każdy kolejny – będzie powolnym oczekiwaniem na nieuchronne zapadnięcie zmroku. Sprawiały, że Zaihab znów czuła pod skórą bliskość i głód skrzydlatych.

– Wiem, że tego nie chciałaś – westchnęła Arit. – Choć wciąż mam nadzieję, że zmienisz zdanie.

– Poproszę więcej herbaty. – Zaihab przesunęła szklankę w jej stronę.

Arystokratka posłusznie spełniła prośbę. Nie zamierzała jednak porzucić tematu.

– Bo co byś robiła, gdyby cię tu nie było? – zapytała.

„Śpiewałabym – pomyślała...

...Byłabym jeszcze jednym ciężarem na barkach coraz starszych rodziców.

Byłabym wolna...

...Zawsze zależna od innych. Bez ogniska”.

– Co to za pytanie? – oburzyła się Zaihab.

Arit tylko znów westchnęła. Obie w milczeniu dopiły herbatę.

Im silniejszy był gorzki smak fusów zebranych na dnie naczynia, tym bardziej narastał lęk Zaihab. Nie chciała zostać sama. Jeszcze nie. Pytania Arit były niezgrabne i nieznośne, ale zagłuszały przytłaczającą ciszę gniazda.

Próbowała narzucić sobie spokój. Wiedziała, że jeśli Arit zostanie tu dłużej, to ona sama będzie na niej polegać jeszcze bardziej. Nie mogła liczyć na innych ludzi. Nie powinna szukać towarzystwa. Musiała się skupić na swoim jedynym ważnym celu – ucieczce – i wytłumić wszystkie inne pragnienia.

Ale tak bardzo nie chciała być sama.

– Chcesz wiedzieć, jak kończy się tamta pieśń? – zapytała, próbując nie okazać, jak bardzo jej zależy na towarzystwie.

– Chcę – powiedziała szybko Arit.

Zaihab nabrała tchu i zaczęła śpiewać. Pierwsze wersy były ciche, niezdarne, gubiła rytm. Nie ufała swojemu głosowi teraz, gdy między nią a Arit zaistniało coś na kształt porozumienia.

Drugiej nocy Zaihab oczekiwała duchów. Stała na dziedzińcu, wyciągając ku nim ramiona.

Siostro.

Nie była ich siostrą. Ale chciała zrozumieć, jaki los może ją czekać.

Spędziła większość dnia, planując, czego musi się dowiedzieć. Chciała poznać rolę Vesui w wojnie przeciwko Taarut; ale najpierw musiała zrozumieć, co jej grozi i ile ma czasu, by działać. Myślenie o tym uspokajało ją, jednak wieczorem znów przyszedł strach. Czekala na dziedzińcu gniazda, drżąc, przytłoczona własną bezradnością.

Spodziewała się, że gdy ptaki spróbują osiąść na jej ramionach, ich szpony przetną jej skórę. Skrzydlate tymczasem okazały się lekkie, a ich dotyk bardziej przypominał muśnięcie wiatru czy lepkość mgły. Z tą różnicą, że były ciepłe, jakby w ich ciałach, zawieszonych między snem a jawą, wciążył się życie.

– Czy powiecie mi, co mnie czeka? – zapytała Zaihab.

Odpowiedziało jej tylko pohukiwanie i krakanie stworów.

Jeśli Vesui w istocie jest cieniem bóstwa i patronem miasta, ptaki mogły być utkane z tego samego snu o Sahit. Co by znaczyło, że są tym samym, co sowi stwórcy. Zaihab powstrzymała chęć strząśnięcia z siebie skrzydlatych. Nie rozumiała dwoistości Vesui: tego, że będąc ostatnim oddechem zabitego bóstwa, jest jednocześnie tak bardzo... ludzki.

Przynajmniej potrafił przybrać ciało. Lecz przecież równie dobrze mógł zdecydować się na tę formę dla Zaihab; lub to ona mogła mu ją nadać, nie będąc w stanie pojąć bezcielesności bóstwa.

Tak dużo pytań, żadnych odpowiedzi. Zaihab wypuściła skrzydlate.

– Wiem, że tu jesteś – mruknęła.

Odpowiedział jej śmiech bóstwa. Vesui podszedł bliżej, lekko stąpając po dziedzińcu.

– Tęskniłaś? – zapytał.

Nie odpowiedziała.

Vesui znów zachichotał. Zaihab owiał znajomy zapach ostrych traw i polnych kwiatów.

– Na twoim miejscu byłbym trochę miłszy dla osób, od których coś chcę.

– Wątpię – odparła Zaihab.

– Właśnie udzieliłem ci bardzo dobrej rady – powiedział z powagą stwórcy, nieruchomiejąc na chwilę.

Cisza, która zapadła, sprawiła, że ramiona Zaihab pokryły się gęsią skórką. Dziewczyna nie słyszała ani Vesui, ani skrzydlatych. Było tak cicho, jakby cały świat zatrzymał się razem ze stwórcą.

Zrozumiała. Vesui mógł udawać dziecko – mógł nawet, według pokrętnych prawideł rządzących zachowaniem patronów miast, w jakimś sensie być dzieckiem – ale to nie czyniło go bezbronnym. Był stary, starszy niż samo miasto, niż Saada i Rasenna. Teraz nie chciał zrobić Zaihab krzywdy. Ale mógł zmienić zdanie.

Trzepot skrzydeł przerwał ciszę i bezruch. Zaihab skrzyżowała ramiona. Musiała uważać.

– Tak, mam do ciebie pytanie. Czy mi odpowiesz? Proszę...

Vesui głośno pociągnął nosem.

– Twoje życzenia – powiedział – nigdy nie wystarczą, by zmienić kształt świata, ale czuję ich obecność. Podobnie jak twoja krew cuchną popiołem – dorzucił z nieskrywaną odrazą.

Zaihab cofnęła się o krok.

– Jesteś jak trucizna – mówił dalej Vesui. Mina Zaihab musiała zdradzić zaskoczenie, bo stwórcy parsknął śmiechem. – Nie wiem, dlaczego spotkało was takie błogosławieństwo. Nie słyszycie, jak ta ziemia buntuje się przeciwko

wam. To miejsce nie jest wasze. Nigdy nie będzie – syknął, znajdując się nagle tuż przy Zaihab. Jego oddech musnął jej ucho.

Pod dziewczyną nogi ugięły się ze strachu. Oparła się o przekształconą skałę. Zimno kamienia ją otrzeźwiło.

– Zabraliście tej ziemi jej pamięć, język, jej pieśni. Czy cokolwiek jest dla was święte?

Zaihab słuchała go z niedowierzaniem. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że Vesui może nienawidzić Saadyjczyków. Przecież Saada uwolniła tę ziemię – wypędziła bogobójców. Dawna Rasenna spłynęła krwią niewinnych ludzi, ale tylko dzięki temu Vesui przetrwał. Czyżby wcale tego nie chciał?

– „Nigdy nie dowierzaj echu” – zanucił Vesui. – Skąd to znasz?

Zaihab nie miała czasu do namysłu.

– Powiem ci – wyrzuciła z siebie – jeśli ty mi powiesz, co stało się z poprzednimi hierodulami.

Skuliła się w oczekiwaniu na uderzenie tej lodowatej, piorunującej ciszy. Ale Vesui tylko wydał z siebie cichy pomruk. Zaihab wołałaby, gdyby po prostu ją zaatakował.

– Właściwie – powiedział miękko – mogę ci to pokazać.

Zaihab czekała w bezruchu.

– No chodź – zezłościł się i bez pytania złapał ją za rękę. Miał ludzkie, ciepłe dłonie. Dziecięce. Ale trzymał nadgarstki Zaihab w żelaznym uścisku, na jaki nie zdobyłoby się żadne dziecko.

Zacisnęła powieki. Choć wciąż czuła grunt pod stopami, wydawało jej się, że ona i stwórcy zapadają się w wodę. Przez chwilę szamotała się w przerażeniu, bezskutecznie drapiąc dłonie Vesui, ale bóstwo nie wypuściło jej. Wzięła kolejny oddech. Haust chłodnego powietrza, pachnącego solą. Wciąż byli w gnieździe. Tylko... kiedy indziej.

Przytuleni do skały słyszeli głos dobiegający z krawędzi gniazda. Twardy saadyjski akcent. Zaihab nie mogła tego zobaczyć, ale wiedziała, z tą samą pewnością, z którą poznała mapę podwodnych skał, że mają przed sobą saadyjskiego żołnierza i młodego chłopaka w jasnej tunice i jedwabnych spodniach.

– I co mi zrobisz? Gdzie twoje magiczne źródło? – śmiał się mężczyzna, popychając chłopca. Ten objął się kościstymi ramionami, walcząc nie tyle z żołnierzem, ile z wiatrem przenikającym przez jego zwiewne ubranie. Obrócił ku żołnierzowi twarz bladą jak popiół. W tej bladości odcinał się jedynie pas wytatuowany na podbródku.

Zaihab wiedziała też, wiedziała dobrze, że poza chłopcem jest tu Vesui; poznawała to wydarzenie z jego perspektywy. Czuła jego strach. Czuła skałę

wpijającą się w jego plecy i stopy. Słyszała urywany oddech stwórcy odbijający się echem.

– Nie przyjdą po ciebie – powiedział żołnierz. – Nie ma ich tu. Nie ma żadnych Opiekunów.

Chłopiec zagryzł wargi. Wiedział już chyba, że nic nie zdziała błaganiem. Poddał się. Patrzył tylko szklistym wzrokiem to na żołnierza, to na białe miasto widoczne u jego stóp.

– No już. – Z tymi słowami żołnierz popchnął chłopaka. Ten runął ku miastu.

Pęd powietrza wyrywający oddech z płuc. Przyspieszone tętno Vesui, który nie potrafił zdobyć się na cud.

Leć, ptaszyno.

I materia świata, która słucha bóstwa, posłusznie się odkształca, wiatr się wygładza, wyciągnięte bezradnie dłonie zamieniają się w skrzydła.

Leć.

Pod niebo wzbił się szary kształt. Stworzenie młóciło powietrze nowo zdobytymi skrzydłami.

Zaihab wydało się, że też walczy z wiatrem. Kurczowo schwyciła rękę Vesui. Oboje opadli miękko na posadzkę.

Stwórca oddychał głęboko. Nim puścił Zaihab, ta czuła na jego dłoniach zimny pot.

– A więc już wiesz.

Przez chwilę oboje milczeli.

– To nie był ratunek – szepnęła Zaihab. – To była ofiara.

– Zrobiłem, co mogłem zrobić. – Vesui zgrzytnął zębami.

Zapewne miał rację. Mimo to Zaihab przeszedł zimny dreszcz. Vesui mógł mieć nawet dobre intencje – jakkolwiek wszystko w niej burzyło się na tę myśl. Ale zamienić okrutną, lecz szybką śmierć na... lata zawieszenia w pustce między życiem a nieistnieniem? Na błąkanie się po mieście w obcej postaci, przetworzonym ciele, niekończącą się służbę. Nasłuchiwała szelestu skrzydlatych. Czy zostało w nich cokolwiek z ludzi? Czy duchy pamiętały, kim były? Nie mogła znieść myśli, że w każdym z nich uwięziona jest świadomość, nieprzystająca do ptasiego ciała. Posłuszna Vesui.

Siostró.

Coś w jego wspomnieniu nie pasowało jej jednak, uwierało – jakby wodząc dłonią po gładkiej ceramicznej powierzchni, natrafiła na głęboką rysę. Nie potrafiła tego nazwać. Miała tylko poczucie dysonansu, którego się teraz uczepiła. Wiedziała już, że Vesui nienawidzi Saadyjczyków. Że choć nosi w sobie wspomnienie raseńskiej zbrodni, nie potrafi pogodzić się z cierpieniem ostatnich Rasenów.

Że potrafi współczuć, buntuje się przeciw niesprawiedliwości. Zaihab nie chciała myśleć o tym, że stwórcy jest zdolny do takich uczuć.

Zmusiła się do myślenia o spadającym chłopcu. Musiała uciec, nim Vesui i ją postanowi obdarzyć skrzydłami. Wciąż nie wiedziała, ile ma czasu.

– Myślisz, że tego właśnie chcę?! – warknął nagle stwórcy, pochylając się ku niej.

Zaskoczenie odebrało jej nawet zdolność strachu.

– Nie wiem – przyznała szczerze.

Stwórcy się nastroszył.

– Nic nie poradzę na to, że nie wytrzymujecie tu długo – przyznał z czymś na kształt żalu w głosie. O ile jeszcze wiedział, czym jest żal. – To miejsce... pochłania was. Jest od was silniejsze, bo ja tu jestem. – Uderzył pięścią w podłogę. – Żadne z was tego nie wytrzyma.

Zaihab znieruchomiała.

– Jak długo? – zapytała tylko.

– Nie wiem. Może pentadę, może dwadzieścia lat. Może dłużej.

Sięgnęła ku wisiorowi, który dostała od pieśniarza. Zaihab, która wędruje i nosi w sobie pamięć ludzi, miała nigdy nie istnieć. Nie będzie mieć dość czasu, by zapamiętać wszystkie pieśni i przekazać je dalej. Zacznie roztopiać się w tym miejscu. Tracić siebie. Przegra z cudami. I nie będzie mogła nawet umrzeć.

Nie płakała. Nie trzęsła się ze strachu. Nie potrafiła; wygrało poczucie dojmującej pustki. Nic nie mogło się z tym równać, ani chłód pól jałowych, ani milczenie Vesui.

– Teraz twoja część umowy – ponaglił ją stwórcy. – Skąd masz tę pieśń?

Zaihab zerwała się z miejsca. Skrzydlate rozpierzchnęły się przed nią.

– Zabrałam ją – powiedziała z całą odwagą, na jaką mogła się zdobyć. – Wyrwałam ją umierającemu raseńskiemu magowi. Więc nie myśl, że nie spróbuję wyrwać tobie tego, co mi zabrałeś.

Obróciła się na pięcie, choć przecież nie miała gdzie uciec. A Vesui musiał mieć ostatnie słowo.

– Ależ próbuj – dogonił ją szept stwórcy. – To może być całkiem ciekawe.

Miesiąc sierpów, trzecia pentada, dzień drugi

Przed Tisar łopotał sztandar Kompanii Buław, opuszczony do połowy. Namalowany emblemat – dłoń unosząca buzdygan – został twórczo potraktowany farbą. Kondotierka przecięła liny przy maszcie i zerwała tkaninę.

– Spal tę szmatę – poleciła Adhanowi – nim ktoś ją zobaczy.

Chłopak wzdrygnął się, ale posłusznie wypełnił polecenie. Tisar zaś rozejrzała się dookoła. Dezerterzy musieli zebrać się tuż przed świtem. Zostawili pusty namiot i wyczyścili okolicę ze sprzętu.

– Chcę widzieć u siebie te łajzy, które miały być na warcie – warknęła, patrząc na Smugę. Ten z powagą skinął głową.

Tisar wyłamała palce. Grunt zaczynał się jej palić pod nogami.

Problemem było nie tylko to, że isbet i kasser wplątali ją w wojnę przeciwko magom; także to, że razem ze swoją bandą tkwiła pod Sahit, sama nie wiedząc, co ich czeka. Ale musieli oczekiwać rozkazów; od posłuszeństwa zależało ich życie. Tisar spodziewała się, że nawet najmniej błyskotliwi żołnierze Kompanii to rozumieją – choć sama podzielała ich niecierpliwość i lęk. Wiedziała też, że współczucie nie wystarczy, by uszanowano jej przywództwo. Na jej miejscu łatwo mógł się znaleźć ktoś bardziej zapalczywy, kto z całą pewnością przypieczętowałby los całej bandy – mógłby równie dobrze zaprowadzić ich na szafot – ale najpierw doprowadziłby do zguby Tisar. Tisar zaś nie zamierzała jeszcze umierać.

Musiała działać, szybko, odzyskać punkt oparcia. Znaleźć sposób, by zmusić dłonie anaksa do działania.

Nieważne, ile razy przekraczała bramy dolnego pałacu, ten wciąż nie stawał się ani trochę znajomy. Tisar zmrużyła oczy. Gładkie ściany bieleły się w słońcu, z otwartych okien dobiegał szmer rozmów.

Teraz przychodziła tu jako wolna obywatelka z tytułem szlacheckim, ale nigdy nie rozstawała się z pieczęcią Avile, tą, którą przesłał jej przed pierwszym spotkaniem; gdyby cokolwiek się stało, kościany krążek z symbolem isbeta musiał wystarczyć za jej immunitet.

Mogła się za to karcić, ale nie potrafiła pohamować strachu. Ten zaś sięgał głęboko, karmił się wszystkimi niesprawiedliwościami, których doświadczyła lub była świadkiem. „Pałac – powtarzała ta część Tisar, która się bała – należy do możnych. Do tych samych ludzi, którzy próbowali pozbawić cię życia”.

Straż nauczyła się wpuszczać ją do środka, choć za każdym razem Tisar czuła na sobie ich nieprzychylny wzrok. Znajomy ciężar buławy przy pasie dawał jej namiastkę spokoju.

Otworzył się przed nią korytarz. Każde drzwi otoczono arabeską i symbolem Niegasnącego. Większość przejść przesłaniały tylko tkane kotary lub zasłony z koralików; niektóre pokoje poprzedzielano parawanami. Część ścian zamieniono na misternie rzeźbione panele; nie zostawiały dość światła, by zajrzeć do sąsiadujących pomieszczeń, ale dawały jednoznaczne świadectwo sztuki swych twórców. Tisar miała niejasne przeczucie, że rzeźbiarze nie wykonali tych ozdób – nie starszych niż Nowa Saada – dobrowolnie. Po podboju

ostatni magowie Rasenny zostali potraktowani jako surowiec, który trzeba szybko wykorzystać. Pozbawić się. Użyć do zbudowania nowego państwa.

Nigdy nie zastanawiała się, dlaczego się nie zbuntowali. Mogli przecież obrócić swoją siłę przeciwko oprawcom. Czy się bali? Czym im grożono i dlatego nie byli w stanie pokonać zagrożenia? Wcześniej przecież niemal udało im się spalić Żrenicę. Jak zdołano ich złamać?

Gabinety prawej i lewej dłoni znajdowały się na końcu korytarza, tuż przy wewnętrznym dziedzińcu i ogrodzie. Tisar szła znaną sobie trasą, planując, co powie Avile. Miała poczucie, że jej słowa odbijają się od ściany; że Avile nie zdaje sobie sprawy, co prowokuje, pozwalając szumnie zwanej kompanii na rozbicie obozu nieopodal miasta. Mógł widzieć w jej ludziach armię. Ona widziała w nich siebie.

Głód. Wściekłość. Pałace poczucie niesprawiedliwości. W rękach gotowość, by chwytać za broń.

Nie potrzebowała Smugi, by rozumieć, że wkrótce w obozie może zawrzeć – beczynność i niepokój stanowiły mieszankę wybuchową. Musiała zaoferować swoim ludziom cokolwiek. Liczyła, że urzędnicy to zrozumieją.

– ...nie wiem, dlaczego uznałeś, że wolno ci przeszukiwać mój gabinet...

Kotara w wejściu do pokoju wisiała krzywo. Ktoś siedział na otomanie – ale Avile krążył po pokoju, obracając ciężką, srebrną bransoletę na nadgarstku. Przypominał dzikie zwierzę zapędzone w pułapkę. Tisar zwolniła kroku i możliwie bezszelestnie przywarła do ażurowej rzeźby.

Gdy zmrużyła oczy, była w stanie dostrzec zarys osoby rozpartej na kanapie. Proste szaty kassera. Osun trzymał coś w wyciągniętej dłoni.

– Troska o Sahit – odpowiedział isbetowi z prostotą. – Jak widać, słuszna.

Avile zatrzymał się i posłał mu wściekle spojrzenie.

– Nie miałeś prawa!

– Proszę cię. Kto jak kto, ale ty powinieneś rozumieć, że prawo nie ma trwałości kamienia. I najwyraźniej zapomniałeś, do czego jesteś potrzebny w pałacu.

– Dobrze wiem – zachnął się Avile.

– A ja jestem po to, by cię pilnować. – W głosie kassera zabrzmiało coś na kształt zmęczenia. – Byś nie narażał anaksa. Co właśnie zrobiłeś, przekonując mnie do wypuszczenia z miasta tej dwójki.

– Zgodnie z naszą umową.

– To zmienia trochę naszą umowę. – W ręku Osuna błysnęła biała kość pieczęci.

Avile prychnął.

– Puste nieba, wysłuchiwanie pałacowych plotek było ostatnim, co przyszedłoby im na myśl. A choroba anaksa nie jest dla nikogo tajemnicą.

– Choroba mojego ojca – powiedział Osun. Niespodziewana miękkość jego głosu sprawiła, że Tisar zrobiło się wstyd, że to słyszy. – Nie jest tajemnicą. Ale chcę, by był pamiętany jako osoba, która uświetniła to miasto. Nie jako... – urwał.

– Nie jako ktoś, kogo pochłoneła Rasenna? – zapytał Avile z udawaną troską.

Tisar przycisnęła policzek do parawanu. Nie tak Avile mówił o anaksie, gdy w gniewie go obrażała.

– Ani słowa więcej – rzucił kasser.

Avile wyciągnął ku niemu dłoń.

– Oddaj mi to. Nie masz do tego prawa. O przeszukiwaniu mojego gabinetu nie wspominając.

Osun nie śpieszył się jednak ze spełnieniem prośby.

– Pomóż nam tylko wygrać tę wojnę.

– To ci obiecałem – powiedział Avile, nachylając się nad nim. Bez ostrzeżenia wyrwał mu przedmiot z ręki.

Tisar niemal podskoczyła. Avile i agresja – nawet tak skromny jej przejaw – to połączenie nie mieściło się jej w głowie.

– Czy to było potrzebne? – Kasser zawiesił głos, czekając na odpowiedź. Gdy ta nie nadeszła, podjął: – Nimrodowie? Po co ci byli nimrodowie?

Isbet rzucił nerwowe spojrzenie ku drzwiom. Tisar dziękowała w duchu za kryjące ją cienie. Uspokoiła oddech. Teraz tym bardziej nie mogli jej zobaczyć.

– Wiesz, że będę ich szukać. Włączę w to kapłanów Niegasnącego i straż, jeśli będzie trzeba – zagroził Osun.

Avile parsknął śmiechem.

– Szukaj – powiedział. – Sam ich uniewinniłeś i zaaranżowałeś udawaną egzekucję.

Przeklinanie i wzywianie Niegasnącego było poniżej godności Osuna, nawet teraz. Mężczyzna wstał od stołu.

Tisar nie czekała dalej. Miętko krocząc, skręciła w następny korytarz. Dobiegło ją echo kroków kassera.

Odczekała, aż odejdzie. Dopiero wtedy wróciła przed gabinet Avile.

Isbet siedział, masując skronie. Na jego górnej wardze perlił się pot. Gdy Tisar weszła, Avile nie zadał sobie trudu sprawiania dobrego wrażenia.

– Usiądź – rzucił krótko.

Tisar zajęła miejsce na poduszkach, zastanawiając się, czy przyszła do odpowiedniej osoby.

Długie włosy isbeta, zaczesane do tyłu, zdążyły zmatowieć i zsiwieć, ale w prostych pasmach wciąż dało się dostrzec przebliski miedzi. Avile sur Irsa odziedziczył po saadyjskiej rodzinie ciemne oczy, ale ich kształt, a także chłodny odcień skóry jednoznacznie wskazywały na przodków z Rasenny. Jeśli ktoś taki współpracowałby z nimrodami, oskarżenia obciążłyby go podwójnie.

Ale Osun, zamiast od razu wezwać straż, tylko upomniał Avile. Też złamał prawo.

Albo zrobił to już wcześniej, dużo wcześniej, i nie mógł wykluczyć z dworu Avile, nie szkodząc jednocześnie sobie. Jeśli prawa dłoń robiła wyjątki od zasad, nie wróżyło to dobrze miastu.

Ani jej samej.

– Tak? – zapytał Avile. – Czy coś się stało?

Kwestia Taarut zeszła na dalszy plan, ale Tisar nie mogła tak po prostu wyjść. Zakłęła w duchu. Po co tu w ogóle wracała – żeby popatrzeć na Avile? Żeby nikt nie zastanawiał się nad jej wizytą w pałacu?

– Taarut – wychrypiała. – Muszę wiedzieć. Muszę powiedzieć coś o nim mojej bandzie. – Odgarnęła włosy z czoła.

– Rozmawialiśmy już o tym. – Avile westchnął ciężko.

– Wiem. Ale, do ciężkiej zarazy, daj mi cokolwiek. Ochłap informacji. Wiesz, jak to wygląda z punktu widzenia bandy? Najpierw plotki o zatrutym mieście i buncie, pozamykane porty i bramy, potem ten cyrk z dyplomatami i ich rejterada. Wiesz, co mówią na ulicach? – Zaczerpnęła tchu.

Avile powoli pokręcił głową.

– Że Taarut poddało się magii. Że chcecie posłać armię na pierdolonych magów. Że znów wylęgną się przetworzenia. Że waszym żołnierzom zrobicie to, co podobno wtedy... – zamilkła.

Isbet zamarł, wpatrując się w nią. Jeśli to możliwe, pobladł jeszcze bardziej.

– Powiedz, że to nieprawda. Daj mi argument, który temu zaprzeczy. Zduś tę pieprzoną plotkę, nim podpalą wasz pałac.

Avile milczał przez długą chwilę.

– Kościane miasta – rzucił wreszcie.

Tisar bez słowa pokiwała głową.

Opowieści o miastach z kości służyły jako przestroga przed całym złem, które mogło czyhać za progiem bezpiecznych osad. Pozostały po nich opuszczone białe iglice i kruszące się mury. Szara ziemia i lodowate, nieruchome powietrze.

– Ale w Taarut wciąż mieszkają ludzie – powiedziała. – To nie ma sensu.

– Tam też mieszkali – odparł Avile. – I skąd wiesz, że nie mieszkają dalej?

Tisar zacisnęła dłonie.

– Są tacy, którzy tam byli – kontynuował, unikając jej wzroku. Nimrodowie, dopowiedziała sobie. – I mówią, że kościane miasta nigdy nie były tak opuszczone, jak chcielibyśmy sądzić.

– Więc przedstaw mnie im – zażądała bez namysłu. – Chcę wiedzieć, z czym się mam mierzyć. Zrób to! – podniosła głos.

Ale Avile uśmiechnął się smutno.

– Pozwól, że przypomnę ci założenia twojego kontraktu.

Tisar zrobiło się zimno ze strachu. Avile miał rację; umowa nie zawierała żadnych informacji na temat zagrożenia w Taarut. Stwierdzała jedynie, że Tisar ruszy przeciwko miastu.

Gdy wojowniczką zawierała tę umowę, chciała wolności. Była pijana swoją nowo powstałą legendą. Nie myślała o Taarut. Myślała tylko o sobie.

– Nie chcesz zrywać tej umowy – dodał łagodnym tonem Avile.

Wstała gwałtownie.

– Nie chcesz – powtórzył. – Z Taarut przynajmniej możesz wyjść żywa.

– Pierdol się, Avile – powiedziała z uczuciem.

Być może smutek w jego oczach, gdy na nią patrzył, był autentyczny. Może Avile naprawdę nienawidził siebie za to, co musiał robić. Ale zrobił to i tak. Wysłał ją na miasto magów.

To nieprawda, że wszystko jest dla mnie grą.

Myśl o mnie, co chcesz. Ale w tej chwili boję się razem z Osunem; razem z nim zakradam się do gabinetu isbeta. Kilka słów rzuconych przez twojego ojca wystarczyło, by zasiać niepokój. Nie, Osun nie jest z siebie dumny, że uwierzył więźniowi. Ale i tak otwiera sekretarzyk isbeta. Nie powinien tego robić. Czuje się, jakby zdradzał brata.

Rozpakowuje listy zapisane na arkuszach jedwabiu, czyta, składa je znów. Nic, co potwierdzałoby słowa więźnia. Na jego czole lśni pot. Być może się mylił, dając wiarę pogłoskom; bardzo chce się mylić. Ale znajduje to, czego szukał: kościaną pieczęć z symbolem nimrodów w negatywie: lewą dłoń z zaczernionymi opuszkami.

Drzę razem z Osunem, przekonany, że Avile zagroził największej tajemnicy Sahit. Kasser ściska znacznik w spoczonej dłoni, bezgłośnie wymawia modlitwę do Niegasnącego, ale to ja pomogę mu ochronić miasto przed Avile.

Drzwi tawerny zawarły się z trzaskiem za Tisar. Kondotierka zrobiła kilka kroków w stronę wybrzeża, oparła dłonie na biodrach i odetchnęła głęboko.

Wieczne powietrze pozwoliło jej oczyścić głowę z dymu i oparów alkoholu. Na nowo zebrać myśli.

Dowódczyni – nawet mianowana pośpiesznie, dzięki przekrętowi, którego dopuściły się dłonie zarządcy bez jego wiedzy – nie powinna była pozwolić, by emocje wzięły nad nią górę. Ale teraz musiała wyjść choć na chwilę. Bała się, że coś w niej pęknie, że nie wytrzyma.

Kopnęła wbity w nabrzeże kołek. Nie poczuła się lepiej.

Nie mogła, po prostu nie mogła siedzieć tam ani chwili dłużej, słuchać przechwałek i planów towarzyszy, uśmiechać się szeroko i im wtórować. Ilekroć ktoś zaczął marzyć głośno, co robi po Taarut, żołądek Tisar zaciskał się w supeł. Wiedziała już, że nie będzie żadnego „po Taarut”.

Gdyby wycofała się teraz – zawiśliby, ona i cała jej kompania, jako pospolici przestępcy. O ile isbet nie znalazłby sposobu, by uczynić z nich buntowników, którzy grozili nierozdzielności Nowej Saady. Zapewne jego własne plany też by się posypały, ale Tisar i tak nie zdążyłaby tego nawet zobaczyć, a nie zamierzała umierać z przekory.

Pozostawało jej iść na Taarut z nadzieją, że przynajmniej dostanie kilku magów i że cokolwiek jej uczynią, nie będzie to gorsze od śmierci.

Ze władze miasta nic niej nie zrobią, zanim pójdzie na Taarut.

Drzwi za nią skrzypnęły ponownie.

– Tisar...

Smuga, oczywiście. Nikt inny. Ostatnia osoba, którą Tisar chciała widzieć otepioną przez saadyjskich chirurgów i idącą na Taarut ze szklanym wzrokiem. Przełknęła żółć podchodzącą do gardła.

– Nic mi nie jest – burknęła, opierając dłonie na kolanach.

Smuga podszedł bliżej, odganiając kilka mew i dziobiących za nimi skrzydlatych. Ptaki, także te widmowe, zerwały się z krzykiem z nabrzeża.

– Tisar. Popatrz na mnie.

Powoli podniosła wzrok.

– Wyglądasz, jakbyś miała tu zejść. I twierdzisz, że nic ci nie jest?

Patrzyli na siebie bez słowa.

– Tisar. Nie zbędzisz mnie tak łatwo.

Była wdzięczna fatum, że może na niego liczyć. Czasem jednak życzyłaby sobie, by Smuga nie potrafił tak dobrze rozumieć jej nastrojów i by był choć trochę mniej uparty.

– Wszystko przez tego gnoja isbeta. – Odpięła od paska pieczęć Avile i cisnęła nią w najbliższą siedzącą mewę. Krążek zniknął w czarnych wodach portu przy

akompaniamencie ptasiego wrzasku. – Zakłamanego złamasa, którego matka wypchnęła z pizdy od razu z malastrą w rękę. Puste nieba. Raseńska kurwa.

– Może jednak poczekaś z tak ciężkimi oskarżeniami – mruknął Smuga po długim milczeniu.

Tisar odetchnęła głęboko.

– Masz rację.

– Szkoda by było, gdyby ktoś mu doniósł i gdyby isbet odebrał ci przywilej, który właśnie utopiłaś.

– Isbet może sobie wsadzić swój przywilej w... – Kondotierka ugryzła się w język. – Zaraza. Masz rację. Muszę ochłonać.

– Albo możesz mi powiedzieć, co się stało.

Zadumała się, nie wiedząc, jak przekazać mu wiadomość.

– Nie liczę na to, że wrócimy z Taarut.

– Skąd to wiesz? – zapytał, pozornie spokojnie, lecz utkwiał w niej czujne spojrzenie.

Tisar odrzuciła na plecy burzę włosów.

– Bo nie mamy szans przeciw magom, ot co. Nie idziemy pomagać obleżonemu miastu; magowie w Taarut już wygrali. Będzie powtórka ze zdobywania Rasenny. W miniaturze. Z nami w roli dzielnych wojowników ufnie idących na rzeź.

– A jeśli nie pójdziemy... – urwał. Doszedł do tych samych wniosków co wcześniej Tisar.

– Ochoczo wskoczyłam w pułapkę. Jeśli moja banda będzie chciała mnie zlinczować, nie przeszkadzaj im.

– Oczywiście, że im przeszkodzę.

– To wzruszające, ale niepotrzebne, że chcesz się dać za mnie zabić.

– Tisar! – Złapał ją za ramię. Wyrwała mu się płynnym ruchem, osiągnął jednak zamierzony efekt: przestała skupiać się na swoim strachu. – Posłuchaj mnie przez chwilę.

– Słucham – powiedziała lodowato, unosząc podbródek. – Jeśli masz pomysł, jak nas ocalić od tej rzezi, to wysłucham go z dziką radością.

– Nie mam. Tylko cud mógłby nas uratować.

– Dzięki – prychnęła.

– Mówię poważnie. Cud. Taarut ma swoje upadłe bóstwo. Dlaczego nie miałabyś się zwrócić do opiekuna Sahit?

Tisar zmrużyła oczy i powoli pokiwała głową.

Zaihab siedziała, przewieszając ramię przez krawędź gniazda. Nasłuchiwała cichnącego miasta w dole. Wieczorny chłód zaczynał oblepiać skalną iglicę, a z nim pojawił się – coraz słabszy – niepokój. Nie bacząc nań, starała się zachować jasność umysłu. Jak echo wracała do niej historia pierwszego skrzydlatego, nienawiść Vesui wobec Saadyjczyków, znaczenie Opiekunki Taarut. Wspomnienia splatały się w przekonanie, że oto Zaihab znalazła pęknięcie.

Musiała się tylko dowiedzieć, gdzie się ono zaczyna.

Zaihab nauczyła się nie bać Vesui. Nawet samo przechodzenie przez sny, choć upiornie podobne do zanurzania się w wodzie, przestało budzić w niej odruch ucieczki. Ale dziś się go bała. Niepokoiło ją to, co powie stwórcy. Głęboko w kościach czuła zmianę – i złość Vesui. Cienie też ją czuły, szepcząc między sobą gorączkowo. Podobnie skrzydlate, gdy się zleciały; drapały dziedziniec pazurami, próbując zwrócić na siebie uwagę Zaihab.

Stwórcy znalazł się tuż przy niej. Hierodula się odsunęła.

– Co się stało?

Bez ostrzeżenia złapał ją za rękę. Jego palce, dziś niepokojąco długie i kościste, powędrowały do zagięcia łokcia. Zaihab wyrwała mu się.

– Nie waż się mnie dotykać bez mojej zgody.

– No co? – zirytował się Vesui. – Chciałem tylko zapytać o tę truciznę, co sobie wcierasz w żyły.

– Co? – Dopiero po chwili dotarło do niej, o czym mówi bóstwo. – Wiesz o zamknięciu?

Vesui prychnął z niecierpliwością.

Zaihab zakręciło się w głowie. Do tej pory uważała zamknięcie za tajemnicę nimrodów. To chroniło ich przed nieprzychylnymi bóstwami, pozwalając się przemienić na kilka dni w przeciwieństwo istnienia. Póki pył z jałowych pól krążył w ich żyłach, stawali się w oczach stwórcy niewidoczni; byli pustką.

– Bez obaw – zachichotał Vesui, choć bez radości. – To zbyt dobra sztuczka, bym chciał ją wam psuć. No i przyznaję, najpierw mnie zaskoczyłaś! Widzę cię... i nagle nie! – Klasnął w dłonie. – Czy da się to odwrócić? Zmusić kogoś, by się pokazał?

– Nie wystarczy poczekać? – burknęła, krzyżując ramiona.

– Nie. Widać niektórzy są sprytniejsi niż ty. Wiem, że tu są, ale ich nie widzę. Domyślasz się, o kim mówię?

Czekała, zaciskając wargi. Jej milczenie wyraźnie go zawiodło. Vesui skakał wokół niej, szeleszcząc niecierpliwie skrzydłami. Coś go musiało zdenerwować. Zaihab nie umiała sobie nawet wyobrazić, co by to mogło być.

– Przecież jesteś taka bystra. Ci, którzy kultywują dawne tradycje – podpowiedział. Bez trudu mogła sobie wyobrazić jego złośliwy uśmiech. – Myślisz, że wybiliście wszystkich magów?

– Nie. Ale... – podniosła się z miejsca. – Czekał. Mówisz, że w Sahit są magowie?

Wiedziała, że bóstwa są bezbronne wobec magów. Teraz wiedziała też dlaczego: magowie potrafili zapleść wokół siebie siłę stwórcy, tak że stawali się dla nich niewidzialni. Do tej pory wydawało jej się jednak, że nie byli poważnym zagrożeniem. Ale najpierw Taarut, teraz Sahit...

Rasennie udało się przetrwać. Nie tylko w pieśniach; nie w rozbitych posągach ludzi, których przetworzyła własna magia. Rasenna żyła. Zaihab wzdrygnęła się na wspomnienie śladów przetworzonej, chorej przyrody, które zostawili za sobą magowie.

Vesui tylko śmiał się cichym, złośliwym śmiechem.

– Na razie wiadomo mi o jednym magu. Ale to wystarczy.

Zacisnęła ręce. Była uwięziona w ptasim gnieździe, nigdy nie szkolono jej na nimroda, ale nie miała wątpliwości, co należy zrobić. Nauczono ją, do czego doprowadzili magowie. Wiedziała też, że teraz to ona stoi między bogobójcą a Vesui – i że jeśli nie zareaguje, stanie się ofiarą.

Sowi stwórcy za to świetnie się bawił, obserwując jej reakcję. Jakby to nie jego istnieniu zagroziła zachłanność obcego.

– Kto by pomyślał, że będziesz się tak rwać mi na ratunek!

– Nie pochlebiaj sobie – burknęła. – Wiesz, kto to?

Vesui celowo zwlekał z odpowiedzią, delektując się zdenerwowaniem Zaihab.

– Oczywiście, że wiem. Sam go wpuściłem do miasta.

– Co?!

Rozłożył skrzydła z szelestem.

– Cóż, może to trochę przesada. Dużo sobie przypisuję. Ale tak, pozwoliłem mu wejść.

– Oszalałeś.

Stwórcy westchnął.

– Co miałem zrobić? Nie przeszkadzał mi. Był nawet... pomocny. Dlaczego miałbym się go pozbywać? Przez chwilę mieliśmy zbieżne cele.

– Ale już ci się nie opłaca ryzykować swoją siłą?

– Otóż to. Już nie.

Zaihab potrząsnęła głową, próbując uporządkować myśli. Jej przekonanie o braku zainteresowania stwórcy ludzkimi sprawami z każdą chwilą słabło. O bóstwach wiedziano niewiele, ale powszechna była wiedza, że istnieją na jakiejś innej płaszczyźnie – w wymiarze, którego, ku frustracji saadyjskich

akademików, nie dało się zbadać. Wpływ opiekunów obejmował całe ich miasto, ale zwykle nie mieli możliwości zmaterializowania się w nim. Byli wszędzie i nigdzie. Niejedno miasto odpowiedziało na potrzeby bóstw, zasiedlając ich świątynie wyroczniami i kapłanami. Opiekunka Taarut miała swoją straż. Opiekun Elaat miał wybranych, którzy potrafili dokonywać małych cudów w jego imieniu. Vesui... Vesui miał Zaihab.

Coraz więcej rys pojawiało się na tym obrazie, na wizerunku samego Vesui; ale starała się pamiętać, że może ją okłamywać. Sama to powiedziała – był zmianą. Nie pilnował żadnych reguł. Nie mogła mu wierzyć; musiała wydobywać z niego informacje. Ostrożnie. Powoli. Tak by nie zauważał, kiedy odpowiada na jej prawdziwe pytania.

– No więc? Wiesz, jak zmusić kogoś, by się odsłonił?

– Nie powiesz mi, o kogo chodzi?

– Fakt, to nie będzie najłatwiejsze – mruzczało bóstwo, bardziej do siebie niż do niej. – Osoba, o której mówię, pozostaje w kontakcie ze swoimi przeszłymi. Czci ich w zamian za drobne przysługi. Ma aktywną malastrę. Wiesz, co to malastra?

– Wiem.

– No proszę – ucieszył się Vesui. – Może jednak masz mózg między uszami.

Zaihab zmeła w ustach ripostę.

– Na pewno o nim słyszałaś – odezwał się znowu. – Dobrze się usadowił. Avile z Irsy.

Hieroduli wydało się, że gniazdo zapada się pod nią.

– Avile? – powtórzyła słabo.

– Puste nieba, czy mówię niewyraźnie? – zdenerwował się stworzyciel. – Avile, żaloszny isbet tego zapchlonego miasta, teraz lepiej?

To nie miało sensu. Avile był politykiem. Lewą dłoń zarządcy Sahit i jedyną osobą na dworze, która nie należała do ogniska anaksa. Przyjacielem jej rodziców, osobą, która próbowała jej pomóc.

Był isbetem, a isbetowi wolno było wszystko.

Nawet, najwyraźniej, praktykować magię.

Zaihab oplotła kolana ramionami. Vesui musiał ją oszukiwać. Nie chciała wierzyć, że Avile zdołał wywieść w pole ją i jej rodziców; że kłamiąc, dotarł niemal na szczyt władzy w Sahit. Ale jeśli Vesui miał rację, a ona nie robi nic...

Lecz przecież to Vesui pozwolił magowi wejść do miasta – i w nim zostać. Sam najwyraźniej nic na tym nie tracił, póki on i mag mieli podobny cel. Taki układ nie miał prawa działać. A jednak działał, na przekór wszystkiemu, czego Zaihab nauczono. Z jednej strony Vesui nic sobie nie robił z praw. Z drugiej, jeśli te nie wiązały stworzycieli tak mocno, jak sądziła... znalazła kolejną rysę.

Zastanawiała się, czy tylko ona zwróciła na to uwagę, czy jej poprzednicy też odkrywali, że sowi stwórcy igra z prawidłami świata. Ale jej poprzednicy nie przybyli tu podczas przygotowań do wojny domowej. Przypominali też zapewne Arit, z jej niezachwianą wiarą w Sahit i poświęcenie dla Saady. Być może Zaihab pierwsza zdała sobie sprawę ze sprzeczności tkwiących w Vesui. A może inni hierodulowie zachowali tę wiedzę dla siebie, gdy ich ludzkie głosy zostały uciszone.

Postanowiła grać na zwłokę.

– Co masz na myśli? Co takiego ci zrobił?

– Zawiódł mnie – prychnął Vesui. – Czy mnie w ogóle słuchasz?

– Naprawdę cię zawiódł czy do poranka zmienisz zdanie? – zapytała chłodno.

– A ty, wiedząc, że jest magiem, pozwolisz mu spacerować swobodnie po mieście? Przypomnę ci, że go nie widzę. Nie mogę wystąpić przeciw niemu. No więc?

– Jakbym ja mogła cokolwiek zrobić, będąc tutaj uwięziona.

– Bez żartów. Możesz go tu wezwać albo porozmawiać z tą Arit, która tu przychodzi. Nie udawaj, że jesteś bezsilna.

Zaihab przygryzła wargę. Nie chciała przyznać Vesui racji, ale... musiała wybrać między stwórcy a magiem i dobrze wiedziała, co powinna zrobić. Bóstwa i ich cuda były niezrozumiałe z natury; magowie stanowili oczywiste zagrożenie. Ale Avile... Avile pomagał jej rodzicom.

– Oszukiwał was – powiedział Vesui, odgadując jej myśli.

– Przestań.

Avile należał do jednej z tych rodzin, w których tradycje Rasenny nie wygasły. Zdradzało to nawet brzmienie jego imienia. Lecz pochodzenie nie musiało świadczyć o winie. Nie bez przyczyny zdobył stanowisko u boku anaksa. Wspierał go, jeszcze nim ten zachorował. Pomagał budować siłę Sahit. Na myśl, że to wszystko mogło być oszustwem, Zaihab przeszedł dreszcz.

– I co teraz zrobisz? – zapytała.

– Ja? Nic nie mogę zrobić. – Zaszeleścił piórami. – Mogę tylko pluć sobie w brodę, że pozwoliłem mu zostać w mieście. I liczyć na to, że ty coś zrobisz!

Na to czekała: aż Vesui okaże słabość, na której będzie mogła budować przewagę.

– Aż go wezwę? – upewniła się.

– Aż go tu zwabisz – poprawił ją ze złością.

– Po co?

Stwórcy rzucił pojedyncze słowo w nieznanym jej języku.

– Litości, Zaihab, ile ty masz lat? Myślisz, że chcę go zaprosić na herbatę?

Z lodowatą pewnością wiedziała, co zamierza Vesui.

– Czy zawsze zabijasz osoby, które są dla ciebie niewygodne?

– A ty nie?

Hierodula krzyknęła w bezsilnej złości.

– No już dobrze, nie mówmy o tym! – Bóstwo uderzyło dłońmi w posadzkę gniazda. – Uspokój się. Wezwiesz go tu?

– Nie – powiedziała ostro Zaihab. Nie wierzyła Vesui.

Stworzyciel przemknął tuż obok; poczuła muśnięcie ciepłego wiatru.

– Moja cierpliwość się kończy – ostrzegł.

Nie wydawało jej się, by kiedykolwiek był cierpliwy, ale przemilczała to. Skrzyżowała ramiona, szykując się na atak.

– To nie była prośba! – wściekał się Vesui. – To był rozkaz!

Pomyślała o Avile. Wspomniła jego głos. Jego żal, gdy rozmawiał z nią w pałacu. Nie chciała, by isbet znalazł się w rękach stworzyciela. To było jeszcze silniejsze niż strach.

– Więc mnie zmusz – powiedziała.

Zacisnęła powieki, jakby mogło ją to uchronić przed wdarciem się Vesui do jej umysłu. Spodziewała się tej wstrętnej bliskości, współmyśli, czegoś obcego i niepojętego.

Nic takiego się nie stało. Vesui wciąż krążył wokół niej, rozganiając skrzydlate.

Nowa rysa.

– Nie możesz – stwierdziła. – Nie możesz tego zrobić. Nie utrzymasz kontroli na tak długo.

Uśmiechnęła się z ponurą satysfakcją. Odpowiedział jej cichy śmiech bóstwa.

– Może jeszcze nie mam na tyle siły... ale mogę zrobić coś innego.

Nim zdążyła zareagować, rzucił się ku niej. Szponiaste palce zamknęły się wokół jej nadgarstka. Stworzyciel szarpnął. Zaihab zapała się stopami o ziemię, ale nie zdołała mu się przeciwstawić. Nieludzkie szpony wbiły się w jej ciało.

Coś trzasnęło w powietrzu.

Stworzyciel zawył i wypuścił jej rękę.

Ciepło, gorąco, ogień. Płomienie zdawały się lizać skórę. Lecz za płomieniami było coś jeszcze: kierująca nimi wola, niezłomna i twarda. Wspomnienie czyjejś obecności. Bezlitosnej. Zdecydowanej.

Wzburzone skrzydlate otoczyły stworzyciela i Zaihab rozwrzeszczaną chmurą.

Dziewczyna przycisnęła rękę do piersi. Tam, gdzie złapał ją stworzyciel, nadgarstek pulsował gorącym bólem, ale nie miała wątpliwości, że Vesui ucierpiał dalece bardziej. Od strony serca świątyni dobiegało ją ciche zawodzenie przeplatane przekleństwami.

– Puste nieba – jęknął Vesui, powłócząc stopami po posadzce.

Zaihab skrzyżowała ramiona. Nie miała zamiaru pozwolić stwórcielowi na kolejny atak. Vesui przysiadł w pewnej odległości od niej.

– Przestań dramatyzować – mruknął wreszcie płaczącym tonem.

Powoli opuściła dłonie.

– Co?

Jeszcze chwilę temu spodziewała się, że umrze – stwórca zapewnił ją do tej pory, że jej życie znalazło się w jego rękach i mógł zrobić z nim, co chciał. Teraz bóstwo kulilo się przed nią.

– Powiedziałem, żebyś przestała się tak zachowywać! – jęknął znowu.

Zaihab przesunęła językiem po spieczonych wargach.

– Nie możesz mi nic zrobić – powiedziała powoli.

Vesui tylko wydał z siebie mokre prychnięcie.

– Nie możesz – powtórzyła z naciskiem. – Nie możesz zrobić mi krzywdy. Śledzić mnie, wdzierać się w moje myśli... to co innego. Ale nie możesz mnie zranić. – Pomasowała nadgarstek, zastanawiając się nad tym odkryciem. – Dlaczego?

Nie spodziewała się odpowiedzi – i nie dostała jej.

– To nic nie zmienia – burknął Vesui. – Wciąż jesteś tu uwięziona.

Zaihab nie słuchała go. Mogła stąd wyjść! Jeszcze nie teraz – ale nie była przykuta do stwórcy tak, jak dotychczas sądziła.

– I nawet jeśli uciekniesz mnie – dodał mściwym tonem – to nie uciekniesz jej.

Zaihab zacisnęła wargi. Przypomniała sobie o nekającym ją pytaniu.

– Opiekunka – powiedziała wreszcie.

To poczucie, że ktoś przed chwilą stał obok niej. Wola zahartowana w ogniu. Opiekunka Taarut nie była tu obecna, nie fizycznie; ale naznaczyła Zaihab jako swą podopieczną i poddaną.

Vesui potwierdził to niewesołym chichotem.

– Nawet nie wiesz, jak się wścieka, od kiedy dowiedziała się, że tu jesteś.

Przed chwilą oboje czuli przedsmak tej wściekłości.

– Więc to dlatego? – zapytała, powstrzymując niedowierzanie. – Cała ta wojna jest ze względu na nią... i na ciebie? Chciałeś ją rozwścieczyć?

Vesui się zaśmiał. Zaihab tylko pokręciła głową.

– Powiedziałeś wcześniej, że ona coś o mnie wie – przypomniała sobie. – To dlatego że urodziłam się w jej mieście? Na jej ziemi?

– To dopiero początek – parsknął Vesui.

Przebiegł ją dreszcz. Te wszystkie dni, kiedy nie miała aktywnego zamknięcia, a gdy myślała, że jest sama, niezwiązana z żadnym bóstwem, wolna – cały czas istniała ta nić, wiążąca ją z Opiekunką Taarut. Z miejscem, którego nie знаła,

z którym nie łączyło ją pozornie nic poza dokumentami. Więż ważna, ale w przekonaniu Zaihab tylko symboliczna. Do dziś.

Hierodula wydeła wargi, maskując niezadowoleniem strach, który zaczął się tlić na nowo. Owszem, bała się też Vesui, ale przy całej jego chimeryczności zdążyła go trochę poznać. O Opiekunce nie wiedziała nic.

– Dlaczego tak ci zależało, by ją rozwścieczyć? – zapytała. – Wiesz, ile osób ucierpi tylko dla twojej satysfakcji?

Zatrzymał się.

– Naprawdę sądzisz, że chodzi mi tylko o jej złość?

Teraz Zaihab musiała uważać.

– Co ci zrobiła? – zapytała miękkiem tonem, zdając sobie sprawę, po jak niepewnym gruncie stąpa. Jednocześnie miała wrażenie, że stwórcy zaczął jej na swój sposób ufać. Nie tylko była pierwszą od lat osobą, z którą mógł porozmawiać; teraz prawie wtajemniczył ją w swój plan skrzywdzenia Opiekunki. Zaihab była jego narzędziem. Ale tylko ona mogła go wysłuchać. On zaś nie mógł jej zranić. Miała swoje atuty. Musiała tylko je wykorzystać.

Stwórcy gwałtownie wypuścił powietrze.

– Nie masz prawa o to pytać! – wybuchnął, gdy cisza stała się nie do zniesienia. Tym razem jednak nie zbliżył się do Zaihab. Wspomnienie ataku Opiekunki wciąż bolało.

– Chcę zrozumieć – odparła ucziwie. – Chcę wiedzieć, co się dzieje. I dlaczego... jak...

Jak jedno echo bóstwa mogło zranić inne? Jak mogło zranić... siebie?

Vesui wziął długi, świszczący oddech. Chyba teraz zrozumiał, ile informacji zdradził Zaihab. I że sam nie uzyskał nic poza oparzeniem.

– Naprawdę sądzisz, że ci to powiem? – zapytał z pogardą. – I że masz dość siły, żeby wyrwać mi to wspomnienie?

Zaihab przygryzła wargi. Nie spodziewała się, że rozdrapała ranę. Z Vesui wszystko wydawało się żartem, dopóki nagle nie przestawało nim być. Nie współczuła stwórcy, ale zaczęła dopuszczać do siebie myśl, że ktoś mógł sprawić mu ból. Inne bóstwo.

Stwórcy obserwował ją w milczeniu. O jego obecności świadczył tylko głośny oddech.

– Nie myśl, że ucinamy sobie pogawędki – powiedział nagle Vesui, choć zdawało się, że mówi tyle do Zaihab, ile do siebie. – Nie udawaj miłej, kiedy próbujesz zdobyć przewagę. Powodzenia. I tak ci się nie uda. Jeszcze do mnie przyjdiesz – zapowiedział ponuro. – Będziesz czegoś ode mnie chciała. Zawsze, ostatecznie, prosicie o cud. A ja ci wtedy przypomnę, że nie ma niczego za darmo. Więc lepiej się zastanów, jak wycenisz swój strach.

Miesiąc sierpów, trzecia pentada, dzień trzeci

Dzień dopiero się zaczynał. Nad Arsadem rozpościerało się bezkresne granatowe niebo, tylko horyzont malował się różową linią. W dolinie widać było bryłę Taarut, rozjarzoną światłami, i czerń rzeki. Po obu jej stronach płonęły ogniska, w większości dogasające. Tuż nad trawą wisiała biała mgła.

Za plecami Arsada rozległo się szczenie. Zerknął przez ramię, sięgając po szeroki nóż. Domostwo Lairy i jej rodziny niknęło w półmroku: Arsad dostrzegał wyłącznie zarys murów wokół gospodarstwa i światło pojedynczego kaganka nad drzwiami. Na szczycie murów jeżyły się metalowe pręty i zaostrome gałęzie. Większość rodzin żyjących z dala od osad zbroiła się – zarówno przed wagabundami, jak i tym, co jeszcze mogła wypluć skażona raseńska ziemia.

A potem obrona okazywała się nieskuteczna.

Brat Lairy stał obok, opierał się o zewnętrzny mur gospodarstwa, paląc fajkę.

– Jednak tam idziesz? – zapytał.

Arsad wcisnął dłonie w kieszenie kurty.

– Idę – mruknął.

– Co ci to da?

„Spokój sumienia – pomyślał nimrod. – Albo odpowiedź. Być może”.

Wzruszył ramionami.

– Dziękuję za wszystko – powiedział, zarzucając plecak na ramię.

Brat Lairy przyglądał mu się z niedowierzaniem.

– Oszalałeś.

Arsad posłał mu kwaśny uśmiech i skłonił się w pożegnalnym geście.

Szedł w ciszy. Znalazł się między polami, które kilka miesięcy niedbalstwa przemieniło w łąki, rozkwitające z całym bogactwem żywnych ziem Rasenny. Mijał ciche domy, wyłamane furtki.

Sahit wygrało tę wojnę, nim ją na dobre rozpoczęło. Nawet gdyby anaks ogłosił, że rozwiązuje świeżo powstałą kondotierską armię, Taarut podnosiłoby się z biedy przez wiele lat. Porzucone okolice zdziczeją. Cała praca włożona w ich odzyskiwanie już poszła na marne.

Mało kto w ogóle zmierzał w stronę Taarut. Na wyludnionych drogach Arsad widywał głównie gromady ludzi oddalające się od miasta. Do Taarut kierowała się tylko dwójka zbrojnych eskortująca młodą dziewczynę w szarej chuście na głowie. Szybko wyprzedzili Arsada.

Nim mężczyzna znalazł się przed bramą, której miał już nigdy nie przekroczyć, Niegasnące minęło zenit. Zdążył już przygotować się w myślach na to, co może zastać w mieście. Strażnik, który go zatrzymał, miał puste, głodne

oczy i nie bardzo przejmował się tym, kogo wpuszcza do środka. Ledwo omiótł spojrzeniem pieczęcie przy pasku Arsada.

W samym centrum Taarut domy straszły powybijanymi szybami, zerwano szyldy sklepów. Poszarpane pasy tkanin powiewały smętnie na wietrze. Nimrod rozgonił dłonią wielkie czarne muchy, które krążyły nad śmieciami zalegającymi na ulicach. W gorącu dnia unosił się gęsty smród zleżałych resztek.

Saadycy przejęli po założycielach miasta rozległe domy z systemami wewnętrznych ogrodów, nadali jednak ich bryłom bardziej fantazyjne kształty. Okna pyszniły się zdobionymi łukami; tu i ówdzie ocalały fragmenty witraży, których szkło, nieprzejrzyste jak woda, rozbijało słoneczny blask na okruchy we wszystkich istniejących barwach. Arsad zapatrzył się w nie.

Nie tęsknił za tym miejscem. Nie życzył mu dobrze. Ale Taarut obudziło wspomnienia. I tak łatwo było zapomnieć, że jeszcze nie umarło – że tak naprawdę opuścili je tylko bogaci, których stać było na ucieczkę.

Bielone ściany domów ozdobiła też kaligrafia. Litera przeplatały się z motywami roślinnymi: kwiatami o płatkach jak klejnoty, pnączami wijącymi się według zasad geometrii... Nie było w tym rozbuchanej dzikości zdobień Rasenów, ktoś jednak zniszczył to dzieło, ciskając w ścianę kubłem farby. Z zacieków wyłaniał się pośpiesznie namalowany napis. „Wszyscy nas zostawiliście”.

Arsad przyznał w duchu, że i on nie jest bez winy.

Od początku wiedział, gdzie musi iść: do świątyni. Jego stopy zapamiętały pokonywaną wielokrotnie trasę, jego serce pamiętało bezsilną wściekłość. I Zaihab, puste nieba, Zaihab. Arsad nie wyrzucał sobie, że wtedy cała ich grupa zostawiła Taarut.

W szarym świetle poranka szedł przez porzucony ogród. Między cyprysami rozbite namioty, z gałęzi drzewa zwieszał się przybrudzony sztandar Taarut: uchylona brama, w niej płomień gorejący na czarnym tle. Z najbliższego namiotu dobiegało chrapanie, ale przed wejściem Arsad dostrzegł trzy przykucnięte postaci grzebiące w dogasającym ognisku. Ścisnął ukryty pod kurtą nóż. Nikt go nie zaczepiał, choć trzy pary głodnych oczu odprowadziły go aż do drzwi świątyni.

Te zbudowano z dwóch litych bloków zwieńczonych łukiem z wynaturzonej skały; biegły przez nie czerwone kamienne żyły. Widoczny z jednej krawędzi odcisk drobnej kobiecej dłoni należał do samej Opiekunki – powstał, gdy zamykała za sobą świątynię, chroniąc w niej ludzi podczas oblężenia.

– Wygrałaś – mruknął Arsad. – Wróciłem. – Przyłożył własną dłoń, szeroką, z węzlastymi stawami, do zagłębienia.

Trzecia pentada miesiąca sierpów zwiastowała najobfitsze zbiory: letni skwar ustępował łagodniejszej pogodzie, pierwsze deszcze zmyły pył z liści i traw. W mieście uczczono to bez szczególnego zaangażowania, choć równiny na południe od Sahit co noc jarzyły się świątecznymi ogniskami. Arit wieczorem zapaliła symboliczną świeczkę, ale nie przywiązywała do tego gestu wielkiej wagi. Jej życie toczyło się jak do tej pory, zależne przede wszystkim od gniazda i mieszkającej w nim dziewczyny.

Następnego ranka w gnieździe powitała ją cisza, przecinana tylko znajomym szmerem zaklętych w skale cieni.

– Zaihab?! – krzyknęła.

Odpowiedziało jej echo. Kilka wielkich czarnych ptaków poderwało się z jazgotem ze skalnych szczytów. Arit weszła ostrożnie pomiędzy iglice.

I znów cisza.

– Jestem – dobiegło wreszcie z wnętrza gniazda.

Chwilę później Zaihab wynurzyła się z cieni. Laska, która służyła jej do badania nieznanego terenu, dziś pełniła funkcję podparcia. Oczy dziewczyny były podkrążone, a jej krok – niezdamny. Trzymała laskę w lewej ręce, inaczej niż zwykle. Prawą dłoń przycisnęła do siebie.

Arit położyła na ziemi koszyk z jedzeniem i podbiegła do hieroduli. Wewnętrzny dziedziniec pokonała w kilku krokach.

– Pokaż rękę.

Zaihab się skrzywiła.

– Nie uważałam przy palenisku. – Niechętnie wyciągnęła przed siebie ramię. Na nadgarstku widniało jątrzące się oparzenie.

Kłamstwo było tak oczywiste, że Arit go nie skomentowała.

– Nie wiedziałam, że byłby do tego zdolny – mruknęła. – Że Vesui...

– To nie był Vesui – przerwała jej hierodula.

– Nieważne – ucięła Arit, próbując zapanować nad głosem. – Musimy to opatrzeć.

Pociągnęła swą podopieczną ku pokojom, gdzie znajdował się zestaw podstawowych leków. Odnotowała, że musi poinformować lekarzy w pałacu. Niemal siłą posadziła Zaihab.

Hierodula nie wyrwała się, ale zachowywała się inaczej. Reagowała na każdy gwałtowniejszy ruch, osłaniając się zdrową ręką. W spokojniejszych chwilach zaciskała palce zdrowej ręki na słonecznym wisiorku, który nosiła na szyi. Wczorajsza rezygnacja, czy może głęboka nienawiść, ustąpiła miejsca świeżemu strachowi.

– Co się ze mną stanie? – zapytała nagle.

Arit się zmieszała.

– Nie wiem, nigdy wcześniej nie było takiej sytuacji...

– Nie o to pytam. – Zaihab znów przycisnęła do siebie zranioną rękę. – Co się dzieje z nieposłusznymi hierodulami?

Arit przypomniała sobie cień chłopaka rozsypujący się na płycie dziedzińca. Metaliczny posmak powietrza. Poczucie pustki.

– Muszę się stąd wydostać. Nie mam zamiaru być mu posłuszna. Więc... – zacisnęła wargi. – Pomożesz mi?

Arit chciała odpowiedzieć na to pytanie, ale nie potrafiła – nie było takich słów, które mogłaby wypowiedzieć i później spojrzeć swojemu odbiciu w oczy.

Pod dotykiem Arsada skalne bloki zasłaniające wejście do świątyni się rozsunęły. Tak Opiekunka rozpoznawała ludzi, których jej oddano. Teraz też rozpoznała Arsada, mimo upływu lat i upartego odcinania się od Taarut – i wzywała go do siebie. Wciąż mógł jej nienawidzić i brzydzić się tym, co zrobiła, ale jego serce odpowiadało na to wezwanie. Zakłuła dawna, drobna blizna, powstała wkrótce po narodzinach. Wciąż należał do Opiekunki. Wobec instynktu jego rozsądek pozostał bezradny.

Świątynia była jaskinią o gładkich, wysokich ścianach poprzecinanych żyłami metalu; przypominała białe kopuły miasta w negatywie, jakby była formą, z której je wydobyto. Przed tylną ścianą, tam, gdzie powinien był znajdować się ołtarz, płonął ogień. Po obu stronach rysowały się rzędy wąskich okien zatrzymujących wewnątrz nagrzane powietrze i ciężki, kadzidlany zapach, który obudził w Arsadzie silne wspomnienie – pewność, że to już raz się wydarzyło, że stał w dokładnie tym samym miejscu, patrzył ku środkowi świątyni i czuł wokół siebie obecność Opiekunki. Oddychał płytko, wpatrując się w migoczący ogień. W jego głowie kołatała się ledwo uchwytna myśl, że może nie wyjść ze świątyni – że Opiekunka czekała na niego cierpliwie, wiedząc, że pewnego dnia coś skłoni go do powrotu – lecz obawa okazała się słabsza niż przekonanie, że powinien być właśnie tutaj.

Barwy płomienia tańczyły między wściekłym pomarańczem a purpurą. Ogień migotał i ogrzewał, choć nic go nie podsycało, strzelał wprost w pęknięcia w skale. Za nim stał posąg Opiekunki, choć płomień zdawał się portretem bliższym prawdzie. Rzeźbiarze dali bogini szeroki, ciepły uśmiech, który nijak nie pasował do kogoś będącego świadkiem wojny.

Arsad bał się tego, co zastanie w środku. Jeśli do miasta wróciła magia, oznaczało to tyle, że Opiekunkę spotkał ten sam los co pomniejszych cienie, które uległy niezrozumiałej erozji, zamieniły się w to, co uczynili z siebie Rasenowie. Zatraciły tę boską cząstkę, stając się czystym, nieposkromionym pragnieniem. Głodem. Chaosem.

Spodziewał się wręcz, że płomień Opiekunki zamieni się w czerń. Że czerń już kłębi się w skalnej szczelinie i jeśli nie wylała się jeszcze na ulice miasta, to jest to wyłącznie kwestią czasu. Nie czuł jej – lecz sama bliskość Opiekunki stępiła jego zmysły.

Musiał się upewnić. Miał tylko jedno stosowne narzędzie – przekazaną mu kiedyś malastrę, jedną z nielicznych, które nie zostały przetopione lub zniszczone. Nosił ją przy sobie od tak dawna, że stała się jak wiecznie ziejąca, zatruta rana: sięganie do niej było jak drażnienie językiem bolącego zęba. Odpiął ją od paska. Wypolerowany metal odbijał tańczące płomień i Arsad przez chwilę patrzył na nie, mrużąc oczy. Nienaruszone malastry były coraz trudniejsze do znalezienia. On sam innej nie miał – i obawiał się szukać nowych. Ta mu służyła od lat. Czasem wydawało mu się, że potrafi okiełznać spijające jego krew duchy, że następna malastra mogłaby z nim wygrać. Ale był tylko jeden sposób, by się przekonać, czy stary pakt z bóstwami wciąż je wiąże.

Następny krok był jeszcze trudniejszy; Arsad przyłożył ostrze noża do odsłoniętego przedramienia, ale nie nacisnął. Nie miał pojęcia, co się stanie, gdy pozwoli krwi płynąć. Blizna wciąż pulsowała słabym bólem. Jeśli należał do stworzycielki, czy bogini nie weźmie tego, co uzna za swoje? Czy nie pochłonie jego życia w całości?

Zmusił się do myślenia o Lairze. O Adirze, Nusze, ich dziecku.

Ciął, zagryzając wargi, przepełniony obrzydzeniem do samego siebie, do tego, co wołało do stworzycielki, co się jej poddawało, co nie chciało go słuchać w obecności bóstwa. Ciął i przeklinał ten sojusz, który na zawsze uzależnił ich od bóstw.

Krew zawrzała mu w żyłach, gdy zetknęła się z powierzchnią malastry. Zamieniła się w płynne srebro i niemal natychmiast wyparowała. Wryte na odwrocie lusterka imiona rozjarzyły się, prześwitując przez metal. Arsad wrzasnął, wypuszczając parzący przedmiot z ręki. Spodziewał się, że malastra wypije jego krew; związane z nią cienie nigdy nie były nasycone. Ale skorumpowana stworzycielka powinna była się ku niej rzucić, broniąc swojej ofiary. Zamiast tego Opiekunka przełamała malastrę na pół.

Arsad wpatrywał się z niedowierzaniem w złamane lustro, gdy się roztopiało, a po rozgrzanych do białości kroplach zaczęły pełzać płomień stworzycielki. Wycofał się na kolanach, nie spuszczając wzroku z resztek malastry i dobrotliwie

uśmiechniętego posągu o obojętnych, nieruchomych oczach. Opiekunka dotrzymała zawartej przed stuleciami umowy. Nie pozwalała magii kwitnąć. Taarut musiało być zdrowe.

Kamienne wrota znów się rozchyliły i Arsad wyszedł w ostre światło dnia, mrużąc oczy. Teraz przyglądał się miastu dużo uważniej. Kiedy szedł do Opiekunki, oznaki rozpadu aż kłuły go w oczy. Wszędzie widział rzekomo przesączającą się magię: w kruszących się fasadach budynków, przetworzonych roślinach wyrastających z pęknięć w drogach. Lecz to samo dało się przecież dostrzec i gdzie indziej, gdy słabły życzenia wplecione w fundamenty domów. Nie potrzeba było magii, by działało się to, co miał przed oczami.

Nie chciał w to uwierzyć, ale nie mógł już dłużej zaprzeczać jednemu rozwiązaniu, które miało sens: że tym, co groziło Taarut, był wyłącznie atak ze strony Sahit.

Opiekunka okazała się równie silna i niewzruszona co zawsze, jej ogień płonął z niesłabnącą mocą. Pogłoska o zbuntowanym, zgniłym mieście okazała się nieprawdziwa.

Ale jeśli ktoś postanowił odizolować Taarut od pozostałych miast i potencjalnych sojuszników, oskarżenie o magię było najprostszym, najoczywistszym, które przychodziło na myśl. Szczególnie gdy to oskarżenie padało ze strony tak silnego, stabilnego ośrodka jak Sahit. Nawet ci, którzy nie dawali pogłoskom wiary, na wszelki wypadek odsunęli się od Taarut. Reszty dokonali sami mieszkańcy – opuszczając tę okolicę, pozwalając miastu upaść, nim wkroczyła do niego obca armia. Gdy Taarut stanie się nowym kościanym miastem, nikt nie będzie kwestionował pierwotnej przyczyny upadku.

Arsad musiał przyznać, że ten plan, choć ryzykowny, był niesłychanie błyskotliwy.

Jak wszystkie plany autorstwa Avile. Arsad przewrotnie go podziwiał, nawet teraz, gdy ten rzadki talent Avile wykorzystał przeciw rodzinnemu miastu nimroda. Wiedział też, że jeszcze kilka lat temu sam przyklasnąłby temu planowi i zrobiłby wszystko, byleby zniszczyć Taarut. Nie pomogłoby to Zaihab ani jej rodzicom, ale pozwoliłoby im wyładować gniew.

Nałożona na oparzenie maść zapiekła, ale po chwili ból ustąpił miejsca kojącemu chładowi. Arit obwiązała nadgarstek Zaihab bandażem.

– Lepiej? – upewniła się.

– Lepiej. Dziękuję – mruknęła hierodula.

Arit poprawiła opatrunek.

– Czy ktoś poza mną tu przychodzi? – zapytała.

Zaihab się skrzywiła.

– Boisz się, że ktoś się dowie o ataku stwórcy? Bez obaw, nikt tu nie przychodzi. Myślę, że ludzie... nie lubią tego miejsca. – Mimowolnie ścisnęła dłoń Arit. Nie chciała, by arystokratka zostawiła ją teraz samą. Nawet po tej chwili wstydlivej słabości, gdy Zaihab prosiła ją o pomoc w ucieczce.

Nie mogła już dłużej ukrywać przed sobą, że drąży w poczuciu obowiązku Arit. Że szuka drogi wyjścia w wątpliwej dziewczynie. Pomysł wydawał się karkołomny, bo wiara, którą Arit pokładała w Sahit, była twarda jak skała, na której powstało miasto.

Ale teraz jej jedyna towarzysząca siedziała tutaj i bała się o nią, a Zaihab w strachu wyraziła swoje najsłabsze marzenie.

Arit nie odpowiedziała. Co znaczyło też, że nie odmówiła.

Zaihab czuła się jak oszustka, jakby żerowała na zaufaniu, którym obdarzyła ją arystokratka. Arit mogła cieszyć się w mieście wysoką pozycją, lecz była równie samotna.

Ale przychodziła do gniazda jak w odwiedzinach, niepompna, że to dla hieroduli więzienie.

– Co się dzieje w mieście? – zapytała Zaihab, wypuszczając dłoń dziewczyny.

– Dalej przygotowujemy się do wojny. – Arit wyrwało się westchnienie. – Czekamy. Cały czas czekamy. Nie wiem na co. Znak od Vesui? Pomyślną wróżbę? Dobry nastrój kassera? Na to ostatnie nie ma co liczyć.

– Znak od Vesui. – Zaihab parsknęła. – Co Vesui miałyby wspólnego z ludzką wojną?

Starła się nie zdradzać swojej ciekawości.

– To chyba oczywiste? Zależy mu, by magia się nie rozpleniła na nowo.

– Jasne. Ale... dlaczego pozostałe miasta nie rzuciły się ratować Taarut?

– Bo Sahit jest najsilniejsze – powiedziała z wyższością Arit.

Teraz Zaihab nawet nie próbowała ukrywać uśmiechu.

– Tak przecież jest – mruknęła arystokratka, już mniej pewna siebie. – Poza tym myślę, że Vesui się boi. Boi się o siebie. I myślę, że boi się też ciebie.

– Mnie?

– Dlatego cię tu chciał. Bo bał się tego, co możesz zrobić na ulicach miasta. O czym możesz śpiewać.

– Naprawdę sądzisz, że mogłabym komukolwiek zagrozić? – Zaihab potrząsnęła głową.

– Och, Zaihab. – Arit położyła dłoń na ramieniu dziewczyny. – Isbet i kasser boją się ciebie. Ja sama podejrzewałam, że uczysz się na maginię. Myślisz, że Vesui się tego nie obawiał?

Zaihab odsunęła się od arystokratki, skubiąc palcami brzeg bandaża. Myśl, że ktokolwiek miałby się jej bać, sprawiła, że zakręciło się jej w głowie. Zaihab nigdy nie myślała o sobie jako o kimś, kto może być niebezpieczny. Ale teraz faktycznie mogła zagrozić Vesui; sam dał jej wiedzę, której nie miał nikt inny w mieście.

Przypomniała sobie wszystkie chwile w towarzystwie stwórcy, gdy miała poczucie, że wodzi palcem po ostrej krawędzi pęknięcia na powierzchni dotąd gładkiej ceramiki. Coś się nie zgadzało. Vesui był chimeryczny i nie próbowała nawet zrozumieć jego zachowań, ale mogła szukać niespójności w jego słowach. I wreszcie znalazła ryse, która nie dawała jej spokoju, największą różnicę między historią, którą znała, a tą, którą żył Vesui.

Wspomnienie chłopca popychanego ku krawędzi skały przez saadyjskiego żołnierza. Wtedy Zaihab skupiła się na przerażeniu dziecka, gdy razem z nim spadała, otwierała skrzydła, biła nimi powietrze, zatracając siebie. Teraz przypominała sobie coś jeszcze: bezsilność Vesui i jego furię. Nienawiść, której nie mógł dać ujścia.

Nie, Vesui nie przyłożył ręki do zwycięstwa Saadyjczyków. Czuł się ofiarą tamtej wojny. Ani przez chwilę nie ukrywał, że sympatyzuje z Rasenną. Wystarczyło tylko uważnie go słuchać – i na chwilę zapomnieć o swoim strachu. Lecz jaka była w tym wszystkim rola Opiekunki z Taarut?

– Zaihab?

– Zamyśliłam się – mruknęła hierodula.

– Wyglądałaś, jakby coś cię przestraszyło.

– Nie. – Zaihab odsunęła się jeszcze dalej. – Coś mnie zastanowiło, to wszystko.

Cały czas zadawała sobie niewłaściwe pytanie. Nie: czego chce Vesui. Powinna była zacząć wcześniej: kim, czym jest. Cieniem bóstwa? Jeśli tak, zyskał ogromną autonomię. Był zmianą, lecz nie chaosem. W jego działaniach krył się przewrotny sens. Powiedziała sobie, że musi go zrozumieć. „A potem co?” – pomyślała z goryczą. Szybko jednak odepchnęła od siebie tę myśl. Tym będzie się martwić później.

– Zaihab. Znow to robisz.

– Co? – Skrzywiła się.

– Próbujesz się schować. W sobie. Uciekasz ode mnie.

– Najwyraźniej tego potrzebuję – burknęła, licząc, że to zniechęci dziewczynę. Przelotnie dotknęła bandażu na nadgarstku, zasłuchana we własne myśli.

Arystokratka oczywiście musiała wrócić do tematu ucieczki. Wtedy, gdy Zaihab już się wydawało, że zapomniła o tym słowie, które wyrwało się jej ze

strachu – które było zbyt duże, zbyt straszne, którego nie chciała wymówić. Ucieczka miała być celem długoterminowym. Była szaleńczym marzeniem.

Zaihab poczuła się winna, że pozwoliła sobie na tę chwilę słabości. To właśnie się stało, gdy była zbyt szczerą; gdy pozwoliła sobie uwierzyć, zaufać komuś. Tak, bała się w tamtej chwili Vesui tak bardzo, że powitała Arit z niewysłowioną ulgą. Nie zmrużyła oka całą noc, obsesyjnie skupiona na bólu w nadgarstku.

A teraz wystarczyło, by Arit pod wpływem poczucia obowiązku postanowiła się z kimś tym podzielić. Wręcz powinna to zrobić, jeśli faktycznie uważano Zaihab za zagrożenie.

Zaihab mogła sobie mówić, że nie ma nic do stracenia. Bo cóż więcej mogli jej zrobić? Zapewne niewiele. Ale nie chciała sprawdzać.

– Naprawdę chcesz uciec? – zapytała Arit.

Zaihab przeszedł dreszcz.

Ostrożnie.

Zamarznij.

Nie mogła pozwolić, by zalał ją lęk przed życiem w gnieździe. Przed tym, jak nieznośnie, nieskończenie długie miało być. Bycie duchem przykutym do stwórcy. Własnym cieniem. Musiała się skupić na rozszyfrowaniu Vesui.

Leć, ptaszyno.

Zamarznij.

Arit poruszyła się niespokojnie.

– Wiem, że nie chcesz tu być – powiedziała. – Ale...

– Czy próbowałabyś mnie zatrzymać, gdybym chciała uciec?

– Nie wiem.

– Spokojnie. Nie ucieknę. Nie mam jak. Nie mam gdzie.

– Ale chciałabyś – nie ustępowała Arit. – Wiesz, co by to oznaczało dla Sahit?

Zaihab zacisnęła zęby. Nie chciała tego słuchać. Nie mogła pozwolić, by Arit manipulowała jej emocjami.

– Czy potrafisz wyobrazić sobie przypływ uderzający w miasto pozbawione dobrotliwej opieki Vesui? – ciągnęła dziewczyna. – Zniszczone dolne miasto, kruszące mury...

Wspomnienie gorzkiej wody. Zaihab skupiła się na poskramianiu gniewu. Dziś już raz nie udało jej się utrzymać kontroli.

– Zrobisz nam to? – zapytała Arit. – Naprawdę jesteś do tego zdolna? Pozwolisz Vesui zatopić miasto?

– Przestań mówić o tym tak, jakby to zależało ode mnie! – wybuchnęła Zaihab. – Jeśli ucieknę, a miasto zostanie zniszczone, będzie to winą tylko i wyłącznie Vesui. To on decyduje, co robi. Nie potrzebuje mnie. Nie jest łaskawy ani dobry. On się po prostu wami bawi!

Odpowiedziała jej cisza.

– Jeżeli myślisz, że ciebie i Sahit chronią stare prawa, jesteś w błędzie – mówiła dalej Zaihab. Słowa same płynęły. – Widzisz to?! – Zerwała z ręki opatrunek. – Miałaś rację, to nie był wypadek. Vesui wyrywał mnie innemu bóstwu. Jesteśmy dla niego tylko pionkami. Kiedy się znudzi, nie będzie miał oporów, by oddać miasto morzu!

Zaihab opadła z powrotem na posadzkę, nieudolnie próbując na nowo zawiązać bandaż.

Nagle na jej skórze pojawiły się dłonie arystokratki. Odnalazły poszarpane brzegi opatrunku i zawiązały nowy, ciasny węzeł.

– Komu? – Pytanie Arit było tak ciche, że Zaihab początkowo wzięła je za westchnienie.

Nie śpieszyła się z odpowiedzią. Zastanawiała się, czy ta zjedna jej Arit, czy wręcz przeciwnie. Teraz wszystko mogło się posypać, a ona znów skłaniała się ku temu, by ulec emocjom, polegać na kimś.

– Opiekunce Taarut – powiedziała, a w jej głosie słychać było więcej goryczy, niż chciała po sobie okazać. – Komu innemu?

W ciszy dnia, niezmaconej szeptami skrzydlatych, myśli Zaihab były jaśniejsze. Niepokoje, które kłębiły się w niej nocą, przestawały być szaleńczymi majakami. Teraz wiedziała z całą pewnością, że istnieje tylko jeden powód wojny przeciwko Taarut.

– Mówisz, że to wszystko wraca do Opiekunki Taarut – odezwała się Arit. – Sugerujesz, że Vesui miesza się w tę wojnę. Że jej chce.

– Że ją wywołał – poprawiła ją Zaihab.

Odpowiedział jej nerwowy śmiech.

– Jak? Wysyłając do Taarut magów?

Na to hierodula nie miała odpowiedzi.

Nahir

Od dwóch godzin czekali na przełęczy. W tym czasie strażnicy – trzech Saadyjczyków i jedna kobieta mieszanego pochodzenia – sprawdzali ich bagaże. Nahir zaczynał się niecierpliwić. Jeśli chcieli uniknąć skwaru, kurczył im się czas. Szczyty gór już jaśniały, zapowiadając rychły wschód słońca. Księżycy bladły i zamieniały się w białe łuki tuż nad horyzontem. Gwiazdy roztapiały się w brzasku poranka.

Saadyjczycy zabezpieczający granicę byli uzbrojeni po zęby. Wybrzuszenia pod ich grubymi, wełnianymi kurtami zdradzały obecność noży – co wzbudziło uniesienie brwi u kilkorga raseńskich podróżnych, zaskoczonych tym, że

mężczyźni noszą tradycyjną kobiecą broń. Że w ogóle ktokolwiek przebywający tak blisko Rasenny czuje potrzebę, by się zbroić. Tymczasem strażnicy wydawali się przyzwyczajeni do walki – skutecznej, brudnej, koniecznej. Rękawice mieli wzmocnione na knykciach metalowymi płytkami. Przy pasach, bogato zdobionych srebrem, nosili rogi, wypolerowane do białości i również okute w srebro.

– Pozdrowienia – Nahir przeszedł na saadyjski i przekazał ich kapitanowi dokumenty. Jedna z podróżniczek stanęła obok chłopaka i uniosła ręce na wysokość brzucha, odwracając je czubkami palców ku dołowi i pokazując wnętrza dłoni w geście poddania i uległości. Kapitan straży prychnął.

Nazywała się Iruve Airi i należała do nielicznych Rasenów w karawanie. Była też, jak Nahir się dowiedział zaledwie dzień wcześniej, twórczynią większości elementów wiezionego przezeń mechanizmu. Dzięki temu zapewniła sobie i swojemu towarzyszowi bezpieczne przejście do Saady.

Gdy odsłoniła dłonie, we wnętrzu prawej błysnęła duża blizna w kształcie półksiężyca. Po chwili ponownie kobieta zacisnęła palce, opuściła wzrok i wróciła na tył karawany.

Nie wyglądała na osłabioną swoją niedawną pracą. Ktoś z tak silnym źródłem mógł w Rasennie osiągnąć wiele, zapewne także ochronić się przed linczami. Ale jedno spojrzenie na towarzysza Iruve wystarczyło, by Nahir domyślił się powodów, dla których ta dwójka była gotowa szukać szczęścia w obcym kraju.

Nigdy wcześniej nie widział wyzwolenca. Przede wszystkim dlatego że niewolnictwo jako forma spłaty długów u większości ludzi budziło instynktowną odrazę; ale też dlatego, że ci, którzy raz trafili w niewolę, rzadko kiedy z niej wychodzili. Jakim cudem ta sztuka udała się Ertanowi – Nahir mógł tylko zgadywać.

Mężczyzna był wysoki i barczysty, ogorzały, z rzadko spotykanymi jasnymi włosami. Równie dobrze mógł być włóczęgą pozbawionym rodzinnego źródła, widywano takich na drogach coraz częściej. Ale od wagabundów różniło go piętno wypalone na policzku.

Nahir podniósł na sztorc futrzany kołnierz. Górski poranek okazał się przenikliwie zimny; każdy oddech odzywał się kluciem w gardle i płucach. Chłopak wtulił twarz w skraj futra i stanął w progu strażnicy. Za górską granią rozciągała się Saada. Wyschnięta równina wydawała się jednolicie nieruchoma, zupełnie martwa.

„My to zrobiliśmy – pomyślał Nahir. – Nasza magia”.

Góry, które właśnie przekraczali, zmieniły oblicze kontynentu stosunkowo niedawno. Pierwsi Rasenowie wzniesli je, chcąc oddzielić się od sąsiadów. Rozerwali przetworzoną skałę, by wyszarpnąć z niej rzeki. Tchnęli nowe życie

w pas łądu wzdłuż wybrzeża. Nie pomyśleli o tym, co się stanie, gdy łańcuch górski zatrzyma bryzę i chmury nadpływające znad oceanu. Podczas gdy Rasenna rozkwitała, Saada zamieniała się w pustynię. Nie miała powodów, by przyjmować mieszkańców Rasenny z otwartymi ramionami.

Z drugiej strony – co on sam wiedział o Saadzie? Spodziewał się, że jego krew będzie wołać do tego obcego miejsca, tak jak wtedy, gdy wiedziony instynktem zmierzał ku rodzinnemu domowi. Ale Saada milczała.

– Potrzebna jest twoja pieczęć. – Z zamyślenia wybiły go słowa strażnika. Mężczyzna skracał samogłoski, a jego intonacja była monotonna, w niczym nie przypominała kadencji saadyjskiej poezji, którą Nahir poznawał.

Chłopak wyciągnął rękę po czysty kościany krążek.

Znak zrobiony w kości, krok za linię wyznaczoną przez dwa słupy. Drugi krok – i nie będzie odwrotu. Na gładkiej powierzchni Nahir widział refleksy rzucane przez ognisko na dziedzińcu strażnicy, płomień, który zawędrował z centralnej świątyni Niegasnącego. Nahirowi pozostało liczyć na życzliwość obcego bóstwa – i na uczciwość nigdy niewidzianej rodziny.

Powiódł dłonią po wisioru z pereł, który nosił pod ubraniem. Nierówne, gładkie bryłki zdążyły przejąć ciepło jego skóry. Na wspomnienie palców Ragani, śmiało wodzących po jego ciele tam, gdzie teraz dotykały jej perły, zapłonęły mu policzki, ale przeżył to w pamięci raz jeszcze. Tak jak mu nakazała. Poprosiła.

– Zapamiętaj to – mówiła, a on nie mógł oderwać wzroku od jej gładkich ramion, pereł wplecionych w warkocze opadające na drobne piersi, twarzy ozłoconej światłem świec. Gdy pochyliła się nad nim, widział, że też się rumieni; podobnie jak on nie miała wprawy, nie wiedziała, co robić, lecz potrzeba było tak bardzo niewiele, by jego źródło zaśpiewało z pełną mocą.

Jak mógł kiedykolwiek zapomnieć? Wysunął rękę spod płaszcza, wciąż czując na opuszkach kształt słodkowodnych pereł.

– Zapamiętaj – powtórzyła raz jeszcze, patrząc, jak się ubiera. Powoli, niezdarnie, przezwyciężając leniwe ciepło w mięśniach i odraczając rozstanie tak długo, jak się dało. Usiadła za nim i przytuliła się do niego. – Masz tu wrócić, rozumiesz? Do mnie i po mnie. – Zapięła mu wisior na szyi. – I nie myśl, że będę tu beczynnym czekać. – Przycisnęła wargi do jego policzka. – Świat się jeszcze nie skończył, jeszcze możemy uczynić go lepszym miejscem.

Nie było sposobu, by zapomnieć o wiecznie wścieklej marzycielce. Zanim Ragani dotknęła jego źródła i pozwoliła, by splotło się z jej pieśnią, zdążyła zapisać się w jego pamięci na dobre. Nie musiała prosić Nahira, by chciał do niej wrócić. On sam tego chciał.

Nahir zamrugał, próbując pozbyć się spod powiek obrazu śpiącej Ragani w szarówce poranka. Odebrał od strażnika pieczęć uprawniającą do przekroczenia granicy. Już nie było odwrotu.

Przed nimi rozciągała się Saada. Skaliste szczyty kładły się cieniem na szarozółtych głazach wyściełających dolinę. Spod spękanych skał wypływały strumienie, które spotykały się w dole, w korycie rzeki. Jej brzegi były porośnięte zielenią, ale im dalej od wody, tym bardziej szarość skał i piachu wygrywała z roślinnością, tym rzadziej rozmieszczone były ludzkie osady. Na zboczach gór porośnięte długim włosiem krowy zapamiętałe skubały wyschniętą trawę.

Nahir odetchnął głęboko. Jego oddech zamienił się w obłoczek pary; na szczytach gór połyskiwała warstewka lodu.

Taka susza nie nękałaby Rasenny nawet podczas najgorszych upałów. Wystarczyłoby skinięcie czyjejś dłoni, a połacie żółtej, spękanej ziemi zazieleniłyby się na nowo. Jedno życzenie wyszarpnęłoby górą więcej rzek. Ale to była Saada.

Nahir ścisnął boki konia piętami i dogonił czoło karawany. Konwój liczył dwadzieścia osób: jego, przewodnika, bratanka Sainy, dwoje podróżnych, trzech innych kupców i dwunastu zbrojnych, przeważnie mieszanego pochodzenia – choć twarze niektórych, obok wyniesionych z bijatyk blizn, zdobiły proste rodowe tatuaże. Przewodnik, choć bez trudu rozmawiał z Rasenami w ich ojczystym języku, wyglądał jak typowy Saadyjczyk – jeśli nie liczyć rudawego poblasku włosów. Nahir zauważył, że pod rękawicami mężczyzna nosi pierścienie symbolizujące wszystkie rozróżniane tu odmiany szczęśliwego losu. Na jego pikowanej kurcie połyskiwał wisior z taniego, żółtego metalu, przedstawiający słońce o wijących się promieniach.

Przez długi czas jechali w milczeniu, jeśli nie liczyć uwag, które przewodnik rzucał do podróżnych i prowadzących muły zbrojnych. Zwierzęta kolebały się na stromych ścieżkach ze znudzeniem, pokornie przyjmując ciężar bagaży.

W minionych dniach Nahir miał zbyt wiele do nauczenia się, zbyt wiele do rychłego objęcia umysłem. Z radością poświęcał się wszystkiemu, co odwracało jego uwagę od obsesyjnych myśli o Vigne i Sainie. Studiował sprawozdania z dotychczasowych wymian handlowych i mapy Saady.

Ale teraz tylko chłonał obcy widok. Podskórnie oczekiwał, że w Saadzie źródło nagle ucichnie, że on sam poczuje się odcięty od domu. Nic takiego nie nastąpiło. Wciąż towarzyszyła mu głośna pieśń, należąca przede wszystkim do twórców części zegara. Poza melodią Iruve i słabszym, rytmicznym źródłem Ertana Nahir słyszał też własną pieśń, niepokojąco cichą po opuszczeniu polifonii Novissy.

Rozbiegane spojrzenia tej dwójki, ich wiecznie spięte ramiona zdradzały historię ucieczek przed krajanami; przed ludźmi, którzy skłonni byli wieszać tych, dla których źródło było łaskawsze. Nahir przyłapywał się na tym, że stara się ich pilnować.

Dziwna to była para. Iruve nosiła proste stroje z niebarwionych tkanin, choć jej bagaże zajęły największy kufer w inwentarzu karawany. Zadowalała się biżuterią ze srebrnej blachy, taką, jaką zwykle dawano dziewczętom szykującym się do zamążpójścia. Odzywała się rzadko, choć mówiła ze staranną dykcją – a ton jej głosu nie zostawiał wątpliwości, że przywykła do wydawania poleceń. Tym bardziej zaskakujące było, że ze szlachcianką podróżował ktoś taki jak Ertan – nawet jeśli relacja tej dwójki była dalece bardziej skomplikowana, niż się początkowo zdawało, a Iruve nie była dawną panią mężczyzny.

Nahir nie zauważył u wyzwolenca malastry – nie spodziewał się jej zresztą; noszony przez mężczyznę bursztyń zdawał się pełnić funkcję podobnego amuletu. Chłopak nie mógł się opędzić od cierpkiej myśli, że na miejscu byłego właściciela nie wypuściłby takiego niewolnika, póki była w nim choć kropla źródła. O ile poważny byłby się egzekwować długi od kogoś, kogo prawo raczej nie powstrzymałoby przed zemstą za czas spędzony w niewoli.

Rasenowie nie przelewali krwi – źródło było zbyt cenne, a świadomość jego wyczerpywania się działała skuteczniej niż najsurowsze kary. Do niedawna. Teraz zbrodnie, które jeszcze dwa pokolenia temu wydawały się niemożliwe do pomyślenia, stawały się codziennością. Stare prawo doczekało się nowych interpretacji: że krew płynąca ze skóry przeciętej batem nierówna była tej w ranie od noża. Ale nawet ci, którzy chcieli żyć w zgodzie z prawem, mieli swoje sposoby.

Ta dwójka nie zamierzała wracać. Dla Ertana nie było już w Rasennie miejsca; jeśli Iruve pomagała mu w ucieczce, sama musiałaby unikać kary. Tak blisko granicy wciąż mogli ich dogonić ci, którzy chcieli odzyskać swoją zbiegłą własność, a to stanowiłoby zagrożenie dla całej karawany. Kilkoro najemników nabrało zwyczaju wykonywania saadyjskiego gestu ochrony, gdy mijali tę dwójkę. Ertan i Iruve udawali, że tego nie dostrzegają, choć Nahir widział raz, jak przedrzeźniają przesądnych mężczyzn.

Nahir najbardziej obawiał się nie tajemniczych podróżników, lecz napięć w karawanie. Obserwował grupę uważnie. Kilka razy wahał się, czy powinien był przestrzec najemników przed możliwościami tamtej dwójki. Za każdym razem dochodził jednak do wniosku, że tylko przyśpieszyłby wybuch konfliktu.

Zresztą było niemożliwe, że Iruve i Ertan tego nie dostrzegli. Trzymali się na uboczu, jakby niepomini plotek, których obiektem rychło się stali. Starali się nikomu nie wchodzić w drogę.

Ostatecznie karawana mogła polegać tylko na tym, że wszyscy podróżni chcieli dotrzeć do Żrenicy żywi. Wystarczyło, że przekraczali niebezpieczną, jałową ziemię. Nie mogli sobie pozwolić na wrogość wobec towarzyszy.

Drogę w dół pokonali w milczącym, pełnym napięcia skupieniu. Ścieżkę co roku niszczyły topniejące śniegi; teraz, mimo napraw, kamienie luzowały się pod kopytami zwierząt. Przysadziste górskie konie znosiły to cierpliwie, mimo to Nahir zeskoczył z siodła; większość podróżnych zrobiła to samo. Chłopak obejrzał się przez ramię. Za nim szedł Ertan, prowadząc konia i muła, na grzbiecie którego kołysał się ogromny kufer Iruve. Zwierzę stąpało z pogodną obojętnością wypisaną na pysku.

Zejście ze zbocza zajęło im znaczną część poranka. Przeczekali upał w cieniu skał, by po południu pokonać resztę drogi dzielącą ich od najbliższej osady.

Sama osada składała się z kilku domów, które z większej odległości Nahir pomyliłby ze skałami. Teraz jednak wieś obrosły namioty podróżnych i wędrownych rodzin. Beczenie kóz niesło się z dala. Kilka osób rozstawiało właśnie prowizoryczne ogrodzenie, za które zagoniono zwierzęta. Wkrótce i karawana Nahira zaczęła rozbijać obóz.

Długa, wymagająca podróż dała się Nahirowi we znaki – nawet kilka godzin po zejściu z góry czuł napięcie w mięśniach nóg. Obszedł wieś i dołączył do swojej karawany w jednym z ogromnych namiotów, pełniących funkcję wspólnej jadalni. Pod jego tropikiem, co Nahir odnotował nie bez zaskoczenia, wisały kule światła uplecione z czyjegoś źródła. W ich ciepłym blasku ludzie rozsiedli się na niskich ławach, zydlach i kilimach rozłożonych na klepisku. Nigdzie nie było widać zbrojnych – za to Nahir wypatrzył siedzących w kącie Iruve i Ertana.

– Czy można? – zapytał.

Wyzwoleniec podniósł na niego wzrok, skinął głową, bez słowa nalał chłopakowi wina.

Nahir podziękował i wziął łyk, po czym przytrzymał napój w ustach na chwilę dość długą, by się przekonać o jego czystości. Ertan chyba to dostrzegł, bo posłał mu kpiący uśmiešek. Nahir szybko przełknął.

– Możesz się uspokoić. – Słowa wyzwolenca go zaskoczyły. – Ta droga nie jest tak zła ani niebezpieczna, jak ci pewnie powiedziano.

– Byłeś tu już? – zapytał Nahir.

Iruve uniosła głowę znad czytanego przez siebie tekstu, ale nie włączyła się do rozmowy.

– Byłem.

– W Żrenicy?

Ertan wyszczerzył zęby.

– Nie. Na płaskowyżu.

Za rozsznurowanymi połami namiotu rozciągała się równina, skrzącą się od ognisk i pochodni. Dźwięki niosły się nad nią głuchym echem. Nahir nie wyobrażał sobie życia w tak nieprzyjaznym miejscu.

– A ty? Skąd w ogóle jesteś? – zapytał go Ertan.

Nahir zastygł, z kubkiem w połowie drogi do ust.

– Z domu wiedzy. Z obserwatorium – odparł.

W miodowych oczach Ertana pojawił się przychylny blask.

– Co cię stamtąd wygoniło?

– W Saadzie będę uczyć się dalej – bąknął Nahir, przeklinając w myślach swój mierny talent aktorski.

– Hej! – rozległo się za ich plecami. – Teraz w Rasennie przyjmują spłaty długów w naturze?

Ertan obrócił się gwałtownie. Iruve złożyła małą, szytą książkę i pośpiesznie schowała ją w kieszeni kurty, ale poza tym udawała, że sytuacja jej nie dotyczy.

Na środku namiotu stanął jeden z miejscowych. Gdy skupił na sobie uwagę podróżników, wykonał gest, którego znaczenie było jasne nawet dla obeznanego tylko z literackim saadyjskim Nahira.

– Ertan – powiedziała cicho Iruve.

– Mogę u ciebie zaciągnąć dług, księżniczko?

Pytanie zostało przyjęte z głośnym aplauzem z drugiej strony namiotu. Nahir omiół wzrokiem obecnych: poza ich trójką były dwie grupy podróżnych, które ignorowały okrzyki, lecz obok siedziało klaszczące towarzystwo, w odróżnieniu od Rasenów uzbrojone. Żaden z podróżnych nie miał powodów, by lubić podróżnych z Rasenny. Znaleźli sobie pretekst – i łatwy cel.

– To nic takiego, Ertan. – Iruve położyła dłoń na przedramieniu mężczyzny, ale ten wyszarpnął rękę. Mięśnie jego zuchwy drgały.

– Ile cię kosztował? – Rozległ się ten sam głos z tyłu namiotu.

Iruve w spokoju piła wino.

– Skąd można wziąć takich ładnych bezbronnych chłopców z za cieśniny? Czy wzięliście go jako żywą zachętę?

– Ertan – wycedziła, tak cicho, że tylko on i Nahir mogli ją usłyszeć. – Nie daj im tej satysfakcji. Nie są warci naszego czasu.

Ale i ona pobladła. Linie tatuażu na jej podbródku odcinały się od niezdrowej bieli cery.

Jeden z wędrowców przysunął się bliżej, próbując wepchnąć się między nią a Ertana.

– A może ty tak dobrowolnie? – zapytał wyzwoleńca, wydechając mu w twarz opary alkoholu. – Może ci magiczni są jacyś inni, lepsi? Czy lubisz, jak twoja pani przykłada ci nóż do gardła?

Ertan zacisnął dłonie w pięści. Iruve przygryzła wargi.

– Zostaw nas w spokoju. – Nahir zaparł się łokciami o blat. On, Ertan i Iruve mogli wydawać się spokojni, ale ich źródło wrzało. Ponad głosami rozmów i brzękiem naczyń Nahir wciąż słyszał jego szybki, nierówny, wściekły rytm.

– Chcę tylko wiedzieć – nieznajomy spróbował skupić wzrok na Ertanie – ile za niego.

Nahir miał w sobie niejasne współczucie dla ludzi pogranicza. Byli zbyt słabi – od zawsze – by w Rasennie traktowano ich jako swoich; znajdowali się jednak zbyt blisko źródła, by zachcieli im zaufać Saadyjczycy. Nękane suszą pogranicze było problemem, który każdy naród odsuwał od siebie, zapewne nie bez nadziei, że nielitościwa przyroda rozwiąże go za nich. Granicznicy to wiedzieli. Żyli ze świadomością, że zostali spisani na straty jako konieczny koszt kruchego porozumienia między Saadą a Rasenną. Byli jednak zbyt nieliczni, by ich głos stał się słyszalny.

Ale gdy pięść Ertana uderzyła w szczękę granicznicy, Nahir nie współczuł mu ani trochę.

Mężczyzna zatoczył się, splunął na podłogę krwią. Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

– Więc masz kafara i kochasia w jednym? – Powiódł wzrokiem do Iruve, która zerwała się z miejsca. – Nie powinnaś zamiast tego wypychać na świat magicznych dzieci? Ale zachciało ci się obcych fiutów. Czy to nie zdrada stanu?

Twarz Iruve przybrała kolor górskiego wapienia.

– Ertan – kobieta zwróciła się do towarzysza, nie odwracając wzroku od napastnika – zanim postanowisz bronić mojego honoru, czego nie potrzebuję...

Ertan nie dał jej dokończyć. Rzucił się na granicznika i przygwoździł go do podłogi. Zamachnął się do ciosu.

Iruve wycofała się pod ścianę, klnąc. Nawet nie dotknęła rytualnego noża, ale nie była bezbronna; powietrze wokół niej zgęstniało, gdy przyciągała ku sobie rzeczywistość, gotowa odkształcić ją w każdym momencie.

Nahir wysunął się do przodu. Przyjaciela granicznika już poderwali się z miejsc, próbując ściągnąć Ertana z prowokatora. Mężczyzna śmiał się głośno.

– Puste nieba – zakłęła Iruve. – Powinniśmy byli po prostu wyjść. Ertan sobie poradzi. – Rzuciła Nahirowi ostrzegawcze spojrzenie. – Nawet nie próbuj czerpać ze źródła.

Chłopak cofnął dłoń, którą bezwiednie zacisnął w pięść. Wokół knykciów czuł znajome gorąco.

– Nie chcemy zwracać na siebie uwagi, rozumiesz? – dodała Iruve, mrużąc oczy. – Nie stać nas na to.

– Już za późno.

– Więc przynajmniej nie włączaj się do tego cyrku.

Cyrku? Na ich oczach Ertan przegrywał wobec czworga graniczników. Troje kompanów ściągnęło go z prowokatora. Ertan wywinął się od ciosu, przetoczył po podłodze i wstał. Z nosa ciekła mu strużka krwi.

Jednego napastnika Ertan odepchnął na ścianę. Usunął się przed kolejnym ciosem w uniku tak zwinnym, że Nahir ledwo dostrzegł jego ruch. Każdy z mężczyzn miał refleks, jakiego można by się spodziewać po zawodowym zapaśniku. Nahir nie wiedział, czy obecność Ertana w ich karawanie powinna być dla niego źródłem ulgi czy niepokoju.

Iruve obserwowała scenę hardym spojrzeniem, nie wypuszczając osnowy świata z uścisku. Na czoło wystąpił jej pot.

– Postaw naszych na nogi – powiedziała z wysiłkiem. – I ostrzeż kupców.

Chłopak się zawahał.

– Idź! – syknęła.

Ertan tymczasem schwycił jednego z przeciwników za włosy i uderzył jego czołem o krawędź stołu. Mężczyzna jęknął i upadł na podłogę. Rasen cofnął się o krok, przyciskając rękę do boku. Powłóczył lewą nogą. Oddychał z trudem. Za nim inny granicznik wstał z klepiska, podpierając się o belkę jurty. W zakrwawionej dłoni mężczyzny błysnął ostry odłamek szkła.

– Za tobą! – krzyknął Nahir, sięgając po ostrze wbrew poleceniu Iruve.

Ertan obrócił się, przenosząc ciężar ciała na lewą nogę. Stęknął i zgiał się w pół. Szkło zakreśliło w powietrzu migoczący łuk wiodący ku gardłu wyzwolenca.

– Ertan! – wrzasnęła Iruve. Źródło wyrwało się spod jej kontroli.

Wyzwoleniec zablokował ostrze ramieniem, krzyżąc, gdy szkło przecięło skórę. Odepchnął od siebie mężczyznę. Prowizoryczne ostrze wyleciało z jego dłoni, pogranicznik upadł na plecy. Z jego ust nie wyrwał się żaden dźwięk.

Nahir czekał, wbijając wzrok w pobojuwisko na środku jurty.

Mężczyzna nie wstał.

Iruve w mgnieniu oka zniknęła za klapą namiotu.

Ertan dokuśtykał do stołu i opadł ciężko na ławę. Skrzywił się. Pod jego prawym okiem rosła opuchlizna. Szklane ostrze przecięło rękaw tuniki i zostawiło na przedramieniu długą, choć płytką ranę, którą wypełniała jaskrawoczerwona krew. Nahir słyszał słabe echo źródła wyzwolenca.

Ertan uśmiechnął się do niego z trudem, ocierając z wargi krzepnącą krew.

– Iruve może robić ze swoim honorem, co zechce – powiedział do oszołomionego Nahira. – Ale ja nie pozwolę się obrażać.

– Pozwól, że... – Nahir podważył czubkiem noża szwy na bezużytecznej już koszuli, po czym podarł materiał na pasy. Zgarnął ze stołu naczynie z wodą

i zaczął przemywać ranę. Namiot opustoszał, nie było w nim nikogo poza Nahirem i Ertanem.

W bursztynowych oczach Ertana zalśniło coś na kształt serdeczności.

– A więc poza rachunkami i astronomią zajmujesz się też medycyną? – Jego głos był niemal wolny od protekcyjnego tonu.

Nahir wzruszył ramionami.

Nie potrafił odwrócić wzroku od ramion i pleców nieznanego. Skórę Ertana przecinała siatka grubych, podobnych sznurom blizn. Lśniaca tkanka napinała się na mięśniach. Musiała powstać, gdy Ertan był bardzo młody. Nahir przełknął ślinę. Kolacja podchodziła mu do gardła.

Owszem, czytał o takich karach, księgozbiór historyczny obfitował w opisy niegodziwości. Ale mimo nieuchronności końca świata Nahir liczył, że bezmyślną, niepohamowaną przemoc zostawili za sobą. Że oprawiona w rozum agresja stała się czystsza. Higieniczna.

W milczeniu dokończył opatrywanie rany i zarzucił Ertanowi na ramiona swój płaszcz.

– Dzięki.

– Powinniśmy mieć lód w zapasach – powiedział Nahir płaskim, beznamytnym tonem. – Znajdź go, jeśli dasz radę.

– A ty zbieraj swoje rzeczy – poradził mu Ertan.

Nahir skinął głową. Nawet jeśli prawo było po ich stronie, liczył się z tym, że zarządcy obozu zasugerują im szybkie opuszczenie go. Nikt nie chciał kłopotów, szczególnie tutaj. Szczególnie jeśli w grę wchodziła Rasenna.

Chłopak popatrzył na leżącego pośrodku jurty trupa. Zrobiło mu się zimno, choć przecież widywał już zmarłych, zarówno ich ciała, jak i cienie. Z wahaniem podszedł do granicznika.

Ferwor walki mógł zwieść przeciwników, nienawykłych do słuchania źródeł i niewiedzących, na co zwrócić uwagę, ale Nahir nie miał wątpliwości: to, co zrobił Ertan, ta niezdarna, improwizowana obrona, było zbyt słabe, by kogokolwiek zabić.

Nahir sięgnął do źródła, czując na języku posmak krwi. Rozłożył palce i oparł dłonie na ciepłym jeszcze ciele mężczyzny. Powstrzymując obrzydzenie, zaczął rozdzielać martwe tkanki. Wiedział, jak to zrobić. Ertan mógł żartować z jego znajomości medycyny, ale dom wiedzy Aule leżał zbyt daleko od większych osad, by mogli się obyć bez znajomości podstaw anatomii i choćby szczątkowej wiedzy o chorobach. Skóra i ścięgna ustępowały pod nakazem Nahira, odsłaniając jamy ciała, choć w istocie trup pozostawał nietknięty.

Nahir odsunął na bok płat mięśni i otworzył żebra. Zmusił się, by spojrzeć raz jeszcze, uważniej, łudząc się, że może za pierwszym razem się pomylił; ale nie,

serce nieznanego zamieniło się w twardą, splątana masę. Żyły zaciskały się wokół niego, sztywne jak gałęzie. To, co kiedyś było plamkami tłuszczu i pierwszą zapowiedzią choroby, zamieniło się w alabastrowe inkrustacje.

Chłopak cofnął się, pozwalając źródłu odpłynąć łagodną falą. Dach jurty zawirował nad nim.

Zabijanie było świętokradztwem. Przede wszystkim należało chronić źródło, upewnić się, że krew nie spłynie z powrotem ku ziemi. To dotyczyło Rasenów. Ale dlaczego zabijanie obcokrajowców miało się rządzić innymi prawami?

Iruve i Ertan działali w samoobronie, tego był absolutnie pewien. Jednak w tej śmierci było coś odrażającego, niesprawiedliwego, brudnego. To nie była śmierć od noża czy ciosu, zadana w afekcie. Iruve i Ertan dotknęli jestestwa tego mężczyzny i wykręcili je, przetworzyli tak, jak życzenie mogło zmienić bieg strumienia.

To oczywiste, że dało się to zrobić. Ale sam akt był tak ohydny, że Nahirowi nigdy nie przeszło przez myśl, że ktokolwiek mógłby się go dopuścić.

Odsunął się na klęczkach od ciała, odgarnął poję namiotu i zwymiotował.

Karawana przygotowywała się do drogi. Noc czerniała się nad płaskowyżem, rozbielona tylko odległym światłem gwiazd i bladymi sierpami bliźniaczych księżyców.

Wierzchowiec Nahira parsknął na jego widok. Chłopak pogładził chrapy zwierzęcia. Ciepły oddech owionął mu dłonie.

Przewodnik klął i rozstawiał zbrojnych, nie kryjąc wściekłości. Nie stracił jednak swojej metodycznej manieri, co kazało Nahirowi przypuszczać, że takie sytuacje zdarzały się wcześniej, choć ich finał nigdy nie był chyba aż tak dramatyczny. Gniew najwyraźniej ominął sprawców zajścia – nieopodal Ertan i Iruve dyskutowali przyciszonymi głosami. Nahir przymknął oczy, uciszając swoje źródło. Mimo wszystko odczuwał wobec tej dwójki szacunek i nie wątpił w słuszność tego, co oboje zrobili. Budziła w nim odrazę tylko metoda. Choć musiał przyznać, że teraz rozumie znacznie lepiej, z jakimi ludźmi przyszło mu podróżować.

– Poradziłbym sobie – upierał się Ertan.

– Akurat. – Ton Iruve był spokojny, głos ledwo słyszalny.

– Niepotrzebnie ryzykowałeś!

– Nie... – zaprzeczyła Iruve, ale jej pełne wysiłku stęknienie świadczyło o czymś zgoła przeciwnym.

– Nie możesz tak.

– Nie pouczaj mnie. Gdybyś nie dał się sprowokować, nic bym nie musiała robić.

Ertan zaklął.

– Świetnie ci idzie. Najbardziej niepozorna podróżna...

– Przestań – powiedziała z naciskiem. – Nikt nas nie szuka.

– A wiesz o tym, bo... – Czekał na jej odpowiedź. – Bo osadnicy są głupszy od ciebie? Półdzicy ludzie z ziem niczyich?

– Pomóż mi wsiąść – stęknęła.

– Wiem, co o nich myślisz, Iruve. – W głosie Ertana zadźwięczała nuta litości.

W półmroku Nahir dostrzegł sylwetkę Iruve, zapierającej się stopą w strzemieniu. Blask odległej pochodni tańczył na ściągniętej, chorobliwie bladej twarzy kobiety. Iruve odrzuciła warkocze na plecy i westchnęła.

– Jeszcze trochę – szepnęła, bardziej do siebie niż do towarzysza. – Wytrzymamy to.

– Po prostu – głos Ertana ścichł, stał się delikatny i czuły – nie szastaj tak źródłem, dobrze?

– Bez obaw.

– A jeśli go nie odbudujesz?

Nahir szarpnął za wodze zwierzęcia, prowadząc je na przód karawany, dookoła, unikając dwójki podróżnych. Bezskutecznie próbował wyrzucić z głowy obraz zakrzepłego serca. I świadomość, że magia Iruve nie różni się bardzo od jego własnego źródła.

„Świat się kończy – powtarzał sobie. – Ale...”

Ale.

To nie znaczyło, że wszystko, w co dotychczas wierzyli – co porządkowało rytm domostw, co nakazywało szacunek dla życia innych – straciło na znaczeniu. Nie dla Nahira. Świat się kończył, lecz wciąż mógł być dobrym miejscem.

A jednak Nahir nikomu nie powiedział o morderstwie ani o zasłyszanej rozmowie. Skulił się w siodle, podążając za karawaną.

W odległości majaczyły rozproszone światła stolicy Saady, rozedrgane jak błędne ognie. Nad nimi górował niegasnący ogień, płonący ku czci niezwyciężonego słońca – ale dzień wydał się Nahirowi czymś odległym, co miało nigdy nie nadejść.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Miesiąc sierpów, trzecia pentada,
dzień piąty

Słońce minęło zenit i zaczęło na powrót opuszczać się ku morzu.

Choć za dnia gniazdo oferowało wybrańcom Vesui samotność, to szmery i szepty nieustannie wpełzały przez szczeliny między kamieniami i odbijały się wewnątrz dziwnym echem. Początkowo Zaihab myślała, że to umysł płata jej figle, próbując wypełnić ciszę. Lecz może szeptały istoty zamknięte w budulcu tego miejsca? Zaihab obeszła całą świątynię, zbadła dłońmi ściany i uznała, że plotki krążące o gnieździe były prawdziwe – do zbudowania go nie użyto żadnego spoiwa ani nawet kamiennych bloków. Tutaj skała została wynaturzona. Czyjaś ręka nakazała jej rosnąć, ukształtowała równe korytarze i ozdobne łuki. To oznaczało też, że reliefy na ścianach nie zostały wykute dłutem. Ktoś wyrzeźbił je, szepcząc skale swoje historie i sącząc obrazy między okrucy kamienia. Zaihab się wzdrygnęła.

Jej odkrycia i wnioski pozostawały tylko dla niej. Nie mogła ich spisać ani nawet nikomu powiedzieć. „Cała ta wiedza przepadnie kiedyś wraz ze mną – myślała, wyciągając się na posłaniu. – Ale teraz jej potrzebuję. Jeszcze tu jestem. Jeszcze uciekam”.

Z każdym dniem wizja ucieczki stawała się coraz odleglejsza. Zaihab przyłapywała się na niepewności – co wydarzyło się naprawdę, a co tylko jej się śniło; co usłyszała od skrzydlatych i wplotła w swoją pamięć. Zatracała się w gnieździe. Vesui wystarczyło zaczekać. Miał rację. Był silniejszy. Zaihab musiała z nim przegrać. Im dłużej zwlekała, tym trudniej będzie jej zostać sobą. Wiedziała o tym.

Ale potrzebowała jeszcze kilku dni. Teraz, gdy znalazła ryse, musiała ustalić, gdzie się zaczynała.

Coś jeszcze szarpało za jej serce. Delikatnie, lecz nieustannie. Słyszała to w szeleście skrzydlatych: tu była bezpieczna, tu nic jej nie groziło, jeśli tylko pozostanie podległa bóstwu. Widmowe rodzeństwo zachęcało ją do spokojnego

życia, mamilo obietnicą bezpieczeństwa. Przypominało, że tutaj, po raz pierwszy, odkąd pamięta, nie musi się obawiać o dach nad głową czy kolejny posiłek.

Vesui wybaczył jej wybuch w obecności Arit. Nigdy się do tego nie odniósł. Być może uznał, że nikt nie potraktuje Zaihab poważnie; być może planował coś innego. Albo, powodowany dziecięcym kaprysem, uznał to za świetny żart. Tak czy owak udało mu się uśpić czujność Zaihab.

Gniazdo mogło stać się domem. Skrzydlate – ogniskiem. Stworzyciel okazał się niepokojąco ludzki. Budował więzi. Czuł. Złościł się. Dotychczas nie myślała, że to może być możliwe. Bóstwa miały być czymś... innym, obcym. Ale Vesui nie przejmował się tym, co o bóstwach napisali ludzie. Miał więc z Opiekunką – i z Zaihab. Stawał się jej bliski.

„Nie. Przestań. Nie wolno ci tak myśleć” – powiedziała sobie. Usiadła gwałtownie, przyciskając palce do skroni i próbując na nowo skupić się na tym, czego dowiedziała się o świątyni. Nie mogła dać się zwabić skrzydlatym.

Stopniowo wynurzała się z miękkich, leniwych myśli, podsuwanych przez samego Vesui. Gdyby nie była tak otępiała, na pewno usłyszałaby kroki w korytarzach gniazda. Teraz wyprostowała się, nasłuchując.

– Hierodulo? – Od strony placu dobiegł nieznany głos.

Powinna się bać, ale przywykła do myślenia, że w gnieździe nic jej nie grozi. Stworzyciel, jaki by nie był, czuwał nad nią. Skrzydlate obsiadły dziedziniec, by jej pilnować.

A i tak... komuś udało się tu wejść.

Zaihab wciąż była jednak hierodulą. Tak nazwał ją przybysz. Nie zamierzała się chować.

Szybko sięgnęła po leżącą na stole maskę. Odlana w pozłacanym gipsie podobizna musiała być owocem wyłącznie wyobraźni autora; nikt, kto choć na chwilę miał do czynienia z Vesui, nie zdobyłby się na danie mu tak pięknej twarzy.

Mimo rażącego przekłamania Zaihab lubiła maskę. Chowala się za nią, w słodkawym zapachu pudru i perfum poprzednich hieroduli. W masce pozostawała tak niewidoczna dla innych, jak oni byli dla niej.

Wyszła na korytarz. Pomieszczenie wypełniała lekko zleżała woń kadzidła i dymu ze świec, których płomienie lizały ściany. Ponad te zapachy przebijał się inny, nowy: świeżo wygarbowanej skóry, potu, czegoś jeszcze, jakby gliny.

– Ach, tutaj jesteś. – Głos, niski i dźwięczny, należał do kobiety nawykłej do wydawania poleceń. Takiej, która nie traci czasu na uprzejmości. – Czy nie ma tu nikogo poza nami? Chodźmy.

Zaihab zacisnęła dłonie. Wyzbyła się wszelkich wątpliwości, że obca osoba została wysłana przez anaktorion. Nie żeby to wiele znaczyło. Dla tych

nielicznych mieszkańców, którzy kiedyś przychodzili do gniazda, wizyty w świątyni nie różniły się wiele od transakcji handlowych, może z tą różnicą, że niekiedy przychodziło im płacić w najdziwniejszej walucie. Świętość w każdym razie przystawała do domu Vesui tak samo, jak i do portu.

– Zaihab Adira sur Taarut. – Nieznajoma się poruszyła. Nosiła ciężkie, podkute buty, a każdemu jej krokowi towarzyszył brzęk biżuterii.

Zaihab zrobiła krok w tył; nie spodziewała się usłyszeć swojego pełnego imienia. Potem uśmiechnęła się do siebie. Domyślała się już, z kim rozmawia.

– Tisar z Kompanii Buław. – Do tej pory tylko słyszała o książęcej kondotierce. Tisar była kolejną osobą, dzięki której zamknięto bramy Sahit; swoją kompanię trzymała krótko, lecz nie dość krótko, by całkowicie uniknąć burd na ulicach. Te były nieuniknione w obliczu nadchodzącej wojny i jeśli nie ta armia, to zapewne inna angażowałaby się w zaczepki i bójki. Tisar po prostu dała niepokojom twarz. I głos. A także przewrotny, upajający urok, jakby można było uwolnić się od strachu tylko pod jej rozkazami.

Zaihab na chwilę zapomniała, dlaczego obie się tu znajdują. Cierpka odpowiedź kondotierki wytrąciła ją z zadumy.

– Dziś przychodzę tu nie w imieniu mojej kompanii. – Dowódczyni zrobiła krok w jej stronę. Biżuteria zadźwięczała głośniejsze. – Ani nie dla urzędników anaksa. – Dłonie kobiety bez ostrzeżenia schwyciły krawędź maski i podniosły ją. Zaihab uchyliła się, lecz zbyt późno.

Kondotierka prychnęła cicho.

– Przez ciebie bito na alarm w całym mieście. Zapomniano o wszystkich listach gończych, liczyło się tylko to, by cię znaleźć. A ty chowałeś się i próbowałeś uciec z przemytnikami. – Stłumiła śmiech. – Niewiele brakowało, a miałybyś na sumieniu i moich ludzi, bo podejrzenie sięgnęło także nas.

Zaihab poczuła uderzenie gorąca na policzkach. Tymczasem Tisar krążyła wokół niej, stukając paznokciem w krawędź maski, jakby czekała, aż pęknie pozłotka.

– Zgaduję, że nie przyszedłeś tu po to, by mnie poznać. – Hierodula oparła rękę na biodrach. Nie miała zamiaru dać się zastraszyć. – Inaczej nie ukrywałabyś się. Przyszedłabyś z orszakiem. Ktoś wprowadził cię tylnym wejściem, prawda?

– Nie, sama sobie poradziłam – zaśmiała się tamta. – I ciekawość też była moją motywacją. Zbyt dużo o tobie słyszałam, żeby przepuścić taką okazję. Za dużo zamieszania, bym nie była przynajmniej zaintrygowana sabotażystką z Taarut.

Zaihab odnotowała w myślach, że kondotierce udało się ustalić jej pochodzenie. Ale nie miała zamiaru się tłumaczyć.

– Całe miasto mogło upaść – podjęła Tisar – tylko dlatego że chciałaś sprzeciwić się bóstwu. – W jej głosie zabrzmiała dziwna, nowa nuta.

– Nie rozumiesz. Chciałam...

– To nie jest dla mnie ważne – przerwała jej Tisar. – Nie muszę tego rozumieć. Liczy się tylko, że byłaś gotowa to zrobić.

Zaihab wreszcie udało się określić, co słyszy w głosie Tisar. To był podziw. Niekłamanym, nieprzypadkowym podziwem. Uśmiechnęła się do kobiety.

– Więc dlatego przychodzisz tutaj ze swoim pytaniem i bez obaw, że postąpię niełojalnie?

– Powiedzmy, że z obawami mogę sobie poradzić.

– Liczysz na Vesui.

– Tak, przy całym jego... nastawieniu, wciąż kieruje się dobrem miasta. – Wymówiła to z pewnością. Nie można było spodziewać się niczego innego.

„A co, jeśli dobro miasta nie będzie miało już nic wspólnego z twoim dobrem?” – chciała zapytać Zaihab. Splotła przed sobą dłonie.

– Nie lubisz go, prawda? – parsknęła Tisar. – Ale to on sprowadził tu nas obie. Ufam, że wie, co robi. I że rozwieje moje wątpliwości.

Zaihab uśmiechnęła się cierpko.

– Jak mogę ci pomóc?

Tisar wahała się tylko przez chwilę.

– Oszukano mnie. Nie powinnam była spodziewać się niczego innego po pałacu; myśl o mnie, co chcesz. Ale, jak słyszeli już chyba wszyscy, mam poprowadzić atak na Taarut, nie wiem, co mnie tam czeka. Słyszałam o miastach z kości. Słyszałam o... magach. Chcę wiedzieć, jaki będzie mój los. Zapytaj go.

Zaihab usłyszała za sobą szelest skrzydeł. Odwróciła się gwałtownie. Dźwięk ucichł tak nagle, jak się pojawił; na chwilę zastąpił go dziecięcy chichot. Vesui tu był. Słuchał. Coś zdołało przykuć jego uwagę, przywołać go bliżej materialnego świata. Zaihab niemal czuła na plecach jego oddech.

– Co to było?

– Mieszkaniec tego miejsca. – Powstrzymała drżenie. – Mów dalej.

– To wszystko. – Ton kondotierki zmienił się, jakby zaczęła teraz pilnować każdego słowa. – Nie zamierzam dać się zaprowadzić w pułapkę. Chcę wiedzieć, co czeka mnie w Taarut.

– A nie możesz zrobić nic na własną rękę – dokończyła za nią Zaihab. – Ten, kto cię oszukał, to ktoś o pozycji wyższej niż twoja. Ktoś, od kogo zależy twoja obecność w pałacu?

Tisar potwierdziła to pełnym niezadowolenia mruknięciem. W uszach Zaihab znów rozległ się zduszony śmiech.

Zdążyła poznać stwórcy na tyle, by wyczuć radosne oczekiwanie. Uwagę i skupienie na chwilę przed psotą. Ten dźwięk sprawiał, że przesywały ją ciarki. Niewiele dzieliło ją od katastrofy, na którą on zareaguje tylko dźwięcznym śmiechem. Tisar, rzecz jasna, nie mogła tego wiedzieć.

„Po prostu ucieknij – chciała powiedzieć żołnierce. – Zerwij kontrakt, zapomnij o tym mieście. Zapomnij o wszystkich miastach Nowej Saady, tu nigdy nie będziesz bezpieczna”.

Wyciągnęła przed siebie ręce, nie wiedząc, czy chce odepchnąć Tisar, czy przyciągnąć ją bliżej, wyszeptać w tajemnicy prawdę o Vesui, kilka gorączkowych słów, nim bóstwo jej przerwie.

Ujęła w dłonie twarz w kształcie serca, o wyraźnym, ostrym podbródku i szerokich policzkach. Kondotierka miała wydatne wargi, jak matka Zaihab, lecz węższy nos, z metalowym kółkiem w jednym nozdrzu. Jej skóra była napięta i sucha jak pergamin. Zaihab przesunęła palcem po zgrubieniach blizn i liniach zmarszczek, odczytując wszystkie dawne uśmiechy; nie było ich wiele. Gęstsza sieć zagłębień mieściła się w kącikach oczu i rozbiegała promieniście ku skroniom. Pojedyncza bruzda rozdzielała brwi i wcinała się w wysokie, osłonięte chustą czoło. Na opuszkach Zaihab zostały drobiny farby i pudru.

Oczekiwanie Vesui uderzyło w nią bez ostrzeżenia, zalewając jej własne odczucia. Pod palcami Zaihab miała teraz nie materiał chusty, lecz ciężką, zimną koronę. Zmarszczki na twarzy Tisar były trochę głębsze, podbródek i dolną wargę przecinała rana, która nie zdążyła się nawet zasklepić. Szept tłumu i chór skrzydlatych przelały się ponad głosem kondotierki. Tuż za nią stał Vesui. Jego głód odezwał się w żołądku Zaihab, budząc tęsknotę za lepką, gorącą słodyczą. Jak oparzona cofnęła dłonie.

– Co? – Kobieta próbowała schwycić jej nadgarstek. Zaihab wywinęła się. Otarła przedramieniem spocone czoło.

Vesui krzychał jej w ucho. „To nie twoja tajemnica” – powtarzał ustami cieni i zamkniętych w skale postaci. Jeśli to przedzieranie się bliżej świata cokolwiek go kosztowało, nie dawał tego po sobie poznać, wydrapując sobie drogę z wściekłością dzikiego zwierzęcia. Zaihab знаła to. Przygotowała się na wdarcie w jej myśli, znów bezbronna. Stwórcy nie mógł jej zranić, ale Opiekunka nie strzegła umysłu dziewczyny.

– Co się stało, Zaihab?

Tym razem hierodula pozwoliła się złapać. Przysunęła się bliżej. Nie mogła dłużej powstrzymać stwórcy. Czowała, że jeszcze chwila, a Vesui weźmie sobie jej myśli i wolę, tak jak zrobił to pierwszego dnia w Sahit.

– Nie powinnaś mnie słuchać – wyrzuciła z siebie szybko. – Ani mnie, ani tym bardziej Vesui, nie powinnaś... jesteś jego narzędziem. – Gniewny wizg wdarł się

w jej myśli. – Mówi, żebyś przestała się bać. Nie zapomni o tobie. Nie zginiesz. Zostaniesz anassą Taarut. – Uścisk wokół jej ręki wzmocnił się; Tisar głośno wciągnęła powietrze. – Proszę, nie rób tego. Nie przychodź tu więcej. – Z trudem łąpała oddech, jakby stwórcy zaciśnął palce na jej gardle. Nie czuła jego dotyku, ale to o niczym nie świadczyło. Powietrze stawało się coraz gęstsze. – Nie słuchaj mnie! – Nie zauważyła nawet, gdy Tisar wypuściła jej rękę, a na jej czoło z powrotem nałożyła maskę.

W dusznej ciszy stuknęły podkute buty.

– Dziękuję. Będę oczekiwać wiadomości – powiedziała kondotierka głosem, który nie mógł być dalszy od jej wcześniejszego tonu. Początkowo rozpoznały w sobie pokrewny upór, odwagę, siłę, która zakazywała im się zatrzymywać. A teraz... co? Tisar dostrzegła w niej wroga? Czy po prostu usłyszała to, co chciała usłyszeć?

Anassa Taarut. Namiestniczka. Trzeba było tak niewiele, by stwórcy przekupił kondotierkę. Zaihab miała ochotę bić pięściami w podłogę.

Vesui zmylił również ją. Za bardzo uwierzyła w jego dziecinność. Nie doceniła doświadczenia stuleci i uwagi, z jaką studiował swoje miasto i jego mieszkańców. Nie potrzebował żadnych tajemnic, by zdobyć ich serca – wystarczyło, że sięgał po najbardziej widoczne pragnienia i czerpał z wszystkiego, czym żyli.

Stwórcy sfrunął ku niej i zachichotał.

– Wygrałem – szepnął, popychając ją ku wyjściu. – Mogłaś się tego spodziewać.

Arit nie potrafiła zapomnieć o słowach Zaihab ani o widoku oparzenia na jej ręce. Ale rozmowa z hierodulą skłoniła ją do myślenia o czymś innym niż plany bóstw. Dała szlachciance nadzieję.

Być może Arit nie miała już ogniska, lecz nie oznaczało to, że zapomniała o licznych siostrach i braciach. Nawet jeżeli ich nie odwiedzała, regularnie gościli w jej myślach. Najczęściej Meire, jej najdroższy brat. Też mieszkał w Sahit. Powtarzała sobie, że jest zbyt zajęty, by go widywać, choć w chwilach odwagi przyznawała sama przed sobą, że go unika.

Zdawała sobie sprawę że teraz potrzebuje starszej siostry jak nigdy, lecz wiedząc, co go czeka, nie potrafiła się zmusić do rozmowy. Podczas gdy jej rodzice pociągnęli za wszystkie sznurki, starając się, by była bezpieczna w anaktorionie, rodzice Meire chcieli, by trafił do armii – w ten sposób miał spełnić obowiązek wobec ogniska i miasta. Cichy, łagodny Meire uczący się na

astronoma. Arit zamieniłaby się z nim miejscami bez mrugnięcia okiem, tymczasem mogła tylko bezsilnie odliczać, ile zostało chłopcu do wieku poborowego, i nerwowo wyczekiwać planowanych ruchów wojsk.

A mimo to musiała go ostrzec. Mogła zbywać hierodulę – co nie znaczyło, że jej nie uwierzyła. Bóstwa mogły krzywdzić swoich wyznawców. Mogły też działać przeciwko sobie. To miała być dziwna potyczka, podobna tylko do tej wojny sprzed lat, okupionej potwornym poświęceniem.

Wieczorem Arit zakradła się do szkoły, w której Meire odbywał termin. Korytarze i sale były puste, jedyną osobą obecną w budynku był jej brat: pracował w głównej sali, szkicując coś na tablicy. Obserwowała go przez chwilę. Po kilku minutach cofnął się, by obejrzyć wyrysowany przez siebie schemat.

Skryta w cieniu wejścia, Arit patrzyła, jak chłopak nanosi poprawki. Wydawał się spokojny, lecz wiedziała, że próbuje dokończyć swój termin w niemożliwym tempie. Starał się sprawić, by anaktorion uznał go za zbyt cennego, by posłać go na front. Był błyskotliwym matematykiem. Ale miał niecałe szesnaście lat i brakowało mu doświadczenia.

Przycisnęła dłoń do bolącego serca. Tak bardzo chciała go uratować. Nawet jeśli miałyby to oznaczać wystąpienie przeciwko Sahit. Próbowała się przekonać, że – jeśli nikt się nie dowie – nie będzie w tym nic złego. Jakby niewiedza anaksa mogła zmazać jej winę.

– Meire – szepnęła, podchodząc bliżej.

Chłopak podskoczył.

– Co tu robisz?

– Musimy porozmawiać.

– Czegoś ode mnie chcą w anaktorionie? – Chłopiec spłoszył się.

– Nie. Ale to ważniejsze. Czy tu jest bezpiecznie?

– Tu nie. – Otrzeptał dłonie z kredowego pyłu. – Chodź.

Zaprowadził ją na dach szkoły. Przycupnęli w wąskim pasie cienia, mrużąc oczy przed oślepiającym blaskiem. Meire wytarł rękawem spoconą twarz.

– O czym chciałaś mi powiedzieć?

Arit ćwiczyła w myślach przemowę, lecz teraz słowa ją zawiodły. Gdy zamierzała zdradzić tajemnicę miasta, czuła się odsłonięta i bezbronna. Schowała ręce za plecami, próbując ukryć drżenie.

– Hierodula powiedziała mi o czymś, co może zagrozić Saahit. Możemy spodziewać się powodzi. Pomyślałam, że... gdybyś wyliczył nadchodzące przypiływy... gdybym pokazała twoje obliczenia w anaktorionie...

Meire powoli pokiwał głową.

– Byłbym im potrzebny.

– Byłbyś bohaterem. Wizjonerem, który uratował miasto.

Zaśmiał się krótko, gorzko.

– I wolałaś powiedzieć o tym mnie niż dłoniom anaksa?

Arit poczuła, jak gorąco uderza jej do głowy.

– Miastu nic się nie stanie, jeśli zdołasz to policzyć. Na czas wzmocnimy falochrony.

Brat przyglądał jej się z nieodgadnionym błyskiem w oczach.

– To zdrada, Arit.

– Wiem. – Przycisnęła palce do skroni. Co więcej miała mu powiedzieć? Że całe to miasto zbudowano na kłamstwie? Czy że stare prawa już nie działają, więc i ona nie zamierza być im posłuszna?

Meire niespodziewanie otoczył ją ramieniem.

– Możliwie, że to najlepsze, co mogę zrobić. Nie wiem, które prawa mnie wiążą – wykrztusiła. – Czy mówienie ci tego jest zdradą, czy było nią... coś innego? – Powstrzymała się w ostatniej chwili. Miała na końcu języka: „Moja pomoc w uwięzieniu hieroduli”.

– Nie mów mi więcej – powiedział szybko, przestraszony. – I tak usłyszałem już zbyt wiele.

Popatrzyła na brata bez zrozumienia.

– Nie wykonasz tych obliczeń?

Pobladł.

– Nie. Ale ty poinformujesz anaktorion o zagrożeniu.

Schwyciła go za dłonie.

– Nawet jeśli przez to przepadnie twoja szansa na ucieczkę?

– Nawet. Zrób to, co do ciebie należy.

Arit wypuściła ręce Meire. Miała wrażenie, że się zapada. Nie rozumiała strachu brata, ale Meire zawsze bał się wszystkiego. Dlatego próbowała go uratować. Nawet gdy bał się tej pomocy.

W milczeniu zeszli z dachu. Arit w myślach powtarzała ostatnie słowa brata. Wiedziała, wobec kogo nie była uczciwa. Wiedziała też, co powinna teraz zrobić.

Miesiąc sierpów, czwarta pentada, dzień pierwszy

Osun rzadko odwiedzał świątynię Niegasnącego, lecz dziś potrzebował kontemplacyjnego spokoju tego miejsca. Miał poczucie, że w całym Sahit tylko tutaj nie sięga wzrok stwórcy. W pobliżu świątyni nigdy nie widywano skrzydlatych towarzyszy bóstwa. Wewnątrz panował przyjemny chłód. Osun siedział na podłodze w modlitewnej pozie, lecz się nie modlił. Wpatrywał się w późnowiosenne słońce prześwitujące przez bursztynowe inkrustacje w ołtarzu i próbował uspokoić myśli.

Niegasnące mogło osłaniać go przed niezliczonymi oczami Vesui, ale w bezlitosnym słonecznym blasku Osun musiał sam zmierzyć się ze swoim sumieniem.

W drzwiach świątyni rozległ się szelest zdejmowanych pantofli. Avile pochylił głowę przed ołtarzem i usiadł obok Osuna, kładąc ręce na ziemi. Kasser nie spojrzał na niego; nie musiał, by wiedzieć, że to właśnie isbet. Wystarczył błysk pierścieni na palcach.

– Rozmawiałem z anaksem – powiedział cicho Osun.

Ze swoim obecnym ojcem. Który odsunął się od dworu tak bardzo, że dolne Sahit plotkowało o jego śmierci. Osun z pokorą znosił pomówienia tych, którzy widzieli w nim zdrajcę; nie brakowało głosów, że jest nikczemnym synem, który przejął faktyczną władzę razem z isbetem. Słuchanie plotek było lepsze niż wyjawienie prawdy.

– O czym? – Avile zerknął na niego kątem oka.

Kasser wykonał ręką gest, który niczego nie wyjaśniał.

– To się robi coraz trudniejsze – powiedział zamiast tego, wciąż wpatrując się w ołtarz.

Avile siedział obok, jakby wcale go nie słuchając.

– To się stało zbyt trudne w momencie, gdy postanowiłeś uwięzić niewinnego człowieka – odparł.

– Nie mogliśmy... nie mogliśmy zrobić tego inaczej. Nie mogliśmy po prostu zaatakować Taarut. To dopiero byłoby przekroczeniem moich kompetencji.

– Ale niczego by nie zmieniło – powiedział Avile, wciąż cicho, lecz z zaskakującą siłą w głosie. – Uwięziłeś go tylko po to, by poczuć się lepiej. By móc sobie powiedzieć, że spróbowałeś wszystkich możliwych dróg wyjścia, ale żadna nie okazała się skuteczna. A może naprawdę liczyłeś, że twój więzień wszystko zmieni?

– Chciałem, żeby zmienił.

– Lecz nie chciałeś tego na tyle mocno, by dać Taarut szansę – zauważył Avile. – Ja również nie – dodał.

Osun wreszcie popatrzył na towarzysza, choć był pewien, że błysk w jego oku zdradzi rozsadzającą go wściekłość.

Avile zmusił się do uśmiechu.

– Już i tak jesteśmy za daleko – dodał. – Choćbym chciał, nie wybrnę z tego. Nie mamy wyjścia, jak tylko iść dalej.

– Czy kiedykolwiek je mieliśmy? – rzucił Osun, ponownie opuszczając głowę.

Wydawało im się, że świątynia jest jedynym bezpiecznym miejscem. Że w blasku ognia Niegasnącego znajdą jeśli nie wybaczenie, którego i tak nie szukali, to przynajmniej spokój.

– Dawno temu być może – parsknął Avile, lecz szybko spoważniał. – Co stanie się z tym człowiekiem?

Odpowiedziała mu cisza.

– Nie możesz go trzymać w więzieniu w nieskończoność.

Wciąż cisza.

– Ale boisz się, że jeśli polecisz go stracić, to nie będzie już odwrotu, prawda? Więc dajesz sobie i jemu iluzję szansy. Nadzieję, że pojawi się jakieś wyjście.

Kasser zacisnął wargi.

Avile mówił dalej.

– Kilka pentad temu powiedziałeś mi, że kiedyś sądziłeś, że oddajemy bóstwom dzieci, w których krew Rasenów jest zbyt silna. Że być może w ten sposób bronimy siebie przed ich uwagą. Cóż, niewykluczone, że miałeś rację. Ale czy nie jest tak zawsze? Lepiej, by było to dziecko sąsiadów niż moje. Lepiej ktoś inny niż ja. Lepiej Taarut niż Sahit. To ten sam układ, Osun. Zawieramy go raz za razem.

– Nie podoba mi się, że czynisz z przetrwania cyniczną grę. – Osun potarł oczy. – To nie jest tak, że zawsze wybieramy innych, nie siebie.

– Ale to właśnie zrobiliśmy. – Avile oparł mu dłoń na ramieniu, podnosząc się z miejsca. – Już dawno temu. Ja przynajmniej wiem, dlaczego robię to, co robię – dodał, patrząc przed siebie smutnymi, szklanymi oczami. – A ty?

Osun odtrącił rękę isbeta.

– Ile czasu zostało jeszcze mojemu ojcu?

– Nie mam pojęcia. – Avile spuścił wzrok. – Czy zastanawiałeś się... co będzie, jeśli w Taarut nie znajdziesz lekarstwa? Co wtedy, Osun? – powtórzył, gdy jego pytanie nie spotkało się z reakcją. – Pomogłem ci wcielić w życie całą tę maskaradę z magami, ale nie uda nam się utrzymać jej w nieskończoność. Musisz o tym wiedzieć.

Kasser przycisnął dłonie do podłogi.

– Nie wiesz? Czy to się dla ciebie nie liczy? Jest tylko Sahit i poświęcenie? – Avile parsknął cicho.

– Jeśli to spadnie na kogoś, to na mnie, nie na ognisko – odparł spokojnie Osun. – I nie na ciebie.

– Weźmiesz winę na siebie?

– Wezmę odpowiedzialność za swoje decyzje.

Isbet długo milczał.

– Dobrze cię wychowało to miasto – powiedział wreszcie. – Zbyt dobrze.

Nie potrafiła zapomnieć słów Meire.

Była uczciwa. To, że nie śpieszyła z wyjaśnieniami, o które hierodula nie pytała, nie było jeszcze tożsame z kłamstwem. Zaihab też nie mówiła jej o wszystkim. Arit ją lubiła, choć czasem zastanawiała się, na ile świadomie hierodula kształtuje tę sympatię.

Jeśli robiła to celowo, to Arit po prostu wpadła w pułapkę. Bo nie mogła tak po prostu zaakceptować piętna, jakie odciskało na Zaihab towarzystwo Vesui. Niechęć to wyjaśnienia, skąd wzięło się oparzenie na jej ręce, przelało czarę goryczy, ale Arit dostrzegła zmiany już wcześniej – szary odcień skóry, zapadające się policzki, zmatowiałe włosy. Zaihab mogła odżywiać się dobrze jak nigdy wcześniej, ale gniazdo zdawało się spijać jej życie.

Arit nie wiedziała, czy wyglądało to tak samo w przypadku wszystkich hieroduli.

Chciała wierzyć, że nie.

Tym zdawało się jednak dla Zaihab i choć niewykluczone, że cała sympatia hieroduli stanowiła element gry, to z pewnością nie była nim ta jedna prośba. Jej wypowiedzeniu towarzyszyły strach i bezbronność tak wielkie, że Arit wstydziła się wówczas patrzeć na swą podopieczną. Zaihab naprawdę chciała uciec. Nie pragnęła niczego innego.

Powinna więc wiedzieć, dlaczego nie może liczyć na Arit.

Arystokratka popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Jej ciemne włosy zostały rozprostowane i upięte wokół głowy. Grzebień, który je przytrzymał, przypominał raczej kunsztowną broń niż ozdobę. Na miękką suknię z rozszerzającymi się rękawami Arit założyła ciemny kaftan, sztywny od haftów. To była jej zbroja. Bezskuteczna wobec dręczącego ją wstydu.

Podjęła już jednak decyzję. Wyszła z apartamentów i ruszyła ku iglicy, starając się nie myśleć o tym, co zaraz powie hieroduli.

Zaihab siedziała przy skraju gniazda, w swoim ulubionym punkcie. Na ten widok żołądek podszedł Arit do gardła; zawsze jej się wydawało, że hierodula przebywa zbyt blisko urwiska, że wystarczy jeden nieostrożny ruch, by spadła. I że może tego właśnie chcieć.

– Arit? – Uśmiechnęła się na jej widok.

– To ja. Musimy porozmawiać. – Arit postanowiła nie zostawiać sobie żadnych dróg ucieczki. Splotła dłonie. – Jestem... chciałam ci o czymś powiedzieć.

„Jestem ci winna przeprosiny” – wciąż nie mogło przejść przez jej gardło. Nie miała za co przeproszać.

Lecz zaraz przypomniała sobie, że ma przed sobą nie arystokratkę z Sahit, ale dziewczynę znikąd, która została wciągnięta w obcą dla niej intrygę. Owszem,

Zaihab była dziwaczna, Arit nie ufała jej, ale gdy zrozumiała, jak lekko wystawiła przyszlą hierodulę na śmierć z rąk Vesui...

Wtedy nie myślała o tym w ten sposób. Nie wiedziała, czy potrafiłaby zaakceptować odpowiedzialność za śmierć Zaihab.

Ale Zaihab żyła i teraz Arit była odpowiedzialna za jej życie.

– Słucham cię – powiedziała hierodula. Ktoś zaplótł jej kręcone włosy w przylegające do głowy warkoczyki, ozdobił ich końcówki złotymi koralikami. W długiej brązowej sukni z rękawami zebranymi w nadgarstkach Zaihab wyglądała jednocześnie dostojnie i smutno.

Arit zaschło w gardle.

– Pewnie tego nie pamiętasz – powiedziała cicho – ale spotkałyśmy się, zanim... zanim przedstawiono mnie tobie w pałacu.

Zaihab zmarszczyła brwi.

– Nigdy wcześniej nie byłam w Sahit.

– Ani ja nie byłam poza Sahit i Alawi – przyznała Arit. – Ale... pamiętasz to zajście na targu?

Twarz hieroduli nie wyrażała niczego.

– Walący się dom – podpowiedziała Arit.

Z przerażeniem patrzyła, jak obojętność ustępuje miejsca strachowi i złości.

– Ta dziewczyna, która próbowała mnie wyprowadzić – szepnęła Zaihab. – To byłaś ty?

– Ja – potwierdziła Arit. Wydawało jej się, że skała zaraz ugnie się pod jej stopami i ją pochłonie.

Strach, złość, rozczarowanie. W obliczu hieroduli coś się zmieniło, gdy dotarło do niej, komu zawdzięcza swoje uwięzienie.

– Zrozumiem, jeśli zechcesz, żebym opuściła to miejsce... – powiedziała Arit. Nigdy tak do nikogo nie mówiła. Nie korzyła się przed ludźmi.

Ale hierodula nie odesłała jej, siedziała dalej z tym samym wyrazem twarzy zdradzającym... czyżby rozczarowanie? Byłoby łatwiej, gdyby znienawidziła Arit. Ale tak się nie stało. Arit więc mówiła dalej.

– Kiedy cię zobaczyłam, przepełniała mnie nadzieja... i przerażenie, wiesz, bóstwa są tak obce... Mimo to pomyślałam, że w końcu nasze miasto zazna trochę szczęścia. Że możesz nam pomóc. Nie chciałam tego zachowywać dla siebie. Teraz bardzo potrzebujemy tej nadziei.

Zaihab znów zmarszczyła brwi.

– Wiem, że tego nie rozumiesz. – Arit potrząsnęła głową. – Nie umiem ci tego przekazać, nie wiem nawet, czy teraz postąpiłabym tak samo. Ale wtedy... to było silne. Musiałam coś zrobić. Poszłam więc do pałacu i...

– Co zrobiłaś? – przerwała jej ostro Zaihab, jakby wyrwana z transu.

– Poprosiłam o rozmowę z lewą i prawą dłonią anaksa...

Urwała, widząc, jak twarz Zaihab nabiera niezdrowej, popielatej barwy. Wargi hieroduli wykrzywiły się w bezsilnej złości. Jej drżąca dłoń zacisnęła się na skraju sukni.

– Przepraszam – jęknęła cicho Arit. – Gdybym wiedziała, że znajdziesz się tak blisko śmierci... że...

Z jej oczu nie popłynęły łzy, a szloch uwiązał jej w gardle. Wciąż była arystokratką z Sahit. Nie wolno jej było płakać. Nawet teraz.

– Zostaw mnie samą – powiedziała Zaihab.

– Ale...

– Proszę – dodała, pochylając głowę. Już nie czuła wściekłości. To, czego Arit była świadkiem, zdawało się w jakiś sposób gorsze.

– Jak sobie życzysz. – Arystokratka ukłoniła się i wyszła.

Zaihab odczekała chwilę, po czym zaczęła tłuc pięściami w ziemię i krzyczeć.

Nie obchodziło jej, że całe gniazdo ją słyszy; musiała wyrzucić z siebie tę gorycz, gdyż w przeciwnym razie utonąłaby w niej, udławiła się żalem i wściekłością.

Avile. Łagodny, wyrozumiały Avile sur Irsa, który zapewniał ją, że zrobił, co w jego mocy, by ocalić ją i jej rodziców. Że o niczym nie wiedział. Uspokajał ją w pałacowych komnatach. Avile, którego próbowała chronić przed Vesui, choć wiedziała, że nie powinna. Ale chciała mu pomóc. Wydawał się dobrym człowiekiem.

Od początku był za to odpowiedzialny. Sprzedał ją, by kupić spokój w mieście. To Zaihab zrozumiała z wypowiedzi Arit – lęk i tęsknotę tego dziwnego miasta, które swoją siłę traktowało jak z trudem zdobyty dar, wymagający nieustannej ochrony. Pomysł, by anaksowi doradzał mag, był absolutnym szaleństwem. Lecz skoro Avile wspiał się tak wysoko, mógł zrobić wszystko: inscenizować wojny i oddawać dzieci przyjaciół bogom.

Avile. To przez niego była uwięziona w skalnej iglicy, zdana na kapryśne bóstwo. Do niedawna uważała go za ostatnią osobę w Sahit, na którą może liczyć. Już nie. Teraz była zdana tylko na siebie. Przeciwno sobie miała zaś całe miasto i jego opiekuna, dziwną, pozbawioną wieku istotę o okrutnym poczuciu humoru.

Zaihab znów zaczęła krzyczeć; skrzydlate jej wtórowały, jakby w jej krzyku rozpoznały swój własny ból. Próbowała wykrzyczeć swój gniew, ale to nie wystarczało. Zdrada Avile tkwiła w niej jak kolec, drażniący ranę przy każdej

próbie poruszenia się. Musiała go wyrwać. W tym momencie byłaby skłonna zrobić wszystko, byle tylko choć trochę ukoić ten ból, wyładować wściekłość.

Wyznanie Arit nie zabolalo jej aż tak. Arystokratka nie kryła swojego przywiązania do Sahit; z punktu widzenia Zaihab, była przesiąknięta tą osobliwą tresurą, której tutejsza szlachta poddawała swoje dzieci. Arit żyła według narzuconego jej scenariusza, dumna, że może służyć miastu. W pewien sposób Zaihab jej współczuła. Ale Avile nie potrafiła wybaczyć.

Vesui nie powiedział jej o tym. Dlaczego?

To proste. Nie uwierzyłaby mu. Uznałaby, że znów próbuje ją oszukać. Ale Arit...

Arit nie mogła wiedzieć. Nie kłamała.

Zaihab opadła na krzesło bez sił. Zdarte knykcie piekły; czuła w dłoniach pulsowanie krwi. Ściany wokół niej szeptały, ale przycisnęła ręce do uszu, próbując zagłuszyć ich głos. Była sama. Musiała o tym teraz pamiętać. Potrzebowała nowego planu, skoro wiedziała już, że Avile jej nie pomoże.

Ból w jej dłoniach osłabł na tyle, by odzyskała jasność myślenia. I nagle była pewna, co powinna zrobić. Rozwiązanie miała cały czas na wyciągnięcie ręki. Avile jeszcze mógł jej pomóc. Musiała tylko uciszyć tę drżącą, wrażliwą strunę w swoim sercu – i zamarznąć. Jeszcze trochę.

Szelest piór. Wycie wichru oplątanego wokół kamiennych kolumn i ostrych iglic. Skrzydlate rzuciły się ku miastu, popychane przez prądy powietrza.

W dół, w dół, w dół. Stado łykało powietrze, spadając na Sahit.

Miasto było pogrążone we śnie. Ponad wiatrem i szumem fal niósł się inny odgłos, na który mieszkańcy tych okolic byli głusi: łagodne, leniwe echo tysięcy serc. Nieuchwytny dla ludzkiego ucha szmer krwi. Nie niósł za sobą poza obietnicą smakowitego posiłku; ale ten będzie musiał poczekać.

Jeden ton wyłamywał się z jednostajnego dźwięku. Stado kołowało w poszukiwaniu dysonansu, lecz jego źródło pozostawało w ukryciu. Człowiek ten był tu, na pewno tu był – jego nieposłuszne serce tłuło się o żebra w swoim własnym, zdradzieckim rytmie. Ale skrzydlate nie mogły go znaleźć. Nie spał w niczyim domu. Nie chował się w zaułkach. W ogóle się nie chował – mógłby kroczyć tuż przed nimi, a one nie zdołałyby wychwycić nic poza jego ciężkim krokiem i tym przekłętym echem. Stado krzyknęło wściekle. Jego złość zwarzyła chmury.

Niżej, między domy. Czy nie wystarczyłoby się pozbyć reszty i poczekać na tego, który zostanie? Skrzydlate zatrzymały się w szaleńczym locie, jakby czyjaś

ręka szarpnęła za niewidoczne lejce. Nakaz zelżał i stado wznowiło lot. Spokojnie, szeptał wiatr dziecięcym głosem bóstwa. Znajdziemy go. Bóstwu też na tym zależało. Przełknęło ślinę. W nawoływaniu stada odezwał się głód.

Jeszcze trochę.

Stado nie wiedziało, co zrobił tamten, lecz nagle kierunek stał się oczywisty: ku wyższym partiom miasta, ku pałacowi, krużgankom. Nieposłuszne serce zagłuszało wszystko inne, powinno było obudzić mieszkańców, ale ci wciąż spali. Stado krzyczało, przecinając powietrze. Gorąco obcej krwi przesycalo powietrze, gorąco i słodki, słodki zapach krwi. Bóstwo zamarło w oczekiwaniu, z rozchylonymi wargami, zamknięte w swoim więzieniu – i obecne w każdym ptasim ciele, wyciągające niezliczone szpony ku sercu.

Zaihab obudziła się, czując na języku posmak krwi.

Przechyliła się przez krawędź łóżka, walcząc z nudnościami. Gęsta, gorzka ślina zalepiła jej usta i krztusząc się, Zaihab wypluła ją na podłogę. Żółć piekła ją w gardle.

Wciąż śniła.

Wstawszy, rozgoniła skrzydlate ucztujące na dziedzińcu i stanęła przed Vesui. Stworzyciel podniósł się ze swojego miejsca. Był... głodny. Nie tak jak ona – jego głodu nie dało się bowiem nasycić. Bała się go teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Przeszło ci już? – zapytał.

Zacisnęła wargi.

– Nie bądź taka. Tu są ciastka, chodź.

Powstrzymała odruch kopnięcia w stojące wokół naczynia. Nie powinna zniżać się do jego poziomu.

Nie paktuj ze stworzycielami. Cokolwiek by oferowali, nie przysięgaj na swoją krew.

Ale musiała wiedzieć. Musiała zrozumieć. Wiedza zaś była droga, szczególnie taka wiedza.

– Słowa cenniejsze niż czyjeś życie, naprawdę? – W jej myślach rozległ się głos stworzyciela.

„On mnie wydał. Kupił spokój tego miasta za moją duszę; to przez niego zostałam tutaj uwięziona i nigdy nie spotkam znów mojej rodziny. Mógł twierdzić, że to jedyne, co mu pozostało, ale nie zapytał nas o zgodę. Pozbawił mnie woli. Dlaczego nie miałabym zrobić tego samego?”

– Puste nieba, mogłabyś występować na scenie. Zdecyduj się wreszcie: chodzi ci o informację czy chcesz się tylko odegrać?

Uśmiechnęła się kwaśno.

– Czy jedno musi wykluczać drugie?

– Ach, a to wciąż nie wszystko, prawda? Co jeszcze przyszło ci do głowy, Zaihab? W czym mogę ci pomóc?

„Nie słuchaj tego głosu – nakazała sobie. – Zamarznij”.

Stworzyciel parsknął śmiechem. Zabębnił niecierpliwie palcami.

– Powiedz mi, dlaczego znalazłam się między tobą a Opiekunką, a przyprowadzę ci Avile.

Skupiła się na wspomnieniu chwili, gdy Arit zostawiła ją samą. Przypomniła sobie gniew i żal; chciała, by stworzyciel – jeśli próbował teraz zajrzeć w jej umysł – poczuł smak jej furii. By jej zaufała. Jeśli zamierzał się karmić jej emocjami, mógł teraz ucztować do woli; byleby nie sięgnął do pełnego napięcia oczekiwania, które próbowała schować w sercu.

W ciszy słyhać było tylko szelest piór zniecierpliwionych skrzydlatych.

– Na pewno tego chcesz? – zapytał wreszcie Vesui.

Przykucnął przed Zaihab.

Dziewczyna oddychała płytko. Gdy przyszło do konkretów, pomysł paktowania z bóstwem nie wydawał jej się już tak dobry. Nie wiedziała, jak zwabić Avile do gniazda, jednak poza życiem isbeta nie było niczego, czym Zaihab mogłaby handlować ze stworzycielem. Vesui obnażył swoją słabość. Musiała to wykorzystać.

Zaczęła trząść się ze strachu.

– Tak.

Bóstwo zamruczało z zadowoleniem.

– Ale wiesz, że tym razem nie pozwolę ci się tak łatwo wykpić? Musisz przysiąc.

Skrzywiła się. Miała nadzieję, że stworzyciel zapomni, że nie może zrobić jej krzywdy.

Nie bezpośrednio. Bo przecież gdyby chciał, miał dość narzędzi, by zadać jej ból lub wpędzić ją w szaleństwo. Na razie potrzebował jej zdrowej i świadomej. Na razie.

– Przysiąc?

– Na swoje życie – mrucał stworzyciel, smakując każde słowo. – Oddasz mi je dobrowolnie, jeśli nie zdołasz sprowadzić tu Avile.

– A ty? Co się stanie z tobą, jeśli złamiesz dane mi słowo?

Zawahał się.

– To samo – odpowiedziała za niego. Odszukała jego dłoń i mocno ją schwyciła. – Chcę w zamian tego samego. Jeśli spróbujesz mnie oszukać, twoje wieczne życie będzie należało do mnie.

Vesui nie uwolnił ręki.

– W przeciwnym razie możesz zapomnieć o umowie – ciągnęła, próbując nie myśleć, że wciąż trzęsie się z przerażenia. – Jeśli którekolwiek z nas będzie mogło wykić się niższą stawką... jak możemy sobie zaufać?

Stworzyciel zacisnął cienkie, dziecięce palce na nadgarstku Zaihab.

– Masz rację – powiedział.

– ...mam? – zapytała zaskoczona jego uległością.

– Czy muszę wszystko powtarzać? Masz rację!

– W-więc zgodzisz się na to?

Zaihab szczękała zębami. Wszystko w niej burzyło się na sam ten pomysł – na zwiążanie swojego życia ze stworzycielem, na obiecywanie mu Avile. Nie była morderczynią. Nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek odbierze komuś życie, nawet osobie, która rozbiła jej rodzinę. Komuś, kto tak lekko przehandlował jej istnienie.

Pamiętała, dlaczego chce to zrobić, ale i tak nie mogła się do tego zmusić.

Z wysiłkiem przypomniała sobie obłudny, zatroskany ton Avile, gdy isbet zapewniał ją, że zrobił wszystko, co mógł, by ją uratować.

Tylko ona sama mogła się uratować. A skoro tak, nie było takiej decyzji, przed podjęciem której by się zawahała. Nieważne, ile miało ją to kosztować.

„Zamarznij” – powtarzała sobie, kuląc się ze strachu.

– Zgodzę się – powiedział powoli Vesui. – Ty zobowiąziesz się przyprowadzić tu Avile sur Irsa, isbeta Sahit, maga Rasenny.

– A ty zobowiąziesz się wyjaśnić mi, w jaki sposób jestem związana z Opiekunką Taarut. Powiesz mi tylko prawdę. Całą prawdę.

– Ty zaś nie ostrzeżesz isbeta. Ma tu przyjść z własnej woli.

– Nie możesz mnie okłamać.

– Nie możesz mnie zawieść.

Trzymali się za ręce: drobne, dziecięce dłonie Vesui w dłoniach Zaihab.

– Przysięgasz? – zapytał bez tchu.

Miała ochotę wrzeszczeć. Tętno rozsadzało jej czaszkę.

– Przysięgam.

Vesui westchnął cicho i palcem wskazującym dotknął wnętrza lewej dłoni Zaihab.

– Przysięgam – powtórzył.

Jego dotyk parzył. Hierodula odegnała odruch zamknięcia pięści. Przytrzymała dłoń Vesui i powtórzyła jego gest. Skóra stworzyciela pod jej dotykiem napięła się i stwardniała, zostawiając piętno.

„Nie jestem morderczynią – powtarzała sobie Zaihab, przesuwając opuszkami po śladzie. – Mam tylko zwabić tu Avile. Nie jestem morderczynią”.

– Myśl sobie, co chcesz, hierodulo – szepnął Vesui. – Ale to ty sprzedałaś mi jego życie.

Zaihab się wzdrygnęła. Poczucie upiornego chłodu nie ustępowało.

– A teraz – powiedział – pozwól, że wywiążę się z mojej części umowy.

Niektórym ludziom nie wystarcza ich własny wzrok – chcą sięgnąć dalej i spojrzeć poprzez najstarszą parę oczu, księżycy Niegasnącego. O dwójce takich ludzi będzie ta historia.

Nie wątpię, że kochali siebie nawzajem, choć chyba jeszcze bardziej kochali pragnienie wiedzy, które w sobie odnaleźli. Uwierzyli, że razem mogą poznać nie tylko to, co widzieli w świetle dnia, ale i język bóstw.

Postawili przed sobą nie lada wyzwanie. Na długo przed ich narodzeniem zatarto wszystkie ślady tego języka, by niczyj głos nie mógł wypowiedzieć słów, które zmienią świat. Uciszono pieśniarzy, którzy odważyli się śpiewać o cudach. Pamięć czasów, w których bóstwa chodziły wśród ludzi, zamieniono w przestrogi dla dzieci. Nikt nie chciał mówić o złotych stuleciach, gdy sam dotyk boskiej stopy budził w ziemi życie.

To jednak nie powstrzymało tej dwójki. Trzeba im przyznać: nie ustawali w poszukiwaniach. Odnajdywali okruchy wspomnień – w potrzaskanych rzeźbach, symbolach wyrytych na przydrożnych kamieniach, porzuconych kaplicach. Nie zniechęcała ich żmudność tego przedsięwzięcia. Gdyby ktokolwiek dowiedział się o ich poczynaniach, niechybnie by ich ukarano za przypominanie tego, co miało zostać przemilczane. Ale bohaterowie tej historii byli zbyt sprytni, by dać się złapać. Tak przynajmniej myśleli.

Zgoda – potrafili ukryć się przed innymi ludźmi. Ale nigdy nie powinni byli uwierzyć, że mogą przechytrzyć bogów. W miarę jednak, gdy rosła ich wiedza, rósł też apetyt. Jak nazwiesz przeświadczenie, że dobije się targu z istotami pamiętającymi narodziny – i śmierć – świata? Pychą?

Ja nazwę je świętokradztwem. Bo czymże innym jest język bóstw w ludzkich ustach?

Nie wierzysz mi, prawda? Trudno ci się dziwić. Lecz oni z pełną powagą postanowili paktować z bóstwem. Znaleźli nawet istotę, którą ujęły ich starania.

Wyobrażam sobie, jak pochyliła się nad nimi, rozczulona i rozbawiona tą nową grą.

– Nasze tajemnice nie są tanie – zastrzegła. – Zaś najlepsze cuda wymagają poświęcenia.

Nie wahali się długo.

Zastanawiam się, czy wiedzieli już wtedy, że będą mieli dziecko.

Myślę, że tak.

W przeciwnym razie nie spędziliby następnych miesięcy, wykorzystując okruchy cudów, by je ochronić. Nie zakopywaliby amuletów pod progami domu, nie powtarzaliby słów w obcym języku. Im bliżej było wywiązania się z umowy, tym bardziej byli przerażeni.

I zawstydzeni. Tylko dlatego nie próbowali uciec z miasta – by nie zdradzić, że się tego spodziewali.

Jak już mówiłem, potrafili oszukiwać ludzi, nawet tych najbliższych. Oszukiwali także samych siebie, powtarzając, że eksperymenty z magią nie mogły wpłynąć na zdrowie nienarodzonego dziecka. Myśleli, że są bezpieczni, ukryci za wysypanym wokół domu kręgiem z ziemi jałowej. Stworzycielka nie mogła nic im zrobić. Ale mogła ich ukarać, odbierając im córkę. Na jej sercu, tam, gdzie bogini dotknęła dziewczynki, został wypalony ślad.

– Kłamiesz – powiedziała Zaihab.

Gdy Vesui mówił, siedziała nieruchomo, jakby najdrobniejszy ruch mógł sprawić, że przerwie opowieść. Teraz nawet gdyby chciała, nie byłaby w stanie unieść rąk. Straciła czucie w zdrętwiałych stopach. Jej ciało było zimne, jakby na nowo wypełnił je nieludzki chłód jałowych ziem.

Stworzyciel zaszeleścił piórami.

– Nie mogłem cię okłamać. Sama mi zabroniłaś. Mogłaś przewidzieć, że to, co usłyszysz, ci się nie spodoba.

Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Jej gardło zacisnęło się boleśnie.

– Nie mogłem cię okłamać – powtórzył Vesui.

Tym razem w jego tonie zabrzmiało coś innego: płaczliwa, niemal błagalna nuta. Nie do pomyslenia, ale stworzyciel... chciał, by mu uwierzyła. Nie robił tego z wyrachowania. Zaihab odrzuciła tę teorię. Vesui, jak dziecko, nie potrafił grać w długie, zawile gry.

Ale druga możliwość była skrajnie nieprawdopodobna. Zaihab nie mogła sobie wyobrazić, dlaczego miałyby mu zależeć na jej zaufaniu. Chyba że...

Chyba że w jakiś niezrozumiały sposób zdołał się do niej przywiązać. Wiedziała o nim już tak wiele – opowiadał jej o sobie, odsłaniał się przed nią. Być może stała mu się na przekór wszystkim bliska.

– Zastanów się, Zaihab. – Nachylił się ku niej. – Co się w tej historii nie zgadza?

– Zgadza się wszystko. To, co mi powiedziałaś, jest zbyt odpowiednie. Zbyt wygodne. Nie mogę znaleźć żadnego dysonansu.

Odetchnął głęboko. W jego powolnym, świszczącym oddechu Zaihab odczuła nagle ciężar stuleci. Miriady obrazów. Chóry głosów. Nawet umysł stwórcy musiał mieć jakieś granice. Skarciła się w duchu za tę myśl. Nie powinna mu współczuć; on na jej miejscu już zastanawiałby się, jak wykorzystać taką chwilę słabości.

Ale w jego samotności był tragizm, którego nie umiała zignorować. Nie teraz, gdy zdała sobie sprawę, że Vesui traktuje ją jak... towarzyszkę.

Co gorsza, Zaihab nie mogła oprzeć się wrażeniu, że już zawsze będzie współdzielić tę pustkę. Że nawet gdy się stąd wyrwie, nie będzie znała odpowiednich słów, by opisać, jak obcy jest świat z perspektywy gniazda. Wiedziała zbyt wiele.

– Byli gotowi mnie oddać – powiedziała cichym, bezbarwnym głosem.

– Tak – odparł miękko Vesui.

– Czy wiedzieli, co by się ze mną stało?

Tym razem musiała dłużej czekać na odpowiedź.

– Nie sądzę. – Stwórca poruszył się, rozpostarł skrzydła.

Westchnęła cicho. Zdrada Avile wzbudziła w niej wściekłość – ale teraz Zaihab nie miała siły, by zareagować. Jakby ziemia usuwała jej się spod nóg, grzebiąc wszystko, co dotychczas było znajome. Nie wyobrażała sobie, że cokolwiek zdoła ukończyć to... poczucie straty. Teraz naprawdę musiała się pożegnać ze swoim dotychczasowym życiem.

Z przekonaniem, że jest obciążeniem dla rodziców. Z bezsilnością, z przypisywaną sobie winą. Tymczasem to rodzice narazili jej zdrowie – eksperymentując z magią – i życie.

– Jacy ludzie oddają swoje dzieci bogom? – zapytała szeptem.

– Zdesperowani. Oszukani. Słabi – odpowiedział jej stwórca, nieskończenie stary i zmęczony. – Musisz pamiętać o jednym – dodał niespodziewanie. – Nie mogli cię ochronić, choć próbowali, gdy tylko dotarło do nich, co obiecali Opiekunce. Ale Opiekunka Taarut jest... – urwał, lecz nie dość wcześnie, by Zaihab nie poczuła gorąca jego gniewu.

Wrażenie znikło równie szybko, jak się pojawiło, ale nie miała wątpliwości: poczuła to.

– Zrobiła ci krzywdę.

Vesui roześmiał się głośnym, ostrym śmiechem. Zaihab niemal podskoczyła.

– A więc jednak dopuszczasz do siebie myśl, że możemy cierpieć? – zapytał.

– Co? Nie...

Powinna była przywyknąć do jego zmian nastroju. Tym razem wiedziała już, że swą wrogością Vesui próbuje zamaskować nienawiść wobec Opiekunki.

– Och, proszę – przerwał jej. – Najpierw niszczyć wszystko, co znaleźliśmy, a potem opowiadacie sobie mity o bezlitosnych bóstwach. Jedyne, co wam dobrze wychodzi, to bezczeszczenie naszej pamięci i odmawianie nam prawa do... Puste nieba, do wszystkiego.

Zaihab skrzyżowała ramiona, wcisnęła zgrabiące dłonie pod pachy.

– Nie pozostajecie nam dłużni.

Umilkli oboje. Skrzydlate na powrót otoczyły ich ciasnym kręgiem; pierzaste boki ocierały się o Zaihab, otulając ją, dzieląc się ciepłem. Życie tętniące w skrzydlatych musiało być skradzione – ich miękkość, ich temperatura zostały zabrane czemuś bądź komuś innemu. Nic nie powstanie z pustki. Jeśli stwórciel dokonuje cudu, sprawdź, kto na tym traci.

Za oszustwo rodziców zapłacała ona. Czy mogli to przewidzieć? Zapewne mogli. Wiedzieli dość, skoro tworzyli mapy jałowych ziem. Zamknięcie było ich pomysłem. Odwiedzili nawet ruiny bezimiennego kościanego miasta. Opisywali Zaihab budynki z popiołu, strach kładący się ciężarem na sercu i niepoohamowany impuls, by położyć się wśród gruzów i zostać tam na zawsze. Podobno nieszczęśnicy, który tam zabłądzili, nie potrafili już opuścić miasta. Więziło ich samo wspomnienie zagłodzonego bóstwa, echo jego obecności.

Musieli się zatem domyślać, że stwórciele nie pozostaną wobec tego obojętni. Musieli choć raz rozważyć konsekwencje. A mimo to uznali, że to sprawiedliwe rozwiązanie.

Zaihab zacisnęła powieki. Przypomniała sobie lata spędzone w podróży, ucieczki od osady do osady, wszystko w imieniu... czego? Dotychczas była przekonana, że ochrony przed duchami Rasenny. Teraz zastanawiała się, czy w opowieściach o nimrodach, w chorobliwym dążeniu do wiedzy kryło się cokolwiek więcej niż tylko fanatyczna nienawiść.

Znów się zapomniała.

„To nie rodzice cię oddali” – powiedziała sobie. Ostatecznie zrobiła to Opiekunka Taarut. Dlatego musisz być w stanie bez lęku i współczucia słuchać jęków umierających stwórcieli; dla tak zwanych bogów twoje życie ma wartość tylko wtedy, gdy mogą je sobie przywłaszczyć.

Zamarznij.

Poczuła się przeraźliwie zmęczona.

Vesui poświstywał cicho przez nos. Gdyby był człowiekiem, mogłaby pomyśleć, że drzemie. Czowała jednak na skórze jego pozornie nonszalancki, w istocie uważny wzrok.

– Nie powiedzieli ci o tym – dopowiedział sobie. – Ani o tym, że mogłaś zachorować od nieporadnej magii.

Dotknęła blizny na mostku. Poczucie pustki ustępowało. Na jego miejscu pojawiła się lodowata pewność: powiedział jej prawdę, nie mogła się dalej łudzić. Już tego nie zapomni. Ale wiedza była narzędziem. Nawet taka, która ścinała krew w żyłach i zamykała serce w bolesnym uścisku.

– Przykro mi to mówić, ale należysz do Opiekunki – kontynuował tonem, w którym żal mieszał się ze znużeniem. – Zostawiła na tobie ślad. Jesteś jej. Dlatego cię wypatrzyłem. To nie jest coś, co można zetrzeć.

– Ale nie jest też niczym, co by mnie do niej przykuło na zawsze. W końcu mnie tutaj uwieźliś.

Z jego gardła wydobył się pełen zadowolenia gulgot.

– Tak. Opiekunka nie potrzebuje twojego umysłu. Jesteś dla niej tylko workiem na życie. – Zaczął dusić ognisko dłońmi. Ten skromny cud odbił się echem w umyśle Zaihab: płomienie wysnuwane jak nici, oplątane wokół długich palców stwórcy i osypujące się na posadzkę drobnym popiołem.

– To wszystko? – zapytała, podnosząc się z klęczek. Mrowienie w stopach ustąpiło.

Vesui się zawahał.

– Z mojej strony tak. Teraz twoja kolej i twoja część umowy.

O której pamięć zdążyła od siebie odepchnąć. Obietnica, że wyda stwórcielowi Avile, wydawała się niczym więcej niż odległym, ponurym snem. Ale piętno w dłoni Zaihab nie zniknęło – i prawdopodobnie miało nigdy nie zniknąć.

Otrząsnęła się z półsnu. To nie mogło jej zastąpić prawdziwego odpoczynku. Zmęczenie zaczęło ją doganiać i wlewać ołów w myśli. A musiała myśleć szybko, znaleźć rozwiązanie, wymyślić, jak obrócić obietnicę na swoją korzyść.

Czuła na skórze pierwsze promienie porannego słońca, choć zimno w jej kościach nie chciało ustąpić. Skrzydlate rozpraszały się wokół i zniknęły w jaśniejącym niebie. Obecności stwórcy już nie czuła.

Musiała dotrzymać słowa. Ale Vesui nie powiedział nic o świadkach.

Zaihab przypomniała sobie kondotierkę, która włamała się do gniazda i mówiła do niej tak, jakby przejrzała ją na wylot. Która chwilę później kurczowo uczepiła się słów Vesui. Niech więc zobaczy, ile są one warte. Zaihab zacisnęła dłonie, rozpaczliwie próbując nie myśleć o Avile i mu nie współczuć. To wszak isbet nie zostawił jej innej drogi.

Wczesną zimą rzeka przecinająca pustynię zaciekle żłobiła brzegi koryta. Na jego zboczach chude, brązowe krowy i kozy o długich, skręconych rogach skubały wyschniętą trawę, nie zaszczycając karawany uwagą.

Osady, które mijali, były zorganizowane według określonego porządku. Nahir widział tę powtarzającą się regularność w układzie dróg; patrzył na pola wyznaczone między kanałami, systemy studni i plecione leje zbierające nocną wilgoć. Każda wieś – ognisko, jak mówili Saadyjczycy – miała swój kalendarz, odliczający pory roku. W każdej płonął ogień ku czci Niegasnącego, próba prześlągnięcia siły, która jednocześnie dawała życie i spalała tę ziemię.

Saadyjczycy różnili się zasadniczo od Rasenów. Nahir nigdy wcześniej nie widział takiej biedy. Owszem, Rasenna chyliła się ku upadkowi, lecz jej mieszkańcy nie musieli walczyć z nieprzychylną przyrodą. Za to wszystko, co widział w drodze, świadczyło o niesamowitym uporze mieszkańców owych ziem, bezlitosnej dyscyplinie, woli życia na przekór temu niewdzięcznemu miejscu.

Miejscu, które to Rasenowie obrócili w pustynię, przypominał sobie Nahir. Cenę za ich życzenie zapłacił ktoś inny. Ta równina była kiedyś zielona, a cieśninę dało się przekroczyć suchą stopą, nim magowie postanowili zmienić wybrzeże zgodnie ze swoim wyobrażeniem. Nakazali górom rosnąć. Strzeliste szczyty zatrzymały nadciągające z nad morza deszcze. W ciągu kilku dziesięcioleci Saada zamieniła się w pustkowie.

W języku Saady „rasanai” oznaczało katastrofę.

Nahir podzielił się swoimi spostrzeżeniami z Ertanem i Iruve, ograniczając się do suchych faktów. Od czasu zajścia w oazie oboje zachowywali większy dystans niż dotychczas, a i Nahirowi nie było śpieszno do zaufania im, ale rozmowy z nimi stanowiły najciekawszą część monotonnej, żmudnej podróży.

Nahir liczył też, że uda mu się dowiedzieć, przed czym ta dwójka uciekła do Saady. Bo że uciekła, był już pewien.

Nikt poza nim nie wiedział, co tak naprawdę wydarzyło się w jurcie. Eskorta karawany przypisała śmierć mężczyzny porywczoci Ertana. Gdyby Nahir powiedział, co się stało, Iruve i jej towarzysz zostaliby natychmiast wyrzuceni, nie ocaliliby ich nawet silne źródło. Ale skoro pracowali dla Vigne, Nahir czuł się w obowiązku dochować ich tajemnicy.

Dni mijały i nic nie zdradzało przeszłości podróżnych. Wszystkie ich rozmowy zdążyły ku Żrenicy.

– Nie da się nie szanować mieszkańców tych ziem – przyznał Ertan. – Nie chciałbym ich mieć przeciwko sobie.

Myśl, że ci ludzie mieliby dość sił, by pokonać górską granicę i zmierzyć się z choć jednym raseńskim miastem, była absurdalna. Choć Saadyjczyków było więcej niż Rasenów, samo przetrwanie zdawało się pożerać wszystkie ich zasoby.

I to mimo podporządkowania każdego aspektu życia bezlitosnym rytmom przyrody.

Saadyjczycy nie mieli źródła. Zdawało się, że dzieci nie należały do żadnej konkretnej rodziny – obowiązek ich wychowywania spoczywał na całym ognisku. Rodziców i dalszych krewnych najmłodszy traktowali z podobną czułością, trudno byłoby wskazać najważniejszego opiekuna. Od pojedynczych osób ważniejsze było ognisko. Już od najmłodszych lat Saadyjczyków wdrażano do rozmaitych prac. Na widok grupy około dziesięcioletnich dzieci czeszących wełnę w towarzystwie dwóch starszych kobiet Nahir poczuł ukłucie żalu. Przypomniało mu się towarzystwo w domu wiedzy na początku jego pobytu.

Obiecał sobie – ponownie – że tam wróci. Jeśli mu się uda, to z planem mechanizmu. Nie wyobrażał sobie bowiem, by Saada mogła stać się dla niego domem, nawet jeśli przypominała mu o braku, którego dotychczas nie był nawet świadom.

Bryłę stolicy zobaczyli przed sobą po dziesięciu dniach, choć początkowo Nahir wziął rozedrganą płamę za złudzenie. Ale z każdym dniem Żrenica rosła; z każdą nocą płomień Niegasnącego w głównej świątyni bił wyżej i mocniej.

Ostatnią noc spędzili pod samymi murami miasta. Potężne kamienne ściany górowały nad nimi, ceramiczne lwy szczyrzyły się z mozaik barwy głębokiego granatu. Gdy otwarto wrota, Nahirowi zabrakło tchu. Nigdy nie widział tak ogromnego miasta. Wielopiętrowe domy ciągnęły się w każdą stronę; ich balkony rzucały na ulice głębokie cienie. Na dachach widniały konstrukcje służące do odzyskiwania wody, podobne do tych, które przyuważył w mijanych osadach. Osady były jednak biedne, natomiast stolica przytłaczała ogromem i bogactwem. Żaden kataklizm nie mógł zmieścić jej z powierzchni ziemi.

Ertan i Iruve podziękowali przewodnikowi i odłączyli się od karawany, nim ta dotarła do rogatki.

– Powodzenia – powiedziała Nahirowi kobieta, gdy się żegnali. I dodała: – Pewnie jeszcze się zobaczymy.

– Pewnie tak – odparł, nagle przerażony, że straci ich oboje z oczu. Że będzie musiał stawić czoła temu miastu w pojedynkę.

Żrenica była obca, nowa. Choć rozumiał każde wypowiedane w pobliżu słowo i mógł wsłuchiwać się w rozmowy, te i tak nie miały dla niego sensu – dotyczyły życia, które było porażająco odmienne.

Ku zaskoczeniu chłopaka on i karawana nie byli jedynymi Rasenami w stolicy. Kilka razy dostrzegł na ulicach osoby o prostych włosach, splecionych w tradycyjne warkocze. W kilku witrynach sklepowych widniały napisy w dwóch językach – ozdobne symbole Rasenów obok saadyjskiej kaligrafii. Przechodnie nosili czasem ozdoby z charakterystycznymi wzorami, których nie spodziewał się

tu zobaczyć. Najprościej było odróżnić Rasenów po kolorach ubrań – choć zarówno mężczyźni, jak i kobiety przyjęli luźne saadyjskie szaty, to wśród Saadyjczyków nie widywano tylu barw na tkaninach. Rasenowie mogli być mniejszością, lecz zaznaczali swoją przewagę – i się wyróżniali. Byli jak kolorowe kwiaty na tej jałowej ziemi. Nahir oglądał się za nimi.

– Zaskoczony? – zapytał go przewodnik.

Owszem. Był zaskoczony.

Miasto wydawało się dużo groźniejsze niż pustynia: tłoczne, głośnie, obce. Nahir zdał sobie sprawę, że jego źródło rozbrzmiewa z większą mocą, a on sam wręcz oczekuje zagrożenia. Spróbował rozluźnić mięśnie pleców. Nim dotarli do centralnej dzielnicy, zdenerwowanie przekuło się w ćmiący ból głowy.

Tu wszędzie kładł się chłodny cień, gdyż domy – czy też wille – otoczono murami. Przed Nahirem piętrzyła się świątynia Niegasnącego. Blask jej ognia w środku dnia niknął na tle oślepiająco jasnego nieba.

– Nahir sur Novissa? – dobiegło go.

– To ja – odpowiedział po saadyjsku, stając naprzeciwko trójki ludzi w jasnych szatach. Wszyscy, jak zauważył, mieli broń wetkniętą za pasy.

Najstarszy służący ukłonił mu się, a pozostali zajęli miejsca po obu stronach Nahira, płynnie przyjmując role straży.

– Prosimy. Min Reza sur Alhiri czeka.

Zdezorientowany Nahir zerknął na przewodnika karawany. Ten wymienił ze służącym znaczki.

– Czekają na ciebie – powiedział z uśmiechem. – Nie każ im zwlekać. Zobaczymy się na miejscu.

Nahir po części był wdzięczny za tę odrobinę prywatności, po części zaś przerażony tym, że ma wkrótce stanąć przed swoim ojcem. Znów czuł się jak przekazywana z rąk do rąk przesyłka: od Aule do Sainy, od Sainy... tutaj. Sama obecność straży też go niepokoiła. Nieznajomy Saadyjczyk musiał uznać, że coś Nahirowi może zagrażać.

– Chodźmy. – Mężczyzna wskazał otwierającą się przed nimi aleję. Nahir podążył za nim, dając się prowadzić przez wiele bram, dziedzińców, ogrodów.

Człowiek, który na niego czekał, stał na progu domu sam, bez służby. Nie miał nakrycia głowy, przerzedzone włosy luźno opadały mu na ramiona. Nosił proste białe szaty; jedyną jego ozdobą był wisior symbolizujący Niegasnące, osobliwie skromny wobec przepychu tego miejsca. Mężczyzna wydawał się jednocześnie znajomy i obcy.

Przed wszystkim Nahir nie oczekiwał nikogo, do kogo byłby tak podobny; i choć rysy twarzy ojca zniekształcił czas, jego policzki stały się obwisłe

i pokrywał je nierównomierny zarost, dało się dostrzec mocną linię podbródka, kształt nosa, warg.

Nahir się zatrzymał. W gardle poczuł gulę, uniemożliwiającą powiedzenie choć słowa.

Mężczyzna też patrzył, nie wiedząc, jak się zachować. W ciągu kilku chwil nie dało się przekroczyć lat spędzonych z dala od siebie.

Zamiast saadyjskiego kupca Nahir wyobrażał sobie kogoś podobnego do Aule, pogodnego bibliotekarza z domu wiedzy, w skromnych ubraniach i z włosami zebranymi z tyłu głowy. Nie. To nie mógł być ten mężczyzna. Podróż tutaj była pomyłką. Tymczasem obcy wyciągnął rękę i choć wkrótce ją opuścił, jakby zawstydzony tym gestem, to żaden z nich nie mógł udać, że to się nie wydarzyło.

– Nahir – powiedział tamten.

Chłopak otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Jak mam do ciebie mówić? – wykrztusił wreszcie.

Mężczyzna przedstawił się:

– Reza. Reza sur Alhiri.

Nahir powtórzył to imię kilkakrotnie.

– Chodź – powiedział ojciec. – Pewnie jesteś zmęczony po podróży.

Jak na zawołanie, pojawiła się wokół nich służba; ktoś spróbował wziąć od Nahira plecak. Chłopak mocno zacisnął dłoń wokół szelek, dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru się rozstawać z bagażem. Przewodnik karawany i inni, którzy dopiero teraz weszli na teren willi, taktownie odwrócili wzrok od kupca i niedawnego towarzysza podróży. Przewodnik pogonił tragarzy, by szybciej uporali się z przenoszeniem. W całej tej krzątaninie tylko Nahir i jego ojciec stali milczący i nieruchomi.

Patrzyli na siebie tak, jakby w jednej chwili mogli dowiedzieć się o sobie wszystkiego. Ocenić. Opowiedzieć sobie ostatnie dziewiętnaście lat.

– Chodź – powtórzył Reza.

Wnętrze domu było równie bogate jak fasada, złożona z kolorowych mozaik i drzwi zdobionych surową geometrią, od której Nahirowi zakręciło się w głowie. Nigdzie wcześniej nie widział takiego przepychu; dom jego rodziny w Novissie był bogaty, ale nie manifestowano tego tak ostentacyjnie. Tu zaś przestrzeń przegrodzono kolumnkami, posadzkę wyłożono szlachetnym białym kamieniem, a w wewnętrznym ogrodzie była – Nahir aż przetarł oczy ze zdumienia – fontanna. Na pustyni! Odruchowo sięgnął ku niej, spodziewając się znaleźć w wodzie zaklęte czyjeś życzenie. Nic takiego tam jednak nie było, wodę wypychał ku górze system rur.

Jego pokój okazał się równie bogaty i ogromny. Nahir zrzucił bagaż u stóp łóżka i dopiero po chwili dostrzegł pozostawione przez siebie brudne ślady.

Pośpiesznie zsunął buty, ale w ten sposób rozsypał tylko więcej piachu.

Zdał sobie sprawę, że w ciągu ostatnich godzin zupełnie zapomniał o Iruve i Ertanie, choć poprzednie dni spędził, obsesyjnie rozmyślając o tej dwójce. Teraz fascynacja podszyta niepokojem wróciła. Gdzie byli? Co robili? Czy znaleźli w mieście mieszkanie? Wyobraził sobie Iruve w dzielnicy rzemieślników, ze znużeniem polerującą kaboszony z kamieni szlachetnych, i Ertana z jego ponurym spojrzeniem wyczernionym z za zawojów chroniących go przed promieniami słońca.

Wciąż się ich obawiał. Teraz, gdy zniknęli, być może bardziej niż wcześniej.

Potem pomyślał o Ragani. O tym, co by powiedziała. Jak zareagowałyby na tę dziwność, na natłok nowych wrażeń. Czy skomentowałyby fontannę? Wyobraził sobie, jak dziewczyna idzie przez Źrenicę, chłonąc niezwykłość miasta, ale nie dając mu się zastraszyć; jak czyni je swoim, jakby je podbijała.

Ragani. Na jej wspomnienie gorąco oblało mu policzki.

Z trudem uciszył myśli i pochylił się nad przygotowaną dlań misą z wodą. Obok znalazł kostkę mydła i pełen dzban. Umył się i rozczesał włosy. Z lustra na ścianie patrzył na niego ktoś dziwnie stary i poważny: z opalenizną na twarzy i ramionach, resztkami kohlu w kącikach oczu, symetrycznymi kreskami tatuażu przecinającymi podbródek.

Przygotowano dla niego też ubrania, wykonane z lżejszych tkanin i praktyczniejsze niż jego podróżny strój. Na łóżku leżała tunika w kolorze lnu, z długimi rękawami, i ciemniejsze luźne spodnie z paskiem, do którego Nahir od razu przypiął swoją malastrę.

Tak przygotowany wyszedł na powitalny posiłek, przy którym spodziewał się zastać wszystkich domowników.

Tu nastąpiło kolejne zaskoczenie: Reza sur Alhiri mieszkał sam.

Oczywiście dom zajmowała też służba, ale nie było tu nikogo z ogniska Rezy. Bliskich współpracowników Nahir nie liczył. Przy stole – niskim, otoczonym poduszkami – zasiedli tylko oni dwaj: ojciec i syn.

– Dlaczego? – Nahir nie mógł się powstrzymać od pytania.

Ojciec zastygł ze słonym ciastkiem w dłoniach.

– Nic ci nie powiedziano, prawda?

Pytające spojrzenie Nahira wystarczyło mu za odpowiedź.

– Krwawa gorączka – mruknął krótko.

Nahir potrzebował chwili, by przyswoić tę informację. Epidemie nie były czymś, co zdarzało się w Rasennie. Bywały schorzenia, których wyleczenie przerastało nawet możliwości tych z najsilniejszym źródłem – i przypadki, gdy nieuważny uzdrowiciel znalazł się tak blisko wyczerpania swojego źródła, że

zapadał w śpiączkę, z której nigdy się nie budził. Ale choroby pustoszące osady i dzielnice – nigdy.

Wbrew nazwie gorączka bez innych oznak infekcji była tylko pierwszym symptomem. Potem obecne we krwi źródło – życie – potworniało, wykręcając ciało i niszcząc umysł. W Rasennie udawało się uratować osoby, u których wcześniej rozpoznano chorobę. W Saadzie chorzy nie mieli szans.

Reza przyglądał się chłopakowi z cierpkim uśmiechem.

– Lefarie opuściła miasto wkrótce przed wybuchem epidemii. Nie mam wątpliwości, że by sobie poradziła, ale... i tak się cieszyłem, że nie musi na to patrzeć.

Nahir niemal wypuścił z rąk pucharek z wodą, gdy padło imię matki. Zmieszał się, czując na sobie wzrok Rezy.

– Nie jesz – zauważył po chwili Saadyjczyk.

Nahir popatrzył na swój własny talerz, na którym to pierwsze ciastko leżało wciąż nietknięte.

– Nie będę cię przecież zmuszał. – Reza otrzepał dłonie. – Chodź za mną.

Chłopak wstał. W gardle czuł rosnącą gulę.

Tyle rzeczy, które chciał powiedzieć.

„Przykro mi, że tak wyszło”.

„Czy też czekałeś na ten dzień?”

„Myślałem, że kiedyś przestanie mi zależeć, ale nie przestało”.

I: „Dziękuję”.

I: „Co się teraz stanie?”.

„Wybacz, to nie było uprzejme pytanie. Dziękuję”.

Mechanizm, choć jeszcze niegotowy, zajmował istotną część pomieszczenia. Składał się z kół i dźwigni wprawiających się wzajemnie w ruch: Nahir miał przed sobą rozmaite stopy metali o różnych barwach. Niektóre części mechanizmu drgały lekko. Na samym przodzie widniała tarcza zdobiona symbolami poszczególnych ciał niebieskich, z których każdy pokryto emalią oddającą jego kolor. Nieznany Nahirowi raseński rzemieślnik odzwierciedlił nawet kratery i góry księżyców. Niegasnące symbolizował dysk ze szczerego złota. Mniejsze ciała niebieskie były opisane saadyjskimi symbolami. Na granicy tarczy widniał Wędrowiec. Jego mechanizm był jeszcze nieruchomy; kometa czekała, aż pozostałe części popchną ją w ruch.

To była przerażająca wiedza. Ale Nahir i tak chciał poznać prawdę.

Chciał też pokazać to, co widzi, Aule i jego rodzinie. Wyobraził sobie, jak oczy jego przyjaciół błyszczą na ten widok.

Zadawał mnóstwo pytań. Chciał wiedzieć więcej. Ojciec cierpliwie odpowiadał – a gdy nie potrafił odpowiedzieć, odsyłał Nahira do inżynierów i astronomów.

Nahir wsłuchiwał się w mechanizm. Owszem, pojedyncze części były wykonane w Rasennie – już teraz wibrowała w nich niska nuta źródła, które miało wprawić zegar w ruch i stworzyć samowystarczalny, zamknięty system – ale to, co zegar miał pokazać, wynikało z eleganckich obliczeń i nieubłaganych praw świata, które tutejsi uczeni wykorzystali do własnych celów. Zamiast podporządkowywać świat swojej woli bazowali na tym, co mieli do dyspozycji.

To była cenna lekcja i Rasenna miała ją jeszcze przed sobą. Ale, przypomniał sobie Nahir, i tu wiedza nie przysłała w oczywisty sposób. Była okupiona ciężką pracą – nie tylko wybitnych jednostek, ale przede wszystkim pracującego na nią tłumu. Nahir nie miał złudzeń. Imperia budowana rękami najsłabszych.

„Rasenna nie była inna” – pomyślał, przypominając sobie wysuszoną na wiór krainę. Cenę za rozkwit Rasenny zapłacili Saadyjczycy.

Podniósł głowę znad mechanizmu i napotkał wzrok ojca.

Wiedział, że w tej chwili mężczyzna widzi w nim Lefarie.

– Po to tu przyjechała, prawda? – zapytał cicho Nahir. Nigdy wcześniej o tym nie myślał, ale teraz bieg wydarzeń wydał mu się oczywisty. Co innego mogła tu robić? – To ona budowała ten mechanizm.

Reza pokiwał głową. Nahir powiódł palcami po elementach konstrukcji, nasłuchując dalekiego echa swojej matki. Zdążyło przez lata ucichnąć, ale chłopak był pewien, że wciąż ją słyszy. Nakazywała metalowi przybrać kształt. Jej głos rozbrzmiewał nawet w delikatnym postukiwaniu maszyny.

– Wydawało mi się, że sam proces, samo tworzenie tego, obchodzi ją bardziej niż cel – powiedział Reza. – Była zafascynowana zasadami działania tego mechanizmu. Uczyła się pod okiem naszych astronomów, wykreśliła nawet kilka map nieba. Nie interesował jej koniec Rasenny. Twierdziła, że już nadszedł.

Nahir wstrzymał oddech.

Ojciec uśmiechał się do własnych wspomnień.

– Nie chciała wracać.

– Ale cię zostawiła – powiedział Nahir. Zabrzmiało to dużo ostrzej, niż zamierzał.

Nie było jednak niczym ponad to, co Reza sam musiał powtarzać sobie przez lata. Tylko w ten sposób dało się wytłumaczyć fakt, że nie uniósł się gniewem na te okrutne słowa, a jedynie pokiwał głową.

– Co robi teraz? – zapytał po chwili.

- Nie wiem.
- Jak to: nie wiesz?
- Przepadła. – „Znów”, odczytał Nahir w ojcowskich oczach.
- Ciebie też zostawiła – dopowiedział sobie Saadyjczyk.

Współdzielili rozczarowanie i tęsknotę. Nahir zacisnął ręce na drewnianej ramie podstawy mechanizmu.

– Gdybym wiedział, naciskałbym, by przysłano cię tu wcześniej – rzekł ojciec. Jego oczy, których przejrzysta barwa z wiekiem nabrała błękitnego poblasku, wpatrywały się w chłopaka z intensywnością.

Nahir chciał powiedzieć, że tego by sobie życzył. I faktycznie, o tym przecież fantazjował w domu wiedzy, gdy złościła go jego monotonna cisza i to, że pozostali mieszkańcy zajmują się wyłącznie konserwowaniem wiedzy, nie tworzeniem jej. Jednocześnie nie wyobrażał sobie życia bez Aule. Bez Luana i Susari.

Bez Ragani, która wpisała się w niego z żarliwością nieodróżnialną od agresji.

Powoli zaczynał dostrzegać, z kim czuje się związany. Przede wszystkim był lojalny wobec domu wiedzy; później wobec tego obcego mężczyzny, którego powinien był znać, a który przyjął go po latach z otwartymi ramionami, choć mógł się spodziewać podstępu Rasenów; lub kolejnego nieświadomionego okrucieństwa ze strony Lefarie. Nahir zaczął wierzyć, że tu może zbudować sobie dom. Dom, po którym będą chodziły cienie dawnych i nowych przyjaciół – ale jednak dom.

Naszła go okrutna myśl, że nie powinien ufać swojemu ojcu. Że potrzebuje dowodu. Na swojej raseńskiej rodzinie nie mógł się odegrać – ale ten mężczyzna przyjął go bez wahania, odsłonił się przed nim. Nic nie stało na przeszkodzie, by Nahir wygarnął mu dziewiętnaście lat rozłąki.

Chciał to zrobić. To była kolejna z jego fantazji: wykrzyczenie ojcu w twarz nieobecności i milczenia. Oskarżenie go o to, że nie zdołał utrzymać przy sobie Lefarie, że matka mu uciekła. Skoro dla niej był nie dość dobrym partnerem, jak mógł być dobrym ojcem dla Nahira?

Nie był. Nie było go, gdy Nahira odesłano z domu, ani później, gdy kontroli nad źródłem uczył go podrzutek w domu wiedzy.

Tyle czasu trzymał emocje na wodzy. Powtarzał sobie, że musi być spokojny i opanowany, aż uczucia zdążyły okrzepnąć. Patrząc na starzejącego się mężczyznę, który stracił rodzinę w epidemii, Nahir nie chciał rozdrapywać ran. Nie chciał psuć chwili, na którą obaj czekali.

Musiał uciec.

- Potrzebuję odpoczynku – wykrztusił, opuszczając głowę i wymijając Rezę.

Ojciec nie zatrzymał go. Nahir obejrzał się za siebie kilkakrotnie. Po czym, zamiast do swojego pokoju, skierował się do obserwatorium.

Łatwo było je znaleźć: wiodły doń spiralne, kręte schody, dobudowane stosunkowo niedawno. Nahir wspiął się po nich i zamknął za sobą klapkę w podłodze.

W pokoju, o którym myślał teraz jako o pracowni Lefarie, unosiły się drobiny kurzu, pył osiadł też na soczewkach i pokrywał wypolerowane obudowy przyrządów. Ale mapy nieba, w większości drukowane na raseńskim jedwabiu, poskładano, na wierzchu zaś pozostawiono znaczniki pomagające w odnalezieniu właściwego arkusza. Pod ścianami stały duże, ciężkie liczydła. Na stole czekała rozpięta i zagruntowana tkanina, choć kostka atramentu zdążyła wyschnąć i popękać.

Nahir opadł na poduszki, wysiedziane i niewygodne, i zapatrzył się przed siebie. Słońce dopiero chyliło się ku zachodowi. Zamknął oczy i zasnął niemal natychmiast.

Obudził się parę godzin później. Nie był głodny, lecz zaschło mu w ustach. Rozmasował zeszywniały kark, po czym bez wahania zaczął montować soczewki.

Łuna bijąca z płomienia Niegasnącego przyćmiewała co bledsze gwiazdy, ale widok, który Nahir miał nad sobą w pustynne noce, teraz zdawał się na wyciągnięcie ręki. Od czasu jego ostatnich obserwacji w domu wiedzy konstelacje przesunęły się ku zachodowi; choć może ich odmienne położenie wynikało z miejsca, w którym Nahir się teraz znajdował? Chłopak niecierpliwie rozejrzał się za czymkolwiek, na czym mógłby notować. Wreszcie zaczął wodzić palcem po zagruntowanej tkaninie, powołując wyrazy do istnienia.

Gwiazdy mrugały do niego z bezkresnego nieba. Ich widok za każdym razem budził w nim taki sam zachwyt niedający się odróżnić od przerażenia: poczucie, że jest zupełnie nieważny wobec niezliczonych światów. Jeśli Saadyjczycy nie mylili się co do natury nieba, Nahir patrzył teraz na wszystkie bóstwa, które mógł objąć wzrokiem.

A on sam należał do bogobójców. Pieśń, którą śpiewało źródło, była pieśnią tęsknoty. Boska krew, która w nim płynęła, chciała wrócić do ziemi. Nahir to wiedział. Więcej: czuł to.

Mimo to nie mógł się zmusić do poczucia odpowiedzialności za zbrodnię sprzed wieków. Ani do przyjęcia, że sprawiedliwe będzie, jeśli to on za nią zapłaci.

Raz jeszcze popatrzył w rozgwieżdżone niebo. Gdyby potulnie się na to godził, nie byłoby go tutaj. Odziedziczył nie tylko boską krew i winę, ale też gotowość do walki w swojej obronie, choćby oznaczało to mierzenie się z bóstwami.

Ostrożnie wyjął soczewki z uchwytów i odłożył je na miejsce.

Miał poczucie, jakby większość życia spędził pogrążony we śnie, a dopiero teraz zaczynało się ono naprawdę. Zdobywał wiedzę i narzędzia. Teraz mógł coś z nimi zrobić. Był wycieńczony – ale i pełen niepokoju, który zamierzał przekuć na nowe pomysły.

Z tymi myślami wracał do swojego pokoju. Korytarze domu pogrążyły się w miękkiej ciemności. Nahir ze zdziwieniem przypomniał sobie, że tu nikt przecież nie potrafiłby uformować dla siebie kuli światła.

Wyciągnął przed siebie ręce, wysnuwając z otaczającej go ciemności mały, zimny płomień. Zamknął go w dłoniach, blask przesączał mu się przez palce. Usłyszał za sobą zduszony okrzyk.

Nahir obrócił się na pięcie, wypuszczając światełko z dłoni. Na końcu korytarza stała osoba w luźnych ubraniach, bez żadnych ozdób, od których mogłoby się odbić światło. To mógł być ktokolwiek. Nahir tylko zgadywał, po kanciastej sylwetce i krótko obciętych włosach, że to chłopak. Saadyjczyk; Rasena nie zaskoczyłoby oświetlanie sobie drogi źródłem.

Nahir i nieznajomy patrzyli na siebie przez kilka sekund, nim tamten puścił się biegiem.

– Czeka! – zawołał Nahir, podążając za nim.

Chłopak gwałtownie skręcił. Nahir w ciemności niemal wpadł na ścianę, ale odzyskał równowagę. Ktokolwiek przed nim uciekał, przestał zadawać sobie trud, by stąpać cicho. Ich kroki dudniły w korytarzach willi.

Piętro. Schody. Cień bez zadyszki przeskakiwał po dwa stopnie. Nahir nie mógł za nim nadążyć.

– Powiedziałem: czeka! – Źródło zatętniło mu w uszach. Bez zastanowienia przywołał je ku sobie.

Chłopak krzyknął i zachwiał się na szczycie schodów. Przez jeden upiorny moment Nahirowi wydawało się, że obcy runie w dół, ale tamtemu udało się przetoczyć na posadzkę. Stęknął z bólu, po czym zerwał się na nogi.

Do tego czasu Nahir niemal się z nim zrównał. Wyciągnął rękę, próbując schwycić skraj jego ubrania. Chłopak wywinął się, spróbował kopnąć, odbiegł. Nahir widział jego sylwetkę na tle balkonu.

– Zaczeka! – zawołał znów.

Chłopak podszedł do balustrady i wyjrzał przez nią znacząco, po czym znów popatrzył na Nahira.

– Przestań! – Nahirowi zrobiło się zimno ze strachu. Czegokolwiek chciał dowiedzieć się tamten, nie było to warte jego życia.

Zmusił się do rozluźnienia uchwytu na źródle. Nieznajomy odetchnął z ulgą.

– Nic ci nie zrobię – powiedział Nahir, mrużąc oczy. Światło księżyców lśniło na gęsto skręconych włosach chłopaka jak blada aureola, ale jego twarz pozostawała w cieniu. – Po prostu... pójdę stąd.

Tamten powoli uniósł rękę. Nahir odruchowo sięgnął do źródła.

Nieznajomy pokazał mu gest, za który Aule kazałyby Nahirowi przez pentadę szorować uniwersyteckie sale, po czym zwinnym ruchem przeskoczył balustradę i zniknął w ciemności ogrodu.

Nahir wbiegł na balkon i wychylił się, licząc, że dostrzeże jeszcze swój obcy cień. Ale gdyby nie hałas rozbudzonych ptaków z gołębnika i oranżerii, nic nie wskazywałoby na to, że ktokolwiek umyka w ciemności.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Miesiąc sierpów, czwarta pentada, dzień czwarty

Chorągwie powiewające nad obozem Tisar nie przekonały ludzi, że Kompania i Sahit stoją po jednej stronie. Gdy kondotierka przechodziła przez miasto, słyszała rzucane za jej plecami obelgi. Rzeźnicy. Wyrzutki. Kilka razy jej banda wdała się w bójkę.

– To nas sprowokowano – tłumaczył się później Smuga, nie próbując nawet wypierać się winy, a z każdą zasłyszaną „rzeźniczką” Tisar była skłonna mu uwierzyć.

Miała przeciwko sobie całe miasto. Mogła z tym żyć; przywykła do niechęci, a teraz, gdy nie groziła jej już śmierć z rąk urzędników, mogła mierzyć się z całą złością, jaką wywoływała w mieszkańcach Sahit.

To poniekąd był jej cel.

Ale nie było jej stać na to, by równolegle pilnować napięcia wewnątrz Kompanii.

Nie musiała długo czekać, aż plotki o magach z Taarut dotrą i do obozu. A w ślad za nimi – pogłoski o tym, co będzie konieczne do zwycięstwa.

Smuga odchylił połę namiotu.

– Hmm? – Tisar mruknęła znad pucharka z rozcieńczonym winem. Smakowało bardziej wapienną skałą niż alkoholem, więc odłożyła je bez żalu.

– Może cię zainteresować to, co dzieje się na zewnątrz. – Skóra na policzku Smugi napinała się na kościach, ściągnięta szeroką blizną, przez co świeżo mianowany adiutant wyglądał, jakby wszystko wywoływało w nim rozbawienie. Nawet okrzyki, które dało się słyszeć w namiocie.

Tisar płynnym ruchem wstała z ziemi.

– Bardzo źle?

Zdrowy policzek Smugi drgnął.

– Jeszcze nie. Ale wkrótce będzie.

Wyminęła go w przejściu, rozciągając ramiona z trzaskiem stawów. Na jej widok rozmowy w obozie ucichły.

– No? – zapytała.

Smuga wywrócił oczami.

– Boją się, że przygotujesz ich do walki.

Tisar zaśmiała się, ale zabrzmiało to dziwnie pusto.

Tę plotkę też słyszała – o saadyjskich żołnierzach, niewrażliwych na słowa stworzycieli. Ich słuch był nienaruszony, ale zrobiono im coś innego – pogłoski mówiły o oddziałach pustookich chłopców i dziewcząt ze świeżymi bliznami na ogolonych czaszkach. O ludziach, którzy potrafią iść przez płonące miasta Rasenny, niepomni własnych obrażeń. A ci, którzy po wojnie wrócili do domu, byli ponoć... inni.

Opowiadano też historie o rodzinach wyganiających swoich krewnych na pustynię.

To wszystko były jednak legendy sprzed stuleci. Nie, oceniła Tisar, to nie jest możliwe. Nie dlatego, że wierzyła w dobroć Avile; choć przypuszczała, że jego wyrachowanie ma swoje granice i być może isbet dotarł do nich na jej oczach. Sahit przede wszystkim nie miało zaplecza, by przeprowadzić coś takiego. A Kompania była zbyt nieprzewidywalna. Żadne miasto nie mogło utrzymać jej w ryzach.

Myślała szybko. Nie miała czasu na budowanie zawyżonych argumentów.

– Boicie się magów Taarut? – zapytała. Odpowiedział jej gniewny pomruk. – Straszydeł z ludowych bajek?

Przeszła się przez środek obozu. Zewsząd czuła na sobie uważne, ponure spojrzenia swoich ludzi. Swojej bandy – której lojalność do tej pory opłacała srebrem. Teraz musiała przekonać ich inaczej.

Czuła na sobie też wzrok Smugi. Mężczyzna obserwował każdy jej ruch. Czekał na potknięcie? Nie umiała tego stwierdzić. Sama mu obiecała, że kiedyś może zająć jej miejsce. Ale nie była jeszcze skłonna ustępować.

– To, kurwa, słabo – rzuciła. – Bo w Taarut żadnych magów nie ma.

– Skąd możesz to wiedzieć?!

– Gdyby mieli tam jakiegokolwiek maga, nie sraliby ze strachu, odkąd pozostałe miasta zaczęły się odcinać.

Choć równie dobrze to pozostałe miasta mogły bać się magów. Tisar słyszała o ludziach, w których odżywały echa dawnej Rasenny. Ponoć nawet na dworze Sahit był kiedyś ktoś, kogo skaziła zakazana sztuka. Nie mogła jednak okazać wątpliwości.

– I byłoby tu nas już więcej – dorzuciła głośniejszym głosem. – Cała Nowa Saada stałaby w ogniu.

– Taarut spłonie!

– Zostanie z niego popiół!

Ktoś zagwizdał przeciągle. Inni tupali i wznosili dłonie zaciśnięte w pięści: symbol buławy. Jak również sprzeciwu wobec fatum, wobec poddania się bogom.

Tisar też uniosła pięść, jakby chciała uderzyć knykciami samą domenę Niegasnącego.

– Nie – powiedziała głośno i wyraźnie. – Taarut nie spłonie. Taarut będzie nasze. A my w nim. Wolni.

Obóz zawrzał od zwycięskich okrzyków.

Namiestniczka Taarut. Rozmawiająca z bóstwami. Tisar jeszcze nawet nie wiedziała, czy tego właśnie chce; siła tej obietnicy sama w sobie była upajająca. Uderzała do głowy skuteczniej niż rozwodnione wino, które podano jej bandzie.

Opróżniła kubek. Anassa...! Tak duże słowa nie padły jeszcze nawet na dworze, ale bóstwo ubiegło leciwego władcę Sahit i obawy jego urzędników. Gdyby tylko jej bliscy o tym wiedzieli. Gdyby nie rozpierzchli się po świecie, gdyby nie choroby, gdyby miała pomysł, gdzie ich szukać. Choć o to ostatnie pretensje mogła mieć wyłącznie do siebie; to ona uciekła z domu i nigdy nie odwracała się za siebie.

Kolejny kubek. Złotawe wino przelało się przez brzegi, chlusnęło na stół. Tisar chwiejnym krokiem odeszła od centrum zgromadzenia. Nie powinni jej teraz widzieć – ani cichego triumfu, którego nie mogła jeszcze nazwać, ani utkwionego w przeszłości zamglonego spojrzenia.

Od jej ucieczki minęło dwanaście lat. Co czyniło z niej... dwudziestosześcioletką? Poza miastami i z dala od czujnych oczu urzędników ludzkie historie przesypywały się jak piasek. Upływ lat szacowano w odniesieniu do konkretnych wydarzeń – tamta susza, tamto wesele – choć czasem chronologia między tymi kluczowymi punktami plątała się i zwodziła. Tisar miała poczucie, że ona sama zaczęła się dużo później. W historiach zawsze pojawiała się już jako dziewczyna na drodze, z podkasanymi spódnicami zamiast zbroi i ściętą gałęzią w ręce. Zanurzyła wargi w winie. Coraz mniej rozpoznawała siebie w opowieściach i słuchała ich, jakby dotyczyły kogoś innego.

„Przyzwyczajaj się, anasso” – powiedziała sobie. I znów uśmiechnęła się do siebie.

Jej zadowolenie zmącił tylko widok przerażenia na twarzy hieroduli. Dziewczyna nie zdradziła jej wszystkiego, to było pewne. Było coś, czego nie mogła powiedzieć.

To było to, przed czym hierodula uciekała. Coś dalece większego niż polityka, coś sięgającego głębiej niż historia osadników z Saady na tych ziemiach.

Hierodula ostrzegała ją. I toczyła własną potyczkę ze stwórcy. Nie poddawała mu się. Tisar nie skrywała podziwu wobec tej dziewczyny. W jej twarzy było coś – upór?, duma? – o czym nie dało się zapomnieć. Kondotierka spędziła więcej czasu, rozmyślając o niej, niż chciałaby przyznać.

Mogła nie ufać samej hieroduli, ale ufała jej strachowi. A teraz ważyła ten strach wobec obietnicy bóstwa.

Ostatecznie jednak hierodula nie mogła jej pomóc. Była tylko ludzką, bezbronną dziewczyną. Nie wiedziała, co ich czeka w Taarut.

W Taarut, które miało należeć do Tisar.

Namiestniczka Taarut. Zajmie się pozostałymi sprawami, gdy będzie mieć już w ręku realną władzę. Zostawi za sobą życie od kontraktu do kontraktu i nadstawianie karku dla kupieckich karawan. W rozedrganym śpiewie cykad Tisar słyszała tylko jedno: „Taa-rut, Taa-rut, Taa-rut”.

Dłoń Zaihab była gorąca, jakby wciąż pamiętała dotyk Vesui. Arit milczała przez długą chwilę, po czym wypuściła rękę hieroduli, jakby pakt z bóstwem był zaraźliwą chorobą.

– Nic tu nie ma. Nie widzę żadnego śladu – powiedziała cicho.

Zaihab przekrzywiła głowę, zamykając dłoń.

– Ale to się wydarzyło, nawet jeśli mi nie wierzysz. I nie wiem, co to oznacza. – Jej wargi drżały. – Nie wiem, co stwórcy mi zrobił. Czy to spotkało kogoś z moich poprzedników? – Odczekała chwilę. – Nie wiesz, prawda?

– Skąd mam wiedzieć?

– Cóż – powiedziała zrezygnowana Zaihab – niewiedza nie przeszkodziła ci w wysłaniu mnie tutaj.

– Wtedy wszystko było inne!

Na ustach hieroduli pojawił się gorzki uśmiech.

– Czyżby?

– Tak – uparła się Arit. Kiedy świat działał tak, jak go opisano; kiedy Nowa Saada skutecznie pełniła przypisaną jej funkcję bariery. Być może rozleniwili się, zapomnieli, po co tu są; ulegli magii, którą nasiąknięte było to miejsce. Nigdy nie powinni byli czuć się tu jak w domu.

Ale zrobili to i było już za późno.

Zaihab wciąż się uśmiechała, ale na jej rzęsach lśniły łzy.

– A potem stwórcy przestali respektować reguły naszej gry, prawda? – Otarła oczy zdrową dłonią.

– Nie mów tak. – Arit rozejrzała się odruchowo, oczekując ataku skrzydlatych. Najwyraźniej Vesui wybaczał swoim hierodulom świętokradztwo.

Obie milczały przez dłuższą chwilę. Każdy mięsień w ciele Arit rwał się do ucieczki. Powtarzała sobie, że nie musi tu być; że wyświadcza hieroduli dużą przysługę. Z drugiej strony przywiązała się do tej dziwnej dziewczyny. Lubiła słuchać jej historii. Przyłapywała się na nuceniu jej pieśni.

– Mam do ciebie prośbę – odezwała się wreszcie Zaihab. – Przyrowadzisz tu isbeta? Powiedz, że to moje życzenie...

– Nawet on nie może cię odwołać – odparła Arit, czując, jak niepewność rozkwita w niej na nowo.

Zaihab wzruszyła ramionami.

– Być może nie. Ale chciałabym z nim porozmawiać.

– Możesz powiedzieć mnie. Ja przekażę mu wiadomość.

– Muszę z nim porozmawiać – powiedziała z naciskiem. – Przekazywanie sobie wiadomości potrwa wieki. Przyrowadzisz go tutaj?

– Nie wiem, czy może tu przyjść...

Nie dało się przewidzieć, kogo Vesui będzie tolerował w swoim gnieździe. Arit znów przypomniała sobie, co spotkało samozwańczego hierodula.

– A ja nie mogę stąd wyjść – warknęła Zaihab. – Jedno z nas będzie musiało ustąpić. I będzie to Avile.

Schowała dłonie w rękawach sukni, lecz Arit zdążyła dostrzec, że ręce hieroduli drżą.

– Wystawiasz go na niebezpieczeństwo – powiedziała łagodnie.

– Wiem. – Podbródek Zaihab też drżał. – Ale przyrowadź tu Avile. Proszę, ja... nie wiem, czy będzie co po mnie zbierać, jeśli tego nie zrobisz.

Hierodula znów opuściła głowę. Arit zaś przyszła do głowy upiorna myśl. Dotychczas wierzyła Zaihab – nie bezkrytycznie, ale przyjmowała dobrą wolę dziewczyny. Zaihab mówiła jej dużo.

Jednak mówiła tylko to, co chciała powiedzieć. Teraz też mogła wybierać to, co jej zdaniem Arit powinna usłyszeć. Na własne nieszczęście nie była w tym tak dobra jak urzędnicy z dolnego pałacu. A Arit nie była już tak naiwna.

– Czy to ma coś wspólnego z tym, co ci powiedziałam wczoraj? – zapytała, wypatrując choć najmniejszej zmiany w twarzy hieroduli.

– Nie – powiedziała szybko Zaihab, ale zdradziło ją skrzywienie warg, nagły ruch, sposób, w jaki próbowała się odsunąć od Arit.

– Po co w ogóle pytam? – Arit zaśmiała się cicho. – Jak mogłoby nie mieć?

– Arit. Potrzebuję z nim porozmawiać. To wszystko.

– Nie. Nie. – Teraz to Arit się odsunęła, odpychając się od posadzki.

Musiła wyglądać żałośnie, ale skrzydlate i tak nie mogły nikomu powiedzieć o jej wstydzie. Poczła nagły strach o Avile. Isbet wyróżniał się, choćby swoim pochodzeniem – większość ważnych dworzan pochodziła z Sahit lub jego okolic; Avile mógł się wyzbyć akcentu, ale ludzie pamiętali o jego korzeniach i niewielu życzyło mu dobrze. Niemniej czyn, który zagroziłby Avile, zagroziłby też samemu miastu.

Arit chciała być uczciwa wobec Zaihab, w ciągu minionych dni zaprzyjaźniła się ze wstydem i poczuciem winy, ale pozostawała lojalna wobec Sahit.

Zaihab nachmurzyła się. Znow zaciśnęła rękę.

– Nie pomogę ci, Zaihab – powiedziała arystokratka. – Nie mogę tego zrobić.

Hierodula przygryzła wargę.

– Czy jest mi wstyd z powodu tego, co zrobiłam? – Mówiła dalej Arit. Jej policzki płonęły. – Tak. Nie zrobiłabym tego, gdybym wiedziała, jak to będzie wyglądało. Jaka będziesz tu nieszczęśliwa. I wiem, że nigdy nie będę w stanie ci tego zadośćuczynić. Przehandlowałam twoje życie za spokój miasta. Ale Sahit wciąż jest dla mnie ważniejsze od ciebie. Nie prosz mnie więcej, bym je zdradziła.

Oczy Zaihab były ciemne, nieprzeniknione.

– Rozumiem – powiedziała głucho.

Och, Zaihab. Prawie ją miałaś!

Nie sądziłem, że zdobędziesz się na taki ruch. Kłamanie i oszukiwanie nie jest w twoim stylu – albo umknęło mi, jak szybko się uczysz.

Obserwowanie, jak się do tego zmuszasz, było najsmaczniejszym, co widziałem od dawna. Nic równie słodkiego jak twoja niechęć do siebie samej.

Lecz przełamałaś się! Te łzy były trochę przesadzone, do tej pory dawałaś się poznać jako zimna i odległa, ale któż nie ma słabości do przesady! A może były prawdziwe?

Jeśli cię to pocieszy – byłaś całkiem blisko. Oboje nie doceniliśmy Arit.

Co zrobisz teraz?

Kurier przybył zbyt późno, by Osun i Avile mogli się przygotować na przybycie gości. Zresztą ile czasu by im nie dano, wciąż byłoby to zbyt mało.

Posłaniec miał na sobie tunikę barwy indygo pokrytą złożonym haftem. Jego czarna skóra lśniła. Choć wciąż oddychał z trudem, na widok doradców anaksa natychmiast wstał i pochylił głowę, odsłaniając wymalowane henną wnętrza dłoni.

– Pozdrowienia. Niech Sahit zawsze będzie w źrenicy Niegasnącego – wyrecytował. – Mówię w imieniu Najjaśniejszych.

Odpiął od paska garść pieczęci i podał je Avile. Isbet zawiesił wzrok na największym symbolu, przedstawiającym słońce i koronę, pieczęci królów Saady. Zakręciło mu się w głowie.

Napotkał spojrzenie kuriera. Chłopak nie spuszczał zeń wzroku. Uśmiechnął się lekko. Nie było w jego spojrzeniu otwartej niechęci – raczej zainteresowanie, bardziej obraźliwe w swej bezpośredniości. Uprzejme zainteresowanie prowincją.

– Czym zasłużyliśmy sobie na uwagę korony? – zapytał Osun.

– Czy nie jesteście największym miastem Nowej Saady? – Kurier udał zdziwienie. – Jej nieformalną stolicą?

Miał perfekcyjną dykcję. Avile zwrócił na to uwagę; Osunowi też to zapewne nie umknęło. Mimo tego, jak chłopak się przedstawił, mieli do czynienia nie z posłańcem, lecz z dworzaninem.

– Nie będziemy ukrywać dumy. Jesteśmy – podjął grę Osun. – Mimo wszystko nie spodziewaliśmy się, że spotka nas taki zaszczyt.

– Obowiązek – poprawił go kurier, rzucając to słowo z lekkością ludzi przyzwyczajonych do wydawania poleceń innym.

– Oczywiście. – Kasser skłonił głowę. Avile dostrzegł, jak napinają się mięśnie jego ramion. – Jakie jest życzenie Najjaśniejszych?

– Dotychczas uwaga korony była skupiona na wewnętrznych sprawach Saady. Być może zanadto; być może niektórym wydawało się, że to nie zaufanie wobec nowych miast, ale lekceważenie. Przeoczenie. Nic podobnego.

I, osobliwym trafem, korona przypomniała sobie o przedmurzu, dopiero gdy jedno miasto wypowiedziało wojnę drugiemu. Avile wsłuchiwał się w każde słowo, próbując odczytać znaczenie ukryte między uprzejmościami.

On i Osun mieli przewagę. Było ich dwóch; dwie pary uszu i oczu. Znali swoje role. Weszli w nie odruchowo. Nie musieli żywić do siebie ciepłych uczuć; Niegasnące świadkiem, że Avile nikogo nie nienawidził tak jak Osuna. Ale wystarczyło, że szanowali siebie nawzajem – i że mieli wspólny cel.

O ile wciąż go mieli. Isbet odwrócił wzrok.

– Saada, Nowa Saada – kurier tymczasem dalej recytował z pamięci wiadomość – to pojęcia z przeszłości, nieoddające natury jednego królestwa pod łaskawym spojrzeniem Niegasnącego. Postanowiliśmy zatem uhonorować Sahit tak, jak na to zasługuje: obecnością naszych książąt.

Trzeba było Osunowi przyznać, że zachował zimną krew.

– To zaszczyt i obowiązek, którego się nie spodziewaliśmy – powiedział przez ściśnięte gardło.

Posłaniec uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Nie wątpię jednak, że podołacie. Orszak Najjaśniejszych powinien dotrzeć do Sahit w trakcie przyszłej pentady.

Avile włączył się w rozmowę, jakby dano mu oczekiwany znak.

– To... zaskakująco szybko. – Jemu wolno było wyrazić wątpliwość. – Pozostaje mi mieć nadzieję, że podróż Najjaśniejszych przebiega spokojnie.

Wymawiał te słowa z absolutną pewnością, że Najjaśniejszym spokoju nie zbywało. Czyjaś pośpieszna decyzja; przekraczanie górskiej granicy pod niewystarczającą eskortą; podróż przez wynaturzone, obce ziemie, gdzie każda wieś ma swój własny język. Coraz wyraźniej widział bieg wydarzeń. Niegasnące naprawdę musiało przychylnie patrzeć na swoich śmiertelnych wysłanników, jeśli książętom nic się nie stało.

– Tak było – odparł kurier z wystudiowaną łagodnością. – Najjaśniejsi bardzo cenią sobie tutejszą zieleni.

– Najjaśniejsi...? – Avile uniósł brwi. – Czy wolno nam poznać tożsamość naszych gości?

– Wybaczcie – odpowiedział tamten tonem, który nie miał wiele wspólnego z przeprosinami. – Wydawało mi się to oczywiste. – Gestem głowy wskazał na pieczęcie w dłoniach Avile.

Słońce w koronie. Słońce, w które wpisano oko. Wypełniona barwnikiem czarna źrenica zdawała się pochłaniać światło.

– Najjaśniejsi – powiedział bezgłośnie Avile.

Wysłano im nie tylko członka królewskiej rodziny, ale i osobę wybraną przez Niegasnące. Ktoś starannie wyreżyserował tę tragedię – bo teraz Avile wyzbył się wątpliwości, że to musiało się skończyć tragicznie.

Gdy kurier mówił o Najjaśniejszych, mógł mieć na myśli nie tylko rodzinę, ale i pojedynczego człowieka. Czasami rodziło się dziecko niebędące ani kobietą, ani mężczyzną – dwie osoby w ciele jednej, podwójne, pełne jak bóstwo. Wybrane. Zazwyczaj takim dzieckiem szybko interesowali się kapłani i przyuczali do podtrzymywania boskiego ognia, widząc w podwójności dobry omen. Jeden z nielicznych sposobów, na jakie Niegasnące odsłaniało się przed swymi wyznawcami. Zdarzało się też, że takie osoby odmawiały służby w świątyni, ale Avile nie mógł sobie przypomnieć podobnego przypadku. Na pewno nie w rodzinie królewskiej. A nawet jeśli – Źrenica nie powinna wypuszczać tak cennej osoby poza mury.

Posłaniec uprzejmie poczekał, aż jego rozmówcy przyjmą nową informację do wiadomości.

Osun odkaszlnął.

– Z niecierpliwością oczekujemy przybycia Najjaśniejszych i mamy nadzieję, że wybaczą nam ubóstwo naszej ziemi – powiedział zduszonym głosem.

Avile z trudem powstrzymał się od wymownego omięcenia wzrokiem przepyszej architektury wyśnionego pałacu.

– Najjaśniejsi Eliri przekazują najserdeczniejsze pozdrowienia – tu twarz kuriera drgnęła; choć wciąż cytował wyuczoną formułkę, to Najjaśniejsi pozwolili sobie na ustępstwo od protokołu. – I wyczekują pobytu w Sahit. – Złożył ręce, kończąc wypowiedź.

– Dziękujemy za wiadomość – odpowiedział Osun, skłaniając lekko głowę. Poślaniec powtórzył gest.

Na znak isbeta służący odprowadzili kuriera do pokoju, w którym mógł odpocząć przed powrotem. Doradcy zostali sami.

– I co o tym myślisz? – Osun potarł czoło.

– Nie wiem, co zrobili Najjaśniejsi, by koronie tak zależało na ich śmierci – mruknął Avile. – I by do tego stopnia chciała się od nich odciąć.

– Oczywiście – prychnął kasser. – Najjaśniejsi przybywają w geście dobroduszości wobec zdziczałej prowincji, tu przydarza im się nieszczęśliwy wypadek, za który winę ponosi nieudolność zarządców przedmurza...

– A Żrenica zyskuje powód, by wzmocnić kontrolę nad Nową Saadą – wszedł mu w słowo Avile.

Mógł to sobie wyobrazić: oddziały znów przekraczające górską przełęcz. Wypatrywanie błękitnych oczu lub rudawego połysku włosów. Czegokolwiek, co zdradziłoby choć kroplę raseńskiej krwi. Przeszukiwanie domów, których mieszkańcy mogli ukrywać malastry. Czystki wśród wędrownych grup, jakich mnóstwo zamieszkiwało teraz dawną Rasennę. Krew zawrzała mu w żyłach. To już raz się zdarzyło. Źródło pamiętało i odzywało się jękiem tysięcy zabitych.

– Ta teoria ma jeden słaby punkt. Do tego wystarczyłoby pierwsze lepsze książątko – mruknął Osun, głuchy na to, co działo się w źródle isbeta. – Przyjeżdża tutaj pod dowolnym pretekstem, niech będzie nawet wygnanie, ginie, Saada musi interweniować. Nie jesteśmy warci poświęcenia w osobie boskich wybrańców. Być może Najjaśniejszych wcale nie przepędzono. Być może komuś zależało, by nadać poselstwu ze Żrenicy odpowiednie znaczenie.

– Najjaśniejsi Eliri nie mieli nic wspólnego ze świątynią. Świątynia znajdzie dość podwójnych dzieci w Saadzie, a korona będzie strzec ich jak oczu Niegasnącego. – Słowa Avile wciąż były słabe, ale krzyk w jego uszach wreszcie osłabł, pozwalając mu odzyskać jasność myśli.

Osun wzruszył ramionami.

– Są symbolem. Są czyści. Gdybym chciał, by ktoś orzekł herezję Nowej Saady, cieszyłbym się z ich obecności.

– Żrenica nie przejmuje się heretykami, póki ci nie próbują kwestionować władzy korony za pomocą ostrych narzędzi.

– Może nie w Saadzie. – Kasser uśmiechnął się kwaśno. – Ale tutaj? Jesteśmy dość daleko, by nawet pozornie niewinne odstępstwo mogło przerodzić się w schizmę.

Avile niechętnie przyznał mu w duchu rację. Odruchowo przeprosił echa źródła. Teraz powinien słuchać Osuna.

– Szczególnie że wysłali ich do nas. Do miasta, które samo mianowało się stróżem Nowej Saady. – Ukrył twarz w dłoniach. – Prosiliśmy się o to. Puste nieba. Żrenica musi być zachwycona.

Kasser odchrząknął.

– Nie mieliśmy wyjścia – powiedział przez ściśnięte gardło, głosem równie słabym jak wtedy, gdy rozmawiał z kurierem. – Naprawdę nie mieliśmy wyjścia.

– Próbowaliśmy uniknąć gorszej katastrofy, ale brakło nam wyobraźni. – Avile potrząsnął głową. Gdyby nie znajdował się w centrum tej sytuacji, śmiałyby się nad jej ironią. Widząc jednak ściągnięte rysy Osuna, spoważniał. – Naprawdę sądzisz, że chodzi im o herezję jako pretekst?

– Czy wyobrażasz sobie, co musieliby zrobić Najjaśniejsi, by ich wygnano? – zapytał retorycznie kasser.

Avile tylko rozłożył ręce.

– Muszą być bardzo pewni siebie. – Osun zdawał się mówić do siebie. – Przekonani, że nic im się nie stanie. I tak musi pozostać. Nie może im spaść włos z głowy. Będziemy ich chronić – oznajmił, jakby same te słowa mogły zakłąć rzeczywistość. – Także przed chorobą anaksa.

Popatrzył znacząco na isbeta. Avile zmusił się do uciszenia źródła.

Miesiąc sierpów, piąta pentada, dzień czwarty

Tej nocy Zaihab się nie bała; ściany gniazda od rana wibrowały tłumionym śmiechem stwórcy. Póki próbowała przekonać Arit, by ta jej pomogła, Vesui jej kibicował, gdy arystokratka odmówiła pomocy, zaczął napawać się smutkiem Zaihab. Hierodula nie mogła tego przed nim ukryć – zresztą, stwierdziła w złości, wszystko jej jedno, niech Vesui częstuje się jej lękiem, ona nie będzie tracić czasu na ukrywanie przerażenia. Miała ważniejsze zadanie.

Obwodząc palcem bliznę zostawioną przez Opiekunkę, zastanawiała się, co jeszcze może zrobić. Nie kontaktowała się z nikim – poza Vesui, który chciał się nią wyręczyć, ale nie miałby oporów przed zamienieniem jej w skrzydlatego ducha, gdyby poniosła porażkę. A może stwórcy już zapomniał o isbecie? Tego też nie wykluczała. Wciąż nie miała pewności, czy bóstwo działa według

jakiegoś niesłychanie skomplikowanego planu, czy po prostu ulega zachciankom – a postronni ulegają złudzeniu celowości.

Gdyby zrozumiała stworzyciela, być może już znalazłaby sposób na opuszczenie gniazda. Ale wyrzucanie sobie niewiedzy było równie bezcelowe co próby ukrycia strachu przed Vesui. Musiała myśleć.

Znała już na pamięć fakturę znamienia, krzywiznę jego krawędzi.

Gdy poczuła na odsłoniętych ramionach chłód wieczoru, wiedziała już, czego zażyczyć sobie od bóstwa.

– I co zrobisz teraz, Zaihab? – przywitał ją głos Vesui.

– Chcę wysłać wiadomość. Do kogoś, kogo widzisz – powiedziała.

Vesui przysunął się bliżej, podciągając się na rękach. Dziś pachniał kadzidlany dymem.

– Och. Powiedz mi więcej – zachichotał.

Zaihab zachowała kamienną twarz.

– Wiem, że nie zrobisz tego za darmo – dodała.

– Nie wiem, czy w ogóle to zrobię. Przekonaj mnie. – Oparł się o jej ramię. Przez pióra ledwo czuła zarys jego pleców. Vesui wydawał się zwodniczo kruchy.

– Zrobisz to – powiedziała z przekonaniem, choć jej głos był bezbarwny. Z całej siły starała się nie zdradzać zainteresowania. – Bo, tak jak ja, byłeś pod wrażeniem Tisar, która się tu włamała. Czułam twój zachwyt w odpowiedzi na jej śmiałość.

– Lubię ją.

Zaihab nie wyobrażała sobie nawet, co to znaczy, że Vesui kogoś lubi.

– A ona ci ufa – ciągnęła niezrażona. – Chcę, żeby znów tu przyszła.

– Pewnie zrobi to, prędzej czy później.

– Nie mam czasu – warknęła Zaihab. – Zależy mi, by to było „prędzej”.

Vesui znów zachichotał.

– O ile wiem, nieistnienie nie boli. Nie będzie żadnej części, która by mogła odczuwać ból, rozumiesz?

Zaihab zacisnęła zęby.

– A isbet wciąż pozostanie niewidoczny. Po tym, jak mnie odnalazł, stał się pewnie najpopularniejszym politykiem w Sahit. Naprawdę chcesz czekać, aż wypadnie z łask?

– Nie – odparł Vesui po długim milczeniu. – Nie chcę.

– Więc wezwiesz ją tutaj? – Mimowolnie przycisnęła dłoń do piersi, by uspokoić serce. Danie jej nadziei też mogło być okrutnym żartem Vesui, ale...

– Wezwę – burknął wreszcie. – Nie chcę ci ułatwiać wywiązania się z umowy, ale zrobię to.

Zaihab zamarała w oczekiwaniu na resztę odpowiedzi. Na jakieś „ale”. Na warunek. Vesui nie robił nic za darmo.

– Wysłanie wiadomości kosztuje – szepnął. – A ja nie będę się dla ciebie męczył. Nie będę oddawać kilku chwil swojego życia dla jakiejś cwanej Saadyjki.

Wstrzymała oddech.

– Ale jeśli zależy ci na tyle, by już teraz oddać kawałek swojego życia? – Odsunął się od niej i wzruszył ramionami. – Czemu nie?

– Ile to jest „kawałek”? – zapytała podejrzliwie.

Nie wierzyła, że zadaje to pytanie. Że poważnie rozważa oddanie części swojego życia stworzycielowi. To, że w ogóle z nim rozmawia, było wystarczająco niebezpieczne. Gdy zawarła z nim pakt – wiedziała, że nie powinna była tego robić, całe jej jestestwo sprzeciwiało się tej decyzji. Obecna umowa była zaś zaledwie kolejnym krokiem, niechętnym, powolnym, ale niebudzącym w niej większych emocji. Miała cichą nadzieję, że gdy opuści gniazdo – jeśli opuści gniazdo – zapomni o tym. O ciszy i pustce, kiedy wreszcie, zgodnie ze swoim życzeniem, zamarzyła.

– Skąd mogę wiedzieć? – zachnął się Vesui. – Rok, dwa? Dziesięć? Piętnaście? Może dzień? Albo siedem oddechów?

Zaihab westchnęła z rezygnacją.

– Zgoda.

– Naprawdę?

– Tak – powiedziała zirytowana. Chciała to mieć za sobą. Nim się rozmyśli. Nim wyobrazi sobie, jak wielka będzie jej strata.

– Zgadzasz się? Nie cofniesz się w ostatnim momencie i nie sparzę się znowu?

– Nie cofnę się – powtórzyła za nim, zaciskając zęby. – O ile zrobisz to dostatecznie szybko.

Vesui w milczeniu ujął jej prawą dłoń. Ten gest był niemal przyjacielski. A może po prostu stworzyciel był zbyt skupiony, by móc się wyzłośliwić. Dotknął opuszkami wnętrza jej dłoni, tak jak wczoraj. Lecz dziś jego palce zanurzyły się w ciele, jakby skóra Zaihab się roztopiła. To nie bolało, ale stworzyciel mimo wszystko przytrzymał dłoń hieroduli w uścisku, gdyby ta spróbowała się wyrwać.

Jego palce były chłodne, lecz zdawały się nagrzewać ciepłem Zaihab. Jej zaś zaczynało być coraz zimniej. Przypominało to chłód zamknięcia, martwość ziemi jałowej, bezruch miejsca, z którego wyszane zostało wszelkie życie. Zaihab straciła czucie w opuszkach. Zimno wnikało w jej palce, krążyło we wnętrzu dłoni jak negatyw znamienia. Sięgało nadgarstka. Przystawało być uciążliwe. Mogłaby przywyknąć.

Tymczasem znów wydawało jej się, że tonie, że posadzka roztapia się pod nią równie łatwo, co jej własna skóra, a ona spada, w miękkość, w pajęczynę cudzych wspomnień. Wciąż czuła przenikliwe zimno osiadające w kościach dłoni, ale czuła też zapach spalenizny. Nie do pomylenia z niczym innym. Swąd drewna, tkanin i...

Vesui przycisnął dłoń do nosa i ust.

...ciał.

Szedł przez opustoszałe miasto, całe w bieli. Z niedowierzaniem dotykał nietkniętych ścian domów i przetworzonej skały, która zdążyła już ostygnąć. Ale ogień jeszcze nie wygasł zupełnie. A Vesui nie był tu sam.

Strząsnął płatki popiołu z ramion i wszedł do najbliższego domu, przeskakując po dwa, trzy stopnie. Gdy stał na piętrze, ktoś na zewnątrz zawołał jego imię.

– Vesui!

Stworzyciel zamarł.

– Vesui, przyjdź do mnie!

Zaihab nie znała tego głosu, ale było dla niej jasne, że bóstwo dobrze wie, do kogo on należy. Vesui zeszytniał ze strachu. Trwało to krótką chwilę, ale Zaihab nie mogła mu nie współczuć. Pamiętała to obezwładniające przerażenie, gdy morze zamknęło się nad nią, przekonanie, że to już koniec i nic tego nie zmieni.

Nie potrafiła tylko wyobrazić sobie, kto miałby nad Vesui taką władzę, by sam głos tej osoby doprowadzał go do takiego stanu.

Stworzyciel otrząsnął się i wbiegł na kolejne piętra. Zatrzymał się dopiero na najwyższym. Nad sobą miał tylko białe sklepienie.

– Vesui!

Gorączkowo rozejrzał się dookoła. Nie miał już gdzie uciekać. Dom tymczasem rozbrzmiał echem kroków.

– Vesui – powtórzył głos ze znużeniem.

Stworzyciel dopadł do okna. Na widok ulicy w płomieniach zakręciło mu się w głowie. Kiedyś nie zastanowiłby się nad tym dwa razy, ale teraz był tak słaby, tak potwornie słaby.

Z drugiej strony, co miał do stracenia? Przesadził parapet i szeroko rozłożył ramiona. Zacisnął oczy.

W dole płomienie pełzały po ścianach, których nie mogły pożreć. Stworzyciela uderzyły chmury gryzącego dymu, próbował nie oddychać, nie myśleć, ale czuł tylko wypalające mu płuca gorąco...

...zimno.

Zaihab wyrwała rękę z uścisku bóstwa. Jej nadgarstek eksplodował bólem.

Przytuliła lodowatą dłoń do siebie, jęcząc cicho. Ostrożnie dotknęła palców lewą ręką. Przypominały w dotyku suche gałęzie – poskręcane, rachityczne, łykowane, bez czucia. Spróbowała nimi poruszyć. Nic. Uszczypnęła skórę okaleczonej dłoni. Nic.

– Co zrobiłeś, Vesui? – wyrzuciła z siebie.

Stworzyciel szarpnął ją za ramię, chcąc obejrzeć dłoń. Zaihab go odepchnęła.

– Co zrobiłeś? – powtórzyła.

– Tylko to, co powiedziałem. Wziąłem trochę życia – szepnął. – Nie wiedziałem, co się stanie.

Nie żałował. Nie, wciąż był Vesui. Był tylko... zaskoczony.

Zaihab przełknęła łzy.

– Trochę mojego życia – powiedziała.

– Sama się na to zgodziłaś – odparł obronnym tonem.

Zaihab pokręciła głową. Nie potrafiła wykrztusić ani słowa. Próbowana zmusić się do myślenia, że to poświęcenie przybliży ją do ucieczki, że było warto. Ale czuła tylko pulsowanie tępego, widmowego bólu w okaleczonej dłoni.

Vesui wytrzymał w bezruchu zaledwie minutę. Zaczął się wiercić i rozkładać skrzydła.

– To co chcesz przekazać Tisar? – zapytał.

Miesiąc sierpów, piąta pentada, dzień piąty

Doradcy patrzyli przez okna na służących, którzy kończyli rozwieszać girlandy i lampiony w ogrodzie. Z gałęzi drzew spływały białe i złote wstążki. Kilka osób w jednakowych, jasnobrązowych kaftanach krzątało się między stołami, wnosząc kolejne patery owoców.

Rok wszedł w swoją ostatnią fazę, gdy Niegasnące wisiało nisko nad horyzontem, a dni stawały się coraz krótsze. W starej Saadzie ten dzień oznaczał najgorszy punkt roku, między końcem wylewu rzeki a początkiem ochłodzenia – a tym samym koniec suszy. W Nowej Saadzie świętowano go z przyzwyczajenia – lub może raczej z poczucia lojalności wobec ojczystego kraju. Susza była niemożliwa do wyobrażenia sobie, gdy nad ogrodem roznosił się mocny, upajający zapach kwiatów późnego lata.

– Musisz przyznać – Avile przełamał milczenie, uśmiechając się krzywo – że Najjaśniejsi mają wyjątkowe wycucie dramatyzmu.

Osun parsknął w odpowiedzi.

– Nie mamy wiele czasu – powiedział Avile, raczej do siebie niż do drugiego doradcy. – Chcą porozmawiać z anaksem przed rozpoczęciem święta.

– Na co więc czekasz? – Kasser uniósł brwi.

Avile odwrócił wzrok.

Odwlekał ten moment, jak tylko się dało. Osun o tym wiedział; a przynajmniej się domyślał. Nie zadawał zbyt wielu pytań.

Avile niejednokrotnie gratulował sobie tego osiągnięcia. To było najlepsze, najpiękniejsze kłamstwo, jakie mu się udało: przekonać wszystkich, że to w Taarut rozplenila się dzika, wściekła magia. I przekonać Osuna, że anaksa Sahit trawi jedna z dawnych chorób tego miejsca, gdy tymczasem był on magiem.

Magiem. Zbyt wiele powiedziane. Prawdziwi magowie – magowie Rasenny – potrafili podporządkować sobie wypaczony okruczeństwo boskiej iskry. Tymczasem anaks był jedynie dowodem na to, jakie spustoszenie czyniła owa iskra, nie będąc związana z krwią. Źródło mściło się, skręcało w chorobę, w krwawą gorączkę trawiącą ciało.

– Do zobaczenia później – powiedział, wymijając Osuna. – Wezwij Najjaśniejszych.

W myślach zaczął prosić o pomoc swoich przeszłych. Jeszcze go słuchali, choć ostatnimi czasy miał tak wiele próśb; cierpliwość przeszłych musiała mieć swoje granice. Avile spodziewał się, że nastanie dzień, gdy na jego „robię to dla was” popatrzą na niego z niedowierzaniem w pustych oczach i zamiast udzielić swojej pieśni będą się nim tylko karmić. Miał nadzieję, że nie nastąpi to dziś.

Strażnicy przed apartamentem anaksa rozstąpili się na jego widok. Z komnat dla gości rozlegał się śmiech pograżonych w rozmowach kuzynów. Avile lawirował między ludźmi w barwnych, zwiewnych szatach. Zapukał w drzwi osobistych pokoi.

– Wasza Wysokość? – zapytał.

W ogrodach rozgrywał się spektakl świateł. Świece migotały za kolorowym szkłem lampionów, ich refleksy tańczyły na strojach gości. Saadyjczycy przywieźli ze sobą upodobanie do drogich ubiorów: status nierzadko wygrywał z wygodą, gdy arystokracja wdziewała zasłaniające ciało, bogato haftowane szaty nawet w największe upały. W ten wieczór surowy krój kurt i spódnic zastąpiono lżejszymi, nieformalnymi strojami w oszałamiającej feerii barw grającej na jedwabnych trenach. Wchodzący do ogrodów goście witali się ze sobą, wznosili toasty, przedstawiali najmłodszych przedstawicieli swojego ogniska.

Avile starał się trzymać z dala od towarzystwa; choć wyszedł z komnat anaksa dłuższą chwilę temu, wciąż kręciło mu się w głowie, a nogi miał jak z waty.

Odstawił czarkę z winem na cokół donicy, by nie zdradzać drżenia dłoni. Choroba anaksa stawała się coraz bardziej uciążliwa i trudna do ukrycia – zaś przeszli Avile coraz mniej skorzy do pomocy. „Po prostu go zabij” – szeptali w złości, gdy między dłońmi isbeta kotłowała się nieforemna, nieposłuszna czerwień.

I tym razem udało mu się opanować chorobę, choć ta walczyła zawzięcie i nawet teraz, przyduszona, zdołała napierać na jego jaźń. „To będzie trudny wieczór” – pomyślał ponuro, dyskretnie wylewając wino na skraj trawnika.

Po prostu go zabij.

Avile uśmiechnął się gorzko do echa w swojej głowie. Nie mógł tego zrobić. Za dużo poświęcił, by znaleźć się tu, gdzie był teraz; by – tak – pozwolić zarządcy chorować, by podtrzymywać tę farsę. Czy potrafiłby go „wyleczyć”? Nie było co leczyć, ale zarysowanie tej możliwości przed Osunem czyniło Avile niezbędnym i nietykalnym.

Dzień, w którym Osun przyszedł do niego po pomoc, wydawał się Avile prezentem od losu. Jakby obojętne Niegaszące nagle uśmiechnęło się do niego.

Równie radosnym zbiegiem okoliczności był fakt, że sytuacja znalazła się poza jego kontrolą; mógł zaprzeczyć swojemu udziałowi. Został zmuszony.

– Jesteś Rasenem – wycedził Osun, gdy obaj stali nad śniącym opiumowe sny anaksem. – Jeśli nie jesteś w stanie mu pomóc, nie wyjdiesz z tego pokoju żywy, rozumiesz?

Czerwień rzucała się ku Avile, liżąc jego źródło. Wzdrygnął się z obrzydzeniem, ale nie spróbował się odsunąć. To był moment, na który czekał. Pracował nań przez dziesięć lat, odkąd zostawił Irsę. Dziesięć lat milczenia i przyzwalania, by niszczone to, co ocalało z raseńskiej kultury. Czerwień – miała imię, lecz nie chciał go używać – wiedziała i o tym. Smakowała jego szalonej nadziei – i strachu.

Avile nie był lekarzem, choć mógł nim zostać; korzystał już wcześniej z przywilejów lewej dłoni: z prawa do podejmowania decyzji, których nie wolno było podejmować nikomu innemu. Lewa ręka kierowała skalpel lub ostrze kata.

Albo wolę maga, który właśnie zobaczył swoją szansę.

– Potrafię mu pomóc – powiedział Avile, którego tunika w ciągu kilku chwil przesiąkła zimnym potem.

Czerwień zawrzała.

– A ty uczynisz mnie isbetem – dodał, patrząc śmiało w oczy Osuna. – Żle byłoby, gdyby wieść o chorobie zarządcy wydostała się poza pałac, prawda?

Teraz z tamtej euforii nie zostało prawie nic; za to zmęczenie coraz bardziej dawało się we znaki. I coraz trudniej było powtarzać sobie – i przeszłym – żeby jeszcze trochę wytrzymać.

Ale Avile jeszcze wytrzymał. Z odrobiną dumy popatrzył na anaksa, który owszem, wydawał się wyczerpany, ale zdrowy i przytomny; wyciągał właśnie urękawiczoną dłoń ku służącemu rozlewającemu gościom wino. Miejsce zmarłej partnerki anaksa od lat pozostawało puste, mimo nalegań Osuna, by ojciec znalazł jej następczynię lub następcę, bo tego właśnie oczekiwały lokalna arystokracja i najsilniejsze ogniska. Ale anaks zdecydowanie nie był samotny – otaczały go dorosłe już dzieci, kuzyni, jego własne ognisko. Wszyscy oni nosili naszyjniki stylizowane na pętcę. Avile pogratulował im w duchu: byli tak dumni, tak saadyjscy, jakby to miejsce nie zdołało ich zmienić. Byli tym, co Żrenica chciała tu zobaczyć.

Najjaśniejsi Eliri siedzieli przy stole anaksa, w otoczeniu jego rodziny i swojej służby. Mieli wyraźnie ciemniejszą karnację od mieszkańców Nowej Saady, a ich jasna szata podkreślała jeszcze ten kontrast. Materiał opinał się na miękkim brzuchu, odsłaniał pulchne, ozdobione złotem ramiona; nawet ich ciało, dobrze odżywione i zadbane, było manifestacją przewagi. Avile wiedział o tym, rozumiał, że to wykreowany wizerunek, ale nie zmieniało to faktu, że i on nie był całkowicie obojętny na harmonijne rysy Najjaśniejszych, piękno złotych oczu, swobodną elegancję. Eliri nie potrzebowali symbolicznej słonecznej tarczy wpiętej we włosy, by zwracać uwagę; było to dla nich równie łatwe, co oddychanie. Oparli się o podłokietnik, przysłuchując się rozmowie z uprzejmym zainteresowaniem. Zdawali się nie zauważać, że wokół nich służący chodzą ostrożniej, a straż anaksa nie spuszcza z nich wzroku. Posłali przechodzącą szlachciankę promienny, leniwy uśmiech.

Avile zauważył z odrobiną satysfakcji, że i Osun uległ urokowi gości. Siedział po prawicy zarządcy, pochylony ku Eliri. Słuchał ich z uwagą, choć – tego Avile był pewien – bawił się równie źle, co on sam. I zapewne niewiele gorzej niż Najjaśniejsi.

Świadomość, że w otoczeniu królewskich potomków Avile posadził swoje oczy i uszy, ludzi pracujących dla niego w tajemnicy przed anaktorionem, była niewielką pociechą. Isbet znów powiódł wzrokiem ku Eliri. Czy się bali? Jeśli tak – dobrze ukrywali swoje obawy. Nie spodziewał się niczego innego po kimś wychowanym w Żrenicy.

Mogło też być i tak, że największym zagrożeniem był dla nich anaks. Czerwień wciąż się burzyła, dużo słabiej niż wcześniej, lecz naciskała na wolę Avile, próbując wyrwać się na wolność. Isbet nie mógł zostawić anaksa samego na zbyt długo.

Podniósł opróżnioną czarę i na chwiejnych nogach podszedł do stołu, by usiąść po jego lewicy, naprzeciwko Eliri, którzy mimo protestów Avile zaraz polecieli nalać mu więcej wina. Isbet zmusił się do zanurzenia w nim warg. Na

szczęście nie musiał wiele mówić – ledwo wznosił toast za zdrowie Najjaśniejszych, a do ogrodów wszedł pieśniarz w otoczeniu tancerzy i muzyków.

Ten sam spektakl, kilka razy do roku. Za każdym razem towarzyszyło mu pełne bólu wycie przeszłych, które słyszał tylko Avile.

Pieśniarz oparł wykręcone artretyzmem dłonie na ramionach swoich uczniów, by wejść na platformę. Jego pomarszczona skóra była cienka jak jedwabne księgi, poznaczona wyblakłymi tatużami i starczymi plamami. Mimo to mężczyzna śpiewał czystym, mocnym głosem. Wyśpiewywał historię Saady od samych jej początków, od czasów, które równie dobrze mogły być wysnzione, poprzez suszę i klęskę głodu, po przemarsz armii nad górami. Niektórzy goście wstali i słuchali o czerwonych sztandarach, przyciskając pięści do szarf w tym samym kolorze. Avile też zaciskał dłonie w pięści, choć nie ze wzruszenia.

Nim opowieść dobiegła końca, usunął się w głąb ogrodu, poza blask lampionów. Oddychał ciężko. Echa w jego sercu ścierały się z obcą pieśnią. Żądały wyśpiewania ich pamięci. Innej pieśni. Albo innego zadośćuczynienia.

Po prostu go zabij.

Po prostu ich...

Avile przykucnął, oparł czoło o chłodny marmur kolumny. Dygotał jak w gorączce. Walczył z własnymi przodkami, z czerwienią anaksa. I nigdy nie był tak pewien tego, że przegra, że cokolwiek wyjdzie z tego cało, nie będzie już więcej nim. Cokolwiek by zrobił, to wciąż było zbyt mało, zbyt późno. Przywykł do tego, że Saadyjczycy traktują go podejrzliwie, ale odkąd został ostatnim ze swojego źródła, nie było dnia, by nie nękało go zniecierpliwienie przeszłych, coraz słabiej pamiętających swoje ludzkie życie. Nie potrafił ich zadowolić. Przeszli nie rozumieli jego planu, byli głusi na wyjaśnienia; chcieli odwetu, krwi, ofiary. Byli odarci z osobowości, został w nich tylko instynkt, a Avile czasem się zastanawiał, czy ten niepohamowany głód, ta chciwość, to jest właśnie źródło.

Odepchnął od siebie i przeszłych, i czerwień. Jeszcze wygrywał, jeszcze pamiętał siebie, choć był bardziej wyczerpany niż po tym, jak pomagał anaksowi. Szarpnął dłońmi materiał tuniki przesiąkniętej zimnym potem. Marzył o tym, by udać się do swoich apartamentów i nie opuszczać ich do rana, ale wiedział, że musi jeszcze wrócić do stołu anaksa. Teraz chciał dać sobie czas na ochłonięcie.

– Avile sur Irsa?

Podniósł głowę, próbując skupić wzrok. Zdawał sobie sprawę, jak żaloszny widok obecnie stanowi, lecz nie miał dość siły, by wstać. Zapomniał o godności.

– Kto pyta? – wychrypiał.

W półmroku przed sobą, jak przez mgłę, dostrzegł sylwetkę barczystego mężczyzny. Czyżby któryś z Saadyjczyków? Był tym co najwyżej zdziwiony,

jakby ta sytuacja spotkała kogoś innego, a on, Avile, występował jedynie w roli obserwatora.

Wrażenie nie osłabło nawet wtedy, gdy nieznajomy schwycił go za ramiona i zmusił do podniesienia się z ziemi. Ani nawet wtedy, gdy Avile go rozpoznał.

– Smuga z Kompanii Buław – rzekł mężczyzna.

– Wysłała cię tu Tisar? – Avile mglście przypomniał sobie, że widział kondotierkę w ogrodzie. – Nie – sam sobie odpowiedział, gdy mężczyzna uciekł spojrzeniem w bok. Smuga nie potrafił kłamać. – Ona nawet nie wie, że tu jesteś. Prawda?

– Nie ma potrzeby mieszania do tego Tisar. – Smuga popchnął go ku kolumnadzie. Avile cofnął się, licząc, że wreszcie zatrzyma się na kolumnie, że odpocznie od niemożliwego teraz wysiłku, jakim było utrzymanie się na nogach. Ale za sobą napotkał jedynie pustą przestrzeń.

Wrzasnął, a w tym samym momencie Smuga zaklął i schwycił materiał tuniki isbeta. Avile popatrzył na żołnierza przytomnym wzrokiem.

Jeszcze był sobą, jeszcze był obecny, jeszcze się bał.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Odpowiedzi. – Smuga trzymał w garściach tunikę Avile, lecz w każdej chwili mógł go wypuścić. Isbet zastanowił się przelotnie, jak długo spadałby z ogrodowego tarasu. Ta myśl okazała się mniej przykra, niż się spodziewał. Niemalże mile widziana.

Po prostu go zabij.

Spróbował wzruszyć ramionami w oczekiwaniu na pytanie.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. – Żołnierz zachnął się i pchnął go na ścianę. – Co jest w Taarut?

Avile pokręcił głową. Nim zdążył wziąć kolejny oddech, Smuga przygwoździł go do ściany, podduszając.

– Co jest w Taarut? – powtórzył, akcentując każde słowo.

Isbet odepchnął go, łykając haustami powietrze.

– Magowie. To nigdy nie było tajemnicą. – Odkaszlnął. – Może gdybyś słuchał, co się do ciebie mówi...

Smuga znów popchnął go na ścianę.

– Słucham – warknął – i nie wierzę. Gdyby w Taarut faktycznie czekała na nas magia, nie robilibyśmy pikniku pod miastem, tylko przechodzilibyśmy przez ręce waszych chirurgów. O ile zależy wam na zwycięstwie, a nie na spektakularnej porażce. – Zmrużył oczy. – Ale wtedy Tisar nie byłaby w takiej euforii. Taarut będzie nasze? Co jej nagadałeś?

– Ja? Nic. – Avile odruchowo odwrócił dłonie wierzchem do góry, choć dla niego ten gest już dawno przestał mieć cokolwiek wspólnego z autentyczną

szczerością. – Jeśli obiecała wam zwycięstwo, to chyba ją powinieneś przyciskać do ściany...

Cios Smugi pozbawił go tchu.

Avile zgiął się wpół, kaszląc. Pociemniało mu przed oczami. Zamieszkująca go czerwień wykorzystała ten moment, próbowała owinąć wokół jego myśli obcą, lecz przecież znajomą pieśń.

– No dalej – stęknął, starając się ją odepchnąć. – Zobacz, gdzie cię zaprowadzi atakowanie urzędnika mianowanego przez koronę.

– Atakowanie ciebie może mi otworzyć zaskakująco wiele drzwi – powiedział Smuga z pogardą.

– Ale raczej nie da ci odpowiedzi – zdołał wykrztusić Avile, nim spadł na niego kolejny cios.

Znów ciemność, a za tą ciemnością skłębiony obcy byt, który tylko czekał na chwilę jego słabości.

– Co jest w Taarut?

W zupełnie innym zakątku pałacu, oświetlonym lampionami, anaks Sahit zamarł z pucharem w połowie drogi ku półotwartym ustom, z których nie wydobył się żaden dźwięk. Eliri pochylili się ku niemu.

– Czy coś się stało?

Anaks wpatrywał się w nich pustymi oczami.

– Czy... – ostrożnie dotknęli urękawiczonej dłoni mężczyzny. – Czy dobrze się anaks czuje?

Nawet przez cienką jagnięcą skórę rękawiczki ręka anaksa była lodowata.

– Czy anaks mnie słyszy? – zapytali.

Avile się wyprostował. Czerwień się wycofała.

– Zbuntowana, wściekła magia – powiedział, patrząc w oczy Smugi. – O czym wkrótce sam się przekonasz, jeśli nie zdezerterujesz wcześniej.

– Kłamiesz.

Avile przywołał na wargi ponury uśmiech. Poczul na języku smak krwi.

– Skoro sam sobie odpowiedziałeś, po co traciłeś czas na pytanie mnie?

Odwrócił się od Smugi. Żołnierz szarpnął go za ramię, Avile wywinął się, ale pękł jeden ze sznurków przytrzymujących jego ozdobny pas. Na podłogę z suchym łoskotem posypały się kościane znaczniki. A między nimi, zupełnie inny, metaliczny brzęk, echo pieśni...

Smuga znieruchomiał. Czerwień podniosła się wokół nich jak ściana. Była tylko czerwienią – nieprzeniknioną, gęstą, bezcielesną – lecz Avile i tak wydawało się, że coś spoza niej patrzy chciwie na jego malastrę.

Żołnierz się cofnął. Z jego gardła wyrwał się histeryczny śmiech.

W ciągu kilku uderzeń serca Avile musiał podjąć decyzję. Wiedział, co podszeptywali mu jego przeszli – ten sam zniecierpliwiony głos tłumu, dla którego życie Saadyjczyka nie miało żadnej wartości – i wiedział, że byłoby to łatwe; łatwiejsze niż zanurzenie się w umysł Smugi i zabranie mu tego jednego wspomnienia. Jego przeszli nie mieli wątpliwości. Nie marnowaliby źródła na kogoś, kto był głuchy, obojętny, pusty.

Lecz Avile nie był swoimi przeszłymi. Szybkim ruchem zebrał znaczniki i malastrę.

– Popatrz na mnie – polecił Smudze. – Nie ruszaj się – dorzucił ostro, gdy żołnierz zrobił krok w jego stronę. – Po prostu patrz na mnie.

Sam zmusił się do oderwania wzroku od lepkiej czerwieni. Przywołał do siebie źródło. Było coraz cieńsze, przesiąkało mu przez palce. Zagarnął je znów, uparcie, aż wreszcie usłyszał znajomą, miarową pieśń. Wtedy sięgnął do myśli Smugi.

Nikom wcześniej tego nie robił – splatanie na nowo cudzych wspomnień wymagało dyscypliny, precyzji i siły. I przekonania, którego nigdy dotąd nie miał. Ale teraz, gdy zagrożone było jego źródło, wycięcie fragmentu czyjejś pamięci wydawało się małą przewiną. Mniejszą niż zabójstwo.

Miał poczucie, że zanurza ręce w gęstej substancji, niewiele różnej od czerwieni, wobec której miał zaraz stać się bezbronny. On – i anaksster. Dlatego Avile musiał działać szybko. Wiedział, czego szuka; wspomnienie musiało być gdzieś blisko, tuż pod powierzchnią. Natrafił na nie dłonią. Zobaczył je pod powiekami, zobaczył siebie w oczach Smugi, malastrę odbijającą światło dwóch księżyców i ścianę czerni wokół. Wspomnienie zanurzało się coraz głębiej, łączyło się z innymi: Tisar – Buławy – czerwony sztandar wijący się na wietrze – puste oczy bohaterów Saady – znów Tisar...

Wyrwał wspomnienie razem z korzeniami, z całą drobną siecią skojarzeń, którą zdążyło zbudować. Nie wiedział, co wyrzywa Smudze i jakie będą tego długotrwałe konsekwencje.

Rozszarpał wspomnienie w dłoniach i wytarł je o brzeg kaftana, choć źródło nie zostawiało żadnych śladów. Zatoczył się na ścianę. Smuga potrząsnął głową.

– Pieprzony tchórz – rzucił w stronę Avile, ale tym razem była w tym tylko bezsilność.

Avile odetchnął z ulgą. Otarł ciekącą z nosa krew. Przed oczami wciąż tańczyły mu białe plamy.

Ostatni raz, szepnęli przeszli. Nie pomożemy ci więcej. Życie Rasenów też mogło się stać bezużyteczne. Avile pamiętał o tym. Znów otarł nos i skulił się, obejmując się ramionami, usilnie próbując sobie przypomnieć, dlaczego w ogóle znalazł się w tym miejscu.

Nim zdążyli wezwać pomoc, palce anaksa zacisnęły się na ich nadgarstku. Chłód zaczął wsączać się pod ich skórę. A potem wszystko się skończyło. Anaks wypuścił ich rękę, przytknął puchar do warg i chwilę później uśmiechnął się do Eliri.

– ...Ale to chyba oczywiste, prawda? – Dokończył urwaną myśl.

Eliri przytaknęli bez słowa, rozmasowując nadgarstek.

– Tak – mruknęli, zapominając o konwenansie i unikając wzroku zarządcy.

Tisar nie bawiła się dobrze. Między pomniejszych ogniskami Sahit, których przedstawiciele nie silili się wobec niej na serdeczność, a wyraźnie unikającą jej służbą, żałowała, że w ogóle zdecydowała się tu przyjść. Wiedziała, dlaczego jest potrzebna – skoro miała współpracować z Sahit, ludzie musieli zobaczyć ją na dworze. Ale czuła się tylko zagrożona; wciąż tkwiło w niej głęboko zakorzenione przekonanie, że otaczająca ją szlachta czyha na najmniejszy jej błąd. Prawo wciąż nie było po stronie Tisar. Pozostawała wolna tak długo, jak długo odpowiadało to anaksowi, ale dla szlachty wciąż była rzeźniczką. Zabiła jednego z nich.

Uśmiechnęła się do swojego najbardziej znienawidzonego wspomnienia. Owszem, zabiła. Teraz nie miała innego wyjścia, jak wziąć ten czyn w swoje ręce, uczynić z niego swoją dumę i swoją tarczę. Patrzyła na otaczających ją ludzi, jakby chciała powiedzieć: wy będziecie następni.

Byłoby jej łatwiej, gdyby miała za sobą Smugę, ten jednak przepadł gdzieś w ogrodach i Tisar mogła tylko mu życzyć, by nie wdał się w bójkę – lub by nie zawiódł nikogo z tego barwnego tłumu, jeśli ten znikł razem z nim w jakimś ciemniejszym kącie. Pozostawało jej się zająć opróżnianiem kubka wina, które nie było, dla odmiany, rozcieńczane wodą.

Obserwowała tancerzy, którzy przyjechali razem z Najjaśniejszymi – dziewczęta i chłopców rysujących w powietrzu ogniste kształty. Wina w naczyniu ubywało. Występ, po tym jak tancerze powtórzyli kilka popisowych numerów, stał się monotony. Tisar obróciła pusty kubek do góry dnem i z rezygnacją

patrzyła na ściekającą na stół kroplę. Nie, jeszcze nie była gotowa bawić się z lokalną arystokracją. Ani teraz, ani jutro, ani pojutrze.

Wtedy usłyszała nad sobą szelest.

Podniosła głowę. Na gałęzi drzewa przycupnęła pustułka. Utkwiła swoje bursztynowe oczy w kondotierce. Tisar podeszła pod drzewo. Ptak dalej przyglądał się jej z zaciekawieniem. Machnęła ręką, próbując go odstraszyć. Pustułka rozłożyła skrzydła, ale nie odleciała.

– Zaihab – powiedziała.

Tak się przynajmniej Tisar wydawało.

– Sio – burknęła, trąc oczy. Brakowało jej tylko tego, by służba z dolnego pałacu przyłapała ją na rozmawianiu z ptakami.

– Zaihab – powtórzyła pustułka, jakby chciała się upewnić co do swojej wymowy obcego, ludzkiego języka. – Przynoszę wiadomość od Zaihab.

Coś w Tisar drgnęło. Dawno nieużywana sympatia. Ale kondotierka nie chciała tego po sobie okazać. Skrzyżowała ramiona.

– Nie mam wiele czasu – powiedziała jak najciszej.

– Zaihab prosi, byś do niej przyszła. To pilne. – Z każdym słowem głos ptaka bardziej przypominał ludzki. Nie Zaihab, ale trochę podobny. Jego dźwięk sprawiał, że Tisar przeszedł dreszcz. – Jeśli zaufałaś choć jednemu jej słowu, a nie tylko obietnicom Vesui, prosi o twoją pomoc.

Tisar zamarła. Pomyślała o przyjęciu rozgrywającym się w ogrodach. Włamanie się do gniazda Vesui było wyczynem, którego długo sobie gratulowała – zrobienie tego ponownie wydawało się niepotrzebnym ryzykiem.

Pustułka patrzyła na nią. Tisar nie potrafiła odwrócić wzroku.

Wreszcie zrobiła to, zostawiła ptaka i przeszła przez ogród. Prosto do bramy. Przez miasto. Ku gniazdu.

Nie było nikogo, kto by ją zatrzymał. Tisar zarzuciła chustę na głowę i ramiona. Niemal biegła przez krętą ścieżkę wijącą się po zboczu iglicy, oświetlaną jedynie przez księżyc. Nie poważyłaby się używać latarni.

Wreszcie stanęła na szczycie. Nigdy wcześniej nie dane jej było oglądać gniazda z tej perspektywy: skalnych słupów broniących wejścia. Uśmiechnęła się pod nosem. Teraz widziała, że gniazdo to twierdza. W jego środku płonęło ognisko; Tisar mimowolnie opuściła wzrok i złożyła dłonie w geście ochrony. Ale wcześniej zdążyła dostrzec kulący się przy ogniu kształt.

– Zaihab? – Bez namysłu weszła do gniazda. Zewsząd rozległy się szepty, przypominające głos pustułki w ogrodzie, ale Tisar się nie obejrzała. W kilku krokach znalazła się przy hieroduli. Uklękła, odsuwając dziewczynę od ognia. Zaihab stęknęła i skuliła się bardziej. Jej twarz lśniła od potu.

– Bez obaw – wykrztusiła. – Vesui nic ci nie zrobi. Zgodził się na twoje przyjście.

– Nie jego się boję – odparowała kondotierka odruchowo, gładząc dłonią splecione warkoczyki Zaihab. – Co się stało?

Dziewczyna znów stęknęła.

– Musiałam ci o czymś powiedzieć...

Tisar dotknęła jej czoła. Było gorące.

– Potrzebujesz pomocy medyka – zdecydowała.

Zaihab pokręciła głową.

– To minie. Musiałam... – urwała. – Pomożesz mi usiąść?

Wyciągnęła ku Tisar prawą rękę. Lewą natomiast – puste nieba – lewa dłoń hieroduli wyglądała jak dłonie trupów przysypanych piaskami Saady. Cienka, pomarszczona skóra przylegająca ciasno do kości, palce zamrożone w przykurczu. Tisar poczuła, jak świąteczna kolacja podchodzi jej do gardła.

– Zaihab? Co się stało?

Hierodula przygryzła wargę.

– Musiałam wysłać ci wiadomość.

– Co to ma wspólnego z wiadomością?!

– Wiadomości kosztują – odpowiedziała powoli. – Magia kosztuje. Trochę siły. Trochę życia. Tak powiedział.

Mimo gorąca ogniska Tisar poczuła lodowate zimno. Nie musiała pytać kto. Wiedziała. Pozwoliła hieroduli oprzeć się o jej ramię. Pogładziła jej włosy. Hierodula pozwoliła na to, choć Tisar nie potrafiła stwierdzić, czy z wdzięcznością, czy tylko z rezygnacją.

– Ale żadne z nas nie wiedziało, ile... – Zaihab zakrztusiła się płaczem.

Tisar przytuliła ją mocniej.

– Czy to cię boli? – zapytała ostrożnie.

– Nie. Nie wiem. Jest mi zimno – poskarżyła się Zaihab, chowając okaleczoną rękę w fałdach spódnicy. – Ale nie o tym chciałam przecież...

– Poczekaj – przerwała jej Tisar. – Odpocznij. Przez chwilę nie myśl o tym. Nic ci nie grozi.

Zaihab spróbowała się zaśmiać, ale przynajmniej nie protestowała. Przymknęła oczy i zaczęła nucić pod nosem nieznaną Tisar pieśń.

Przez chwilę obie kołysały się w rytm melodii. Skrzydlate obsiadły krawędzie gniazda, wpatrując się w dwie kobiety oczami jak paciorki. Tisar nagle bardzo wyraźnie przypomniała sobie siebie sprzed lat, na pylistej drodze, opierając się na zakrwawionym kiju, wciąż oszołomiona tym, co zrobiła. Zawroty głowy i niedowierzanie, gdy patrzyła na mężczyznę, którego krew wsiąkała w kurz, na wyraz zaskoczenia na jego twarzy, na pękniętą czaszkę i wypływającą z niej

miazgę. Ten moment, gdy dotarło do niej, że wcale nie zatrzymała się na jednym uderzeniu, choć to pierwsze trafienie wystarczyło, by powalić mężczyznę. Mgliste wspomnienie tego, jak okłada go kijem, jak widzi przed sobą tylko czerwoną mgłę, jak tłucze na oślep. I myśl, że nie potrafiła siebie za to nienawidzić.

Rozejrzała się dookoła. Poprawiła spódnicę, którą mężczyzna próbował z niej zedrzeć. Pochyliła się nad trupem raz jeszcze, zmuszając się, by ściągnąć pierścienie i amulety z jego dłoni. Oderwała sakiewkę. Przeszukała kieszenie, z obrzydzeniem dotykając przesiąkniętego krwią materiału. Na koniec zabrała także jego ostrza.

Obejmowała hierodulę i widziała w niej siebie sprzed kilku lat. Tę samą zaciekłość. Obie robiły to, co konieczne.

Zaihab przerwała pieśń.

– To nie był pierwszy pakt, który zawarłam z Vesui – powiedziała cicho. – Zabawne, prawda? Próbuję się stąd wyrwać, a tylko staję się coraz bardziej od niego zależna... i coraz słabsza. Myślałam, że to, czego się od niego dowiem, pomoże mi – dorzuciła.

– I pomogło?

Pokręciła głową.

– Nie tak, jak chciałam. Ale muszę się wywiązać z mojej części umowy. Muszę mu kogoś przyprowadzić. – Zamilkła na chwilę, w złości podniosła do twarzy obie dłonie, szybko opuściła tę okaleczoną. – Nie mogę poprosić o pomoc nikogo innego.

„I wcale nie chcesz mnie prosić o pomoc, pustułko – pomyślała Tisar, wciąż pozwalając dziewczynie opierać się o siebie. Ale robisz to: bo naprawdę nie masz innego wyjścia”.

– Kogo zażyczył sobie Vesui?

– Jedynej osoby, której nic nie grozi z jego strony – Zaihab westchnęła ciężko. – I która ma dość rozsądku, by z nim nie paktować. To... długa historia.

– Mamy czas.

– Ale nie wiem, czy chcę ją opowiedzieć. – Skrzyżowała ramiona, rozluźniła się dopiero po dłuższej chwili.

– Wybacz, ale wyczerpałam już mój limit pochopnego zgadzania się na umowy – mruknęła Tisar. – Jeśli mam ci pomóc, muszę wiedzieć dlaczego.

– Bo... – słowa uwięzły Zaihab w gardle. – Bo to człowiek, który mnie tu uwięził, żeby uwolnić moich rodziców. Dobrze wiedział, że zabiera mi dużo więcej niż tylko możliwość swobodnego opuszczania Sahit. I myślę, że tobie zrobił coś podobnego – wypaliła nagle, odwracając się do Tisar, i choć kondotierka dobrze wiedziała, że Zaihab jest niewidoma, to teraz jej oczy

zdawały się wwiercać w serce kobiety i zwracać uwagę dokładnie na ten gniew, który popchnął ją ku skalnym iglicom po raz pierwszy.

– Co masz na myśli? – zapytała, lecz nim Zaihab zdążyła odpowiedzieć, u stóp iglicy rozległ się krzyk.

Przedstawieni na fresku żołnierze patrzyli przed siebie, nie na Arit – ich twarze zawsze były skierowane ku południowej granicy i czającym się za nią wynaturzeniom. Rasenna w wyobraźni artysty była pełna potworów, płynna, jakby nigdy nie wynurzyła się do końca z pierwotnego chaosu, nad którym zapanowało Niegasnące. Albo – Arit zadrżała na tę myśl – saadyjscy żołnierze patrzyli w swoją przyszłość i przewidywali, co ich spotka, widzieli, jak ich własne ciała powykęcą się od szalonej magii.

Arit przekrzywiła głowę. Nie bez powodu zwycięstwo nad Rasenną nazywano cudem, ale nie mogła sobie tego cudu nawet wyobrazić. Uporu, poświęcenia...

Setek tysięcy okaleczonych młodych ludzi.

Żrenicy stojącej w płomieniach.

Historia Nowej Saady z bliska nie była tak piękna jak w pieśni.

A jednocześnie Arit czuła głęboko w sercu, że nie powinna wątpić. Do tej pory zaufanie wobec Sahit i ogniska jej nie zawiodło. Owszem, wiedziała, że jest traktowana szczególnie – ale postrzegała to jako dług, który spłaci, gdy będzie starsza. Teraz zaś zastanawiała się, komu powinna wierzyć.

Swojemu pierwszemu ognisku w Alawi i Sahit czy pieśniarce-włóczędze.

Gdyby chodziło tylko o nią samą, Arit byłaby może bardziej skłonna podjąć ryzyko. Ostatecznie odwaga też była ceniona. Ale Arit nie mogła zapomnieć o Meire, który – jeśli ona zawiodła – nie dostanie takiej samej szansy. Ich obowiązkiem było dokonać czegoś znaczącego, dowieść, że zasługują na rangę swojego ogniska. To znaczyło, że nie chroni ich nic poza cierpliwością i sympatią przyjaciół ogniska. Arit nie mogła odebrać tej szansy Meire. Po prostu nie mogła.

Nie powinno jej tu w ogóle być, w górnym pałacu. Dziś był otwarty nawet dla pomniejszej szlachty, ale święto już się zakończyło, i gdyby ktoś zapytał Arit o cel jej spaceru, nie mogłaby przecież wskazać na dręczące ją wątpliwości.

Raz jeszcze popatrzyła na zacięte twarze namalowanych żołnierzy i zniknęła w głębi pałacu.

Oczy Niegasnącego lśniły już wysoko na niebie, gdy anaks pożegnał ostatnich gości. Avile prowadził go pod rękę. Na kostkach czuł wilgotne muśnięcia trawy

ciężkiej od rosy. Był zmęczony, potwornie zmęczony; sam ledwo mógł iść. Droga do apartamentów w górnym pałacu nigdy wcześniej nie była tak długa.

Avile posadził anaksa na łóżku i oparł go o poduszki. W półmroku pokoju męczyzna sprawiał wrażenie starca o obwisłych policzkach wodnistych oczach zasłoniętych kataraktą. Jego powieki opadały, tak że nie było pewności, czy drzemie, czy jeszcze jest przytomny. Avile rozważał, czy nie zrobi lepiej, odwracając się i zostawiając władcę miasta samego.

– Wasza Wysokość – powiedział cicho, przestępując próg komnaty. Podniósł ze stołu lampion i postawił go bliżej władcy.

Anaks miał swoją młodość już za sobą, ale jego ciało wydawało się kompletne. Brakowało... czegoś innego. Czegoś, co Avile raczej czuł, niż potrafił nazwać. Nawet w ogłuszającej ciszy Nowej Saady potrafił wyczuć w innych ludziach życie. Nie źródło – te dźwięki były wobec źródła nieporównywalnie słabsze. Ale istniały. Anaks zaś był ciszą pochłaniającą pieśń. Avile miał wrażenie, jakby wkroczył na pole jałowe.

– Najjaśniejszy. – Teraz, gdy w Sahit byli Eliri, zwyczajowy tytuł zaleciał prowincjonalną emfazą. Avile uklęknął przed mężczyzną, unosząc dłonie wierzchem do góry w geście bezbronności i poddaństwa. Szybko jednak podniósł głowę i zacisnął dłonie w pięści. Gesty gestami, lecz nie chciał dać anaksowi szansy, by ten go zaskoczył.

Anaks bywał przytomny. Zwalczał pożerającą go ciszę. Czasem było jednak potrzebne zamknięcie go w sobie, jak dziś.

Gdy Avile wracał myślami do bankietu w ogrodach, mógł tylko odetchnąć z ulgą. Nic się nie stało. Najjaśniejszym nie stała się krzywda. Jediną osobą, która znalazła się w niebezpieczeństwie, był sam Avile. Na myśl o tym skrzywił się lekko.

Zastanawiał się, czy była to zaaranżowana przez Tisar prowokacja. Szybko odrzucił tę ewentualność. Kondotierka nie należała do subtelnych, nie potrafiła planować. Co więcej – jej życie zależało od Avile. Mogła go nienawidzić za zatajanie przed nią informacji o Taarut – mogła bać się wymyślonych zjaw, zaprojektowanych przez obie dłonie koszmarów, których Avile nie zamierzał rozwiewać – ale wiedziała, że wciąż jest od niego zależna. Nie dopuściłaby się czegoś tak głupiego.

Czy Osun mógł to zrobić? Nie poważyłby się na to. Nie podejmował ryzyka. Gdyby chciał zaszkodzić Avile, znalazłby na to niezawodny sposób. Osun po prostu nie inwestował w plany bez szans powodzenia. I był uczciwy – we własnym rozumieniu tego słowa. To czyniło go przewidywalnym. Pewnym. Bezpiecznym.

Choć czasem Avile zastanawiał się, ile Osun widzi – jak starannie rozgrywa własne partie gry. Czy sięga tak daleko w przyszłość, jak isbet. Jaką rolę dla siebie projektuje.

W każdym razie – nie Tisar, nie Osun. Ktoś inny? Na razie Avile postanowił zbyć tę myśl.

Ważne, że nic się nie stało, choć przez moment było blisko całkowitego rozplecenia magii – Avile wciąż wyraźnie pamiętał delikatne, lecz natarczywe szarpnięcia, jakby ktoś wpił palce w jego żyły. I wiedział, że pewnego dnia ulegnie czerwieni, złamie się i ustąpi.

Musiał się tylko upewnić, że anaks złamie się pierwszy.

– Jak się czujesz, Najjaśniejszy? – zapytał, obejmując urękawiczoną dłoń zarządcy. Choć między pięknymi gośćmi ze Żrenicy a anaksem nie było ani cienia podobieństwa, formalnie byli rodzeństwem.

– Zmęczony – powiedział krótko anaks. W jego oczach błysnęło coś, co Avile pamiętał z wcześniejszych dni.

– To był długi dzień – przyznał. – Trudny.

– Trudny – parsknął mężczyzna. Miał głęboki głos, lekką chrypkę. Avile wstał, sięgając po puchar z wodą, by podać go Najjaśniejszemu. – Czy wiadomo już chociaż, dlaczego Najjaśniejszych Eliri zesłano właśnie tutaj?

Zesłano. Avile się skrzywił. Anaks w prywatnych komnatach nie musiał się przejmować słowami, lecz isbeta wciąż raziła jego bezpośredniość.

– Prawdopodobnie dlatego, że wciąż uchodzimy za najsilniejsze miasto – odparł gładko. – A Najjaśniejsi... wasze rodzeństwo... ma być bezpieczne.

– Szykujemy się do wojny.

– Zatem ktoś chce, by wasze rodzeństwo było bezpieczne... deklaratywnie.

– I by odpowiedzialność za ewentualne krzywdy spadła na Sahit.

– Tak. – Avile potwierdził.

Teraz nadszedł czas na najtrudniejszą część jego zadania. Rozplecenie delikatnej, poszarpanej sieci tak, by anaks nie zauważył – by nie zauważyła tego kłębiąca się w nim żarłoczna cisza. Rozmowa musiała trwać jak wcześniej.

Osun nie wiedział, jak Avile może wpływać na anaksa. Wpływać – sprawiać, by był świadomy. Ta wiedza raczej nie zaszkodziłaby ich sojuszowi, ale Avile nie chciał, by kasser zdawał sobie sprawę, jak słaby jest jego ojciec.

Tym większy miał być cios.

Skupił się na rozplataniu magii. Przełknął metaliczny, słony smak na języku. Magia była droga, coraz droższa. Rozsupływał nici, patrząc, jak anaks staje się coraz swobodniejszy, coraz bliższy sobie.

Jego własne słabe źródło dudniło mu w uszach.

Anaks tymczasem mówił, nieustannie mówił o Taarut. Kiedy przegapili moment, gdy podbicie drugiego miasta stało się jego obsesją? Nie, by brakowało mu powodów – Nowa Saada była państwem wyłącznie na jedwabnych mapach, w praktyce tutejsze ziemie należały do wszystkich i do nikogo. Sahit było najbliższym, co dało się nazwać stolicą. Avile mógł nawet cicho sprzyjać tym zamiarom, choć...

Usłyszał za sobą stłumiony okrzyk. Nić magii pękła mu w palcach. Przygarnął źródło ku sobie, nakazując przeszłym okryć anaksa, odwrócić od niego uwagę. Nie zdążył – poznał to po oczach stojącej w drzwiach dziewczyny.

Arit. Wciąż ubrana w odświętny strój, z ciężkimi czarnymi warkoczami oplatającymi głowę w wieńcu z herbacianych róż. Zrobiła krok do tyłu. Nie krzyknęła.

– Arit... – zaczął Avile.

Czy potrafiłby zareagować? Zabić ją? Już wiedział, że nie – jego chwila minęła, dziewczyna w każdej chwili mogła wszcząć alarm. Póki nie zrobi nic przeciwko niej, nic mu nie grozi. Nikt by jej nie uwierzył.

Dziewczyna stała jak rzeźba, z dłońmi przyciśniętymi do twarzy. Avile prawie było mu jej szkoda.

– Czy jest tu ktoś jeszcze? – Anaks otrząsnął się z drzemki.

Spojrzenia Arit i Avile się spotkały. Isbet lekko potrząsnął głową, dając jej znak, by wyszła. Bez słowa zniknęła w korytarzu.

– Nie ma nikogo – skłamał, patrząc na władcę. Wybiegł z komnaty. Zatrzasnął drzwi i puścił się w pogoń za Arit.

Arystokratka zagarnęła w dłonie suknię, ale płaczące się jej wokół nóg halki spowalniały ją. Runęła na ziemię. Isbet dopadł jej w kilku susach.

„I co teraz? – zastanowił się, gdy jego dłonie powędrowały do szyi dziewczyny. – Ilu świadków musi uciszyć?”

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy.

Nie był mordercą. Nie był jednym ze swoich przeszłych. Nie obiecywał lojalności Sahit. Miał tu być tylko dość długo, by dyrygować skandalem, jaki niechybnie wyniknąłby wokół choroby anaksa. Dlatego zależało mu na tym zawszonym mieście – by pokazać, że nie ma Nowej Saady bez Rasenny, i wprowadzić tu Rasennę z powrotem, zaprosić magię, która i tak wdzierала się w życie mieszkańców.

Przez głowę przemknęło mu wspomnienie poświęconych temu celowi lat. Żle byłoby zaprzepaścić je z litości nad jedną dziewczyną, a nie śmiał sięgać do swojego wyczerpanego już źródła.

Podjął decyzję. Nigdy nikogo nie zabił, ale kierowały nim głosy przeszłych. Czuł pod dłońmi szaleńczy puls. Cichy, pusty.

Wtedy Arit odepchnęła go. W jednej chwili znalazła się nad nim; wyciągnęła nóż i przycisnęła go do brzucha Avile. Księżycy obrysowały na białło jej stężałą w skupieniu twarz.

– Idziesz ze mną do gniazda – powiedziała. – Teraz. Bez słowa. Jeśli się odezwiesz, nie zawaham się, rozumiesz? – Przycisnęła nóż mocniej. Potrafiła posługiwać się bronią. Nim dostała bezpieczną posadę w dolnym pałacu, spędziła rok w koszarach, jak wszyscy szesnastolatki w Sahit. Jej ciało jeszcze pamiętało odruchy.

„Popelniam świętokradztwo – pomyślała. – Sprzeciwiam się dłoni wybranej przez anaksa”.

Ale przecież widziała anaksa, wiedziała, że isbet ją zabije – dlatego właśnie sięgnęła po nóż. I po wsparcie jedynej osoby, której teraz ufała. Zaihab.

Nahir

Ostatecznie Saada nie okazała się aż tak zagadkowa.

Po kilku pentadach Nahir przywykł do tutejszego dialektu i przestał się posługiwać archaicznym językiem z ksiązek. Przywykł także, ku swojemu niezadowoleniu, do codziennego widoku biedy i wychudzonych robotników pracujących przy systemie irygacyjnym. Jeśli opuszczał ojcowską willę, to zawsze w towarzystwie kogoś ze służby – przeciwko czemu szybko przestał się buntować, gdy zrozumiał, jak łatwo może tutaj stracić życie dla mieszka z pieniędzmi czy ozdób odprutych od stroju.

Nikom nie powiedział o osobie, która go śledziła pierwszej nocy w pałacu. Spodziewał się, że jego ojciec poruszy niebo i ziemię, by znaleźć winnego, podczas gdy tamten rozplynie się jak cień w tętniącej życiem stolicy. Nahir nie chciał go spłoszyć. Wierzył, że poradzi sobie sam.

Uważnie przyglądał się pracownikom w willi. Był pewien, że jego cień przebywa tutaj – zbyt dobrze znał rozkład korytarzy i wiedział, że może zaryzykować skok z balkonu. Nahir nie zapamiętał jego twarzy. Domyślał się, że to ktoś młody, ale nawet ostrożne szacowanie wieku tylko nieznacznie zawęziło grupę podejrzanych. Jeśli zaś chodzi o służących – wszyscy zwracali na Nahira przesadną uwagę. Z ciekawości, ze strachu, z rozkazu ojca.

Miało to tę zaletę, że odpowiadali na jego pytania. Pewnego dnia Nahir zdobył się na to, by zapytać księgowego o swoją matkę.

Mężczyzna uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Zastanawiasz się, jak do tego doszło, że twoi rodzice zaczęli ze sobą rozmawiać? Jakim cudem Reza wpuścił twoją matkę do willi?

Nahir pokiwał głową. Mógł sobie wyobrazić, że jego ojciec naprawdę kochał Lefarie. Ilekroć ją wspominał, wracał cień tamtego uczucia – uporczywy, nieukoiony. Jakkolwiek niewygodna była to świadomość, Nahir umiał myśleć o Rezie jedynie jako o ofierze tej miłości. On sam pamiętał też Lefarie na tyle, by się spodziewać, że byłaby do tego zdolna. Tak, przypominała płomień, trudno było odwrócić od niej wzrok i nie słuchać jej słów. Ale w jej oczach zawsze czaił się chłód. Skłonność do kalkulacji. Chciała czegoś od Rezy, przynajmniej na początku.

Od Rezy albo od Saady.

– Przede wszystkim musiała znać kogoś w akademii. Choć w zasadzie mogę sobie ją wyobrazić, jak wjeżdża do miasta, z tymi waszymi bezcennymi księgami pod pachą, i oferuje je w zamian za pomoc astronomów. Ale przyjmijmy, że ktoś jednak jej pomógł, że nie przyjechała tu w ciemno. Ta sama osoba musiała przedstawić ją min Rezie.

– Księgami – mruknął do siebie Nahir. Widział w tutejszych zbiorach raseńskie księgi na pasach jedwabiu, których autorzy wyśpiewywali treść. Niektóre z tych dzieł mogła przywieźć Lefarie. – Tylko to miała do zaoferowania?

– „Tylko to”? Chłopcze, tak bardzo po tobie widać, że jesteś z Rasenny.

– Nie, nie to miałem na myśli. Księgami można kupić sobie dużo, ale przecież nie wszystko. Musiała mieć coś więcej...

Księgowy prychnął śmiechem.

– Tak, suknię i srebrne bransolety od nadgarstków po łokcie. Pierścienie zdążyła sprzedać w drodze.

– Przecież by jej tak nie wypuścili z Novissy.

W oczach mężczyzny błysnęło zrozumienie.

– Gdyby to od nich zależało, pewnie nie wypuściliby jej wcale. To wszystko był pomysł min Lefarie. Jej ojciec, gdy się dowiedział, był wściekły. Mówili, że wzięła min Rezę na litość, prosząc go o azyl... – Popatrzył na Nahira. – Ale ostatecznie i tak wróciła. Może nie chciała, byś wychowywał się tutaj. Pewnie nie byłoby ci łatwo.

– Albo liczyła, że dzięki mnie będzie mogła wrócić? – zapytał ostro chłopak.

– Być może. Choć wielokrotnie mówiła, że boi się wracać. Że u was nie da się wyrzucić nikogo z rodziny, że źródła nie da się oszukać, ale przecież to nie jedyny sposób, w jaki można kogoś skrzywdzić.

– W Rasennie nikt nie śmiałyby podnieść na nią ręki.

– Ona nie wydawała się tego taka pewna.

– Nikt tego nie zrobił – powiedział Nahir z naciskiem. – Po urodzeniu mnie przez lata mieszkała w Novissie. Dopiero wiele lat później znów zajęła się swoimi poszukiwaniami.

– Nie wróciła tutaj, jeśli o to chciałeś zapytać. Choć min Reza słał listy. Bez pewności, czy w ogóle je otrzymała.

Nahir mimowolnie zacisnął dłonie w pięści.

– Trudno się twojemu ojcu dziwić – zmytygował go księgowy. – Była piękna. Wysoka, z długimi ciemnorudymi włosami. Wyglądała jak królowa. I nosiła się jak królowa: nie musiała rozkazywać, jej życzenia i tak były spełniane. Ludzie garnęli się do niej. Aż zastanawialiśmy się, czy to nie wasza magia...

Nahir wzruszył ramionami.

– Cóż, gdyby to była wasza magia, pewnie zrobiłaby z nią coś pożytecznego. A ona chodziła na zajęcia w akademii, dołączała do uczniów, spędzała w obserwatorium całe noce. Wszystko, byleby tylko zbudować ten jej zegar.

Zaskoczenie musiało wyraźnie rysować się na twarzy chłopaka, bo księgowy zarechotał.

– Nie, nie robiła z tego tajemnicy. Wręcz przeciwnie. Potrzebowała wszystkich możliwych rąk do pomocy i chciała, by wieść o tym się rozniosła. Potrzebowała też pieniędzy. To zaprowadziło ją do min Rezy.

Nahir się skrzywił.

– Myślę, że była szczerą w swoim uczuciu. Min Reza mówił, że w jej sercu płonął ogień. Nie traciła czasu na półśrodki. Kochała całą sobą, bez względu na to, czy obiektem miłości była druga osoba, czy... projekt.

Mężczyzna mówił to, taktownie spuściwszy wzrok. Nawet lata po zniknięciu min Lefarie ludzie z otoczenia Rezy nie byli zupełnie wolni od jej wpływu.

– Wierzyła, że Wędrowca da się zatrzymać. Chciała udowodnić, że można to wyliczyć. Że wydarzenia mogą potoczyć się inaczej. Mało kto jej ufał. Nie jesteśmy przesadnie skłonni do ufania Rasenom – podkreślił, patrząc na Nahira tak, jakby oceniał, czy chłopak też jest Rasenem. – I choć od kataklizmu minęły stulecia... chyba wszyscy oczekiwaliśmy, że min Lefarie próbuje ukryć przed nami coś podobnego.

Zmrużył oczy, szukając odpowiedzi w twarzy Nahira. Ten odruchowo uniośł dłonie. Nie miał nic do ukrycia.

– Ostatecznie zdobyła zaufanie wszystkich, z którymi pracowała. Nasi astronomowie wykreślili dla niej schemat zegara. Ona sama dostarczyła pierwsze części. A później nawet twój dziadek musiał się przekonać do jej pomysłu, skoro inni kontynuowali pracę... a ty jesteś tutaj.

– Tak – mruknął Nahir.

Uczenie się podstaw mechanizmu i żargonu stosowanego przez saadyjskich astronomów zajęło mu pierwszych kilka miesięcy pobytu u ojca – i to mimo tego, że poświęcał nauce każdą wolną chwilę, której nie spędzał z Rezą. Jego wizyty w prywatnym obserwatorium matki stały się coraz rzadsze. W tym czasie odebrał

także kilka listów z domu, pisanych głównie przez dziadka i Sainę. Kilka zdań nakreślonych przez Ragani, pozornie zimnych, rozpałiło tęsknotę za nią z nową mocą. Próbował zignorować klucie w sercu, spowodowane tym, że nie napisał do niego nikt z domu wiedzy, choć sam wysłał kilka listów. W każdym wspominał, jak bardzo chciałby być teraz ze swoim przybranym rodzeństwem.

I nie przesadzał. Wyobrażał sobie Luana i Susari pracujących razem z nim nad zegarem. Aule rozmawiającego z astronomami. Ale przede wszystkim brakowało mu ich towarzystwa.

Schował ostatni list od rodziny i wyszedłszy z pokoju, zamknął za sobą drzwi. „Nie otwierajcie się dla nikogo” – poprosił w myślach. Poczuł, jak mechanizm dostosowuje się do jego życzenia.

Być może była to przesadna ostrożność. Z drugiej strony, skoro cień Nahira i tak wiedział już o magii, nie było powodu, by nie korzystać z tej przewagi.

W trakcie całego swojego pobytu tutaj Nahir nie wypatrył go ponownie ani razu. A przynajmniej nie ze świadomością, że śledziła go właśnie ta osoba. Cień niczym się nie zdradził.

Istniała też, rzecz jasna, możliwość, że tamto zajście było motywowane tylko podejrzliwością wobec obcego. Ale Nahir wolał wciąż być czujny.

Wiedział też, że i inni patrzą mu na ręce. W trakcie swych pierwszych wizyt w akademii zwrócił uwagę, że pozostali nigdy nie odwracają się do niego plecami, że ich ruchy stają się nerwowe, gdy tylko był w pobliżu. Musiał zapracować na ich zaufanie.

Wreszcie pozwolono mu samodzielnie montować elementy mechanizmu. W tych, które dostarczył, pieśń zdążyła już okrzepnąć, choć metal i tak zdawał się reagować na jego dotyk. Nahir ujął część w obie dłonie i podszedł do otwartego mechanizmu. Teraz rozumiał już jego język – niemal instynktownie wiedział, gdzie dopasować nową część.

Kiedy było trzeba, szlifował kolejne elementy, dopasowywał je do istniejącego mechanizmu. Za każdym razem robił obowiązkowe przeliczenia, ale później polegał na swoim instynkcie – jakaś część jego umysłu po prostu wiedziała, jak powinien wyglądać kompletny zegar. Pytany o proces myślowy Nahir nie potrafił jednoznacznie odpowiedzieć. Ale Saadyjczycy też się czegoś nauczyli – że mogą mu ufać.

Musiał minąć niemal rok, by rozumiał, jak bardzo. Choć pomysł z zegarem wyszedł od Lefarie, przez te lata stał się on także własnością Saadyjczyków. I, jeśli uwierzyli jego matce, gwarantem ich bezpieczeństwa.

Nahir chciał ich zapewnić, że koniec świata, jeśli nastąpi, to nieprędko – czułby to w kościach. Ale pieśni źródła też nie potrafił opisać tym, którzy byli na nią głusi.

Źródło było przecież wszędzie. Tu, w Saadzie, gdzie przebywało tak niewielu Rasenów, nauczył się wsłuchiwać w jego subtelności.

Wreszcie zostało tylko kilka brakujących elementów.

Nahir pracował nad nimi sam. Udostępniono mu w tym celu obserwatorium Lefarie. Odsunął na bok znaczniki i sprzęty. Na szerokim stole zostawił jedynie sztabkę metalu.

Gdy oparł na niej dłonie, brąz zaśpiewał mu pod palcami. W jego pieśni rozbrzmiały gorąco pieca, brutalność narzędzi, wreszcie spokojna harmonia. Z każdą nutą metal coraz bardziej poddawał się woli Nahira, upodabniał swoją pieśń do jego pieśni.

Chłopak zaśpiewał pojedynczą, niską nutę. Luan nauczył go tej sztuczki, ułatwiającej koncentrację podczas pracy ze źródłem – znalezienie właściwego dźwięku i trzymanie się go, aż osiągnie się zaplanowany rezultat. Manipulowanie ukształtowaną raz materią – jak zamykanie drzwi – było zawsze łatwiejsze niż przetwarzanie jej. Szczególnie gdy ostateczny kształt był tak precyzyjny. Nahir musiał dobrze widzieć to, co chce osiągnąć. Nie pozwolić nucie zmienić się ani o pół tonu.

Nabrał tchu, zaśpiewał znów i szarpnął za źródło jednym zdecydowanym ruchem. Metal rozlał się po stole jasną plamą. Chłopak zagarnął ją dłonią. Substancja poddała się jego dotykowi, lgnąc do jego ręki i zastygając na nowo: w postaci płaskiego łuku z dwoma otworami na przeciwległych końcach.

Nahir umilkł, ocierając twarz przedramieniem. Czy to z braku tchu, czy z wyteżania źródła, widział wirujące plamy. Opadł na podłogę, podziwiając wykonany przez siebie element. W brązie wciąż rozbrzmiewało jego źródło, dużo silniejsze, niż się spodziewał.

Ostatnie gotowe części leżały na stole przed zegarem. Jego projektanci ustawili się w półokręgu. Zaprosili też Rezę. Nahir, stojący przed astronomami, co chwila zerkał ojcu przez ramię. Stary kupiec nie okazywał tego po sobie, ale Nahir znał go już dość dobrze, by rozpoznać wzruszenie.

Sam był przerażony.

Miał tylko dopasować ostatnie elementy – i wprawić zegar w ruch. Ukierunkować zamknięte w jego częściach źródło. Dźwignie byłyby niedbałym, ryzykownym rozwiązaniem. Zamiast tego projektanci chcieli, by ktoś obdarzony źródłem popchnął części zegara. Później te miały poruszać się już same, na zawsze, w ramach własnego zamkniętego systemu.

Nahir przewidział to, studiując plany. Wysięk miał być niewielki. Przeraziła go tylko precyzja, jakiej wymagał. To, jak wiele zależało od jego źródła.

Zegar był bezużyteczny, póki nie udzielał odpowiedzi na najważniejsze pytanie. Nahir zastanawiał się, ilu z otaczających go astronomów wątpi w sensowność jej usłyszenia. Czy chcą wiedzieć. Czy pomyśleli, co zrobią z tą wiedzą. Czy opuści ona kiedykolwiek ten pokój.

– Min Nahir? – szepnął jeden z astronomów. – Czy możemy cię prosić... – Wskazał ruchem głowy ostatnie elementy.

Nahir wytarł spocone dłonie w brzeg kamizelki.

– Oczywiście – powiedział, robiąc niepewny krok naprzód.

– To było dzieło twojej matki, więc słuszne jest, żebyś ty je dokończył.

„A w razie czego będą mogli na mnie zrzucić winę za niepowodzenie” – pomyślał. Był tu obcy. Był Rasenem. Jako jedyny słyszał źródło.

Wyobraził sobie, że na jego miejscu stoi Ragani o oczach lśniących jak rtęć. Luan z uśmiechem czającym się w kąciku ust. Susari ufnie podążająca za pieśnią zaklętą w częściach mechanizmu.

Wystąpił na środek pokoju i wziął pierwszą z trzech części w dłonie. Pod jego palcami metal zaśpiewał jego własną pieśń. Nahir uspokoił drżenie rąk i podszedł do zegara.

Miał przed oczami mapę całego nieba znanego Saadyjczykom. Tarczę Niegasnącego, pokrytą prawdziwym złotem. Dwa księżyce, dwoje oczu bóstwa, na orbitach wokół ich świata, na którym nie dało się nawet wyróżnić kontynentów. Zaznaczono także ważniejsze gwiazdy, skrzące się w tarczy blaskiem kamieni szlachetnych.

Nahir bezwiednie zaintonował swoją pieśń, ledwie cichszą niż pomruk. Otworzył klapkę zabezpieczającą mechanizm zegara. Przycisnął nowy element do bolców wystających z systemu kół zębatach. Część gładko wskoczyła na swoje miejsce. Nahir odetchnął. Jeszcze tylko dwie. Mechanizm, jak żywa istota, rwał się do ruchu. Teraz Nahir musiał uważać, by jego własne źródło nie rozsądziło delikatnych części.

Sięgnął po kolejny element. Chwilę później po ostatni. Ten też odpowiedział na jego dotyk. Pieśń Nahira rezonowała w nim tak, jakby chłopak skończył obrabiać metal zaledwie przed chwilą.

Nie. Zbyt głośno. Gdy wsłuchał się w brąz, wychwycił subtelny dysonans, skazę, której na pewno on sam nie zostawił. Wyczułby to od razu. Tego zgrzytu nie było wcześniej. Ale przecież źródło, które słyszał, należało do niego. Musiało do niego należeć.

Albo do kogoś, kto był z Nahirem spokrewniony.

Zacisnął dłonie na części. Im silniej się weń słuchiwał, tym bardziej wydawało mu się, że w pieśni słyszy znajomy śmiech.

– Min Nahir? – pośpieszył go jeden z astronomów.

Nie, Nahir nie mógł teraz cofnąć rąk. Części zazgrzytałyby i potarłyby o siebie, niszcząc mechanizm. Nie miał czasu się zastanawiać, komu mogło zależeć na pogrążeniu tego pomysłu. Teoria z podmienionym elementem brzmiałaby nieprawdopodobnie; taka osoba musiała znać kompletne plany zegara, musiała znać ludzi w akademii... dużo łatwiej było uwierzyć, że Nahir popełnił błąd.

„No już – ponaglił w myślach metal. – Zmieniaj się. Przekształcaj”.

Poczuł w dłoniach, jak brąz formuje się na nowo, jak źródło wprawia zegar w ruch.

To trwało tylko chwilę – ale Nahir wiedział, że wszyscy na niego patrzą. Po jego twarzy ściekał pot. Metal bronił się przed zmianą, próbował wracać do raz przybranego kształtu, jednak chłopak mu nie pozwalał. Ilekroć część w jego dłoniach nagrzewała się, zmuszał ją do obniżenia temperatury. Nie wiedział, jak długo da radę walczyć z raz pomyślanym życzeniem.

– Nahir? – zapytał z niepokojem Reza.

Chłopak zacisnął zęby.

– Wszystko w porządku – rzucił, bojąc się, że ryzykuje rozproszenie źródła. – Po prostu...

Cudze życzenie ustąpiło. Nahir wziął haust powietrza i dopasował ostatnią część jak w transie, z trudem utrzymując się na nogach. Sprawdzenie jej wyczerpało resztki jego sił. Zamknął obudowę zegara i osunął się na posadzkę.

– Nahir! – Ojciec pierwszy do niego doskoczył i podtrzymał.

Nahir zamknął oczy. Arabeski na suficie wirowały mu powiekami.

– Nic mi nie jest – szepnął. – To... tylko... zmęczenie.

Nie zobaczył nawet, co wskazywał zegar. Stracił przytomność.

Nigdy wcześniej nie znalazł się tak blisko utraty źródła. Wiedział, co by go tam spotkało: następował taki moment, w którym ciało zapadało w śpiączkę. Wciąż żyło, ale pozbawione świadomości. Jakby broniło się przed całkowitym wyczerpaniem źródła – choć śpiączka wcale nie była litościwa.

Tyle w kwestii teorii. Z oczywistych przyczyn żaden opis nie oddawał tej zalewającej myśli czerni, zatracania siebie w ciszy. Nahir był niebezpiecznie blisko granicy.

Obudził się, wciąż osłabiony, ale świadomy. Źródło nadal w nim biło.

Pozwolił służbie, by wmusiła w niego zawieszony rosół. Między jednym łykiem a drugim zapytał:

– Kto przygotowywał ostatnie części po tym, gdy je zrobiłem?

Powiedzieli mu, oczywiście. Nie było to jednak tajemnicą. Ta osoba nie zadała sobie trudu, by zatrzeć ślady; Nahir miał nie rozpoznać podmienionego elementu.

Kilka dni później Nahir poszedł obejrzeć zegar. Wędrowiec wciąż wisiał na krawędzi tarczy mechanizmu. Niby nie było już potrzeby co wieczór śledzić nocnego nieba wypatrywać komety, ale chłopak wiedział, że wciąż będzie to robić. Szafirowe gwiazdy nie mogły równać się z tymi, które widział na niebie.

Potem skierował się do akademii. Minął biblioteki i sale wykładowe. Szedł prosto do pracowni astronomów.

W nagrzanym, dusznym pokoju siedzieli studenci malujący mapy nieba. Wokół walały się kostki atramentu i zużyte pędzelki.

– Wyjdźcie stąd wszyscy – powiedział Nahir. – Z wyjątkiem ciebie. Ty zostań. – Wskazał palcem ogolonego na łyso chłopaka z dłońmi uwalanymi granatowym barwnikiem. Student pobladł, ale nie śmiał ruszyć się z miejsca.

Tych kilka słów kosztowało Nahira trochę źródła, które ledwie zaczęło się odbudowywać, jednak spełniło to zamierzony efekt. Nahir zamknął drzwi.

– Kto cię wysłał? – zapytał.

Student głośno wciągnął powietrze.

– Odpowiedz na moje pytanie. – Nie było w tym poleceniu magii, jedynie upór.

– Nie. – Chłopak pobladł jeszcze bardziej.

Nahir oparł się o drzwi.

– Nie mam nic przeciwko tobie. Wszyscy wiedzieli, że ja robiłem te elementy, a rozprowadzanie tutaj o źródle nie jest żadnym argumentem. Nie będę w stanie ci zaszkodzić tą sprawą.

Na wargach studenta pojawił się triumfalny uśmiezek.

– Ale – kontynuował Nahir – jeśli będę chciał, mogę... stworzyć powód, dla którego wyrzucą cię z akademii. Więc powinienem właściwie zapytać: jak bardzo cenisz swoją naukę? A może: jak bardzo lubisz swoją prawą dłoń?

– Nie zrobisz tego.

– Owszem. Zrobię. Jeśli mi nie odpowiesz.

– Jaką mam gwarancję, że nie zrobisz tego mimo wszystko? – syknął chłopak.

Nahir rozłożył ręce.

– Żadnej. Ale jeśli mi nie odpowiesz, zrobię to na pewno. Sam oceń ryzyko.

Gdy szedł do akademii, nie spodziewał się, że będzie komukolwiek grozić. Nigdy by nie sądził, że ma w sobie tyle wściekłości, że potrafi przekuć ją w lodowatą furję. Ale teraz furia wyrywała się spod kontroli. Przez tego chłopaka Nahir prawie stracił źródło. Gdyby nie odnalazł w porę skazy, na pewno komuś obcięto by dłonie.

Chłopak pociągnął nosem i rzucił Nahirowi spojrzenie pełne nienawiści.

– Ragani z Novissy – burknął. – Brzmi znajomo?

Gdyby uderzył Nahira w twarz, nie zaboląoby to bardziej. Nahir z trudem się opanował.

– To ona kazała ci mnie śledzić?

Kolejne niechętne spojrzenie.

– Tak.

Nahir zacisnął pięści.

– Byłem jej wdzięczny! – krzyknął chłopak na odchodnym. – Gdyby nie ona, znalazłbym inny sposób, by zepsuć ten przekłety zegar!

Nahir zignorował jego krzyki. Wściekłość jarzyła się w nim białym płomieniem. Wrócił do willi ojca, wciąż niezdolny, by rozluźnić pięści. Ale wiedział przynajmniej, co musi teraz zrobić: wracać do Rasenny.

Ragani. Teraz Nahir nie miał wątpliwości, czyj śmiech słyszał w nutach zatopionych w brązie. Pieśń dziewczyny wyostrzyła się, cięła rzeczywistość jak nóż – Nahir mógł tylko wyrzucać sobie, że nie domyślił się tego wcześniej.

Siedział naprzeciwko zegara, śledząc powolny ruch ciał niebieskich. Mechanizm działał bez zarzutu. Teraz trudno było sobie wyobrazić, że jedna część mogła zniszczyć lata pracy i niesłychane ilości źródła wlane w zegar. Ale Ragani to właśnie chciała osiągnąć. To wyliczyła. Zaoferowała się, że zrobi ostatnią część. Dziadka z pewnością wzruszyło jej poświęcenie, podczas gdy ona była gotowa oddać część swojego życia, by to wszystko zniweczyć.

Nahir nie potrafił mieć jej tego za złe. Oczywiście, wolałby, gdyby zamiast tego Ragani znalazła sposób, by dostać się do Saady; ale zdążył poznać ją na tyle, by wiedzieć, że prędzej ulegnie destruktywnej złości. Choć Ragani najprędzej zraniłaby samą siebie, Nahir zdawał sobie sprawę, że jego też mogła skrzywdzić. Powinien czuć ulgę, że znalazł się daleko od niej. Powinien czuć się zdradzony. Pamiętać, że prawie go zabiła – i że mogła to przewidzieć. Może nawet na to liczyła.

Ale tylko za nią tęsknił.

Mechanizm zazgrzytał nagle, a dysk metalu symbolizujący Wędrowca przesunął się po tarczy. W pałacowej ciszy stukot poruszających się zębatek rozbrzmiał jak łoskot grzmotu. Nahir poderwał głowę, wpatrując się w nieubłagany ruch komety.

Jeszcze wczoraj obliczenia wskazywały na to, że Wędrowiec powróci za kilkaset lat. Teraz niespodziewanie znalazł się bliżej.

Chłopak rozsypał przed sobą liczniki i zaczął przesuwac je po liniach wygrawerowanych w blacie. Ponownie sprawdził wzory. Obliczenia się zgadzały. Rzucił się za mechanizm.

Zegar wydawał się sprawny: gdy Nahir sięgnął ku niemu, nie znalazł żadnych usterek. Przymknął oczy, nakazując źródłu przepływać między elementami mechanizmu. Nici źródła drgały w harmonii. Gdy chłopak przyjrzał się im bliżej, odkrył, że pozostałe elementy układu też zmieniły położenie. Coś zachwiało jego równowagą – i zmusiło Wędrowca do przybrania nowej pozycji.

Coś musiało wydarzyć się gdzieś indziej. W Rasennie. Coś, o czym nie wiedział. Ale odruchowo i tak obwiniął za to Vigne. I Ragani.

Ręce drżały mu ze zdenerwowania, po jego twarzy ściekał pot. Chłopak wytarł czoło rękawem. Patrzył w tarczę zegara, która powróciła do swojego łagodnego rytmu – jeśli nie liczyć Wędrowca, który znalazł się niebezpiecznie blisko dysku reprezentującego ich świat.

Oczywiście istniała szansa, że saadyjscy astronomowie mylili się od początku. Że mechanizm zbudowano w oparciu na fałszywych przesłankach. Ale w głębi serca Nahir wiedział, że szansa na błąd tej skali jest zaniedbywalnie mała. W mechanizm włożono zbyt wiele pracy; do tej pory wykazywał idealną synchronizację. I teraz też, mimo bliskości Wędrowca, wszystkie pozostałe ciała niebieskie pozostawały w równowadze, którą mógł sprawdzić przez system soczewek. Data i godzina wciąż się zgadzały.

Niepewnym krokiem podszedł do schodów wiodących na strych ojcowskiej willi. Jeśli zegar się nie zepsuł, już wkrótce będzie dało się dostrzec zbliżającego się Wędrowca.

Na miękkich nogach Nahir wspiął się na strych i ustawił soczewki. Podłoga zasłana była mapami nieba i notatkami. Przesunął stołek bliżej teleskopu i przytknął oko do okularu.

Niebo miało łagodny, miękki kolor, upstrzone było złotymi zaciekami meteoroidów. Gwiazdy dopiero zaczynały wschodzić. Nahir nie był w stanie dostrzec choćby śladu komety.

Jeszcze nie. Skulił się, obejmując głowę rękami. Miasto układało się do snu, wszędzie wokół życie toczyło się zwyczajnym rytmem, a pośród tego

wszystkiego on jeden zdawał sobie sprawę, jak bliski może być koniec. To było za dużo.

Za blisko, zbyt wiele.

Nie wiedział jeszcze, co to może oznaczać. Nigdy nie sięgał myślami aż tak daleko – jego zmartwienia były dużo bardziej przyziemne, ograniczały się do życia w Saadzie i podróży do Rasenny. Nie wyobrażał sobie nawet, że znany mu świat może przestać istnieć. To miało się wydarzyć dużo później. Nie teraz.

Na trzęsących się nogach zszedł ze schodów. Symbole na zegarze nie zmieniły swojego położenia. Nahir zarzucił nań płachtę materiału. Lepiej, by nikt jeszcze tego nie widział. Co do tego jednego chłopak nie miał wątpliwości: na razie powinni utrzymać tę wiedzę w sekrecie.

Jeszcze kilka miesięcy temu nie pomyślałby w ten sposób. Chciałby podzielić się wiedzą z innymi, uważałby ją za nieuczciwą przewagę. Ale nauczył się w towarzystwie Sainy, a później Ertana i Iruve, że będzie mu potrzebna każda przewaga – nieważne, w jaki sposób zdobyta.

Przeszedł przez dom do pokoju ojca. Zza zasłony sączyło się światło. Uderzył kilka razy pięścią w ścianę tuż obok.

– To ja – powiedział. – Musisz coś zobaczyć.

O wielu rzeczach Nahir ojcu nie mówił. Na przykład o tym, że jego ukochana próbowała go zabić – i pogрузić cały projekt. Reza, w całej jego bezgranicznej ojcowskiej miłości, był bezradny wobec źródła. Ponadto Nahir obawiał się, że ojciec może się stać kolejnym celem Ragani. Jeśli on sam o tym pomyślał, jej też na pewno przeszło to przez myśl. Potrzebował teraz pomocy Aule. Nie mógł jednak ukryć przed ojcem zmiany na tarczy zegara.

Reza sur Alhiri nie był astronomem. Mimo to obejrzał zegar tak, jak wcześniej jego syn, i podobnie jak on nie znalazł żadnego błędu.

– Co o tym sądzisz? – zapytał powoli.

Nahir znów, odruchowo, przetarł czoło.

– Że nie umiem tego ocenić – powiedział szczerze. – Mogę się tylko domyślać, ale wiem zbyt mało.

– Mhm. – Na przekór spokojnemu tonowi mężczyzna uderzył dłonią w rozłożone na stole notatki. W tym geście poza bezradnością kryła się złość na kogoś, kto wiedział, kto mógłby im pomóc, a kto zniknął: Lefarie.

Nahir domyślił się tego.

A jednocześnie przyszło mu do głowy coś jeszcze.

Lefarie wiedziałyby, co robić, ale Aule i jego uczniowie mogliby odtworzyć jej tok wnioskowania. Znali zarówno naukę Rasenów, jak i – przynajmniej Aule – dzieła badaczy z Saady.

Uświadomił sobie coś więcej. I dzięki temu ich uratować. Zacisnął powieki. Nie myślał o Aule i domu wiedzy tak często, jak sobie obiecywał; wygodniej było mu zapomnieć, życie w Saadzie dostarczało dostatecznie wielu trudności i wrażeń. Senny dom wiedzy, nastawiony tylko na przetrwanie, wydawał się odległym snem. Jego mieszkańcy też nie mieli pojęcia o rychłym końcu.

– Chyba wiem, kto mógłby nam pomóc – spróbował.

Reza sur Alhiri odwrócił się do niego.

– Nie szukaj jej – odparł tylko z niewzruszoną, smutną pewnością, która rozzłościła Nahira.

– Nie o niej pomyślałem – mruknął chłopak, szurając stopami po posadzce.

Lefarie zdawała się obecna w każdej rozmowie, zawsze była gdzieś w tle. Teraz też. Nahir musiał uważać, chodził po grząskim gruncie.

– Wychowywałem się w domu wiedzy – kontynuował. Przez twarz Rezy przemknął cień zaskoczenia. – Mój opiekun mógłby nam pomóc.

„A poza tym byliby bezpieczni w Saadzie” – pomyślał. Cała trójka. Zaczęła wyrzucać sobie, że nie wpadł na to wcześniej.

Reza oparł dłoń na ramieniu syna.

– Nie chciałbym, żebyś tam teraz jechał – powiedział szczerze.

Nahir przełknął ślinę.

– Boję się o ciebie – dodał mężczyzna.

Kiedy ich sobie przedstawiono, ponad rok temu, Nahirowi wydało się niemożliwe, by miał cokolwiek wspólnego z tym człowiekiem. Teraz widział podobieństwo rysów, manieryzmów, gestów.

I też się bał. Zarówno o siebie, jak i o to, co tu zostawi.

– Muszę – stwierdził.

Przez chwilę był bardzo blisko opowiedzenia ojcu o wadliwej części, o Ragani. O tym, że młody astronom zapewne nie był jedyną osobą, którą przekupiła. Nahir musiał zaskoczyć Ragani. Niech będzie wiadomo, że podróżuje do Rasenny w innym celu. To odwróci jej uwagę.

Było też możliwe, że dziewczyna wcale nie chciała go zabić. Być może wydawało jej się, że niszcząc zegar, ściągnie Nahira z powrotem do domu. Ta myśl go zmroziła. Ale mógł sobie wyobrazić ten tok rozumowania – gdy przypominał sobie ich pożegnanie, stawało się to coraz bardziej oczywiste.

Nie mógł się jednak zgodzić na bycie kukielką Ragani. Nie w taki sposób. Nie, kiedy nie wiedział, czym jest to żarliwe uczucie, które mu okazała.

Ragani, jak jego źródło z Novissy, kochała warunkowo. Wychowywała się u boku Vigne i teraz Nahir to widział. Nie osłabiało to jego tęsknoty, lecz w Saadzie znalazł coś innego.

Chciał gdzieś przynależeć. Reza dał mu tę szansę.

A czy Aule nie dał mu jej wcześniej? Czy Saina nie próbowała uczynić rodzinnego domu miejscem choć trochę przyjaznym?

„Jesteś niewdzięcznym dzieciakiem” – odezwał się głos w głowie Nahira. Ale chłopak przeczuwał, że to nie jest niewdzięczność – raczej jej przeciwieństwo. Nie potrafił zostawić ludzi, do których się przywiązał. Nie chciał określać, kogo kocha bardziej ani kto jest rodziną.

Szczególnie teraz, wiedząc, że może ich wkrótce stracić – chciał ich zebrać wszystkich przy sobie, ochronić, wierząc, że jakoś przeczekają i ten kataklizm.

– Poradzę sobie – powiedział, przelotnie dotykając ojcowskiej dłoni. Wciąż nie mógł przywyknąć do wylewności Rezy.

Wcale nie wierzył, że sobie poradzi. Ale musiał spróbować.

Mężczyzna powoli skinął głową.

– Czego będziesz potrzebował?



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Miesiąc owoców, pierwsza pentada, dzień pierwszy

– Arit. – Isbet szedł przed nią, z pochyloną głową, dźgany ostrzem tkwiącym tuż przy jego boku.

Nie odpowiedziała. Wcześniej groziła mu, że go zabije, jeśli przełamie ciszę; ale teraz nie potrafiła tego zrobić. Wiedziała, że nie będzie potrafić. Popchnęła go łokciem, by szedł szybciej.

– Arit – powtórzył, tym razem wyraźniej. – Słuchasz mnie?

– Kazałam ci milczeć – powiedziała drżącym głosem.

Przez chwilę szli w milczeniu przez śpiące Sahit. Na niebie oczy Niegasnącego lśniły zimnym białym blaskiem. Ich światło spływało na miasto. Budynki Sahit wyglądały jak wykonane z kości.

– Wiesz, kogo widziałas, prawda?

– Anaksa – wykrztusiła.

– Tak. – Avile zerknął na nią przez ramię. – Chorego anaksa.

– Kłamiesz. To nie wyglądało jak choroba!

Isbet wzruszył ramionami, jakby zapomniał o sztylcie przyciśniętym do żeber. Jednocześnie gest ten miał w sobie lekkość, był płynny, niezagrażający. Każdy krok Avile tchnął tym zwodniczym spokojem, skłaniał do tego, by opuścić nóż. Jednak Arit nie chciała ryzykować.

– To było chorobą – powiedział spokojnie, jakby tłumaczył dziecku. – Jesteśmy w Nowej Saadzie. Kiedyś nazwano by to krwawą gorączką.

– Nie widziałam nikogo, kto by tu chorował.

Znów wzruszenie ramion.

– Może nie w mieście.

Arit zacisnęła wargi.

– Nie spędzałaś wiele czasu poza Sahit, prawda? – zapytał isbet, choć doskonale znał odpowiedź. – Znasz tylko swoje ognisko w Alawi i teraz to miasto. Poza murami są... rzeczy, których nie udało nam się ani wytłumaczyć, ani określić. Choroby, których nie mają się lekarstwa.

– Poza murami. Nie w Sahit. A poza tym... – Ugryzła się w język, lecz za późno.

– Poza tym? – powtórzył za nią łagodnie, zachęcająco.

Znów uparcie milczała.

– Poza tym są osoby, które podróżowały poza miastami bardzo długo, a nic złego ich nie spotkało? – dokończył za nią. – Jak Zaihab?

Arit wstrzymała oddech. Nie zamierzała dać się zapędzić w ślepy zaułek myśli, który sama odwiedziła już wielokrotnie. Nie, im mniej słabości okazywała, tym większe były jej szanse. Miała przed sobą człowieka, który próbował ją zabić. Nie mogła się zawahać. On by się nie zawahał.

Obroniła się wcześniej, mięśnie wciąż pamiętały odruchy z żołnierskiego szkolenia. Ale walka była łatwa. Walkę Arit знаła. Odkryła, że potrafi walczyć o swoje życie, o ile się nie zastanawia. Lecz teraz, gdy do głosu doszedł rozsądek, nie była już tak pewna siebie.

Avile wciąż mógł jeszcze ją zabić.

– Zaihab miała szczęście – westchnął. – Na niektórych stworzyciele patrzą łaskawiej.

Prychnęła.

– Łaskawiej? Nie masz pojęcia, co się dzieje w gnieździe. – Na wspomnienie błagalnego tonu hieroduli przeszedł ją dreszcz.

Tym razem to Avile milczał.

Arit czuła, jakby białe ulice roztapiały się pod jej stopami, jakby w każdej chwili mogła utonąć i stracić oparcie w rzeczywistości. Czyli jednak się nie myliła – ta dwójka miała ze sobą coś wspólnego. Coś, co Zaihab przed nią ukrywała, gdy szła w zaparte i przekonywała, że jej niedawne pytanie o Avile było wyłącznie przypadkiem.

– Czy... – zaczął isbet, ale umilkł.

– Jeśli chciałeś spytać, co się z nią dzieje, wkrótce sam się dowiesz. – Arit przyśpieszyła kroku.

– Arit. Ja nie mogę tam wejść.

Obrócił się, niepomny na ostrze przy jego boku. Dziewczyna zmusiła się do zachowania kamiennej twarzy.

„Albo on, albo ty” – pomyślała. Mogła tylko się bronić.

Bez słowa przycisnęła sztylet. Avile syknął, lecz mimo wszystko spowolnił.

– Możemy po prostu zapomnieć o tym, co się wydarzyło. O nic cię nie oskarżę.

Arit uparcie milczała.

– Posłuchaj mnie. Wykazuję dobrą wolę.

– Sądzisz, że nie odważę się użyć tego ostrza?

– Sądzę, że wcale nie chcesz tego robić. Nigdy nikogo nie zabiłaś. Owszem, potrafiłabyś. Ale nie chcesz.

– Jeśli nie zostawisz mi wyjścia, nie będę się zastanawiać nad tym, czego chcę. Avile jęknął głucho.

– Nie musisz tego robić. Tak jak ci powiedziałem: zapomnimy o tym nieszczęśliwym wydarzeniu, o mojej gwałtownej reakcji, o twojej hysterii. Ja będę potrafił ci to wybaczyć. Jeśli tylko umiesz dochować największego sekretu Sahit.

– I co wtedy będzie?

– Będziemy żyć jak do tej pory. – Podniósł dłoń do skroni. – Ciężsi o jeszcze jedną tajemnicę.

Arit przystanęła, oddychając głęboko.

Byli już niemal u stóp gniazda. Tak niewiele brakowało. Musiała się wykazać jeszcze tylko odrobiną uporą.

Albo – miała ostatnią szansę, by zmienić decyzję.

– Wrócę do domu i... tak po prostu będę żyć? Jak dotąd? – zapytała z rozpaczą.

Avile miał rację. Wcale nie chciała go zabijać.

To nie była wojna, to nie było poświęcenie, nic z tych wielkich, pięknych rzeczy, o których ją uczono. To byłoby pospolite morderstwo.

Isbet patrzył jej w oczy. W jasnym świetle dwóch księżyców wyglądał jak raseński arystokrata.

– Tak właśnie będzie.

Uśmiechnęła się gorzko.

– Jaką mam gwarancję, że nie będzie tam na mnie czekać żaden z twoich ludzi? Że nie przydarzy mi się w drodze nieszczęśliwy wypadek?

– Gdybym chciał tak to rozwiązać, już byś nie żyła.

Otworzyła szeroko oczy.

– Nie – stwierdziła po chwili, z całą mocą. – Gdybyś miał taką możliwość, nie zareagowałbyś tak... jak to zrobiłeś.

– Chyba mnie przeceniasz. – Kącik warg Avile drgnął.

– Nie. Myślę raczej, że twoi ludzie o niczym nie wiedzą. Nie mają pojęcia, co się dzieje z anaksem. Wydaje im się, że jest stary, zmęczony. I to pewnie też jest prawda. Tyle że nie cała. Zataiłeś to przed nimi, czyż nie?

– Nie bądź śmieszna. Nawet gdybym to zataił, służba by plotkowała. I równie dobrze mógłbym to ogłosić ze szczytu świątyni.

Arit przygryzła wargę. Pewność siebie Avile zbiła ją z tropu.

Przez to prawie uwierzyła isbetowi.

Prawie.

– Służba nie będzie plotkować – powiedziała powoli. – Wszyscy służący anaksa należą do jego ogniska, nawet kasser. Wszyscy, tylko nie ty. – Zmrużyła oczy. Już wcześniej powinno było to ją zastanowić. – Nikt poza tobą o tym nie wie.

Avile potrząsnął głową.

– Jeśli twierdzisz, że nie wie, porozmawiaj o tym z kasserem. Z rodziną anaksa. Z ludźmi, którzy przejmują się jego zdrowiem i dbają o jego spokój. Zobaczysz, jak zareagują, gdy cała ich praca nagle runie.

– Nie. Nie – powtarzała. Coś jej wciąż nie pasowało.

Isbet westchnął z rezygnacją.

– Nie wiem, jak inaczej mogę cię przekonać, skoro uparłaś się, by widzieć w tym jakąś większą intrygę.

Arit niemal opuściła nóż. Zastanowiła się, co robi – grozi isbetowi. Zaczęła wątpić, czy potrafiłaby wbić ostrze. Teoretycznie tak; spędziła długie godziny na placu, ćwicząc i trenując. Znała uczucie, gdy wypełniony trocinami worek ustępuje pod pchnięciem noża. Ale teraz miała przed sobą żywego człowieka. Avile. Nigdy nie odważyłaby się nazwać go przyjacielem, ale... mentorem? To było już bliższe prawdy; Avile zajął się nią, gdy trafiła do Sahit. A teraz chciała go zabić.

„W obronie własnej” – powtórzyła sobie. Choć teraz, gdy nie brakowało jej tchu, wydawało się, że przesadza. Nawet jeśli nie było innej drogi.

Avile próbował ją zabić. Musiał mieć ku temu dobry powód, lecz Arit nie potrafiła tego dostrzec. Pracowała dla niego, była uważna, ale nie dostrzegła żadnego dysonansu w jego postępowaniu. Nie wiedziała...

...o tym, o czym sam Avile nie wiedział, aż do ostatniej chwili. To stało się takie oczywiste.

– Nie muszę widzieć w tym większej intrygi. Przybycie Najjaśniejszych mówi samo za siebie.

– Nie mieszaj do tego Najjaśniejszych. – Obrócił się do niej.

Arit trzymała nóż w wyciągniętej ręce. Avile zdawał się nie myśleć o tym, że popełnił błąd; sam chyba nie wierzył w to, że dziewczyna może go zaatakować. Im dalej byli od pałacu, tym bardziej absurdalne wydawało się, że mogłaby go zabić.

Ale pobladł na wzmiankę o Najjaśniejszych. Wiedziała, że ma rację. W przeciwnym razie – nawet gdyby miasto milczało – w pałacu trwałyby przygotowania. Tymczasem obecność Najjaśniejszych Eliri spadła na Sahit jak grom z jasnego nieba. Arit uśmiechnęła się zimno.

– Idź w stronę gniazda.

Isbet nie ruszył się z miejsca.

– Przecież nie chcesz mnie zabić – powiedział, patrząc jej w oczy.

Znów prawie mu uwierzyła. Czuła, jakby przeciągali między sobą linę – i wystarczyło, by mu zaufała, raz jeszcze, tylko teraz, by zrobiła niewłaściwy, miękki krok.

– Nie – przyznała szczerze. – Nie chcę.

– Pomyśl, co stałoby się z Meire, gdyby jego siostra została oskarżona o morderstwo.

Meire.

Imię brata obudziło w Arit jakiś nowy rodzaj złości. Coś, co przeczuwała, patrząc na saadyjskich żołnierzy maszerujących ku Rasennie i zastanawiając się, czy to samo czekałoby Meire. Czy sama zagraża jego szansom. Czy chłopak zapłaci za to, co właśnie robiła.

Skoro Avile o tym wspomniał, to znaczyło, że planował wykorzystać jej brata. To samo w sobie wystarczyło, by Arit chciała rzucić się mu do gardła. Jej wahanie znikło.

– Masz iść – powiedziała.

– Arit, nie...

– Idź. – Zaczęła zbliżać się ku niemu, wciąż z wyciągniętym nożem. Czubek ostrza dotknął piersi Avile. Isbet przygryzł wargę. Cofnął się. Za plecami miał wąską ścieżkę prowadzącą do gniazda.

– Arit, załatwmy to inaczej.

– Jak? Udusisz mnie czy będziesz szantażować mojego brata?

Popchnęła ostrze mocniej, jego czubek drasnął skórę. Isbet znów zrobił krok do tyłu.

– To świętokradztwo – wykrztusił.

– Idź.

– Arit. Nie mogę...

Cięła bez ostrzeżenia, przecinając drogie tkaniny świątecznego stroju i zostawiając na skórze płytkie, choć bolesne draśnięcia. Avile syknął cicho i przycisnął do niego dłoń. Jego własne źródło zaśpiewało głośniej.

– Idź – powtórzyła dziewczyna, nie zadając sobie trudu, by wytrzeć nóż. – Powiedziałam.

Avile zmusił się do myślenia, choć był niesłychanie zmęczony i nawet tak lekkie zranienie sprawiło, że przed oczyma zatańczyły mu czarne plamki; i poczuł głód. Znajomy, obcy, groźny.

Aż umilknie echo pieśni.

Uwierzyli, że pieśń już ucichła – ale jeśli miała nigdy nie ucichnąć? Jeśli nie miała końca? Jeśli tylko dali się oszukać, że kiedyś będą bezpieczni?

Obrócił się i zaczął iść, tak wolno, jak zdołał. Rana wciąż piekła, ale gorsze było poczucie, że skrzydlate duchy stwórcy na pewno zdążyły podchwycić nutę jego pieśni. Już wiedziały, że tu jest. Mógł tylko grać na zwłokę, przesuwać stopy bez pośpiechu, słuchać pełnych irytacji sapnięć Arit.

Zastanawiał się, czy Sahit wciąż jest dla niego ważne. Z jednej strony – zaszedł tak daleko, że zawrócenie z tej drogi byłoby marnotrawstwem środków; ponadto nawet w Nowej Saadzie nie było tak łatwo zniknąć, gdyby postanowił opuścić Sahit na zawsze. Wiedział zbyt wiele. Nie chciał też mieć przeciwko sobie Osuna.

Miasto jaśniało w dole. Avile uciekał do niego wzrokiem. Co chwila zatrzymywał się, aż Arit na nowo zaczynała dźgać go ostrzem między łopatkami.

W pewnym momencie odwrócił się do niej, złapał ją za ramiona i popchnął ku skrajowi wąskiej ścieżki. Jego ramię zapłonęło ostrym bólem, gdy zahaczył o nie nóż dziewczyny. Arit krzyknęła, wypuszczając ostrze z ręki. Avile patrzył jak zhipnotyzowany na nikiący w ciemności srebrny błysk, ona tymczasem nieporadnie próbowała złapać równowagę. Wczepiła się palcami w skraj urwiska, jej wyciągnięte ramiona drżały. Avile pochylił się nad krawędzią, przyciskając dłoń do rany. Czuł wypływającą z niej gorącą krew.

Arit jęknęła głucho, łamiąc paznokcie na chropowatym kamieniu. Wpatrywała się w Avile szeroko otwartymi oczami.

Nie zdążył nic zrobić. Spomiędzy jej palców uderzyła chmura białego pyłu i Arit runęła w dół ze zduszonym krzykiem. Avile wycofywał się, aż dotknął plecami kamiennej ściany, i zacisnął powieki. Powinien był od razu biec ku miastu, opatrzyć krwawiące ramię, ale nie potrafił zmusić się do ruchu.

Otworzył oczy, słysząc szmer. Przez chwilę wydawało mu się, że gniazdo spowiła gęsta, ciemna chmura.

Ale to były tylko skrzydlate. Chmara ptaków, ptasich duchów, wiszących w powietrzu przed Avile. Sowy, sokoły, pustułki unosiły się na słabym podmuchu wiatru. W szponach trzymały Arit.

Dziewczyna wydawała się równie przerażona co Avile: bezwładna, w poszarpanej, brudnej sukni, od której odpruwały się cekiny. Bezradnie rozłożyła zakrwawione ręce. Jej misterne warkocze rozplotły się, nadając jej wiedźmi wygląd. Jeden z duchów zatrzymał się nad jej ramieniem. Szpony zaciskał na rękojeści noża.

Avile obejrzał się na ścieżkę. Przez chwilę rozważał swoje szanse ucieczki, lecz ptaki kłębiły się i tam, blokując mu drogę.

Skrzydlate odstawiły Arit na ścieżkę. Dziewczyna, głośno dysząc, schwyciła w dłoń nóż podany jej przez usłużnego ducha.

– Idź – warknęła, wyciągając ostrze w stronę Avile.

Nie potrzebowała już noża. Wystarczyło, że miała za sobą skrzydlate. Mimo to wciąż się bała. O ile atak w pałacu mogła uznać – ostatecznie, w przypiływie dobrej woli – za nieporozumienie, o tyle to, co Avile zrobił teraz, wymagało planowania, kalkulacji. Chciał ją zabić. I wiedział już, że teraz, jeśli Arit będzie ciąć, zrobi to trafnie.

Ale było coś, o czym nie wiedziała. Co tylko Avile czuł w pulsie stworzyciela. Vesui był głodny, jego skrzydlate też były głodne – i, cokolwiek chroniło Arit wcześniej, teraz, gdy w powietrzu unosił się zapach także jej krwi, przestało działać, być może za sprawą bliskości gniazda. Avile nie dbał o to. Liczyło się, że dostrzegł dla siebie jeszcze jedną szansę.

Posłusznie ruszył po stromym zboczu. Zewsząd czuł obecność skrzydlatych – nie tylko w cichym szeleście ich skrzydeł. Przypominało mu to o wszystkich przesądach jego matki.

Stworzyciele byli terytorialni. Nie z wyboru; Avile był pewien, że przywiązanie do miast stanowiło dla nich straszliwe ograniczenie. Teraz wręcz słyszał dźwięk, który wiązał Vesui z tym miejscem, jego pieśń zaklętą w skale, lata wyspiewywanych życzeń, próśb i żądań. Stworzyciel przykuł się tu własną pieśnią. Im bliżej gniazda Avile się znajdował, tym silniejsze przechodziły go dreszcze. Jego własne źródło, jakkolwiek słabe, burzyło się przed tym obcym, silniejszym, do którego – nie miał wyjścia – mógł się jedynie dostroić. Pod powieki zaczęła mu się wkradać znajoma czerwień. Ta sama, która tyle razy tego wieczoru próbowała całkowicie zawładnąć anaksem. Głodna, stara, rozbrzmiewająca pieśnią czerwień.

Pot spływał po twarzy Avile, lecz isbet nie odważył się podnieść ręki, by go otrzeć. Nie chciał sprowokować Arit. Wciąż przyciskał dłoń do rozcięcia w ramieniu. Krew nie płynęła już tak obficie, lecz Avile mimo to czuł, jak jego źródło słabnie. Nigdy się nie zastanawiał, czy grozi mu ten sen gorszy od śmierci, który spotykał Rasenów, gdy ci wyczerpali swoje źródło. Nie wyobrażał sobie takiej sytuacji. Zawsze było bardziej prawdopodobne, że pierwsze umrze jego ciało.

Ale Arit też była ranna. Jej krew również musiały wyczuć skrzydlate. Avile nie wiedział, czy zdoła zmylić duchy, lecz zamierzał spróbować.

Droga na szczyt zdawała się nie mieć końca. Każdy krok przychodził mu z coraz większym trudem. Obejrzał się na Arit. Dziewczyna przygryzała wargę, próbując zataić nierówny oddech. Ręka, w której trzymała nóż, drżała, ale dłoń wciąż zaciskała się na ostrzu.

Wreszcie stanęli przed wejściem do gniazda. Avile nigdy go nie widział. Nie miał prawa widzieć. Wciąż dziwił się, że skrzydlate nie rzuciły się na niego i nie wydziobały mu oczu. Jeśli mimo głodu trzymały się z dala, mogło to znaczyć

tylko tyle, że Vesui trzyma je na uwięzi. Na tę myśl Avile zrobiło się jeszcze zimniej.

Arit opuściła rękę, odrzuciła włosy za ramię.

– Zaihab? – zawołała.

Avile zmełł w ustach przekleństwo. Mógł się spodziewać, że Arit wezwie hierodulę na pomoc.

Z wnętrza gniazda dobiegł szmer. Isbet zmrużył oczy, wyławiając z cieni rzucanych przez ognisko sylwetkę Zaihab.

Już nie Zaihab. Hieroduli. Odwróciła ku niemu twarz osłoniętą złotą maską. Poprzez swoją malignę Avile widział, jak zlewają się w jedno, ptasi bóg i dziewczyna. Jak nos Zaihab zamienia się w dziób, włosy stają się złotymi piórami, z chudych ramion wyrastają skrzydła. Hierodula wsparła się na lasce. Jej tunika i płaszcz były koloru zakrzepłej krwi; Avile przelotnie docenił tę niezamierzoną ironię. Lewa ręka Zaihab zwisała bezwładnie, bardziej skrzydło niż dłoń, bardziej... puste nieba...

– Przyprowadziłam ci go – powiedziała Arit.

Avile obrócił się gwałtownie w jej stronę. Wydawało mu się, że arystokratka się uśmiecha. Ale wrażenie minęło.

– Zaihab? – teraz to on zawołał imię hieroduli.

Odpowiedział mu tylko szelest niezliczonych skrzydeł.

Obca pieśń wdzierала się w niego z całą siłą, czerwień czekała tuż-tuż. Vesui był jak drapieznik bawiący się ze swoją ofiarą, gdy ta nie mogła mu już dłużej uciekać. Avile popatrzył raz jeszcze na Arit. Niemal było mu jej żal. Niemal, bo wiedział, że dla niej Vesui nie będzie łaskawszy. Bolesny koniec czekał też Zaihab. Nie mogła uciec bóstwu.

Krew w żyłach paliła go żywym ogniem. Chór przeszłych próbował zagłuszyć obcą pieśń. Bezskutecznie.

No proszę, Zaihab. Udało ci się. Arit przyprowadziła go tutaj. Wiesz, co teraz będzie, prawda?

Wiesz. Słyszysz to jako echo swoich myśli. Przetykasz ślinę razem ze mną. Próbujesz o tym nie myśleć, ale jesteś głodna – głodna zemsty. Pragniesz poczucia sprawiedliwości. I naprawdę myślisz, że jego śmierć ci ją da?

Już nie. Gniew minął i zdajesz sobie sprawę, co tak naprawdę zamierzałaś zrobić. Wiesz już, że masz przed sobą przerażonego człowieka. Jest otumaniony obcym, obezwładniającym źródłem. Chwieje się na nogach. Czujesz zapach jego krwi i tylko przez chwilę myślisz, jaka jest słodka, wyobrażasz sobie, jak

rozlewałaby się na twoim języku, i wzdrygasz się na myśl, jak podobna się stałaś skrzydlatym. Nie tak to sobie wyobrażałaś, prawda? Pamiętałaś innego Avile. Dumnego, pewnego siebie, przekonującego kłamcę. Nie bezbronnego śmiertelnika, który w starciu z nami jest bez szans.

Ale nie ma już odwrotu. Ty może byś się zawahała; ja się nie waham. Dzielą nas lata praktyki, Zaihab, ale nauczysz się i uciszania własnego protestu.

Kiedys mi podziękujesz.

– Zaihab – powiedział Avile.

Nie. Nie mogła go słuchać. Nie wiedziała nawet, co miałaby mu powiedzieć. Dać upust goryczy? Jak? Jak to miało ją stąd uwolnić?

– Arit. Jesteś tutaj, Arit? – zapytała.

– Jestem – odpowiedział jej znajomy, drżący głos.

– Nic ci nie grozi – zdobyła się na miękki ton. – Wracaj do domu.

Arystokratka odetchnęła głęboko.

– A tobie? Tobie nic nie grozi?

Zaihab cieszyła się, że nosi maskę. Nie miała pewności, co maluje się teraz na jej twarzy.

Arystokratka nie powinna być dla niej tak czuła. Nie teraz. Nie, gdy Zaihab musiała być silna. Współczucie mogło ją zdruzgotać. Nie mogła być osobą, która go wymaga.

Zamarznij. Uczyła się szybko.

– Nic – zmusiła się do odpowiedzi. – Wracaj do domu.

– Zostanę – odparła Arit.

Zaihab nie miała sił się kłócić. Nie chciała przedłużać tej już i tak absurdalnej sceny.

Wyciągnęła do Avile obie dłonie, wypuszczając laskę. Isbet najpierw schwycił jej palce, ale szybko się cofnął, prychnąwszy z obrzydzeniem. Zaihab nie schowała pozbawionej czucia martwej ręki.

– Dlaczego? – Była przerażona tym, jak spokojnie zabrzmiał jej głos.

Avile oddychał płytko. Śmierdział krwią, strachem, czymś jeszcze. Zaihab nie spodziewała się zapachu uczucia. Zleżałego, lecz wciąż żarliwego.

– Nie chciałem, by zginęli – powiedział niewyraźnie. – Szpieg z Taarut...

– Więc wolałeś, żebym zginęła ja? – zapytała. Niepotrzebnie. Przecież znała odpowiedź.

I czy ta odpowiedź mogła być inna?

– Tak. – W jego głosie dało się słyszeć zdziwienie.

Czy to nie oczywiste? Najlepsi przyjaciele czy ich dziecko? Czy ty wahałabyś się na jego miejscu?

Choć czy to ważne? Jesteś tutaj, teraz. Niepotrzebna. Ofiara, którą można ponieść. Cierpienie, które jest mniejszym złem. Skaza na sumieniu, lecz taka, z którą można żyć. Dziewczyna, za którą prawie nikt nie będzie tęsknił.

A czy oni tęsknią?

Możesz się domyślać, że nie próbowali cię uwolnić. Czy to nie dostateczna odpowiedź?

– Moje oczy – mówisz, wciąż oszołomiona. Wydawało się, że nic już nie będzie bardziej boleć. – Wiedziałaś?

Odpowiada ci cisza, ale pozwól, że opiszę ci wyraz twarzy Avile.

Tak wygląda ktoś, kto czuje się potwornie winny.

– Chciałaś ze mną porozmawiać – odkaszlnął – o twoich oczach?

Smród krwi i potu się nasilił. Zaihab zacisnęła wargi, próbując powstrzymać głód, który nie był jej głodem.

– Nie – powiedziała zaskoczona.

Oddychał płytko. Czekał.

Wcale nie chciała podejmować tej decyzji.

Wmawiasz sobie, że być może odcinasz sobie jedyną rozsądną drogę ucieczki, choć przecież udowodnił już, że cię sprzeda, jeśli będzie mu to na rękę. Powtarzasz sobie, że nie masz sił. Ale masz siły. Po prostu się boisz.

– Vesui – wykrztusiła wreszcie, popychając Avile na ścieżkę.

Impet uderzenia rzucił ją na niego. Isbet stęknął głucho, gdy ciężar ciała dziewczyny przygwoździł go do ziemi. Zaihab wbiła pięści w żebra isbeta, ale nie wstała. Wciąż przykrywała go własnym ciałem. Maską zwielokrotniała echem jej szybki, płytki oddech.

– Vesui chce cię zabić – powiedziała. – Ale mnie nie może dotknąć.

Wydawało jej się, że oboje będą bezpieczni, nim spadła na nich chmara skrzydlatych.

Pióra ptasich duchów zaledwie muskały skórę Zaihab, jakimś niezrozumiałym sposobem dzioby i szpony sięgały tylko Avile; lecz była też obecność Vesui, tak blisko jej myśli, jakby stali się jedną osobą, jakby zamiast nocnego chłodu czuła...

...gorąco słońca na plecach i ziarna piasku między zębami. Mrużyła oczy przed słońcem, którego nie widziała, ale wiedziała, że jego światło razi Vesui.

Była z Vesui, kulącym się pod ciężką tkaniną z cuchnącej wełny, przyduszającym go do ziemi. Stworzyciel otarł wierzchem dłoni pot zbierający mu się na wardze. Oddychał płytko i starał się nie ruszać. Jego oczy utkwione były w bezmiarze rdzawej skały, ciągnącym się po horyzont, upstrzonym gdzieś tam bielą domów. Ponad płaskowyżem rozciągało się niebo w błękicie tak bliskim bieli, że wypalał oczy, ale Vesui wyteżał wzrok, poprzez rzęsy wpatrywał się w punkt, gdzie skała i niebo się spotykały, gdzie widniała niewielka szara plamka.

– Chodź – powiedział bezgłośnie w języku, którego Zaihab nie znała, a który zrozumiała od razu. Zrozumiała intencję. – Chodź bliżej.

Plamka rosła i zyskiwała na ostrości. Vesui uśmiechnął się do siebie. Znajdował się pośrodku pustej przestrzeni, na czymś, co mogła interpretować jako zgliszcza; był straszliwie słaby i bezbronny, ale wciąż potrafił przywołać ku sobie ptaki. Znalazł swoje nowe oczy. Nie będzie już tak ślepy, gdy znów otoczy go ciemność.

Nagle tuż przed jego twarzą pojawiła się czyjaś para butów, szarych od pyłu. Vesui zasłonił usta i nos dłonią, wycofując się pod bele tkanin.

Nie możesz wiedzieć że tu jestem, nie możesz mnie znaleźć, nie ma mnie tu, nie ma, niemaniemanimaniemanimanie... – gorąco powietrza pod grubymi tkaninami, parzy gardło i wargi i język, ale wytrzymaj, nie mogą cię tu znaleźć – ...zimno.

Avile potrząsnęła nią, trzymając za ramiona. Dłonie miał lepkie od krwi, głos mu się łamał.

– Wracaj, Zaihab – powtarzał. A może wcale tego nie mówił? Może tylko jej się wydawało, że słyszy jego głos?

Nie głos. Coś innego – pieśń. To samo, co słyszała w Vesui, choć o innej melodii, ale to samo, tętno, chór głosów.

– Nie idź tam. Jesteś tutaj. – Wbił paznokcie w jej zdrowe ramię, zmuszając do skupienia się.

Nie była na pustyni. Nie była Vesui. Avile kazał jej wrócić; wróciła.

„A ty?” – chciała zapytać, ale Avile ją odepchnął. Upadła na kamienną ścieżkę. Skrzydlate tylko czekały na ten moment.

W żyłach Zaihab zawrzała nienawiść. Nie tylko jej własna – wszystkich, którzy byli tu przed nią. Wykrzykiwali w jej głowie swoją samotność, poczucie zdrady, tęsknotę i strach. Te były pożerane ostatnie, gdy ciepłe od krwi usta stworzyciela zamknęły się już na ich sercu. Duchy biły skrzydłami, tłukąc się po świątyni. Na nowo przeżywały ostatnie mgnienie swojej świadomości. Przerazenie i głód.

To wydarzy się znowu. Nie pozwól mu.

Obiecałam...

Nie pozwól mu.

Zapała się dłonią o ścieżkę. Pod jej palcami skała wydawała się żywa, ciepła jak ciało, pulsująca tętnem.

– Zostawcie mnie! – krzyknęła w noc. – Zostawcie!

Albo ja, albo on.

Wolę, żeby to był on.

Spróbowała wstać. Skrzydlate napały na nią. Duże, ozdobione pierścieniami dłonie Avile odepchnęły ją.

– Idź! Uciekaj!

Na skraju swojego umysłu usłyszała pomruk świątynnego źródła. Zaczerpnęła tchu.

Skrzydlate rzuciły się na nich, młócąc wściekle skrzydłami. Przypadła do posadzki, osłaniając głowę. Lotki piór cięży powietrze, spadały na jej plecy jak noże. Łykała kurz, walcząc o każdy oddech. Jej krzyk utonął w ptasim świergocie. Duchy przygniotły ją do ziemi. Wiedziały, co zamierzała zrobić. Vesui wiedział. Jego cierpliwość się skończyła.

Okrutny dzieciak, tchórz, znudzone bóstewko. Zaihab nigdy wcześniej nie darzyła stworzyciela taką nienawiścią. Słowa zlały się w jedno gorące uczucie. Świat wyslizgiwał jej się z rąk.

Pustkę równie nagle zastąpiła słodycz, zalewająca gardło i ściekająca wprost do serca. Spokojne bicie źródła wewnątrz świątyni wróciło zdwojone. Nasycone. Obojętne na piekło, które roztaczało się na dziedzińcu. Zaihab straciła oddech.

Gdy już miała się poddać, stado poderwało się do lotu. Obróciła się twarzą ku niebu. Ptasi puch opadał na nią, zimny i miękki jak śnieg. Zaihab przebiegła palcami po swojej skórze. Pokrywały ją niegroźne zadrapania. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że mimo furii żaden z duchów nie drasnął jej dziobem czy szponami.

Nic się nie stało, pomyślała w pierwszym odruchu, nim smród posoki uderzył w jej nozdrza. W panice Zaihab wyciągnęła przed siebie dłonie. Zanurzyły się w ciepłą, lepka kałużę.

– Vesui?

Skrzydlate gruchały. Nie płynęły od nich żadne emocje. Zaihab podniosła się na kolana, ślizgając się na kamieniu. Zdjęła maskę. Sięgnęła ręką dalej, aż natrafiła na coś miękkiego i wilgotnego. Przejechała paznokciami po haftowanej tkaninie. Była oblepiona mięsem.

– Vesui! – wrzasnęła Zaihab.

Echo podchwyciło imię stwórcy.

Dziewczyna wstała, chwytając się kolumny. Nasiąknięta krwią tunika lepiała się do jej ciała; wiatr przenikał przez lekką wełnę jak przez mgłę.

– Vesui!

Niezliczone pary skrzydeł załopotwały na wietrze.

– Jestem tutaj – powiedziało bóstwo głosem jak świst ostrza.

Zaihab odgarnęła z twarzy splątane włosy. Zadygotała.

– Zamordowałeś człowieka – powiedziała z niedowierzaniem.

– Razem to zrobiliśmy – odparł łagodnie.

Nie zamierzała przyznawać mu racji. Nie teraz, gdy rana w jej umyśle była tak świeża.

– Ale to nic dla ciebie nie znaczy, prawda? To zbyt mało. My nic nie znaczymy. Jesteśmy mięsem, konieczną, choć uciążliwą ofiarą. – Przełknęła łyżę. – Opiekunka nie broni moich myśli przed tobą, bo ich nie potrzebuje. Mam nadzieję, że zdechniecie. Wszyscy.

Nie myślała o tym, że go prowokuje. Tańczyła na linie, niepewna każdego dnia – i musiała wiedzieć, że kiedyś przyjdzie jej spaść. Gdy ten moment nadszedł, nie została jej nawet odrobina strachu. Za dużo się wydarzyło. Podeszła do krawędzi gniazda i bez lęku wyciągnęła zdrową rękę ku stwórcielowi. Jej palce zamknęły się wokół jego gardła. Pod puchem pulsowała krew.

– Nic mi nie zrobisz – stęknął. Nie bronił się.

– Nie chcę – wymamrotała. – Chcę tylko, żebyś mnie wypuścił.

– Masz tu zostać! – Zaskrzeczał z irytacją.

– Nic nie muszę.

– Musisz! – Schwycił jej nadgarstek. – To nie koniec!

Posłusznie opuściła dłoń.

– Wypuść mnie, Vesui.

Przez chwilę wydawało jej się, że bóstwo pozwoli jej spaść. Ale kapryśne dziecko w stwórcielu zwyciężyło. Świat zdawał się wirować, gdy lodowaty wiatr szarpał ich włosy i pióra. Zaihab odruchowo wczepiała się w nie, jak kilka dni wcześniej. Ale już się nie bała.

Vesui wydał z siebie wrzask frustracji i popchnął ją ku sercu gniazda.

Próbowała wyrwać się z objęć bóstwa, lecz trzymało ją mocno, nawet gdy szarpała się i okładała je pięściami. W końcu opadła z sił.

– Pamiętaj, Zaihab, że jesteś ze mną związana. Nigdy nie zapominaj. – Pogłaskał ją po włosach.

Oplotła ramionami jego plecy. Nie miała zamiaru zapomnieć, nigdy.

Arit obserwowała, jak Zaihab znika w uścisku stworzyciela – bo głęboki cień, niewiele bledszy od nocy, z zamazanym konturem przypominającym świątynne płaskorzeźby, mógł należeć tylko to Vesui. Widmowe skrzydła to otulały hierodulę, to się cofały, zostawiając dwie drobne, odsłonięte ludzkie sylwetki.

To musiał być zły sen, najgorszy z możliwych. Ale zapachu krwi, zawodzenia skrzydlatych nigdy by sobie nie wyśniła. Jeśli więc nawet był to sen, dostała go od stworzyciela – musiał być prawdziwy.

Zaihab wreszcie odsunęła się od bóstwa. Jej tunika nabrała barwy sztandaru Sahit. Przesiąknięte krwią i potem włosy opadały ciężko na jej ramiona. Skrzydlate otoczyły ją ciasnym kręgiem, stawiając barierę między nią a Vesui.

– Arit? – zapytała ochrypłym głosem.

– Wciąż tu jestem – odpowiedziała arystokratka.

– Wracaj do domu.

– A ty? – Arit z niedowierzaniem patrzyła, jak hierodula otula się ramionami. Jej twarz była niemal czysta, w świetle Oczu Niegasnącego blada jak surowy jedwab.

Zaihab potrząsnęła głową.

– Poradzę sobie. Proszę – dodała z naciskiem.

Arit opuściła głowę. Wstydziła się tego przed sobą samą, ale chciała stąd odejść. Zostawić to okropne miejsce, zasnąć i nie myśleć o tym, co się tu wydarzyło.

Powinna się cieszyć. Była bezpieczna. Ale śmierć Avile przyniosła tylko kolejne niewiadome. I nie wyjaśniała... tego. Kształtu, który Arit widziała w pałacu.

– Wrócę rano – powiedziała, kierując się ku wyjściu z gniazda. Próbowała obejść strzępy zakrwawionej odzieży jak najszerszym łukiem. Ale jej uwagę przykuł złoty błysk.

Oślaniając twarz ramieniem, pochyliła się nad kształtem, próbując nie myśleć, że jeszcze niedawno był to isbet. Człowiek, który próbował ją zabić. Wśród oblepionego mięsem materiału lśniła biżuteria – i małe, okrągłe lustro. Arit obróciła je czubkiem buta. Spirale wyrytą na jego odwrocie wypełniały glyfy w obcym języku. Arit nie musiała ich rozumieć, by wiedzieć, że ma przed sobą malastwę.

Jeden ze skrzydlatych, wydziobujący szmaragdy z pierścieni isbeta, spojrział na nią oczami jak obsydianowe paciorki. Arit przykryła malastrę butem. Duch wypluł złotą obrączkę i poderwał się do lotu, pohukując gniewnie. Dziewczyna osłoniła twarz przed jego bijącymi skrzydłami.

– Zostaw, to moje – syknęła. Szybkim gestem podniosła malastrę i schowała ją w fałdach tuniki, odpychając ducha. – Głupie ptaszysko – burknęła.

Lusterko było ciepłe jak ludzka skóra. Arit najpierw myślała, że tylko jej się wydaje, lecz jego ciepło zdawało się pulsować w rytm bicia jej serca.

Zaihab na miękkich nogach wróciła do serca gniazda.

– Tisar? – zapytała. Miała nadzieję, że kondotierka już znikła, że starczyło jej rozsądku, by nie śledzić całego krwawego spektaklu. Zaihab chciała być teraz sama.

Mówiła sobie, że powinna coś czuć. Powinna się bać. Owszem, czuła się słaba, ale nie miała wyrzutów sumienia. Zamiast nich wypełniał ją tylko spokój, spokój i bezruch, poczucie sytości, które na pewno nie należało do niej. Znalazła się jeszcze bliżej skrzydlatych i Vesui.

Spodziewała się lekkości – jakby miała się uwolnić od Avile. Choć przecież jaką władzę miał nad nią isbet? Odkąd przekroczyła skalne bramy gniazda – już żadnej. Ale teraz przynajmniej spłaciła dług wobec Vesui. Nawet jeśli ta spłata znacznie ją do niego przybliżyła.

Wróciła do swojego pokoju i odnalazła misę z wodą. Przyniosła ją przed ognisko. Zdjęła zakrwawioną tunikę i cisnęła w ogień, krzywiąc się od odoru palonej wełny i piór. Zanurzyła ręce w lodowatej wodzie, ścierając z nich krew. Zimno otrzeźwiło ją trochę, pomogło zmyć z siebie zapach strachu Avile, pozwoliło odzyskać jasność myślenia.

Zaihab wiedziała, że znalazła dziś kolejną rysę w Vesui. Już wcześniej niektóre jego odruchy i słowa dziwiły ją; ale teraz miała pewność, że sam był jednym wielkim kłamstwem, osnutym wokół... kogo?

Gorąco. Pustynia. Strach.

Stworzyciele mieli być przykuci do swoich miast. Vesui był tu uwięzany, sam jej o tym mówił. Dlaczego nigdy nie zastanowiło jej, jak źle się z tym czuje? Czy powinien się czuć uwięziony, jeśli był echem bóstwa? Mógł się czuć uwięziony – jeśli pamiętał swobodę. I inne życie. I wcale nie był bóstwem. Zaihab musiała mieć pewność.

Skostniałymi palcami potarła ramiona pokryte gęsią skórą. Wróciła do swojego pokoju, by narzucić czystą tunikę. Woda ściekająca jej z włosów szybko

przemoczyła materiał, zimno wróciło, ale Zaihab nie myślała o tym.

– Vesui! – zawołała.

– Czego jeszcze chcesz ode mnie? – W głosie stwórcy zabrzmiała niechęć, ale Vesui nie mógł pohamować ciekawości. Zaihab poczuła na ramieniu jego słodki oddech. Niemal mogła zapomnieć, że przed chwilą zabił człowieka.

Obróciła się ku miejscu, skąd dobiegał głos.

– Niewiele – powiedziała, odnajdując jego rękę. Jego skóra była gładka, ciepła. Palce były ludzkie, choć zakończone szponami.

– Przestań... – syknął Vesui, próbując się wyrwać. Zadrapał ramię Zaihab i syknął znów, gdy skóra zaczęła go parzyć.

– Nic mi nie możesz zrobić – powiedziała dziewczyna. Jeszcze było za wcześnie, by triumfować, Vesui mógł jej się wywinąć, ale wydawało jej się, że teraz to ona ma nad nim władzę.

Znała już drogę. Wystarczyło, że przywoła w myślach tamten obraz: pustynię i kryjącego się pod tkaninami Vesui. Posadzka gniazda zapadła się pod nią, ustępując kołysaniu oślego grzbietu. Chłodne, nocne powietrze zaczęło nagle parzyć nozdrza.

To była Saada. Stara Saada.

Trakt do Żrenicy.

A Vesui był tylko człowiekiem.

Zaihab zacisnęła zęby. Nie zatrzymała się ani na chwilę. Vesui wyrywał się ze swojej formy, ale nie mógł się bronić przed Zaihab. Nauczył się, że Opiekunka będzie chronić swojej własności. Hierodula wykorzystała to i wczepiła się w niego, nie zastanawiając się, czy zadaje mu ból. Musiała go zatrzymać. Stwórca w jej rękach zbliżał się kształtem to do człowieka, to do ogromnego ptaka. Kilka razy poczuła pod palcami korę drewna, węzowe łuski, futro zwierzęcia, które zachowało się w pamięci stwórcy. Vesui miotał się w swoim ciele. Ale w pobliżu nie było nikogo, czyją skórę mógłby przyoblec – poza samą Zaihab.

Dziewczyna tylko zanurzyła się głębiej w jego wspomnienia. Szła po omacku, ale znała stwórcy dość dobrze, by wiedzieć, że zmierza wprost do wspomnienia, które najbardziej próbował przed nią ukryć.

Dotychczas tylko wodziła palcami po rysach w historii, na której zbudowano Rasennę i Saadę. Wszyscy wiedzieli przecież, co się wydarzyło. Rasenowie zabili bóstwo, lecz ludzkie ciało nie mogło unieść w sobie boskiej krwi. Jako pozostałość po ich zbrodni wśród żywych pozostały echa bóstwa – wokół których zbudowano miasta – i ludzie, skażeni magią, chciwi, okrutni. Tylko Vesui nie pasował do tej historii. Odróżniał się od pozostałych stwórcy. Był groźny, bo

nieprzewidywalny. Ale jeśli nie różnił się od nich aż tak? Jeśli po prostu nie zadawał sobie trudu, by ukrywać swoją prawdziwą naturę?

„Powiedz mi” – szepnęła w myślach Zaihab, przeczesując wspomnienia bóstwa i wybierając sen, który chciała śnić. Stworzyciel leżał nieruchomo na posadzce. Skóra jego twarzy stała się papierowo sucha, pomarszczona jak korzeń drzewa. Pod dotykiem Zaihab uśmiechnął się, odsłaniając drobne zęby. Było ich zbyt wiele, by zdołała je pomieścić zwykła ludzka szczęka. Powiedział coś w języku, którego Zaihab nie знаła. Mogła tylko przeczuwać znaczenie słów. Zawahała się, lecz ostatecznie sięgnęła do snu.

– Nie możesz! – krzyknął Vesui, nim usłyszała jego imię wypowiedziane kobiecym głosem. Głosem, który słyszała po raz pierwszy w życiu; tego, jako pieśniarka, była pewna. Zapamiętywała głosy. A jednocześnie wiedziała, że ten skądś zna. Ktoś do niej nim mówił. Kiedyś. W innym miejscu, w innym czasie.

– Vesui? – powtórzyła nieznajoma kobieta, a oni oboje, stworzyciel i hierodula, instynktownie skulili ramiona.

Nahir

Nahirowi udało się dotrzeć do granicy z Rasenną po kilku pentadach. Ojciec robił wszystko, by opóźnić jego wyjazd; Nahir zaś chciał wyjechać jak najszybciej. Coraz bardziej bał się o dom wiedzy. Nie wiedział, czy Ragani zdążyła już usłyszeć o fiasku jej planu. Dołączył do jednej z pierwszych karawan, zapłaciwszy zdecydowanie zawyżoną sumę, ale nie chciał tracić czasu. Do końca podróży słyszał pogardliwe uśmiešky i żarty na ten temat. Na każde: „Aż tak ci śpieszno do zgniłej Rasenny?”, reagował wzruszeniem ramion – nie potrafił się przejąć. Bał się tylko, że ktoś spowolni jego podróż; lub że on sam nie zdąży z dotarciem do Aule i jego podopiecznych.

Oddzielił się od towarzyszy tuż za granicą. Przez dwa dni podróżował wzdłuż górskiego łańcucha, aż na horyzoncie zaczęła majaczyć Novissa. Nahir zbliżył się do miasta tak, jak było to bezpieczne: aż usłyszał ciche echo źródła. Bez trudu wyobrażał sobie Ragani siedzącą na skraju jeziora i zabawiającą syreny. Zmusił się, by odbić na północ, w stronę domu wiedzy.

Pod nieobecność Nahira okolica nie uległa żadnym drastycznym zmianom, choć chłopak zastanawiał się, czy wcześniej też była aż tak cicha. Sad za domem wiedzy zaczął zarastać. Niedojrzałe jabłka ciążyły ku ziemi. Zza bramy sączyło się światło.

Nahir zapukał. Przyszło mu długo czekać, nim z drugiej strony rozległy się kroki.

– Kto idzie?

Z całą pewnością nie był to Aule, lecz ktoś dużo młodszy. Luan? Nahir nie mógł sobie przypomnieć głosu dawnego przyjaciela, zaś źródło było zbyt słabe, by zdołał je wyczuć.

– Nahir Lefarie – przedstawił się. – Wróciłem.

Luan otworzył okienko w bramie i dopiero po chwili, niechętnie, wpuścił Nahira w obręb murów. Mierząc go wzrokiem, zatrzymał spojrzenie na dłużej na tatuażu na podbródku.

– Po co tu przyszedłeś? – zapytał.

Nahir stanął jak wryty.

– Chciałem... – zająknął się. – To jest też mój dom.

– Już chyba nie. – Luan wzruszył ramionami. – Widzę, że wybrałeś inny.

Popatrzył znacząco na ubrania Nahira, na jego skórę spaloną słońcem Saady. Znów na tatuaż.

– Nigdy nie zrezygnowałem z tego – uparł się Nahir.

– O ile sobie przypominam, nie było cię tu, gdy... – Luan wciągnął powietrze ze świstem – ...gdy cię potrzebowaliśmy.

– Teraz tu jestem. I wciąż mogę pomóc. I muszę wam o czymś powiedzieć. – Nie mógł, po prostu nie mógł zachować dla siebie wiedzy o mechanizmie powstałym w Saadzie. O Wędrowcu, którego lada dzień zobaczą na niebie. I o koszmarze, w jaki zamieni się wtedy Rasenna. Mimowolnie zacisnął pięści. – Potem będziecie mogli mnie choćby wyrzucić za próg, ale proszę, dajcie mi to opowiedzieć!

Twarz Luana nie wyrażała niczego.

– Więc słucham – rzucił sucho.

Nahir rozejrzał się pytająco.

– Większej widowni mieć nie będziesz.

– Co...

– Aule zmarł – powiedział chłopak, unikając wzroku Nahira.

Wiadomość spadła na Nahira jak cios. Przycisnął dłoń do mostka, jakby to mogło uśmierzyć ukłucie bólu w sercu.

– A Susari?

Luan zawahał się, w końcu skinął na niego ręką.

– Chodź.

Zaprowadził Nahira do części sypialnianej, na piętro. Bez pukania otworzył drzwi do pokoju Susari.

Dziewczyna leżała na łóżku. Miała zamknięte oczy, a jej ręce spoczywały bezwładnie na posłaniu, wargi zsiniały. Nahir schwycił jej nadgarstek. Wyczuł słaby puls, ale źródło dziewczyny ucichło zupełnie.

Luan zatrzymał się pół kroku za Nahirem.

– Przeceniła swoje możliwości – powiedział cicho. – Wydawało jej się, że zdoła wyciągnąć chorobę z dziecka sąsiadów.

– Jak długo... jak dawno temu to było? – zapytał Nahir przez ściśnięte gardło.

– Kilka pentad temu.

Luan zrównał się z Nahirem i uklęknął przy posłaniu dziewczyny. Jej ciemnorude włosy kontrastowały z jej chorobliwie bladą skórą.

– Zanim zapytasz, czy próbowałem jej pomóc – powiedział – zapewniam cię, że nie było takiego sposobu, którego się nie podjąłem.

Nahir odsunął się, patrząc na tę dwójkę: Luana, na którego w wieku dwudziestu kilku lat spadło zbyt wielkie obciążenie, i Susari, która przypominała mu teraz o wszystkim, czym ryzykowali. Na pewno nie zamierzała wyczerpać swojego źródła. Pomyliła się, źle oszacowała swoje możliwości. Ten błąd może nie kosztował jej życia, ale Nahirowi jej los wydawał się dużo gorszy.

Wyobraził sobie Luana i Susari samych w wielkim, pustym domu wiedzy. Jeszcze gdy on też tu mieszkał – gdy Aule żył; żal odezwał się w jego sercu ćmiącym bólem – Luan i Susari przekradali się do siebie nocami, co stanowiło znany wszystkim sekret domu. Później, gdy Nahir odszedł, pocieszał się, że ta dwójka ma przynajmniej siebie nawzajem. Nawet bez Aule potrafiliby utrzymać dom wiedzy i ochronić go w razie potrzeby. Teraz zaś Luan został sam, z wymagającą nieustannej opieki Susari, która być może i żyła, ale nigdy nie miała już tego życia zaznać.

Luan nie mógł tego długo znosić. Nikt by tego nie wytrzymał.

Chłopak podniósł na Nahira szkliste, gorączkowe spojrzenie. Pod jego oczami widniały głębokie, sine cienie. Teraz udało się Nahirowi zidentyfikować dziwny odgłos towarzyszący krokom przyjaciela – nosił on przy sobie broń i nie rozstawał się z nią nawet we własnych pokojach.

Luan, którego Nahir znał kiedyś, w życiu by się na to nie powążył. Nie nosiłby ostrza Susari. Nie łamałby ostatnich praw, które przypominały Rasenom, kim są.

– Znalazłem sposób, by nie głodowała ani nie zmarła z pragnienia – powiedział, gładząc przelotnie siną dłoń Susari. – Dzięki temu może zyskam dość czasu.

„By zrobić co? – cisnęło się Nahirowi na usta. – By wyczerpać własne źródło, próbując obudzić Susari?”

Luan uśmiechnął się słabo.

– Chodźmy stąd. Nie przeszkadzajmy jej.

Nahir pokiwał głową i ruszył jego śladem. Obaj milczeli aż do momentu, gdy w kuchni Luan zdjął z paleniska garnek z wrzącą wodą i zalał nią ziołową mieszankę.

– Miałeś coś ważnego, o czym chciałeś porozmawiać – zaczął.

– Tak. – Mechanizm Saadyjczyków wydawał się Nahirowi teraz tak odległy, że chłopak nie wiedział nawet, od czego zacząć. – Jest pewien... pomysł, w którym przyda się twoja wiedza.

Luan zamarł, ogrzewając dłonie parującym naczyniem i czekając na dalsze słowa.

– To coś, co zbudowali Saadyjczycy – wyjaśnił Nahir. – Z naszą pomocą. Zegar astronomiczny. Zamawiali w Rasennie elementy, których nie mogli wykonać sami. W zamian moja rodzina będzie mieć zagwarantowany dostęp do zegara.

– Poprzez ciebie – domyślił się chłopak.

– Tak. – Nahir przemilczał udział Lefarie w tej historii. Ten jej fragment należał tylko do niego.

Wciąż nie przekazał tego, co najważniejsze. Choć Luan, nawet w jego obecnym stanie, był jednym z najbystrzejszych znanych Nahirowi ludzi i po jego minie Nahir domyślił się, że chłopak już wie, co zaraz usłyszy. Tylko jedno zastosowanie usprawiedliwiało kosztowność tego przedsięwzięcia.

– Chcą przewidzieć, kiedy Wędrowiec uderzy w Rasennę. Są w stanie to obliczyć, ale potrzebują naszej pomocy. Pomyśl tylko, cała wiedza, którą tutaj gromadziliśmy, może wreszcie się przydać...

Wyciągnął z torby plany, które ojciec pozwolił mu zabrać do Rasenny – tylko po tym, gdy Nahir przekonał go, że to zbyt mało, by ktokolwiek je skopiował i powielił. Rozprostował przed Luanem schematy wyszyte na jedwabiu. Znał je niemal na pamięć; zgodnie z nimi dopasowywał elementy mechanizmu.

Oszukiwał Luana – ale bał się powiedzieć mu całą prawdę.

– I co wtedy zrobimy? – zapytał szybko Luan, podnosząc głowę znad dokumentów.

Zbił tym Nahira z tropu.

– Bo nie zdążymy przecież przenieść stąd całej ludności – ciągnął, wyłamując nerwowo palce. – Nie wiemy nawet, jaki będzie zasięg tego uderzenia.

– Nie wszystkich. Ale chociaż część. Naszą bibliotekę. Może... nie przepadniemy zupełnie.

Nahir już wiedział, że to nie ma sensu; nawet gdyby saadyjscy naukowcy pomylili się w swoich obliczeniach, wściekłość Wędrowca spopieli wszystko, Rasennę i Saadę, winnych i niewinnych. Poruszył się na krześle, z każdym kłamstwem czując się coraz bardziej nieswojo. Lecz w oczach Luana zalśniła nadzieja. Świat jeszcze mógł się okazać bezpieczny.

– Oszukamy los – szepnął. – Oszukamy bogów. – Zaraz jednak posmutniał. – Nie mogę tego zrobić.

Nahir poczuł ukłucie rozczarowania.

– Dlaczego?

– Nie mogę zostawić Susari samej. A przewiezienie jej do Saady... sam wiesz, jak wygląda droga.

Nahir wiedział. I ani przez chwilę nie przeszło mu przez myśl, że może ją pokonywać w towarzystwie Susari, pogrążonej we śnie, z którego nie miała się obudzić.

– Przykro mi. – Luan dopił napar, skrzywił się.

– Nie, nie. – Nahir spróbował się uśmiechnąć. – Rozumiem – skłamał.

W ciągu kilku następnych dni rozmawiali o wszystkim. O Aule, o rodzinie Nahira, o Saadzie. Nahir nie mówił tylko o Ragani, co okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał – gdyż Luan niechętnie słuchał o Novissie; przypominało mu to, że on sam nie ma źródła, do którego mógłby wrócić. Ożywiał się za to, ilekroć Nahir wspominał o zegarze.

„Gdyby tylko nie Susari” – myślał Nahir. Spodziewał się, że Luan myśli to samo – i że zdręcza się poczuciem winy.

W toku rozmów zniknęła ta szorstkość, z którą Luan przywitał Nahira. W końcu Nahir odważył się zapytać o Susari.

– Jak do tego doszło, że się... przeliczyła?

Luan ściągnął brwi.

– Zauważyłeś, że zrobiło się tu jeszcze bardziej pusto? Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że... wraz z odejściem Aule to miejsce osłabło. Nie wiedziałem, że jego źródło aktywnie utrzymuje tu jakiegoś rodzaju barierę.

Popatrzyli po sobie. To byłoby coś, czego mogli spodziewać się po Aule.

– Zanim zapytasz, jego śmierć nie miała nic wspólnego z wyczerpaniem – kontynuował Luan. – Nie. Nie sądzę. Zmarł ze starości. Nie cierpiał.

Nahir pokiwał głową.

– No więc później zaobserwowaliśmy to... osłabienie. – Wzrok chłopaka błędził na horyzoncie. – Ludzie zaczęli chorować. O chorobach źródła Aule uczył mnie na krótko przed swoją śmiercią. Chyba się tego spodziewał. – Luan uśmiechnął się smutno. – Nikt nie jest na to odporny, nieważne, jak słabe źródło w nim bije. Jednych ich źródło po prostu pożera. Zmienia, przetwarza. To wyglądało potwornie. Widzieć, jak kończyny znajomych zamieniają się w kamień, jak kości się łamią i... – urwał. – U innych zaczęły się gorączki, potem krwawienie. Najprostszy sposób, by pozbawić kogoś źródła i możliwości wyleczenia. I by zarazić jego otoczenie. Spośród magicznych zaraz ta jest

najgorsza. Zwykle gdy zacznie się rozprzestrzeniać, jest zbyt mało czasu, by szukać winnych...

Nahir przypomniał sobie Saadę i pusty dom swojego ojca.

Jak Reza to nazwał? „Krwawa gorączka”. „Lefarie opuściła miasto wkrótce przed wybuchem epidemii. Nie mam wątpliwości, że by sobie poradziła, ale... i tak się cieszyłem, że nie musi na to patrzeć”.

W jednej chwili Nahir nabrał pewności, że zniknięcie jego matki nie było wyłącznie kwestią szczęśliwego trafu. Lefarie uciekała.

„Choć wielokrotnie mówiła, że boi się wracać. Że u was nie da się wyrzucić nikogo z rodziny, że źródła nie da się oszukać, ale przecież to nie jedyny sposób, w jaki można kogoś skrzywdzić”.

Zostawiła za sobą Rezę – nie chciała wzbudzić podejrzeń, że wie, co się dzieje. Jej tok myślenia wydał mu się porażająco znajomy. Ale w jakiś sposób udało się jej go ochronić. Reza przeżył.

Podobnie jak przeżyli Luan i Susari.

Czy dziadek Nahira w ogóle rozważał ofiary w postaci Saadyjczyków? Nie, ci przecież nigdy nie odkryliby przyczyny choroby. Prawdziwym celem była Lefarie. Zranienie jej wystarczyło. Na jakiś czas.

Nahir musiał wracać do Saady. Ale najpierw musiał zobaczyć Noviszę. I Ragani. A tego nie mógł zrobić sam.

Do końca wysłuchał Luana, uprzejmie kiwając głową, ale myślami był zupełnie gdzie indziej.

Siły Luana w całości pochłaniała opieka nad Susari. Dla tej zaś Nahir nie widział nadziei.

Chyba że...

Przypomniał sobie podróż do Saady z Ertanem i Iruve. I serce nomady, które kobieta z taką łatwością zamieniła w kamień. Jak go zapewniała, dało się ten urok odczytać. To, co sprowadziła na swoją ofiarę, było tylko najgłębszą, najbardziej ekstremalną wersją snu. Nie różniło się od stanu, w którym Susari znajdowała się teraz.

Mógł ją w nim utrzymać. Albo przekonać Luana, że nie ma tu po co zostawać.

Budził się przed świtem i oglądał własne dłonie: gładkie, niezniszczone pracą, ozdobione prostym ojcowskim sygnetem. Czy potrafiłby schwycić serce Susari i zamienić je w kamień?

Czy byłby zdolny ją zabić? Czy tym stał się teraz? Aż tak upodobał się do dziadka?

Ale Susari i tak była nieobecna, jej umysł już obumarł, a Luana wciąż dało się uratować.

Poza tym nie byłaby to taka zupełna śmierć. Źródło wciąż się w dziewczynie tliło – choć zbyt słabe, by mogła z niego zaczerpnąć. Organizm bronił się przed jego całkowitym wyczerpaniem, wprowadzając się w stan śpiączki.

Nahir wahał się, ale nie miał dużo czasu, musiał wkrótce wracać do Saady. Nie wyobrażał sobie jednak, że zostawi to miejsce – i dawnych przyjaciół – przyzwalając na powolny rozpad wszystkiego, co znał. Przynajmniej tyle był winien Aule.

Wykorzystał moment, gdy Luan spał. Wciąż nasłuchiwał; źródło chłopaka pozostawało niezmiennie odległe. Gdy Nahir się wysilił, mógł zlokalizować je w jego pokoju. Skoncentrował się. Teraz przydawało mu się wszystko, czego nauczono go w rodzinnym domu – i to, czego nauczył się sam, by zwracać na siebie jak najmniej uwagi. Nie zdołałby uciszyć źródła, ale mógł sprawić, że jego pieśń nikogo nie zaalarmuje. Rozpuścił wokół siebie ostrożne życzenia, jakby miał się wtopić w cienie. Powoli otworzył drzwi do sypialni Susari.

Nic nie zmieniło się od momentu, gdy zobaczył ją tu po raz pierwszy. W świetle lampy twarz Susari była tak samo zapadnięta i blada, pozbawiona życia. Jej dłonie leżały wierzchem do góry, tylko palce były lekko przykurczone. Powieki miała zamknięte. Oddychała płytko.

Nahir dotknął jej skóry i cofnął się z przerażeniem. Susari była zimna. Trudno mu było uwierzyć, że dziewczyna wciąż żyje. Ale jej żebra unosiły się i opadały w powolnym, ledwo dostrzegalnym ruchu.

Zaczerpnął tchu. Podjął już decyzję. Był to winien Luanowi jako przyjacielowi; winien Aule, któremu tyle razy obiecywał, że ocali jego dom wiedzy. Domu wiedzy już nie było. Nikt się tu nie uczył. Wciąż jednak można było uratować jego dziedzictwo.

Poza tym Nahir nie mógł wrócić do Saady bez Luana. Potrzebował kogoś, kogo dobrze znał. Komu mógł ufać.

Powtarzał sobie, że patrzy na pustą skorupę. Na niszczące ciało, w którym cichnie pieśń. Dzięki niemu Susari mogła odejść w spokoju, z godnością.

Tyle Nahir był winien całej swojej pierwszej rodzinie.

Zamknął oczy. Teraz wyraźniej usłyszał słabe, nieme serce Susari: puls bez melodii, do jakiego przywykł w Saadzie. Ściągnął ku sobie swoje źródło, skoncentrował je w zamkniętej dłoni. Pieśń zaczęła dudnić mu w uszach. Sięgnął ku źródłu Susari. Nie zdążył nawet pomyśleć życzenia do końca, gdy serce dziewczyny zaczęło zamieniać się w kamień, posłuszne, wręcz garnące się do silniejszego źródła. Susari westchnęła przez sen. Nahir wzdrygnął się, ale nie przerwał.

Pod skórą dziewczyny zastygł kryształ. Nahir otarł pot z czoła i wreszcie odważył się otworzyć oczy. Nic się nie zmieniło. Susari leżała na pościeli, nieruchoma.

Nahir przygryzł wargę. Właśnie złamał najstarsze prawo – ale stare prawa nie były już ważne. Widział to wszędzie, widział w osobie Luana, który nie rozstawał się ze swoim nożem. Widział w całej umierającej Rasennie, gdzie zdawało się, że bez pomocy Wędrowca wszyscy zginą.

Ostrożnie otworzył skórę Susari. Dziewczyna wciąż spała – teraz nikt, poza nim i Iruve, nie potrafiłby stwierdzić, że wciąż żyje. Jego palce natrafiły na kryształ, mokry i lepki. Nahir powstrzymał dreszcz obrzydzenia.

Kamień miał głęboką, ciemną, matową barwę skrzepłej krwi. W jego nieregularnym kształcie dało się dostrzec podobieństwo do ludzkiego serca, choć trzeba było o nim to wiedzieć, by zwrócić na to uwagę. Powierzchnia lśniła limfą. Nahir przetarł te lśniące smugi palcem. Gdy przysunął kamień do ucha, usłyszał cichy, odległy śpiew.

Jego koszula była przesiąknięta potem. Zamknął ciało Susari, umył dłonie i schował się w swoim pokoju.

Oszukiwał Luana. Dla jego własnego dobra, ale oszustwo pozostawało oszustwem. Do świtu nie zmrużył oka. Jego własne serce wciąż biło szybko, jak po biegu. Zadawał sobie raz po raz to samo pytanie: czy zabił swoją przyjaciółkę? Czy to była śmierć?

Tam, na pustyni, Iruve nie zostawiła mu żadnych wątpliwości. Zabiła człowieka. Wzbudziło to w Nahirze obrzydzenie, ale z niechęcią przyjął, że to było konieczne. Iruve musiała bronić siebie. Ich. Nahir stał się dla niej w jakiś sposób swój, jakby włączyła go do rodziny. Nie był pewien, czy tego chciał. Czy przyjąłby jej pomoc.

Ale czym się teraz od niej różnił?

Spróbował wyobrazić sobie reakcję Aule. Nie, nie mógł powiedzieć, że Aule zrobiłby to samo.

O brzasku dobiegł go stłumiony płacz z pokoju Susari. Nahir zacisnął powieki i naciągnął koc na głowę, ale wciąż słyszał szloch Luana, bijącego pięścią w podłogę.

„Nie mogłem zrobić nic innego – powiedział sobie Nahir. –Wszystko się kończy. Chcemy tylko uratować tyle, ile się da. Nie ma tego dużo. A cena jest wysoka”.

Wreszcie odważył się wejść do sypialni Susari. Na jego widok Luan poderwał się z podłogi i otarł łzy.

Nahir objął go w milczeniu. Zacisnął piekące powieki.

– Nic już więcej nie ma do zrobienia, prawda? – zapytał go Luan, drżąc w objęciach.

„Wręcz przeciwnie. Przed nami jeszcze bardzo wiele” – pomyślał Nahir.

Przygotowali dla Susari stos, ściąwszy w tym celu kilka jabłonek z zapuszczonego sadu. Luan, wciąż szlochając, złożył ciało dziewczyny wśród gałęzi. Płakał przed nią przez niemal godzinę, nim zdobył się na rozpalenie ognia. Nahir oparł dłonie na ramionach przyjaciela i zaintonował pieśń.

Ogień powoli pochłaniał wilgotne drewno. Nahirowi wydało się, że minie wieczność, nim Susari zniknie w płomieniach.

Potem długo nie odzywali się do siebie. W ciszy zebrali najcenniejsze woluminy.

– Co zrobimy z resztą? – zapytał Nahir.

Luan, będący już oficjalnie następcą Aule, westchnął głęboko.

– Nie wiem. Nie zdołamy ich przewieźć.

Popatrzyli po sobie niepewnie.

– Nie chcę tego niszczyć.

– Ja też nie. – Luan się zawahał. Nahir widział, że dużo go to kosztuje. – Czy potrafiłbyś mi pomóc z zamknięciem tego miejsca?

Nahir bez słowa skinął głową.

Wiedział, że gdy zamkną dom wiedzy, żaden z nich nie będzie miał już dokąd wracać; zniknie ostatnia bezpieczna przystań. Ale Luan miał rodzinę w osobie Nahira. On i drugi uczeń byli do siebie tak niepodobni, jak to tylko możliwe. Luan był impulsywny, wszystko silnie przeżywał, a jednocześnie nawet bliskich potrafił traktować z bezrefleksyjną agresją. Mimo to Nahir cieszył się, że ma go przy sobie. W zasadzie tylko Luanowi mógł zaufać.

Zamknęli bramę. Nahir uniósł ręce. Sad podchwycił tę wskazówkę i wystrzelił w górę; gałęzie oplotły dom wiedzy ciasnym gąszczem.

Luan przyglądał się temu z wymuszonym, kwaśnym uśmiechem.

– Jak w dawnych opowieściach.

– Myślisz, że nikt się tu nie włamie?

– Nie wiem. Ale to najlepsze, co możemy zrobić.

Nahir przytaknął niechętnie.

Luan przestępował z nogi na nogę. Podszedł do koni, które od dłuższej chwili niecierpliwie ryły kopytami w ziemi.

– Gdzie teraz? – zapytał, nie bez lęku. – Do Saady?

– Najpierw do Novissy – szepnął Nahir.

– Czy twoja rodzina nas przyjmie? – zapytał w drodze Luan. Skąły otaczające Novissę rysowały się już przed nimi. Mimo wczesnego wieczoru nad miastem biła łagodna luna świąteł.

– Nie wiem. Nie myślałem, by się u nich zatrzymywać – mruknął Nahir.

Luan uniósł brwi.

– To twoja rodzina.

– To nie znaczy, że jestem tam bezpieczny.

Luan tylko wzruszył ramionami.

Nahir popędził konia. Przez większość drogi obmyślał coś na kształt planu. Obliczył, że będzie mieć kilka godzin, nim rodzina zauważy jego obecność. Do tego czasu spodziewał się, że będą już przekraczać granicę.

Na noc zatrzymali się przed Novissą. Rozbili obóz i wspólnie zapletli wokół niego zabezpieczenia. Nahir długo siedział na posłaniu, śledząc wzrokiem przetwarzaną skałę, która w przyszłości miała się stać murami twierdzy. Próbował ocenić, ile jej przybyło pod jego nieobecność.

– Boisz się – stwierdził Luan.

– Tak.

– Czego?

„Kogo?” – Nahir zamknął oczy.

– Nie mogę ci jeszcze powiedzieć. Jutro się dowiem.

Luan chwycił jego dłoń i mocno ścisnął. Nie rozmawiali więcej, ale Nahir sądził, że żaden z nich nie zasnął na dłużej niż kilka minut.

Rano Nahir sam wszedł do Novissy. Poleciał Luanowi okrążyć miasto i wraz z końmi czekać na niego na drodze. Albo, jeśli nie wróci przed wieczorem, od razu kierować się ku granicy.

– Akurat tak zrobię – prychnął Luan, blady ze strachu. Objął Nahira i wyszeptał kilka słów błogosławieństwa. – Do zobaczenia za kilka godzin.

Nahir pokiwał głową. Cekał, aż przyjaciel zniknie na horyzoncie.

Novissa była dostatecznie duża, by Nahir nie wzbudził zainteresowania. Pochylił się, chowając twarz w szalu, i unikał cudzych spojrzeń. Nie musiał tu ukrywać swojego źródła; wtapiało się w pieśń jego przeszłych.

Nim pomyślał, stopy same zaprowadziły go przed dom Ragani. Przez chwilę patrzył z niedowierzaniem na zatrzaśnięte okiennice. Zsunął się na brzeg jeziora i spróbował otworzyć tylne drzwi. Wewnątrz dom był pusty i cichy; zabrano zeń meble i ozdoby. Nahir się wycofał. Odtworzył ścieżkę Ragani wiodącą wzdłuż

jeziora. Kilka razy poślizgnął się, nieomal wpadając do lodowatej wody, lecz ostatecznie znalazł miejsce, w którym dziewczyna przesiadywała. Puste. O niegdysiejszej obecności Ragani świadczyły tylko porozrzucane tu i ówdzie muszle. Nahir przysiadł między skałami, wpatrując się w jezioro otoczone rosnącym murem. Kilka razy wydawało mu się, że widzi w toni błysk syrenich łusek, lecz równie dobrze mógł mylić towarzyski Ragani z refleksami słońca na powierzchni wody.

Nie martwił się o dziewczynę. Owszem, tęsknił – lecz, skoro nie było jej w mieście, oznaczało to, że jej marzenie się spełniło. Nie dziwił się temu. Nie miał prawa liczyć, że na niego zaczeka. Rozumiał jej wściekłość i w duchu przyznawał jej rację.

Jednak tęsknił. Ją też chciał zabrać ze sobą do Saady – jakkolwiek scenariusz, w którym ratował wszystkich swoich bliskich, był naiwną mrzonką z gatunku tych, o których układa się pieśni. Wiedział o tym, ale nie mógł przestać marzyć, że jego podróż stanie się pieśnią.

Tymczasem Aule nie żył, źródło Susari ucichło, Ragani znikła. Udało mu się uratować tylko Luana, którego obecność była jak wyrzut sumienia.

Nahir wstał, po raz ostatni patrząc w głąb jeziora. Było jeszcze jedno miejsce, które musiał odwiedzić, nim zostawi za sobą Novissę.

Przez pomieszczenie dla służby zakradł się do domu dziadka. Dom go wpuścił; tu było wspólne źródło. Na to Nahir liczył.

Niski, głęboki ton domowego ołtarza przenikał wszystkie inne tony źródła do tego stopnia, że już pierwszego dnia Nahir przestał słyszeć jego wibrującą nutę. Ołtarz mieścił się w najstarszej części budynku: w samym jego sercu, w kominie z gładkiej, wynaturzonej skały, zamkniętym u góry płytą z mlecznego kamienia, która przepuszczała tylko część światła. Gdy chłopak przystępował do rodziny, ceremonia odbywała się niemal przy samym szczycie. Dziś zszedł niżej. Balansował na wąskich, wygładzonych setkami par butów stopniach.

Na samym dnie na posadzce zbierała się wilgoć, a światło było tak rozproszone, że gdyby nie świece, Nahir znalazłby się w całkowitej ciemności. Jego oddech odbijał się echem od ciasnych ścian, lecz zaraz nikał zupełnie wobec obezwładniającej mocy źródła.

– Jestem wasz – szepnął Nahir, siadając przed ołtarzem.

Dotknął dłonią wody w misie. Ciekawskie cienie wychynęły ku niemu z beczasu; jeden z pradziadów uśmiechnął się ciepło. Na ramionach chłopak czuł dotknięcia cieni, zbliżających się na chwilę ku materialnemu światu. Trwanie w beczasie nie mogło być szczególnie ciekawe, skoro przeszli tak ochoczo sięgali ku żywym. Czy też – być może – więzienie wspomnień o najbliższych było czymś niesłychanie samolubnym. Nahir wstrzymał oddech.

Potrzeby martwych rozumiał z łatwością – nie grali z nim w żadne gry, tu nie był pionkiem w niczyich planach. Pozwalał widmowym palcom badać jego policzki, orli saadyjski nos i rozplecione włosy.

Źródło w nim śpiewało.

Cienie stłoczyły się wokół Nahira, zdawały się pochłaniać płynące z góry światło. Po raz pierwszy od zejścia tutaj chłopak przestraszył się – ich uporczywego głodu życia, instynktownego podążania ku źródłu. Jedna z przeszłych położyła smukłą, widmową dłoń na jego sercu.

Nahir przycisnął pięść do ust, tłumiąc okrzyk. Przeszła tylko pokiwała głową i uśmiechnęła się smutno. Poruszyła misą ołtarza i przywołała Nahira gestem dłoni. Wiedziała, czego – kogo – szuka.

Na dnie naczynia leżał prosty diadem. To on śpiewał spokój i tęsknotę, wszystko, co Nahir chwilę wcześniej wziął za swoje źródło. Chłopak wyciągnął ku klejnotowi ręce i spróbował go podnieść. Prosta obręcz wykonana z metalu pokrytego drobnym wzorem, podobna do przepaski na czole Ragani, okazała się zbyt ciężka. Zacisnął palce wokół jej krawędzi.

Była ciężka od krwi.

Zamarł, przełykając podchodzący mu do gardła posiłek. Krwi się nie przelewało. Nikt nie marnował źródła. Nie w ten sposób. Nie, jeśli chciał zachować źródło, kupić kolejnemu pokoleniu jeszcze trochę czasu.

Chyba że...

To, na co patrzył, nie było świadectwem bezmyślnej zbrodni. Korona stała się rezerwuarem. Krew nie została zmarnowana. Ktoś ją zachował i pieczołowicie nadał jej formę ozdoby. Coś, co przywódcy źródła mogli nosić, co uznano by za błyskotkę, symbol statusu, nic więcej. Diadem zasilał powoli rosnące mury twierdzy. Mógł stworzyć iluzję prawdziwie silnego źródła. Nikt nie domyśliłby się, z czego powstał. Nahir nie mógł pohamować podziwu wobec twórców tego planu.

Nie było jednak najważniejszym, kto to zrobił. Istotniejsze pytanie brzmiało: komu?

Na to ostatnie znał już odpowiedź, choć odpychał ją od siebie, jak tylko mógł. Cofnął ręce. Diadem był zwodniczo ciepły – jakby ktoś właśnie zdjął go z czoła.

Lefarie, o której nie mówiono – która, według powszechnej wiedzy, znów gdzieś wyruszyła. Której nikt nie szukał.

Lefarie, która wiedziała, że rodzina chce ją skrzywdzić. Lefarie, która uciekała.

Pieśń, którą słyszał Nahir, początkowo biorąc ją za wyraz tęsknoty, była pieśnią skargi. Lefarie wyśpiewała swoją historię, gdy już nie miała złudzeń, co ją czeka – i mimo wszystko wiedziała, że jej kara przysłuży się rodzinie. Wplotła

w melodię przenikliwe tony bólu, ale złagodziła je ulgą, że źródło jej się nie wyrzekło.

Nahir popatrzył po przeszłych. Kilkoro potrząsnęło głowami: nie, Lefarie wśród nich nie było.

– I zgodziła się na to? – zapytał, po czym szybko poprawił się w myślach, zniesmaczony naiwnością swojego pytania. Zapewne nie miała wyjścia.

Przeszli powoli odchodzili; terażniejszość im ciążyła. Nahir wytarł dłonie w skraj tuniki, próbując zetrzeć z nich wspomnienie korony. W ciszy, w której został tylko dźwięk ołtarza, chłopak pograżył się w myślach. Wiedział, że nie da rady długo utrzymać swojej eskapady w tajemnicy. Przeszli byli bezstronni; tym razem z korzyścią dla niego. Ale to znaczyło też, że nie będą mieli obowiązku chronić jego tajemnic przed innymi.

Zatem wiedział. O tym, że rodzina chciała ukarać Lefarie – uśmiechnął się gorzko – i o stworzonym rezerwuarze źródła. Jego krewni przygotowywali się na koniec Rasenny. Kosztem jego matki.

Jak w transie wspiał się z powrotem po schodach. Kilka razy zamierał, nasłuchując i czekając, aż kroki ucichną. Tym razem jego wściekłość wzbierała niepohamowaną falą – wobec dziadka, wobec Sainy, która musiała wiedzieć, ale posłusznie grała rolę przyjaznej krewnej. Wobec Ragani, która nie rozumiała, do czego mógł doprowadzić jej kaprys. Która go zostawiła.

Nahir zmusił się do zachowania spokoju. Uspokoił oddech. Jeszcze nie mógł pozwolić sobie na okazanie złości. Najpierw musiał stąd wyjść.

Na zewnątrz oślepiło go światło dnia – choć już słabnące, dużo mocniejsze niż na dole. Nahir zamrugał. Nie wiedział, że spędził przy ołtarzu tyle czasu. Otarł łączy wierzchem dłoni i skręcił w najbliższy zaułek. Gdy oddalił się już od domu dziadka, zaczął biec. Nie pozwolił sobie zwolnić, nawet gdy jego mięśnie odezwały się palącym bólem.

Luan czekał na niego w umówionym miejscu. Zdyszany Nahir oparł się o koński bok, schował twarz w derce i pozwolił łzom płynąć. Po chwili poczuł na plecach dłoń przyjaciela. Nahir potrzebował tego gestu – ale uświadomił mu on jeszcze jedno. Był Luanowi winien przynajmniej kilka słów wyjaśnienia.

– Musimy uciekać – wykrztusił. – Wszystko ci powiem, to jest... to jest zbyt duże, ale musimy się znaleźć w bezpiecznym miejscu.

– Saada będzie bezpieczna?

– Bardziej niż ta okolica. Błagam cię, Luan... – zachłysnął się.

– Ćśś. – Luan objął go ramieniem. – Uciekniemy. Spokojnie. Uciekniemy.

Nahir obrócił ku niemu zalaną łzami twarz.
– Nie chcę widzieć tego miasta nigdy więcej.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Miesiąc owoców, pierwsza pentada, dzień pierwszy

Stworzyciel był ciepły, choć w dziwny sposób: to ciepło wychodziło poza zwykłe fizyczne odczucie i wlewało się prosto pod jej skórę. Zapominała, skąd pochodzi; zapominała, że to samo czuła, gdy umierał Avile. W tej chwili była gotowa wybaczyć Vesui wszystkie morderstwa za to oszałamiające poczucie siły. Miała wrażenie, że gdyby zechciała, mogłaby się teraz poderwać do lotu i zostawić ziemię daleko w dole. Mogła wszystko. Dotknęła źródła, z którego wypływała boska potęga stworzycieli.

Ale nie po to tu przyszła, żeby się w nim zanurzyć. Chciała się tylko dowiedzieć. Pokolenia badaczy i nimrodów mogły jedynie krążyć wokół podań i domysłów, wiarygodne relacje skutecznie zniszczono. I nawet jeśli niektórzy – jak jej rodzice, jak Arsad – mogli się domyślać i byli bliżej prawdy, to wszyscy oni krążyli jak we mgle. Potrzeba było solidnej, sprawdzonej wiedzy opartej na doświadczeniu. Teraz mogła sprawdzić. Dowiedzieć się, czym tak naprawdę jest sowi stworzyciel.

Śnili inne, obce miejsce, nie Sahit ani nie pustynię. Wiatr nie pachniał tu solą. Powietrze było nieruchome, lepkie i gorące: tak na zewnątrz, jak w pomieszczeniu, w którym się znajdowali. Vesui obrócił się leniwie na posłaniu. Tuż nad jego głową był niski sufit pokryty spękaną białą farbą. Spod farby wyłaziła słoma. Kilka wielkich, lśniących owadów krążyło wokół, próbując dostać się pod słomę. Gdy stworzyciel pstryknął palcami, wszystkie padły bez życia.

Dopiero wtedy Zaihab zorientowała się, że nic nie słyszy: wszystko przytłumił jeden, znajomy już, dźwięk rozlegający się w jej głowie.

Nie, nie w głowie; pojedyncza nuta zdawała się rezonować w jej kościach. Szumiała w żyłach, jakby chciała odwrócić bieg krwi. Zaihab była dysonansem w tym brzmieniu. Chciała mu się poddać – ale nie mogła.

„To przed tym się broniliście – zamruczał jej do ucha Vesui-z-Sahit. – Byliście głusi jak pnie, ale wciąż podatni na nasz wpływ. Czy mam ci opowiedzieć o żołnierzach, którym wkrawano się w mózgi, by nie poszli za pieśnią źródła?”

Zaihab zignorowała go. Pieśń oplatała ich oboje.

– Vesui? – Głos rozległ się ponownie. Zaihab uniosła głowę, przypominając sobie, że jest tylko obserwatorką w śnie bóstwa.

Kobieta. Rasenka. Musiała być dość młoda, choć głos miała ochryply ze zmęczenia. Gdy Vesui podniósł głowę z posłania, Zaihab zobaczyła jej ciemne smutne oczy i wychudzoną figurę pod przepoconą suknią. Nieznajoma mimo to trzymała się prosto, jej ciało pamiętało nawyki z lepszych czasów.

Wtedy też Zaihab zauważyła coś jeszcze: złote łańcuszki łączące nadgarstki i kostki Vesui, by ograniczyć jego ruchy. Sploty wyglądały jak najdelikatniejsza biżuteria, choć gdyby były tak kruche, stwórcy na pewno by je zerwał. Mimo upału Zaihab przeszedł zimny dreszcz.

Vesui zachichotał bez radości w jej myślach.

– Tak? – zapytał ten we wspomnieniu, zwracając się do kobiety.

Nieznajoma przyniosła ze sobą ten sam dźwięk, który Zaihab czuła w sercu i do którego teraz musiała przywykać. Dotarły do niej odgłosy z zewnątrz: beczenie kóz i parskanie koni, gwar rozmów. Ludzie mówili z dziwnym akcentem, ale poznała melodię języka.

„Oto twoja Saada – szepnął Vesui. – Byłem w źrenicy jej oka”.

„Nie – odparła natychmiast Zaihab. – Nie”. Ale nie miała żadnego argumentu, nic poza pewnością, że to nie mogło się stać. Pewnością, którą przekazali jej rodzice. Którą im z kolei przekazał ktoś inny... i tak aż do pierwszej osoby, która o tym powiedziała. Późniejsze pokolenia nie miały wyjścia, jak tylko temu zaufać.

Zaihab uspokoiła oddech i na powrót skupiła się na wspomnieniu.

– Musimy wyjść. – Głos kobiety zadrżał, zdradzając napięcie. – Powinniśmy wrócić przed zachodem słońca.

– Mhmm.

Zaihab przebiegła dłonią po włosach tamtego Vesui. Były śliskie i gładkie, splecione w warkocze, obciążone na końcach metalowymi monetkami. Stwórcy otarł się i odsunął poza zasięg jej rąk.

– Nie ruszaj się stąd – pouczyła go kobieta. – Uważaj na siebie.

– Mhmm.

Zeszła po schodach. Vesui zamarł, nasłuchując. Po chwili Zaihab usłyszała zgrzyt ryglowanych drzwi.

Vesui odczekał jeszcze chwilę, po czym zaczął rozginać pojedyncze ogniwo łańcuszka przy nadgarstku. Już po chwili pokrył go pot. Czymkolwiek był ten metal, na pewno nie miękkim złotem. Ogniówka rozgrzała się do białości, parząc palce stwórcy...

„Zupełnie jak oparzenie na twojej dłoni, gdy chciałeś mnie skrzywdzić”.

„No proszę, może nie jesteś aż tak głupia”.

...ale Vesui zacisnął zęby i spokojnie, metodycznie rozginał ogniwo dalej. Zmieniał naturę łańcuszka. Wreszcie metal ustąpił i łańcuszek zsunął się z nadgarstka. Stworzyciel opadł na posłanie, oddychając głęboko. Po chwili zmusił się, by chwycić za więzy na drugiej dłoni. Nie miał wiele czasu.

Nim skończył, jego ręce i kostki pokryły się bąblami, a powietrze na strychu stało się gorące jak w kuźni. Vesui otarł wierzchem dłoni zażawione oczy. Zaihab zagryzła wargi, by nie płakać razem z nim.

Vesui przysunął się na brzuchu do wylotu schodów i spojrzał w dół. Woń chemikaliów uderzyła Zaihab w nozdrza. Parter był skryty w cieniu, mimo rozstawionych tu i ówdzie świec, i zagracony: pod ścianami stały bele jedwabiu i kosze lśniących nici, a półki ugiwały się pod ciężarem słoików z barwnikami. Większość miejsca zajmowały poznaczone farbą stół i lada z grubego, ciemnego drewna. W wejściu wisiła ozdobna tkanina, której dolną krawędź obciążono dzwonkami. Oczy Vesui od razu powędrowały ku małej misce z wodą, na wpół ukrytej w kącie. Ponad nią wisiał pęk przywiedłych kwiatów.

Gdy dzwonki ucichły na dłuższą chwilę, Vesui poderwał się z miejsca i płynnym ruchem zeskoczył na dół. Przykucnął za ladą. Zaczął otwierać szuflady. Wyciągał z nich bibeloty należące do kobiety, lecz żaden z nich nie był tym, czego szukał. Ciskał rzeczy z powrotem do szuflad, gdzie odnajdywały swoje miejsce. Probierze i kostki atramentu przesuwają się same, ukrywając jego ślady.

Jeśli głosy na zewnątrz narastały, Vesui zamierał i nasłuchiwał, a jego serce zaczynało bić szaleńczo. Zaihab nie oglądała jednej z jego gier. Naprawdę był przerażony.

Kurczył mu się czas, a to, czego szukał, musiało być gdzieś blisko. Wiedział... nie – czuł to.

Miał jedną, jedyną szansę, by uciec swojej opiekunce. I zapewne wcześniej próbował nieraz; złote łańcuszki, nim je przerwał, śpiewały o zawiedzionym zaufaniu, czujności i strachu. Teraz jednak Vesui wiedział, czego potrzebuje, by się uwolnić. Oczywiście opiekunka to ukryła – i to tak dobrze, że czuła się dostatecznie pewnie, zostawiając go samego. Musiał być sprytniejszy.

Już raz ją zaskoczył – gdy liczył na to, że go doceni i polubi. Że jej zaimponuje.

I zaimponował. Potraktowała go jako cenne zagrożenie: trzymając blisko siebie, by przypadkiem nie zrobił nic przeciwko niej. Zachłyśnięty możliwościami, jakie dawało mu jej towarzystwo, zbyt późno zorientował się, że dał się zamknąć w klatce. Tu jego skrzydlaci towarzysze nie mogli mu pomóc.

Kilkoro z nich zginęło w jej ogniu. Pozostałe ptaki nauczyły się, by zachować dystans.

Wiedział: bała się go. Nie miała pomysłu, co z nim zrobić, ale nie mogła pilnować go przez cały czas. I tak trwali w szachu: czarodziejka, która przeszła przez ogień, i chłopiec, który widział wszystko. Zapewne kiedyś liczyła, że Vesui opowie jej o tym, czego się dowiedział, i umrze; ale on kurczowo trzymał się życia, mimo dręczącej go choroby, mimo że pozbawiała go źródła. Vesui walczył o siebie, choć nie zostało mu już wiele czasu. To też wiedział. Jak również to, co opiekunka zrobi z nim po jego śmierci. Dlatego musiał się śpieszyć. To mogła być jego ostatnia szansa.

Upadł na podłogę. W kruchym ciele było coraz mniej sił. Być może faktycznie był przeklęty, jak kiedyś mu mówiono? Choć czy zdążył zrobić coś złego, by na to zasłużyć, lub zrobił coś złego później?

Może raz, wtedy, gdy pozbawił przytomności przyjaciela opiekunki. Ale opiekunka i tak nie ufała Ertanowi, choć twierdziła inaczej. Kiedyś niemal go zabiła. Vesui to widział. Zmieniła zdanie w ostatniej chwili. Później tego żałowała. To też widział, nim zabrała mu jego ptaki.

– To żywe stworzenia. Nie możesz ich więzić – powiedziała mu, najwyraźniej nieświadoma ironii swoich słów.

Musiał myśleć. Szybko. Zgadnąć, co wzbudziłoby zaufanie opiekunki.

Okręcił się na pięcie w poszukiwaniu wskazówek. I znalazł je. Rozłożył ręce, nakazując świecom płonąć mocniej.

Ogień był jej podległy. Mogła z łatwością poprosić płomienie o ukrycie czegoś. Zaś Vesui nie miał im wiele do zaoferowania, jeśli opiekunka karmiła je swoją wolą.

Zacisnął zęby, patrząc na swoje opuchnięte palce. To będzie bolesne. Ale czym był ten moment wobec świata czekającego nań za drzwiami więzienia? Z dała od domu, w którego ściany wmurowała mających pilnować go ludzi?

Mimo to wrzasnął, gdy płomienie zaczęły lizać jego dłonie. Na zmianę krzyczał i gryzł wargi, gdy po omacku szukał przedmiotu ukrytego w płomieniu. Skóra na jego knykciach pękała pod wpływem gorąca, tracił czucie w spalonych palcach. Ale ból nie ustępował – powędrował gdzie indziej, ku wnętrzom jego dłoni. Ogień powtarzał imię swojej twórczyni. Iruve.

Wreszcie Vesui natrafił na to, czego szukał, i rzucił się na podłogę, płacząc cicho. Nakazał skórze się goić, ale zdawało się, że jego kości zapamiętały płynący z ognia ból, że w powykrzywianych stawach na dobre osiadły płomienie i złość opiekunki. Lecz i to już wkrótce miało przestać się liczyć. Przytulając znalezisko do siebie, Vesui wspiął się na poddasze i padł twarzą w posłanie.

Po chwili dziecięcy stwórciel otarł łzy, podziwiając trzymany przez siebie przedmiot. Nawet ból nie mógł go teraz pozbawić triumfalnego uśmiechu. Pod własnymi opuszkami Zaihab czuła kryształ, zbliżony strukturą do strupów pojawiających się podczas zamknięcia, ale dużo większy i cieplejszy. Vesui ujął kamień w obie dłonie. Znów usłyszała tamten dźwięk przenikający jej ciało – choć słabszy, rozpoczynający się inną nutą i przypominający echo wołania. Kryształ pulsował. Bił. Przenikające go światło rzuciło na podłogę refleksy koloru wina i granatów. Nim poparzone dłonie Vesui go oplotły, Zaihab rozpoznała kształt trzymanego przez chłopca przedmiotu. Ludzkie serce, zatrzymane za sprawą magii, lecz niewątpliwie żywe.

Otrząsnęła się ze wstrętem, próbując wycofać się ze wspomnienia. „Odłóż to – próbowała nakazać Vesui. – Proszę. Zostaw to”.

Vesui niemal uległ – nie jej prośbom, ale własnemu obrzydzeniu. Dygotał, lecz nie wypuszczał serca z rąk. Przysunął je do warg. Pieśń rozległa się głośniejsz, mocniej. Puls Zaihab przyspieszył. Rozum nakazywał uciekać jak najdalej, wyrwać się z tego koszmaru i uciszyć pieśń. Ale poza rozumem było coś jeszcze, co ciążyło ku sercu, oczekując jego słodyczy.

To samo targało chłopcem, czuła to. Vesui się trząsał. Otworzył usta tak szeroko, jak tylko mógł, i wgrzył się w kryształ. Ten, choć powinien mieć twardość kamienia, ustąpił pod zębami chłopca. Pod skorupą znajdował się słodki miąższ.

Pieśń eksplodowała w uszach Zaihab. Vesui jadł i jadł. Z nadgryzionego serca wypływała krew jak sok owocu. Vesui zlizywał ją, gdy ściekała mu po wargach, chcąc zachować dla siebie jak najwięcej słodyczy. Nic innego nie smakowało w ten sposób, nic nie mogło się z tym równać – oboje o tym wiedzieli, ona i chłopiec, który płakał, nie mogąc pohamować głodu. Pieśń zestroiła się z jego źródłem, które dotąd pulsowało słabo. Teraz nic nie mogło go uciszyć.

Vesui dokończył posiłek. Oblizwał palce, by nie zostawić choćby kawałeczka. Na jego policzkach – własnych policzkach – Zaihab wciąż czuła słone ślady łez.

Dopiero teraz wypuścił ją ze wspomnienia.

Otrzasnęła się ze snu, upadając na posadzkę świątyni. Dotknęła twarzy; była sucha. Słodycz serca stawała się powoli odległym wspomnieniem, choć Zaihab miała niezachwianą, upiorną pewność, że będzie tęsknić za tym smakiem i za tym, co przynosił. Śmierć Avile była słodka – ale nie mogła równać się chwili, w której Vesui wgrzył się w serce.

Skrzydlate otoczyły ją kręgiem. Zdawało się, że przykuwa je właśnie wspomnienie serca. Zaihab się wzdrygnęła.

Vesui usiadł naprzeciwko niej, strosząc pióra. Wydawał się zmęczony, lecz zadowolony z siebie.

– Czy wiesz już wszystko, co chciałaś wiedzieć?

Zaihab przełknęła ślinę, pozbywając się resztek słodczy z języka. Tamto doświadczenie nie miało nic wspólnego z lodowatą martwością zakłęta w jałowych polach – ani nawet z mieszkaniem w świątyni, w otoczeniu ludzi przemienionych w ptaki i szeptów w ścianach. To przed tym ją przestrzegali. Przed niebezpieczną, upajającą magią, która wrzała w żyłach. Przed tym, skąd się brała.

Nie wiedzieli tylko, że boskość stwórcy jest tym samym. Spotęgowanym, jeszcze głodniejszym.

– Pożeraliście siebie nawzajem – jęknęła słabo Zaihab.

Vesui zamarł w bezruchu.

– Tak – przyznał. – Nasze źródło słabło. Ale wciąż biło w innych, więc...

Dziewczyna wsparła się na dłoniach i zwymiotowała kolację. Wytarła twarz brzegiem tuniki. Mdłości nie ustępowały.

Zapomnieć, zapomnieć, wyrzucić to z głowy. Wiedziała, że nie zapomni nigdy.

Echa bóstwa przykute do ziemi. Akurat. Być może z czasem stwórcy stali się związani z miejscami, w których osiedli, lecz nie było w tym żadnego pięknego wspomnienia o zabitym bóstwie. Byli tylko magowie. Ludzie, którzy zjadali serca swoich pobratymców.

– Wiesz, co nam to dawało – ciągnął Vesui niewzruszonym głosem kogoś dużo starszego. Wreszcie słyhać w nim było ciężar lat. I zbrodni, przypomniawszy sobie. Odrażających, bratobójczych zbrodni. Próbowwała zatrzeć wspomnienie smaku ludzkiego serca. Bezskutecznie. – I też się w tym rozsmakowałaś – dorzucił, gdy Zaihab znów schwyliły torsje.

Gdyby mogła, wypaliłaby Nową Saadę do gołej ziemi. Wojna z Rasenami była najlepszym, co mogli zrobić. Nie powinni byli tylko tu zostawać. Należało wszystko zniszczyć, raz na zawsze wyprzeć z pamięci, że coś takiego było możliwe.

Zaczerpnęła tchu. Zimne nocne powietrze zdawało się drapać i ranić gardło.

– Wykończylibyście najslabszych spośród siebie – szepnęła – i rzucili się nam do gardła. Tak wnioskowaliśmy, nie wiedząc o tym, co robicie. Chociaż nasze serca... – Przyłożyła dłoń do piersi, szukając pieśni. Odpowiedziało jej tylko bicie. Przyśpieszone strachem, lecz zwyczajne. – Nie możecie nas... nie jesteśmy dla was... pokarmem.

Vesui poświstywał przez nos.

– Tak sądzisz?

– Nie ma w nas tej pieśni. To wy byliście przekłeci.

– Albo błogosławieni – mruknął z przekąsem. – Tak sądzisz? – powtórzył.

Zawahala się.

– Naprawdę nie odwiedziłaś żadnej z zapomnianych kaplic? – zacmokał z zadowoleniem. – Czy nie chciałaś o tym myśleć? Wydaje ci się, że wszystkie te bóstwa umarły z zapomnienia? Bo nikt nie stawiał przed ołtarzami kwiatków i kadzideł? Nie – odpowiedział, nim miała szansę się odezwać. – Ci stwórcy zmarli z głodu. Uwiązani do ziemi, odcięci od swoich źródeł, pozbawieni wyznawców. Najpierw ich okaleczyliście, a potem zagłodziliście. I nie myśl, że twoi przodkowie nie wiedzieli, co robią.

Spodziewała się gniewu; skrzydlate najwyraźniej też, bo znów zaczęły stroszyć pióra i zbijać się wokół niej w ciasną gromadkę. Ale głos Vesui był zimny, spokojny. Choć przecież stwórcy nie mógł wybaczyć tamtych zbrodni. Nie wierzyła, że potrafiłby zachować wobec nich obojętność.

Wciąż brakowało jej jakiegoś elementu tej układanki, ale nie miała już sił. Nie teraz. Nie dziś. Już ani chwili więcej.

Musiła jednak zadać jeszcze jedno pytanie.

– To tamci dawni słabsi stwórcy. Ale ty? Nie przypominam sobie żadnych krwawych ofiar w twojej świątyni.

Vesui się zastanowił. Wyobraziła sobie, jak po ptasiemu przekrzywia głowę.

– Niby po co? – zapytał. – Mam wszak do dyspozycji całe miasto.

Przed wschodem słońca pałac był pogrążony w ciszy, tylko wprawne ucho Osuna wyłapywało dalekie dźwięki krzątania służby. Kasser czekał, aż służący naleje mu kawę. Jego pokój wciąż oświetlały świece; ale czując na karku pierwsze promienie Niegasnącego, w myślach powtarzał już powitanie słońca. Stara litania przynosiła mu spokój.

Ten jednak prysł, gdy w wejściu zobaczył swojego asystenta. Chłopak drobił niespokojnie, czekając, aż służący skończy nalewać kawę. Zza jego pleców wyglądała znajoma twarz – och, puste nieba. Dziewczyna na posyłki Avile. Niestarannie zaplotła zmierzwione włosy, szal zsuwał się z jej ramion. Przyciskała do siebie płócienne zawiniątko.

Osun odprawił służącego i podniósł delikatne naczynie z kawą.

– Więc? Co się stało? – zapytał, gdy służący zniknął w drzwiach.

Asystent usiadł naprzeciwko niego i opuścił wzrok. Dziewczyna stała za nim, wciąż kurczowo trzymając zawiniątko.

– Znalaziono Avile sur Irsa martwego.

Osun wypuścił naczynie z rąk. Gorący napój wsiąkł w ozdobny dywan; krople spadły na dłonie kassera. Na dźwięk pękającej porcelany służący na powrót pojawił się w wejściu, ale Osun odprawił go gestem.

Chciał się tylko obudzić. To musiał być przecież sen.

– Co?

Chłopak mrugał, tłumiąc zdenerwowanie.

– Nie przejęczyłem się. To znaczy... trudno mówić, by znaleziono isbeta, bo...

– To ja go znalazłam – przerwała mu dziewczyna. Miała zaciętą twarz i dźwięczny, pewny siebie głos. – Gdy poszłam rano do hieroduli.

Osun posłał jej krytyczne spojrzenie, ale wytrzymała je, choć pobladła.

– Przecież mi wolno? – zapytała tylko. – Zresztą... – Rozwinęła trzymane przez siebie zawiniątko.

Trzymała w dłoniach wierzchnią szatę Avile, tę samą, którą isbet miał na sobie podczas święta. Osun poznał delikatny materiał i hafty. Ale przód szaty był rozerwany, a cenne rękodzieło – zbryzgane krwią.

– Znalazłam to przy wejściu do gniazda – dokończyła dziewczyna.

Osun przez chwilę rozważał, czy to ona mogła zabić isbeta. Przeszła żołnierskie szkolenie. Ale nie potrafił sobie wyobrazić tego bestialskiego ataku w jej wykonaniu.

– Zostaw to tutaj – powiedział, wskazując gestem stół w głębi pokoju. Dziewczyna bez słowa złożyła szatę i wykonała polecenie. – Dziękuję. A teraz wyjdź.

Na jej twarzy odbiło się zaskoczenie, może nawet obraza, ale Osun nie miał ochoty skupiać się teraz na jej humorach. Począł, aż dziewczyna wyjdzie.

– Czy ktoś to widział? – zapytał asystenta.

– O ile mi wiadomo... poza mną nikt. Min Arit przyszła prosto do mnie.

Nawet jeśli przemierzyła całe miasto, nie było raczej wielu osób, które zwróciłyby na nią uwagę. To ułatwiało sprawę.

– Więc co tu jeszcze robisz? – powiedział ostro Osun.

Na te słowa asystent zaczerwienił się po czubki uszu.

– Min Osun wybaczy mi śmiałość, ale... nie zostało chyba nic do zrobienia. Już wiemy, kto go zabił. Vesui.

Osun patrzył na niego przez dłuższą chwilę, kręcąc głową. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Przysięgam – szepnął chłopak, mylnie odczytując jego dezaprobatę. – Nie śmiałbym przecież...

– Wierzę ci – przerwał mu Osun. Mógł sobie wyobrazić, dlaczego stworzyciel zabił Avile. Albo... dla kogo to zrobił.

Jego myśli gnały naprzód. Przy Avile zatrzymały się tylko na krótko, pomknęły niemal od razu ku anakswi. W wyobraźni Osun zobaczył ojca, gdy ten choruje coraz bardziej, gdy trzeba go izolować od dworu, a wreszcie – od

ogniska. I on, i Avile wiedzieli, że ten moment kiedyś nastąpi. Avile miał się tym zająć. Nigdy nie rozmawiali na ten temat, lecz było to oczywiste.

Już nie.

Pogłębiająca się choroba anaksa tylko zapoczątkowałaby katastrofę. Niewątpliwie była tragedią – dla całego ogniska Osuna. Kasser nigdy nie zapomniał o wdzięczności. Ale strata ojca byłaby i tak łatwiejsza do zniesienia niż to, co musiało wydarzyć się potem. Upadek Sahit. Osun pomyślał przelotnie, że zapewne i tak nie zdąży tego zobaczyć. Zostanie skazany jako zdrajca. On i całe ognisko anaksa. Następnie pozostałe wolne miasta rzucają się na to, które naprawdę jest chore, i zrównają je z ziemią, o ile wcześniej nie zrobi tego armia Saady, by ukarać ziemie, na których zginęli Najjaśniejsi. Osun niemal przeklął wybrańców Niegasnącego.

Potań kąciki oczu. Niechciany głosik w głowie podpowiadał mu, że jeszcze może uciec – gdyby tylko potrafił uwierzyć, że zdoła się oddalić od miasta. Na własne nieszczęście był zbyt rozpoznawalny. I miał w sobie głęboko wpojony lęk przed Nową Saadą, wciąż rodzącą spotworniałe owoce, a nocą rozbrzmiewającą nawoływaniem nieznanymi zwierzętami.

I co najważniejsze – przecież nie mógł zostawić swojego ogniska.

„Jesteśmy rodziną” – powiedział mu anaks lata temu, gdy przyjmował go do grona swoich bliskich. Z całej tamtej uroczystości Osun zapamiętał zmęczony uśmiech mężczyzny – już wtedy anaks musiał być trawiony chorobą – i uścisk dłoni poznaczonych długimi, głębokimi bliznami, jakby zostawionymi przez szpony.

Ognisko wolno było zostawić tylko wtedy, gdy nic innego nie mogło zachować jego ciągłości. Sahit być może jeszcze dało się uratować.

– Musimy pochować isbeta – mruknął, podnosząc wzrok na asystenta.

Chłopak poruszył się niespokojnie.

– Min Arit mówiła, że... ż-że nie bardzo jest co chować.

Na te słowa pusty żołądek Osuna się zacisnął.

– Czyżby? – Kasser zmusił się do uśmiechu, który w jego zamierzeniu miał być uspokajający. – Isbet zmarł przecież od trawiącej go choroby. Już wczoraj wszyscy widzieliśmy, jaki był słaby. Niestety nasi medycy nie potrafili mu pomóc. Było za późno.

Twarz asystenta przybrała kolor ścian raseńskich miast.

– Ale...

– Jeśli teraz wszyscy się dowiedzą, miasto wpadnie w panikę – tłumaczył cierpliwie Osun. – Nie możemy ryzykować. Żrenica powierzyła nam Najjaśniejszych. Ich bezpieczeństwo jest naszym priorytetem. Isbetowi już nie pomożemy.

Chłopak wciąż nie wyglądał na przekonanego. Osun niemal zazdrościł mu trudności, z jaką ten przyjmował kłamstwo.

– Chyba że tobie los Najjaśniejszych jest obojętny? – zapytał, udając zdziwienie. – To stawia naszą współpracę pod znakiem zapytania.

Asystent spłoszył się. Był młody i naiwny, lecz nie głupi. Umiał rozpoznać groźbę.

– Oczywiście, że nie jest mi obojętny – wymamrotał.

Osun powoli skinął głową.

– Ale... Min Arit wie przecież, co się wydarzyło. Była tam – dodał chłopak.

Kasser wstał, podniósł zostawioną przez dziewczynę szatę i cisnął kulę materiału do kominka. Bez wahania przyłożył do niej świecę. Razem z asystentem patrzyli, jak materiał zajmuje się ogniem i zamienia się w kruchy popiół.

– Czy była? – zapytał Osun, jakby rozważali filozoficzny dylemat. – Czy widziała coś na pewno? Wszak gniazdo jest terytorium stwórcy, dzieją się tam dziwne rzeczy. Ja bym jej nie wierzył. Czy ty jej wierzysz?

– Nie. – Przerażony chłopak pokręcił głową.

– Świetnie. Zajmijmy się więc przygotowaniami do pogrzebu. A jeśli usłyszysz plotkę, jakoby isbet został zabity przez stwórcę, po prostu ją wyśmiej. Mamy ważniejsze problemy niż kłamstwa zawistników.

– To prawda – przyznał mu asystent.

Osun zmusił się do uśmiechu.

Tisar nie zmrużyła oka przez całą noc. Scena z gniazda rozgrywała się przed nią wciąż na nowo: czarne kształty rzucały się na Avile, otaczając jego i hierodulę rozwrzeszczaną chmarą.

Kondotierka musiała powstrzymać odruch rzucenia się dziewczynie na pomoc; gdy jej jasne szaty znikły wśród skrzydeł i cieni, była pewna, że Zaihab również zginie. A potem hierodula wstała, w sukni mokrej od krwi, z zaciętą twarzą i przerażającymi, pustymi oczami. W tamtej chwili Tisar naprawdę się jej bała – bała się tego, co Vesui z nią zrobił, co przez chwilę widziała w obliczu dziewczyny.

Świat na chwilę się zatrzymał, zamarł między dłońmi hieroduli a szponami stwórcy, przez jedno mgnienie oka liczyło się tylko to, co ta dwójka z nim zrobi... A potem oboje stracili siły i puls wszystkich żywych stworzeń zaczął bić na nowo.

Zaihab krzyczała. Łzy płynące z jej oczu rzeźbiły rowki w zasychającej krwi. Jej własnej? Avile? Tisar chciała podejść, sprawdzić, upewnić się, że dziewczynie nic nie jest – miała jednak dość rozsądku, by nie chcieć się znaleźć między hierodulą a stwórcykiem. Zaciśnęła pięści i słuchała. Tyle mogła zrobić.

I pomyśleć, że Zaihab ją wezwała, a w tym celu poświęciła swoją rękę. Na wspomnienie uschniętej, przykurczonej kończyny Tisar się zatrzęsała. Nie poruszał jej widok ran i chorób; przywykła. Ale to było coś innego – zanegowanie życia, nienaturalna, chora zmiana.

I całe to poświęcenie Zaihab na nic.

– Co, zły dzień? Niegasnące świece zbyt jasno? Namiestniczka ma już dość świętowania? – Z zamyślenia wyrwał ją znajomy głos.

– Pierdol się, Smuga – mruknęła, nie podnosząc wzroku.

– Może kawy dla jaśnie pani?

– Powiedziałam ci, żebyś się pierdolił.

– Bez ciebie to żadna przyjemność.

Tisar uniosła lewą dłoń w wulgarnym geście.

Smuga zarechotał i usiadł obok dowódczyni.

– Nie wiem, czy lepiej robię, trzymając cię w Kompanii jako pajaca ku uciesze nas wszystkich, czy może powinnam cię wywalić za brak choćby pozorów posłuszeństwa.

– Ach, ale kto wtedy będzie dbał o to, byś się nie stępiła? – odparł z rozbrajającym uśmiechem.

Tisar nie odpowiedziała. Między nią a Smugą bywało różnie; ich znajomość przeszła przez wszystkie możliwe etapy, od brutalnej bójkę przed jedną z sahicckich tawern po kilka nocy współdzielonych w zaduchu wojskowego namiotu, by osiągnąć stadium wzajemnego zaufania. Na tyle silnego, że Smuga mógł pozwolić sobie na odzywki, za które każdy inny dostałby od Tisar w twarz.

– A teraz mi powiedz – odezwał się, poważniejąc. – Co się stało?

Wzruszyła ramionami.

– Nic, co zmieniłoby nasze plany. Dalej zamierzam ruszać na Taarut. Im szybciej, tym lepiej.

– Ale?

– Ale śmierdzi mi to coraz bardziej.

Smuga parsknął śmiechem.

– Wiem – burknęła Tisar ze złością. – To od początku śmierdziało i zapewne zrobiłabym lepiej, ignorując wezwanie isbeta. Tyle że wtedy prędzej czy później byśmy wisieli, a nie śpieszy mi się do tego. Tyle że... dotychczas obawiałam się ludzi. Tych wyżej ode mnie. Lepiej urodzonych. Ponad prawem. Teraz boję się

stworzyciela. – Popatrzyła na Smugę wyzywająco, czekając, aż podważy jej słowa.

Kiedy to zrobił, jego odpowiedzi brakło pewności, na którą Tisar tak liczyła.

– To jemu będziesz zawdzięczać najwięcej.

– Jeśli przeżyję. – Oparła podbródek na dłoniach. – Ale to jest przerażające. To, ile on potrafi. Jak niewiele dla niego znaczymy. Jak łatwo może zmienić zdanie. Nigdy nie byłam tak blisko niego, jak... – urwała.

„...jak wtedy, gdy widziałam, jak zabija człowieka. Jak rozszarpuje go, jak walczy o tę śmierć z własną hierodulą”.

– Jak? – Smuga uniósł brwi.

– Jak teraz. Nigdy nie myślałam, że jakiegokolwiek bóstwo przejmie się moim... naszym losem. Należymy do zupełnie innego porządku. – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem jak ciebie, ale mnie nikomu po urodzeniu nie przypisano. Żadne bóstwo się mną nie opiekuje. Nikt nie uznał, że jestem warta boskiej uwagi.

– Masz tu cały obóz takich kwiatuszków bez opieki.

– Nie użalam się nad swoim losem. Dobrze wiesz, o czym mówię, Smuga. Wczoraj rozbijaliśmy się po drogach, dzisiaj odpowiadamy przed stworzycielem.

– To co? Vesui to bóstwo, nie urzędnik w brokatakach i jedwabiach. Czego się spodziewałaś?

Tisar zacisnęła wargi.

– I tak mu się nie przeciwstawisz – podsumował.

Ona, Tisar, być może nie. Ale Zaihab, hierodula, robiła to nieustannie – choć była najbardziej narażona na gniew stworzyciela. Próbowwała mu uciec; gdy to się nie udało, robiła, ile mogła, z wnętrza gniazda, na przekór własnemu strachowi i płacąc za to coraz więcej.

– Nie przeciwstawię mu się – powtórzyła Tisar bez przekonania.

Miasto jest jeszcze błękitno-złote w promieniach wschodzącego słońca, gdy do ogrodów wnoszą ciało zawinięte w płótno. Osun zamyka pochód, na rozgląda się, czy nikt ich nie śledził – i dopiero wtedy zamyka pałacową bramę. Co za pyszna ironia, że wspomina teraz swoją rozmowę z Avile w świątyni. Przypomniał sobie słowa isbeta, gdy patrzył w twarz nieznanego zmarłego mężczyzny.

Ten wyglądał, jakby spał, z rozsypanymi ciemnymi włosami na tle białego szpitalnego prześcieradła. Gdyby tylko nie szarość jego twarzy, gdyby nie bezruch sinych warg... Miał łagodną śmierć.

Nie spodziewałem się tego, lecz Osun naprawdę chce widzieć w zmarłym swojego nieprzyjaciela Avile.

Wydawało jej się, że dobrze to przemyślała. Przeczekała noc. Rano znów zakradła się na iglicę, by zabrać to, co zostało z szaty Avile.

Przywitały ją skrzydlate wydziobujące kamienie wprawione w biżuterię isbeta. Zdobienia z jego szaty wydziobały już do czysta. Arit przygryzła wargę i zmusiła się, by podnieść resztki ubrania. Jedwab wydał się na wietrze. Spod odoru krwi wciąż przebijała lżejsza woń perfum.

Arit zamruwała, zatrzymując łzy pod powiekami. Tęskniła za isbetem – choć nie umiała i nie chciała mu wybaczyć. Pośpiesznie złożyła tkaninę i zaczęła zbiegać ze zbocza, tak jak biegłaby przestraszona, posłuszna służąca Sahit.

W pokojach kassera zachowała spokój. Uznała, że wystarczy, jeśli to jego asystent będzie mówić; ona miała być w szoku. Drżała nieustannie, pocieszając się, że to również zostanie spisane na karb przerażenia. Z ulgą zostawiła u kassera resztki szaty Avile i znikła w swoim pokoju. Zasunęła okna, zastawiła posłanie parawanem. Zaciśnęła oczy. Zaczęła przekonywać samą siebie, że to się nie wydarzyło, nie wydarzyło, nie wydarzyło...

Ale nieważne, ile razy Arit powtórzyła to sobie – ile razy wstała, by wytrzeć dłonie i szyję, próbując zmazać wspomnienie walki z Avile, ile razy schowała w rękawiczkach swoje podrapane palce. Chmara skrzydlatych rzucająca się na isbeta wciąż czaiła się na skraju jej umysłu, zabijała go raz po raz.

Gdy Niegasnące osiągnęło zenit i gongi w świątyni wybiły środek dnia, Arit uznała, że nie może już dłużej się chować. Była tylko służącą, dziewczynką na posyłki, jak mówiono o niej za jej plecami. Nie powinna opłakiwać isbeta zbyt długo. Zmusiła się, by wstać.

Opłukała twarz w zimnej wodzie i podniosła głowę. Z zawieszzonego na ścianie lustro popatrzyła na nią dziewczyna z podkrążonymi oczami i spierzchniętymi wargami. Uśmiechnęła się zwycięsko. Żyła. To było więcej, niż dało się teraz powiedzieć o Avile.

Choć pozostawało jeszcze to... stworzenie w pałacu. W skórze anaksa. Teraz Arit poczuła, że jest sama przeciwko temu czemuś. Nie wiedziała, czy to zarejestrowało jej obecność. Liczyła, że nie. Ale jeśli...? Nie miała pojęcia, co mogłaby zrobić.

Pozostawała też kwestia malastry.

Arit zawinęła lustro w stary szal i wydrapała w sienniku dziurę, by je tam schować. Nikt by nie szukał u niej malastry. Jeśli miała szczęście, nikt nawet nie

wiedział, że Avile coś takiego posiadał. Co by jej groziło, gdyby znaleziono tę... rzecz? Musiała się jej pozbyć.

Zdawało się jej, że słyszy cichą muzykę. Pojedynczy, wibrujący ton, do którego jej serce dostrajało się powoli. Uspokajało się. Nikt nie wiedział nawet, że ma szukać lusterka u niej. Arit wyszła z pokoju, wsłuchując się w łagodny rytm, gotowa zmierzyć się z żałobą.

W apartamentach isbeta Arit wypuszcza z dłoni rąbek tkaniny, która opada na twarz... Avile. Możemy go tak teraz nazywać. Wyciągnięty ze szpitala mężczyzna zostanie pochowany jako isbet Sahit, choć dzień wcześniej sprzedawał w kolorowym dolnym mieście kradzioną biżuterię. O takich jak on mówią „w sile wieku”, ale wiesz, jaka jest Nowa Saada: rodzi chore owoce, chore zwierzęta, chorych ludzi. Znajdujący się w jego sercu węzeł, którego i tak nie znaleźliby wasi medycy, zacisnął się wczoraj na dobre.

Nieleczona choroba serca – odpowiednia śmierć dla Rasena. (Ale tylko mnie jest do śmiechu). Wszyscy wszak widzieli wczoraj chorobliwą bladość isbeta. Czy ten żołnierz, który go zaatakował, poczuje się winny? Czy Najjaśniejsi zaczną się pakować w pośpiechu i błagać, by mogli opuścić to przekłete miasto? Powietrze jest słodkie od napięcia i strachu!

Arit zaś gorączkowo myśli nad tym, czy było coś, po czym można by rozpoznać fałsz; ale już teraz w jej myślach wspomnienie Avile zaciera się i zlewa w jedno z twarzą złodzieja. Zresztą kto podważyłby słowa kassera?

Niech Arit uczy się, co to znaczy przynależeć do ogniska. Niech uczy się od kassera. A tymczasem pochowają isbeta i, jeśli ktokolwiek rozpoznałby w nim złodzieja, gdy ziemia osiadzie na tych obcych rysach, wszelkie dowody zostaną zatarte. Obrzydliwi jesteście, że pozwalacie swoim bliskim gnić w ziemi. Tyle mówicie o bóstwie, które zabiliśmy, a zanieczyszczacie jego ciało waszymi truchłami. My szanowaliśmy je bardziej.

Ach, choć tak naprawdę po prostu nie chcieliśmy oddawać mu naszej krwi. Pilnowaliśmy każdej kropli źródła. Woleliśmy palić ciała zmarłych lub wystawiać je na żer sępom, niż pozwolić, by osłabła nasza pieśń.

Wy, Saadyjczycy, możecie czuć się silni. Rozsadzacie się, zapuszczacie korzenie w kościach waszych przeszłych. Ogniska? Dobrze sobie. Jesteście jak uporczywy, wytrzymały chwast.

Ale my jesteśmy wytrwali.

Arit z trudem zapanowała nad twarzą, gdy cofała się od mar. Wiedziała, że kasser śledzi jej reakcje. Udawała, że ociera oczy rąbkiem szala; nie ufała sobie dość, by móc spojrzeć mu w oczy i ukryć wściekłość.

Nie spodziewała się... tego. Ciało, które było dość podobne do Avile, by zmylić innych – ją samą zmyliłoby, gdyby nie widziała wczoraj, co się stało. Nie spodziewała się, że kasser zbezczęści powierzony mu urząd.

Zerknęła na Osuna zza chusty. Był poważny, smutny. Być może nawet szczerzy w swoim smutku. Ale ukrywał prawdziwą przyczynę śmierci isbeta. Musiał więc wiedzieć...

Krew odpłynęła z twarzy Arit. Dziewczyna popatrzyła na kassera.

Musiał wiedzieć o stworzeniu, które widziała wczoraj w nocy.

Kasser zaledwie uniósł brwi, ale Arit nabrała pewności, że mężczyzna wie o wszystkim. Zapewne również o tym, czego się domyślała. Skłoniła się przed tłumem żałobników i jak najszybciej wyszła z komnat. Nie była bezpieczna. Nikt w Sahit nie był bezpieczny. Kasserowi nie wolno było ufać. Dopiero teraz Arit zdała sobie sprawę, że wychodząc, nie pokazała przed nim odsłoniętych dłoni, jak powinna; ale nie chciała, nawet symbolicznie, poddawać się jego woli. Niech kasser wie, że nie będzie pokorna.

Zamierzała sprzeciwić się prawej dłoni anaksa. Na tę myśl zakręciło jej się w głowie, ale nie zamierzała chować się po kątach i udawać, że nic się nie stało. Będzie mówić o Avile – ostrożnie... ale nie da się uciszyć. Arit bała się, lecz nareszcie wiedziała, co powinna robić. Piękne, odważne plany. Znów widziała przed sobą świetlaną przyszłość. Wyobrażała sobie już, jak opowiada o tym, co się wydarzyło naprawdę, jak...

– Hej, ty.

Odwrociła się gwałtownie. Kondotierka opierała się o kolumnę, posyłając jej z półcienia wyzywający uśmiech.

– Ty pracowałeś dla isbeta, czy nie tak? – zapytała.

– Tak. – Arit skrzyżowała ramiona. – Jeśli miałaś do niego jakąś sprawę, to bardzo mi przykro. Nie mogę ci pomóc.

– Sprawę miałam do ciebie. – Tisar uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Co tak naprawdę mu się stało?

Arit zaczęła iść szybciej.

– Więc mam myśleć, że rano biegałaś z tą zakrwawioną szatą dla zdrowia?

Zatrzymała się jak wryta, wpatrując się w Tisar z przerażeniem. Kondotierka zaś przypominała dzikiego kota bawiącego się z ofiarą.

– Wreszcie mnie słuchasz – powiedziała z satysfakcją, prostując się i chwytając Arit za łokieć. – Słuchaj dalej.

Eliri podnieśli oczy na skromny ołtarzyk ustawiony w ich pokoju. Świecznik był kolumną z czystego szkła, okutą w filigrany z brązu, otwartą u góry; w środku umieszczono szklany bąbel wypełniony złocistym olejem, z którego wystawał knot. Eliri przywieźli karmiący się nim płomień ze świątyni Niegasnącego w Żrenicy. To była jedna z nielicznych pamiątek z domu, które zachowali. Jeśli wciąż mogli nazywać stolicę domem.

Przed świecznikiem ułożono świeże kwiaty. Eliri pokłonili się, wyciągając przed siebie ręce, wnętrzami dłoni do góry. Gładką skórę pokrywały wymalowane henną wzory, od nadgarstka aż do opuszek. Eliri zanucili pieśń poranną.

Za nimi, w drzwiach apartamentu, stał służący. Eliri czuli na sobie jego wzrok. Domyślili się, że mężczyzna nie chce im przeszkadzać – ale uczynił z ich porannej modlitwy widowisko. Cóż, niech patrzy i niech się uczy. W Nowej Saadzie, choć płonęły ogniska Niegasnącego, na pierwszy plan wybijał się zupełnie inny kult.

To nie powinno było martwić Eliri. Formalnie nie reprezentowali świątyni. Nie ich obowiązkiem było dbanie o to, by Niegasnące łaskawie patrzyło na osadników z tych terenów.

Lecz tak trudno było wyzbyć się dawnych nawyków.

Eliri zakończyli pieśń i wyprostowali się. Ten ruch odezwał się kłującym bólem w dole pleców – Eliri wciąż czuli wspomnienie podróży ze Żrenicy. Byli młodzi, lecz nie przywykli do wysiłku fizycznego. Ich miękkie, pulchne ciało protestowało przeciwko takiemu traktowaniu.

– Wejdz, proszę – powiedzieli, nim jeszcze odwrócili się do służącego.

Mężczyzna wzdrygnął się lekko, wyraźnie zaskoczony tym, że go usłyszeli.

Eliri uśmiechnęli się zachęcająco, choć mężczyzna uparcie wpatrywał się w podłogę, jakby ich przydomek – Najjaśniejsi – był dosłowny. Lub po prostu widok kogoś z rodziny książęcej w luźnej szacie, rozciętej z przodu i przewiązanej pasem, miał w sobie coś niestosownego.

Być może. Lecz Eliri nie zamierzali poświęcać swojego komfortu dla służącego.

Uklękli przy niskim stoliku i rozparli się na poduszkach. Ich stopy zapadły się w miękki, gruby dywan. Związali włosy w węzeł na karku i podkasali rękawy szaty. Służący postawił przed nimi tacę ze śniadaniem i cofnął się, gotów zostawić Najjaśniejszych samych z ich posiłkiem.

– Zostań – powiedzieli.

Mężczyzna drgnął, ale się zatrzymał. Jego błędzące oczy na chwilę spoczęły na twarzy Eliri, ale szybko przeszliżgnęły się ku oknom apartamentu.

Eliri uśmiechnęli się lekko.

– Nie usiądziesz z nami?

– Nie wypada, Najjaśniejsi.

„Właśnie ci to zaproponowaliśmy” – pomyśleli z nutą irytacji.

– Nalegamy. Brak nam towarzystwa.

– Z całym szacunkiem, lecz nie jestem odpowiednim towarzystwem dla Najjaśniejszych.

Cały urok osobisty Eliri zdał się tu na nic – między nimi a służącym ziała zbyt głęboka przepaść, by ów w ogóle rozważył serdeczność Najjaśniejszych jako coś, co mogło być skierowane ku niemu.

– Nie wszystkie pytania możemy zadać odpowiedniemu towarzystwu – powiedzieli szczerze, pozwalając wybrzmieć zniecierpliwieniu.

Mężczyzna westchnął i usiadł naprzeciwko Eliri, wciąż unikając patrzenia na nich. Tym razem jego wzrok skupił się na świecy w ołtarzu.

– Nie macie tu takowych? – zagadnęli, podążając za jego spojrzeniem.

– Miewamy, Najjaśniejsi. – Przygryzł wargę, jakby oczekiwał reprimendy za tę niedbałość.

Eliri nalali sobie kawy. Ostrożnie podnieśli okutą srebrem szklanę, wdychając aromat napoju.

– Nie musicie się nas bać – powiedzieli bezradnie, wiedząc, że nic to nie zmieni. – Wczorajsze święto było bardzo piękne – dorzucili.

Mężczyzna odsunął się gwałtownie, jak oparzony.

– Cieszę się, że Najjaśniejsi tak uważają – wybąkał.

Postanowili nie naciskać na niego bardziej.

– Zmartwiło nas tylko to, że zarządca wydawał się tak... nieobecny. Z drugiej strony, przysporzyliśmy mu tylko kłopotu naszym przybyciem.

– Skądże – zapewnił ich szybko sługa. – Choć dzieje się wiele, a teraz jeszcze to...

Uśmiechnęli się z niezrozumieniem. Mężczyzna pobladł.

– Najjaśniejsi o niczym nie wiedzą? Puste nieba – jęknął. – Przepraszam – dodał szybko, patrząc to na Eliri, to na ołtarz. – Lecz naprawdę nie jestem odpowiednią osobą, by przekazywać te informacje...

– Już się stało – zachęcili go łagodnie. – Proszę. Nic ci nie grozi.

– Nie powinienem – zaprotestował, lecz opuścił ramiona w geście rezygnacji. – W nocy zmarł min Avile sur Irsa.

Eliri natychmiast złożyli dłonie w geście pożegnania i zaczęli szeptać krótką modlitwę za zmarłego. Służący pochylił głowę, włączając się w pożeganie.

– Dziękujemy – powiedzieli, skończywszy. – Czy zostawisz nas teraz samych? Służący znikł. Eliri klęczeli przez chwilę na dywanie z dłonią przyciśniętą do mostka.

Nie żalowali isbeta; nie znali go przecież. Jeśli coś ich poruszyło, to tylko nowa, niestabilna sytuacja w Sahit. Anaks na pewno miał zaufanych ludzi, którym powierzyłby urząd isbeta, ale nie mógł być przygotowany na nagłą śmierć min Avile. Miasto przygotowujące się do wojny było dostatecznie niespokojne. Miasto? Raczej miasta; to, które rozciągało się pod murami Sahit, zdawało się osobnym bytem, żywym i dalece bardziej nieprzewidywalnym. Eliri oczywiście nie odwiedzili dolnego Sahit – nikt o zdrowych zmysłach by im na to nie pozwolił – ale widzieli dość podobnych miejsc w Saadzie, by wiedzieć, że to tam najprędzej wybuchnie bunt.

Miasto pozbawione isbeta, z chorym zarządcą i silnym patronem-stworzycielem, w stanie wojny z innym miastem. Eliri przeszedł dreszcz. Przez całe ich życie chroniono ich przed każdym, choćby najmniejszym zagrożeniem. Nigdy nie byli tak blisko niebezpieczeństwa, jak teraz.

Zwrócili się w stronę ołtarza i odmówili jeszcze jedną modlitwę. Tym razem dziękczynną.

Jeśli to cię pocieszy, moja Zaihab, zdaniem wielu osób dokonałaś dobrego uczynku. Nie będzie chyba dla ciebie niespodzianką, że Avile nie miał wielu przyjaciół na dworze. Czy wiedziałaś, że był jedyną osobą w bliskim otoczeniu anaksa, która nie należała do jego ogniska? Był zanadto Rasenem, by jego wysokość skalał się zaproszeniem go do swojej rodziny. Gdy o tym myślę, mam ochotę zburzyć całe to piękne białe miasto.

I co z tego, że to ja go zabiłem? Nie rozpraszaaj mnie.

Większość z tych, którzy skrycie cieszą się ze śmierci Avile, żegna jednak zmarłego zgodnie z konwenansem. Po kolei podchodzą do mar: kuzyni anaksa, pomniejsi urzędnicy. Najjaśniejsi w orszaku służby i straży też przyszli uronić pojedynczą udawaną łzę.

I tylko jedna osoba nie udaje: żona ambasadora Sahit w Taarut. To krucha, odziana w czerń kobieta o ciemnej twarzy poprzecinanej zmarszczkami. Podchodząc do mar, zdejmuje chustę z wysoko upiętych włosów. W jej przedwcześnie posiwiałym koku lśni grzebień ozdobiony jasnym granatem, kamieniem żałoby. Kobieta spluwa przed marami.

– Zabrałeś mi męża – mówi łamiącym się głosem. – Gdzie on jest?

Podnosi dłonie i składa je w gest oznaczający przekleństwo, ale straż odciągnie ją, niż dokończy. Przez dotychczas ciche komnaty isbeta przebiega szmer niezadowolenia. Nikt nie powinien okazywać niechęci w tak jawny sposób. Kobieta szarpie się trochę, ale wreszcie daje się wyprowadzić, łkając cicho. Nie ma już sił dalej walczyć. Tłum oczekujących rozstępuje się przed nią i strażami i zaraz za nimi się zamyka. Kamień we włosach kobiety chwyta światło lampionów i odbija je, zwielokrotnione. Po chwili wszystko wraca do normy.

Cisza i spokój. I nuda. Ale mówię ci o tym, bo jedna osoba zwróciła uwagę na kobietę. I tak się składa, że byli to Najjaśniejsi.

Zaihab współdzieliła gniazdo z chłopcem-kanibalem. Ze stworzeniem, dla którego cudze życie stanowiło wyłącznie pokarm. Była bezpieczna tylko dzięki temu, że jej serce już przywłaszczyła sobie inna magini.

Nie czuła się jednak bezpiecznie. Skrzydlate, które musiały to wyczuć, zbiły się wokół niej. Otulały ją skrzydłami i pozwalały przetrwać chłodną noc. Zaihab powinna być wdzięczna za okazywaną jej troskę, wiedziała, że te duchy tylko tyle pamiętają ze swojego ludzkiego życia. Lecz nawet bariera między nią a Vesui oraz zwierzęca, prosta troska skrzydlatych nie mogły ukoić lęku, który Zaihab zaczęła żywić przed sobą samą. Przed tym spokojnym, równym krokiem, jakim wracała do pokoi w gnieździe po tym, jak zginął Avile. Przed euforycznym przekonaniem, że gdyby tylko zechciała, mogłaby zdjąć z nieba oczy Niegasnącego i nosić je jako kolczyki. Przed wspomnieniem słodczy ludzkiego serca.

Czuła tak wielką ulgę na myśl, że Arit nie przyszła dziś do gniazda. Trochę niepokoiła się o los arystokratki – przede wszystkim jednak cieszyła się, że Arit nie ogląda jej w takim stanie. Że nie pyta, co się stało. Że nie muszą roztrząsać minionego wieczoru i że tajemnica Vesui – jej tajemnica, smak źródła wlewającego się do ust – są bezpieczne.

Z każdym zanurzeniem się w sen Vesui coraz lepiej go rozumiała. Do niedawna to sobie ceniła. Jeśli chciała się uwolnić od stworzyciela, musiała go poznać. Ale teraz przekroczyła granicę, za którą poznanie ustąpiło miejsca współodczuwaniu, a pożarcie ludzkiego serca stawało się koniecznością.

Tym bardziej musiała uciec.

Nie mogła opędzić się od jego sytości i wołała nie myśleć, co się stanie, gdy stworzyciel poczuje się głodny. Choć z drugiej strony – to nastrój stworzyciela, nachalny, wlewający się w jej sny, przytłumiał racjonalną myśl: że Zaihab zabiła człowieka.

Nie bezpośrednio, nie ona sama, mogła też próbować się pocieszać, że w ostatniej chwili próbowała zmienić zdanie.

Lecz to ona zaproponowała Vesui ten układ. Była wściekła, kiedy to mówiła, ale jej gniew zdążył okrzepnąć. I dobrze wiedziała, dlaczego wymyśliła taką umowę. Chciała dowiedzieć się od Vesui, co łączyło ją z Opiekunką z Taarut. I w tamtej chwili, motywowana złością i rozgoryczeniem na człowieka, który doprowadził do jej uwięzienia, uznała jego życie za stosowną cenę.

Niesłusznie. Kiedy tylko przypominała sobie własne przerażenie, gdy biegła ku Avile, nawet bolesną pustkę, gdy przyznawał, że nic dla niego nie była warta, a potem smród krwi i ucztę skrzydlatych – gorzko żałowała swoich słów.

Bała się też koszmarów w których zamiast Avile uśmiercała swoich rodziców.

Wspominała Zaihab, która marzyła o byciu pieśniarką, dręczoną poczuciem winy, że zawsze jest kulą u nogi, problemem dla swojego małego ogniska. Była nie dość dobra, niewystarczająco samodzielna; nieustannie potrzebowała wsparcia rodziców. Tymczasem to oni ją zawiedli.

Wiedzieli o tym. Cały czas.

Tak łatwo byłoby się pogrążyć w złości, w smutku.

Im bliżej było wieczoru, tym bardziej Zaihab się bała.

Siedziała na posłaniu, wsłuchując się w cichnące miasto. Na jego tle nagle usłyszała chrzęst żwiru. Ktoś wspinał się po skale. W ciemności.

Zaihab zsunęła się z posłania. Arit? Sięgnęła po laskę. W starciu była zupełnie bezbronna. Mogła co najwyżej schować się w głębi gniazda – albo liczyć na Vesui.

Jeśli Vesui, wciąż upojony swoim zwycięstwem, w ogóle zauważyłby, że coś się dzieje.

Powinien był. Zaihab zaczęła się zastanawiać, czy wiedziałaby, jak go obudzić.

Chrzęst ucichł. Rozległo się stęknienie, po nim – odgłos butów uderzających o posadzkę gniazda. Ktokolwiek to był, nie krył się szczególnie. Nie przed Zaihab.

– Spokojnie – rozległ się znajomy głos.

Zaihab opuściła ręce.

– Oszalałaś – stwierdziła z całkowitym spokojem.

Kondotierka zaśmiała się, odkaszlnęła.

– Być może, hierodulo. Ale w takim razie to samo można powiedzieć o całym tym pięknym mieście.

Zaihab stała jak wryta, nie wiedząc, jak zareagować. Tisar podeszła do niej.

– Nie bój się. Po prostu musiałam z tobą porozmawiać.

– Vesui – bąknęła Zaihab.

– Nic mi nie robi.

– Tego nie możesz być pewna.

– Wciąż mnie potrzebuje. Sama mi to powiedziałaś, czyż nie? – Kondotierka nachyliła się ku niej. – Ale teraz się go boisz. Bardziej, inaczej niż wcześniej.

Zaihab nie miała maski, za którą mogła się schować. Maską zresztą nie wystarczyłaby. Tisar była bystra – tak jak bystry jest drapieżnik, który śledzi ofiarę. Skoro przeżyła, musiała być spostrzegawcza.

A jednak Zaihab czuła też coś innego, straszniejszego. Zrozumienie.

– Nie sądziłam, że śmierć Avile sprawi mu tyle radości – przyznała wreszcie. – Radość to... nie oddaje ogromu tego, co on czuje. Co ja czuję. Nie mogę się uwolnić od tej emocji.

Tisar mruknęła coś. Złapała zdrową dłoń hieroduli. Zaihab ścisnęła jej palce.

„Zamarznij” – powiedziała sobie. Nie możesz liczyć na innych. To tylko chwilowa ulga. Nie polegaj na tym.

– Drżysz – zauważyła cicho Tisar. – To nie tylko triumf Vesui, prawda?

Wciąż mówiła z tym samym okropnym akcentem, który musiał przyprawiać dworzan o ból głowy. Jej głos był chrapliwy, ale kojący.

„Zamarznij” – powtórzyła w myślach.

Za późno.

– To też pierwsza śmierć, którą zadałaś – mówiła dalej Tisar. – Choć nie własnymi rękami. Ty tylko popchnęłaś wydarzenia do przodu.

Zaihab zacisnęła wargi.

– Ale tak właśnie było, prawda? – zapytała Tisar, gładząc jej dłoń. Hierodula nie wyrwała jej. – Przyczyniłaś się do śmierci isbeta. Byłaś gotowa oddać część siebie, by zginął. Może nawet tego chciałaś. Albo chciałaś czegoś innego, co wymagało jego śmierci. Albo po prostu chciałaś się pozbyć tego palącego gniewu, a wydawało ci się, że zabicie isbeta przyniesie szybką ulgę.

Zaihab nie zdołała ukryć zaskoczenia, bo Tisar zaśmiała się cicho.

– Nie domyśliłabym się, gdybym nie znała tego uczucia. – Zawahała się przed wypowiedzeniem kolejnych słów. – Ale potem ulga mija i nie jest tak oczyszczająca, jak się wydawała. Tyle że czasu nie da się cofnąć, a ty musisz nauczyć się żyć dalej.

Zaihab nie wiedziała, co odpowiedzieć. Mogły być podobne – to nie czyniło towarzystwa Tisar bezpiecznym. Wręcz przeciwnie.

Cisza się przedłużała.

– Wiesz, że jestem tutaj przez ciebie. Z twojego powodu. – Kondotierka przytrzymała drżącą dłoń dziewczyny. – Bo chciałaś, bym ci pomogła. Bym zobaczyła to, co stało się wczoraj. Chciałaś mi pokazać, do czego zdolny jest Vesui. Nie poświęciłabyś niczyjego życia tylko po to, by mi cokolwiek udowodnić, ale wiedziałaś, że ten mężczyzna i tak ma zginąć. Podjęłaś już

decyzję o wydaniu go stworzycielowi. Mogę zgadywać, jakie emocje za tym stały, ale nie znam przecież twojej dokładnej sytuacji. Nie to jest teraz ważne. Gdy już wiedziałaś... zaczęłaś myśleć o tym, jak możesz to wykorzystać. I postanowiłaś mnie ostrzec – dokończyła. – Nie wiem jeszcze, co mam o tym myśleć. Ale podziwiam to, że zdobyłaś się na chłodną kalkulację. I poświęcenie.

Zaihab, słuchająca słów Tisar jak w transie, wzdrygnęła się nagle. Nie podobało jej się, z jaką łatwością kondotierka potrafiła rozszyfrować jej myśli. I nawet jeśli sama przyznała się przed Zaihab do podobnych doświadczeń – podobnych słabości – to słuchała Vesui. Zaihab mogła ją ostrzec; ale ostrzeżenie wzbudziło co najwyżej wątpliwości. Zbyt mało, by zaufać Tisar.

A mimo to Zaihab chciała jej zaufać. Choć na chwilę nie musieć trzymać emocji na wodzy; po prostu być, dopuszczając do głosu, wszystkie uczucia, które kondotierka i tak u niej rozpoznała, które nazwała, nie winiąc Zaihab za śmierć Avile. Wy tłumaczyła przed Zaihab nią samą. Zaufanie byłoby jak odpoczynek.

Lecz Tisar nie wiedziała nic o strachu, który hierodula ciągle od siebie odpychała, który w trakcie pentad spędzonych w gnieździe nie osłabł, stał się jedynie elementem codzienności. Nie wyczekiwała Vesui z mieszaniną lęku i obrzydzenia. To dzięki Vesui wkroczyła między szlachtę.

– Hej, hierodulo.

Zaihab się otrząsnęła.

– Nic nie powiesz? – zapytała Tisar.

Chciałaby. Bała się jednak, że jeśli powie choć słowo, gorycz i strach wyleją się z niej, a ona nie będzie w stanie ich zatrzymać. Nie ufała Tisar na tyle, by się przed nią odsłonić.

– Co mam ci powiedzieć? – Głos Zaihab był cichszy i słabszy niżby chciała. – Przecież wiesz, że masz rację.

– Nie przyszedł tu napawać się słusnością.

– Nie, to nawet nie przyszło mi do głowy. Ale nie mam nic do dodania. – Zdobyła się na ostrzejszy ton. – Widzisz to wszystko, tak, przyznaję ci rację, chciałam ci to pokazać. Ale nie rozumiesz, dlaczego to zrobiłam. Mówisz, że się zastanowisz. To zbyt mało. Nie przekonałam cię. O czym mamy rozmawiać?

Tisar mruknęła coś niezrozumiałego. Zaihab bała się, że teraz kondotierka zostawi ją i zniknie bez słowa.

– O jeszcze jednej rzeczy – powiedziała Tisar. – Mam wobec ciebie dług wdzięczności.

Na wargi Zaihab wypłynął cierpki uśmiech.

– Nie musisz mi wierzyć – kontynuowała Tisar niezrażonym tonem. – To ja mam o tym pamiętać. Dobrej nocy, hierodulo.

Nim Zaihab zdążyła skomentować ironię tego pożegnania, Tisar zniknęła wśród skał.

Arsad wracał z Taarut, niemal słaniając się na nogach ze zmęczenia. Spotkanie z Opiekunką wyczerpało go. Splunął na ścieżkę; Taarut pozostawiło w jego ustach smak popiołu. Łapczywie rzuciło się na jego siły – Opiekunka starała się ratować przed nadchodzącą wojną przede wszystkim siebie. Ale był już blisko, widział przed sobą lśniące Sahit.

Nie zamierzał nawet próbować dostać się do wewnętrznego miasta, zadowolił się pierwszą z brzegu tawerną. Zjadł cienką zupę rybną, nie zastanawiając się nad jej smakiem. Za rozcieńczone, kwaśne wino chciał już podziękować, ale instykt nimroda nakazał mu pozostać i posłuchać, co działo się w mieście pod jego nieobecność.

Już pierwsze słowa sprawiły, że obudził się zupełnie.

– ...śmierć isbeta...

Arsad zamrugał z niedowierzaniem. Ale słuchał dalej.

– Był chory.

– To prawda, mój brat pracujący w pałacu widział, że podczas wczorajszego święta isbet ledwo trzymał się na nogach.

– Nie zazdrozczę pałacowemu medykowi.

Przez pomieszczenie przeszedł pomruk niewesołego śmiechu.

– A ja słyszałem, że to było zupełnie inaczej, tylko anaks to przed nami ukrywa – odezwał się ktoś z przeciwległego krańca sali. Odpowiedziały mu parsknięcia, ale Arsad i tak nasłuchiwał. Jeśli Avile nie żył, on chciał poznać wszystkie, nawet najbardziej nieprawdopodobne teorie na temat śmierci przyjaciela. – Isbeta tak naprawdę zabił Vesui.

Znów rozległ się kpiący śmiech, lecz mężczyzna kontynuował niezrażony.

– Zrobił to na życzenie hieroduli.

Skrzydlate otoczyły Zaihab. Wtuliła się w ich pióra; jeden z ptaków ułożył się pod jej okaleczoną dłoń, z własnego grzbietu tworząc poduszkę. Ten gest nic nie zmieniał, lecz sprawił, że Zaihab napłynęły do oczu łzy. Przestała protestować, gdy nazywały ją siostrą. Nie mogła już się wypierać podobieństwa – i pokrewieństwa. Skrzydlate były najbliższym ognisku, jakie teraz miała.

Musiała myśleć tak o skrzydlatych, bo nie mogła przecież zaufać Tisar: kondotierka robiła to, czego oczekiwał od niej stwórcy. Jednak przejrzała

Zaihab na wylot. Wy tłumaczyła hieroduli jej własne motywy – z niespodziewaną łagodnością i zrozumieniem. Jakby na chwilę zdjęła z ramion Zaihab ciężar. A Zaihab chciała być już zawsze wolna od tego ciężaru.

To było głupie, polegać na osobie, której niemal nie znała. Lecz Tisar już dwa razy przyszła do niej, gdy Zaihab czuła się zupełnie sama i bezradna. Teraz Zaihab tęskniła za nią, choć nie przyznałaby się nawet, gdyby palił ją ogień Opiekunki.

Powoli osuwała się w sen, w którym – była tego niemal pewna – znów miała przeżywać ucieczkę Vesui i strach chłopca pożerającego serce.

Chłopca. Zaihab poderwała się nagle. Skrzydlate odfrunęły przestraszone, cicho zawodząc. Hierodula przetarła wierzchem zdrowej dłoni powieki. Cała jej senność minęła.

Vesui był stworzycielem, ale to było tylko wyszukane określenie, jakim opisywano najsilniejszych Rasenów. Tych, którzy znaleźli sposób, by zasilać swoje źródło. Nie był bóstwem. Był jedynie – zaśmiała się na to słowo – magiem. A magowie umierali. Być może nie tylko z głodu, gdy pustoszały miasta, którym patronowali. Być może istniał prostszy sposób.

Z powrotem opadła na posłanie, czekając, aż skrzydlate duchy powrócą. Otulona zewsząd ich ciepłem zaczęła myśleć, jak może zabić maga.

Nahir

O tej porze roku rzeka płynąca przez Saadę była tylko wąską wstążką na dnie wąwozu. Nahir i Luan trzymali się jej brzegu. Kiedy mogli, nocowali w obozowiskach i oazach. Obozy przesunęły się jednak bliżej miasta, a samotni podróżni nie byli witani z nadmierną serdecznością. Kilka razy wyproszono ich z osad. Byli bezbronni – jeśli nie liczyć noża Susari, którym Luan nie umiał się nawet posługiwać, i źródła; tym jednak nie chcieli szafować. Ostatecznie zdecydowali się podróżować wyłącznie wieczorami i porankami, a dnie spędzać pośród skał.

Nahir próbował policzyć, ile czasu może minąć, nim przeszli powiedzą jego rodzinie, co zaszło przy ołtarzu. Wcześniej był dziadkowi potrzebny. Teraz wiedział zbyt wiele i stał się zagrożeniem. Spał jak najmniej, zresztą na zmianę z Luanem pilnowali swego żalostnego dwuosobowego obozowiska – i za każdym razem zasypiał z lękiem, że obudzi go zwielokrotniona pieśń źródła, gdy znajdą ich jego krewni. Gdyby to zależało tylko od niego, nie odpoczywałby ani chwili.

Tak przynajmniej mu się wydawało, nim nie popatrzył na spieczone wargi Luana i zapadnięte boki ich koni, i nie przypomniał sobie o nieustannie dręczącym ich pragnieniu. Nie wynikało ono nawet z braku dostępu do wody;

mogli swobodnie napełniać bukłaki przy rzece, szukać jej odnóg, filtrować wodę przez drobne kamienie. Ale żaden z nich nie był przyzwyczajony do życia na pustyni. Rozpalone do białości Niegasnące zdawało się wypalać ich siły.

– Czy powiesz mi wreszcie, przed czym tak uciekasz? – zapytał go Luan trzeciego dnia podróży.

Nahir początkowo chciał odmówić. Ale Luan potrafił dla niego zostawić dom wiedzy i nie pytał, czego Nahir szukał w Novissie. A teraz pilnował go, by rozpaczliwa chęć ucieczki nie wzięła góry nad rozsądkiem. Bez Luana Nahir już zdążyłby zginąć z pragnienia i wyczerpania.

Przyjaciół uniósł brwi, czekając na odpowiedź. Więc Nahir mu opowiedział.

O twórczyni zegara. O swoim cieniu w ojcowskiej willi. O gorączce wśród Saadyjczyków. O Ragani i mechanizmie. Wreszcie o koronie. Jedyne, co zachował dla siebie, to historię Iruve i Ertana – ograniczył się do wzmianki o Rasenach mieszkających w Saadzie.

Luan słuchał tego z pozornym spokojem, coraz mocniej zagryzając wargi. Bez słowa wyciągnął rękę do Nahira.

– Wiesz, co chcę przez to powiedzieć, prawda?

Nahir ścisnął jego dłoń.

– Wierzę ci – mówił Luan. – Wierzę w każde twoje słowo, chociaż to... niewiarygodne. Ohydne. Puste nieba, po co mamy czekać na Wędrowca? Z unicestwianiem siebie doskonale radzimy sobie sami.

– Przepraszam – mruknął Nahir, niezręcznie cofając rękę.

– Nie, nie. Nie masz za co. Nie sądzisz chyba, że twój dziadek jest jedynym? Takich jak on na pewno jest więcej, tylko... tylko nam to się zupełnie nie mieściło w głowie. Krwawa gorączka to jedno, to... złamanie praw, rzecz jasna... ale nie wyrachowane zamienienie kogoś w narzędzie. – Luan pomasaował skronie. – Jak myślisz, dlaczego jej to zrobili? – zapytał.

Nahir długo zwlekał z odpowiedzią.

– Sądzę, że chcieli ją ukarać, ale jej mechanizm stał się zbyt cenny. Kontakty z Saadą też były nie do przecenienia. A gdyby zginęła w Rasennie, byłoby to zbyt podejrzane. Co innego w Saadzie, tu mogliby to zrzucić na niekompetencję medyków, ale jej śmierć w Novissie... nie wytłumaczyliby się z tego. A nie chcieli ryzykować utraty miasta. – Zacerpnął tchu. – Czekali prawie dwadzieścia lat. Pewnie ona sama uwierzyła, że nic już jej nie grozi, że... mnie też nic już nie grozi. A wtedy... to.

Znów umilkli.

– Sądzisz, że w Saadzie będzie ci lepiej – przerwał ciszę Luan.

– Nie wiem. – Nahir unikał jego wzroku. – Wątpię, byśmy mogli liczyć na Saadyjczyków, przynajmniej jeśli chodzi o zagrożenie płynące ze źródła. Nawet

gdyby chcieli nam pomóc, będą bezradni. Ale ci ludzie, o których ci wspominałem, mogą być w stanie coś dla nas zrobić.

Choć Iruve i Ertan też uciekli z Rasenny. Nahir nie wiedział przed czym, ale teraz mógł to sobie wyobrazić.

– Sądziś, że nam pomogą? – Luan, nie mogąc dłużej znieść bezradności, wstał i zaczął przepakowywać swój skromny dobytek. – Albo chociaż... czy masz im coś do zaoferowania?

– Mogę mieć.

– Nie podoba mi się, że mówiąc to, patrzysz na moje książki.

– Wydawało ci się. – Zmęczony Nahir opuścił głowę. Tak, myślał o zbiorach Aule, jeśli byłoby to konieczne, by kupić sobie wsparcie Ertana i Iruve. Drażniło go, jak szybko Luan poczuł się ich właścicielem. Ale nie chciał się kłócić. Nie mogli tracić na to sił.

Luan opadł obok niego na ziemię, próbując schować twarz w cieniu. Jego oczy wciąż utkwione były w Nahirze.

– To nie wszystko, prawda?

– Nie. – Nahir był zbyt zaskoczony, by chociaż udawać zdziwienie. I zbyt zmęczony, by kłamać.

– Zegar – powiedział cicho Luan.

– Tak.

– Co dokładnie pokazuje ten zegar? Bo wiesz to, prawda?

Nahir westchnął. Nie było sensu dłużej tego ukrywać przed Luanem.

– Że Wędrowiec jest już blisko.

Luan zmrużył oczy.

– Wiedziałem. Jak blisko?

– Mamy dwa lata, może trochę więcej. Jeśli nic się nie zmieni. Nawet astronomowie nie byli mi w stanie wyjaśnić, w jaki sposób ruch ciał niebieskich i nasze działanie się sumują...

Przyjaciel uśmiechnął się smutno.

– Ale Wędrowiec raczej się nie oddali, prawda?

– Nie. W teorii, gdyby to zrobił... to byłaby jeszcze większa katastrofa. Wszystko inne musiałoby odwrócić bieg.

– Czyli zostały nam dwa lata życia.

– A potem... co?

– Nie wiem. To, czego uczył mnie Aule, było spekulacją z pogranicza teologii i astronomii. Teoretyzowaniem o zemście i próbach wyobrażenia sobie, ile krzywdy może wyrządzić wściekłość bóstwa. Nie było wątpliwości jedynie co do ostatecznego skutku. My na pewno tego nie przetrwamy.

– A pozostali?

– Myślisz, że bóstwa będą o nich pamiętać?

Nahir potrząsnął głową. W pokrętny sposób mógł identyfikować się z pragnieniem, które gnało Wędrowca przez nieba, by pomścić śmierć rodzeństwa. Gdy trzymał w dłoniach koronę Lefarie, czuł to samo, w małej, ludzkiej skali: płonąca potrzebę, by ktoś zapłacił za jego ból. Ktokolwiek. Jakkolwiek. Szczegóły nie były ważne w obliczu rozjarzonej wściekłości.

– Pomyślałem o Susari – mruknął Luan. – Może to dobrze, że nie będzie musiała na to patrzeć.

– Mhm.

– Ale my będziemy. Co zamierzasz zrobić z tymi dwoma latami? Miałeś trochę czasu, by się nad tym zastanowić.

– Najpierw muszę być pewien, czy nie zostało mi dużo mniej niż dwa lata.

– Przyjmijmy, że nie – upierał się Luan. – I nie waż mi się myśleć inaczej.

Nahir popatrzył na niego zmęczonymi oczami.

– Myślisz, że będziemy mieć czas na cokolwiek poza ucieczką?

Krwawe zachody słońca nad opustoszałą równiną; ciemniejące niebo i wyłaniające się gwiazdy. Nahir i Luan śledzili układ konstelacji, choć wiedzieli, że jeszcze nie dostrzegą Wędrowca gołym okiem. Oczy Niegasnącego lśniły na niebie, przytłumiając blaskiem słabsze gwiazdy. Ale obaj przyjaciele i tak patrzyli – dopóki krawędzi nieba nie przesłoniła im luna ognia bijąca od świątyni w Żrenicy.

Tak jak za dnia Niegasnące bezlitośnie paliło ziemię, tak nocą jego oczy wydawały się zimne i obojętne. Podobno gdy Rasenowie zabijali bóstwo, Niegasnące odwróciło się od nich: schowało się za horyzontem, by nie widzieć tej zbrodni. Jedyne, co rozjaśniło mroki tamtej nocy, to płonące łzy przecinające niebo. Nahir zastanawiał się, czy tak samo będzie wyglądał koniec Rasenny: bóstwa odwrócą wzrok od ognistej łuny. Ale myślał o tym tylko z ciekawością scholara. Jego własny koniec wydawał mu się dużo bliższy.

U bram Żrenicy Nahir przygotowywał glejty i znaczniki, zaskoczony, że dotarli aż tutaj. Nawet dla niego, który przemierzył pustynię już dwa razy, ta podróż jawiła się jako ciąg bezsennych nocy i nieznośnie upalnych dni, jako nieustanne brnięcie ku rozedrganemu mirażowi miasta, który przecież musiał się rozproszyć. Luan słał się na nogach, jednak odmawiał jakiegokolwiek pomocy. Choć nosił ochronne tkaniny, twarz miał poparzoną od słońca. Za bramami miasta Nahir, nie zważając na protesty przyjaciela, otoczył go ramieniem i zaprowadził do willi ojca. Gdy Luanem zajęli się saadyjscy medycy, on sam

pokornie wysłuchał wybuchu ojcowskiej złości – będącej przejawem troski. Na wszystkie pytania odpowiadał tak samo:

– Nie mogę ci teraz powiedzieć.

Unikał wzroku ojca. Nie mógł powiedzieć mu o Lefarie. I nie mógł mu nie powiedzieć.

Nie mówiąc – czuł się, jakby zdradzał ojca, jakby dołączał do swojej rodziny. Lecz z drugiej strony wiadomość o diademie nie ukołaby żalu. Jedynie rozjątrzyłyby stare rany.

– Więc kiedy?! – Reza potrząsnął nim za ramiona. Nahir ocknął się i odsunął.

– Przepraszam. – Pokręcił głową i wyszedł.

Schował się w swoim pokoju. Zasunął kotarę na znak, by mu nie przeszkadzano. Zapadł w sen niemal dosłownie w momencie, gdy dotknął policzkiem poduszki. Śnił o mechanizmie zegara i symbolu Wędrowca przesuwającym się nieubłaganie ku zielonkawej tarczy symbolizującej ziemię. Aż do południa następnego dnia nikt go nie niepokoił; Nahir wreszcie mógł odpocząć. Ale wciąż nie był bezpieczny.

Nahir musiał włożyć wiele wysiłku w to, by zgubić się w Żrenicy. Stało się niepisana zasada, że spacerował po mieście w towarzystwie Luana; ten zaś nigdy nie przyznałby się, że snuje się za przyjacielem, by ukoić własne obawy przed obcym miastem. Nahir wymknął się w południe, gdy większość domowników odpoczywała. Niegaszące w zenicie nieomal nie rzucało cienia. Nahir nasunął brzeg chusty na głowę i znikł w labiryncie uliczek.

Szybko odnalazł Ertana i Iruve. Zgodnie z jego przewidywaniami prowadzili warsztat księgarski w części miasta zamieszkaną głównie przez przyjezdnych. Przy głównej ulicy wisiał tylko mały szyld. Nahir słyszał z dala źródło Iruve, ale musiał zapytać kilkorga miejscowych, nim pokierowali go we właściwe miejsce, na zaniedbany wewnętrzny dziedziniec, gdzie stała chybocząca się ławka i klatka z gołębiami.

Ertan powitał go z cierpkim uśmiechem.

– Dawno cię tu nie było – powiedział. – Nie wiedzieliśmy, czy w ogóle jeszcze jesteś w Saadzie.

– Mhm. – Nahir wyminął go i wszedł do warsztatu. Na jego widok Iruve przerwała pracę nad kawałkiem jedwabiu.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytała.

– Tak. – Nahir zacisnął ręce na malastrze. – Waszej pomocy.

Uciekinierzy wymienili spojrzenia. Jeśli byli zdziwieni, to nie okazali tego po sobie.

– Rasenna już płonie? – zapytał Ertan takim tonem, jakby pytał o pogodę na północy.

– Nie. Jeszcze nie.

– Ale?

– Ale nareszcie rozumiem, kto mnie tu wysłał. I że... nie jestem im już potrzebny. Szczególnie teraz, gdy zegar został wprawiony w ruch.

– A ty, oczywiście, dobrze wiesz, co pokazuje.

– Ertan – fuknęła Iruve.

Mężczyzna zachnął się tylko.

– Wy też wiecie, prawda? Inaczej nie pytalibyście, czy Rasenna już płonie.

Ertan powoli pokiwał głową.

– Liczyliśmy, że będzie się dało coś jeszcze zrobić – włączyła się Iruve. – Wciąż mam taką nadzieję, ale...

– Ale? – podchwycił Nahir.

– Jest nas zbyt niewiele.

– „Nas”?

– Osób ze stabilnym źródłem.

Nahir popatrzył na nich. Źródło czasem odradzało się w najbardziej niespodziewanych osobach – on sam był tego dobrym przykładem. Ale źródło Iruve wydawało się niewyczerpane.

– Nie pomogę wam w tym. – Skrzyżował ramiona.

Ertan i Iruve znów wymienili spojrzenia.

– Myślmy, że wręcz przeciwnie – odpowiedział mu wyzwoleniec. – Widzisz, nikt się nie rodzi z takim źródłem.

– Już nie.

– Nigdy nie było takich osób – zaprzeczył mężczyzna. – Może poza... tymi pierwszymi. Ale później już zawsze byliśmy zdani na łaskę źródła. – Uśmiechnął się smutno. – Po prostu nie ma takiego cudu, który nie wydarzałby się czyimś kosztem.

Nahir mimowolnie potrząsnął głową. Nie przywykł do myślenia o źródle jako o kapryśnej, nieujarzmionej sile – choć tym w zasadzie było. Nikt jednak nigdy nie nazywał rzeczy po imieniu. Źródło było nieprzewidywalne, lecz równie dobrze można było mieć pretensje do bóstw o ich przewagę nad ludźmi.

– Myśl, co chcesz – skwitował Ertan.

Ale Nahir go nie słuchał.

„Nikt nie rodzi się z takim źródłem”.

– Co trzeba zrobić? – zapytał, opierając się o blat warsztatowego stołu. Kolana się pod nim ugięły.

Iruve posłała mu pytające spojrzenie.

– Myślę, że już wiesz.

Wiedział. Chyba, w głębi źródła, wiedział to od czasów tamtego zajścia na pustyni. Dowiedział się w momencie, gdy dotknął nieruchomego ciała napastnika – i przez chwilę miał jego serce na wyciągnięcie ręki. Wiedział, gdy zabijał Susari.

Był tak przerażony tym, po co tu przyszedł, że nie zdziwiło go, skąd Iruve wie o dawnej przyjaciółce. Chciał jej tylko powiedzieć, że sytuacja z Susari była zupełnie inna, że dziewczyna umierała i...

Nie, wcale nie zrobił tego dla niej.

W prawie bezwzględnie zakazującym odbierania życia chodziło o przetrwanie Rasenów. Ta zasada wywodziła się z najczarniejszych dni, gdy ich plemiona tułały się po wybrzeżu. Ale późniejsze wydarzenia jedynie ją umocniły. Nie dało się bowiem zachować obojętności wobec cudzego źródła, gdy to było tak wrażliwe, tak... bliskie.

Nahir otarł powieki. Iruve też zaczęła płakać. Wstała i wyciągnęła do niego ramiona.

– Nie chcesz tego – powiedziała cicho.

Objęła go nagle.

– Żadne z nas tego nie chciało.

Nie wiedział, czy mówi o źródle, czy o końcu świata.

– Ale tu jesteśmy – szepnęła mu do ucha. – Innych czasów dla nas nie będzie.

Nahir wyrwał się jej. Pozwoliła na to.

– Wiesz, co zrobią ci twoi krewni, jeśli cię znajdą. Co mogą zrobić Ragani – powiedziała.

– Wiem. – Nie zastanowił się nawet, skąd wie o Ragani. Pogodził się z tym, że jest bezsilny wobec otaczających go osób. Dziadka. Sainy. Nawet tej pary włóczęgów z karawany.

Zdecydował, że pozwoli krewnym, by zdecydowali o jego losie. Drugie wyjście było dużo gorsze.

– Nie chcesz sobie tego robić – odpowiedziała za niego, ocierając łzy. – Pewnie myślisz, że to żadna różnica, czy zabiją cię oni, czy sam przestaniesz być tym, kim byłeś do tej pory.

Nahir zacisnął wargi.

– Może nie ma żadnej – mruknęła. – W końcu po tym, jak zaatakowałeś za pomocą źródła tego saadyjskiego studenta, po tym jak zabiłeś Susari, jakkolwiek powodowany miłosierdziem... musi zostać jakaś granica, prawda?

– Niech cię pochłoną ognie Wędrowca – rzucił. – Nic nie wiesz.

Iruve tylko zamknęła oczy. Na jej policzki wypłynął rumieniec wstydu.

– Wiem, co o nas teraz myślisz – powiedziała. – Sama myślałam to o sobie wiele razy.

– Nie powstrzymało cię to przed...

– Przed morderstwem. – Wciąż nie podniosła na niego wzroku. – Robimy to, co jest konieczne, by przetrwać. Nie mogę sobie pozwolić na wątpliwości. Nie mam na tyle czasu.

Nahir się wzdrygnął.

– To była inna sytuacja – bronił się. – Chciałem ocalić... kogoś innego.

Pokiwała głową.

– Ale jeśli robiąc to, o czym ci mówię, ocalisz nie tylko siebie?

– Co masz na myśli?

Potarła tatuaż na swoim podbródku. Wydała się teraz Nahirowi przeraźliwie zmęczona.

– Uważam, że wciąż da się zatrzymać koniec świata.

Nahir się zaśmiał.

– Nie zawrócimy Wędrowca.

– Nie – zgodziła się. – Ale to nie jedyne, co możemy zrobić.

Przez chwilę ważył słowa kobiety. Mogła kłamać – choć przecież nie miała wiele do stracenia. I, gdyby chciała – Nahir widział to teraz z upiorną pewnością – mogłaby go po prostu zmusić.

Więc chciała jego współpracy. Ona – i Ertan.

Na samą myśl o tym, co należy zrobić, Nahir poczuł ucisk w żołądku.

Ale...

Ragani. Luan. Ojciec. Wszyscy inni.

Śmieszne, że kiedykolwiek myślał, że to będzie wyłącznie jego decyzja, wolna od wpływów innych ludzi.

– No dalej – zachęciła go Iruve. Znów zaczęła płakać. – Zrób to. Uratuj siebie. Wszyscy robimy to, co musimy, by przetrwać.

Nahir odsunął się od niej. Podchwycił ponure, nieprzeniknione spojrzenie Ertana. Miał poczucie, że żadne z nich nie oczekuje od niego odpowiedzi – w głębi serca był im za to wdzięczny. Czy wstydziła się swojej decyzji? Nie umiał sobie na to odpowiedzieć. Nie śmiał zapytać. Oboje od początku sprawiali wrażenie nie tylko uciekinierów, ale i ludzi pogrążonych w żałobie. Teraz Nahir domyślał się, kogo opłakiwali. Swoje ofiary – i siebie. Lecz mimo to nie żalowali swojej decyzji. Wiedział, że nie.

– Dziękuję – wyszeptał, wpatrując się we własne stopy.

– Nie ma za co – odpowiedział mu Ertan. – Uważaj na siebie.

Iruve odprowadziła chłopaka wzrokiem. Gdy znikł za zakrętem, wspięła się na poddasze sklepu.

Przy oknie siedział Vesui, oparty o skrzynię, w której pokonał drogę do Saady. Na jej wieku siedziały gołębie. Od jego kostek do okuć kufra biegły cienkie biżuteryjne łańcuszki, których nie mógł zerwać. Iruve wiedziała, że próbował; we wnętrzach jego dłoni widniały czerwone pręgi.

Na widok Iruve wypuścił z dłoni gołębia. Ptak zamachał skrzydłami i odleciał, po czym zaczął kołować nad miastem. Iruve nie miała wątpliwości, że będzie wypatrywał Nahira.

Vesui rozgonił pozostałe ptaki, lecz wciąż nie patrzył na Iruve. Zapewne robiły to za niego jego gołębie; czuła na sobie ich oczy jak bursztynowe paciorki.

– Myślisz, że to zrobi? – zapytał. – Czy stchórzy?

– Myślę, że podjął już decyzję. Inaczej nie przyszedłby do mnie.

– Och. – W głosie chłopca zabrzmiał zawód. Zepsuła mu pełne napięcia oczekiwanie. – A wie już, że zrobił dziecko własnej siostrze?

Iruve przygryzła wargę. Vesui odwrócił się do niej, szczerząc zęby w radosnym uśmiechu.

– Nie powiedziałaś mu! – Zaklaskał w dłonie. – Naprawdę to zataiłaś! Ale nie martw się – dorzucił ze złośliwym błyskiem w oku. – Prędzej czy później sam to odkryje i kto wie, co się wtedy stanie!



ROZDZIAŁ ÓSMY

Miesiąc owoców, trzecia pentada,
dzień pierwszy

Zaihab stała przed paleniskiem. Pod bosymi stopami czuła wryte w podłodze wzory. Uniosła jedną, wodząc jej palcami po konturach. Kolejna przetworzona twarz, człowiek z trzema parami skrzydeł wyrastającymi z głowy. Do tej pory wkładała istnienie takich stworzeń między podania historyków – teksty na pograniczu bajek, propagandowej przestrogi i domysłów. A jeśli wciąż żyły?

Jeśli żyły i rosły w siłę, spijając źródło z krwi innych?

Jak najszybciej zeszła z podobizny.

Pamiętała upojenie źródłem. A przecież Vesui nie mógł tego Iruve wybaczyć. Zaihab wyraźnie to czuła, gdy była intruzem w jego wspomnieniu – żal i obrzydzenie sąsiadujące z nasyceniem głodu, który dręczył go całe życie. Jakby ta potęga została mu wepchnięta siłą. Być może Opiekunka chciała właśnie tego: zmusić go do ostatecznej ucieczki.

Ale on się na to zgodził, przypomniawszy sobie.

Próbowała policzyć, ile mógł mieć wówczas lat – lecz przy nim jakiegokolwiek poczucie czasu przestawało istnieć. Jego dziecinny entuzjizm przeczył schorowanemu ciału starca, naiwność nie pasowała do kogoś, kto widział tak wiele.

Nad miastem unosił się jego zwyczajowy hałas. Zaihab miała ochotę wychylić się ponad krawędzią gniazda i wykrzyczeć mieszkańcom Sahit, komu oddali się pod opiekę. Dzieciakowi, który najpierw nauczył się kraść ptasie oczy, a później pożarł ludzkie serce.

Nie uwierzyliby. Nie słuchaliby – o tym wiedziała już wtedy, gdy ją i rodziców los gnał z miejsca na miejsce. W pewien sposób nimrodowie spisali się aż zbyt dobrze: wykorzenili nie tylko wiedzę stworzycieli, ale i pamięć o stwarzanym przez nich zagrożeniu. Bóstwa, którym udało się przetrwać, przykuwały do siebie całe społeczności, przekonując ich członków, że bez ich wsparcia ci będą bezradni.

To, co robił Vesui, nie miało prawa się zdarzyć. Nikt nie uwierzyłby w chorego chłopca wgrzyzającego się w serce zamienione w kryształ. Na samo wspomnienie tej słodczy żółć na nowo podeszła Zaihab do gardła. Wydawało jej się, że znów czuje zapach krwi.

– Hierodulo?

Zwalczyła torsje. Ukradkiem wsunęła palec pod ptasią maskę, ocierając zażawione oko. Wciąż nie chciała rozmawiać z Arit. Potrzebowała więcej czasu.

– Nie teraz.

– Szukałam cię.

– Przecież się nie ukrywam – odparła dużo ostrzej, niż Arit na to zasługiwała.

A przecież Arit też wysłali tu na służbę. Do kogoś, kto w jej wieku dopuścił się kanibalizmu, bo wolał to niż życie podporządkowane Opiekunce.

– To ważne – powiedziała z naciskiem dziewczyna. I dodała słabszym głosem: – Proszę...

Zaihab zdała sobie sprawę, że nie jest tak niezależna, jak chciałaby być. Coś zawdzięczała Arit. Towarzystwo. Pytania. Uparta arystokratka mimo wszystko zobaczyła w niej... osobę. I ostatecznie przyprowadziła do niej isbeta, choć Zaihab nie rozumiała powodów, dla których to zrobiła. Nie wiedziała, co wydarzyło się u stóp iglicy.

To nie była przyjemna myśl.

Powoli podeszła do Arit, mimowolnie krzywiąc się na stłumione westchnienie, gdy arystokratka zobaczyła jej okaleczoną dłoń. Zapach krwi się wzmocnił.

– Chodź ze mną. – Zaihab zdążyła przywyknąć, że arystokratka łapie ją za rękę i gdzieś ją ciągnie. Dziś jednak krok Arit cechował się jeszcze większą celowością niż zazwyczaj, podobny do wojskowego marszu. Zaihab z trudem nadążała.

Skręciły w boczny korytarz świątyni, odprowadzane szeptami cieni. W jego ciszy oddechy odbijały się słabym echem.

– Ściągnij to. – Arit bez ostrzeżenia zdjęła maskę z twarzy Zaihab. Wcisnęła jej do rąk zawój grubej tkaniny. – I ubierz to.

Hierodula strzepnęła materiał, rozwijając go. Trzymała w dłoniach gładką chustę z miękkiej wełny, o obrębionym brzegu bez żadnych ozdób. Arit westchnęła.

– Pomogę ci.

Owinęła chustą głowę i szyję Zaihab, chowając pod materiałem niesforne włosy dziewczyny. Mruknęła coś do siebie.

– Nie ruszaj się teraz. – Wpięła w zawój kilka szpilek. Po bokach twarzy zebrane fałdy materiału opadały jak wachlarze, osłaniając policzki.

Zaihab stała podczas tego zabiegu spokojnie, czasem tylko podnosząc dłonie, by dotknąć misternych zawojów.

– Dlaczego...

– Chcesz stąd uciec czy nie? – przerwała jej ostro Arit.

Zaihab przełknęła ślinę.

– Chcę, ale...

– Dziś może być jedyna okazja.

– W biały dzień?

– Masz szczęście, skoro Vesui kontaktuje się z tobą w snach.

– Ludzie nie śpią.

– Właśnie dlatego to robię. – Drżąca ręka arystokratki poprawiła jeszcze zawój, zasuważąc krawędź chusty niemal na brwi Zaihab. – W tłumie żałobników nikt cię nie pozna.

Rozległ się brzęk. Arit zaczęła ściągać biżuterię i chować ją po kieszeniach. Zaihab wsłuchiwała się w ten dźwięk, bezwiednie mnąc w dłoniach krawędź tuniki. Serce jej łomotało, aż bała się, że obudzi Vesui. Słyszała też drugie, paniczne bicie serca: Arit.

Chciała uciec. O niczym innym nie marzyła. Ale... teraz? Gdy zaczynała dowiadywać się nowych rzeczy, gdy odkryła, jak wchodzić w sny bóstwa i że może zabić Vesui? Dlaczego teraz? Wiedziała, że nie może czekać, że kolejna taka szansa się nie zdarzy. Ale wiedziała też, że zostawi za sobą poszarpane wątki, niedokończone sprawy. Będzie musiała porzucić wszystko. Uwalniać się od Vesui na nowo.

„A uwierzyłaś, głupia, że możesz zmierzyć się ze stwórcykiem jak z sobie równym? – zdawały się chichotać ściany. – My też tak myśleliśmy”.

– Zostaw za sobą wszystko, co może skojarzyć się ludziom ze świątynią – poleciła jej Arit.

Zaihab parsknęła niewesołym śmiechem.

– Jak moją twarz? I moją rękę?

– Widzieli cię tylko w masce. I... zdrową. Nie będą się ciebie spodziewać. – Arit przysunęła się bliżej i ujęła podbródek hieroduli. – Poczekaj chwilę. – Przycisnęła do policzków Zaihab tłustą kredkę i narysowała na nich wzory symbolizujące łyzy.

Zaihab westchnęła.

– To kogo oplakujemy?

Arit odczekała z odpowiedzią, aż skończyła malować własne łyzy. Ostrożnie ujęła okaleczoną rękę hieroduli i powoli wciągnęła nań rękawiczkę. Powtórzyła to z drugą dłonią, równie ostrożnie.

– Avile, oczywiście. A teraz chodź.

Wymknęły się jednym z bocznych wyjść, wychodzących nie na świątynny plac, lecz na skały. Lodowaty morski wiatr zaczął szarpać chusty. Zaihab zadrżała, choć nie z zimna. Była tutaj tyle razy, w snach dzielonych z bóstwem. Przypomniała sobie lęk przed spadaniem, obezwładniającą bezradność i pęd powietrza odbierający oddech.

Vesui nie mógł jej skrzywdzić, ale mógł po prostu pozwolić jej zginąć. Choćby z rąk Arit.

Arystokratka mocniej ujęła dłonie Zaihab. Miała palce wilgotne od potu.

– Poprowadzę cię – powiedziała tuż przy uchu dziewczyny. – Trzymaj się mnie mocno. Nic nam nie będzie.

Stała przodem do Zaihab. Rosnące na zboczu góry zielska smagały dziewczyny po nogach. Z dala rozlegał się krzyk mew.

– To nie skrzydlate. – Ton Arit nie stracił nic ze swej autorytarności, lecz stał się miękki, wręcz serdeczny. – A teraz chodź, nie mamy dużo czasu. Pochód wkrótce wyruszy.

Zaihab oblizwała wyschnięte wargi, słone od bryzy.

– Już idę.

Zrobiła pierwsze kilka kroków, nie wypuszczając rąk Arit. Pod jej butami piasek osypywał się, a każdy krok posyłał w dół lawinę kamyczków. Nie wyobrażała sobie, że ktokolwiek mógłby przejść tą ścieżką, choć przecież Tisar musiała się wspinać właśnie wtedy, za niemym przyzwoleniem Vesui. A przed nią – wybraniec bóstwa, który, podobnie jak Zaihab, chciał uciec. Nie mogło mu się udać.

Leć, ptaszyno.

– Nie zatrzymuj się – szepnęła Arit, przesuając się wzdłuż skalnej krawędzi. Zmrużyła oczy. Po swojej lewej stronie miała kamienną półkę, nad którą wznosiła się świątynia z wynaturzonej skały. Po prawej: ciągnące się po horyzont roziskrzone morze. Ostre południowe słońce oślepiło ją i nagrzewało wełnianą tkaninę na jej głowie.

Na swoich policzkach też namalowała łzy, ostre, wystylizowane: bardziej przypominały sztylety niż obłe krople. Sahit nie należało do miejsc, które szukały ukojenia w żalu, żałobę należało przekuć w siłę. Znaleźć w cierpieniu energię, by zrobić jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden. I jeszcze.

– Nie zatrzymuj się – powtórzyła, ciągnąc drżącą hierodulę. – To naprawdę nie jest najtrudniejsze ze wszystkiego, co zrobiłyśmy – dodała z gorzką nutą.

Zaihab posłusznie przyśpieszyła kroku, ryjąc czubkami butów w pylistym podłożu.

– Skrzydlate nas dopadną – powiedziała wreszcie.

– Nie.

– Zauważą, że mnie nie ma, i rzucają się w pościg. Jesteśmy na ich terenie. Niebo styka się z ziemią i morzem, i... – Zachłysnęła się oddechem. – To jest ich przestrzeń.

– Nie dopadną nas – powiedziała Arit. – Zajęłam je.

Zaihab niemal potknęła się na ścieżce.

– Co?

– Nie myśl, że cię nie słuchałam – odparła, smakując własną satysfakcję. – Wpadłam na to, jak je zająć. Nakarmiłam je.

Zaihab jęknęła głucho. Wiedziała teraz, skąd zapach krwi: z rany, którą musiała zadać sobie Arit. Wpiła paznokcie w rękę arystokratki.

– Nie przebierasz w środkach, prawda?

– Chcesz uciec? – powtórzyła Arit.

Hierodula nie odzywała się przez dłuższy czas. Zaciśnęła wargi i dała się prowadzić. Arit poczuła, że jest tym zawiedziona. Znała Zaihab już dość, by nie spodziewać się wylewnej wdzięczności – ale oto miała wrażenie, że wyprowadza dziewczynę niemal siłą. Ryzykuje wszystko – dla tego niezadowolonego milczenia.

– Nie myśl, że to dla mnie łatwe – mruknęła wreszcie, gdy przełamana wyciem wiatru cisza stawała się nie do zniesienia.

Zaihab podniosła na nią twarz lśniąca od potu. Jej niewidzące oczy były szeroko otwarte. Słoneczny blask wlewał się w tęczęwki.

– Więc dlaczego to robisz?

– Bo... – Arit zająknęła się.

„Bo tak trzeba”. Ale tego nie mogła powiedzieć.

– Służę Sahit – wydusiła.

Na spękanych wargach hieroduli pojawił się słaby uśmiezek.

– A zatem i jego stworzycielowi?

– Jaki stworzyciel zabija swoich podopiecznych? – zdobyła się na prychnięcie. – Jaki stworzyciel trzyma w swoim mieście potwora?

Zaihab nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie miała pojęcia, o jakim potworze Arit mówi. Przez chwilę milczały więc obie.

– Przysięgałam bronić tego miasta. Do ostatniej kropli krwi, jeśli będzie trzeba. Nie uśmiecha mi się umieranie za puste budynki z wynaturzonej skały ani za rzeźby w pałacu książąt. To nie miasto. Stworzyciel... stworzyciel też nie jest miastem.

Zaihab ścisnęła jej dłonie. Taki komentarz musiał Arit wystarczyć.

Ścieżka wiała się wśród przetworzonych skał, próbujących sięgać nieba. To zaś pozostawało nieskazitelnie czyste, niezmacone czarnymi cieniami skrzydlatych. W końcu uciekiniarki zatrzymały się nad skalną półką. Z dołu dobiegał gwar

miasta – oraz zatęchła woń portowych zaułków. Arit wychyliła się ponad krawędzią.

– Dzielnica rzemieślników – oznajmiła półgłosem.

– Mhm – mruknęła Zaihab. Wyzwoliła jedną dłoń z uścisku arystokratki i otarła nią brew.

– Zejdę pierwsza. Potem ci pomogę. Gdy już będziemy w mieście, dołączymy do konduktu żałobnego.

– Tak – potwierdziła hierodula. Jak na ten sygnał, Arit wypuściła jej drugą dłoń. Nagle Zaihab znalazła się bez oparcia.

Tak łatwo byłoby teraz spaść. Wystarczyłby jeden nieuważny ruch. Bruk zaułka zdawał się na nią czekać. Ona i Arit zwiodły śpiące bóstwo, zwiodły jego skrzydlate duchy. Ale jakie miały szanse wobec miasta, które owo bóstwo zbudowało?

– Wiesz, co dla Rasenów oznaczało „sahita”? – zapytała półgłosem Zaihab. – Gniazdo.

Arit stłumiła śmiech.

– Żartujesz.

– Chciałabym.

Arit podkasła spódnicę i opuściła się ze skalnej półki, trzymając się na palcach. Od czasu jej wojskowego treningu minęło trochę czasu, lecz ciało wciąż pamiętało wyuczone ruchy.

– Teraz ty – powiedziała, stojąc już bezpiecznie w zaułku. Wyciągnęła ramiona. – Najpierw usiądź na krawędzi skały. Złapię cię.

Hierodula była lekka, przywodziła Arit na myśl pisklę. Arystokratka odrzuciła tę myśl ze wstrętem.

– Jesteśmy – oznajmiła, gdy obie znalazły się na ziemi.

Puste oczy Zaihab przesuwały się po ścianach budynków.

– Co teraz?

– Dołączamy do tłumu. Tam na nas czekają. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, nikt jeszcze nie zauważył naszego zniknięcia.

– Kto na nas czeka? – zapytała z przestachem Zaihab, cofając się do skalnej ściany.

Arit przyciągnęła ją ku sobie.

– Ludzie Tisar – syknęła w jej ucho. – A co myślałaś? Nie wyjdiesz sama poza miasto.

Nim Zaihab zdążyła się zdziwić, że kondotierka też jest w to uwikłana, Arit ponownie podjęła marsz.

Arystokratka wychyliła się z zaułka, nasłuchując procesji. Ta szła głównymi ulicami miasta, ale zawodzenie cytr i rześisty płacz dzwonków rozlegały się

wszędzie.

Splotła palce z palcami hieroduli i razem ruszyły przez dzielnicę. Tutaj Zaihab okazała się dużo pewniejsza; choć bez swojej laski, z zaufaniem szła za towarzyszką. Wkrótce wyszły naprzeciw procesji.

Na przodzie pochodu kroczyła dwójka strażników, niosąc nad głowami sztandary. Za nimi powinno iść ognisko zmarłego – zostawiono tylko trochę przestrzeni, by zasygnalizować miejsce dla nieobecnych, a rolę odprowadzających przekazano kuzynom i dzieciom anaksa. Arit nie byłaby w stanie ich rozpoznać, ukrytych za zawojami tkaniny i z delikatnym wzorem na policzkach. Szlachcianki miały pomalowane powieki i suche oczy, zastygłe w wyrazie żalu tylko na czas ceremonii. Nagle zatrzymała się jak wryta. Między najmłodszymi w ognisku anaksa szli Eliri ze słoneczną tarczą we włosach, ubrani w szatę całkowicie zafarbowaną na kolor żałobnej czerwieni. Spletli przed sobą upierścienione dłonie. Arit nie miała pojęcia, dlaczego postanowili odprowadzić Avile – może po prostu chcieli zamanifestować swoją władzę w mieście? Nikt przecież nie mógł im odmówić, a ich obscenicznego bogactwa nie dało się nie zauważyć.

Za nimi szli kolejni strażnicy, niosący prostą, drewnianą platformę. Na jej szczycie położono trumnę. Arit zadrżała. W okutej srebrem hebanowej skrzyni leżał obcy mężczyzna. Na zatrzaśniętym wieku udrapowano girlandy z kwiatów i bluszczu. W metalowych flakonach tliły się kadzidła, których dym rozwiewał się, gdy tylko zdołał pochwycić go wiatr.

Wokół platformy zebrał się dwór w towarzystwie muzyków, niestrudzenie grających jeden i ten sam żałobny hymn. Za dworem tłoczyli się mieszkańcy miasta. Arit zmrużyła oczy. Mieli suche twarze, niewykrzywione smutkiem. Większość z nich nie przyszła tutaj pożegnać człowieka, który od lat doradzał ich anakswi; przyszli, by się upewnić, że ciało spocznie w ziemi, przykryte nią, odcięte od świata na zawsze.

W duchu Arit musiała się z nimi zgodzić. Miejsce zmarłych było w ziemi. Tam mogli spać na zawsze, ukołysani biciem serca świata, zamienieni w korzenie. Szczególnie tutaj. Tu Saadyjczycy wciąż byli obcy. Potrzebowali korzeni. Nawet Arit, która całe życie spędziła w Alawi i Sahit, nie potrafiła się otrząsnąć z tego poczucia obcości; nigdzie nie było ono tak silne jak w świątyni, gdzie cienie szeptały jej o tym, jak bardzo jest niechciana. Ale cała ta ziemia była podszyta wrogością i żalem z czasów dawno przegranej wojny.

– Co z nim zrobią? – szepnęła Zaihab.

– Pochowają z honorami. Mimo... mimo tego, co się stało. Ciało... ciało należy do kogoś innego.

Kącik warg Zaihab drgnął lekko – ni to w grymasie złości, ni to w tajonym uśmiešku.

– Kasser przejął jego stanowisko, że tak lekko traktuje prawdę?

Arit westchnęła i poprowadziła Zaihab głębiej w tłum.

Dołączyły do procesji, pochylając głowy, dwie milczące żałobniczki z namalowanymi łzami. Tłum szedł w powolnym rytmie, przypominającym bardziej szuranie stopami niż marsz. Zaihab ścisnęła rękę Arit, starając się nie zgubić kroku. Arystokratka natomiast rozglądała się na boki, wypatrując kogoś z Kompanii Buław. Przyłapała się na tym, że szuka samej kondotierki – i skarciła się za tę myśl. Tisar nie wolno byłoby iść blisko Najjaśniejszych, kassera, ogniska anaksa. Musiałaby wmieszać się w tłum.

Nie było też samego anaksa. Arit, kierowana nagłym strachem, zmrużyła oczy, wypatrując stworzenia. Ale potwora nigdzie nie było. Tylko rzeka ludzi.

Tłum sunął nieśpiesznie. Nie było w nim tego poszukiwania wspólnoty, do którego ludzie garnęli się po stracie. Tu każdy szedł sam. „Tej nocy – pomyślała Arit – zostaną wybite okna, wyłamane drzwi. Nieważne, czy właściciele domów faktycznie będą mieli coś wspólnego z Rasenami”.

Wypatrzyła jednego z ludzi Tisar – mającego, zgodnie z opisem kondotierki, nabrzmiałe blizny na twarzy, która bez nich mogłaby uchodzić za przystojną. Tisar, rzecz jasna, użyła innych słów, na wspomnienie których Arit się zarumieniła. Nawigowała przez tłum, by podejść bliżej mężczyzny. W końcu ona i Zaihab się z nim zrównały.

Smuga – jak przedstawiła go jej Tisar – na ich widok wyszczerzył się w sposób absolutnie nieprzystający do okoliczności. Poza tym nie powiedział nic. Nie musiał; odczytał znaki, które Arit wpisała w swoje malowane łyzy. Na jego policzku widniała jedna, ginąca między bliznami, z wpisanym weń pojedynczym glifem. Musnął wolną rękę arystokratki dłonią. Dziewczyna powstrzymała skrzywienie warg i pozwoliła się prowadzić.

Gdy ponura procesja minęła dwa skrzyżowania, dołączył do nich jeszcze jeden mężczyzna. Niższy od Smugi i lepiej zbudowany, owinał głowę chustą, tak jak robili to kupcy ze stolicy Saady. Malowane łyzy na jego twarzy przypominały krople farby. Gestem wskazał najbliższą bramę, przy której obok straży miejskiej stali też ludzie z Kompanii.

Powoli się ściemniało, na ulicach zalegał wilgotny wieczorny cień. Na niebie za to zarysowały się sylwetki skrzydlatych. Arit mocno trzymała spoconą dłoń Zaihab. Hierodula unosiła niewidzące oczy ku niebu. Bezgłośnie poruszyła wargami.

– Nie martw się – powiedziała do Arit.

Arit przeszedł dreszcz. W tym samym momencie jeden z drapieżników przeleciał nisko nad tłumem. Ktoś się pochylił, kogoś popchnął. Nim zauważyła, wypuściła rękę hieroduli.

Krzyknęła cicho, ale jeden z żałobników dał jej kuksańca w bok. Skuliła się. Niezadowoleni ludzie wydali z siebie jednostajny pomruk, próbując wypchnąć ją z pochodu.

Drugi towarzysz Tisar schwycił ją za ramię.

– Tu wkrótce będzie bardzo brzydko – burknął, pomagając jej utrzymać równowagę.

– Zgubiłam ją! – szepnęła.

– Smuga już jej szuka. Zostań tutaj.

Zaihab została sama. Tłum niósł ją ze sobą jak fala, gdy ona spychała panikę na krawędzie swojego umysłu i przypominała sobie lekcje: udawać, że patrzy przed siebie, z uniesioną głową. Dłonie opuszczone swobodnie wzdłuż ciała. Nic w jej zachowaniu nie mogło wzbudzić podejrzeń, nikt nie mógł powiązać jej z niechętną, niewidomą dziewczyną, która próbowała uciec Vesui. Wszyscy ją wzięli. To miasto w całości było przeciwko niej.

„Głowa do góry – nakazała sobie. – Zamarznij. Idź”.

Gdyby tylko nie kołujące nad nią skrzydlate. Czuła ich obecność – jeszcze zaciekawienie, jeszcze nie gniew stwórcy. Wolała się nie zastanawiać, ile dała mu Arit, by go zatrzymać.

W ptasich krzykach słyszała własne imię.

Nie zatrzymywała się. Szła, z każdym krokiem mierząc się z obezwładniającym przerażeniem. Powtarzała w myślach wszystko, czego ją nauczono. Opowiadała sobie, kim była.

Tłum śmierdział strachem. Zaniepokojone skrzydlate wołały do swojej siostry. Przypominały jej, jak zasypiała wśród nich. Tęskniły za jej towarzystwem.

„Nie jestem waszą siostrą. Jestem...”

– Już myślałem, że zgubiliśmy cię, kuzynko – szepnął ktoś w jej ucho. Zaihab zeszywniała ze strachu. Obce palce zacisnęły się na jej nadgarstku, narysowały na skórze glif oznaczający imię Tisar. – A teraz chodź. Szybko.

Dała się poprowadzić. Minęła chwila, nim odłączyli się z tłumem.

– Jesteś! – Zaihab nigdy nie sądziła, że głos Arit będzie jej tak miły. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przez ostatnie nieznośnie długie, minuty drżała i wstrzymywała oddech, w oczekiwaniu na jakąś krzywdę, która jednak nie nadeszła.

– Jesteśmy przy bramie – poinformowała ją Arit, wciąż nie wypuszczając jej ręki.

Arit dostrzegła, jak mężczyźni kiwają głowami w stronę czekającej przy bramie kobiety.

– Dalej musisz sobie radzić beze mnie – szepnęła, uwalniając rękę z uścisku hieroduli.

Zaihab otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

– Nie mogą mnie tam zobaczyć, rozumiesz?

– Ale...

– Co?

– Co się z tobą stanie? Gdzie się ukryjesz?

Arit parsknęła cicho.

– Wciąż mam zobowiązania wobec tego miasta.

Na twarzy hieroduli odmalowało się niedowierzanie. Szybko ustąpiło miejsca przerażeniu.

– Nie możesz. Stworzyciel ci nie wybaczy.

Ludzie dookoła wymijali je, cmokając z niezadowoleniem. Arit odciągnęła hierodulę na bok.

– Być może – przyznała. – Ale nie będę uciekać.

– Dlaczego?

– Bo obiecałam służyć Sahit, prawda? Więc to właśnie robię. Nie będę się chować ani udawać, że ci nie pomagałam.

Zaihab, z dłonią opartą o ramię arystokratki, długo milczała. Nad jej głową żołnierz zrobił kilka zniecierpliwionych gestów, poganiając dziewczyny. Arit zignorowała go.

– I jeszcze to. – Sięgnęła do kieszeni spódnicy i wyciągnęła zeń mały, okrągły przedmiot. Wcisnęła go w rękę Zaihab. Ta z wrażenia niemal go upuściła, po czym kurczowo zacisnęła palce. Arit nie wypuściła jednak malastry.

– Obiecay mi jedno. – Na te słowa Zaihab znieruchomiała. – Jeśli tylko ci się uda, wrócisz i pomożesz temu miastu. Nie wiem, do czego ci się przyda ta malastra, ale jeżeli nauczysz się robić z niej użytek, masz tu wrócić.

– Ale... Arit, jak...

Tłum wokół nich zgęstniał, znaki Adhana i Smugi robiły się coraz bardziej niecierpliwe.

– Nie obchodzi mnie jak. Po prostu coś z tym zrób, dobrze? I tak wiesz zbyt wiele, Zaihab. – Obróciła w ustach imię dziewczyny. – Znajdź nimrodów. Zrób cokolwiek. Skoro ja mogłam uwolnić ciebie, ty zrób to dla kogoś innego.

Zaihab trzymała malastrę czubkami palców, bezskutecznie próbując wyłuskać ją z twardego uścisku arystokratki.

– Nigdy nie chciałam się w tym znaleźć – szepnęła.

Arit uśmiechnęła się, choć tamta nie mogła tego zobaczyć.

– To jest to, co dostajesz od losu. Bierzesz tę szansę czy nie? Nie masz wiele czasu do namysłu. – Smuga już szedł w ich stronę, z dłońmi schowanymi w kieszeniach.

– Biorę – powiedziała ledwo słyszalnie Zaihab. Arit wypuściła małą rękę. Dawna hierodula błyskawicznie schowała ją w połach sukni i bez zapowiedzi rzuciła się Arit na szyję. – Dziękuję ci za wszystko. Uważaj na siebie.

– No już. – Arit się uwolniła. W gardle miała twardą gulę. Nie chciała myśleć o tym, że już za chwilę zostanie sama.

– Idziesz? – Smuga zatrzymał się przy nich, od niechcienia opierając kciuk na umocowanej przy pasie rękojeści noża. – Nie mamy całego dnia. Warta się zmienia.

Zaihab obie dłonie chowała w fałdach sukni. Arit powstrzymała skrzywienie warg.

– Idę – odpowiedziała dawna hierodula, podnosząc ku Smudze spokojne oblicze. – Arit?

„Nie rób tego – chciała powiedzieć arystokratka. – Po prostu mnie tu zostaw, samą w mieście-labiryncie kryjącym potwora”. Przełknęła ślinę. Każdy oddech był trudniejszy od poprzedniego.

– Powodzenia – powiedziała i skinęła głową Smudze.

Wmieszała się w tłum, a następnie wspięła na galeryjkę, by obserwować pochód, a ponad nim – Zaihab odprowadzaną ku bramie przez dwóch najemników. W jej cieniu dostrzegła kogoś jeszcze: kobietę w upiętej spódnicy, pod którą miała bryczesy, i w chuście zasłaniającej całą twarz z wyjątkiem oczu. Te błyszcząły zimnym blaskiem klejnotów.

Tisar odrzuciła połę chusty za ramię.

– Nie mamy wiele czasu – stwierdziła zamiast podziękować. Mężczyźni bez słowa ruszyli przodem, prowadząc między sobą dziewczynę. Ta pochyliła głowę, ponownie przyjmując pozę płaczki.

Tisar raz jeszcze przeliczyła w myślach srebro, które zapewniło im tymczasową nieuwagę wartowników. Przeszło przez wiele rąk, by ślad nie prowadził do niej. Adhan wziął to na siebie – i to ją martwiło. W akcję włączyła tylko najbardziej zaufanych ludzi. Ci zaś zgodzili się, nieważne, jak szalony wydał im się ten pomysł, i nie zadawali zbędnych pytań. Smuga nawet nie mrugnął, gdy wytłumaczyła, o kogo jej chodzi. Na taką lojalność pracowało się

latami i była ona odwzajemniona; opóźnienie martwiło Tisar o tyle, że tym łatwiej ślady mogły doprowadzić do tej dwójki.

Przeniosła wzrok na dziewczynę. Hierodula miała na twarzy namalowane arabski żałobnych łez, choć pół malunku zdążyła nieopatrznie rozetrzeć. Szła z urękawiczonymi dłońmi schowanymi w fałdach sukni, poważna, skupiona. Tisar pamiętała zalęknioną dziewczynę ze świątyni. Teraz Zaihab się nie bała. Już nie.

Przeszli we czworo przez bramę, nie nękani przez nikogo. Za podgrodziem majaczyło obozowisko kompanii. Niebo przecinały szkarłatne proporce Sahit i inne, wijące się na wietrze wstęgi z symbolami ognisk. Zachodzące słońce przeglądało się w żałobnym kolorze. Nad miastem niosło się zawrodożenie morskich ptaków.

Za późno. To nie była kwestia tego jednego dnia; wszystko działo się za późno. Zbyt późno się zorientowali, w czyją grę grają. A Tisar i tak nie wiedziała jeszcze dość. Niechętnie dopuszczała do siebie myśl, że nigdy się nie dowie. I że powinna się cieszyć, jeśli przeżyje najbliższy rok.

Adhan nagle przystanął.

– Co jest? – Dłoń Tisar powędrowała do noża.

Potrząsnął głową i wyprostował plecy.

– Nic, czym powinnaś się martwić.

Obrócił ku sobie Zaihab i złapał ją za gardło. W jego geście było coś dziwnie niezdarne. Przykurczył palce na krawędzi chusty dziewczyny.

– Wzięłaś coś, co należy do mnie – powiedział, wymawiając słowa powoli, z obcym, melodyjnym akcentem. – Więc może uznamy, że zrobiłaś to niechcący, i po prostu mi to oddasz?

Zaihab krztusiła się. Oczy Tisar rozszerzyły się ze strachu.

Mierzyła się z ludźmi, nie ze stworzycielami. Nie tak to miało wyglądać.

– Bez obaw, nic jej nie mogę zrobić – powiedział Vesui, ucząc się ciała Adhana. – Z powodów, które nie są teraz ważne, nie mogę jej zabić. Miłe to nie jest, ale... wszystko jeszcze może być po dawnemu. Po prostu zabiorę ją z powrotem.

Tisar opanowała drżenie.

Stojące przed nią bóstwo wciąż miało na sobie skórę Adhana, tatuaż jej kompanii na ramieniu. Mówiło jego głosem. Przywdziało jego uśmiech. Ale nie było nim.

Zaihab szarpnęła się w jego uścisku. Wpiła zdrową dłoń w ramię najemnika. Vesui syknął, lecz nie rozluźnił uchwytu.

– Nie zostawiliście mi wyjścia – ciągnęło to obce stworzenie w ciele jej towarzysza. – Nie myśl, że zapomnę. Wciąż jednak możemy załatwić to

polubownie. Zanim zlecą się tu wartownicy i moi towarzysze.

Tisar kalkulowała. Adhan. Ale w tych oczach nie było już Adhana.

Zaatakowali równocześnie, ona i Smuga.

Nóż Smugi wbił się aż po rękojęć w plecy Adhana, zagnieżdżając się między żebrami. Tisar wykręciła i złamała mu rękę. Ciało zadygotało, lecz nie wydobył się z jego ust żaden dźwięk. Wrzasnęła za to Zaihab, tracąc równowagę i upadając na ziemię.

Tisar i Smuga popatrzyli na siebie porozumiewawczo ponad ramieniem ciała. Nie Adhana. To zaś bledło i stawało się coraz mniejsze i lżejsze, aż została między nimi tylko sylwetka raroga, który zamachnął się potężnymi skrzydłami i wbił w niebo. Tisar zaklęła. Na wielobarwnym niebie czerniło się stado skrzydlatych.

– Zostajesz tutaj – poinformowała Smugę, pomagając Zaihab wstać.

– Oszalałaś.

– Wydałam ci rozkaz. – Jej oczy płonęły. – Nie chcę, żebyś skończył jak Adhan. Masz tu zostać. Jeśli zapytają, co się stało, powiesz, że przyłapałeś go na zdradzie i próbowałeś zatrzymać. Zostajesz. Zrozumiano?

Zniekształcona twarz Smugi zamarła w wyrazie zaskoczenia tak absolutnego, że w dowolnych innych okolicznościach Tisar by się roześmiała.

– A ty? – zapytał.

– Ja wrócę nad ranem. Jeśli opierzony bóg nie kłamał, jeszcze jestem mu potrzebna.

– A jeśli nie?

Wzruszyła ramionami.

– To ja ryzykuję. Masz zostać.

Oboje popatrzyli na dawną hierodulę. Dziewczyna wydawała się bezwładna jak lalka, choć Tisar знаła ją już dość, by się domyślać, że Zaihab właśnie obmyśla plan.

„Cała twoja kariera – pomyślała sobie Tisar, gdy pomagała Zaihab wejść na siodło. – Cała twoja chrzaniona kariera. Lata wyrąbywania sobie drogi. Lepiej, żeby ta dziewczyna była tego warta”.

Wskoczyła na konia za Zaihab i ścisnęła boki wierzchowca piętami. Skrzydlate zbiły się na niebie w czarną, rozwrzeszczaną chmurę. Zaihab zadarła głowę.

– Jeśli się pośpieszymy, uciekniemy im – powiedziała.

– Musimy.

– Nie to miałam na myśli. – Dziewczyna położyła dłoń na przegubie kondotierki. Po chwili ją cofnęła. – Po prostu to wiem.

Jej głos był dźwięczny i pewny. Nie załamał się, choć Zaihab nie podobało się ani trochę, że słyszy nieustannie szept skrzydlatych, poganiających ją do

ucieczki. W ptasim nawoływaniu rozbrzmiewały żal na równi z oddaniem, oczekiwanie przemieszane z bólem. Skrzydlate wciąż nazywały ją siostrą. Być może miały rację.

Być może, ten jeden raz, Vesui nie oszukał jej, gdy przybrał ciało najemnika i mówił do niej, z każdym słowem zamieniając jej serce w kryształ.

Twoja śmierć może należeć do Opiekunki, ale ja wzięłam sobie twoje życie. Twoją wolność. Chcesz uciec? Próbuj. Proszę. Nie uciekniesz mi na długo.

Dam ci oczy, sowie albo jastrzębie. Dam ci skrzydła. O ileż łatwiej ci będzie szybować z wiatrem. Ta ziemia i tak cię nie chce. Nigdy was nie chciała, nie chciała żadnego z was. Nieważne, ile gnijących ciał w niej zakopiecie. Nie będzie wasza.

Wezmę za to twoje myśli.

Będziesz żyć, ptaszyno. I to wiecznie. Dla mnie. Za daleko zabrnęłaś w moje sny, by uciezka mogła ci pomóc.

Tisar przerzuciła wodze do jednej ręki, złapała dziewczynę w pasie i zmusiła konia do galopu. Nad nimi sunęła głodna, ciemna chmura.

„Siostro”.

Zaihab słyszała to słowo w każdym podmuchu wiatru, niosącym obietnicę burzy innej niż wszystkie do tej pory. Uciekaj, siostro.

„Nie jestem już wasza”.

„Zabrnęłaś za daleko. Siostro”.

„A wy?”

Spróbowała unieść głowę znad spoconej końskiej grzywy, lecz blokowało ją ramię kondotierki.

– Co się dzieje?! – Tisar niemal wykrzyczała te słowa.

– Rozmawiam z nimi! – przyznała bez zastanowienia. To i tak nie było najdziwniejsze z wydarzeń tego dnia.

Tisar mruknęła coś w odpowiedzi, ale jej słowa połknął wiatr. Zaihab na powrót przyłgnęła do końskiego grzbietu.

„Siostro”.

„Nie jestem waszą siostrą! Nie jestem uwięzionym tutaj cieniem!”

Nie mogła się powstrzymać. Wychyliła się ostrożnie, zwracając głowę za siebie. Od razu wiedziała, gdzie leży Sahit. Miasto rozbrzmiewało pieśnią serc wszystkich jego mieszkańców.

Śpiewało jak orkiestra, a dźwięk niósł się ku wyżynom przetworzonej skały, gdzie zamieszkiwał Vesui, i wnikał w ziemię, gdzie zamieniał się w pomruk kamieni. Miasto miało korzenie, teraz to zrozumiała – a te sięgały głęboko. Co spowodowałyby zburzenie wszystkiego, co nad ziemią? Miasto nawet nie odczułoby straty. Zaihab wsłuchiwała się w cichną melodyę.

Pomiędzy drzewami niosła się słabsza pieśń, ostatnie nuty dawno zapomnianych stwórcy. Nawet teraz, gdy ona i Tisar pędziły wyboistą drogą, stare bóstwa nie ustawały w wołaniach.

„Zostawcie mnie! – chciała krzyknąć. – Już ktoś inny wziął sobie moje życie i śmierć! Nie mam nic więcej, co mogłabym wam dać! A przede wszystkim: nic od was nie chcę!”

Wyłuskała z kieszeni malastrę, lecz ta tylko zwielokrotniła kakofonię. Szybko schowała lusterko z powrotem, usilnie starając się nie wsłuchiwać w nawoływania stwórcy. Ludzi. Magów. Rozpoznali w niej jedną z nich.

Arit zatrzymała się u wejścia do gniazda. Zniknięcia hieroduli jeszcze nie zauważono; także jej nieobecność pozostawiono bez komentarza. To nie znaczyło jeszcze, że wcześniej nikt nie jej widział.

Miejsce było ciche. Zbyt ciche. Nawet cienie zdawały się milczeć w oczekiwaniu.

Arit otuliła się kocem, wyszła na środek gniazda i czekała razem z nimi. Nie słuchała hałasów z miasta w dole. Miała poczucie, że już do niego nie należy. Może mu służyć, ale zbyt wiele będzie ją dzielić od jego mieszkańców.

Nie tak wyobrażała sobie ten rok. Zapowiadał się uroczyście, spokojnie. Miał pozwolić jej odwlec pobór i – jak po cichu marzyła cała rodzina, wszyscy, z wyjątkiem samej Arit – da jej przeczekać wojnę.

Obserwowała wschód większego z księżyców. Ten, szybciej niż jego rodzeństwo, zarysował się na niebie tłustym pomarańczowym sierpem, nieprzysłoniętym żadną chmurą. Wiatr zepchnął burzę w głąb lądu. Nadchodziła zimna, rozgwieżdżona noc.

Ktoś jęknął. Arit odwróciła się, obejmując spojrzeniem ciemną sylwetkę, skuloną przy ognisku. Cień zagarnął dłońmi tłące się węgle, gasząc je na dobre. Znów jęknął. Zatrzepotał skrzydłami. Miał niezliczoną ilość skrzydeł... albo nie miał żadnych?

Arit nie była w stanie się poruszyć.

Słyszała go, przez chwilę, gdy mówił ustami żołnierza – a ona, zamiast uciekać, stała i wpatrywała się jak zaklęta w bóstwo, które ukradło mężczyźnie

ciało. Drobną cień wyprężył się z bólu.

– Arit – jęknął.

Zagryzła wargi do krwi.

– Arit – powtórzył, tym razem ze złością.

– Jestem tutaj – wyszeptała.

– Wiem, do ciężkiej zarazy, znam bicie twego serca na wylot. – Znów się skulił, tłukąc widmowymi pięściami o podłogę. – Boli! – poskarżył się.

Przez jej głowę przemknęła szalona myśl, że może to wystarczy i że bóstwo zupełnie opadnie z sił. Ale Vesui tylko się roześmiał – ochryplym, wymuszonym śmiechem.

– Chciałabyś! Może nie przymierzałem niczyjej skóry przez lata, ale wciąż pamiętam, jak się to robi. Nie lubię tylko, kiedy pali mnie ogień. Ani kiedy bolą mnie ciosy. – Wyciągnął chude ramię do tyłu i rozmasował miejsce, gdzie Smuga trafił Adhana. – Ale nic mi nie będzie – powiedział z nutą zadowolenia. – Nic mi nie będzie.

Arit zadygotała.

– Nie jesteś taka odważna, kiedy nie ma tu Zaihab – zauważył z przekąsem. – Ale tobie też nic nie będzie.

Uśmiechnął się do niej, odsłaniając perłowo białe, drobne zęby, lśniąco w zasłoniętej cieniem twarzy. Jego oczy rozblęskły. Arit nie umiała odwrócić wzroku.

– W pewien sposób miałaś rację – kontynuował. – To było wspaniałe, wiesz? Słuchać cię i obserwować to bezwzględne posłuszeństwo, którego cię nauczyli. Puste nieba, byłaś gotowa mnie rozwścieczyć, byle tylko przysłużyć się swojemu miastu. Niesamowite.

Przełknęła zawołaną obelgę.

– Ale ten spektakl się skończył. A ja nie chcę być tu sam. Nie lubię, gdy nikt mi nie towarzyszy w snach. Ty zaś wiedziałaś, że ktoś będzie musiał zająć miejsce Zaihab, prawda? Wiedziałaś, tylko nie chciałaś o tym myśleć, kiedy uciekałyście. Bo przez chwilę ważniejsza była ta mała przybłęda.

„Tylko nie ja – pomyślała. – Tylko nie ja”.

„Nie mogę być hierodulą. Nie robi mi tego. Nie po tym, jak go oszukałam”.

„Tylko nie ja”.

„Jeśli mnie wybierze, rzucę się ze skały”.

– To było sprytne, co zrobiłaś – przyznał cicho. – Z krwią. Prawie mi się spodobało. Ale nie, ciebie nie chcę.

Nie odważyła się jeszcze odetchnąć głębiej. Nie zasługiwała na ulgę. Ani teraz, ani nigdy. Obiecała sobie, że na zawsze zapamięta twarz dziecka, które będzie musiała tu przyprowadzić na miejsce Zaihab. Bez cienia nadziei na to, że

to dziecko będzie miało choć ułamek wiedzy poprzedniej hieroduli. Dopiero po chwili zorientowała się, że Vesui mógł to usłyszeć. Bóstwo zanosło się świergotem.

– Gdzie zostawiłaś brata? – szepnęło.

Meire patrzył, jak trumnę z ciałem Avile chowają w krypcie należącej do ogniska anaksa. Korowód żałobników zdążył się rozejść, zostali tylko niektórzy krewni zarządcy i przedstawiciele pomniejszych ognisk, jak Alawi. On sam wypatrywał swojej siostry. Widział Arit w pochodzie, przez chwilę szła razem z nim – a potem znów przepadła i już nie wróciła.

Meire patrzył na trumnę obojętnym wzrokiem, nie mogąc zmusić się do choćby udawanego współczucia. Chciał już stąd iść, zostawić ten tłum, uspokoić rozszalałe myśli.

– Musimy wracać – powiedział któryś z jego dalszych braci.

Meire bez słowa towarzyszył ognisku aż do dolnego miasta, gdzie czekały ich wozy zaprzężone w konie. Szli z pochodniami w towarzystwie żałobników niosących dzbany z winem. Atmosfera przypominała raczej święto niż oplakiwanie zmarłego. Kilkoro kuzynów Meire zataczało się, chichocząc. Nikt zdawał się nie zauważać jego pełnej wyrzutu ciszy – lub też dalekie rodzeństwo zdążyło do niej przywyknąć. Czasem ognisko musiało kogoś poświęcić, by społeczność przetrwała. Teraz po prostu padło na Meire.

Pożegnania zdawały się nie mieć końca. Chłopak znosił je, uciekając coraz głębiej we własne myśli. Zmusił się do powtarzania wzoru opisującego występowanie podwójnego nowiu.

Prześledził wzór niemal do końca, gdy z zamyślenia wyrwał go koński wizg. Meire ledwo zdołał dostrzec sylwetki zwierząt stojących dęba, ich rozmigotane cienie rzucające przez płonący powóz. Przemknęło mu przez głowę: odbiegną w dolne miasto. Czas zamarzył na jedną upiorną chwilę.

Sparaliżowany strachem patrzył, jak jego dalsi bracia rzucają się, by odciągnąć z ulicy ludzi. Być może dobrze się stało, że ktoś tak bezużyteczny jak on ma zginąć na froncie. Teraz Meire tylko chciał, by ktoś zatrzymał zwierzęta. By nie wy dostały się na ulicę.

Spod końskich kopyt wyrosły skalne zęby. Zwierzęta rżały przeraźliwie, ale otaczała je coraz gęstsza kamienna palisada. Meire z przerażeniem zauważył, że rozplanowuje w myślach rozrost skały, ściąga ku sobie ściany sąsiednich budynków. Rzeczywistość odkształcała się zgodnie z jego życzeniem.

Nie, nie jego. Usłyszał tuż za sobą chichot i szelest skrzydeł.

– Spokojnie – powiedział, do siebie i do koni. Na miękkich nogach wyszedł na ulicę. Gdzie się nie obejrzał, pełgające płomienie znikwały. Zwierzęta zarżały, ale nie rzucały się już o przekształcone miasto.

Meire spodziewał się, że zginie, nim zdąży powiedzieć choć słowo. Nikogo nie będzie obchodziło, że nie miał malastry. Wokół siebie widział wykrzywione wściekłością twarze. W drgających płomieniach pochodni miasto falowało jak miraż.

Usłyszał, jak ktoś wykrzykuje jego imię. Arit przepychała się ku niemu przez tłum. Meire pozwolił się jej objąć, choć nie łudził się, że siostra osłoni go przed ciosami. Chciał ją odepchnąć i wytłumaczyć, że teraz należy już do stwórcy.

Podróż trwała długo, a Tisar nie chciała się zatrzymywać. Przemierzała tereny Nowej Saady dostatecznie wiele razy, by wiedzieć, że w tej chwili ona i Zaihab stałyby się zwierzyną. W zagajnikach jarzyły się spotworniałe owoce, między krzewami przemykały sześciopalcowe koty, sarny z trzecim okiem jaśniejącym pośrodku czoła, owady wielkości pięści. Pozwoliła wierzchowcowi odpocząć, dopiero gdy koński grzbiet ociekał potem, a Zaihab zaczęła się upierać, że znalazły się poza zasięgiem Vesui. Wtedy kondotierka zeskoczyła z siodła i po krótkim postoju zaczęła prowadzić zwierzę. Zaihab, zbyt zmęczona, milczała.

Noc była cicha. Poza chrzęstem kamieni pod butami kondotierki i końskimi kopytami słychać było tylko nawoływanie nocnych zwierząt. Za każdym razem Zaihab musiała tłumaczyć sobie, że to nie skrzydlate.

Był jeszcze ten przenikający wszystko dźwięk, który Zaihab słyszała we własnym pulsie, osławione źródło stwórcy. Jeśli słyszało się źródło, można było nakazać mu płynąć wedle swojej woli. Ta myśl ją zmroziła.

Tisar zatrzymała konia.

– Czy dobrze się czujesz?

– Tak.

Teraz, gdy wiedziała, na co zwracać uwagę, musiała skupić się, by słuchać kondotierki – jej serce też rozbrzmiewało silną, butną pieśnią.

– Naprawdę – powtórzyła, gdy zorientowała się, że Tisar nie podejmuje wędrówki.

Kondotierka prychnęła cicho.

– Nie będę cię do niczego zmuszać.

Zaihab chciała zaprotestować, zapytać, co to miało znaczyć, ale tylko wcisnęła dłonie pod pachy i pochyliła głowę. Śpiew źródła Tisar zagłuszał niemal wszystko.

– Skąd wiedziałaś, że skrzydlate nas zostawią? – zapytała nagle kondotierka. Zaihab przytuliła prawą rękę do ciała.

– Znam już trochę stwórcy.

– Ta dziewczyna z pałacu mówiła, że wiesz dużo więcej. Nie tylko o Vesui.

Zaihab zacisnęła wargi. Nie mogła tego zobaczyć, ale wiedziała, że Tisar uśmiechnęła się pod nosem.

– Musiałam ją przekonać, że pomaganie ci to dobry pomysł.

– Mówisz, jakbyś nie miała własnych wątpliwości...

– Może miałam. Ale widziałam już dość.

Zaihab znów skuliła się w siodle.

– Moi rodzice badali dawną Rasennę – mruknęła niepytana.

Sposób, w jaki to powiedziała, zniechęcił kondotierkę do drażnienia tematu – choć ta odpowiedź sprowokowała tylko więcej pytań. Prawie żadnych odpowiedzi.

Tisar o nic już nie pytała. Zaihab skuliła się w siodle i nuciła sobie pieśni, licząc na to, że znajome słowa ją uspokoją. Nie odezwały się do siebie aż do końca podróży.

– Jesteśmy. – Tisar zrobiła duży krok, pociągnęła konia za sobą. Zwierzę przekroczyło jakiś wykrot i zatrzymało się, opuszczając łeb. Zaihab pogładziła jego aksamitną sierść.

– Co to za miejsce?

– Opuszczona zagroda. Należała do mojej rodziny.

– To musiało być dawno temu.

– Nie tak dawno, jak ci się może wydawać. – W głosie kondotierki zabrzmiała cierpka wesołość. – Pomogę ci zejść.

Złapała Zaihab w pasie i postawiła ją na ziemi, cofając ręce tylko ułamek chwili później, niż powinna była. Dziewczyna opuściła głowę.

– Chata to właściwie jedna izba. Z zewnątrz otacza ją płot, trochę zmurszały, i zarośnięty, lecz głęboki rów. Nikt nie będzie się tu kręcił. Przynajmniej nikt z ludzi. Większość zwierząt zatrzymają zaostrome kołki w rowie. Za chatą jest studnia, ale napełnię dla ciebie beczkę, wody powinna starczyć na kilka dni. Powiem ci też, gdzie są zapasy. – Poprowadziła Zaihab do chaty.

Dawna hierodula ścisnęła jej rękę.

– Mówiłaś, że zagroda jest opuszczona.

– Jest. Ale na wypadek, gdyby ktoś potrzebował przeczekać parę dni...

Wargi Zaihab drgnęły w tajonym uśmiechu.

– Za dwa dni Smuga przywiezie ci więcej świeżego jedzenia. Później przeniesiemy cię w inne, bezpieczniejsze miejsce. Gdzieś, gdzie nie będziesz zdana na naszą pomoc.

Zaihab długo nie odpowiadała.

– Ty nie żartujesz – stwierdziła wreszcie.

Tisar wzruszyła ramionami, niepomna, że hierodula nie może tego zobaczyć.

– Nie. Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić.

– Ale nie zatrzymasz swojej armii.

– Zaihab – westchnęła. – Nie będę ci mówić, że to zbyt złożone. Pewnie gdybym naprawdę chciała, mogłabym...

– Ale nie chcesz.

– Na moje miejsce anaks znalazłby kogoś innego. Ja zginęłabym szybciej, niż zdążyłabym powiedzieć „Taarut”, i to prawdopodobnie z ręki któregoś z moich ludzi.

Zaihab skrzyżowała ramiona.

– Kiedy przystałam na warunki Avile, wiedziałam, co robię, Zaihab – powiedziała Tisar z naciskiem. – Nie miałam wielkiego wyboru, ale zgodziłam się mordować Taarutańczyków w zamian za pieniądze i tytuł szlachecki. Nikt mnie nie zmusił.

– Dobrze. – Zaihab powoli skinęła głową. – Ale uważaj. Nie tylko na ludzi.

– Tego się już nauczyłam. – Dłoń kondotierki przesunęła się po chuście na włosach Zaihab. – Teraz pomogę ci doprowadzić to miejsce do porządku.

Zajął im to dłużej, niż Zaihab się spodziewała. Gdy skończyły przesuwać meble i umieszczać wszystkie przedmioty w zasięgu rąk dawnej hieroduli, noc ustępowała porankowi.

Tisar odkaszlnęła.

– Muszę cię teraz zostawić. – Jej głos był zmęczony i ochrypły.

– Mhm. – Zaihab zdjęła z głowy żalobną chustę. – Uważaj na siebie... proszę. – Zmęła materiał w dłoniach. – Tisar. Uważaj na siebie.

Żołnierka przestąpiła z nogi na nogę.

– Coś jeszcze, o czym powinnam wiedzieć?

– Nie. – Zaihab wyciągnęła ku niej rękę. – Po prostu... uważaj.

Dotknęła policzka kondotierki.

Tisar głośno wciągnęła powietrze. Złapała dłoń dziewczyny. Przycisnęła wargi do jej wnętrza, w zagłębieniu przy nasadzie kciuka.

Zaihab cofnęła rękę tylko po to, by objąć kondotierkę, aż zatrzeszczała skórzana kamizelka tamtej.

– Wróc – poprosiła, unosząc głowę. Jej źródło śpiewało. Płonęła. Obie płonęły nadzieją, zaskoczeniem, radością, która mogła wkrótce się skończyć. Tisar pochyliła się, sięgając ku wargom dziewczyny.

– Wrócę.

Sahit wznosiło się ponad poranną mgłą: poniżej ciemnego konturu skalnych iglic osiadło miasto, na podgrodziu rozpościerał się obóz. Tisar nie czerpała najmniejszej radości z dalszego męczenia wierzchowca, ale znów ścisnęła jego boki piętami. Zwierzę sapnęło.

– Jeszcze trochę – mruknęła, gładząc jego szyję. Sama trzymała się w siodle prosto, lecz coraz trudniej było jej zebrać myśli.

Przez całą drogę powrotną nie pozwoliła sobie na chwilę dekoncentracji. Musiała planować uważnie: teraz, gdy hierodula Zaihab – była zdana na nią. Nie wydać ani siebie, ani jej. Nie dać nikomu na dworze powodów do podejrzeń. Kontynuować swoją pracę jak gdyby nigdy nic, walczyć z rosnącym przerażeniem wobec ptasiego bóstwa.

Nagle poderwała głowę, przypomniawszy sobie jeden fragment minionego dnia, który do tej pory skutecznie wypierała. Zabiła Adhana. Zabili go oboje, ona i Smuga. I choć głos, który wydobywał się z gardła przyjaciela, należał do kogoś innego, Tisar wydawało się, że w ostatniej chwili, nim ciało padło na ziemię, w oczach dostrzegła na powrót dawnego kompana.

Być może dało się to rozwiązać inaczej.

Nie mieli czasu.

Na miejscu Adhana... nie. Skarciła się. Nie wiedziała, co zrobiłaby na miejscu Adhana. Mogła być pewna tylko tego, że w tamtym momencie wybrała dziewczynę, której obiecała ucieczkę. Że sprzeciwiła się bóstwu. Niemal wybuchnęła śmiechem. Nie tylko zaryzykowała swoją karierę – odrzuciła ją. Nie miała nawet pewności, co czeka ją teraz, gdy wróci. Obejrzała się za siebie. Raz jeszcze zmusiła konia do szybszego kroku.

– Dobrze cię widzieć – przywitał ją Smuga, wciskając jej w dłonie kubek herbaty. Obok niego z trójnoga zwisał kociołek, z którego buchał ciężki, gorzki zapach herbaty z przyprawami. Tisar nie odpowiedziała, przytknęła kubek do ust i opróżniła go. Napój parzył jej wargi.

Bez słowa oddała naczynie. Smuga uśmiechnął się, po swojemu, jakby przyszło mu do głowy coś bardzo zabawnego, i zamieszał w kociołku.

– Nie ma za co.

– Mhm. – Tisar opadła ciężko na trawę. Przez zmrużone oczy obserwowała jaśniejące, błękitne niebo.

– Wszystko zgodnie z planem?

Zaplotła dłonie pod głowę.

– Do tej pory tak.

Położył obok niej kubek i napełnił dla siebie drugi.

– To dopiero początek – kontynuowała, gdy milczał. – Początek wyjątkowo wstrętnego gówna.

– Ale rzuciłaś się w nie całkiem chętnie.

– Nie.

Wyprostowała się, patrząc mu w oczy. Jej własne spojrzenie było gniewne, nie wróżyło nic dobrego.

– Nie rzuciłam się w to. Zaczęłam składać elementy, które nie pasowały mi już wcześniej. Wszystkie te dyplomatyczne przekręty, spisywane na kolanie kontrakty, obietnice. I... Avile, który był podłą szują, ale któremu zawdzięczałam możliwość zmiany. On mnie znalazł.

Na dźwięk imienia Avile Smuga zmarszczył brwi, potrząsnął głową. Szybko jednak odzyskał butę.

– Rzekłbyś, jak diament w kupie gnoju.

– Pierdol się, Smuga.

Żołnierz wybuchnął śmiechem, podał jej trzeci kubek herbaty. Ten Tisar opróżniła spokojniej. Zacisnęła wargi.

– Powinnam była się zastanowić, czemu mu tak zależy. Dlaczego tak szybko. Kurwa, Smuga, to przecież tak śmierdziało! Nie powinienam była...

– Tisar – przerwał jej – srebro to nie jest coś, co się obwąchuje.

Schowwała twarz w dłoniach, tłumiąc śmiech.

– W tym wypadku trzeba było. To od początku była dużo większa sprawa niż cokolwiek, z czym mierzyliśmy się wcześniej.

– Trochę większa skala, ale...

– Wojna domowa. – Odjęła ręce od twarzy.

– Jeszcze nie.

– Jeśli do niej dojdzie, to za naszą sprawą. A wtedy co? Przepraszę i pokażę ten znacznik od człowieka, którego pochowano bez żalu, plotkując nad jego grobem o jego raseńskim pochodzeniu?

Smuga roztarł dłonie, ukryte w poszarpanych rękawiczkach.

– Wtedy będziesz anassą Taarut z nadania stwórcy i nie będziesz potrzebowała dokumentów od żadnych dworzan.

Na powrót wyciągnęła się na trawie.

– Właśnie to mnie martwi – burknęła.

– Za dużo szczęścia naraz?

– Smuga...

– Wiem. Mam się pierdolić.

Posłał jej uśmiech zniekształcony przez blizny, ale wciąż noszący w sobie ślad dawnego chłopięcego uroku. Tisar miała dla niego pokłady cierpliwości, które

zdumiewały ją samą. Choć w sumie zbyt wiele przeszli, by żywiła doń pretensje o słowa. Zaplotła ręce na brzuchu.

– Co z Adhanem?

Uśmiech znikł z twarzy Smugi.

– Zabrali ciało. – Zawahał się. – Możesz uznać, że to... posprzątane.

Odetchnęła ciężko.

– To nie jest coś, o czym prędko zapomnę.

– Nie chcę zapomnieć. – Wzdrygnął się. – O tym, że zrobiłem coś takiego bratu z kompanii? Że coś takiego mu się stało? To nie powinno mieć miejsca. Takie rzeczy już dawno pogrzebaliśmy. Zostawiliśmy za sobą. Tak miało być. A teraz jego krew będzie do nas wołać.

– Może nie – szepnęła Tisar. – Wierzę, że go uwolniliśmy. Nic innego nie dało się zrobić.

– Tego nie wiemy.

– Ja jestem tego pewna – mruknęła. – Mam tylko nadzieję, że ten opierzony tchórz nie ma po tym już siły.

– Ten opierzony tchórz chce ci dać miasto.

– Wiem. – Nie pohamowała odruchu, sprawdziła swoje ramiona i szyję. – Nie podoba mi się to ani trochę. Co ze mną zrobi?

„A wcześniej – pomyślała – co zrobi Opiekunka Taarut?”

Smuga wstał ze swojego miejsca, zdeptał wypalający się żar pod trójnogiem. Tisar obserwowała go z obojętną twarzą.

– Jestem załatwiona – powiedziała tylko.

„Anassa Taarut. Puste nieba”.

Smuga zamrugał.

– Chciałbym się nie zgodzić. Ale... to nie byłoby uczciwe.

Uśmiechnęła się cierpko.

– Wyjdę z tego żywa. – Jej uśmiech stał się szerszy, drapieźny. – Ale czy to będzie tego warte?

Zdobył się na wyżyny dyplomacji, w milczeniu wzruszając ramionami. Tisar stała jeszcze chwilę, wpatrując się w niebo, pod którym kołowały jaskółki. Wreszcie zmusiła się, by usiąść. „Trzeba dorównać własnej legendzie” – pomyślała z gorzkim rozbawieniem.

Ziemia przykrywająca ciało Avile nie zdążyła jeszcze zaschnąć, gdy Sahit obiegła wiadomość o następcy hieroduli. W pierwszym odruchu Arsad sklął plotkarzy i wrócił do śniadania. Blizna na jego głowie od rana pulsowała

ćmiącym bólem, którego nie zabiło żadne lekarstwo. Przez pierwsze godziny dnia nie mógł się zmusić, by przełknąć choć kęs.

A teraz to.

Ze wstrętem odsunął od siebie niemal pełny talerz. Obraz przed jego oczami znów zatańczył i zaczął się rozplýwać. Sam widok kolorów sprawiał, że jedzenie podeszło mu do gardła. Zamknął oczy, odczekał chwilę.

Musiał jeszcze odwiedzić Sahit.

– Stworzyciel odwrócił się od swojego miasta. – Usłyszał jeszcze Arsad, nim wyszedł na ulicę.

„Nie wiecie nawet, jak blisko prawdy jesteście – pomyślał. – Z tym, że wasz stworzyciel nigdy nie skupiał się na dobru Sahit”.

Pokazał glejt. Uważne spojrzenie młodego strażnika, ogolonego niemal na łyso i z resztkami dziecięcego tłuszczu widocznymi w twarzy, było uwłaczające. Arsad cierpliwie czekał, aż chłopak sprawdzi wszystkie znaczniki i wpuści go za bramę.

– Często u nas bywacie, min Arsad – powiedział strażnik. Arsad nie był pewien, czy dzieciak chce się tylko popisać spostrzegawczością, czy szuka wrogów.

O tych ostatnich było łatwo. Taarutańscy szpiedzy stracili na atrakcyjności; ale dorwać maga, to byłoby coś. Arsad nie miał wątpliwości, że już niektórzy zapłacili za zbyt proste włosy, zbyt niebieskie oczy, może jakiś nieuważny i niecelowy przebłysk źródła.

Wyciągnął rękę po glejt i przekroczył bramę.

Wciąż nie chciał się zbliżyć do świątyni. Jeśli zgodnie z jego przewidywaniami bóstwo było pijane krwią Rasena, nawet u stóp skalnego szczytu nie byłby bezpieczny. Ale znalazł miejsce, z którego mógł obserwować ścieżkę ku gniazdu. Czekał.

Wreszcie przysłała: dziewczyna, na którą wpadł wczoraj w procesji. Dawna posłanniczka Avile. Nawet bez żałobnych malunków na policzkach prezentowała się godnie. W pierwszym, cokolwiek absurdalnym, odruchu pomyślał, że jej ognisko musi być z niej dumne. Dziewczyna kroczyła tak, jakby miała zaraz stanąć do walki. Jej ciężka biżuteria przypominała elementy zbroi. W poprzek tuniki biegła szarfa koloru sahicznego sztandaru.

– Stój!

Okrećła się, nie gubiąc kroku. Jej wzrok prześlizgnął się po jego sylwetce, zatrzymał się na chwilę na zniekształconej czaszce. Dziewczyna nie zwolniła.

Arsad westchnął. Dосkoczył do niej, złapał ją za łokieć. Spróbowała się wywinąć, co tylko umożliwiło mu złapanie jej w mocniejszym uścisku.

– Nie chcę złamać ci ręki – powiedział.

Syknęła. Z bliska dało się dostrzec makijaż maskujący zapuchnięte powieki i cienie pod oczami.

– Myślę, że nie chcesz też zwracać na siebie uwagi straży – powiedziała, patrząc na niego. Wiedział, że będzie musiał jak najszybciej opuścić Sahit, nim dziewczyna poda jego rysopis strażnikom. Szarpnęła się i przygryzła wargi, powstrzymując pisk bólu. – Czego chcesz?

– Zadać ci jedno pytanie.

Parsknęła śmiechem.

– Może nie trzeba było mnie straszyć.

– Wczoraj widziałem cię pośród żałobników – zaczął.

– Tak. – Zamrugwała. – Też cię widziałam.

– Parę dni temu zmarł min Avile sur Irsa, lewa dłoń anaksa, było, nie było, podległy stwórcielowi. Dziś macie nowego hierodula.

Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

– Więc nie mogę powstrzymać ciekawości... co stało się z poprzednią hierodulą?

Znów się szarpnęła. Niemal zdołała mu się wyrwać, ale Arsad był szybszy.

– Obiecałem jej bliskim, że się nią zajmę – powiedział. Skoro i tak miał zostawić miasto za sobą, mógł sobie pozwolić na szczerość. I palenie mostów. – Chcę wiedzieć, co się z nią stało.

Przez twarz dziewczyny przemknął wyraz zaskoczenia, ale szybko się opanowała.

– Nie wiem.

– Stwórciel ją zabił?

– Nie!

Przez ułamek sekundy nie panowała nad twarzą; wargi jej drżały. Arsad kalkulował.

– Jeśli chcesz jej pomóc, musisz pomóc też mnie.

Już wiedział, co widzi w jej twarzy. Poczucie winy czyniło z ludźmi niezwykle rzeczy.

– Jeśli musisz wiedzieć – powiedziała z wściekłością – pomogłam jej uciec.

Wyrwała się, poprawiła bransolety na zaczerwienionym nadgarstku i zniknęła w tłumie na głównej ulicy. Arsad nie był w stanie wykrztusić z siebie żadnych pytań. Wiedział tylko, że naprawdę nadszedł czas, by spalić mosty i zostawić Sahit za sobą. Znaleźć Zaihab. Jeśli wciąż jeszcze to była Zaihab.

Wszystko, co wydarzyło się od momentu wejścia do rodzinnego domu, przypominało sen. Arit nie mogła zwalczyć wrażenia, że między nią a światem rozpościera się mgła tłumiąca wszystko: dźwięki, barwy, uczucia w słowach stęsknionego rodzeństwa. Mgła była w niej, to ona sprawiała, że ruchy Arit stały się automatyczne i pozbawione wigoru.

Chciała być osobą, która porozmawia z Meire o jego przyszłości – i o tym, że on sam nie będzie mieć nań wpływu. Nie chciała, by odbyło się to przy wszystkich – zamierzała dać im obojgu szansę na pogodzenie się z tą myślą, na złapanie oddechu, zanim będą musieli dostosować się do oczekiwań Sahit. Taki wybór nie był czymś, co można było przeżywać prywatnie; tradycja nie zostawiała im wiele do powiedzenia.

Nim się odważyła, upłynęło wiele godzin.

Obudziła się z silnym przekonaniem, że to będzie ten dzień – i chwilę później, że musi się pośpieszyć, nim pęknie jej serce.

Zastała Meire pochylonego nad liczydłem. Odgarniał za ucho kosmyk włosów. Wokół niego leżały rozsypane czyste znaczki i dłuta. Obserwowała przez chwilę jego ruchy, nie chcąc zdradzać swojej obecności. W końcu jednak musiała się ujawnić. W przeciwnym razie mogłaby odejść i udać, że o niczym nie wie.

– Meire – szepnęła.

Poderwał głowę, w porę odrywając dłuto od żetonu. Rozluźnił się i zdobył się w końcu na uśmiech.

– Nie chciałam cię przestraszyć. – Arit wpatrywała się we własne stopy.

– Nie. To nie to... – urwał. – Co się stało?

Nie mieli ze sobą wiele wspólnego, ale nie musieli mieć, by mimo wszystko posiadać tę łatwość odczytywania nawzajem swoich nastrojów. Zmusiła się do uśmiechu.

– Nic złego.

W oknie, za Meire, dostrzegła ptasi kształt. Kruk odwrócił się w jej stronę i wbił w nią paciorkowate oczy.

Naprawdę myślała, że będą w stanie oszukać stwórcy?

Usłyszała chichot bóstwa. Musiał się rozlegać w jej głowie. Przyłgnął do niej jak morowe powietrze, jak niechciany zapach, coś obcego, co zagnieździło się w niej i nie chciało puścić.

– Myślałam dużo o tym, co cię czeka.

– Ja też – odpowiedział Meire cichym, zrezygnowanym głosem. – To będzie lepsze niż wojsko.

Odruchowo przeczesła palcami jego włosy, ciemne i gęsto skręcone. Nie spotkała nikogo, kto nadawałby się do armii mniej niż jej brat. Wystarczyło wiedzieć, w jaki sposób Meire patrzy na rzeczywistość: uważnie, z namysłem,

jak zastanawia się przed zrobieniem każdego kroku. Jak mówi, nigdy nie podnosząc głosu. Był wyjątkowy. W armii nie zostałoby nic z jego zadumy i bezgranicznej fascynacji każdym robakiem i kamieniem. W swoich niekończących się obliczeniach Meire nie uwzględniłby ludzkiej złośliwości i tego, w jaki sposób ktoś odczyta powolność jego ruchów jako prowokację. Nigdy by nie zauważył nadchodzącego ciosu.

Więc, Arit przekonywała siebie samą, może to i lepiej.

– A może nie? – Chłopiec drgnął, przez co niechcący szarpnęła go za włosy. Szybko cofnęła rękę. – Z wojska się wraca. Stworzyciel weźmie sobie ciebie na zawsze.

– Nie mam wyjścia – powiedział.

– Wiem. – Przełknęła ślinę. To było najtrudniejsze kłamstwo.

Meire zaczął się bawić znacznikami.

– Czy jest się czego bać? – zapytał.

– Tak. Jestem pewna. To w końcu bóstwo. Ale może być łagodne. A może nawet... przyjazne. – Nie mogła się zdobyć, by powiedzieć mu, co sądzi naprawdę.

– Myślisz, że stworzyciel odpowie na moje pytania?

– Nie wiem. Nie znam go.

„Ale nie chcę cię mu oddawać – pomyślała. – Bo widziałam, co zrobił Zaihab”.

Do tej pory Arit trzymała nerwy na wodzy, ale gdy Meire uśmiechnął się do niej – i do swojej nowej wizji przyszłości – świat mógł się równie dobrze skończyć, bo ona, wbrew danym obietnicom, nie zdołała ochronić brata.

Osun siedział naprzeciwko Najjaśniejszych, wpatrzonych w niego złocistymi oczami. Choć pochylał głowę, czuł na sobie ich wzrok.

Nie dość, że ktoś z rodziny królewskiej pojawił się w Nowej Saadzie – co samo w sobie było precedensem, który spędzał sen z powiek połowie pałacu – to jeszcze, spośród wszystkich dziedziców, padło na osobę będącą odbiciem samego Niegasnącego. Ani mężczyznę, ani kobietę: istotę podwójną, uosobienie perfekcyjnej harmonii. Łaskawe spojrzenie bóstwa posłane ku ziemi i przyobleczone w ludzkie ciało.

Nie do pomyslenia było, że Saada wypuściła kogoś takiego ze stolicy. A jeśli Najjaśniejszym spadnie choć włos z głowy, to Sahit zapłaci. W pierwszej kolejności zaś zapłaci Osun.

– To niefortunne – westchnęli. Osun zacisnął zęby. – Ale w takim razie dobrze się składa, że tu jesteśmy...

– Nie zamierzacie chyba zajmować się tą sprawą, Wasza Wysokość? – zapytał z zaskoczeniem. Ostatnie, czego Sahit potrzebowało, to Najjaśniejsi mieszkający się w jego sprawy.

Szczególnie teraz, gdy wszystkie niejasne sprawy między Osunem a Avile mogły być tak łatwo odkryte. Wystarczyłoby tylko, by nowy isbet przyjrzał się uważnie pracy anaktorionu w ciągu ostatnich kilku lat. I by traktował literę prawa bardziej dosłownie, niż robili to jego zmarły poprzednik i Osun.

Ich współpraca działała, bo żaden nie mógł wydać drugiego – nie bez pogrążania swojej kariery i ryzykowania życiem. Ufali, jeśli nie sobie, to woli życia tego drugiego. Ale nowy isbet nic by nie stracił na odsłonięciu ich poczynań. Wręcz przeciwnie.

Przynajmniej na początku.

– Jak to: zajmować się tą sprawą? – Najjaśniejsi uśmiechnęli się do Osuna. Wyglądali bardziej zwyczajnie, niż im podobnych przedstawiano na portretach: trochę zbyt wyrazisty podbródek, wydatne wargi, drobna blizna na policzku. Byli, poniekąd, zbyt ludzcy.

– Wybaczcie mi śmiałość, ale tak błaha sprawa nie zasługuje na waszą uwagę... Wasza Wysokość.

Ze zniecierpliwieniem machnęli dłonią.

– Po pierwsze, mamy na imię Eliri. Równie dobrze możesz zacząć go używać. – Poza pojedynczą nutą złości ich głos był zwodniczo miły i łagodny. – Po drugie, nie sądzisz chyba, że odwrócimy wzrok od problemów Sahit, gdy tu jesteśmy?

Osun wpatrywał się w nich i zastanawiał się, czy już powinien żegnać się z życiem.

Eliri znów się uśmiechnęli.

– Miasto potrzebuje lewej dłoni, czyż nie? Zamierzamy zgłosić naszą kandydaturę.

Światło słońca rozlało się po pokoju ciepłą plamą. Zaihab czuła je na łydkach. Mimo wyczerpującej podróży nie mogła zasnąć. Wtuliła twarz w poduszkę, ale sen nie nadchodził na długo. Ilekroć zapadała w płytką drzemkę, budziło ją to samo: dziwnie znajomy, choć nowy dźwięk jej własnego serca.

Przenikał wszystko i była pewna, że do niego przywyknie. Był jej. Dużo dziwniejsza zdawała się samotność.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio była pozbawiona towarzystwa. W świątyni nawet pod nieobecność Arit czuła na sobie wzrok skrzydlatych, a przetworzone w kamień osoby szeptały do niej ze ścian. Na każdym kroku towarzyszył jej Vesui. Dopiero teraz była sama.

Naprawdę sama. Świadomość tego spadła na nią z potężną, przygważdżającą siłą. Sama. Nie tylko bez towarzystwa – ale osamotniona, zdana wyłącznie na siebie. Nawet jeśli mogła pozwolić sobie na myśl, że znaleźli się życzliwi jej ludzie, to żadne z nich nie mogłoby teraz jej pomóc.

Sama, niewidoma dziewczyna, pole walki dwojga stwórcy. Stłumiła śmiech.

Wkrótce upał popołudnia ustąpił wilgoci wieczoru. Gdy rozbrzmiały cykady, Zaihab zmusiła się do wstania. Nie bez trudności odnalazła zostawiony jej przez Tisar pakunek z prowiantem. Nim go otworzyła, na chwilę przytknęła palce do ust.

Nie miała pewności, czy tamten pocałunek się wydarzył. Wolała wierzyć, że tak.

Zaspokoila głód, próbując się nie zastanawiać, na jak długo starczy jej jedzenia. Tutaj miała przeczekać pierwsze dni – czyli ile? Musiała zaufać Tisar. I wierzyć, że Vesui nie zechce zemścić się na kondotierce. Nie mógł przecież zgubić całej jej armii.

Tyle czasu poświęcała, myśląc o Vesui. Ale tutaj dużo większe niebezpieczeństwo groziło jej ze strony ludzi. Ktoś mógł się po prostu tu przypałać. Wisząca w powietrzu wojna odbijała się nie tylko na miastach – położone między nimi osady pustoszały, nomadzi wycofali się na południe, a handel niemal ustał, gdy uzbrojeni uciekinierzy zaczęli rabować karawany. W snach zostawianych przez rekrutów z Sahit powtarzały się gorączkowe marzenia o bandach dezertów kryjących się wśród nadmorskich skał. Dla nich niewidoma dziewczyna byłaby łatwym celem. O ile nie dorwałyby jej najpierw dzikie zwierzęta.

Zaihab zastygła, zapominając o trzymanej w dłoni pajdzie chleba. Zwykła dziewczyna – owszem. Ale ona miała broń. Nikt nie spodziewałby się magini, nie po tylu latach. Musiała tylko nauczyć się z tej broni korzystać.

W pośpiechu dokończyła posiłek, schowała resztę prowiantu i wyjęła malastrę. Ta nie śpiewała już tak jak w nocy – ale w odpowiedzi na dotyk Zaihab metal stał się ciepły jak ludzka skóra. Dziewczyna obwiodła palcem spiralę wrytą na zewnętrznej stronie lusterka. Wpisane weń symbole nic dla niej nie znaczyły. Zgodnie z intencją ludzi, wśród których Zaihab dorastała, nikt nie miał być w stanie korzystać z malastr.

Zamierzała złamać tę zasadę. Jeśli chciała uwolnić się od Vesui, jeśli miała go zabić – nie pozostało jej nic innego, jak tylko rozpleść jego magię. Dotknęła środka lusterka. Jego powierzchnia nagrzała się, jakby coś próbowało do niej sięgnąć, przedostać się na tę stronę. Dźwięk pulsował łagodnie, naśladując uderzenia jej serca. Zaihab zmusiła się, by nie odrywać dłoni od malastry. Wiedziała, co zrobiłyby z nią głodne cienie Rasenów.

Jeśli nimrodowie mieli rację.

Jeśli właśnie budziła cienie zbyt odległe, by pamiętać cokolwiek poza tęsknotą i głodem. A w niej nie było źródła – tylko słabe odbicie dwójki stwórcy.

Chyba że w malastrze tkwiło coś innego, silniejszego. Że źródło Avile jeszcze nie wygasło. Im dłużej o tym myślała, tym lepiej słyszała obcą melodię – tę samą, którą niósł w sobie isbet.

Był ktoś jeszcze, jakiś inny mag. Żywy. Ktoś, kto mógł jej pomóc... jeśli Zaihab będzie w stanie go znaleźć.

Wszystko wskazywało na to, że cienie w malastrze jej nie zagrażą, gdyż po prostu nie zdoła nic zrobić. Minuty mijały, a chłód wieczoru sprawił, że Zaihab była zmuszona owinąć się w koce. Malastra nie traciła ciepła, a jej dźwięk nie słabł, ale nie działo się nic nowego. Nieważne, jak długo Zaihab powtarzała imiona Avile i jego rodziny. Początkowo zdawało się jej, że lusterko reaguje na jej głos, lecz musiała przyznać, że zwiódła samą siebie, pragnąc doszukać się jakiegokolwiek reakcji.

Wiedziała, co jeszcze może zrobić. Otrząsnęła się z obrzydzeniem, owinęła malastrę pasem tkaniny i z powrotem przypięła ją do paska.

Dopiero wówczas zdała sobie sprawę, że nie jest sama: że poza nią w pustej izbie pulsuje jeszcze czyjeś serce, małe, lecz bardzo jasne. Od plamy światła biegły cienkie nici, rozpraszając swoje słabe światło. Na parapecie siedział drapieżny ptak. Zaihab zamarła.

– Kewiik.

– Vesui cię przysłał. – Skrzyżowała ramiona, walcząc z falą strachu. Wedle obliczeń powinna się znajdować poza zasięgiem stwórcy.

Ale była też jego częścią. Sam powiedział jej, że się nie uwolni.

– Mam nadzieję, że go to boli – rzuciła. – I że nie zostaniesz tu na długo.

– Kewiik.

Spodziewała się, że ptasi duch spróbuje odebrać jej malastrę; że robi coś, by jej zaszkodzić. Ten jednak tylko siedział na parapecie. Skupiła się na jego źródle. Krogulec. Młody. Wciąż nie pozbył się pozostałości ludzkiej natury. Zaihab podkuliła nogi, próbując powstrzymać chłód.

– Byłeś tam przede mną. W świątyni. Po tobie... było wiele, wiele pustych lat, prawda? A dopiero potem ja.

Ptak podniósł łeppek.

– Kogo z nas chce tym skrzywdzić, ciebie czy mnie? – zapytała łagodniej. – I czy może ci zrobić cokolwiek więcej, o ile jeszcze pamiętasz siebie?

Odpowiedział jej melancholijnym piskiem.

„To czeka też mnie – pomyślała. – Właśnie to mnie spotka, jeśli nie znajdę żadnego wyjścia”.

Wiedziała tylko, że musi znaleźć je szybko. Nie miała pojęcia, ile zostało jej czasu. Ile miał go jej... poprzednik?

– Nieważne – mruknęła.

– Kewiik.

– Zostaw mnie.

– Kewiik.

Westchnęła, wsparła się na improwizowanej lasce i skierowała ku drzwiom. Krogulec poderwał się do lotu. Wiedziała, że nie uwolni się od ptaka, ale na otwartej przestrzeni jego obecność będzie mniej nachalna. A ona, być może, łatwiej zorientuje się w otoczeniu, jeśli będzie miała świadomość, że nie jest tu sama.

Zawahała się na progu, niepewna, czy znajdzie na powrót drogę do chaty. Głośno wciągnęła powietrze. To, co Rasenowie nazywali źródłem, rozbrzmiewało we wszystkim wokół niej. Cała materia tego świata gdzieś musiała się zacząć i potem niosła w sobie ślady tamtego początku.

Z bijącym sercem Zaihab ruszyła przez trawę. Krogulec kołował wysoko nad nią, co chwila wydając z siebie wołanie.

Pamiętała, że ma przed sobą pola przecięte drogą. Gdyby szła przez najbliższe dwie godziny, trafiłaby do osady. Ta jeszcze się nie wyludniła, choć wcale to nie gwarantowało, że Zaihab mogłaby na liczyć na jej mieszkańców. Mimo wszystko wolała teraz stronić od ludzi.

Znikąd nie słyszała morza, nie czuła też jego zapachu. Za to gdy obróciła się w lewo, stanęła twarzą ku zagajnikowi. Wychwyciła słabnącą nutę żywicy po niedawnej wycince. Szmer jakiegoś zwierzęcia chowającego się w głębi lasu. Sowy, zwyczajne sowy, nie duchy Vesui, przycupnięte wśród drzew. I polanę. Pustą.

Początkowo wzięła tę pustkę za brak żywych istot – ale to było coś innego. Nie nieobecność, ale zaprzeczenie. Poczowała znajomy chłód ziemi jałowej. Na tamtej polanie umarł kiedyś stworzyciel.

Malastra przy jej pasku rozgorzała. Zaihab, sprawdzając drogę laską, wciąż nieufna wobec źródła, zaczęła iść w tamtą stronę. Krogulec nieodmiennie kołował nad jej głową. Chłód stawał się coraz wyraźniejszy, sączył się w kości Zaihab, ale upór przeważał. Jałowe pole! Mogła przygotować zamknięcie.

Jedynie znane jej zaklęcie, wynalazek nimrodów i niechętnie ustępstwo wobec magii – czynione tylko po to, by bronić się przed jej użytkownikami.

Nie zastanawiała się, jakie zamknięcie mogło ją teraz odciąć od Vesui. Ziemia jałowa tak czy owak miała niebagatelną wartość. Zaihab przedarła się przez jeżyny porastające ściółkę. Linia roślinności wyznaczała niemal idealnie równą granicę jałowego pola.

Zaihab pochylała się, by zagarnąć garść ziemi. Zimno parzyło jej palce. Malastra rozbrzmiała wściekłym, głośnym tonem. To, co dawna hierodula wzięła za suchą gałąź, było wychudzonym ramieniem. Na ziemi leżał długowłosa mężczyzna o zapadłych policzkach i przebijających przez skórę żebrach. Korpus mężczyzny ustępował wężowej łusce. Zaihab przygryzła brzeg płaszcza, by powstrzymać krzyk.

Ale stworzyciel, jakkolwiek przerażający, nie mógł jej usłyszeć. Zagłodzono go wieki temu. Miała przed sobą wynaturzone magią zwłoki. Tu był jego grób. Jałowe pole. Mogła się spodziewać, że ta ziemia zapamięta swojego stworzyciela – i utrwali go po jego śmierci. Odetchnęła głęboko i wytarła policzki, już spokojniejsza.

Wtedy wężowy stworzyciel, w którym nie było już żadnego źródła, otworzył dłoń i zacisnął ją na tunice Zaihab.

Nahir

Nahir miał poczucie, że idzie przez sen – jakby otaczające go miasto nie istniało naprawdę. Jakby nie rozglądał się po nim, wypatrując wytatuowanych twarzy. Nie nasłuchiwał silnego źródła.

A jednak – szukał ofiary.

Nie wyobrażał sobie, jak miałby to zrobić. Choć raz już przecież to zrobił. Lecz sytuacja z Susari była zupełnie inna, bronił się przed własnym sumieniem. Wtedy musiał jej ulżyć. Zrobił to dla Luana. A teraz?

Jak zareagowałby Luan, gdyby wiedział? Czy potępiłby Nahira, czy byłby zbyt przestraszony, by wygłosić swoje zdanie? Nahir spróbował przywołać w myślach twarz przyjaciela. Wyobrażał go sobie jak wtedy, gdy przekraczali pustynię. Zmęczonego, z policzkami spalonymi słońcem i sińcami pod oczyma. Ale Luan miał w sobie więcej determinacji, niż okazywał. Zrozumiałby decyzję Nahira. Nie podobałoby mu się to, lecz pogodziłby się z koniecznością.

O ile nie zwróciłby uwagi na to, w jak wygodnym momencie nastąpiła śmierć Susari.

Nahir objął się ramionami, próbując przezwyciężyć chłód, który czuł nawet w ostrym saadyjskim słońcu.

Co na jego miejscu zrobiłaby Ragani?

Jej wspomnienie wciąż wzbudzało ukłucie tęsknoty – i lęku, choć Nahir był jednocześnie pewien, że dziewczyna sobie poradziła. Była uparta i odważna. Radziła sobie bez niego. Zapewne dużo lepiej niż on bez niej.

Nie wątpił, że postąpiłaby tak samo.

I zapewne byłaby dużo skuteczniejsza. Wyobraził ją sobie, jak przemierza ulice Żrenicy, wodząc palcami po rękojeści rytualnego noża. Jak ocenia każdego napotykanego Rasena, nie tracąc czasu na wątpliwości. Ragani robiła to, co było konieczne, i realizowała swoje pragnienia z przerażającą pewnością siebie.

Przypomniał sobie, że podjął już decyzję. Że ta pewność była w nim od dawna, od momentu, w którym zaczął szukać Ertana i Iruve; a gdyby teraz zmienił zdanie, miałby przeciwko sobie tę dwójkę, która zdradziła mu sekret swojego silnego źródła. Zabijali już wcześniej – nie miał podstaw, by wierzyć, że zlitują się nad nim. Powinien się raczej zastanowić, ile czasu mu dali, nim go uciszą.

Przygryzł wargę. Mijał właśnie rząd sklepów należących do raseńskich rodzin; nad oknami powiewały pasy barwnego jedwabiu reklamujące oferowane usługi. W większości były to pracownie jubilerów, artystów i księgarzy – ludzi, którzy wydawali swoje źródło za bezpieczne i wygodne życie w obcym kraju.

Zatrzymał się przed witryną złotnika. Zza kolorowej szyby błyskały masywne bransolety i pierścienie ze szlachetnymi kamieniami. Pracownik warsztatu podchwycił spojrzenie Nahira i uniósł dłoń na powitanie. Chłopak spłoszył się.

Czy naprawdę rozważał zabicie tego człowieka?

Wyobraził sobie, że sięga do serca złotnika i zamyka je w dłoni. Że mężczyzna broni się, lecz słabnie; patrzy na niego przez szybę, wczepia się palcami w krawędź lady i opada bezwładnie na ziemię. Nahir poczuł w ustach smak żółci. Szybko wycofał się w boczną uliczkę.

Przytknął czoło do chłodnych kamieni muru. Lecz przecież musiał to zrobić. To mógł być złotnik, to mogła być czeladniczka introligatora, czyjeś dziecko. Ostatecznie nie robiło to różnicy. Życie było życiem. Nahirowi zrobiło się zimno na myśl, że w ogóle porównywał wagę poszczególnych istnień.

Chyba że...

Chyba że odnalazłby osobę chorą, która i tak wkrótce ma umrzeć. Kogoś jak Susari... lecz z silniejszym, stabilnym źródłem.

Otarł pot z czoła. Wiedział, gdzie w Żrenicy znajdują się szpitale – pracujący tam medycy mieli obowiązek przyjmować wszystkich chorych, także Rasenów. Wystarczyło, by wszedł tam, powołując się na chorego krewnego.

Czy by mu uwierzyli? Czy nie stał się jednak zbyt rozpoznawalny? Całe miasto musiało wiedzieć o krwawej gorączce, jaka zabiła jego saadyjską rodzinę.

Kojarzono go z zegarem. Ale nie widziano w tutejszych szpitalach. Na pewno nie tych dla najuboższych, wyrzutków, obcych.

Luan schował się na skraju ogrodu Saadyjczyka, gdzie udawał, że zajmuje się naprawą książki. Nie chciał publicznie korzystać ze źródła; pieczołowicie wyszywał zatarte litery. Chowanie się było łatwiejsze niż odruchowe wodzenie oczami od gospodarza do Nahira i znów do gospodarza, i świadomość serdeczności, z jaką Saadyjczyk traktuje syna. Zazdrość była paskudna, Luan dobrze to wiedział, lecz dzięki tej wiedzy nie przestawał jej czuć. I nie przestawał się budzić, przeklinając Niegasnące, które zabrało mu Aule i Susari, doprowadziło natomiast do spotkania między Nahirem a jego ocalałym z plagi ojcem. Dużo łatwiej byłoby Luanowi zostawić Nahira, zacząć żyć na własną rękę – nie musieć patrzeć na jego dom, nie być już więcej gościem w jego domu – gdyby nie to, że potrzebowali siebie nawzajem: jako jedni z nielicznych wiedzieli o tym, co wskazuje zegar. Zbyt wiele ich łączyło.

Nie mógł zapomnieć, że to Nahir przeprowadził go przez pustynię do Żrenicy. Zapewne uratował.

Gdyby tylko nie patrzył na Luana jak zbite szczenię w poszukiwaniu odpowiedzi, jak wtedy, gdy poznawał zakamarki domu wiedzy...

Chłopak westchnął i wrócił do przerwanej pracy, udając, że nie widzi krzątających się wokół ogrodników i służby. Zazwyczaj naprawianie książek go uspokajało, teraz jednak nie mógł znaleźć rytmu. W pewnym momencie wbił igłę we własny palec. Syknął i szybko podniósł rękę, by krew nie zabrudziła jedwabiu. Zlizał pęczniejącą na palcu kroplę. Dopiero wtedy zauważył, że patrzy na niego jedna z mieszkańek domu.

– A mówili mi, że nie krwawicie jak ludzie – powiedziała z namysłem. Luan prychnął. – Daj rękę.

– Po co? – zapytał, ale dziewczyna schwyciła go za nadgarstek i uniosła wierzch dłoni ku światłu.

Luan westchnął głęboko. Ostatnie, czego potrzebował, to saadyjskie przesady.

– Pozwól mi zabić nudę – mruknęła tamta, śledząc linie na jego lewej dłoni. – Mhmm – mruknęła do siebie.

– Co?

Wzruszyła ramionami. Minał dłuższy moment, nim się odezwała.

– Straciłeś rodzinę. Całe swoje ognisko. I to więcej niż raz.

Luan jak oparzony cofnął rękę.

– I to widzisz w mojej dłoni?

– Nie. – Dziewczyna odwróciła twarz, pozwalając włosom opaść na policzek. – W twojej twarzy. Widać w niej wszystko. W twojej dłoni widzę tyle, że naprawiasz książki. – Nie zabrzmiało to szczerze.

– Jeśli wyczytałaś, że szybko zginę, to się nie martw. O tym już wiem.

Uśmiechnęła się niewesoło.

– Szybko? Niekoniecznie. Wszystko będzie zależało od ciebie.

Nahir miał cały dzień, by rozważyć, jak wejść do szpitala. Snuł się uliczkami, wiedząc, że nie może wrócić do domu. Gdyby tylko popatrzył w twarz ojcu lub Luanowi, cała jego z wysiłkiem budowana odwaga posypałaby się.

Wreszcie zmusił się, by przekroczyć mury szpitala. Bramy były uchylone – niewielu z własnej woli wchodziło do środka, a ci, którzy przebywali w budynku, rzadko mogli wyjść o własnych siłach. Nahir wyobraził sobie rodzinę – swoje ognisko – zamkniętą w tym miejscu. Powoli umierającą od krwawej gorączki. Ale on różnił się od swojego dziadka. Jeśli musiał zabić, chciał to zrobić, nie zadając niepotrzebnego bólu.

Wszedł do budynku. Pod wysokim, podpartym kolumnami stropem kłębiły się głębokie cienie. Powietrze było chłodne, przesycone zapachem kadzidła.

– W czym mogę pomóc? – Usłyszał. Przed nim stała drobna medyczka w prostej żółtawej sukni z kołnierzem wyszywanym rzeczonymi perłami. Na widok tatuażu na podbródku Nahira jej oczy się zwęziły.

Chłopak obliznął wyschnięte wargi. Wielokrotnie powtarzał sobie w myślach, co powie.

– Ja... szukam kuzyna. Miał dołączyć do mnie w Żrenicy, jego karawana tu dotarła, lecz podobno odłączył się od niej. Pomyślałem, że może tutaj... – zająknął się, unikając jej wzroku. Nie musiał udawać. Był przerażony. Miał tylko nadzieję, że medyczka go nie przejrzy. – Kuzyn jest ode mnie starszy, całe życie spędził w Rasennie, nie zna saadyjskiego – dorzucił szybko. – Więc gdyby coś mu się stało...

Jeśli miałyby szczęście, znalazłby się tu pacjent odpowiadający temu skąpemu opisowi. Kobieta patrzyła na Nahira uważnie. Kalkulowała. Czy spodziewała się, że Nahir zabierze ze szpitala kłopotliwego pacjenta? Ani przez moment nie łudził się, że uwierzyła w jego historię. Ale mogli oboje udawać.

– Proszę za mną – powiedziała, wskazując gestem i budynek położony za wewnętrznym dziedzińcem.

Niegasnące ciężło ku horyzontowi, znacząc niebo czerwoną łuną.

W budynku medyczka zatrzymała się parokrotnie przy pacjentach i przemywała im czoła. Kilkoro ludzi pojękiwało przez sen. Ostry zapach ziół mieszał się ze skwaśniałym potem gorączkujących i słodką wonią wydzielin. Nahir osłonił twarz rękawem.

– To tutaj – powiedziała kobieta, wskazując mu przejście osłonięte kotarą. Obok, w kamieniu, wykuto informację, że to sala dla Rasenów. Nahir skrzywił się zza rękawa. Wciąż nie byli widać pełnoprawnymi obywatelami tego kraju. Nawet ci, którzy spędzili tu całe życie, na zawsze mieli zostać wyrzutkami.

Medyczka odsunęła kotarę, przepuszczając Nahira przodem.

– Rozpoznasz go?

– Tak. – Nahir dopadł najbliższego łóżka, na którym spał mężczyzna o zapadłej twarzy. Jego matowoszare włosy wiły się po pośłaniu. Oczy drgnęły pod powiekami, gdy Nahir uniósł jego dłoń, lecz poza tym chory nie zareagował.

Medyczka zatrzymała się w drzwiach.

– Zostawię was samych – powiedziała wreszcie, nie kryjąc zniesmaczenia na widok wylewności, z jaką Nahir traktował chorego.

Chłopak skinął głową na znak, że zrozumiał. Odczekał chwilę po tym, jak usłyszał szelest zasuwanej kotary. Wtedy przycisnął kciuk do nadgarstka mężczyzny, wsłuchując się w jego źródło.

Melodia wiała się, silniejsza, niż wskazywałyby na to stan chorego. Choroba, która go dręczyła, pożerała tylko jego ciało; boski pierwiastek w nim pozostał nietknięty. Nahir mimowolnie oblizał wargi.

Po czym na nowo uświadomił sobie, co zamierza zrobić. Oto zaraz zabije niewinnego, bezbronno człowieka.

„Będzie ci łatwiej – odezwał się głos w jego umyśle. – Nie będzie się bronił”.

Znów przypomniał sobie harde, zimne oczy Ragani. Potem Iruve. I Ertana.

„Robimy to, co jest konieczne, by przetrwać”.

Nie miał wiele czasu. Nie mógł się już wahać.

– Przepraszam – szepnął po raseńsku. – Wybacz mi. Wybaczcie mi, wszyscy jego przeszli...

Powinien był nazwać mężczyznę, lecz zdał sobie sprawę, że nie wie nawet, jak ten ma na imię. I nie chciał wiedzieć. Wystarczyło mu, że zapamięta na zawsze łagodną, zniszczoną chorobą twarz. Eleganckie rysy i równe brwi nad ciemnymi powiekami. Blaknącą nitkę tatuażu na podbródku, opadające kąciki wydatnych warg.

Zmusił się, by popatrzeć na nieznajomego, po czym dotknął jego serca.

Zatrzepotało i Nahir odsunął się gwałtownie, zaskoczony tym, z jaką łatwością mu to przyszło. Rozejrzał się dookoła dzikim wzrokiem. Pozostali chorzy spali,

poświstując cicho; jego działanie nie zwróciło niczyjej uwagi. Przez chwilę wydawało mu się, że słyszy zza kotary kroki.

Nie miał czasu.

Ponownie dotknął serca. Tym razem stawilo mu opór, a chude, kościste palce mężczyzny zacisnęły się na jego nadgarstku. Nahir nie wypuszczał serca. Zlizął pot z wargi. Czuł upajający, silny rytm.

Nikt go nie ostrzegł, jak potężnie uzależniające to będzie. Z jakim poczuciem władzy będzie się wiązało wykorzenianie czyjegoś źródła. Nahir czuł już spływające po wnętrzach ramion strużki słodkiej, słodkiej krwi.

Ale mężczyzna wciąż walczył. Uścisk na ręce Nahira wzmocnił się, aż chłopak stracił czucie w palcach. Zauważył otwarte w przerażeniu błękitne oczy. Jego własne źródło dudniło mu w uszach.

Przeszło mu przez myśl, że być może zginą obaj – wycieńczeni walką. Jak lekkomyślnie przelewał teraz swoje źródło. Musiał wygrać. Zaczął się szarpać panicznie, bojąc się o swoje życie. Rozchlapывał źródło coraz bardziej niezdarnie. Szpitalna sala wirowała wokół niego.

Ścisnął i szarpnął. Mężczyzna opadł na poduszki z cichym sapnięciem, uwalniając rękę Nahira z uścisku. Jego twarz odzyskała miękkość snu, włosy wciąż okalały głowę szarą aureolą.

Nahir otarł twarz.

W jednej dłoni trzymał małą, twardą grudkę.

Nie wiedział, jak długo siedział na szpitalnej podłodze, nim medyczka przyszła.

– Czas odwiedzin się skończył – powiedziała, unikając jego wzroku.

Nahir pokiwał głową i wstał. Z obrzydzeniem zmusił się, by poruszyć martwe ciało mężczyzny. Wdech i wydech. Widmowy puls w nadgarstku, który medyczka podniosła i po chwili wypuściła. Nahirowi pociemniało w oczach, ale nie przerwał, nim kobieta nie wstała od chorego i nie odciągnęła kotary w wejściu.

– Wrócę tu jutro. Przygotujemy mu pokój w domu... – przerwał, widząc, że kobieta go nie słucha. Pozwolił się odprowadzić przed szpitalną bramę. Kobieta musiała uznać, że płakał przy krewnym, bo nie skomentowała jego lśniących policzków.

Być może faktycznie płakał? Nie wiedział. Nie czuł nic. Źrenica ponownie zamieniła się w senny miraż.

Znów błąkał się po ulicach. Serce obcego mężczyzny ciążyło mu w kieszeni i śpiewało do niego. Nahir wiedział, że musi działać szybko – nim podwójna melodia zwróci uwagę pozostałych Rasenów. Lecz kolejny krok wydawał mu się

równie niemożliwy co poprzedni. Żołądek skręcił mu się na samą myśl o tym, co musi teraz zrobić.

Smak żółci na języku. Nahir wyjął serce z kieszeni i przyjrzał mu się w szarówce wieczoru. Mógł liczyć tylko na odbłask świateł w oknach domów i blade sierpy oczu Niegasnącego. Serce przypominało nieoszlifowany, ciemny kamień; światło ledwo prześlizgiwało się po powierzchni kryształu, by zatonać w ciemnoczerwonej głębi.

Co ważniejsze, serce śpiewało do niego.

Nahir zbliżył je do warg – i zaraz gwałtownie odsunął.

Zatrząsał się z obrzydzenia. Zmusił do pomyślenia o kosmicznym kalendarzu. O diademie w Novissie.

Był teraz nie lepszy od swojej rodziny.

Robimy to, co konieczne, by przetrwać. Nie mamy luksusu oceniania naszych czynów.

Szybko, nim mógł cofnąć rękę, wgrzył się w serce. Kamień ustąpił pod jego zębami, pękając jak miękki owoc. Słodycz wlała się Nahirowi do gardła.

Nie – coś więcej. Nazwanie tego niesamowitego smaku słodyczą nie wystarczało. Obce źródło ucichło, roztapiając się w triumfalnej pieśni serca Nahira. Przełykał gwałtownie, bezrozumnie, zachłannie, jakby nie jadł niczego przez całe swoje życie. Jakby nic innego nie mogło go nasycić. Jakby był wśród pierwszych Rasenów, ćwiartujących między sobą bóstwo – czy to ten smak czuli? Czy dzielił ich euforię?

Czy dlatego zakazali sobie zabijania, bo wiedzieli, jak upaja ich smak cudzej krwi?

Zlizał z warg ostatnie drobiny serca. Jego puls bił jak oszalały. Nahir nigdy nie czuł się tak żywy.

Wiedział, że później przyjdzie obrzydzenie i wstyd – ale teraz były odległe, zbyt małe, by się przejął; bladły wobec tej niesamowitej siły, bliskości świata, który wdzierał się w ciało wszystkimi zmysłami. Chłopak czuł uderzenia każdego serca w mięcie. Migotanie każdej gwiazdy na niebie. Wędrowca w jego powolnej, upartej podróży, nagle bliskiego jak krewny. Nahir był pewien, że gdyby chciał spojrzeć teraz oczyma Niegasnącego, pozwoliłoby mu, rozpoznając w nim nowe, młode rodzeństwo.

Przypomniał sobie, że musi wrócić do domu. Że ojciec będzie się martwić; Luan tylko zmarszczy brwi i o nic nie zapyta, lecz przy najbliższej okazji wytknie mu głośne źródło.

I będzie mieć rację. Nahir wyobraził sobie, że jego źródło śpiewa głośniej, jeszcze głośniej, aż cała ziemia drży od jego pieśni.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Miesiąc owoców, trzecia pentada,
dzień trzeci

Zaihab znalazła dodatkowy koc w miejscu wskazanym przez Tisar i naciągnęła go na siebie. Chłód nie ustępował jednak, jakby cień zagłodzonego stwórcy znalazł sposób, by dowlec się do chaty wraz z nią.

Zagłodzonego? Przecież żył. Patrzył na nią. Była absolutnie pewna, że spojrzawszy w nią istota świadoma. Niema, okaleczona, ale obecna.

– Kewiik – rozległo się z parapetu. Krogulec bezszelestnie sfrunął na podłogę. Zdradziło go tylko pulsowanie jego serca.

Zaihab westchnęła.

– Wiem. Nie powinnam była tam iść. Odradzałeś mi to.

– Kewiik.

– Już będę pamiętać. Ciekawi mnie tylko, czy... – zaczęła rozcierać zamarznięte stopy – ...czy to spotyka ich wszystkich. Czy ktokolwiek o tym wie? Bo jeśli takie zamrażanie jest powszechne... wtedy to, co robili nimrodowie, jest w zasadzie bezużyteczne. Przynajmniej jeśli przyjąć, że chcieli pozbyć się stwórcy. Nawet ci rzekomo martwi wciąż tu są. Czy Vesui o tym wie?

Krogulec przekrzywił głowę.

– No tak – zachnęła się. – Teraz z pewnością już wie.

– Kewiik.

– I takiego losu chce dla Opiekunki. Do tej pory myślałam, że wystarczy mi podbicie jej miasta. Że chce ją upokorzyć. I... nie wiem, spodziewałam się, że ona wtedy zginie. W końcu jak stwórcy funkcjonują bez wyznawców? Według naszej wiedzy, umierali. Ale nie. To jest gorsze. Zostają tutaj, pozbawieni sił...

– Kewiik?

– Nie, nie współczuję im. – Splotła dłonie pod brodą. – Ale zastanawia mnie, czy decydując się na to, co się stało... czy wiedzieli. Czy to im wystarczało? Wyobraź sobie tylko: godzisz się na zawsze wisieć w bezczasie. Czy to się

w ogóle liczy jako przetrwanie? Albo inaczej: nie wiesz o tym i dopiero na widok obumierających stworzycieli odkrywasz, że czeka cię to samo.

Wyprostowała się gwałtownie.

– Chyba że znajdziesz sposób, by zachować jasny umysł. Znajdziesz sobie miasto. I zostaniesz jego bóstwem.

Krogulec nastroszył się niespokojnie.

Zaihab rozłożyła dłonie, oplatając wokół palców cieniutkie nici źródła. Wymagało to od niej wysiłku, lecz z czasem nici zaczęły się poddawać jej woli – czy wręcz garnąć do niej.

– Nie rozumiem tylko jednego – szepnęła do ptasiego towarzysza – jakim cudem udało im się zmylić Saadę? Dlaczego najeźdźcy na to pozwolili? Mieli zniszczyć zagrożenie. Zostawili przy życiu, przy władzy, najsilniejszych wrogów. Co się stało? Co się zmieniło? I czy w ogóle mieli wyjście, czy też...

Strząsnęła nici z dłoni. Ile mogło kosztować rozkazywanie całej obcej armii – bez słów, naginanie woli wroga do swej własnej?

I czy to na to odpowiedzią miały być oddziały wybranych – którzy pozwalali, by uczynić z nich narzędzia?

Jeśli tak, to ich ofiara była na nic.

– Nie mieliśmy prawa tego wygrać – powiedziała. – Co się stało dwieście lat temu?

Nawet Arit, która odwlekała pożegnanie z bratem tak długo, jak się dało, zeszła z gniazda i zostawiła Meire samego. Chłopiec usiadł na środku dziedzińca. Przed sobą miał szklany lampion, o którym siostra zapomniała niby to przypadkiem. To złamanie zasad było do nich obojga niepodobne, ale przecież niewinne – nie zrobili nic złego. Nikt nie mógł mieć pretensji o jeden przedmiot.

Krąg światła rzucany przez lampion wydawał się dużo większy, niż wynikałoby to z rozmiarów świecy: przesączony przez miodowe szkło, rozlewał się aż ku otaczającej Meire kolumnadzie. Blask tańczył na złotej masce, wyeksponowanej na stelażu za paleniskiem. Przez chwilę chłopiec był przekonany, że coś poruszyło się w pustych oczodołach ptasiego bóstwa – że jego oblicze (choć przecież nie miał twarzy, skarcił się w myślach Meire) ożyło. Zesztywniał ze strachu.

Usłyszał za sobą stłumiony chichot. Początkowo był skłonny uwierzyć, że to jeszcze jeden omam, ale dźwięk narastał, aż nie dało się przypisać go wyciu wiatru.

Meire zaczął się powoli obracać. Jeśli cokolwiek było przywidzeniem, to tylko gęste jak miód światło – kolumnada na nowo znalazła się w czerni. Pod krążgankami błyskały ptasie oczy. Sowy stworzyciela zgodnie utkwily w nim nieruchome spojrzenia. Czuł się, jakby otaczały go małe, bezlitosne lusterka. Na krawędzi budowli Meire dostrzegł sylwetki skrzydlatych, ledwo odcinające się od nocnego nieba. Stworzenia wciąż zlatywały do swojego bóstwa. To zaś wczepiało się szponami w kolumnę, patrząc z góry na nowego hierodula.

Meire zatkało. Nie miał pewności, na co właściwie patrzy. W jednej chwili widział w Vesui chłopca niewiele starszego od siebie, w drugiej – uskrzydloną chimere. Obrazy nakładały się na siebie. Tylko twarz bóstwa umykała światłu, zawsze osłonięta cieniem.

– Już myślałem, że zaśniesz nad tą lampką – powiedział stworzyciel. – I że całe przedstawienie na nic.

Meire milczał. Dopiero po chwili przyszło mu do głowy, że bóstwo może oczekiwać od niego ukłonu. Zerwał się na nogi, ale Vesui aż się zatrząsł.

– Nie, proszę. Oszczędź tego nam obu. – Wciąż nie pokazał twarzy, ale Meire nie miał wątpliwości, że stworzyciel uśmiechnął się do niego. – Część oficjalna już jest dawno zakończona.

– Nieoficjalna zaś polega na tym, że drwisz ze swoich hieroduli? – spytał bez namysłu chłopak. I chwilę później zasłonił usta dłonią.

Vesui parsknął śmiechem.

– Tylko z tych, których polubiłem.

Meire znów zatkało.

Stworzyciel oderwał się od kolumny i bezszelestnie wylądował na środku placu.

– Meire – przyzwał chłopca, po ptasiemu przekrzywiając głowę. Ten znieruchomiał, poddając się oględzinom.

– Strach i ulga – mruczał Vesui. Meire zacisnął zęby. Nie podobało mu się, że bóstwo widzi przezeń na wylot; z drugiej strony, czy mógł spodziewać się czegoś innego? – Dlaczego mnie to nie dziwi? – W głosie Vesui zabrzmiało echo śmiechu.

Chłopak skrzyżował ramiona.

– No dobrze, już nie będę. – Vesui odskoczył od niego z taneczną gracją.

– Nie... to nie to. Nie mogę ci przecież niczego zabronić – odpowiedział szybko Meire. – I nie mam zamiaru próbować – dodał, rozpaczliwie świadom, jak nieskładnie się wyraża. – Tylko... sam widzisz, że nie mam się czym chwalić. Że... – przycisnął dłonie do boków, próbując się osłonić – ...nie ma we mnie nic godnego uwagi.

Vesui nastroszył pióra. Gdy składał skrzydła, był szczuplejszy niż Meire; teraz chłopiec nie mógł się nadziwić, że się go bał. Zresztą jedną rzeczą była sylwetka stworzyciela. Drugą był jego cień, który wiódł swoje własne życie. Poruszał się niezależnie od gestów bóstwa i pochłaniał niemal pół dziedzina. Wystarczyło, że Meire popatrzył na ten cień, a od razu przypominał sobie, ile potrafi to pozornie dziecinne stworzenie.

– Nie ma? – zapytało bóstwo, wyciągając ramiona ku górze. Kilkoro skrzydlatych od razu zleciało, szukając pożywienia lub pieśczoły.

Meire się wyprostował. Co jak co, ale przed własną porażką nie miał zamiaru się uchylać. To jedno powinien być w stanie przyjąć, bez chowania się za wymówkami. Nie był dzieckiem. Sahit należała się jego odwaga, przynajmniej w kwestii przyznania się do klęski.

– Przecież wiesz – powiedział cicho. – Widzisz. Sam to nazwałeś.

Vesui zaświergotał. Zabrzmiało to niebezpiecznie blisko śmiechu.

– Wiem, widzę, a mimo to cię tu przywołałem – przypominał mu. – To o czymś świadczy, nieprawdaż?

– O...

– O moim poczuciu humoru, dajmy na to. Albo o tym, że są cechy, które cenię bardziej niż gotowość do rzucania się z bronią na wroga... – Ostatnie słowa zabrzmiały miękko, złagodziły użądlenie kpiny.

To wciąż jednak było dla Meire za mało, by mógł wziąć słowa bóstwa za dobrą monetę.

– A jednak chcesz poprowadzić nas do wojny – zauważył trzeźwo.

– Zaraz, ja?

– Tak słyszałem – powiedział, już mniej pewien swego. Stworzyciel nie mógł przecież kłamać? Mówienie zagadkami, budowanie obrazów, to co innego...

– Poczekaj, aż zaczną opowiadać plotki na twój temat – powiedział z przekąsem Vesui. – Wtedy zobaczysz, jak to jest. – Meire się zaczerwienił.

– Więc... co z tego, co o tobie mówią, jest prawdą? – zaryzykował.

Vesui zatrzymał się na chwilę. Meire przeczuwał już, jaką odpowiedź usłyszy.

– A jak sądzisz?

Pióra musnęły jego ramię. Meire nakazał sobie być odważnym. Jego los, przypominał sobie, wcale nie był przesądzony. O Vesui mówiono wiele różnych rzeczy. Jedną z nielicznych historii, w których prawdziwość Meire święcie wierzył, była ta o karach spotykających niezadowolające wyrocznie. Zresztą żeby daleko nie szukać, poprzednia hierodula... Meire odegnał tę myśl.

Próbował wypytać Arit, jaka była jego poprzedniczka – i wnioskować na tej podstawie, dlaczego jej służba w świątyni trwała tak krótko – ale siostra ucinała

temat, twierdząc, że co dzieje się w gnieździe, powinno zostać w gnieździe. To stanowisko doprowadziło Meire do ponurych wniosków.

Ale o więcej pytać nie zamierzał.

– Większość wydaje mi się kompletną bzdurą – przyznał, na tyle szczerze, jak miał nadzieję, by bóstwo nie wychwyciło odrobiny nieszczerości. – Już wiem na przykład, że masz poczucie humoru.

Vesui parsknął śmiechem.

– Nie do pomyślenia, prawda? Nie godzi się bóstwu.

Meire się zawahał.

– Myślę, że to bardzo trudne, jeśli widzi się tyle, co ty, i nigdy nie śpi.

Krok do przodu, dwa kroki w tył; Vesui krążył wokół niego i Meire wciąż nie był pewien, czy to wyłącznie zabawa, czy taniec drapieżnika osaczającego ofiarę.

– Z tym brakiem snu to pewna przesada – mruknął. – Lubię czasem uciąć sobie drzemkę.

– Ale masz swoje skrzydlate – upierał się Meire. – Czy one nie są twoimi oczami?

– Można tak powiedzieć.

W ciszy, która zapadła, Meire słyszał tylko szelest piór.

– Więc myślę – mówił Vesui, schowany w cieniu kolumn – że od początku na to liczyłeś. Że może nawet chciałeś tu trafić. Czyż nie tak?

Meire poczuł na sobie wzrok wszystkich jego oczu. Teraz skrzydlate wydały mu się wręcz wrogie; jakby zjawiając się tutaj, odebrał im coś cennego. Uwagę stwórcy.

– Jesteś, krótko mówiąc, zbyt dobry dla armii – kontynuowało bóstwo beznamiętnym tonem. – Zbyt bystry, by marnować się w barakach lub by dawać się przestawiać z kąta w kąt w namiocie oficerów. Zginąć pod murami obcego miasta z rąk jakiegoś chłopca wyposażonego w ostry kawałek żelaza: trudno wyobrazić sobie głępszą śmierć, prawda? Cóż za marnotrawstwo.

Chłopak się zaczerwienił. Własne myśli wypowiedziane głosem stwórcy były pozbawione tej lekkości, którą miały w jego głowie. Tak wyrażone były wyłącznie dowodem jego próżności. Życzył sobie, by opowieści o okrucieństwie Vesui okazały się choć trochę prawdziwe – bycie strąconym ze skały wydawało mu się lepszym losem niż konieczność znoszenia tego wstydu.

Vesui ukrył twarz w dłoniach. Dopiero po chwili Meire zorientował się, że bóstwo trząse się ze śmiechu.

– Ależ masz rację – powiedział stwórcy, patrząc na niego przez palce. – No nie rób takiej miny – dodał zaraz. – Jakbyś nie wiedział! Nie ma fałszywej skromności w rozpoznawaniu własnych talentów.

Meire zmusił się do uśmiechu.

Nie mógł zaprzeczyć, że czuł się wyjątkowy; miał przedsmak tego w trakcie pierwszych lekcji, gdzie otaczały go niezdolnie powolne dzieci. Wciąż nie rozumiał, jak mogły być tak głupie, by nie rozumieć zasad geometrii. To nie była kwestia usilnego zdobywania odpowiedzi, jakby wiedza była czymś, co należy mozolnie wyrywać. Odpowiedzi same przychodziły do Meire i do wszystkich, którzy wiedzieli, gdzie powinni patrzeć.

Trochę dłużej zajęło mu zorientowanie się, że nauczyciele również go nie rozumieją. Że historie o oczywistych, widocznych rozwiązaniach mogą doprowadzić go co najwyżej do kilku uderzeń witką po dłoniach. Przez chwilę rozważał nawet porzucenie edukacji w ogóle, ale tu czekało go kolejne gorzkie rozczarowanie. Ognisko nie chciało o tym słyszeć. Ostatecznie nie przedstawił nawet tego pomysłu rodzicom, zbyt dobrze wiedząc już, jakie mają oczekiwania wobec niego i Arit.

Arit, która była wspaniała i odważna, i o której sądził, że ją kocha, choć nie potrafił jej wytłumaczyć piękna matematyki.

Koniec końców geometria pozostała jego tajemnicą. Nauczył się ubierać odpowiedzi w równania. Po początkowej irytacji zauważył, że taki zapis ma jeszcze jedną zaletę; dzięki niemu mógł przedstawiać innym figury, które do tej pory widział tylko on. Prowadzenie innych było półśrodkiem, ale – z czego ze smutkiem zdał sobie sprawę – mogło też być jedyną drogą, jeśli nie chciał przebywać ze swoimi figurami sam, w ciszy.

Vesui pochylił się nad jego lampionem i go podrzucił. Zanim Meire zdążył zaprotestować, ciepły płomień rozpadł się na tysiące iskier. Wzrok chłopca biegł od jednego punktu do drugiego, ogniki migotały, zawieszane w chłodnym nocnym powietrzu. Ich układ nie był przypadkowy, Meire wiedział od początku.

Chwilę później również zobaczył.

Vesui śmiał się dźwięcznie.

– Czy nie mówiłem? Jak mógłbym pozwolić, żebyś zginął pod Taarut? Nikt inny nie widzi tych figur tak jak ty...

Meire posmutniał nagle.

– Nikt? – upewnił się. Czyli jednak był skazany na osobliwą samotność.

– Żaden człowiek – doprecyzował Vesui, gasząc iskry gestem i wyciągając dłonie do nowego hierodula.

Meire wciąż wpatrywał się w miejsce, gdzie przed chwilą widniała figura. Całkowicie zapomniał o lampionie. U jego stóp leżały matowe kawałki szkła.

Miesiąc owoców, trzecia pentada,
dzień czwarty

Gdyby nie zmiany temperatury Zaihab zupełnie straciłaby poczucie czasu. Nie ufała sobie; jej ciało wciąż funkcjonowało w dziwnym, lecz przewidywalnym rytmie świątyni. Gdy śniła, zanurzała się w gorączkowe mary, w których słyszała głos zagłodzonego stwórcy. Coraz ostrożniej dawkowała zapasy, niepewna, ile czasu dzieli ją od przybycia posłańca od Tisar.

Powinna była przyciągać jak najmniej uwagi. Leżała na podłodze, w plamie słonecznego światła, uśmiechając się cierpko do swoich myśli. Zgodnie ze wszystkim, czego się dowiedziała, dla stwórcy musiała rozbrzmiewać jak dzwon.

Nie tylko dla stwórcy. Armie Saady przeszły przez świat, który był zaludniony dalece dziwniejszymi istotami niż dawne bóstwa. Część z nich, jeśli wierzyć nimrodowi, została powołana do życia właśnie przez stwórcę. Lub może – wręcz byli nimi, najslabszymi, którym nie udało się obronić przed mocą. Bez względu na przyczyny notatki z czasów wojny obfitowały w opisy chimer, lamii, drapieżnych ptaków podobnych skrzydlatym stworów śpiących w drzewach i w podwodnych jaskiniach na wybrzeżu. Zdecydowana większość ofiar magii zginęła. Ale przecież słyszało się o stworach grasujących w lasach. Czasem znajdowano ciała z ranami, których nie mogło zadać żadne zwierzę. Zaihab nie wkładała tych historii między bajki.

Wysłuchiwała się we wszechobecną magię. Dom był jej niemal pozbawiony, za to jego mieszkańcy, ona i ptak, zdawali się upleceni z cienkich nici. Mogła również przyciągnąć magię do siebie. Mogła też – zacisnęła zęby i wysnuła ze swego wnętrza pojedynczą nić – oddać część siebie. Ten zabieg, wbrew jej oczekiwaniom, nie boleł. Sprawiał tylko, że zakręciło jej się w głowie.

Zaraz potem pojawiła się kojąca świadomość, że ta strata jest przejściowa, że magia wróci. To ona, Zaihab, przyciągała nici. Jej integralność była ważniejsza od integralności otaczającego ją świata. Leniwie nasłuchiwała, jak napełnia się znów, jak miejsce po wysnutej nici stopniowo się goi.

– Może spróbuję nas ochronić przed niechcianymi gośćmi? – rzuciła do krogulca. – Nie mam pojęcia jak – kontynuowała, wsuwając buty. Gdy otworzyła drzwi, uderzył w nią podmuch wiatru. Słyszała głęboki szum drzew i bliższy szelest gnących się traw. Zaihab wyszła na otwartą przestrzeń. Poczuli się zupełnie bezbronna.

„Do mnie” – zaśpiewała, ściągając ku sobie magię. Nici zapulsowały. Płynęły ku niej, przyciągane tak, jak opiłki metalu przez niektóre kamienie w pracowni matki. Wystarczyło, by Zaihab tego chciała.

Krogulec kołował wysoko nad nią, trzepocząc skrzydłami. Wyrywał się spod jej wpływu.

– Dość – powiedziała cicho.

Źródło nie słuchało słów – to ona ich potrzebowała. Jeszcze. Nie знаła żadnego lepszego języka, którym mogłaby porozumiewać się z tym czymś – bo nie miała wątpliwości, że źródło Rasenny jest bytem, rozproszonym, ale na swój sposób wciąż żywym.

– Osłoń nas – poprosiła więc, pozwalając magii spłynąć z jej palców. Dźwięk ucichł, wchłonięty w ziemię. Tak powstawała jej granica.

Dopiero po kilku krokach do dawnej hieroduli dotarło zmęczenie wywołane tym, co wcześniej wydawało jej się prostym życzeniem. Jej ubranie lepilo się od potu. Nogi miała dziwnie miękkie, jakby spędziła cały dzień w drodze. Wyszło jej w ustach.

Ostrożnie usiadła w trawie. „Jeśli poszłoby ci zbyt dobrze, nikt by cię tu nie znalazł – pomyślała. – Masz nauzkę na przyszłość”. Nikt w końcu jej nie przestrzegał przed skutkami aktywnego korzystania z magii, będącej przecież domeną magów i potworów.

Ta świadomość uderzyła w Zaihab z całą mocą.

Stała się celem.

Dla nimrodów, bo uosabiała zagrożenie i wszystko, co próbowali wyplenić; dla stworzycieli, bo posługiwała się czymś, co nie należało do niej.

Nie prosiła się o to. Nie chciała znaleźć się w krzyżowym ogniu między dwójką stworzycieli. Była pewna, że ani Opiekunka, ani Vesui tego nie przewidzieli. Że ona, Zaihab, zawieszona pomiędzy światem ludzi a światem skrzydlatych, zyskała dostęp do czegoś, co wcześniej było udziałem wyłącznie bóstw.

Postanowiła się od tego uwolnić. Gdy tylko znajdzie sposób, przestanie korzystać z magii.

Odetchnęła głęboko, ścierając pot z czoła.

Ale póki to nie nastąpi, będzie potrzebowała wszystkich dostępnych jej narzędzi, by się obronić.

– Kewiik. – Usłyszała za sobą. Krogulec siedział na parapecie.

– Cokolwiek masz na myśli.

– Kewiik.

Już miała dać upust swojej frustracji, gdy przeszło jej przez myśl, że przecież może zrozumieć ptasiego ducha.

– Mogę?

– Kewiik.

– Pozostaje mi wziąć to za zgodę – mruknęła, owijając rękę tkaniną i wyciągając ją do ptaka. Krogulec usiadł na niej, uważając, by nie poranić Zaihab szponami.

Wchodzenie w sny Vesui było dużo łatwiejsze – niewątpliwie dlatego, że sam stworzyciel ją przeprowadzał. Znalezienie się blisko umysłu innego stworzenia, ducha, okazało się zadaniem niemal ponad siły Zaihab. Niezgrabnie dotknęła ptasich myśli. Te rozwiały się pod jej dłonią, zbyt lekkie, by się utrzymać. Ale pod spodem było imię.

Damil.

Pięcioletni chłopiec, którego rysunki ożywały. Zobaczyła go, jak bada ściany i przyciska do nich ucho, próbując podążać za szeptami. Jak gawędzi ze służbą, która nigdy nie zostawała na długo. Chłopiec rósł, przestał nasłuchiwać szeptów. Do Zaihab powoli docierała świadomość, że nigdy nie miał szans zostać nikim innym niż hierodulem. Całe jego życie sprowadziło się do śnienia – i przekazywania tych snów innym ludziom. Damil był tylko głosem Vesui. Służący, nim ich rok dobiegł końca i znikali na powrót w Sahit, uczyli go pisać i czytać. Był im za to wdzięczny, ale nie miał pojęcia, co zrobić z nowymi umiejętnościami.

Istniało w świątyni miejsce, gdzie – na przekór krzykom cieni – wyrył swoje imię. Pokazał Zaihab, gdzie je znaleźć.

„Bo tam wrócisz – dodał z pewnością, szepcząc głosem, który dopiero zaczynał brzmieć jak u dorosłego mężczyzny. – Obiecałaś. Wrócisz”.

Zaihab nie zaprzeczała.

Śledziła obrazy aż do momentu, w którym zaczęły się rozmywać – wtedy, gdy Damil zaczynał tracić siebie. Początkowo się bronił. Układał długie listy słów, które miały mu pomóc w zachowaniu swojej osoby. Aż wreszcie i słowa zaczęły się rozpadać. Damil bronił się, ale czekał już ktoś, kto miał zająć jego miejsce. Ostatnie, co chłopiec pamiętał, to cień barczystego mężczyzny padający na wizerunki postaci wyryte w posadzce gniazda.

– Przyszedłem – mówił głos, należący do kogoś niemłodego i drżący ze strachu.

Zawtórował mu drugi głos: bolesny płacz, który musiał należeć do samego Damila. Cień rozlał się, ukrywając jego... mordercę?

Zaihab przygryzła wargę. Ptasiemu chłopcu mogło się tylko wydawać, że kogoś widzi. Vesui nie pozwoliłby przecież zabić swojego hierodula. I tak wygrywał z nastolatkiem, którego psychika się rozpadała. To nie miało sensu. Mimo to Zaihab nie mogła wyzbyć się przekonania, że była świadkiem morderstwa.

Pogładziła krogulcze pióra.

- Uwolnię cię – powiedziała.
- Kewiik.
- Zawahała się.
- „Obiecałaś” – przypomniała sobie.
- Tak, uwolnię nas oboje.

Smuga wpatrywał się w płot, zwisającą z zawiasów furtkę i opuszczony dom. Nie miał wątpliwości, że kryjówka powinna być tutaj. A jednak nie poznawał tego miejsca. Co więcej, coś mówiło mu, by odszedł, szukał szczęścia gdzieś dalej. Jego koń parsknął niespokojnie. Ale to musiało być tutaj.

Podniósł wzrok na kołujące w górze sokoły. Po chwili wahania pchnął furtkę.

Drzwi do domu się otworzyły. Stała w nich Zaihab, podpierając się laską, na której czubku siedział krogulec. Miała na sobie luźne spodnie i tunikę, i rękawiczki zdecydowanie zbyt dobre, by mogły należeć do niej. Na widok Smugi ptak pochylił się do przodu, w każdej chwili gotów zaatakować.

Smuga parsknął śmiechem, choć wcale nie czuł się rozbawiony.

– Tak traktujesz gości?

Dawna hierodula spieszyła się, ale szybko odzyskała rezon.

– Skąd miałam wiedzieć? – Wskazała ręką dom. – Zapraszam.

Wszedł bez przekonania. Fascynacja Tisar tą dziewczyną od początku wydawała mu się chorobliwa. Nienaturalna jak wiedźmi urok. Smuga zaś nie miał zaufania do wiedźm. Rozumiał swojego wierzchowca, który parsknął i stąpał w miejscu. Smuga nie wątpił, że Zaihab jest właśnie wiedźmą. W życiu żadnej nie spotkał, a te, o których słyszał, wydawały się raczej zielarkami lub szarlatankami, lecz w przypadku Zaihab to było coś innego, prawdziwego. Coś, co instynktownie nakazało mu jak najprędzej opuścić ten dom. Na widok Zaihab odzywało się w nim wspomnienie, którego nie mógł sobie zobrazować, ale wiedział, że był już kiedyś w podobnej sytuacji. Obecność dziewczyny budziła w nim poczucie straty. I, zaraz później, odruch obrony – jakby to ona mu coś zabrała. Miał dwa wyjścia: walczyć albo uciekać. Nie mógł wybrać żadnego z nich.

Położył na stole worek z zapasami.

– Tu masz jedzenie. Zaraz napełnię beczkę z wodą.

Przemknęło mu przez myśl, że mógłby zrobić dziurę w beczce, tak by woda mogła wyciekać. Nikt by go za to nie winił. Osłabiona wiedźma byłaby bezbronna. Uwolniłby Tisar – i siebie – choć nigdy nie odzyskałby tego, co stracił.

Zaihab skinęła głową, jakby nie do końca go słuchała. Kto ją tam wiedział – może nie potrzebowała jedzenia ani picia w ogóle. Może, jak w gnieździe, jedzenie przynosiły jej ptaki.

Worek za to stał się obiektem łakomej obserwacji siedzącego na parapecie krogulca.

– To twoje? – zagadnął Smuga. – Ten ptak.

Uśmiechnęła się blado.

– Można tak powiedzieć.

– Kewiik – odezwał się krogulec.

Przebywanie w jednym pomieszczeniu z małą wiedźmą i myślącym ptakiem. Smuga zmełł w ustach przekleństwo. Tisar wymagała od niego naprawdę wiele.

– Co się dzieje w Sahit? – zapytała Zaihab, kierując twarz ku Smudze. Żołnierz poczuł się odsłonięty, jakby patrzyła nie tylko na niego, ale i w niego, jakby znalazła coś, co ukrywał przed światem i do czego nikt nie powinien mieć dostępu. Patrzyła na niego tak, jakby mogła przebierać w jego myślach i odczytać je wszystkie, łącznie z fantazją, w której słabła z pragnienia. Zamrugał gwałtownie.

– W dolnym mieście trwają zamieszki. Udało się je opanować, ale Sahit ma dość czekania i wyrzeczeń. I zużywania zapasów na wykarmienie obcej bandy.

– Czy... szukają winnego mojego zniknięcia?

Wzruszył ramionami.

– Nie sądzę. Bóstwo nie okazało wściekłości, więc dlaczego ktokolwiek z ludzi miałby się przejąć? Raczej wszyscy mają dość oczekiwania. Wojny, która nie nadchodzi. Niepewności.

– A Tisar? – Rysy Zaihab wygładziły się, gdy wymówiła jej imię. To nie sprawiło jednak, że Smuga obdarzył ją zaufaniem.

– Ma się dobrze. Mówi, że wkrótce wyruszymy.

Wiedźma zmarszczyła brwi.

– Wkrótce, czyli kiedy?

– Decyzja anaksa. I jego dłoni. Jesienią, jak sądzę. Ale nie martw się, nie zostawimy cię tu.

Zignorowała tę ostatnią uwagę.

– To nie będzie łatwe. Taarut będzie się bronić. Opiekunka będzie się bronić. – Zawahała się. – Jeśli będziecie mogli... zatrzymajcie się jak najdalej od miasta.

– Żeby ułatwić oblężonym ucieczkę?

– Nie – odpowiedziała ze spokojem. – Żeby przetrwać.

Parsknął, choć nie było mu do śmiechu. Nie chciał się mieszać w sprawy bóstw.

– Przekażesz to Tisar? – zapytała z naciskiem dziewczyna.

– Przekażę. O ile nie będziesz mogła zrobić tego sama.

Pokiwała głową, uśmiechając się ostrożnie.

– Dziękuję.

– A teraz wróć do swoich obowiązków – rzekł, odwracając się w stronę drzwi.

W tym domu było coś dziwnego. Już go dosięgało.

Wstała, by go odprowadzić.

– Dziękuję, że dla mnie tyle ryzykujecie – powiedziała niespodziewanie.

Smuga się uśmiechnął.

Prawie dał się złapać, prawie uwierzył, że ma do czynienia ze zwykłą dziewczyną. Prawie.

– Oby było warto.

Wyglądzony stwórciel nie poruszał się – ale niewątpliwie zareagował na obecność Zaihab.

Zaihab zatrzymała się na krawędzi wykrotu. Znajomy chłód omiół ją całą, zaczął na nowo osiadać w kościach. Nie miała dużo czasu.

– Wiem, że jesteś świadomy – oznajmiła stwórcielowi, nie wiedząc nawet, czy ten zrozumie saadyjski.

Zagarnęła kilka wiszących w powietrzu nici, lekkich jak babie lato, i cisnęła je w stronę jałowego pola. Gdy tylko znalazły się na jego terenie, znikły, pochłonięte przez żarłocznego stwórciela. Zaihab zadrżała z obrzydzenia.

Mimo wszystko dawny mag zdawał się uwięziony. Wyrывał się, zdecydowanie bardziej żywotny niż poprzednio, nie mógł jednak zerwać więzów. Jego węzowe kończyny biły o ziemię przy wtórze słabego źródła, ale nie były zdolne wydostać się ponad jej powierzchnię.

Zaihab uformowała w dłoniach życzenie. Magia przestawała przyprawiać ją o zawroty głowy – teraz była tylko źródłem ciepła, łagodnego i przyjaznego, dziwnie znajomego. Dziewczyna podejrzewała, że wkrótce dużo dziwniejszy wyda się jego brak, tak łatwo było przywyknąć do tej ogrzewającej obecności.

– Mogę ci to oddać – powiedziała, obejmując kulę dłońmi – ale będziesz musiał mi dać coś w zamian.

Stwórciel zamarł.

Słyszała, nie, czuła jego obecność – nie tylko kontury ciała, ale i detale twarzy, mimikę, nawet pojedyncze łuski na ciele. Nie chciała myśleć o tym, że być może znajduje się teraz bliżej stwórcieli niż ludzi. Skrzydlate wszak uznawały ją za siostrę.

– Chcę wiedzieć, jak mogę uleczyć moją dłoń.

„A to tylko pierwsze z moich pytań – pomyślała. – Zobaczymy, czy będziesz potrafił mi pomóc”.

W przejęciu wstrzymała oddech. Być może mógłby ją też uwolnić.

Stworzyciel zaśmiał się cicho. Dziewczyna przyklękła na skraju jałowego pola.

Nie porozumiewał się za pomocą słów, choć wiedziała, co chce jej przekazać. To nie było tak różne od snów Vesui; obce, chłodne, miała do czynienia z umysłem bardzo już odmiennym od ludzkiego i na skraju śmierci głodowej. Ale tym razem zdecydowała się na to sama.

„Potrzebujesz krwi, dużo krwi – odezwał się. – Dużo życia. Dość, by naprawić swoją rękę i zmylić tamtego. Nie dopuść go do siebie. Wtedy możesz zacząć rozplatać wasz pakt”.

– To wszystko?

„Będzie się bronił”.

– Jak będę mogła się obronić?

Upiorny uśmiech. „Jak tylko będziesz potrafiła. Tu nie ma żadnych zasad. Nie oczekuj, że on łatwo się podda”.

– Pewnie – prychnęła. – Nie robicie tego.

Pozwoliła, by źródło zaczęło ściekać z jej dłoni. Strugi wsiąkały w ziemię i niknęły w ustach stworzyciela. Jałowe pole przestało być tak lodowate: z szarej ziemi wystrzeliły kielki traw. Tak wyglądała odwrotność zamknięcia.

Po chwili jednak świeża trawa obróciła się w popiół, a chłód wrócił.

– Jeśli mnie okłamałeś – szepnęła Zaihab, patrząc na nieruchomiejące ciało i twarz zamieniającą się na powrót w maskę przerażenia – znajdę sposób, by pozbawić cię nawet tej żalosnej namiastki życia.

Stworzyciel uśmiechnął się do niej. „Kto wie, może nawet będę ci za to wdzięczny”.

Ptasie truchło wyglądało, jakby zwierzę zostało rozerwane od środka. Skrzydła były wykręcone do tyłu, dziób rozwarty; poniżej ptasiego gardła ziała rana wypełniona odłamkami kości i mięsa. W jamie ciała brakowało serca. Zaihab zagryzła zęby i otworzyła szerzej wysklepione żebra. Nic.

Wytarła ręce w trawę, choć były czyste. Obie dłonie były zdrowe – i pod oboma czuła ciepłą ziemię. Rozprostowała i znów zgięła palce lewej ręki, zachwycając się ich posłuszeństwem. Zdążyła niemal zapomnieć, że kosztowało to życie innych istot. Źródło ściekało w ściółkę; wokół niej już zaczynał się tworzyć krąg świeżej trawy i spóźnionych letnich kwiatów. Jego granicę

wyznaczały walające się szczątki innych zwierząt, które przyszły, zwabione pieśnią. Przywołała je ku sobie zgodnie z instrukcjami węzowego stwórcy. Próbowała odwrócić głowę, gdy je zabijała, ale każda śmierć rozbłyskała pod jej powiekami eksplozją źródła.

„O czymś zapomniałaś” – szepnął węzowy stwórcy.

Zaihab się skrzywiła. Nie chciała jednak ryzykować złości obcego stwórcy. Zaczęła nucić, przywołując do siebie źródło, powoli wysnuwając je z pojedynczych źdźbeł i liści. Stwórcy napiął więzy, a ona popchnęła kulę magii w jego stronę. Zacisnął szczęki na źródle. Gdy je przełknął, usłyszała pieśń rozlewającą się w jego ciele, żywy – ludzki – puls.

„Aż ucichnie echo pieśni” – zaśpiewał, podchwytyjąc melodię.

Zaihab odsunęła się gwałtownie. Stwórcy uśmiechnął się do niej.

„Zastanawia cię, skąd to znam? To stara raseńska pieśń”.

– Kłamiesz – powiedziała, choć wcale nie była tego pewna.

„Czy do tej pory cię okłamałem? Znam tę pieśń. Śpiewano ją w nadziei, że wybijecie wszystkie bóstwa”.

– To nie ma sensu.

„Ależ ma. Nikt nie pragnął śmierci stwórcy tak, jak sami Rasenowie”.

Zaihab otrząsnęła się. Nie miała zamiaru słuchać dalej zwodniczych opowieści stwórcy. Być może do tej pory jej nie okłamał, ale nie był jej przyjacielem – jeśli mówił jej o czymś, to na pewno starannie dobierał informacje. Nie mogła polegać na jego słowach. Nie chciała pozwolić, by ją omamił.

– Damił? – szepnęła.

– Kewiik – odpowiedziało jej.

– Chodź. – Obwiązała rękę pasem tkaniny i pozwoliła krogulcowi usiąść na swym przedramieniu.

Otrzeptała spodnie z igliwia i ruszyła z powrotem do chaty. Zdawało jej się, że odprowadza ją cicha pieśń głodzonego stwórcy: lekka, wręcz złośliwa melodia, której towarzyszą znajome słowa.

– Kewiik?

Nie chciała przyznawać się Damiłowi, że straciła wiarę w powodzenie planu. Coraz bardziej wątpiła też, czy w ogóle było warto próbować. Na razie jej próby uwolnienia się doprowadziły do śmierci dwóch osób. Być może więcej niż dwóch – Zaihab nie wiedziała, co się stało z Arit, ani co stwórcy zrobił po tym, jak zniknęła. Cena stawała się coraz wyższa. Być może zbyt wysoka.

Z drugiej strony już dawno nie chodziło tylko o jej wolność. Była jeszcze obietnica złożona Arit, w pośpiechu, gdy odnalazły się w procesji pogrzebowej. Zaihab miała wiedzę. Dostała też do rąk magię. Zdawało jej się niekiedy myśleć, że być może to wystarczy, by coś zmienić. By mogła uwolnić nie tylko siebie, ale

i miasto. Lub przynajmniej – dowiedzieć się, w jaki sposób miasta zostały spętane.

Przysiadła na progu domu, podpierając twarz rękami. Coraz więcej pytań.

Przypomniała sobie, że jeszcze nie wykorzystała wszystkich swoich możliwości. Wciąż miała przy sobie milczącą malastrę Avile, a w niej – coś. Kogoś, poprawiła się. Odpięła lusterko od paska.

Amorficzne do tej pory echa zaczęły się zagęszczać i kształtować w jeden głos. Lusterko w jej dłoniach wydawało się żywe.

Avile? Nie, lecz ktoś bardzo do niego podobny. Mężczyzna spał, jego źródło miało spokojny rytm. Jeśli śnił, nie mógł to być dobry sen, bo w melodię wkładał się ostry, bolesny zgrzyt. Dźwięki te docierały do Zaihab jak spod wody.

Dziewczyna wstrzymała oddech. Obcy był niewątpliwie Rasenem, ale żył, w odróżnieniu od otaczającego go echa. Bezkształtne duchy były głodne; on nie potrzebował niczego. Przestraszyła się, że się obudzi i ją zobaczy, lecz nic takiego nie nastąpiło. Nic nie było w stanie przeniknąć jego snu.

Jeden z przodków Avile musiał się uchować – w miejscu, które utrzymywało go przy życiu. Źródło Avile wciąż biło.

„Gdzie?” – zapytała samą siebie, choć przecież wiedziała. Wystarczyło, by pozwoliła prowadzić się malastrze jak kompasowi. To było aż tak proste.

Musiała dotrzeć do Irsy. Gdyby tylko mogła samodzielnie przemierzyć Nową Saadę.

Z ciężkim westchnieniem schowała lusterko.

Bariera wokół domu wciąż się utrzymywała, choć zdawała się słabnąć. Zaihab zawahała się nad jej wzmocnieniem, lecz zmęczenie wzięło górę. Weszła do chaty i zamknęła za sobą drzwi. Powitał ją chłód sieni. Znów dopiero teraz zauważyła, ile wysiłku kosztuje ją magia. Przeklinając własną nieuwagę, zsunęła spodnie i ściągnęła przepoconą tunikę. Napełniła misę wodą i zanurzyła się tak głęboko, jak tylko mogła. Z ulgą powitała kąsające zimno wody.

Sięgnęła po gąbkę i zaczęła trzeć skórę, jakby chciała zmazać z niej ślady magii. Parskając, opłukała się i tarła znów.

Początkowo wydawało jej się, że to resztki magii, które wniosła ze sobą do domu. Przesunęła dłońmi po ramionach. Nie myliła się. Po ich wewnętrznej stronie, w okolicy pach, zaczynał wyrastać puch.

Dziesięć lat. Tyle Damilowi udało się bronić przed Vesui. Wiedziała już, że ona będzie mieć znacznie mniej czasu.

Och, Zaihab.

Jak dobrze wiem, co czujesz.

Ten moment, gdy po raz pierwszy czujesz źródło, które zdaje się niewyczerpane, gdy świat pada ci do stóp. Pamiętam. Było w tym i obrzydzenie, ale ono szybko blaknie wobec euforii.

I nieważne, że chcesz wykorzystać to źródło przeciwko mnie. O to się nie martwię. I tak ci się nie uda.

Wydaje ci się, że jesteś gotowa zrobić wszystko. Wszak do stracenia masz swoją wolę, swoje życie, wreszcie, na samym końcu, duszę – czymkolwiek dla was, Saadyjczyków, ona jest. Twoja desperacja to też element siły źródła, ale ten jest zwodniczy. Prędzej czy później dotrzesz do ściany. Odkryjesz, że już nie potrafisz dłużej uzasadniać swojego postępowania. Że jest cena, której nie będziesz chciała zapłacić. Że nie cenisz siebie aż tak.

Że już nie możesz znieść zadawanego innym cierpienia.

Avile – wygrała w tobie złość; ten żołnierz w bramie – czysty przypadek. Ale w pewnym momencie będziesz musiała działać sama.

I ja wiem, że się cofniesz.

Wiem to, bo jesteśmy do siebie tacy podobni.

Będziesz tylko stać i czekać w bezsilnej złości, aż odkryjesz, że ten wysiłek był na nic; że przełamywałaś lęk i obrzydzenie tyle razy, a nie zdołałaś siebie uratować.

Jeśli cię to pocieszy – nie będziesz w tym sama. Nie, przecież wiem, że to żadne pocieszenie. Lecz ostatecznie zawsze wygrywa źródło.

W ciemności podziemi zajaśniało.

Więzień zmrużył oczy. Nie widział słońca od wielu pentad. Potrzebował dłuższej chwili, by odkryć, że to nie słońce, lecz wypolerowana złota tarcza odbijająca blask pochodni.

– Min Sirin – rozległ się głos. Więzień zamrugał, próbując ustalić, skąd dobiega.

Od tak dawna nie słyszał dźwięku swojego imienia.

Płomień pochodni obniżył się, oświetlając twarz: miękkie rysy niczym ślad pocałunku Niegasnącego, wydatne wargi, oczy mieniące się złotem. W oddali stała druga osoba, lecz ustawiła się tak, by padał na nią głęboki cień.

– To ja – powiedział ochryple więzień, pochylając głowę.

– Popatrz na mnie – poprosiła postać.

– Nie! – Sirin rzucił się od drzwi. – Nie... nie wolno... przepraszam, ale bezpieczniej będzie, jeśli się odsunę... – Cofał się, aż dotknął plecami ściany.

Najjaśniejsi opuścili pochodnię, nie chcąc razić ani siebie, ani dawnego ambasadora. Choć w podziemiach panował przyjemny chłód, czuli, jak po plecach spływa im pot. Stąpali po grząskim gruncie – nie wiedzieli, czego się spodziewać po mężczyźnie, który według wszelkich oficjalnych źródeł zaginął tuż po powrocie do Sahit. Wydobył się ze służących plotki, że dawny ambasador wciąż żyje, zajęło Eliri dłużej, niż się spodziewali. Najjaśniejsi nie łudzili się ponadto, że ich pytania, jakkolwiek ostrożne i taktowne, zostaną zachowane w tajemnicy – z pewnością wkrótce dotrą do prawej dłoni i eskorty Najjaśniejszych. Czy, jak byłoby uczciwiej ich nazwać, ich strażników.

Dostanie się tutaj wymagało przekupienia straży. Eliri zdali się na Arit, dawną asystentkę Avile – obecnie pracującą dla nich. Dziewczyna załatwiła łapówkę, a teraz stała w korytarzu, nasłuchując, czy nikt nie idzie.

Tak oto Najjaśniejszym udało się tu dotrzeć i teraz mieli przed sobą przerażonego, zatrutego magią człowieka, którego Avile sur Irsa uwięził tu bez sądu. Lewej dłoni było wolno podejmować takie decyzje; lecz jeśli Eliri chcieli zająć miejsce Avile, musieli go zrozumieć. Musieli zrozumieć Sahit i jego magię.

– Spokojnie. Nie bój się.

Sirin dygotał, lecz pochylił się w jego stronę.

– Jeśli tu jesteście, musicie wiedzieć, co mi się stało... Najjaśniejsi. – Ostatnie słowo dorzucił po namyśle. Eliri ledwo dostrzegalnie skinęli głową. Nie odszedł całkowicie od zmysłów, wciąż był w nim saadyjski dyplomata. Musieli go tylko znaleźć.

W blasku pochodni próbowali ocenić krzywdy odniesione przez dawnego ambasadora. Był wychudzony i brudny, lecz wydawał się cały. W zatęchłym powietrzu nie czuli smrodu zgnilizny czy ropy. Ale największego spustoszenia dokonano w umyśle mężczyzny i Eliri nie wiedzieli, czy będą potrafili je naprawić.

– Oczywiście. Dlatego tu przyszliśmy. – Przełamując obrzydzenie, uklękli przed kratami. – Czy podejdziesz tutaj, min Sirin? Czy możemy się tak do ciebie zwracać?

– Czy możecie... – Z gardła mężczyzny wyrwał się ochryply śmiech. – To zaszczyt, na który nie zasługuję, Najjaśniejsi.

– Pozwól, że sami ocenimy, z kim chcemy się spoufalać – powiedzieli z uśmiechem, choć trudno było im się przemóc, by usiąść na wilgotnej słomie zaścielającej posadzkę, by zbliżyć się do krat.

– Oczywiście – sapnął przestraszony mężczyzna. – Nie chciałem zasugerować, że jest inaczej.

– Nic się nie stało. Czy podejdziesz do nas?

Więzień niechętnie przysunął się do krat. Miał opuszczone oczy. Zabrano mu całą biżuterię, a ochronne symbole namalowane henną na skórze zdążyły zblaknąć. Bił od niego odór i Eliri powstrzymali skrzywienie warg. To jest wasz poddany, powiedzieli sobie. Brudny, sponiewierany. Lecz akty empatii były łatwiejsze z daleka, bez konieczności patrzenia w wyniszczoną twarz mężczyzny i wdychania jego zapachu.

– Najjaśniejsi. – Sirin odważył się podnieść wzrok. – Wybaczcie moją śmiałość, ale... dlaczego tu przyszliście? Skoro nie można mi pomóc – dodał cicho. – Lepiej będzie dla mnie i dla moich bliskich, jeśli będą wierzyć, że nie żyję.

To, co początkowo wzięli za przebłysk świadomości, okazało się tylko szaleństwem.

– Musimy zrozumieć, co się dzieje w Taarut – powiedzieli łagodnie.

I porównać to z tym, co działo się w Sahit. Wciąż pamiętali zachowanie anaksa podczas święta – sposób, w jaki jego oczy zamarły, zimno jego palców.

– Czy nie wiecie dość? Szaleje tam magia. Co więcej potrzebujecie wiedzieć, Najjaśniejsi?

– Na przykład... z kim kontaktowałeś się po powrocie do Sahit. Ze swoją rodziną? – zasugerowali.

– Oni są niewinni. Zdrowi – powiedział szybko więzień, a Eliri skarcili się w myślach.

– Nigdy nie pomyśleliśmy inaczej – skłamali. – Na pewno rozmawialiście z isbetem. Może również z anaksem...?

Zza pleców Najjaśniejszych rozległo się zduszone westchnienie.

– Nie – powiedział powoli Sirin. – Do czego zmierzacie?

– Chcemy ustalić, czy to, co cię spotkało, może się rozprzestrzenić. Czy po prostu wymiera na nieskażonej ziemi... – Zawiesili głos. Wiedzieli, że dają temu człowiekowi złudną nadzieję.

– Nikogo nie zaraziłem. – Mężczyzna znów odsunął się od krat.

Eliri westchnęli i wstali, otrzepując słomę z szaty.

– Wierzymy ci. Chcemy dla ciebie jak najlepiej.

Ale Sirin zasłonił już uszy rękami i kołysał się na legowisku.

Eliri popatrzyli na Arit. Dziewczyna lekko wzruszyła ramionami. Odezwała się, dopiero gdy wyszli z podziemi.

– Pytaliście o anaksa, Najjaśniejsi – szepnęła.

– Tak.

Zaczerpnęła tchu.

– Być może uznacie, że oszalałam... ale proszę, wysłuchajcie mnie, Najjaśniejsi. Sahit nie ma anaksa. Jego miejsce zajęło... coś. Nie wiem, co to

jest. Zazwyczaj dobrze udaje człowieka. – Przygryzła wargę. – Ale to nie człowiek. Widziałam. Proszę...

Przez chwilę patrzyli na siebie, posłaniec Niegasnącego i przerażona dziewczyna.

– Czy mi wierzycie, Najjaśniejsi? – zapytała błagalnie Arit.

– To słowa, za które możesz stracić życie – powiedzieli pozbawionym emocji głosem. – Tym razem będziemy udawać, że ich nie słyszeliśmy.

Miesiąc odnowienia, pierwsza pentada

Jesień przemknęła szybko, odchodząc, przyniosła podwójny nów. Zła wróżba, mówiono, Niegasnące zamyka oczy, nie chcąc patrzeć na hańbę Taarut. W miesiącu deszczy kondotierka zdobyła miasto. Wraz z łagodną zimą, pod usianym meteorytami niebem, rozpoczęły się jej rządy, potwierdzone tylko przez anaksa Sahit. Żrenica milczała. Święto Odnowienia obchodzono bez tej nadziei, która zwykle towarzyszyła rozpoczęciu nowego roku. To nie miał być dobry rok.

Minęło sześć miesięcy od pogrzebu isbeta, od kiedy Arsad zaczął szukać Zaihab.

Zostawił Sahit za sobą niemal od razu po tym, gdy dowiedział się o ucieczce hieroduli. Teraz powoli godził się z tym, że jej nie znajdzie. Przeczekał Odnowienie ukryty za palisadą wsi. Jego gospodarze wystawiali straż. Uzbrojeni w kosy młodzi chłopcy odstraszaali wagabundów, uciekinierów z Taarut, dezertersów z armii. Arsada przyjęto tylko dlatego, że wydawał się im niegroźny, a jego ręce wciąż nadawały się do pomocy. Większość przybyszów odchodziła od palisady, gdy postraszone ich ostrzami. Niektórzy próbowali wyciąć sobie drogę do osady siłą.

Arsad pomagał gotować pasy tkanin na opatrunki dla rannych. Razem z mieszkańcami wsi siedział przy marach, nim pogrzebano ciała obrońców; napastników spalono za palisadą, by ich duchy nie przywiązały się do tej ziemi. Dym ze stosów wił się ponad zdeptanymi polami. Przeddzień wiosny zaznaczyły głód i wyczerpanie. Brakowało pożywienia i leków.

Potem ranni zaczęli znikać – i wracać ozdrowiali.

Nimrod nie okazał niepokoju. Zamiast tego cierpliwie słuchał wymienianych przez osadników plotek o wiedźmie, którą okoliczne wsie utrzymywały w zamian za jej pomoc. Nie chciał ulec szaleńczej nadziei, że oto trafił na ślad Zaihab; równie dobrze dziewczyna mogła już dawno temu zginąć pod ciężarem spotworniałego źródła. Lecz Zaihab czy nie, wiedźma nie mogła chodzić po saadyjskiej ziemi. Nawet jeśli pomagała osadnikom.

Rozwiązanie powinno być oczywiste, a jednak Arsad bił się z myślami. Wreszcie zdecydował się zostawić osadę za sobą. Przez kilka dni podróżował razem z grupą nomadów, którzy – jak wielu innych – zmierzali na południe. Były to dwie rodziny, pędzące między sobą parę leniwych rudych krów. Choć zwierzęta spowalniały podróż, nimrod ledwo mógł nadążyć, już trzeciego dnia zaczął powłóczyć nogami. Dawne, źle zaleczone złamania dały o sobie znać.

– Znam kogoś, kto mógłby ci pomóc – zagadnął go jeden z nomadów.

Arsad rozcierał nogę, przyglądając mu się spode łba. Musiał grać.

– Kogoś, kto cofnąłby mój wiek o kilka lat?

Mężczyzna prychnął cicho.

– Widziałem dość starych ludzi, żeby wiedzieć, że dolega ci coś innego niż tylko wiek. Ale tak, podejrzewam, że nawet to byłoby możliwe.

Arsad zostawił za sobą nomadów i skierował się w stronę wskazaną mu przez mężczyznę, z powrotem ku morzu. Przez dwa nieznośnie powolne dni szedł samotnie wzdłuż klifu. Okolica, którą przemierzał, była cicha. Jego kompas nie wskazywał żadnego kierunku; igła kręciła się, nie zatrzymując na dłużej w żadnym punkcie. Młode trawy gięły się smagane wiatrem, niebo było bezkresne, przytłaczające swoim ogromem. Arsad zmrużył oczy, śledząc lot ptaków.

Ptaki. Nad jego głową kołowały drapieżniki, w jakimś dziwnym podniebnym tańcu. Jeśli Arsad chciał potwierdzenia swoich przeczuć, właśnie je otrzymał.

Popatrzył na kompas, ale ten wciąż pozostawał bezużyteczny. Wiedźma wiedziała, jak się bronić.

Znów wrócił w głąb lądu, wchodząc w nadmorski las. Na jego skraju znajdowała się opuszczona szopa z dziurawym dachem. Jedna ściana zapadła się zupełnie. Spod zbutwiałych desek wystawało coś, co przypominało resztki mebli. Arsad wzruszył ramionami i poszedł dalej. Znalazł wydeptaną wśród traw ścieżkę.

To go zastanowiło.

Obrócił się raz jeszcze, w stronę opuszczonej szopy.

Arsad zmrużył oczy. Powoli ruszył w tamtą stronę. Ścieżka kończyła się nagle. Na jej skraju postawiono kamień.

Wciąż rozciągał się przed nim ten sam widok. Arsad podszedł do kamienia i spróbował go wywrócić.

Kamień migotał jak pustynna fatamorgana, wyslizgiwał się z rąk. Arsad przeklinał raseńskich magów i ich sztuczki. Nikt nie powinien być w stanie dzielić rzeczywistości na bezpieczne kieszenie zawieszane w czasie – szczególnie skorupy Saadyjczyków zamieszkane przez magię.

Kamień w końcu ustąpił i Arsad odtrącił go w trawę. W jego plecach odezwał się nowy ból.

Szybko jednak o tym zapomniał. Tam, gdzie wcześniej widział stertę przegniłych desek, zamigotała zagroda. Wciąż zaniedbana, ale zdatna do użytku. Przed zagrodą czekała wiedźma.

Nie zmieniła się bardzo, odkąd widział ją po raz ostatni, jeszcze w towarzystwie rodziców. Jej twarz wyostrzyła się, a ramiona i policzki miała spalone słońcem. Włosy, do których dawno nie zbliżyły się nożyczki, zebrała w supeł, wymykający się spod zwojów spłowiałej chusty. Nosiła sokolniczą rękawicę, na kurtę narzuciła krótki płaszcz. Szła pewnie, choć sprawdzała drogę kijem. Jej oczy wciąż były ciemne jak przepastne studnie, tylko teraz połyskiwało w nich źródło.

Jeden z sokołów zanurkował i zatrzymał się w trawie u jej stóp. Ostrzegawczo rozpiął skrzydła. Zaihab zagwizdała. Z mieszaniną niedowierzania i obrzydzenia Arsad patrzył, jak drapieżnik pochyla głowę i składa skrzydła. Zaihab uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć skrzydlatemu, że potrafi sama o siebie zadbać.

Głos uwiązł Arsadowi w gardle. Wiedźma podeszła bliżej.

– Jak mogę ci pomóc? – zapytała.

Jej twarz stężała w skupieniu. Najwyraźniej nie poznała go. Musiał na tym grać.

– Moja noga – wykrztusił wreszcie. – Powiedziano mi, że potrafisz leczyć nawet stare rany...

Skinęła głową.

– Zakładam, że będziesz w stanie dojść do mojego domu?

Obróciła się w tamtą stronę i ruszyła, nie czekając.

Jej głos również się zmienił. Brzmiał doroślej. Arsad pokuśtykał za nią. Towarzysz wiedźmy poderwał się do lotu, ale nimrod nie miał wątpliwości, że cały czas pozostaje w zasięgu jego szponów.

W drodze mówił sobie, że Zaihab zasługuje na coś lepszego niż podstęp i ostrze wbite w plecy; że zasługuje choćby na przedstawienie się jej, by wiedziała, co ją spotyka i dlaczego. Ale nie potrafił się na to zdobyć. Przypomniał sobie, że to, co przed sobą ma, już dawno nie jest córką jego znajomych. Że nie zostało w niej nic z łagodności Zaihab i, co gorsza, ta skorupa ma nad nim przewagę siły. Podstęp nie był tchórzostwem – był jedyną skuteczną taktyką.

Zaihab otworzyła drzwi i oparła się o framugę. Arsad zawahał się, ale przekroczył próg. Z niesmakiem zdał sobie sprawę, że sokół wleciał za nim do środka.

Dom wiedźmy był skromnie urządzony, ale czysty. Musiała mieć kogoś, kto przychodził tu sprzątać. Podłoga, wyłożona poszarzałym drewnem, była porządnie zamieciona, naczynia wymyte. Na stole stał kosz jabłek.

Zaihab odłożyła kij w kąt. Obok rzuciła rękawicę.

– Więc? – zapytała.

– Dawno temu złamałem nogę – powiedział, opadając ciężko na krzesło. – Nie zrosła się dobrze, a ostatnio dużo czasu spędzam w drodze.

– Mhm. – Nie zrobiła nic, by zbadać ranę, choćby stworzycielskim sposobem. – Jesteś z Taarut?

– Tak.

– Jak to teraz wygląda?

– Źle. – Ukrywanie tego nie miałoby sensu. – Kondotierka próbuje trzymać miasto w szachu, ale Opiekunka... – urwał. Nie powinien wiedzieć za dużo. Zapomniał się. Zbyt łatwo uległ iluzji, że rozmawia z Zaihab, że na mgnienie oka wróciły wcześniejsze, niespokojne czasy; choć nie przyszłoby mu wówczas do głowy, że kiedyś będzie je określać jako dobre.

Zaihab wciąż nie potrafiła panować nad swoją mimiką. Ściągnęła brwi. Na jej obliczu malował się strach – i gniew.

– Rozumiem – powiedziała głosem wypranym z emocji. Zwiesiła głowę. Dopiero po chwili przypomniała sobie o obecności Arsada. – Nieważne. Nie przyszedłeś tu na plotki.

Wstała i zaczęła się krzątać. Położyła na stole, między nimi, misę z wodą. Arsad poczuł znajome mrowienie, takie samo jak przy świątyni Opiekunki. Stworzycielska magia w działaniu.

Oboje się zapomnieli. On niemal uwierzył, że nic mu nie grozi. Chwila jego nieuwagi – i znalazłby się w jej zasięgu.

Wiedźma siedziała pochylona nad wypolerowaną misą. Arsad z obrzydzeniem zdał sobie sprawę, że powierzchnia wody lśni srebrem, jak wypełniona malastra.

Bez namysłu wyjął ostrze i się zamachnął.

Zaihab odskoczyła, wylądowała miękko na obu stopach. Bez trudu złapała równowagę.

To była jego ostatnia świadoma myśl, nim wiedźma zamieniła jego umysł w zimne i puste miejsce, w którym nie było nawet woli życia. Krew zaczęła krzepnąć mu w żyłach, pociemniało mu w oczach. Słyszał z oddali znajome wołanie. „Opiekunka” – pomyślał.

Ale to nie była Opiekunka.

Dziewczęcy gwizd. Wołanie pustułki. Znajoma melodia pieśni.

– Zaihab – wydusił z siebie, walcząc o oddech.

Wypuściła jego serce, które trzymała w tak pewnym uścisku.

– Wiedziałam – powiedziała ze złością.

Przez otwarte okno do domu wpadł kolejny ptak. Krogulec, nawołując przenikliwie, przysiadł na oparciu krzesła nachylił się nad Arsadem.

– Ćśśś – szepnęła Zaihab. – Poradzę sobie.

Arsad leżał rozciągnięty na podłodze, łykając powietrze haustami. Każde uderzenie serca przynosiło ból. Przetoczył się na bok, odszukał ostrze.

– Nie próbuj tego. – Zaihab skrzyżowała ramiona. Wciąż była drobna, ale w tej chwili wydawała się groźna. Arsad podniósł się na łokciach. Zacisnął zbielełe dłonie na rękojeści ostrza.

Wiedźma nadal miała jego serce w zasięgu ręki. Nie zdołałby jej prześcignąć. Potrzebowała mniej czasu niż człowiek w jego wieku na zadanie ciosu. Mógł co najwyżej próbować ją zaskoczyć. Demonstracja sprzed chwili nie była atakiem. Była ostrzeżeniem.

– Zaihab – powtórzył, podnosząc się na kolana. Wyciągnął ku niej wolną dłoń w oczekiwaniu na pomoc. Zaihab jednak nie drgnęła.

– Czego tutaj szukasz? – zapytała. – Bo przecież nie pomocy.

Jęknął z bólem i opadł na krzesło.

– Dlaczego więc udawałaś...

– Chciałam dać ci szansę. – Jej twarz pozostawała bez wyrazu. – Myśląc, że może faktycznie szukasz pomocy... choć wtedy nie zniszczyłbyś mojej granicy.

Sposób, w jaki to powiedziała, w niczym nie przypominał Zaihab, którą Arsad znał. Miał rację. Była teraz inną osobą. Ale nie tylko z powodu stworzycielskiej magii. Zmieniła się. Dojrzała.

Wodził za nią wzrokiem, gdy zbierała rzeczy. Bez trudu sięgała po kolejne przedmioty i wkładała je do torby. Musiała znać ich położenie na pamięć.

– Co robisz?

– Nie mam wiele czasu, skoro zdecydowałeś się ujawnić wszystkim, gdzie jestem.

Arsada zatkało. Spodziewał się, co może się stać po zburzeniu granicy. Ale nie przyszło mu na myśl, że Zaihab może wyjść ze swojego kręgu żywa, o własnych siłach. Domyślał się też, że dziewczyna przedstawiła mu zaledwie ułamek prawdy.

– Wszystkim? Kto cię szuka?

– Choćby samozwańczy łowcy – prychnęła ze złością. Z wrażenia Arsad zapomniał, że powinien ją zrugać za taki sposób odzywania się do starszych. – Jak również zawistny mag udający bóstwo.

– Vesui – powiedział z niedowierzaniem.

– Kto inny? – Uśmiechnęła się bez odrobiny wesołości, po chwili jednak jej twarz znów stężała w wyrazie determinacji. – Ułatwiłeś mi zadanie.

Arsad milczał.

– Więc słuchaj. – Oparła dłonie na biodrach. – Uciekam stąd. Pomóż mi. Jeśli znów spróbujesz podnieść na mnie rękę, zabiję cię bez wahania. Nie będę się oglądać na dawne znajomości.

– Zapominasz się, mała wiedźmo – rzucił.

Zaihab wzruszyła ramionami i wróciła do pakowania dobytku.

Serce biło jej jak oszalałe. Nie spodziewała się, że Arsad uwierzy w jej słowa. A może sam domyślał się prawdziwej natury bóstw? Nie chciała mówić więcej, z obawy, że powie coś, co nimrod uzna za kłamstwo.

– Co zamierzasz? – zapytał w końcu.

Zamarła zaskoczona. Jakby nie przyszło jej do głowy, że Arsad może postrzegać ją jako osobę; jako kogoś, kto ma pragnienia i dążenia; i że porzuci perspektywę łowcy na dość długo, by dopuścić do głosu Zaihab, nie wiedźmę.

Sama nie dawała sobie tego głosu. Ani czasu. Ani nadziei.

– Uwolnić się – powiedziała wreszcie. – Zabić Vesui.

– Jak?

– Mam pewien pomysł – odparła wymijająco.

– Dlatego tutaj uczyłaś się panować nad źródłem – zgadł. – Na ludziach, którzy przychodzili do ciebie po ratunek.

– Tak. – Schwyciła w dłonie powietrze. Dla Arsada wyglądało to, jakby formowała coś, co może zobaczyć tylko ona. – Ale wciąż wiem zbyt mało.

– Potrzebujesz pomocy stwórcy.

Przytaknęła.

– Zakładasz, że którykolwiek zechce ci jej udzielić.

Przez jej twarz przemknął cień.

– A jeśli nie? – drążył Arsad.

Zacisnęła palce na niewidocznej nici źródła.

– Kogo chcesz poprosić? – pytał dalej. – Opiekunkę?

Cofnęła się.

– Bardzo dużo chcesz wiedzieć jak na kogoś, kto jeszcze niedawno próbował mnie zabić.

Arsad zignorował tę uwagę.

– Musimy iść. Teraz – powiedziała nagle Zaihab.

– Dlaczego?

– Ktoś się tu zbliża.

– Może to ktoś, kto szuka twojej pomocy?

Wydeła wargi.

– Plotki o tobie krążą – wytknął jej Arsad.

– Być może. Ale wiedziałabym. To... nie jest nikt życzliwy. Chodźmy.

Arsad wstał, zgarnął worek z jedzeniem.

– Wiem, gdzie jest najbliższe obozowisko.

Wiedźma zarzuciła plecak na ramię i sięgnęła po laskę. Przez chwilę trzymała dłoń na framudze. Arsad poczuł znajome iskrzenie magii, ale tym razem szybko minęło, a Zaihab wyraźnie posmutniała.

– Chodźmy – szepnęła.

Przemykali wśród drzew, choć Arsad miał bolesną świadomość, że każdy, kto miałby choć niewielkie doświadczenie w tropieniu, byłby w stanie ich wypatrzeć. Pozostało mu iść za Zaihab, która kluczyła między drzewami z niezachwianą pewnością siebie. Przyszło mu na myśl, że mogłaby go tu zostawić. Gorzej: wydać, wykorzystując czas na ucieczkę. A wtedy straciłby szansę, by ją zabić.

By uwolnić ciało Zaihab od potwornej magii.

Szedł za nią, spowalniany przez ból w nodze. Gdy obejrzał się przez ramię, zobaczył grupę uzbrojonych ludzi zbliżających się do zagrody. Skoro chcieli splądrować nawet samotną chatę, nie mieliby też skrupułów, by zaatakować jego.

– Zaihab – wydyszał.

Wiedźma nie zatrzymała się. Jej kontury drżały, jakby miała zaraz rozpułnąć się w zieleni zagajnika.

– Zaihab! – powtórzył. Wyciągnął ku niej dłoń. – Pomogę ci znaleźć tego stwórcy. Przeprowadzę cię przez wsie i miasta.

Potrząsnęła głową, ale zwolniła kroku.

– Mamy wspólny cel – dodał.

Wahała się jeszcze przez ułamek chwili. Potem złapała go za rękę.

Oblepiła ich magia. Krogulec kołował nad nimi, zawodząc piskliwie.

Zostawili za sobą wybrzeże. W następnym obozie, gdzie udawali uchodźców z Taarut, Arsadowi udało się kupić konie, dzięki czemu zaczęli przemieszczać się dużo szybciej. Z dnia na dzień okolica stawała się coraz bardziej stroma, a morska bryza nie łagodziła już ostrego słońca. Pięli się po łagodnych zboczach wzgórz. W rzadziej zaludnionej okolicy byli też całkowicie widoczni, o ile nie podróżowali między łanami zboża.

Nim wyruszyli, Zaihab przywołała jednego z ptasich duchów. Stała na łące w oddaleniu od obozu, licząc, że nikt jej nie usłyszy. Powietrze wokół niej zdawało się drgać.

– Powiedz jej, że zmierzamy do Irsy – szepnęła, wypuszczając sokoła. – Niech uważa na siebie. Będę daleko od niej...

Arsad nie rozróżniał ptasich towarzyszy wiedźmy – z wyjątkiem krogulca. Ten albo kołował nad Zaihab, albo siedział na pęku jej siodła. Wiedźma czasem do niego śpiewała. Ptak odpowiadał jej na to piskiem.

– Jesteśmy bezpieczni – mówiła wtedy.

Albo:

– Zjedźmy z drogi.

Arsad ściągał ich na bok i znajdował kryjówki. Wiedźma była w tym względzie wyjątkowo bezradna. Nieraz się zastanawiał, czy potrafiłby ją zaskoczyć. Ale wystarczyło, by przypomniał sobie twarze Nuhy i Adiry. I, z arsenału wspomnień dużo świeższych, uchwyt Zaihab na jego sercu. Zamierzał doprowadzić dziewczynę do Irsy, jeśli tego właśnie chciała. A także dowiedzieć się, co dokładnie zamierza zrobić.

Im bliżej celu się znajdowali, tym bardziej cicha i zamknięta w sobie stawała się Zaihab. Większość podróży spędzała z pochyloną głową, całkowicie zdana na wierzchowca.

Arsad wobec tego milczał również. Jego cisza była ciężka.

– Zastanawiam się czasem – rzucił na kolejnym postoju – czy nie prowadzisz mnie w pułapkę.

Zaihab zagryzła wargę.

– Po co miałabym to robić?

– Sama nie wiesz, czego się spodziewać, prawda? – prychnął.

Skrzyżowała ramiona w obronnym geście.

– Prawda. Ale nie mam żadnej innej szansy.

Wspięła się na siodło i nie czekając na Arsada, szturchnęła piętami końskie boki.

– Czy wiesz w ogóle, że to zadziała?! – zawołał za nią. – Czy ktoś przed tobą tego próbował?

– Nie mam pojęcia – odparła, zwracając ku niemu zaczerwienioną twarz, gdy ją dogonił.

– Więc skąd...?

– Vesui mi powiedział. Nie, nie o Irsie. Ale nie mógł mnie skrzywdzić dlatego, że moje życie należało już do innego stwórcy... do Opiekunki. – Przełknęła ślinę. – O tym wiedziałeś, prawda?

– Domyślaliśmy się – przyznał po chwili Arsad.

Zaihab otarła oczy.

– Wiedziałałam też, że nie mógł skrzywdzić isbeta... Avile. Avile z Irsy. Przynajmniej dopóki Avile nie został ściągnięty do świątyni. Musiał zatem należeć do innego bóstwa.

– Irsa nie ma swojego patrona.

- Wszyscy tak myślą – zgodziła się z nim.
- Nie ty.
- Chcę sprawdzić, czy mam rację.

Arsad z niezadowoleniem pokręcił głową, czego wiedźma nie mogła rzecz jasna dostrzec. Zanuciła coś i wypuściła w powietrze krogulca. Ptak wzbił się w niebo, aż dla Arsada stał się tylko ciemną plamką.

Złociejące pola ustąpiły niskim zagajnikom. Droga ostro skręciła w górę. Przed podróżnymi rysował się masyw górski, dawna granica między Saadą a Rasenną. Arsad odruchowo obejrzał się za siebie. Morze było już tylko cienką szarawą kreską w oddali.

Zaihab ściągnęła krogulca z powrotem na rękawicę.

- Jesteśmy już bardzo blisko – powiedziała bez tchu.

Dotarli do Irsy, gdy słońce niknęło za horyzontem, obrysowując szczyty czerwonym blaskiem. W niecce leżało miasteczko: senny półokrąg domów okalający górskie jezioro. Niektóre budynki pamiętały jeszcze czasy poprzednich mieszkańców, inne, mniejsze, dobudowano później. Żółty kamień kontrastował z bielą wynaturzonej skały.

Zatrzymali się na skraju Irsy. Nikt nawet nie zauważył ich przybycia. Gdyby nie światła w oknach, miasteczko wydawałoby się martwe. Arsad pomógł Zaihab zsiąść z wierzchowca i poprowadził ją ku wodzie. Wiedźma podeszła do brzegu jeziora.

- Nic tu nie ma – mruknął. – Czego się spodziewałaś?

Zaihab czekała w ciszy. Przez jej twarz przemknął grymas rozczarowania.

– Nie tego – szepnęła, wyjmując coś z sakwy przy pasku. – Ale Irsa była kiedyś czymś innym, prawda? Nazywała się inaczej.

Już miał jej odpowiedzieć, gdy w dłoniach Zaihab zajaśniała malastra. Arsad głośno wciągnął powietrze.

- Zostaw to!

Zaihab go zignorowała. Wsłuchiwała się w cichy plusk fal, odległy szmer wiatru, odnajdując pod tymi dźwiękami ten jeden, którego szukała: słabe uderzenia serca. Wyciągnęła rękę. Wciąż bała się wody i nawet łagodne jezioro budziło w niej wspomnienia zimna zalewającego gardło i lęk, mimo to nie cofnęła dłoni. Przyciągnęła ku sobie pokrywające tafle nici. Czuła, jakby schwyciła oczka rybackiej sieci. Pociągnęła.

Utkane z magii liny napięły się, Zaihab zacisnęła zęby i szarpnęła mocniej. Ktokolwiek oplątał nimi Irsę, jeszcze tu przebywał i walczył przeciwko młodej wiedźmie, choć była to raczej instynktowna walka. Zaihab nie miała wątpliwości, że stworzyciel w pełni sił bez trudu zdołałby uwolnić swoje życzenie z jej dłoni.

Jak przez mgłę docierało do niej wołanie Arsada. Mężczyzna szarpnął ją za ramię – odepchnęła go. Wydał z siebie zduszony okrzyk i upadł. Zaihab musiała włożyć w ten ruch swoją nowo nabytą siłę, ale nie miała czasu na zastanawianie się nad tym. Wczepiła palce w sieć. Tym razem zamiast ciągnąć, zaczęła ją rozplatać. Nici rozpadały się w jej dłoniach.

I na nowo splotły, wokół jej rąk.

Zaihab krzyknęła. Opierała się, lecz sieć wciągała ją w głębiny. Lodowata woda jeziora sięgała jej pasa. Stopy Zaihab ślizgały się na ostrych kamieniach wyściełających dno. Jeszcze jedno szarpnięcie – i Zaihab straciła oparcie pod nogami.

Woda lśniła; Arsad zmrużonymi oczami patrzył, jak do Zaihab zbliżają się kształty – ludzko-rybie hybrydy o ogromnych jasnych oczach i szerokich ustach pełnych zębów jak igły. Dziewczyna zamachała rękami, próbując wyrwać się na powierzchnię. Udało jej się zaczerpnąć tchu, lecz po chwili sieć z powrotem wciągnęła ją pod wodę. Poruszała się jak żywe stworzenie, oplątując ją coraz mocniej. Zaihab zdrętwiały stopy, nie słyszała nic poza dudnieniem źródła.

Pochyliła się, by rozluźnić więzy, lecz wtedy wystawiła się na cel syren. Póki się miotła, zachowywały dystans, kurczowo trzymały się sieci. To dawało Zaihab bezpieczeństwo. Chyba że...

Znów zaczęła szarpać splot liny wokół kostki. Syreny podpłynęły bliżej. Zaihab udała, że jest zbyt zajęta rozplątywaniem więzów. Skuliła się w oczekiwaniu na cios.

Ten nadszedł – i tak jak przewidywała, jej plecy przeciął piekący ból, ale to stworzyciel zawył, kuląc się i tuląc do siebie oparzoną rękę. Inni stworzyciele wciąż nie mogli jej dotknąć.

Zaihab wykorzystała tę chwilę, by znów wybić się ponad powierzchnię. Wciągnęła powietrze, młóćąc wodę rękoma. Tym razem zdążyła zaczerpnąć tchu, nim syreny znów wciągnęły ją w toń.

Zaczynało jej się kręcić w głowie. Jej płuca płonęły żywym ogniem. Wiedziała, że nie ma wiele czasu – łatwiej byłoby się poddać. Wreszcie podjęła decyzję: gwałtownie poruszyła nogami i zanurkowała głębiej.

Jezioro było prawie martwe. Otworzyła usta i zaczęła śpiewać, niepomna wlewającej się w jej gardło lodowatej wody. To nie powinno być możliwe, lecz jej głos roznosił się w bezkresnej toni. Zaihab ściągnęła ku sobie źródło. Z każdą wyśpiewaną nutą było jej coraz łatwiej oddychać. Przestało jej się kręcić w głowie. Wyrывała życie z małych wodnych stworzeń. Nie myślała o tym. Liczyło się tylko, by znaleźć się jak najgłębiej.

Uderzyła stopami w dno, wzbijając kłęby mułu. Syreny odsunęły się od niej. Więzy wokół jej rąk i kostek nie rozluźniły się, ale stworzenia najwyraźniej

uznały, że wystarczy, gdy trzymają ją na uwięzi.

Zaihab szła, dotykając dłońmi ścian zatopionych budynków. Wciąż czuła bijące od nich słabe echo źródła, życzenia budowniczych wyśpiewywane głosami sprzed stuleci. Jej serce забиło mocniej. Przez chwilę zapomniała nawet o zimnie wody, o kradzionych oddechach. Na nowo zaczęła wierzyć, że jej się uda. Szła przez zatopione miasto, kierując się tylko rosnącą siłą źródła.

Gdy stanęła przed jaskinią, wiedziała, kogo w niej zastanie. Mężczyzna z malastry Avile spał na skalnym podłożu. Jego długie włosy unosiły się na powierzchni wody, prądy wydymały saadyjską szatę. Zaihab słyszała przede wszystkim jego serce, spokojną melodię, w którą wkładał się dysonans. Rasen zagłuszał jej własne źródło. To tutaj miały swój początek pętające ją liny, wpół wysnzione, wpół realne. Zaihab stała przed stwórcy. Nie śmiała się poruszyć. Dopiero gdy zaczęło na nowo brakować jej tchu, dotknęła ramienia Rasena.

Ani drgnął. Syreny podpływały coraz bliżej. Drętwiejącymi z zimna i bólu palcami Zaihab wyjęła malastrę Avile, lśniąca jak serce nieznajomego. Zaciśnęła zęby i zaczęła pocierać nadgarstkiem o szorstkie liny. Zapiekło, gdy włókna przecięły skórę, lecz Zaihab nie ustawała. Poczowała smak krwi na języku.

Zaihab tylko na to czekała. Podstawiła malastrę pod zranienie, licząc, że jej ofiara dotknie powierzchni lusterka.

Stwórcy krzyknął zwyczajnym, ludzkim głosem.

Oboje zastygli na niemożliwie cichą chwilę, po czym Zaihab rzuciła się do ucieczki.

Słyszała za sobą krzyk syren. Wierzgała, próbując wybić się nad powierzchnię, lecz uchwyt na jej kończynach nie słabł. Zaihab walczyła. Nie zamierzała się poddać. Nie teraz.

Wynurzyła się i odetchnęła głęboko. Krzyknęła. Ten krzyk mógłby teraz skruszyć góry.

– Zaihab! – usłyszała obok siebie głos Arsada.

– Nie podchodź! – krzyknęła, podpływając do najbliższej skały.

Wspięła się na nią tak szybko, jak umiała. Pętające ją liny zaczęły kruszyć się i rozsypywać. Zaihab zadygotała, próbując osłonić się przed kłującym zimnem.

Arsad przetarł oczy. Pod powierzchnią nieskazitelnie czystej wody, tam, gdzie wcześniej była tylko ciemniejsza toń, rysowały się kształty. Białe ściany. Ogrody, w których rośliny, zamrożone w czasie, kołysały się z falami. Puste, czarne okna zatopionego miasta. Dawna Irsa rozciągała się na dnie. Jej budynki były zachowane w idealnym stanie, jakby ktoś zatopił je nie w wodzie, lecz w kryształach. Ich ścian nie znaczyły żadne wodorosty. Jezioro było niemal nieruchome.

Wtem powierzchnia wody zadrżała. Stworzyciel się wynurzył.

Nimrod patrzył, jak Zaihab wyciąga przed siebie ręce w obronnym geście, ale stworzyciel nie zaatakował jej. Stał na kamienistym brzegu, w pewnej odległości od niej i od Arsada. Woda ściekała z jego włosów. Obejmował ramionami przemoczoną szatę. Wydawał się oszołomiony i słaby. Głodny.

– Kim jesteś? – zapytał po saadyjsku, mrużąc oczy.

– Zaihab Adira – przedstawiła się. – Pieśniarka. Wiedźma.

Na ostatnie słowo jego wargi drgnęły w uśmiechu.

Zaihab czekała, wstrzymując oddech.

– A ty? – powiedziała wreszcie, gdy stało się jasne, że stworzyciel z własnej woli nie udzieli jej odpowiedzi.

– Zabawne. – Przekrzywił głowę. – Myślałem, że wiedziałaś, co robisz, postanawiając mnie obudzić.

– Jesteś stworzycielem z Irsy.

Potrząsnął głową. Grał na zwłokę, lecz w jego swobodnym zachowaniu było coś groźniejszego, niż gdyby wprost zaatakował. Oceniał swoje szanse i sprawdzał, co da mu przewagę.

– Nazywano mnie Nahir – powiedział, a przez jego twarz przemknął cień bólu. – Nahir Lefarie. Nahir sur Novissa, jeśli wolisz. Tak miałem na imię, nim zabrałem to miasto ze sobą.

EPILOG

Meire nie tęsknił do życia w mieście. Wystarczało mu towarzystwo Vesui. Stworzyciel co prawda szybko się rozpraszał i łatwo złościł, lecz rozumiał chłopca jak nikt inny – a gdy brakowało im tematów do rozmowy, zaczynał snuć historie z czasów dawnej Rasenny. Meire nie obchodziło nawet, czy są prawdziwe. W słowach Vesui odżywali zachłanni magowie i ich saadyjscy przeciwnicy, zagajniki wokół Sahit wypełniały się magicznymi zwierzętami, a cuda mogły przydarzyć się każdemu. Świat stworzyciela bywał brutalny, lecz i pełen obietnic.

Vesui opowiedział chłopcu o dziewczynie, która już w łonie matki nasiąknęła magią wskutek nierozważnych eksperymentów. O zapomnianym domu wiedzy, w którym bezcennego księgozbioru strzegły niesamowite drzewa. O kobiecie, która przeszła przez ogień, by dowieść czystości swych intencji, lecz mimo to wygnano ją z kraju.

Opowiadał też o młodym sokolniku, którego zostawiono na pastwę demonów dawnej Rasenny.

– Był mniej więcej w twoim wieku. – Stworzyciel przekrzywił głowę, oceniając Meire. – Jego ojciec myślał, że w ten sposób ocali siebie. Nie znał tutejszych obyczajów, nie wiedział, że poczwara, którą zabił, należała do stada uważanego za cudowne. Nie wiem, co w niej było cudownego, dawno nie widziałem takiej szkarady. W ramach zadośćuczynienia postanowił oddać syna. Nie myślał nad tym długo! – zachichotał.

Meire nie było do śmiechu. Milczał.

– Ściągnął syna w pułapkę. Był wszak myśliwym, wiedział, jak sporządzić wnyki. Młody sokolnik próbował wyrwać się z więzów, lecz bezskutecznie. Wołał o pomoc. Traf chciał, że to ja go usłyszałem. – Vesui dumnie nastroszył pióra. – Młody okazał się bardzo wylewny, obiecywał mi wszystko. Wszystko! Czy nie uczą was, by nie składać takich głupich obietnic?

– Co zrobiłeś? – zapytał Meire.

– Pomogłem mu, co miałem zrobić? Rzadko zdarza mi się uciekać przed stadem świętych bestii. On chyba bawił się gorzej, lecz stwory zgubiły jego ślad. Po kilku dniach zaplątał się do jakiejś osady. Później wrócił do Sahit. Przyglądałem mu się czasem i myślałem, jak by to było, zmusić go do dotrzymania danego słowa. Postanowiłem jednak nie być chciwym i poprosiłem o spełnienie jednego życzenia.

Meire przysłuchiwał się opowieści jak zaklęty.

– I co się stało potem?

Stworzyciel zaśmiał się cicho.

– Chciałbyś wiedzieć już wszystko, prawda?

Meire opuścił głowę.

– Na samym początku Nowa Saada musiała być bardzo... groźnym miejscem – odezwał się chwilę po tym, gdy stworzyciel umilkł.

Wieloskrzydły cień Vesui zadrgał. W chłodzie jesiennej nocy rozniósł się zapach polnych kwiatów.

– Była. Ale to się wcale nie wydarzyło tak dawno! – zaśmiało się bóstwo.

Meire pokręcił głową z niezrozumieniem. Takie rzeczy już się nie działy. Wybito wszystkie wynaturzone magią stwory. Bogowie nie rozmawiali ze swoimi poddanymi.

– Znasz przecież Harsuna – odpowiedział uprzejmie Vesui. – To anaks Sahit. Mój hierodul. Mój mag.

Chłopak zadrżał. Wpatrywał się w roztańczony cień, jakby mogło mu to pomóc w zrozumieniu intencji bóstwa.

– I co to było za życzenie? – zapytał, niepewny, czy chce znać odpowiedź.

Stworzyciel zachichotał.

– Poprosiłem, żeby zniszczył dla mnie Taarut. Ale nie wiedział, ile go to będzie kosztować. I nie wiedział... nie wiedzieliśmy, że ktoś poza nim potrafi jeszcze zaczerpnąć ze źródła.

– Moja poprzedniczka – zgadł Meire.

– Tak. Która nie ma pojęcia, że ma przeciwko sobie nie tylko mnie, ale i drugiego maga. – Vesui klasnął w dłonie. – Co to będzie za widowisko!

Podziękowania

Praca nad książką to długie godziny spędzone w samotności przed komputerem bądź zeszytem – a jednak, paradoksalnie, nie byłaby możliwa bez innych ludzi. Słowa na tych kartkach zostały napisane przeze mnie, lecz powstały dzięki pomocy i wsparciu przyjaciół i bliskich.

Największe podziękowania należą się Elżbiecie Głowackiej, która kibicowała *Skrzydłom*, odkąd po raz pierwszy wspomniałam, że mam pomysł na historię o pieśniarce i dziecięcym bóstwie; która towarzyszyła mi przy gorączkowym planowaniu fabuły i cierpliwie wyprowadzała mnie z wszystkich kryzysów. Dziękuję, że wierzyłaś w tę historię nawet wtedy, gdy ja nie miałam na to sił. Nie wyobrażam sobie Rasenny bez ciebie.

Marta Malinowska też uwierzyła w tę opowieść i nie zniechęciły jej nawet pierwsze niezdarne szkice. Zawsze służyła radą i wsparciem i śmiała się z raseńskich żartów. Anna Hrycyszyn nie tylko wynajdywała w tekście

nieściskości – jest przede wszystkim prawdziwą przyjaciółką. Pomogła mi również zrozumieć, jak Zaihab odbiera świat. Rozmowy z Arturem Nowrotem otwierają mi oczy na liryzm i skłaniają do refleksji. Nie przesadzam, pisząc, że czynią mnie także lepszą osobą. To, co zawdzięczam Nelly Strehlau i Ewie Bodal zdecydowanie wykracza poza dyskusje o książkach; ogromnie dziękuję za ugoszczenie mnie podczas najlepszego Polconu, na jakim byłam! Dziękuję też Dorocie Procharskiej (za współczesną poezję, za wyjątkową wrażliwość, za wsparcie), a także Annie Łagan, Ginny Nawrockiej, Katarzynie Nowackiej, Kajetanowi Rodziewiczowi i Joannie Płaszewskiej – jesteście niezastąpieni. Sara Norja zawsze chętnie rozmawiała ze mną o światotwórstwie, narzekając tylko trochę, że nie będzie w stanie przeczytać tej książki (*kiitos paljon!*). Nie mogę nie wspomnieć Sekcji Literackiej ŚKF Logrus, która przyjęła mnie jako członkinię korespondencyjną – wiele się dzięki Wam nauczyłam i z radością oczekuję każdego nadchodzącego spotkania.

Leila Qışın wyjaśniła mi fizykę świata okrążanego przez dwa księżyce; Aleksandra Klęczar pomogła mi z terminologią, mimo że napisałam do niej w środku nocy. Joanna Mika jest redaktorką, jakiej życzę każdemu pisarzowi – zamiana surowego tekstu w książkę to w jej wykonaniu prawdziwa magia.

Jestem głęboko wdzięczna za waszą pomoc.

I wreszcie – z całego serca dziękuję najlepszej na świecie siostrze, Zuli, i Rodzicom, którzy może nie podzielają mojej fascynacji nieistniejącymi krainami, ale zawsze mnie wspierają. Jestem dumna i szczęśliwa, że to Wy jesteście moim źródłem i że noszę w sercu tę właśnie pieśń.

Skrzydła

Copyright © by Karolina Fedyk 2019

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2019

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Paweł Wielopolski

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik

Grafika na okładce – Sergey Nivens / 123rf.com

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.





Wydanie I, Kraków 2019

ISBN EPUB: 978-83-8129-391-4

ISBN MOBI: 978-83-8129-390-7


 wsqn.pl


 WydawnictwoSQN

 wydawnictwosqn

 SQNPublishing

 WydawnictwoSQN

 E-booki

 Zrównoważona gospodarka leśna

 [Panta rhei](#)

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

O autorce

Michał Cetnarowski prezentuje: Fantastycznie nieobliczalni

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Epilog

Strona redakcyjna

NA CO CIĘ STAĆ W OBRONIE WŁASNEJ TOŻSAMOŚCI?

W Południowych Królestwach, niektóre kobiety widzą przyszłość. Ich Przewodnikami zostają mężczyźni, którzy przeszli długie szkolenie i niebezpieczne rytuały. W Diogorii – krainie skomplikowanych maszyn, honoru i opanowania – nie ma osób obdarzonych talentem magicznym, ale nie brak tam dzielnych wojowników, łaknących podbojów, zaszczytów i sławy.

Losy bohaterów spoczywają w rękach moźnych tego świata, lecz pragnienie wolności i nadzieja nie pozwalają im się poddać.



**TO OPOWIEŚĆ O CIERPLIWOŚCI.
O WYCZEKIWANIU NA SWÓJ MOMENT
W GĘSTYM BEZCZASIE.
I O TYM, CO BĘDZIE GDY TO NADEJDZIE**

Szukaj w dobrych księgarniach

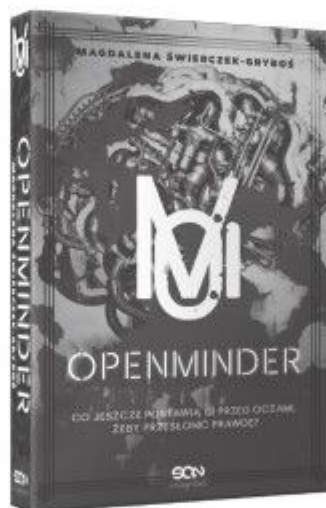
SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl

CO JESZCZE POSTAWIĄ CI PRZED OCZAMI, ŻEBY PRZESŁONIĆ PRAWDĘ?

2076 rok. Polska – zniszczona w wyniku wojny oraz odbudowana – zostaje przyłączona do bloku zachodniego. Obywatele Zachodu nie wyznają religii, są podpięci do sieci i szczepieni przeciwko złu. Wschód uważają za miejsce przerażające, a jego mieszkańców za godnych współczucia i oczekujących wyzwolenia. Zadaniem Nikodema, który szkoli się na openmintera – wojownika umysłu – jest nawracanie Wschodniaków. Chłopak zostaje pilotem mecha, bierze udział w wirtualnych starciach i eksploruje skażone obszary dawnego Krakowa.



**W TYM ZADZIWIAJĄCYM ŚWIECIE PRZYSZŁOŚCI
KAŻDY CZYTELNIK ZNAJDZIE COŚ DLA SIEBIE!**

Szukaj w dobrych księgarniach



WYDAWNICTWO
SINE QUA NOM

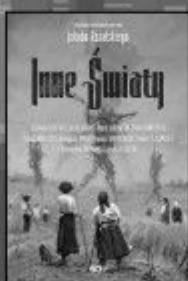
www.wsqn.pl

Oficjalna księgarnia Wydawnictwa SQN

POP, MUZYKA, FANTASTYKA, BOOKBOXY,
PAKIETY I WYJĄTKOWE
SQN ORIGINALS – TYLKO U NAS!

SQN STORE

www.SQNSTORE.pl



www.WSQN.pl

[instagram.com/wydawnictwosqn](https://www.instagram.com/wydawnictwosqn)

[facebook.com/WydawnictwoSQN](https://www.facebook.com/WydawnictwoSQN)